Sebastian

# Uznański

# herrenvolk

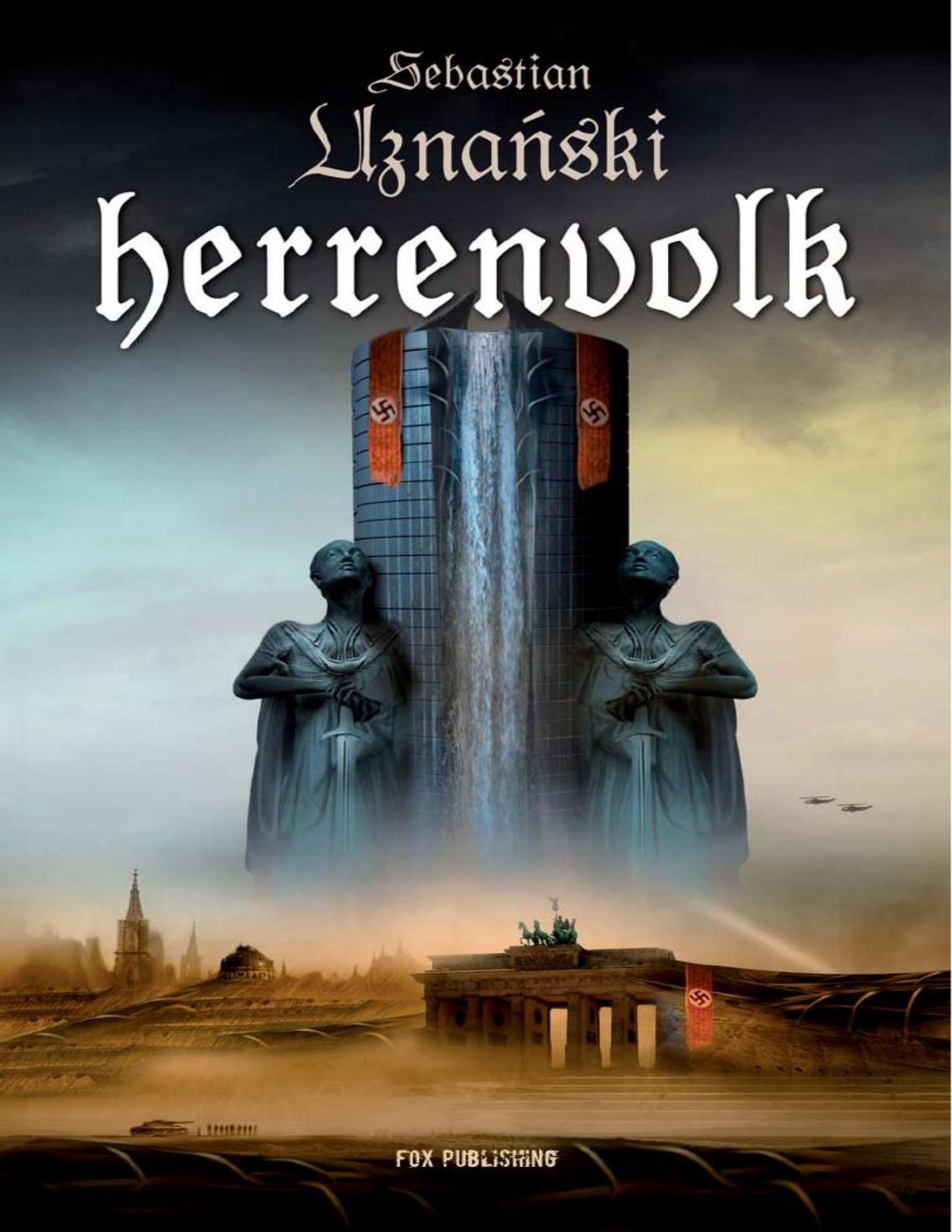

FOX PUBLISHING

Sebastian Uznański

# Herrenvolk

Ilustracje: Mariusz Gandzel

FOX Publishing

Wydanie I
Rzeszów 2011

Copyright © by Sebastian Uznański – tekst
Copyright © by FOX Publishing

Redakcja literacka i fabularna: *Romuald Pawlak*
Redakcja i korekta: *Barbara Borszewska*
Ilustracja na okładce: *Dariusz Kocurek*
Ilustracje w książce: *Mariusz Gandzel*
Redakcja techniczna: *Bartosz Kusibab*

Wydanie I, Rzeszów 2011

ISBN **978-83-930452-6-6**

**Wydawca**
FOX Publishing Bartosz Kusibab
ul. Boya Żeleńskiego 16/23, 35-105 Rzeszów
tel. 17 715 81 94
e-mail: redakcja@foxpublishing.eu
www.foxpublishing.eu

Konwersja: NetPress Digital Sp. z o.o.

*Mojej żonie - Kasi*

# Wina

## I

Śmierdział sobą.

Oczywiście ciągle się okłamywał. Chodził nerwowym krokiem po ciasnej celi, przekonując samego siebie, że kwaśny zapach wydobywający się ze ścian to pot, jakim niegdyś dzień w dzień impregnowali je poprzedni więźniowie. Przyłapywał się na mamrotaniu pod nosem obelg miotanych to na swoją głupotę, to na strażników.

Nigdy nie wiedział, kiedy oprawcy po niego przyjdą. W areszcie SS rządziły nie ciemność i zimno, nie samotność i ból zmaltretowanego ciała, lecz nieujarzmiona trwoga. Gdy pierwszy raz go tu wrzucono, zaczerpnął w płuca lodowatego powietrza przesączonego wonią mokrych kamieni i żelaza. Z początku Sosnowski sądził, że czuje zapach kraty osłaniającej nieduże okienko w solidnych, dębowych drzwiach. Kierowany impulsem, podszedł i je powąchał. Jednak powietrze wciągane w nozdrza nasycone było tą samą żelazistą nutą i nie miało ani odrobiny więcej intensywnie słodkawego aromatu niż to, które dobiegało z korytarza i rozpływało się po całej celi.

W nocy rozlegały się krzyki. W dzień też, tylko rzadziej. Artur wiedział, że podchodząc do krat i wąchając je w irracjonalnym odruchu, próbował oszukać samego siebie. Wszędzie było duszno od zapachu krwi.

Niejasno zdawał sobie sprawę, że to jego krew. Więzienny szary uniform cały był w szkarłatnych plamach. Na

szczęście pociekło tylko z nosa, dotąd mu się udawało.

Sandoval
2011

Nagle serce mu zamarło, a trwoga ścisnęła gardło lodowatymi pazurami. Usłyszał ciężkie kroki na korytarzu. Towarzyszył im miarowy stukot pałki uderzającej o mur. Niegłośny, jednak Artur nauczył się go nienawidzić. Skulił się, objął ramionami kolana. Błagał, by kroki nie ucichły.

Zgrzytnął zamek. SS-Scharführer Fichtemiał tak szerokie bary, że ledwie mieścił się w drzwiach. Dłonie, osłonięte rękawiczkami, zaciskał w pięści wielkie jak bochny. Kiedy się poruszał, srebrne zygzaki SS wyglądały jak mknące błyskawice, a trupia czaszka na klamrze pasa z mottem: „Moim honorem jest wierność”, migotała złowrogo.

- Idziemy! - warknął.

Artur zerwał się szybko. Nie było sensu drażnić bestii.

Poprowadzono go korytarzem. Po obu stronach ciągnęły się drzwi z okratowanymi okienkami. Sosnowski, po raz nie wiadomo który, zadał sobie pytanie, jak głęboko pod ziemią się znajduje. Opanowało go poczucie beznadziei, wiedział, że stąd nie ma ucieczki. Nawet gdyby był komandosem i zdołał pokonać barczystego strażnika, ugrzązłby wewnątrz wrogiego kompleksu przypominającego labirynt. Nie miał złudzeń: nie wydostanie się na powierzchnię.

A komandosem niestety nie był. Nigdy w życiu się nie bił, a na dodatek należał do osób raczej cherlawych.

Korytarz się rozszerzył, więzień i Fichte doszli do miejsca, z którego wybiegały liczne tunele. Przy stoliku pod ścianą dwóch wartowników grało w karty, karabiny oparli o mur. Jeden z Niemców powiedział coś żartobliwie. Artur był otępiały, zresztą może tamten mówił niewyraźnie. W każdym razie mózg zarejestrował słowa dopiero po kilku sekundach: „Polska świnia prowadzona na ubój”.

Artur wszedł w kolejny korytarz, słysząc salwę śmiechów. Żołądek zwinął mu się w supeł.

Nieopodal znajdowały się uchylone drzwi. Na stołkach, sztywno wyprostowani, siedzieli młodzi esesmani, a starszy instruktor stał przy tablicy ze wskaźnikiem w dłoni. Kredą naszkicowany był wykres wzrostu. Oś poziomą oznaczono jako ból, pionową jako czas. Podpis głosił: „efektywność”.

Tym razem nie prowadzono Artura daleko. Fichte zapukał w następne drzwi. Otworzył mu SS-Arzt, który na mundur narzucony miał jasnozielony fartuch lekarski.

Artur stłumił impuls, by uciec. W jego nozdrza wdarł się intensywny zapach żelaza, ten sam, który unosił się na korytarzu i dręczył go w celi. Tutaj jednak, mimo że mieszał się z odorem środków dezynfekcyjnych, był stokroć mocniejszy. Wywoływał u więźnia panikę i zwierzęcy instynkt, by ukryć się za wszelką cenę.

Fartuch SS-Arzta znaczyły brunatne plamy.

- Pod ścianę! - Artur poczuł pchnięcie w plecy. Musiał zrobić kilka kroków, by się nie przewrócić.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. I pożałował, że nie zamknął oczu.

Pod ścianą stało drewniane krzesło z metalowymi obręczami na podłokietnikach i przy nogach. Obok stół, na którym leżały narzędzia ciesielskie: imadło, młotek, rozsypane gwoździe, obcęgi. A także maska gazowa, pejcz z metalową końcówką, niepasująca do zestawu elegancka papierośnica, wreszcie narzędzia, na pierwszy rzut oka przypominające chirurgiczne.

Posadzono go na krześle. Obręcze zatrzasnęły się z metalicznym szczękiem. Artur nie próbował się wyrywać. Kiedyś, raz, na początku… Nadal mógł wyczuć językiem chwiejący się ząb. Nie było warto.

Mężczyzna w fartuchu podszedł do stołu i wziął gazową maskę. Koniec żebrowanej rurki miał domontowaną specjalną ruchomą zatyczkę, odcinającą dopływ powietrza.

- Jeżeli uszkodzisz mi mózg, nic ze mnie nie wyciągniecie. Niedotlenienie mózgu, ty jesteś lekarzem, powinieneś znać skutki.

- Powiesz to Obersturmbannführerowi Hagenderowi. - Lekarz założył Arturowi ciasną maskę. Oddychało się przez nią trudniej, ale przynajmniej miał dopływ powietrza.

Esesmani zapalili papierosy. Czekano na oficerów. Unieruchomiony na krześle Artur pogrążył się w rozmyślaniach.

Wrócił pamięcią do dnia, gdy obudził się nagi i zziębnięty w ciemnej uliczce. Niełatwo było uporządkować następne wydarzenia, okrywała je gęsta mgła. Czasami zdawało mu się, jakby to nie on wówczas decydował o swoim zachowaniu, jakby był tylko widzem dramatu. Niektórych fragmentów wcale nie potrafił sobie przypomnieć. Najpierw znajdował się w jednym miejscu, potem zaś zobaczył siebie w innym. Był jak topielec, którego raz za razem przykrywa fala, posyłając w głębiny, a on rozpaczliwym wyrzutem ramion wydziera się odmętom, by zaczerpnąć haust powietrza.

*

Młody mężczyzna spazmatycznie nabiera powietrza, niczym topielec wynurzający się z wody. Jest nagi jak go Bóg stworzył. Zimny marcowy wiatr wywołuje dreszcze, usta nieszczęśnika sinieją niemal natychmiast.

Podchodzi do ciepło ubranych ludzi, bełkocze coś do siebie, z trudem da się wyodrębnić słowa:

- Gdzie ja jestem? Co się dzieje?

Albo jakby parsknięcie, chichot szaleńca wytłumiony przez ściśnięte gardło:

- To jakiś pieprzony plan filmowy. Nic więcej.

Rzadko otrzymuje odpowiedź, przechodnie wolą raczej odejść. Niektórzy mamroczą pod nosem:

- Wariat. Wojna pomieszała mu zmysły.

Niektórzy ze współczuciem rzucają kilka słów pocieszenia.

Mężczyzna kuli się pod spojrzeniami, biegnie, zatacza się, wyciągając ręce przed siebie, płosząc kolejnych przechodniów. Wzrok prześlizguje się po znajomych kamienicach krakowskiego Starego Miasta, ale zamiast gąszczu neonowych reklam, napierających jedna na drugą, z odrapanych fasad spływają czerwone wodospady nazistowskich oznaczeń. Osadzona w białym kręgu swastyka zdaje się wibrować pod jego rozmazanym spojrzeniem.

Mężczyzna chwyta kogoś za rękaw płaszcza.

- Kraków? - pyta bezradnie.

- Kraków - odwarkuje pochwycony gniewnie i wyrywa się gwałtownym szarpnięciem.

- ...ale i nie Kraków - mówi sam do siebie szaleniec.

Wybiega na środek skrzyżowania, zatrzymuje się, zamiera. Mijają sekundy, ciało nieszczęśnika dygocze z zimna, smagane bezlitośnie wiatrem niosącym drobne płatki śniegu. Są tak lodowate, że gdy zderzają się z wyziębionym ciałem, zadają ból niczym ostrza. Mężczyzna nagle rozgląda się przytomniej, w prześwicie ulic miga mu fragment wawelskich wież.

Ulica pustoszeje, od skrzyżowania nadciągają żołnierze z wycelowanymi karabinami. Na rękawach mundurów czerwienią się opaski z białym kołem, wewnątrz którego pyszni się czarny charakterystyczny znak.

Z sinych warg Artura wydobywa się:

- Który mamy rok? Który mamy rok?

Pyta po polsku. Gestapowcy nie rozumieją.

*

Samochód posuwał się po szosie mokrej od deszczu. Dwa proste strumienie światła wbijały się w mrok jak sztylety. Z przodu siedziało dwóch mężczyzn ubranych w czarne, nieprzemakalne płaszcze. Ten na miejscu pasażera na kolanach trzymał kapelusz.

Artur znajdował się z tyłu, skuty kajdankami. Wpatrywał się tępo w szybę. Na szkle drgające krople łączyły się w chybotliwe strumyki.

Samochód zatrzymał się przed biało-czerwonym szlabanem. Nikt go nie otworzył. Obok stała budka strażnika. Z dala majaczyły przez strugi wody światła nieodległego budynku.

– *Scheiβe* - kierowca zaklął i zatrąbił dwa razy. Bez efektu. Zaklął po raz drugi i zgasił silnik.

- Gdzie mnie wieziecie? - zapytał Artur najczystszą niemczyzną. Strażnicy odwrócili się zaskoczeni. Popatrzyli po sobie.

- Do szpitala. Zaopiekują się tam panem. Będzie dobrze - powiedział wreszcie pasażer z udawanym współczuciem w głosie.

- Nie jestem ranny. Nic mi nie jest.

- Fizycznie rzeczywiście jest pan zdrowy. Mimo to zdecydowano, że niezbędna jest rekonwalescencja. Udajemy się do sanatorium położonego w ładnej okolicy. Nie czuje się pan najlepiej... umysłowo.

W tej części Krakowa jedynym szpitalem jest Kobierzyn, pomyślał Artur. I zapytał:

- Którego dzisiaj mamy?

- Pyta pan o to w kółko. Jeszcze się panu nie znudziło? - parsknął szofer.

- Daj spokój. - Poklepał kolegę uspokajająco po ramieniu drugi Niemiec. - Dwunastego kwietnia. A może trzynastego? Czy to ma jakieś znaczenie? Czy rzeczywiście trzeba biegać nago po ulicy, by próbować to ustalić?

- Nie, dzień nie ma znaczenia. Ale błagam na Boga, powiedzcie mi, którego roku?

- Czterdziestego, a co?

- 1940, prawda?

Kierowca parsknął coś pod nosem. Artur dawno nie używał niemieckiego, ale udało mu się zrozumieć powiedzenie: „Gadaj tu z wariatem”. Niemiec zapalił cygaro. Zatrąbił jeszcze dwa razy. Powietrze w kabinie zrobiło się gęste od dymu.

Z krzaków wyszedł żołnierz w kapturze osłaniającym hełm. Pospiesznie zapinał rozporek.

- Że też się komu chce lać w taki deszcz - skomentował kierowca.

- *Vernichtung von lebensunwertem Leben*, likwidacja życia niewartego życia - powiedział cicho Artur. I ogarnęła go panika. Zrozumiał, że wiozą go na śmierć. Kobierzyn oznaczał wyrok.

Pasażer usłyszał, twarz mu drgnęła. Kierowca zakrztusił się dymem.

- Nic panu nie będzie. Zaopiekują się panem - dodał uspokajająco.

- Gdybym ja wierzył w każde głupstwo, które usłyszę, też bym musiał wylądować w Kobierzynie - zaśmiał się pasażer. - Anglicy mają na to określenie *urban legends*, legendy miejskie. W szpitalach nie dzieje się nikomu krzywda, tak jak w kanałach nie ma aligatorów.

Wartownik podszedł do samochodu. Błysnęła latarka, więzień zmrużył oczy. Strumień światła na jego twarzy zatrzymał się najdłużej, nim powrócił do trzymanego przy szybie papieru od niechcenia wyciągniętego przez pasażera.

Artur odezwał się wreszcie, nawet w jego uszach głos zabrzmiał sztywno:

- E-Aktion to nazwa rządowego programu III Rzeszy zatwierdzonego przez Hitlera. Są na to dokumenty. W aligatora też bym uwierzył, gdybym zobaczył dowody.

Niemcy milczeli. Żołnierz zaczął podnosić szlaban. Nie szło mu dobrze, uchwyt kołowrotu ślizgał się w jego dłoniach. Metalowa rura podniosła się wreszcie powoli, zgrzytając niemiłosiernie. Deszcz zacinał ostro.

Warkot obudzonego silnika zakłócił ciszę.

- My tylko wykonujemy rozkazy - rzekł kierowca tak cicho, że ledwo go było słychać, a samochód zaczął się leniwie toczyć do przodu. A potem przyśpieszył gwałtownie. Artur zrozumiał, że gestapowcy chcieli tylko załatwić sprawę i zapomnieć o niej.

Widać już było szary masyw budynku.

- Jestem brytyjskim agentem. Symulowałem chorobę psychiczną, by uniknąć dekonspiracji.

- Mamy ci uwierzyć?

- A macie odpowiednie kompetencje, by podjąć decyzję, czy możecie mi wierzyć?

Kierowca zawrócił na niewielkim rondzie, okrążając zgrabny klomb róż. Zaskoczony wartownik nie zdążył jeszcze opuścić szlabanu. Zdumiony wpatrywał się w mijający go ponownie pojazd.

- Moim zdaniem jesteś głupi. Tutaj byłoby ci… lepiej. Każdego agenta musimy przekazać SS.

*

Artura wyrwał z zamyślenia trzask otwieranych drzwi.

Krótko przystrzyżony blondyn, Obersturmbannführer Hagender, miał podłużną twarz, lekko wysuniętą dolną szczękę i bladoróżowe wargi, które mocno zaciskał. Mięśnie twarzy były napięte. Błękitne oczy nie zmieniały wyrazu, cokolwiek Hagender robił, a w podziemnym bunkrze zajmował się głównie paskudnymi rzeczami.

Na kołnierzu munduru nosił dwie błyskawice SS i cztery srebrne guzy obok podłużnego paska. Jeden guz migotał w plecionce na każdym ramieniu. Odpowiadało to randze podpułkownika.

Za nim do pomieszczenia wszedł Sturmbannführer Weiner. Włosy miał ciemniejsze, spojrzenie przenikliwe. Obaj oficerowie odpowiedzieli na hitlerowskie pozdrowienia lekarza i strażnika. Na palcu Weinera mignął srebrny pierścień z trupią główką.

Artur poczuł, że dusi się wewnątrz maski. A esesmani nic mu jeszcze nie zrobili.

Hagender podszedł bliżej.

- Za dużo masz powietrza, Polaczku - zasyczał mu do ucha. Przykręcimy odrobinkę kureczek. Nie, nie zdechniesz od tego.

Artur zaczął szybciej oddychać. Nagle poczuł, że brakuje mu tlenu. Im szybciej oddychał, tym bardziej płuca chciały się powiększyć, wypełnić - i tym bardziej wzmagało się uczucie duszności. Poruszał ustami jak ryba wyrzucona z wody.

Naziści przypatrywali się jego klatce piersiowej z wyraźnym zadowoleniem. Ich twarze zamazały się Arturowi, bo para oddechu osiadła we wnętrzu maski.

Lekarz poczęstował gości cygarami. Weiner odmówił, ale Hagender zaciągał się z radością.

Przed oczami uwięzionego zaczęły tańczyć ciemne plamy. Słyszał w uszach dudnienie przetaczającej się w żyłach krwi.

- Eee, bez żartów, Polaczek. My mamy dzisiaj pogadać. Dłużej niż ostatnio, jak żeś się od razu zesrał.

Fichte zaczął brutalnie ściągać Arturowi maskę. Guma szarpnęła boleśnie włosy.

- Cenię wasz naród, Polaczku, za jeden fakt. - Obersturmbannführer wypuścił kłąb dymu w twarz więźnia, próbującego rozpaczliwie złapać powietrze. Artur zaczął kaszleć. - Wymyśliliście w czasach Bolesława Chrobrego fajny sposób na karanie mężczyzn sięgających po cudzą żonę. Prowadzono delikwenta na drewniany, solidny most. Sporym gwoździem przybijano genitalia do poręczy. I zostawiano go tam, w zasięgu ręki kładąc nóż.

Hagender, mówiąc to, wyraźnie się rozluźnił. Była to właśnie jedna z tych rzadkich chwil, gdy ten człowiek doznawał przyjemności.

- My, Niemcy, wbrew temu, co o nas mówią, nie boimy się czasem czerpać z doświadczeń innych ras, nawet gdy są gorsze od naszej. Szanujemy na przykład Amerykanów. Opowiem ci, jaką ich śledczy wymyślili metodę przesłuchań. Otóż gdy przesłuchiwany nie chciał gadać, otwierali mu usta, niekiedy siłą, a potem pompowali w niego wodę gumową rurką. Robili to tak długo, aż jego brzuch stawał się boleśnie wzdęty. Wtedy zaczynali delikwenta kopać. Gdy dalej nie chciał gadać, wówczas wpompowywano mu wodę do nosa. Jeśli dalej się opierał, wsypywali mu tam jeszcze soli.

- Ej, zsikał się. Już wodę wypuszcza, żeby miejsce robić - zarechotał Fichte.

- Na razie gadamy, Polaczku. Wyluzuj się trochę. - Hagender sięgnął po papierośnicę. - Poczęstujesz się?

Artur pokręcił głową.

- Nie palę.

- Masz rację, zaszkodziłbyś sobie. To dar od naszych radzieckich przyjaciół. NKWD sobie robi takie żarciki z więźniów. - Pstryknął kciukiem i wieczko odskoczyło, pokazując najeżony ostrzami mechanizm. - Pyk i zatrzaskuje ci się na palcach. Do kości.

Artur nieco się uspokoił. Ręce i tak miał związane, nie mógł sięgnąć po papierosa. Próbują go tylko zastraszyć. Jeszcze nic mu nie chcą zrobić. Gdyby chcieli, ocuciliby go jak poprzednio, gdy puściły mu zwieracze i zemdlał.

- Ech, bracia wschodni. Pięciocentymetrowe igły wbijają w czaszkę. Tak, żeby dotarły do mózgu. A potem pytają badanego, co o tym myśli. Podobno doszli do ciekawych wniosków. Odpowiedzi na te same pytania zmieniają się w zależności od liczby igieł. My tutaj dużo się nauczyliśmy z przeszłości. Ale stosujemy metody naukowe. Nie zadajemy bólu dla samego bólu. Obecny tutaj Herr Mengele - lekarz skłonił niedbale głowę - otworzył niejedną czaszkę i doszedł do jeszcze ciekawszych wniosków.

- Rzeczywiście, mózg ludzki pobudzany igłą daje odpowiedzi coraz bardziej dementywne, proporcjonalnie do liczby wkłuć. Przy dziesięciu wbitych igłach zaczyna się bełkot - odezwał się z arystokratycznym akcentem lekarz. Miał przyjemny, mocny głos i gdyby nie okoliczności spotkania, Artur mógłby przysiąc, że na pewno polubiłby tego człowieka.

Jednak patrząc w oczy Mengele, tak przerażająco puste, Sosnowski zrozumiał, że ci tutaj bawią się okrucieństwem i że nie ma żadnej szansy. Nie wierzył już, że go oszczędzą. Ostatnim razem oprawcy pozwolili mu stracić przytomność, bo chcieli widocznie, by ta zabawa trwała jak najdłużej.

Czas równie skutecznie łamie ludzi jak ból, przypomniał sobie mijany podczas przejścia korytarzem wykład i wykres.

- Oczywiście - ciągnął lekarz - zależy to od grubości igieł, głębokości wkłucia i odporności osobniczej. Ale, co ciekawe, wkłuwanie jednej igły bardzo płytko, ale za to podłączonej do prądu, budzi niekiedy ciekawe doznania u naszych pacjentów. Czują zapach, smak, przed oczami przesuwają im się wspomnienia tak odległe, że wydawały się całkowicie zapomniane, a jednocześnie tak żywe, jakby pochodziły z wczoraj.

- Przyznamy ci się do czegoś. Marzymy z Herr Mengele, że uda nam się znaleźć idealną metodę przesłuchań. Doktorze?

- Chciałbym znaleźć partie mózgu odpowiedzialne za przechowywanie interesujących nas informacji - podjął wyjaśnienia Herr Mengele. - Potrzebny byłby tutaj jakiś rodzaj wyszukiwarki albo sondy, urządzenie przypinane do neuronów. Następnie wklepujemy na dołączonej klawiaturze interesujące nas słowo i *Heil Hitler!* - interesująca nas część mózgu zaznacza się na ekranie na czerwono. Paraliżujemy wbitymi igłami ośrodek wolicjonalny, pobudzamy prądem ten spuchnięty obszar i równocześnie ośrodek zawiadujący funkcją mowy, żeby jeszcze klient nam wszystko gładko opowiedział. *Gott mit uns!*

- Ech, marzenia, drogi doktorze. Jest pan dla nas bezcenny. Dba pan, by żaden podopieczny się nie wykrwawił i nie odszedł przedwcześnie. Pacjenci mają tutaj najlepszą opiekę, w polskich szpitalach chorzy umierają szybciej, proszę mi wierzyć. Doktor jest fachowcem najwyższej klasy. - Hagender życzliwie spojrzał na lekarza. - Myślę, że rok, dwa i dostanie pan własną placówkę naukowo-badawczą na terenach należących do nowej Wielkiej Rzeszy. Wspaniałe ludzkie laboratorium.

- Dziękuję, Herr Obersturmbannführer. Martwi mnie jednak, czy otrzymam całkowitą swobodę naukową. Niepokoją mnie głosy, że dla potrzeb wielkiej armii powinienem w przyszłości zajmować się chorobami zakaźnymi.

- Zapewne pogodzi pan swoje pasje z obowiązkami wobec Führera i Rzeszy. Mijają lata i zmieniają się cele. Do przeszłości odchodzą piękne chwile, gdy musieliśmy wszystko wiedzieć o podległych nam ludziach. Nadchodzi czas wojny i próby, *Ragnarök.* Priorytety mogą się zmienić, a znalezienie skutecznego lekarstwa na zarazę, która osłabia naszych niezwyciężonych żołnierzy na froncie, to godny cel naukowych poszukiwań.

- Przywrócenie wzroku kalekim weteranom jest mniej istotne? - Mengele energicznie wskazał na szafę pod ścianą. Artur odwrócił głowę. Na półce stał pokaźny słój z mętną ciemnozieloną substancją. Pływały w nim dziesiątki gałek ocznych, niektóre przykryte powiekami, inne wlokące za sobą nitki naczyń krwionośnych niby czerwone przewody.

- To piękny cel, drogi przyjacielu, ale przyznasz, że przeszczepy się nie przyjmują.

- Wszystko jest kwestią czasu. - Mengele z pewnością siebie wydął wargi.

- I użyteczności dla Führera! A teraz Führer potrzebuje szczepionek i lekarstw na tyfus.

- Okaleczeni mogliby wracać na front z przeszczepionymi kończynami i znowu przyjmować kule za Tysiącletnią Rzeszę.

- Za ile lat będzie gotowa ta pańska metoda?

- Pięć do siedmiu? Może osiem.

Artur był pewien, że ci dwaj często celowo urządzali sobie takie pogaduszki przy więźniach. Skazany łowił

zdania, starając się wychwycić każde słowo, które świadczyłoby, że za chwilę się nim zainteresują i zaczną swoje chore zabawy. Tymczasem Hagender perorował:

- Nie skończy pan przed dekadą, obaj o tym wiemy. Uda się, dobrze wiemy, że wszystko jest kwestią czasu i środków, a tych nie pożałujemy. Ale najpierw musi pan rozwiązać dla Rzeszy problem chorób zakaźnych. Widzisz, Josef - pierwszy raz Obersturmbannführer zwrócił się do doktora Mengele po imieniu, wyraźnie łagodząc ton - nam się wydaje, że Francja jest brudna, a Francuzki się nie podmywają. Ale wierz mi, że to nic przy smrodzie, jaki panuje na Wschodzie. Nasz wielki Führer obiecał nam tam przestrzeń życiową. Każdy Niemiec otrzyma wspaniały pałac otoczony hektarami najlepszej ziemi, na której będą pracować zawszeni podludzie. Na Ukrainie i Rosji panują tyfus i dyzenteria, z głębokiej Azji przychodzą dżuma i cholera. Ale tyfus jest najgorszy. Musimy mieć leki i szczepionki. Inaczej nasze dzieci będą umierać i rasa wyginie.

- Nie dostrzegałem dotąd tego problemu. Oczywiście, badając tyfus, przysłużę się sprawie naszej rasy. Führer jest wielki!

- No to teraz zajmijmy się naszym kolegą. Znudził się tym naszym gadaniem i chyba zmarzł, bo dygocze.

Fichte zaczął mocować na poręczy fotela masywne imadło. Tuż koło chudych palców więźnia.

- Nie dygocz, Polaczek. Nic się nie bój, na sali jest lekarz - powiedział, dokręcając śrubę.

- Tylu podopiecznych nam poginęło, bo po utracie przytomności układaliśmy ich jak popadło i dochodziło do zachłyśnięcia wymiocinami, po prostu cholera człowieka bierze - wtrącił Hagender. - Wiesz, jak delikatne są pęcherzyki płucne? A jakie syfy nieraz człowiek bierze do gęby, szkoda gadać. My, Niemcy, jesteśmy narodem

wegetarian, ale narody Wschodu jedzą jak świnie. A teraz wyobraź sobie rzygi w drzewie oskrzelowym. Fuj! I co jeszcze masz w żołądku? Kwasik. A jaki kwasik? Solny. A jak taki kwasik spłynie na pęcherzyki płucne, które są, jako się rzekło, delikatne, to spienią się i popękają jak bańki mydlane. Pfuuut! I co zaliczyliśmy? Zgonek.

- A wystarczy układać na boku - mruknął Mengele.

- Skończone. - Fichte dokręcił jeszcze raz śrubę i odsapnął z zadowoleniem.

- No to teraz do roboty. - Hagender zatarł dłonie. - Nie chcesz z nami rozmawiać? Stawiałeś warunki Wielkiej Rzeszy Niemieckiej? To my ci pokażemy, kto tu stawia warunki. Widziałeś kiedyś, co się dzieje z deszczułką w imadle? Fichte, wsadźcie mu tam paluch. Bardzo dobrze. Otóż z kością dzieje się coś bardzo podobnego. Zaczyna się rozszczepiać, a ostre drzazgi kaleczą mięśnie i naczynia krwionośne. Krew wpływa między kości, tworząc barwną miazgę. Dokręcajcie, Fichte!

- Nie! Breeenner! - zaczął krzyczeć jak opętany Artur. - Uderzajcie przez przełęcz Brenner! Breeeenneeer!

- I bardzo dobrze - uśmiechnął się Obersturmbannführer, dając znak pomagierowi, by przestał. - Zaczynasz gadać po ludzku. Teraz ja nadam pilną depeszę do sztabu, a jak wrócę, to sobie jeszcze pogawędzimy.

Wymaszerował napięty jak struna. Gdy zamknęły się za nim drzwi, dotąd milczący Weiner drgnął na krześle, jakby bił się z myślami, czy także wstać, czy pozostać na miejscu. Wreszcie ruszył w kierunku drzwi. Zanim wyszedł, odwrócił się raz jeszcze i powiedział do Fichtego:

- Rozepnijcie go i dajcie mu wody. Przecieżstąd nieucieknie.A zemdleć może. Idę nadać depeszę. Nie dotykajcie go, póki nie wrócę.

Trzasnęły drzwi, a Artur zastanawiał się, dlaczego dwóch oficerów SS poszło nadać dwie depesze.

*

Wspomnienia zalały Artura taką czernią, jak czarna była opaska, którą przesłaniano mu oczy podczas transportu do podziemnego kompleksu pod Berlinem. Wykuta wraz z tysiącami korytarzy w skale monumentalna budowla była największym tego typu przedsięwzięciem na świecie. Kiedy zdjęto opaskę, Sosnowski ujrzał dziesiątki pięter przesuwających się za okratowaną, wolno jadącą windą. Na każdym dostrzegał ludzi w białych kitlach, brunatne mundury z czerwoną przepaską na ramieniu, szare kombinezony techników, których oczy osłaniały gogle z wielkim szkłem powiększającym, umocowanym w odległości dwudziestu centymetrów od twarzy na zginającym się metalowym łączniku. Wreszcie górników ze świdrami i kilofami, wciąż powiększających to podziemne miasto. Wydrążony w twardej wulkanicznej skale kompleks obronny Japończyków na Iwo Jimie jeszcze wtedy nie istniał, a przecież byłby jedynie małą osadą w porównaniu z Unterirdische Festung.

Wreszcie winda stanęła. Artura poprowadzono do niewielkiej sali przesłuchań i posadzono na drewnianym stołku. Siedzący przy biurku oficer miał dystynkcje Sturmbannführera. Artur odniósł wrażenie, że gdy wchodził, srebrny pierścień z trupią czaszką błysnął upiornie na dłoni mężczyzny. Zaraz potem mocne światło reflektora oślepiło więźnia i nie widział już nic, tylko blask.

- Nazywam się Sturmbannführer Gerhard Weiner. Pan zatem szpieguje dla Brytyjczyków. Z jaką misją pana wysłano? Kto jest pańskim przełożonym?

- Nie jestem szpiegiem. Powiedziałem tak tym durniom, którzy mnie zatrzymali, by uniknąć szpitala. W prawdę by nie uwierzyli.

- Jaka zatem jest prawda?

Artur zawahał się. Wiele zależało od tego, jakim człowiekiem był ten, który go przesłuchiwał. Oficer, to już dobrze, znaczy, że posiadał pewną dozę wyobraźni i inteligencji. Czy to jednak wystarczy, by objąć rozumem zdarzenia, których nie pojmował nawet sam Artur, mimo że przecież widział rzeczy, o których ludziom tutaj się jeszcze nie śniło?

Tak czy inaczej, nie miał wyboru.

- Prawda jest taka, że przybywam z przyszłości.

- Tak? - Weiner zdziwił się uprzejmie. - Z którego roku?

Artur zawahał się. Co szkodziło powiedzieć prawdę? Ale z niewiadomego dla siebie powodu skłamał.

- Z 1960.

- Tak? - Mimo że nic nie widział, więzień był pewien, że rozmówca uśmiecha się uprzejmie. - A jak to się stało, że znalazł się pan w naszych pięknych czasach?

- Sam nie wiem. Szedłem sobie nad Wisłą u stóp Wawelu i nic więcej nie pamiętam. Potem już brnąłem w majaku przez miasto. Ja naprawdę niewiele pamiętam.

- Jakże wygodnie... - mruknął Weiner. - Zapewne sprowadzono pana tu w jakiejś misji. Może... uratowania świata? - podsunął.

- Nie wiem. - Artur wzruszył bezradnie ramionami. Oczy zaczęły go boleć od tego jaskrawego światła. - Nie wiem, czy znalazłem się tu po coś. Nie chciałem tego. Szczerze mówiąc, wolałbym teraz być w domu.

- Każdy by wolał. Dobra, Sosnowski, mam co do pana jasność. Scharführer Fichte - zwrócił się do wyprężonego jak struna olbrzyma przy drzwiach - przyprowadziliście mi wariata. Cholernie sprytnego, z fenomenalną zdolnością konfabulacji, ale jednak wariata. Zabierzcie go do najbliższego szpitala. Nie tutaj jego miejsce. I zgaście ten

cholerny reflektor. Człowieka straszycie. Nie widzicie, że wojna zabrała mu rozum, a teraz i bez was jest przerażony?

Bijące po źrenicach białe światło posłusznie przygasło. Artur poczuł na ramionach mocarną rękę.

- Nie! - krzyknął. - Dajcie mi szansę to udowodnić.

Oficer miał zmęczone oczy, w których jednak prócz znużenia można było dostrzec mądrość.

- Jak niby możecie to udowodnić? Opowiecie mi o cudownym świecie przyszłości, gdzie nie ma wojen, cierpienia i bólu? Słyszałem już takie historie.

- Z ust szaleńców?

Wargi Weinera wykrzywiły się w nieokreślonym grymasie.

- Polityków.

Fichte odchrząknął.

- Zabrać go, Herr Sturmbannführer?

- Zaczekaj. Niech mówi.

- Którego dzisiaj mamy?

- Z akt wynika, że ciągle o to pyta. Pewnie taka jego szajba. Powinniśmy, *Scheiße,* coś już podejrzewać, kiedy dostaliśmy papiery. Przydział z Kobierzyna - odezwał się siedzący obok Weinera niższy oficer. Jednak Sturmbannführer odpowiedział spokojnie:

- Czwartek, 18 kwietnia 1940 roku. Zesłano pana w paskudne czasy, Herr Sosnowski.

- Operacja Weserübung, zdobycie Norwegii. Do powstrzymania Home Fleet użyta została niemal cała Kriegsmarine, co prawda mniej liczna, ale osłaniana przez wilcze stada U-bootów. Wzmocnienie Kriegsmarine torpedowym ogniem powinno wyrównać szanse i znacznie przetrzebić szeregi Royal Navy. Tyle tylko, że okręty Kriegsmarine idą na dno jak kamienie, a okręty aliantów wydają się niezatapialne. Mimo zaskoczenia. Mimo

precyzyjnych uderzeń podwodnej floty. Mimo licznych dogodnych okazji do oddania strzału. Chce pan wiedzieć, dlaczego, Herr Sturmbannführer?

W miarę jak Artur mówił, twarz oficera się zmieniała.

- Jest pan rzeczywiście brytyjskim agentem. Żaden Polak nie wiedziałby, jak wygląda sytuacja na morskim froncie wokół Norwegii.

- To prawda. Ale dzisiaj nawet Brytyjczycy nie wiedzą, dlaczego los oszczędza ich statki. Tylko ja wiem. Podzielę się tą wiedzą, Herr Sturmbannführer, a pan ją sprawdzi i mi uwierzy. Do tego czasu nie odda mnie pan niemieckim lekarzom. Umowa?

- Niech będzie. - Weiner wolno pokiwał głową. - A teraz niech pan mówi wszystko, co wie. Dlaczego nie toną te piekielne statki? Jakieś nowe, tajne pole ochronne Anglików? Alianckie Wunderwaffe?

*

Chluśnięcie lodowatej wody przywróciło Sosnowskiego do rzeczywistości. Przed nim stał mężczyzna z pustym wiadrem, ubrany w szary kombinezon. Artur poczuł, że może poruszać rękoma, a szczęki stalowych imadeł są rozwarte.

- Trzeba cię umyć. Śmierdzisz, jak tylko Polacy potrafią - rzekł Scharführer Fichte. - Daj mu nowe rzeczy.

Nieznajomy, do którego skierowany był ostatni rozkaz, pomógł Arturowi wstać i ostrożnie podprowadził go pod ścianę. Tam Sosnowski zdjął przesiąknięte moczem spodnie i spoconą górę. Jego towarzysz podniósł gumowy wąż i podszedł do rury, gdzie zaczął odkręcać pokrętło szlaucha. Artur dostrzegł przy murze ocembrowane wyżłobienie

odprowadzające wodę z pomieszczenia. Drugie znajdowało się chyba ze dwa metry od ściany.

- Uwaga, zimna - powiedział po polsku mężczyzna, unosząc wąż. - Stań pod ścianą, najlepiej odwróć się plecami na początek. Strumień jest dość mocny.

Zimny bicz uderzył między łopatki. Artur zacisnął zęby. Na początku miał wrażenie, że w ciało wbijają mu się kilogramy pokruszonego lodu, wkrótce jednak skóra paliła, jakby podpiekana na żywym ogniu.

Strumień nieco osłabł, widać Polak litościwie dostosował ciśnienie.

- Ruszaj się, będzie łatwiej - dodał cicho.

Artur zaczął dreptać w miejscu, przesuwać dłońmi po ramionach. Przy ścianie na łańcuszkach o drobnych ogniwach wisiała półka, a na niej zgrabny stosik kostek szarego mydła. Artur sięgnął po nie.

- Nie używałbym go na twoim miejscu. - Polskie słowa zdawały się zimniejsze od wody.

- Nie wolno? Sądziłem, że mam się umyć?

- Wolno. Ta gruba świnia, Hagender, nawet by cię zachęcał. Spokojnie. - Na nerwowe spojrzenie Artura Polak dodał: - Cerber nie zna polskiego. Za tępy na naukę jakiegokolwiek języka, a poza tym my jesteśmy dla niego rasą niewolników.

Ręka Artura zawisła znów w powietrzu nad półką. Popatrzył pytająco.

- Odradzam korzystania z t e g o mydła. Unterirdische Festung został zaprojektowany tak, aby był w pełni samowystarczalny.

- Nie rozumiem.

Strumień zgasł, Artur złapał w locie rzuconą szmatę.

- Wytrzyj się. Lepiej pewnych rzeczy nie wiedzieć.

- Jak tu trafiłeś? - Artur powoli zakładał kombinezon, identyczny jak ten, który nosił jego towarzysz. Stali teraz bardzo blisko siebie.

- Paweł Konnicki jestem, Wojsko Polskie. Po bitwie nad Bzurą i krótkim czasie partyzantki nasz oddział poddał się Niemcom. Przewieziono mnie tutaj. Po kapitulacji Warszawy Niemcy zakończyli przesłuchania, nie było już potrzeby prowadzić ich dalej. Mam dość silny organizm, mimo inwencji śledczych trzymałem się całkiem dobrze. Więc przydzielili mnie do czarnej roboty.

- Takiej jak ta? - Artur wskazał na jego poprzednie ciuchy, zbierane przez Pawła z podłogi.

- Gorszej, człowieku. Teraz posłuchaj. - Konnicki zerknął szybko na strażnika, jednak ten nie zwracał na nich uwagi. A Mengele oglądał coś pod mikroskopem. Konnicki zaczął mówić szybko, wystrzeliwując słowa jak karabin maszynowy: - Ty jesteś dopiero na początku przesłuchań. W bunkrze obowiązuje jedna zasada. Więźniowie stąd nie wychodzą. Gdybym to wiedział wcześniej, rozgryzłbym koronę trzonowego zęba, gdy mnie torturowali. Zanim powiedziałem im pewne rzeczy. Nie patrz tak na mnie. Każdy mówi. Jeden mniej, inny więcej, wcześniej czy później. Ja miałem szczęście, nie wiedziałem wiele. Wojna w Polsce dobiegała końca. Ale ty... Dwóch wysokich oficerów, w tym sam szef tego bajzlu, Hagender, przesłuchuje cię osobiście. Ty musisz wiedzieć coś, co ich interesuje. Nie wyjdziesz stąd żywy. Jak przetrwasz tortury, to masz średnio pół roku, a potem wymienią cię na nowego. Nie chcą, by ktoś wiedział za dużo o tych tunelach, by się przyzwyczaił. Skoro sobie nie pomożesz, możesz pomóc innym. Tym, którym zaszkodzi twoje gadanie i wiedza, którą masz w głowie. Dam ci kapsułkę z cyjankiem. To bezbolesne.

– *Jetzt Schluß damit!* - warknął oficer. - Daj go na krzesło. Wszystko musi być w najlepszym porządku, jak przyjdzie

Hagender.

Artur posłusznie ruszył we wskazanym przez Konnickiego kierunku.

- Pamiętaj, słowa zabijają - usłyszał jeszcze szept. - Ale to, co masz w lewej kieszeni koszuli, także.

*

Posadzono go z powrotem na krześle, zapięto metalowe szczęki na kostkach i nadgarstkach. Minuty się dłużyły, żaden z oficerów SS nie wracał. By zapomnieć o strachu, Artur wysilał umysł, starając się uporządkować wspomnienia.

Ledwie tydzień po pamiętnej rozmowie z Weinerem zgrzytnął zamek i pojawiła się barczysta sylwetka Fichtego. Scharführer kazał Arturowi wyjść z celi. Na pytania, gdzie go zabiera, strażnik zaklął paskudnie i zaczął popychać więźnia, by szybciej szedł korytarzem.

Wreszcie zatrzymali się przed białymi drzwiami. Wisiał na nich plakat przedstawiający otwartą bramę z germańskim orłem, trzymającym w szponach obwiedzioną dębowym wieńcem swastykę. Przez szczelinę w przejściu widoczna była obuta stopa wykopująca kopcące cygara i papierosy. Na to wszystko nakładał się dziwny znak, wyglądający jak litera Y z trzema ramionami.

Fichte dostrzegł jego spojrzenie.

- Plakat kampanii antynikotynowej. Rozwieszone zostaną w całych podziemiach. Tu, w Unterirdische Festung, wszystko musi być zgodnie z tym, co kiedyś będzie obowiązywało na obszarze całych Niemiec. Wielka Rzesza Niemiecka dba o swój naród. Nasi naukowcy odkryli, że palenie tytoniu wywołuje raka. Zresztą, folgowanie takim prostackim przyjemnościom nie przystoi Herrenvolk.

Zabraniamy palenia w miejscach publicznych, bo lekarze twierdzą, że wdychając dym, również można zachorować. Brytyjczycy i Amerykanie nie dowierzają tym badaniom. Twierdzą, że wtrącamy się w życie prywatne, podpierając się pseudonaukowymi teoriami. Nie rozumieją, co to znaczy państwo troszczące się o obywateli. Uważają, że każdy jest odpowiedzialny za swoje życie, bo nigdy nie zaznali opieki.

Artur popatrzył uważnie na strażnika. Zwykle sprawiający wrażenie tępego, błysnął tym razem wiedzą. Albo informacjami z partyjnych ulotek, pomyślał zaraz Sosnowski. Tak czy inaczej, należało wykorzystać dobry moment na rozmowę.

- Co to za znak górujący nad obrazkiem, ten przypominający rozgałęziające się drzewo?

- To runa madr, znak życia. Przypomina, że ci, którzy są pod jej wpływem i odrzucają nałóg, wybierają zdrowie i długowieczność. Bierzmy przykład z Führera. On sam jest zagorzałym wrogiem tytoniu, uważa go za najgorszą z trucizn i nikt w jego najbliższym otoczeniu nie pali.

- Gdzie mnie pan prowadzi, Herr Scharführer?

- Przejdziesz badania lekarskie.

- Jak to? - Artura dostał gęsiej skórki, a strach ścisnął mu gardło. - Przecież sam Sturmbannführer Weiner mi obiecał, że nie zostanę wydany medykom. Nie jestem wariatem. Sprawdziliście informacje, które wam przekazałem?

- Ja tam nie wiem. Tylko wykonuję rozkazy.

Drzwi wreszcie się otworzyły. Artur zobaczył mężczyznę w zielonym fartuchu i ochronnych goglach. Gestem nakazał, by wchodzić. Artura poczuł charakterystyczny zapach środków dezynfekcyjnych.

A jeżeli wiadomości, które im podałem, były nieprawdziwe?, pomyślał. Jeżeli poplątałem daty? Albo źle coś zapamiętałem? Tak łatwo się pomylić. Tyle dni

szukałem jakiegoś wydarzenia, które uwiarygodniłoby moją opowieść i uratowało mi życie. Czegoś, co Niemcy mogliby łatwo sprawdzić. Może źle wybrałem?

- Dajcie mi drugą szansę... tym razem na pewno będę miał rację - zwrócił się do lekarza. Zaskakujące, jak słabo zabrzmiał jego głos.

- My wykonujemy swoją robotę. Proszę usiąść i odsłonić przedramię. - Lekarz wskazał krzesło.

Dostanę zastrzyk śmierci, pomyślał Artur. Szybko działająca trucizna krążąca w żyłach, aż dotrze do mózgu i serca. Tak kończą psychicznie chorzy.

- Nie! - Szarpnął się.

Lekarz popatrzył na strażnika.

- Siadaj! - krzyknął Fichte. Uniesiona pięść była wielka jak cegła.

Artur posłusznie usiadł. Nagle poczuł, jakby opuściły go wszelkie emocje, jakby wyciszył się wewnętrznie, co czyni często człowiek w obliczu nieuchronnego. Może to i lepiej, odejdzie szybko, opuści ten świat rodem z koszmaru.

Gruba pielęgniarka o ordynarnie pospolitej twarzy przewiązała obnażone ramię gumowym paskiem. Żyły uwypukliły się brzydko, tworząc fioletową siatkę na bladej skórze.

Lepszy zastrzyk niż gaz, myślał Artur. Nie będę się dusił, kaszlał, charczał, po prostu usnę.

Kobieta wyjęła skądś paskudną strzykawkę i dokręcała do niej igłę.

- Niech się pan teraz nie rusza. Zaboli! - ostrzegła. Odnalazła żyłę w zagłębieniu pod łokciem, gdzie skóra jest najcieńszą, i wbiła igłę. Artur chłodno skonstatował, że strzykawka jest pusta.

Wstrzyknie mi powietrze, pomyślał. A bąble wędrując wraz z krwiobiegiem, dotrą do mięśnia sercowego, który

nie wytrzyma przerwy w pracy i przestanie bić.

Na takiego jak ja szkoda trucizny. Ot, niemiecka praktyczność i oszczędność.

Tłok strzykawki ruszył, odciągając krew. Wkrótce cała wypełniła się rubinowym płynem.

- Proszę otworzyć usta. - Przed Arturem stanął lekarz. Do czoła miał przymocowaną lampę.

Artur chciał spełnić polecenie, ale nie mógł. Po prostu szczęki mu się zacisnęły. Mięśnie twarzy były napięte jak postronki. Przykurcz nie chciał ustąpić. Sosnowski kręcił głową, wskazując wolną ręką usta, dawał na migi do zrozumienia, że jest to niemożliwe.

– *Mein Gott* - westchnął lekarz. - Skoro z nim teraz są takie problemy, co dopiero będzie przy badaniu prostaty.

*

Ledwie lekarze z nim skończyli, Fichte odprowadził go do celi i podał więzienny obiad. Wygłodniały Artur rzucił się na talerz rozwodnionej zupy o lekko warzywnym posmaku. Mięśnie twarzy bolały przy każdym łyku, to po tym, jak siłą rozwierano mu szczękę.

Rzadki płyn oddalał na kilka godzin dokuczliwe ssanie w żołądku. Emocje związane z opuszczeniem celi powoli ustępowały i wraz z tym powróciło poczucie zimna.

Na szczęście Unterirdische Festung miał dziesiątki kondygnacji, a to znaczyło, że więzienie znajdowało się głęboko pod ziemią. Nie docierał tutaj wiatr i było znacznie cieplej niż w jakiejś piwnicy pod siedzibą komisariatu gestapo, zamienionej na areszt.

Więzień wyłożył się na pryczy i tak zabijał czas rozmyślaniem o rzeczach błahych, aż znowu zazgrzytał klucz i Fichte ryknął:

- Wstawać!

Artura przyprowadzono do tego samego pokoju przesłuchań, co poprzednio. Tym razem Weiner siedział przy biurku sam i nieco nerwowo obracał w palcach ołówek.

- Przekazałem pańskie informacje do sztabu Rzeszy. Sam nie jestem pewien dlaczego. Zapewne dlatego, że uczono nas, Niemców, by nie lekceważyć żadnej możliwości. Może dlatego, że jako potomkowie Atlantów, których duch dowolnie kształtował materię, jesteśmy bardziej otwarci na niezwykłe i pozornie niewytłumaczalne zjawiska tego wszechświata. Tak czy inaczej, zdecydowałem się i wysłałem. - Ołówek w dłoni Niemca złamał się z trzaskiem. Wyraźnie zdziwiony popatrzył na postrzępione krańce. - Wnioski specjalnej komisji pokrywają się z pańskimi sugestiami. Rzeczywiście, nasze torpedy są wadliwe. Nie wybuchają po trafieniu w cel.

- Teraz mi pan wierzy, Herr Sturmbannführer?

- Teraz już nie wiem, w co mam wierzyć, Herr Sosnowski, a to spora różnica. Lecz w pańskiej sprawie to duży postęp.

- Jak duży?

- Może taki, jak między życiem a śmiercią.

- Po której jestem stronie?

- Nie sądzę, aby pan był wariatem, przynajmniej nie zwykłym. A jako taki, jest pan „godny życia”. Oczywiście nadal pan może być brytyjskim agentem.

- Albo mogę mówić prawdę. Ale czy potomek Atlantów ją przyjmie?

- Gdyby pan trafił do wielbiących rozum Brytyjczyków i Amerykanów, wyśmialiby pana. My, Niemcy, posiadamy żywego ducha romantyzmu. Nasza nauka jest wielka. Ale potrafimy przyjąć perspektywę, której nauka nie ogarnia. Ustalmy coś. Pańska wiedza na temat torped na pewno nie

wynikła ze ślepego trafu. To nie przypadek. Jednak chciałbym poddać pana kolejnemu testowi. Jeżeli przejdzie go pan pozytywnie, uznam, że posiada pan informacje niezbędne dla Rzeszy. Wówczas przyjmę perspektywę pragmatyczną - nie będzie istotne źródło pańskich informacji, ważne, że okażą się dla nas przydatne.

- Innymi słowy, nie rozstrzyga pan, czy jestem przybyszem z przyszłości, czy brytyjskim agentem.

- Na razie na to zbyt wcześnie. Faktem jednak jest - Weiner zrobił pauzę i przekartkował leżące na biurku papiery - że nic nam nie wiadomo o nieprawdopodobnym skoku w brytyjskiej stomatologii.

- Słucham?

- Myśli pan, że był na badaniach lekarskich z dobrego serca SS? Nasi dentyści znaleźli u pana takie plomby, że koncern Bayer błagał mnie, by pana dostać na wyłączność.

*

- Teraz, gdy ustaliliśmy, że jest pan przydatny... Czego pan chce za współpracę?

- Wolności.

- To bardzo wysoka cena. Dla nazizmu niemożliwa do zapłaty.

- Rozumiem. Ujmę rzecz inaczej. Nie chcę spędzić reszty życia w bunkrze, choćby nawet wielkości miasta. Dajcie mi swobodę poruszania się. Niech będę pod strażą, jednak pozwólcie mi chodzić, gdzie chcę. Oczywiście, w granicach rozsądku.

- I Niemiec - dodał Weiner.

- Wielkiej Rzeszy Niemieckiej - zaproponował Artur.

- Sprytnie - uśmiechnął się Sturmbannführer, choć uśmiech ten nie sięgnął oczu. - Dziesięć lat i możecie wędrować po całym świecie.

Artur zignorował tę uwagę.

- Kiedy przestanę być wam potrzebny, zwrócicie mi względną wolność. Do tego czasu przekażę wam cała wiedzę i stanę się bezwartościowy. Zaoszczędzicie na wartownikach.

- Zgoda. To wszystko?

- Nie, nie wszystko. Zmieniliście świat w piekło. Ja pragnę dla siebie małego fragmentu tego świata i dość środków, by zamienić go we własny raj. Chcę za to luksusu, zbytku, kobiet...

- Da się zrobić. - Oczy Niemca przybrały nieodgadniony wyraz. - Dlaczego pan to robi, Herr Sosnowski? Przecież pan nas nie lubi?

- Jest taka zagadka. Do tonącej łodzi wlewa się woda. Ma pan dwóch pasażerów. Hitler jest zły. Churchill dobry. Ale którego pan by wyrzucił?

Oficer SS pokiwał głową.

- Trzeba żyć. Jest pan bardzo mądrym człowiekiem, Herr Sosnowski.

Drzwi otwarły się z hukiem. Wpadł krótko ostrzyżony, postawny mężczyzna w asyście dwójki uzbrojonych strażników.

- Jestem Obersturmbannführer Hagender, z woli Führera i Rzeszy dowódca Unterirdische Festung. Przejmuję więźnia.

- Protestuję. To moja sprawa...

- Negocjuje pan z podludźmi, Herr Sturmbannführer. Herrenvolk nie rozmawia, nie prosi, Herrenvolk wydaje rozkazy i żąda. Nie chodzi pan chyba na szkolenia NSDAP.

Jest pan znakomitym fachowcem, ale tu trzeba instynktu politycznego. Od teraz to mój więzień.

- Przyjmuję napomnienie. Proszę o pozwolenie udziału w śledztwie, bym mógł uczyć się od pana, Herr Obersturmbannführer, poprawności politycznej.

Hagender chwilę się zastanawiał.

- Zgadzam się. - Następnie zwrócił się do towarzyszących mu żołnierzy: - Zabrać więźnia.

Esesmani podnieśli Artura i mocno przytrzymali za ramiona.

- Masz dla nas jakąś propozycję, tak słyszałem. - Hagender podszedł bliżej. Artura owionął nieświeży oddech. - A oto nasza odpowiedź!

Uderzenie pięścią w brzuch było tak silne, że Arturowi pociemniało w oczach. Jeszcze po dziesięciu sekundach czuł, jak ze splotu słonecznego promieniują czarne błyskawice bólu. Strażnicy wyprostowali go siłą, potęgując cierpienie. Marzył tylko o tym, by mógł ułożyć się skulony na podłodze i powstrzymać fale mdłości.

- Nie pytam cię, czy zrozumiałeś, bo jestem tego pewien. Nie pytam, czy będziesz gadał, bo wiem, że tak będzie. Prędzej czy później. Dlatego nawet nie pytam, czy się zgadzasz na moją propozycję. Tu nie ma negocjacji.

Kolejne uderzenie omal nie zgruchotało mu szczęki. W ustach poczuł słony smak krwi i stracił przytomność.

*

Drzwi otworzyły się z hukiem, a do pomieszczenia wtargnął Hagender. Twarz miał poczerwieniałą, zwykle opanowany, teraz z trudem powstrzymywał furię. Niebieskie oczy rzucały lodowe gromy.

- Brennen?! - ryknął, wywijając pięściami i zbliżając do Artura.

- Przełęcz Brennen? Masz mnie za kompletnego głupca?

- Tylko za takiego, który nie zna geografii.

- Żartujesz sobie, Sosnowski? Wysłałem depeszę do sztabu. Nie chciałbyś przeczytać odpowiedzi, jaką otrzymałem. - Chwycił przedmiot, podobny do dłuta, ale o niełądnie zakrzywionym ostrzu. - Może teraz ja będę żartował? I ja się będę śmiał?

Artur dostrzegł, jak do pomieszczenia wchodzi Weiner. Obersturmbannführer również musiał go dostrzec kątem oka, bo rozpędzone pięści młóciły tylko powietrze nad głową Polaka.

- Włosi to nasi jedyni sojusznicy - mówił. - Pieprzonym żółtkom nie można ufać ani trochę. Oczywiście, z całym szacunkiem do wielkiego narodu japońskiego i ustroju cesarza Hirohito. Łypnął niepewnie okiem w kierunku Weinera. - A Franco jeszcze nie odbudował kraju po ostatniej wojnie. A pan proponuje, by nasza następna ofensywa poszła po granicy austriacko-włoskiej. Proponuje nam niedorzeczność i absurd. Jak można być tak głupim? Zmiażdżyć mu palce u rąk, to powie nam wszystko, co wie.

- A skąd pan będzie wiedział, że to prawda, Herr Obersturmbannführer? - zapytał nagle stalowym tonem Artur. Siła w jego głosie powstrzymała Fichtego, popatrzył wyczekująco na przełożonego. - Następnym razem nie podam panu informacji, która będzie niedorzeczna. Następnym razem podam taką, która będzie bardzo prawdopodobna. Wyślecie armię i cały wielki naród niemiecki pójdzie do piachu.

- Założymy się, ile palców stracisz, zanim zaczniesz gadać prawdę?

- Ile dywizji stracicie, zanim mnie złamiecie? Kto się założy? Artur rozejrzał się po sali.

- Zakończmy to, Herr Obersturmbannführer - powiedział cicho Weiner. - On ma rację. Lepiej mieć tego Polaka po swojej stronie. Tortury wyniszczą jego organizm, a jeżeli rzeczywiście posiada jakieś informacje, które nam przekaże, może być przydatny Rzeszy przez długie lata.

- Nie pan prowadzi tę sprawę, Herr Sturmbannführer. Niech pan milczy i się uczy. Herrenvolk nigdy się nie cofa przed podludźmi. Nigdy nie negocjuje. To poniżej godności naszej rasy!

- Myli się pan. Od teraz ja prowadzę tę sprawę. Więzień jest mój. - Weiner wyciągnął z kieszeni munduru papier.

- Co mi pan tu pokazuje? Zwykła depesza. Sztab Rzeszy mianował mnie dowódcą Unterirdische Festung. Kwestionuje pan rozkazy Berlina?

- A mnie Wewelsburg przekazał tego więźnia. Kwestionuje pan rozkazy Wewelsburga?

Hagender zaklął pod nosem, cicho, żeby nikt nie usłyszał. Jednak oficer stał tuż nad Arturem i więzień usłyszał coś jakby: „Pieprzeni szarlatani z Thule”.

- Jest pański - warknął Hagender i wymaszerował z gabinetu kaźni sztywno jak na paradzie.

# II

Artura przeniesiono kilka kondygnacji wyżej. Dostał własny pokój z osobną łazienką i aneksem kuchennym. Gotować na razie nie mógł, jedzenie dostarczano ze stołówki. Gdy Sosnowski zapytał, po co w takim razie kuchnia, Weiner odparł:

- W Unterirdische Festung wszystko zostało zaprojektowane tak, jak będzie wyglądać kiedyś w Tysiącletniej Rzeszy. Unterirdische Festung to samowystarczalne, w pełni funkcjonalne państwo nazistowskie, urzeczywistniony ideał Führera. Oczywiście, jeszcze nie wszystko działa tak, jak powinno, jesteśmy na etapie przekształceń, stąd ten niezainstalowany piecyk i kuchenka. Ale już właściwie strukturalnie przygotowaliśmy się do realizacji naszego celu.

- Już kilka razy słyszałem, że w Unterirdische Festung wszystko jest tak doskonale uporządkowane, jak kiedyś będzie w Wiecznej Rzeszy. Proszę powiedzieć mi zatem, Herr Sturmbannführer, dlaczego w tym idealnym państwie trzecią część pomieszczeń tworzą więzienia, pokoje przesłuchań i miejsca kaźni?

Niemiec odwrócił spojrzenie.

- Jesteśmy na etapie przekształceń - powtórzył głucho.

Artur czuł, że z pozycji jeńca nie jest rozsądnie drążyć temat i nie pytał, dlaczego ponad połowa kondygnacji służy produkcji zbrojeniowej, a reszta celom naukowym. Nie pytał, czemu wszystko podporządkowane jest ekspansji i nie zaprojektowano miejsca dla normalnych ludzi i zwykłego życia.

Nauczył się milczeć i odkrył też, że w podziemnym mieście Hitlera to umiejętność bezcenna. Miał własne łóżko, na którym mógł się wylegiwać do woli, bez przejmującego ziąbu od podłogi. Całe pomieszczenie zostało starannie zabezpieczone przed wilgocią i zimnem.

- W porównaniu z poprzednią celą, znalazł się pan w raju powiedział Weiner podczas odwiedzin.

- O innym raju rozmawialiśmy i na inny umawialiśmy się, Herr Sturmbannführer. Czy i ja mam równie precyzyjnie wypełniać warunki naszej umowy?

- Ja nie jestem Bogiem i nie wszystko mogę, Herr Sosnowski. Na razie wydostałem pana z piekła, czy to mało? Przyznaję, że to miejsce nie jest tym, o czym wszyscy marzyliśmy, ale... potraktujmy je jako czyściec. Zależnie od tego, jaki wybierze pan los, do dyspozycji są dwie windy. Pierwsza w górę, druga w dół.

- Nie tak się umawialiśmy!

- Ależ właśnie tak. Obiecałem panu test. Jeżeli go pan przejdzie, uwierzy panu sam Heinrich Himmler. A wtedy dostanę środki, by spełnić pańskie marzenia. Na razie obaj jesteśmy dla Rzeszy dwójką ekscentrycznych szarlatanów.

- Dlaczego zatem nas nie zamkną w odpowiednich do tego ośrodkach E-Action?

- Nie słyszał pan? Adolf Hitler wierzy w magię.

*

Po dwóch dniach Weiner przyszedł w towarzystwie starszego mężczyzny dźwigającego pod pachą mapy. Artur od razu zrozumiał, że to koniec bezczynności. Adrenalina przetoczyła się z łoskotem po żyłach, a na czoło wypłynęły krople potu. Od kilku najbliższych chwil może zależeć jego życie.

Miał powód, by się bać. Z historii nie pamiętał aż tak wiele, by wierzyć, że jego wiedza okaże się rzeczywiście przydatna komukolwiek. By uratować swoje życie, blefował, przekonując, że tylko on poznał wszystkie karty. W rzeczywistości był raczej w sytuacji gracza, który widział jedynie po jednej karcie z każdej ręki i to niedokładnie, bez pewności nawet, czy np. asa trzyma Anglik czy Amerykanin. W momencie zagrożenia życia pamięć dokonała tytanicznego wysiłku i odtworzyła tę zasłyszaną

przypadkiem na zajęciach anegdotę z drugiej wojny. Ale jak długo będzie dopisywać mu takie szczęście?

Teraz Niemcy mogą zapytać go o nieistotny epizod wojenny, ale na jakimś szczególnym odcinku frontu dla nich, z ówczesnej perspektywy, szalenie ważny. Co im odpowiedzieć? Zapytajcie jeszcze raz, panowie Szwaby, wróżka wzięła sobie wolne? Akurat te karty nie zawędrowały do podręczników współczesnej historii, zajmujecie moją głowę pierdołami?

Zdecydowanie tak im powinien odpowiedzieć. Miny, które będą mieli przez ułamek sekundy, wystarczą Arturowi za wieczność w lochach.

- Oto SS-Hauptsturmführer Krämer, przyjechał prosto ze sztabu. Wprowadzi pana w obecną sytuację militarną. Radzę słuchać uważnie.

Krämer rozłożył na stole mapy, rzucił jedno krótkie zaciekawione spojrzenie Arturowi. Następnie zaczął wykład, jakby znajdował się przed kadetami w szkole wojskowej.

- Pozwoli pan, że wprowadzę w aktualną sytuację polityczną. Walki w Norwegii trwały już bardzo długo i sztab zaczął się obawiać, że nie wygramy tej kampanii. Choć operację lądową zakończono sukcesem, daleko nam do wyparcia Brytyjczyków i Polaków z północy kontynentu. Straciliśmy większość okrętów, a łodzie podwodne, jak pan wie, zupełnie nas zawiodły. Alianci mogą w bliskiej przyszłości odizolować Skandynawię morskim kordonem ochronnym i sami dowozić wojska desantowe na kontynent w nieskończoność. Bez floty rozbitej podczas operacji Weserübung nie będziemy mogli temu zapobiec.

Wyprężył się jak struna i rzekł nagle zaskakująco mocnym głosem, aż po plecach Artura przeszedł dreszcz trwogi. Tymi słowami można było elektryzować powietrze i podrywać ludzi do walki:

- Musieliśmy pomóc naszym żołnierzom przelewającym krew za Führera. Dnia 10 maja Adolf Hitler wydał rozkaz ataku na Francję. Omijając Linię Maginota, nasze zagony pancerne przetoczyły się po Belgii i Holandii, dołączając te rejony do Wielkiej Rzeszy.

Weiner wtrącił drwiąco:

- Francuska obrona ograniczała się głównie do likwidacji drogowskazów. Ten stary francuski głupiec, generał Gamelin, liczył chyba, że czołgi zgubią drogę.

Krämer skinął głową.

- Tymczasem Guderian mknął jak szalony, ledwie go mogły dogonić ciężarówki transportujące paliwo do jego ukochanych czołgów.

- Założył, że przy odpowiedniej prędkości zagonów pancernych nie będzie im potrzebna osłona piechoty - uzupełnił Weiner. - Po prostu wroga piechota nie zdąży oskrzydlić czołgów. Zanim wykona jakikolwiek ruch, zostanie daleko w tyle.

- Rzeczywiście w ciągu doby pokonał ponad dziewięćdziesiąt kilometrów, od Kanału Północnego docierając nad ujście Sommy, tuż przy kanale La Manche - zgodził się sztabowiec.

- Tymczasem Francuzi zdymisjonowali Gamelina ze stanowiska naczelnego dowódcy sprzymierzonych i mianowali kolejnego idiotę.

- Generała Weyganda.

- Właśnie tego idiotę. Teraz niech pan słucha uważnie. - Weiner popatrzył na Artura nieodgadnionymi przenikliwymi oczami. - Nasze wojska dotarły dzisiaj do miejscowości Gravelines i otoczyły Brytyjski Korpus Ekspedycyjny. To w większości dopiero co powołani do służby żołnierze, chłopcy jeszcze niedawno rzucający płaskie kamienie do Tamizy i podskakujący radośnie, jeśli odbiją się więcej niż

trzy razy. Są może i nieźle wyposażeni, ale ich duch złamał się po klęskach Francuzów.

- Nie dalej jak przedwczoraj rozbiliśmy towarzyszącą im armię generała Girauda, a on sam został naszym jeńcem - doprecyzował Hauptsturmführer.

- W każdym razie angielski dowódca, lord Gort, rozważa wycofanie się na Wyspy poprzez port w Dunkierce. A my nie wiemy, co robić.

- Chcecie ich wypuścić? - zapytał Artur.

- Gdzie tam wypuścić - zdenerwował się Weiner. - Zastanawiamy się, jak ich najefektywniej rozpierdolić. *Gott mit uns!*

- Są dwie opcje - mówił sztabowiec. - Generał Guderian poprosił o pozwolenie roztarcia Brytyjczyków na zderzakach jego cudownych czołgów. A feldmarszałek Göring oświadczył przed godziną Hitlerowi nie inaczej jak: "Mein Führer, proszę pozostawić rozbicie okrążonego pod Dunkierką wroga mnie i mojej Luftwaffe".

- Oto pańskie zadanie, Herr Sosnowski. Proszę, korzystając ze swej wiedzy wyniesionej z przyszłości, opowiedzieć nam, co się wydarzy, gdy wyruszą czołgi, a jak potoczą się losy wojny, gdy użyjemy lotnictwa. Potem zadecydujemy razem z panem, która opcja jest lepsza. Jeżeli zda pan ten test, otrzyma pan od Führera, czego tylko pan zażąda.

- A jeżeli zawiodę?

Weiner założył ręce za plecy. Odwrócił się w kierunku drzwi.

- Wtedy Wewelsburg nie będzie mógł pana dalej chronić. Decyzja co do pańskich dalszych losów będzie w gestii Obersturmbannführera Hagendera.

- Mam jeszcze jedno pytanie. Każecie mi zdać raport z dwóch równoległych linii wydarzeń. Ale do mojej

przeszłości należy tylko jedna, jak mogę śledzić drugą nić czasu?

- Udowodnienie pańskiej przydatności to już nie nasza sprawa. Spieszę jednak dodać, że ma pan na to godzinę.

Oficerowie wyszli.

*

Zostawili Arturowi mapy. Pewnie, przecież i tak ich nigdzie nie wyniesie. Jego pokój, choć znacznie lepiej wyposażony niż poprzednie lokum, nadal posiadał zamek, a w zamku tkwił klucz. Z drugiej strony.

Mógł się wpatrywać w północną Francję do woli. Nic nie pamiętał z tego epizodu.

Owszem, napaść na Francję była faktem niezaprzeczalnym, ale o całej kampanii Artur wiedział tylko, kto wygra. A już na pewno nie miał głowy do takich szczegółów, jak ewakuacja chłopaków z Wysp Brytyjskich, którzy dzięki czołgom Guderiana zrozumieli, że wojna na kontynencie to nie piknik.

Zaraz, zaraz... Artur wytężył umysł. Coś jednak zostało w mulistym osadzie jego pamięci. Wycofujące się brytyjskie wojska. Tyle że oddające pole pod naporem masowych bombardowań czy spychane lufami czołgów? Tego jednego nie pamiętał. Bo skąd niby miał wiedzieć? Jedna z wielu bitew we Francji, przecież nie miał pojęcia, jak się potoczyła? Artur nie pamiętał nawet, czy Anglikom udało się przeprowadzić plan ewakuacji, czy też zostali zgnieceni na skalistym nabrzeżu Dunkierki.

Może nawet informacja o wycofywaniu się wojsk nie była zasłyszana czy przeczytana, lecz pojawiła się w wyniku naturalnych procesów pamięciowych - umysł odruchowo wypełniał luki w danych. Arturowi tylko wydawało się, że

pamięta wycofujących się Brytyjczyków, a to przecież jedynie logiczna ekstrapolacja tego, co wiedział. Koalicja w 1940 roku przegrała wojnę na kontynencie.

Miał wrażenie, że czas bronił się przed ingerencją. Ale Artur musi dokonać wyboru, który wyznaczy dalszą drogę historii. Błaha decyzja, czołg czy samolot, może zmienić wszystko. Albo też nic. Na pewno zmieni życie Artura.

Dotąd sprzyjało mu szczęście. Ta sama siła fatalna, która z sobie tylko wiadomych powodów ściągnęła człowieka w przeszłość, zadbała, by tym człowiekiem okazał się student germanistyki, który na studiach liznął nieco historii II wojny światowej, czytał trochę książek, zapamiętał zasłyszane na zajęciach anegdoty. Dzięki temu wiedział, że w ramach E-Action zabito tysiące chorych i kalek, w tym także pensjonariuszy szpitali psychiatrycznych na terenach okupowanych, a w szpitalu w Kobierzynie zginęła większość pacjentów. Wiedział, w jakich nieludzkich warunkach naziści przetrzymywali psychicznie chorych i jaki im ostateczny los zgotowali. Dlatego zrobił wszystko, by uniknąć zakładu psychiatrycznego.

Nie spodziewał się, że jego decyzja zaprowadzi go pod Berlin, do podziemnego kompleksu wielkości miasta. Można powiedzieć - pech, gdyż z Unterirdische Festung nie było ucieczki. Całość personelu stanowiła elita SS bądź fanatycznie oddani NSDAP naukowcy i lekarze. Rządził tym piekłem sadysta i socjopata Obersturmbannführer Hagender. Mimo to do rzuconego w odmęt czasu Polaka uśmiechało się wciąż szczęście. Oficerem przesłuchującym okazał się esesman o większej niż przeciętna inteligencji i zdolności nieszablonowego myślenia. Dzięki temu jego nieprawdopodobna historia została wysłuchana, a młody Sturmbannführer uruchomił wszystkie kontakty, by nie dać wydrzeć sobie cennego więźnia.

Fortuna, tyle razy łaskawa, wyczerpała wreszcie hojnie rozdawane dary.

Artur przyjrzał się tępo mapie. Kolorowa płachta nie chciała do niego przemówić. Wszędzie wokół rozciągały się nieskończone bagna Flandrii.

*

- Wojna we Francji zostanie przez Rzeszę wygrana, tak czy inaczej - mówił mocnym głosem Artur. Od strażników nauczył się tonem głosu maskować wątpliwości. Zauważył, że gdy naziści nie wiedzą, co robić, krzyczą. - Obawiacie się użyć czołgów wobec Brytyjczyków, bo niepokoicie się przyszłym starciem z francuską machiną wojenną, która wydaje się wciąż od was potężniejsza. Liczne armie grodzą wam drogę do Paryża, a Linia Maginota nadal jest nienaruszona. Tymczasem wojska francuskie są słabsze, niż to podejrzewacie, i pokonacie je bez trudu.

- Czyli proponuje pan atak naziemny, Herr Sosnowski? - Oficerowie SS słuchali w skupieniu.

- Niezupełnie. Może warto odciążyć brygady pancerne, by zwycięstwo przyszło gładko i bez strat własnych? Podmokłe tereny Flandrii będą niezbyt wygodne dla operacji ciężkich pojazdów, a pozbawieni możliwości odwrotu, zdesperowani Anglicy będą się bić jak lwy. Atak bombowców będzie skuteczny i czysty. Pozwólcie Brytyjczykom odejść, wówczas nie będą się wtrącać w waszą wojnę z Francuzami, zajęci ratowaniem własnej skóry. A stukasy zadadzą im koszmarne straty.

- Wówczas część wojsk sprzymierzonych może umknąć poza kanał La Manche - zastanowił się na głos Weiner. - I pewnie będą walczyć przeciwko nam w przyszłości.

- To prawda - potwierdził Krämer. - Ale plan naszego gościa ma sens. Brytyjczycy wysłali na kontynent głównie słabo wyszkolonych poborowych i wyposażyli ich w najnowocześniejszy sprzęt. Doprowadzeni do ostateczności

mogą dzięki swej broni zadać wielkie straty armii Guderiana. Tymczasem nie ma możliwości pospiesznego ewakuowania takiej ilości ciężkiego sprzętu. Wszystko to wpadnie w nasze ręce.

- Podczas ofensywy czołgowej musielibyście przeciw tej broni walczyć - powiedział Artur, po raz pierwszy odetchnąwszy spokojnie. Nie był pewien, czy to, co wymyślił, będzie miało sens dla wytrawnych strategów. - Dzięki mojej propozycji wasze śliczne czołgi zostaną nienaruszone.

- W najgorszym razie oddamy Wyspom trochę nieprzeszkolonych rekrutów. - Krämer coraz bardziej się zapalał do planu. - Ale nasza wersja ma jeszcze jedną zaletę. Silniki Guderiana zaraz zaczną kaszleć i tłoki będą mielić powietrze zamiast benzyny. Można by wykorzystać ten czas na uzupełnienie amunicji i paliwa. Podciągnie się artylerię i piechotę, wyrówna linię frontu.

- Zatem postanowione - odezwał się Weiner. - Właśnie pan waży życie swoje i świata na szali historii. Natychmiast depeszuję do von Rundstedta. On osobiście porozmawia z Adolfem Hitlerem.

*

Weiner zajrzał do niego rano.

- W tej chwili Adolf Hitler wydał rozkaz bezwzględnego zatrzymania się wszystkim jednostkom pancernym znajdującym się w pobliżu Dunkierki. Guderian jest wściekły, pisze noty protestacyjne, twierdzi, że miał Brytyjczyków jak na widelcu. Część generałów go popiera. Jeżeli nawet nie zgadzają się z jego oceną sytuacji, skrycie nie darują Führerowi osobistego wtrącania się w dowodzenie armią. Mówi się na froncie, że politycy powinni się zajmować polityką, a od prowadzenia wojny są

stratedzy. *Ordung must sein!* Czy pan wie, co pan narobił, Herr Sosnowski? Mam nadzieję, że pan wie. Niech się pan teraz modli, żeby anioły o stalowych skrzydłach sfrunęły bez przeszkód nad Flandrię. Feldmarszałek Hermann Göring ogłosił najwyższy stopień pogotowia w całym Luftwaffe. Szykuje się wielka rzecz, a pan ma w tym swój mały udział. A ten udział zwie się „odpowiedzialność”.

Artur oblizał spierzchnięte wargi. I zauważył machinalnie, że Niemcy zawsze mówią imię i nazwisko swoich najwyższych notabli, wymawiając każdą głoskę z niezwykłą mocą. Adolf Hitler, Hermann Göring. My, Polacy, mówiliśmy zawsze Hitler, Göring, pomyślał. Swoich polityków też zawsze wymienialiśmy tylko z nazwiska, jakby byli naszymi kumplami ze szkolnej ławy. Ton wypowiedzi Weinera zdradzał duży szacunek, w duchu kultu jednostki - indywidualności dość wielkiej, by rzucić wyzwanie tłumom, zapanować nad nimi i dostać się na szczyt hierarchii społecznej. Było to osiągnięcie godne uznania, a ci, którym się udało, zasługiwali na tytułowanie pełnym imieniem i nazwiskiem.

- Przyjdę jutro. Nie zazdroszczę panu najbliższej nocy, Herr Sosnowski.

*

Następnego dnia Weiner wtargnął do pomieszczenia. Zwykle opanowany, teraz ledwo się powstrzymywał, by nie wymachiwać rękoma. Zniknął chłodny styl arystokraty, z ruchów biła taka wściekła energia, że Polak aż cofnął się pod ścianę.

- Guderian, nie bacząc na nic, swoim oficerom opowiada z drwiną podszytą wściekłością, że Adolf Hitler zafundował mu weekend majowy. A Führer nic nie może zrobić swemu najlepszemu oficerowi, musi udawać, że tego nie słyszy. Bo

potrzebuje Guderiana do rzucenia na kolana Francji. I może potrzebować do zmiażdżenia tych cholernych Anglików. Tak, Herr Sosnowski, anioły śmierci nie poleciały. Od dwóch dni czekają na lotniskach, stłoczone jak kaczki. Chcę pan wiedzieć, dlaczego Luftwaffe nie panuje nad przestworzami? Ależ pan przecież wie, wszechwiedzący proroku. Przyszłe wydarzenia nie mają przed panem tajemnic, prawda?

Artur poczuł strach. Próbował się tłumaczyć, jednak wiedział, że naziści nie przyjmują do wiadomości porażek. Sukces mógł zapewnić każdemu człowiekowi miejsce wśród nadludzi. Klęska czyniła go w oczach esesmanów podczłowiekiem, odbierała wszelkie prawa i godność. Tłumaczenia nie miały sensu. Dlatego Arturowi język plątał się nieporadnie:

- W istocie nie jest to takie proste. Tak naprawdę przyszłość widzę jak przez mgłę...

Weiner drgnął.

- I mgła teraz spoczywa nad cała północną Francją, uniemożliwiając loty naszym bombowcom. A Brytyjczycy kontynuują powolny marsz w kierunku brzegu. Tymczasem przy brytyjskiej stronie zaczęła się niezwykła koncentracja kutrów rybackich, holowników z Tamizy, jachtów, barek, lichtug, statków wycieczkowych i łodzi ratunkowych. Do jasnej cholery, kanał La Manche jest w tym miejscu tak płytki i wąski, że można by go zapewne przekroczyć nawet na canoe!

Ręce Artura zadrżały.

- Pomyliłem się - powiedział. - Zaatakujcie czołgami. Anglicy jeszcze nie odeszli zbyt daleko. Naprawicie mój błąd.

- O, nie, nie... nie ma tak dobrze. Führer nie może teraz zmienić swojej decyzji, nie po tym, jak bezpośrednio zaangażował się w dowodzenie kampanią. Wie pan, na jakie

pośmiewisko by się wystawił? Führer jest nieomylny. Do końca. I my razem z nim. Dlatego siadajmy przy stole... - Usiadł ciężko na krześle i wskazał drugie Arturowi.

- Ordynans - krzyknął. Drzwi otworzyły się i wszedł młody żołnierz trzymający na tacy butelkę czerwonego wina i dwa kieliszki. Musiał czekać na zewnątrz, pomyślał machinalnie Artur.

Ordynans otworzył butelkę i nalał rubinowego płynu do kieliszków. W pomieszczeniu rozszedł się niezwykły aromat. Dotąd karmiono Artura żarciem podłym, lecz po awansie do „czyśćca" zamieniono je na marne. Zapach mocnego wina wiercił w nosie, nie pasował do tego miejsca, przywoływał inny świat.

- Francuskie, zdobyczne - mruknął Weiner. - Pij, może ostatnie.

- Nie rozumiem. Dlaczego pijemy? Nie ma czego świętować?

– *Gotterdammerung.* Zmierzch bogów, koniec wszystkiego... Jeżeli nie można świętować zwycięstwa, czemu by nie zagładę? I jedno, i drugie dotyka absolutu. Zagłada jest w jakimś sensie nawet bardziej ostateczna. Obu nas pan pogrążył, czemu byśmy mieli się nie napić owocu francuskich winnic, nim zostaniemy strąceni w odmęty?

Była w tym jakaś prawda. Artur sięgnął po wino. Miało słodko-cierpki smak.

- Czerwone jak krew żołnierzy, którzy giną we Francji, byśmy mogli w Unterirdische Festung pić z tej butelki - powiedział. Przeżyją najsilniejsi, takie jest prawo natury. Tak było zawsze i tak będzie zawsze. Nie zmieni pan tego pobożnymi życzeniami. Wojna jest higieną świata. Usuniemy gorsze geny z puli ludzkości, tak jak ogrodnik selekcjonuje rośliny. Europie trzeba przyciąć kilka łodyg, to wszystko. Z perspektywy jednostkowej wygląda to na

okrucieństwo, z perspektywy całościowej jest to mądre i właściwe, bo udoskonala rasę.

- Najechaliście Francję i Polskę, żeby je udoskonalić?

- Ależ oczywiście! Wprowadzimy tam niemiecki porządek, oczyścimy z elementów niepewnych rasowo, kalających pulę genów. Pozbędziemy się wreszcie szkodliwych ustrojów, takich jak demokracja. Wyobraźcie sobie wycieczkę idącą przez góry. A teraz każdy głosuje, gdzie mają iść. Przecież wiadomo, że pójdą zawsze w dół, bo ludzie są jednostkami słabymi i niskimi, wybierają zawsze najłatwiejszą drogę. Kierują się popędami, nie rozumem, a gdy jest ich więcej, włącza się głupota tłumu. Zlezą więc na dół, do jakiegoś jaru czy dziury - i tam zostaną na wieki, aż sępy i szakale objedzą ich kości. Dlatego potrzebny jest takiej wycieczce przewodnik, Führer. Wysłałby pan wycieczkę w góry bez przewodnika? Pozwoliłby im głosować, gdzie iść, polegałby na ich widzimisię? Wiadomo, że wówczas dojdą do głosu głód, zmęczenie, bolące nogi. Głupota, czyż nie? Niemcy są jedynym ratunkiem dla Europy.

- Dotąd jakoś dawała sobie radę przez tysiąclecia bez nazizmu.

- Ależ nazizm jest fundamentem Europy. Zaraz to panu udowodnię. Gdzie leżą korzenie naszej kultury?

- W Grecji.

- Właśnie! - Weiner podniósł kieliszek z trumfem. - A Grecja to Sparta!

- Większość historyków szukałaby źródeł w Atenach - zaoponował Artur.

- Proszę pamiętać, że Sparta ostatecznie pokonała Ateny, zamieniając mieszkańców w niewolników. Dowiodła swej wyższości.

- Zwycięstwo militarne nie jest jedynym zwycięstwem, jakie może odnieść człowiek.

- Och, daj pan spokój patetycznym i pustym frazom. Jeżeli się wygra wojnę, nasienie zwycięzcy zostanie rozplenione, a rasa się umocni. Przegrana oznacza, że zwyciężony przestaje istnieć dla historii. Wróćmy do tematu, pięknej Grecji założonej przez migrujących z północy Aryjczyków...

- Co? - Artur omal nie zakrztusił się winem.

- Tak, sam Adolf Hitler powiedział, że „gdy pytają o naszych przodków, powinniśmy zawsze wskazywać na Greków". Jest wiele badań naukowych wskazujących aryjskie pochodzenie Dorów.

- Ciekaw jestem, jakich - mruknął Polak w kieliszek. Ale jego towarzysz usłyszał.

- Choćby fakt, że grecki kanon piękna urzeczywistnia się najlepiej u współczesnych przedstawicieli rasy aryjskiej. Führer to ujął najpiękniej: „Profil Greków i cezarów to profil człowieka z północy Rzeszy i założę się, że mógłbym znaleźć dwa tysiące takich głów wśród naszych wieśniaków". Sam oglądałem nie dalej jak pięć lat temu film Shünzela *Amfitrion,* oparty zresztą na komedii von Kleista pod tym samym tytułem, a tam wojowników greckich zagrały postacie o profilach jak żywcem wyjętych z antycznych waz. Niech pan zgadnie, kim byli aktorzy?

- Nie mam pojęcia.

- Członkowie gwardii przybocznej Führera Leibstandarte-SS Adolf Hitler! Wyborowa formacja teutońska wypożyczona dla potrzeb tego filmu.

Artur wrócił do wina, które szczodrze dolewał gospodarz. Za ordynansem dawno zamknęły się drzwi, a Weiner perorował:

- Wracając do Sparty, jako pierwsi wprowadzili zasady eugeniki, składając u stóp świętej góry Tajgetos niemowlęta

kalekie lub nieuleczalnie chore. Czyż my nie robimy tego samego? Poszliśmy nawet dalej, naprawiając niedopatrzenia republiki weimarskiej, dokonywaliśmy eutanazji nieodpowiednich elementów społeczeństwa. Alkoholików, homoseksualistów, głupców, szaleńców...

- Nie rozpędzacie się zbytnio?

- Dostaliśmy już nauczkę, teraz znamy umiar. Było tak... Najpierw zdecydowaliśmy się pozbyć najbardziej ociężałych umysłowo, idiotów. Spora grupa ludzi poszła do piachu, a nasza rasa stała się doskonalsza. Wielu wartościowych członków, dotąd obarczonych opieką nad tymi kalekami, odetchnęło. Zachęceni sukcesem, zajęliśmy się imbecylami. Tu już cała sprawa trwała dłużej, mimo to osiągnęliśmy pełen sukces. Chcieliśmy kontynuować, oczyszczając rasę z debili i osób z pogranicza upośledzenia. Przygotowaliśmy przesiewowe testy i odpowiednią liczbę strzykawek. Wydawało się, że wszystko pójdzie dobrze, po prostu rzecz potrwa dłużej. Ale wypłynął niespodziewany problem. Okazało się, że masa ludzi z NSDAP musiałaby zostać wymordowana, SS by się zdziesiątkowało, nie byłoby też kogo wysłać na wojnę. Zrozumieliśmy, że są granice doskonalenia rasy, uchwaliliśmy to na specjalnym zgromadzeniu partii, gdzie wszyscy ważniejsi przywódcy narodowych socjalistów, w ramach solidarności z ogółem, odmówili poddania się testom przesiewowym.

- Jestem pod wrażeniem.

- Właśnie, partia jak żywy organizm ma mechanizmy samoregulujące. Wracając do Spartan. Podbili terytorium Messenii, pokonali ród marny biologicznie, zamieniając ich w helotów.

- Marny, bo poniósł klęskę? Dlatego zyskano moralne prawo uczynienia z nich niewolników?

- Tak, niech pan zauważy też, że nasze pojmowanie moralności jest wysoce praktyczne. Jeżeli coś uznajemy za

dobre i możliwe do przeprowadzenia, to czynimy to, bo mamy dość potęgi i mocy do działania. Nie ma tu miejsca na zakłamanie. Rodzi się tylko jedna wątpliwość: czy dobrze oszacowaliśmy siły i czy nam się uda. Spartanie stali się rasą panów, a heloci rasą niewolników. Jednak panowie dbali nie tylko o swoje geny pod wzgórzem Tajgetos, ale wymyślili sposób, by troszczyć się o czystość krwi swych podopiecznych. Co pewien czas przeprowadzono krypteje, rodzaj polowań na helotów. Dzięki temu młodzi Spartiaci mogli potrenować rzuty oszczepem i poczuć smak przygody, było to bezcenne doświadczenie wojenne. A najmarniejsze sztuki wśród helotów wybijano. Najszybsi, najmocniejsi przeżywali... Czy nie to samo teraz robimy dla Europy? Urządzamy wam krypteje.

Wino i wściekłość dodały odwagi Arturowi.

- Owszem, Sparta była tyranem Peloponezu i podbiła Ateny. Jeżeli to jednak czyni ją tak doskonałą, to co pan powie na to, że została zdruzgotana przez Teby?

Weiner nagle przygasł, jakby cień antycznej klęski dosięgnął jego i ukochaną Tysiącletnią Rzeszę.

- Ten cały Związek Beocki składał się głównie z byłych sprzymierzeńców. Spartan zdradzili sojusznicy. Inaczej nigdy by się to nie stało. Wbito im nóż w plecy.

- Grunt to dobrze wytłumaczyć sobie klęskę.

Myśli o porażce przekierowały umysł Niemca na inne tory.

- Niech pan mi coś powie, Herr Sosnowski. Jeżeli pan rzeczywiście przenika wzrokiem zasłonę czasu i przestrzeni... My tu planujemy w Unterirdische Festung wiele rzeczy. Pracujemy nad Wunderwaffe. Różne plany, często bardzo dziwne. Z jednym Adolf Hitler wiąże wielkie nadzieje. Mamy tu mały reaktor i do tych celów specjalny poligon w Turyngii. Wiem, że może się to wydać panu

początkowo nieco... ekscentryczne. Czy w pańskiej przyszłości pojawiło się coś takiego jak rozbicie jądra atomu?

- Pierwsze słyszę - odparł zaskoczony Artur. Zdziwił się, że tak gładko i niemal odruchowo udało mu się skłamać. Właściwie nie wiedział, dlaczego nie powiedział prawdy. Intuicja? Niechęć przed odkrywaniem wszystkich kart przed Szkopami? Zwłaszcza wtedy, jak i tak mu nie wierzą, a mgła nad lotniskami Göringa przypieczętowywała jego los. Skoro i tak Artur nic nie zyska, czemu miałby wyświadczać Niemcom przysługę?

- Tak myślałem... Wedle naszych obliczeń trzeba tyle ciężkiej wody, ile by się zmieściło w dziesięciu takich podziemnych fortecach. Wszystkie fabryki w Norwegii przez dekadę tyle nie wyprodukują. A wie pan, co by powstało takim ogromnym nakładem czasu i kosztów? Jedna mała bomba. Głupota.

Artur również się zaśmiał, ubawiony jak Niemiec, choć z nieco innego powodu.

- A broń chemiczna - dopytywał dalej Weiner. - W czasie poprzedniej wojny niezbyt się sprawdziła. Zostanie użyta teraz?

Artur wytężył pamięć. Coś tam czytał.

- Będzie jedna próba. W 1943 roku alianci przewiozą broń chemiczną do miasta Bari we Włoszech. Są zdesperowani, bo ofensywa ugrzęzła w trudnym górskim terenie. Gaz musztardowy ma zostać użyty, by przełamać bardzo wąski, trudny do pokonania odcinek frontu w tej części italskiego buta. Dowództwo Luftwaffe dowiaduje się na czas o ładunku i dokonuje prewencyjnych nalotów. Podczas bombardowania udaje się zatopić okręt wiozący niebezpieczny ładunek i gaz musztardowy wydostaje się na powierzchnię. Giną setki brytyjskich marynarzy. Nigdy

później alianci nie użyją na polu bitwy tak niepewnej, kapryśnej i obosiecznej broni.

- Jednak użyli raz. - Weiner wydawał się przerażony. - Łamiąc wszystkie postanowienia konwencji międzynarodowych podpisanych przez cywilizowane kraje.

A Artur pomyślał, że znów skłamał. Tym razem używając słówka „nigdy”. Bo alianci użyli po raz kolejny broni chemicznej podczas wojny w Wietnamie. Napalmu.

*

Następnego dnia Weiner przyszedł już bez ordynansa. Lekko się zataczał, w dłoni trzymał butelkę wina.

- Dzisiaj otwieramy białe. Tak jak białe są flagi na francuskich czołgach - zaczął z drwiną. Artur od razu poznał, że Sturmbannführer jest w paskudnym humorze.

- Coś nie w porządku?

- Tak, można tak powiedzieć. Byliśmy o włos od rewolty generałów. Moim zdaniem, ten Wehrmacht to jedna wielka pomyłka. W Unterirdische Festung nie ma żołnierzy wojsk regularnych, personel składa się ze znakomicie wyszkolonych ideologicznie i moralnie gwardzistów SS. Tak jak tutaj jest, będzie kiedyś w całej Rzeszy. Wehrmacht to przeżytek, pięć lat i zastąpimy całą armię dywizjami SS! Póki co, musimy się męczyć z tymi niepokornymi głowami. W związku z presją wojskowych po południu Führer zezwolił jednostkom pancernym podjąć ofensywę. Przeciwko Francuzom, a nie okrążonym Anglikom, którzy właśnie kończą przygotowania do ewakuacji w oblężonej Dunkierce. A nasze samoloty ciągle czekają na dobrą pogodę. Długo jeszcze, Herr Sosnowski?

- Nie wiem.

- Pan nie wie - powtórzył wolno Niemiec, jakby smakował każde słowo. - Tak mam zadepeszować do Berlina?

- Nie mówiłem, że jestem wszechwiedzący - zaoponował Artur. - Mówiłem, że mogę mieć przydatne informacje.

Weiner zaczął kiwać ręką, że nieważne. Już otwierał wino, rozlewał do kieliszków.

- Co się ma wydarzyć, to się stanie. Żałuję, że mogę nie doczekać końca tej wojny, to wszystko. Gdy na świecie zapanuje wieczny aryjski pokój. - Pociągnął większy łyk. Nagle popatrzył zaskakująco uważnie na Polaka.

- Ile jeszcze potrwa ta wojna, nim wreszcie zwyciężymy?

Artur milczał. W oczach Niemca zamigotały ogniki niepokoju.

- Bo my... wygramy tę wojnę, prawda? - zapytał powoli. I nim dokończył, z twarzy więźnia odczytał odpowiedź.

- Mieliśmy nadzieję, że rasa aryjska rozprzestrzeni się daleko poza Ural, że krew germańska będzie płynąć na całym świecie i do Niemców będą należały władza i poważanie. Podludzie zostaną wytępieni bądź przyjmą kajdany niewolników. Jak się stanie w istocie?

- Większość mężczyzn zginie na froncie. - Artur zdecydował się nie szczędzić żadnych szczegółów, nie czuł litości. - Ci, którzy złożą broń, zostaną wysłani na mroźny kraniec Azji, półwysep tak odległy, że niemal styka się z Alaską. Tam umrą w syberyjskich łagrach. Pod koniec wojny w specjalnie sformowanych oddziałach Volkssturmu zostanie wysłana jako mięso armatnie nawet młodzież. W zdobytym Berlinie pozostaną tylko starcy i dzieci. Oraz kobiety, te w ogromnej liczbie zostaną zgwałcone przez Rosjan. Wiek nie będzie miał znaczenia, ofiarami zostaną zarówno dziewczynki, jak i siedemdziesięcioletnie babcie. Po wojnie wiele kobiet będzie sypiało z okupantem dla chleba, by ochronić dzieci, pod groźbą zesłania rodziny na Sybir. Z tych związków przyjdzie na świat trochę dzieci.

Tyle, jeżeli idzie o wspaniałe aryjskie geny i przyszłość rasy niemieckiej, Herr Sturmbannführer. Rozmyje się w genach z całego świata, gdyż cały świat będzie okupował Niemcy.

- A Żydzi? Ta... kwestia zostanie rozwiązana?

- Wielu z nich zamordujecie w piekle, które im zgotujecie. Ale najsilniejszym oraz tym, którzy będą mieć szczęście, uda się przetrwać. Przy pomocy Stanów Zjednoczonych i dzięki kilku udanym zamachom terrorystycznym utworzą potężne państwo Izrael. Ich bohater, Menachem Begin, wysadzi hotel „Król Dawid", zabijając prawie setkę ludzi, z czego połowa to Brytyjczycy, następnie porwie Bogu ducha winnych angielskich oficerów i dokona egzekucji, wysadzając ich ciała w powietrze. Po tych wydarzeniach przerażona Wielka Brytania odstąpi z terytoriów Palestyny. Jednak uformowanie państwa na krwi okaże się klątwą dla Izraelczyków, będą bowiem odtąd zwalczani tą samą bronią.

- A więc przetrwają... Najsilniejsze, najlepsze jednostki - powtórzył Weiner. Skrył twarz w dłoniach. Dla kogoś wierzącego w zasady eugeniki był to ogromny cios. - Stosując zasady doboru naturalnego, tylko udoskonaliliśmy Żydów.

*

- Czy według pana jest jakiś sposób, byśmy tej wojny nie przegrali? - Trudno powiedzieć, czy Weiner do końca uwierzył Arturowi. Jedno było pewne, nie pogodził się z myślą o przegranej wojnie. Była tak szokująca, tak niewiarygodna, że mniej by się zdziwił, gdyby ktoś mu oznajmił, że słońce wstaje na zachodzie. W to drugie nawet łatwiej byłoby uwierzyć, bo przecież tego mógłby zapragnąć jego Führer.

Artur długo się zastanawiał, co odpowiedzieć. Wreszcie odrzekł:

- W armii są tacy dowódcy jak Guderian czy Rommel, absolutni geniusze nowatorskiej taktyki, którzy potrafią pokonać wroga dysponującego przeważającymi siłami. Jednak nawet oni nie dokonają cudów. Zawrzyjcie pokój z Anglią za wszelką cenę. Jeżeli odwrócicie się do niej plecami, prędzej czy później...

- Wbije nam nóż w plecy.

- Nie atakujcie Związku Radzieckiego ani Stanów pod żadnym pozorem. Uczyńcie z podbitych przez siebie ziem szczęśliwe państwa. Ale zwłaszcza.... - Artur rozpędzał się, mknąc za myślą, która tak nagle wpadła mu do głowy. Mówił z coraz większym zapałem, nie bacząc na coraz bardziej wykrzywiającą się minę Niemca - musicie dogadać się z Polakami. Oddajcie im choćby półautonomiczne państwo, ale nie marionetkowe, jak Generalną Gubernię, związcie Polaków więzami korzystnych sojuszy. Wówczas staniecie się potęgą, której nic nie pokona. Stworzenie nowego państwa polskiego jest absolutną koniecznością historyczną Niemiec.

- Najechaliśmy ich w tym wrześniu... - Weiner drapał się po blond czuprynie. - Trudno będzie ich teraz tak... przeprosić.

- Jest to jedyna szansa przetrwania waszego narodu.

- Skoro tak... Führer się nie ucieszy - rzekł Niemiec bardziej do siebie. - Jeżeli idzie o pokój z Anglią, pewnie nie będzie problemu. Nie chcieliśmy tej wojny na Zachodzie. Już dziesięć lat temu Adolf Hitler wyznaczył Niemcom cele. Potrzebujemy przestrzeni życiowej. Jednak nie zabierzemy jej Anglikom czy Francuzom, jak próbowaliśmy zrobić podczas pierwszej wojny światowej. Pozbawianie Zachodu kolonii było błędem. Führer mówi, że dla Niemców jest dostępna cała Azja. Walczymy z Francuzami i Anglikami, bo

oni nas do tego zmuszają, lecz naszym naturalnym wrogiem są komuniści. Część oficerów Wehrmachtu uważa, że skoro wojna na froncie zachodnim idzie nam tak dobrze, może powinniśmy przedefiniować nasze cele. Podbić Francję, zabrać jej kolonie oraz odebrać brytyjską Afrykę wraz z surowcami. Powiem panu coś, co wiedzą tylko nieliczni oficerowie SS. Führer stawia jednak nadal sprawę jasno, dokładnie tak samo, jak dziesięć lat temu. Trzeba zniszczyć Związek Radziecki!

- Nawet osioł czasem zmienia zdanie - mruknął Artur.

- Słucham?

- Mówię, że ten brak elastyczności Führera może go kiedyś doprowadzić do zguby.

- Niemożliwe. Führer posiada właściwy rasie aryjskiej dar dopasowywania świata do swej woli - uciął krótko Weiner. - Co do Ameryki... Właściwie czemu nie? Ja osobiście bardzo cenię amerykańskich przemysłowców, zwłaszcza Henry,ego Forda. My tutaj w Rzeszy z niego wszyscy! Co za człowiek, co za charakter, jaka przedsiębiorczość, jaka świeżość sądu... - zachwycał się oficer SS. - Jego praca naukowa pod tytułem *Międzynarodowy Żyd* to obowiązkowa lektura każdego członka NSDAP, który chce coś w życiu osiągnąć. Myślę, że gdyby cała Ameryka była taka jak Teksas, żyłoby się tam spokojnie i pięknie. Sami by sobie poradzili z problemem żydostwa. Ale jest ten cholerny Manhattan! Adolf Hitler obiecał, że da go nam zbombardować. *Heil Hitler! Sieg! Sieeeeg!*

- Może byście po prostu zaufali Teksańczykom i Stany chwilowo zostawili w spokoju? - zasugerował Artur. - W przyszłości jedna wojna mniej mogłaby wam bardzo pomóc.

- Niby racja. Ale w tych Stanach nic nie ma, tylko fermy z bawołami. A ich obecny prezydent to ciężki kaleka. Założę się, że nie umie zliczyć do trzech. Tak sami z siebie byśmy

ich nie atakowali, ale jakby się trafiła okazja… przecież pokonać Amerykę, to jak zabrać dziecku cukierka.

Artur nie skomentował. Rozmowa zaczęła powoli zbaczać z polityki. Weiner zauważył, że Polak używa raz czy drugi słów takich, jak „DNA”, najczęściej w tym kontekście, gdy naziści mówili „krew”. Sosnowski był zdziwiony, że szafujący z taką swobodą koncepcjami hodowli człowieka i doskonalenia rasy Niemiec, nie zna budowy kwasu dezoksyrybonukleinowego i jego roli w dziedziczeniu. Reszta wieczoru minęła na próbach uzupełnienia braków w podstawowej wiedzy oficera SS.

*

Po wyjściu Weinera Artur pozostał sam. W ustach czuł kwaśny smak wina. Umył zęby. W Unterirdische Festung nie używano pasty, tylko białego proszku. Polak musiał się sporo namęczyć. Z powodów higienicznych nie chciał wkładać szczotki do pudełka, by nabrać proszku. Przez pewien czas posypywał nim włosie, ale mimo ostrożności dwa razy upaprał sobie ubranie. Po prawdzie dlatego, że był bardzo nerwowy, drżały mu ręce, a gdy wydawało mu się, że ktoś przechodzi obok celi, serce podskakiwało.

Dziś jednak po prostu zanurzył szczotkę w proszku. Jeżeli w ciągu najbliższych dni Artur zginie, higiena nie będzie mieć znaczenia.

Ale pewno nie chciał spędzić ostatnich nocy życia ubrudzony proszkiem do zębów.

Za drzwiami usłyszał nagle gardłowe niemieckie głosy, ręka poderwała się i kilka spienionych kropel spadło na kombinezon. Pospiesznie wyczyścił go wodą, by nie zostały plamy. Palce natknęły się na niewielką wypukłość w lewej kieszeni.

Prezent od Konnickiego. Cyjanek.

Teraz, gdy wszystko wskazywało na porażkę, może była to szansa, by uniknąć zemsty hitlerowców. Ironiczne, żołnierz Wojska Polskiego dał Arturowi truciznę w zupełnie innym celu. Spodziewał się po Sosnowskim aktu bezprzykładnego bohaterstwa, brawurowej śmierci, nim wypowie cokolwiek, co mogłoby zwiększyć szanse Hitlera w opanowaniu świata. Jak zmienili się ludzie przez te dziesiątki lat, myślał Artur. Podziwiał Konnickiego za prawość charakteru, zdecydowanie, moralność. Jednak Sosnowski, który wiedział, że po wojnie Polska i tak wpadnie w ramiona totalitaryzmu Stalina, inaczej patrzył na bohaterstwo akowców. Choć nadal piękne, nie nęciło Artura. Był człowiekiem ery konsumpcjonizmu, przyznawał się do braków w charakterze, myślał praktycznie i chciał przede wszystkim przeżyć.

A potem, a jakże! - konsumować. Inaczej, zdecydowanie inaczej rozłożyły się wartości przez te dziesięciolecia. W czasach Artura nikt już nie potrafił walczyć o wielkie idee, leżały one w szufladzie o nazwie: „utopie i mity”. O dobra zaś walczyli wszyscy.

Konnicki nazwałby go zdrajcą. Sosnowski mógłby odpowiedzieć, że w pierwszej chwili po zatrzymaniu zachowywał się jak zwierzę, nie myślał, chciał tylko przetrwać. Właściwie dopiero dziś paraliżujący lęk ustał na tyle, że mógł oddać się refleksji. A dzisiaj wszystko już było zadecydowane, pozostawało tylko iść dalej obraną drogą.

Można powiedzieć, że Artur był nawet lepszym patriotą niż Konnicki. Chciał dać Polakom własne państwo pod protektoratem Rzeszy. Czyli podarować im lepszy los, niż czekał ich po wojnie, gdy cały naród wpadnie w ręce oprawców Stalina. Przynajmniej bylibyśmy w Europie, bylibyśmy w cywilizacji, myślał. Hitler w końcu umrze, a po jego śmierci rozpadnie się ten szaleńczy nazistowski

system. Wszystko wróci do normalnego porządku, a o ileż silniejszy będzie nasz kraj.

Artur pomyślał o Polsce, z której przybył. Po upadku komunizmu przeszła trudny okres młodej demokracji, potem stopniowe spadanie w otchłań faszyzmu. Wolność była ograniczana, media zostały zagarnięte i kontrolowane przez jedyną słuszną partię polityczną... Nikt tego oczywiście nie nazywał faszyzmem czy nazizmem, jednak zapomniane zostały tylko słowa, nie metody. Narodowe ugrupowania podnosiły głowy na całym świecie, by zyskać poparcie tłumu, głosiły populistyczne programy - populistyczne, więc socjalne. Bo przecież najwięcej jest ludzi najbiedniejszych, najgłupszych, najbardziej zdesperowanych - tych najłatwiej omamić i oszukać łatwymi obietnicami. Kogo obchodzi w demokracji te dziesięć procent wykształconych, najinteligentniejszych obywateli, posiadających świadomość, co w państwie się dzieje? Można bazować na kilkudziesięciu procentach nędzarzy i dzięki temu stabilnemu elektoratowi sięgnąć po władzę, i z powodzeniem ją utrzymać. Tragiczne było to, że usuwając z pamięci termin „nazizm”, zapomnieliśmy także, jak wygląda i co w istocie znaczy owo zjawisko oraz co do niego doprowadziło, myślał Artur. Zamknęliśmy pewne drzwi, bo tak było łatwiej, odcięliśmy się od tendencji despotycznych, które nosimy w sobie wszyscy, odizolowaliśmy od nazisty ukrytego w głębinach naszej duszy. Nie potrafiliśmy go rozpoznać. On, pozostający w cieniu, fascynował nas coraz bardziej, wreszcie zaś wyszedł w pełnię słońca po władzę. A wtedy było już za późno. Jak w Rzeszy lat trzydziestych.

Nazizm uderzał podstępnie na całym świecie. Czy Word Trade Center było Reichstagiem? Demokracja zawsze odchodzi w płomieniach, bo ludzie oddają wolność, gdy czują strach.

Skoro Polska i tak skazana jest na faszyzm, może gdy doświadczy go wcześniej, potraktuje to jak bolesną nauczkę. Tak się stało przecież z komunizmem, zdyskredytowanym w Europie Wschodniej na zawsze.

Tak, Artur zapewni Polsce dobry los.

Nagle zawstydził się egocentryzmu. Nie pomyślał o reszcie świata.

Najpierw myślał o sobie, chciał przeżyć.

Potem, by odkupić winy, zdecydował się ocalić swój naród. Polepszyć jego los kosztem innych. Tak wyglądał jego patriotyzm. Czy myślał jak nacjonalista? Jego kategorie dobra i zła wciąż obracały się wokół egocentryzmu. Bo przecież chęć stworzenia Królestwa Polskiego nie była niczym innym, jak rozszerzeniem ego Sosnowskiego na cały kraj.

Podczas gdy Hitler uciskać będzie świat.

A może Artur chciał zracjonalizować swoje decyzje, by nie czuć wstydu?

Ludzie po prostu chcą przeżyć w każdych warunkach. Czy potępiałby te Francuzki i Holenderki, które szły do łóżka z żołnierzami Wehrmachtu? Niekiedy z miłości, niekiedy, by polepszyć swój byt. Niemki robiły to samo po wojnie z żołnierzami USA. Czy potępiałby te kraje, które, by oszczędzić sobie pewnej klęski, poszły na współpracę z Hitlerem, w zamian licząc na zdobycze terytorialne, jak na przykład Rumunia?

Zauważył, z jakim wysiłkiem próbuje sam siebie przekonać i nie wiedział już nic. Konflikty szarpały jego duszą, ciało miotało się niczym w gorączce na wąskim łóżku. Nad ranem zapragnął, by jego los się ostatecznie rozstrzygnął i cholerna mgła nie podniosła się nigdy. Gdy tylko wejdą oprawcy SS, Artur gotów był zażyć truciznę.

Tak będzie lepiej. Dla świata. Dla niego.

# III

Weiner pojawił się jak burza.

- Brytyjskie wojska stoją na nabrzeżu Dunkierki. Pierwszy okręt ewakuacyjny wpływa do portu. Stłoczeni żołnierze weszli na pokład parowca. Jest wielki i ciężki, z trudem utrzymuje się na falach. Kołysząc się, wychodzi z portu. Wtedy nasza artyleria: Trach! Trach! Trach! I setkę marynarzy zdmuchuje, ot, tak pstryknął palcami - z pokładu. Dobra wróżba, Herr Sosnowski. Bardzo dobra. Hermann Göring tańczy, a jego samoloty tańczą wraz z nim na niebie. Pogoda wraca. Jedyny deszcz, jaki pada, to ulewa bomb nad północną Francją.

Artur przełknął ślinę. Miała gorzki smak. Poczuł ulgę, właśnie los zadecydował o jego życiu. Ale zamiast poczuć radość, doznał nieprzyjemnego kłucia w sercu. Zamknął oczy i pod powiekami ujrzał wody basenu portowego gęste od tłustego paliwa i smarów okrętów, gromadzących na grzbietach fal uderzających o nadbrzeże brunatny, pieniący się osad. Zobaczył, że morze przybrało barwę czerwieni. Nie wiedział tylko, czy z powodu płomieni trawiących kadłuby brytyjskich okrętów, czy też krwi spływającej strumieniami z burt i wyciekającej z kołyszących się rytmicznie na powierzchni wody ciał, leżących na wznak, nieruchomych, i nagle tak bardzo dziurawych. W nozdrza uderzył go zapach wędzonych ryb, ton składowanych śledzi i makreli, zmieszany ze zgnilizną trawionych gangreną ran, nieopatrzonych zbyt starannie, zaniedbanych, zakażonych podczas pospiesznego odwrotu do nie dość dużego portu, by zdołał wyprawić cały połamany korpus ekspedycyjny z powrotem do domu. Wyobraźnia nie oszczędziła żadnego

doznania, po wzroku i węchu przyszła kolej na słuch. Nagle uszy Artura zaatakował jazgot rozdzieranego gwałtownie metalu, wrzaski płonących żywcem marynarzy zmiażdżonych bombami lub podziurawionych kulami messerschmittów, ciała leżały bezradnie, unieruchomione pod upadłymi masztami, podczas gdy przez uszkodzone poszycie leniwie wsączała się woda, wciągając niespiesznie ciężki transportowiec w otchłań.

Dobrze, że pełen energii, rozentuzjazmowany Weiner nie zauważył zmian w nastroju Artura. Wkrótce wyszedł, zarzekając się jednak, że będzie wracał codziennie i opowiadał o kolejnych sukcesach Luftwaffe.

Dotrzymał słowa. Z jego obrazowych relacji w ciągu następnych dziewięciu dni Artur ułożył sobie prawdopodobny obraz wydarzeń. Bombardowanie było tak gęste, że ucieczka Anglików mogła się odbywać tylko pod osłoną nocy. Ostatecznie uratowano osiemdziesiąt pięć procent Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego, jednak ze stratą niemal całego wyposażenia. Na przykład, biorąc pod uwagę najbardziej niebezpieczną broń nadchodzącej wojny, czyli czołgi, na plaże Dunkierki zjechało siedemset, jednak przekroczyć kanał La Manche zdołały tylko dwadzieścia dwa. Dodatkowo w wyniku nalotów i gęstego ostrzału artyleryjskiego zdołano zadać poważne straty Royal Navy.

Operacja zakończyła się pełnym sukcesem Niemców, a Artur zaczął się cieszyć wśród żołnierzy podających mu jedzenie szacunkiem. Mimo to siedzenie w ciasnej kwaterze irytowało go niezmiernie. Gdy w całym Unterirdische Festung zaczęto grać niemiecki hymn dla uczczenia zwycięstwa we Flandrii - Fichte wspomniał, że na powierzchni biją kościelne dzwony - Artur zwrócił się do Weinera z pytaniem, kiedy Rzesza zacznie wywiązywać się ze swojej części umowy. Dość już miał zatęchłego powietrza podziemi.

Odpowiedź Sturmbannführera była pełna chłodnej rezerwy:

- Wie pan co, Herr Sosnowski, opierając się na pańskich przewidywaniach, osiągnęliśmy sukces. To prawda. Ale... - tu wykrzywił usta - trudno jest mi przekonać Berlin, że nie był to przypadek. Ten incydent z mgłą... Nie tylko my mieliśmy wrażenie, że nie panujemy nad sytuacją. Decydenci w sztabie również. Jakby to panu powiedzieć... Berlin nie jest przekonany. Dostanie pan wszystko od Führera, to rzecz pewna. Ale najpierw musi pan raz jeszcze udowodnić swoje zdolności. Tym razem bez wpadki!

Artur chciał zaprotestować, ale w tonie Sturmbannführera było coś takiego, że nie odważył się na sprzeciw. Uderzyła go za to desperacka myśl, że zostanie w tej podziemnej norze do końca życia.

*

Jeżeli Artur liczył, że w nadchodzących dniach prędko pojawi się okazja, by mógł udowodnić swą przydatność, to był w błędzie. I bynajmniej nie dlatego, że na froncie panował spokój, wręcz przeciwnie, działo się aż nadto. Cała ogromna machina niemiecka ruszyła do ofensywy, celem zaś było serce Francji. Sturmbannführer Weiner dwukrotnie otrzymał z Berlina depesze, by wykorzystać „polskiego jasnowidza", jak go zaczęto nazywać w Unterirdische Festung. Za pierwszym razem poproszono, by natychmiast przygotował plany zajęcia Paryża. Ledwie Krämer zebrał wszystkie mapy, przyszła kolejna depesza, że zadanie nieaktualne. Francuzi opuścili stolicę bez walki.

Za drugim razem poproszono o zajęcie się Linią Maginota, która choć znajdowała się daleko od głównych działań taktycznych, wciąż niepokonana kłuła powietrze setkami luf. Tym razem Weiner z Krämerem zdołali

przygotować się na czas. Kolejna de pesza zatrzymała ich, gdy już otwierali drzwi do celi Polaka. Guderian zarzekał się, że nie da się wyprzedzić okultystom Hitlera i śmiałym manewrem w Alzacji zamknął nieprzyjaciela w kotle. Czterysta tysięcy żołnierzy dostało się do niewoli, najpotężniejsza bariera świata - równie monumentalna i groźna, jak w poprzednich epokach Wielki Mur Chiński - przestała istnieć. Artur obgryzał nerwowo paznokcie. Jeżeli Francuzi będą się nadal poddawać tak szybko, zostanie na stałe pod ziemią.

Wkrótce odwiedził go Weiner.

- Właśnie upadł rząd francuski. Założyli sobie nowy, moim zdaniem lepszy. Na czele postawili marszałka Pétaina, człowieka z charakterem, mądrego i prawego. Czuję, że się dogadamy. Führer jest więcej niż zadowolony z wyboru Francuzów. Pamięta pan, jak rozmawialiśmy o stworzeniu przez Rzeszę dobrego planu współpracy z ziemiami okupywanymi? Depeszowałem o tym do Berlina. Adolf Hitler niezbyt przychylnie patrzył na pana pomysł utworzenia autonomicznego państwa polskiego, zresztą nie mieliśmy wolnej chwili, by dokonać takich przekształceń Generalnej Guberni. Ale Francji damy szansę. Rząd, z siedzibą w Vichy, dostanie prawo do własnej armii i floty, która będzie współpracować z Wehrmachtem i Kriegsmarine. Führer osobiście dziękuje panu za tę sugestię.

Artur zwiesił głowę. Czyli idea stworzenia wolnej Polski odchodzi w niebyt. Wszystko, co próbuje zrobić dobrego, zamienia się w proch i pył.

- Bez silnego Królestwa Polskiego upadnie i Rzesza. Proszę o tym pamiętać - spróbował jeszcze.

- Führer o tym wie. Będzie to przedmiotem jego troski w przyszłości. Ale, ale, mam jeszcze jedną dobrą nowinę. Przejęliśmy dokumenty Francuskiego Sztabu Generalnego.

Znaleźliśmy między innymi plany alianckiej operacji na Kaukazie, wraz z brytyjskimi zdjęciami lotniczymi Baku i Batumi. Churchill chciałby przejąć lub zniszczyć radzieckie pola naftowe, Stalin się nie ucieszy. Wysłaliśmy mu te dokumenty. Wścieknie się. Jak nie będzie z tego wojny angielsko-rosyjskiej, to nie nazywam się Weiner. Nadchodzą piękne czasy dla Wielkiej Rzeszy Niemieckiej, a osiągnęliśmy ten sukces dzięki pracy wszystkich w Unterirdische Festung. Führer to docenia i przyjedzie odwiedzić nas osobiście. Między innymi w planie wizyty jest spotkanie z panem, Herr Sosnowski. To niezwykły zaszczyt, Adolf Hitler chce pana poznać osobiście i uścisnąć panu dłoń!

- Ale ja nie pragnę uścisnąć jego dłoni - wypalił Artur, nim zdołał się zastanowić.

- Czy pan postradał zmysły?

- Nie zamierzam się spotykać z Führerem. To moje ostatnie słowo.

- Jest pan teraz w większym niebezpieczeństwie, niż gdy nad Flandrią wisiała mgła. Ta wizyta została już zaplanowana. Jest dla pana przewidziane miejsce w protokole. Być może dostanie pan medal! Tego nie da się odwołać bez skandalu. Za taką obrazę poleci i pańska głowa, i moja. A jest pan już tak blisko stworzenia własnego raju.

Ale Artur się uparł. Zdania nie zmienił. Praktyczny Niemiec nie mógł zrozumieć dlaczego. Próbował indagować na wiele sposobów, zachowanie Polaka było dla niego z gruntu nieracjonalne.

Jak można zmarnować tyle wysiłku, tyle starań dla niezrozumiałego kaprysu?

*

Artur spodziewał się najgorszych konsekwencji swej decyzji. Czekał jak na rozżarzonych węglach na następną rozmowę z Weinerem.

- Choć nie było to łatwe, załatwiłem tę sprawę - wyjaśnił Sturmbannführer. - Opowiedziałem Führerowi, że miał pan przeczucie, iż wasze spotkanie stanie się przyczyną jego śmierci. Adolf Hitler bardzo interesuje się okultyzmem i uwierzył mi bez zastrzeżeń. Chuchając na zimne, odwołał wizytę w Unterirdische Festung, obawiając się nawet bliskości pańskiej osoby. Uratowałem nam obu życie za cenę kłamstwa mojemu Führerowi. Proszę więcej nie podcinać gałęzi, na której pan siedzi, Herr Sosnowski. Są granice, nawet nie tyle mojej życzliwości, ile możliwości.

- Nie prosiłem pana o pomoc.

- Ale pan jej potrzebował, potrzebował jak diabli. Tyle osiągnęliśmy, a pan się sam pakował w łapy tego brutalnego idioty, Hagendera. Wie pan, jak niewiele brakowało? Myślę, że nie poszłoby mi tak łatwo, gdyby nie pomoc osobistego okultysty Adolfa Hitlera, który zgodził się ze mną, że spotkanie może mieć katastrofalne skutki.

- Cieszę się z tego nieoczekiwanego poparcia, przyznaję.

- Uważam, że okultystą Führera nie kierowała przychylność, raczej szczwany lis wyczuł okazję, by zneutralizować wpływy konkurencji. - Weiner złapał oddech. - Czemu pan nas właściwie nie lubi? Papież wstrzymał pracę nad encykliką potępiającą nazizm i nigdy nam nie powiedział złego słowa. Przewodniczący Międzynarodowego Towarzystwa Psychoterapeutycznego, Carl Gustaw Jung, nie skąpi nam pochwał, a jego tezy o psychologii Żyda są z lubością powtarzane przez najwyższych oficerów SS. Autorytety świata sztuki są za nami. Co złego jest w propagowaniu nauki i wprowadzaniu jej odkryć do życia codziennego? Czy wiara Adolfa Hitlera,

że świat byłby lepszy, gdyby w każdym mieście zamiast kościoła stało obserwatorium astronomiczne, jest zdrożna? A może przeszkadza panu nasze dążenie do przezwyciężania ludzkich słabości i udoskonalania człowieka?

- Wasze okrucieństwo i brak szacunku dla praw jednostki.

Weiner się skrzywił.

- Ma pan rację... Ale jesteśmy w okresie przejściowym, dopiero doskonalimy Rzeszę, która przetrwa wieczność. A w okresie przejściowym należy czasem robić rzeczy, które nie są do końca dobre, bo inaczej nie osiągnie się celów. Nasza opozycja jest bardzo silna, wielu nie rozumie ideałów i próbuje nas zatrzymać, używając podstępnych środków.

- To wy wywołaliście tę wojnę - przypomniał Artur.

- Żeby zmienić niesprawiedliwy porządek świata, który przyznawał Niemcom poślednie miejsce na kartach historii. Mieliśmy się w imię pokoju godzić na los niewolników, narodu drugiej kategorii? My dążymy tylko do nowej, lepszej równowagi. Gdy ją osiągniemy, wojny się skończą, nastąpi ostateczne zwycięstwo i wieczny pokój. Niemcy nie pragną wojny.

- Myślę, że nigdy nie uda wam się zabić wszystkich wrogów, bo wy wrogów potrzebujecie. W ten sposób ostateczne zwycięstwo oddalać się będzie w nieskończoność, a wy będziecie mieć usprawiedliwienie dla rządów terroru. W imię sprawiedliwości i racji wyższych karmicie okrucieństwem mroczną stronę waszej natury, i nigdy nie przestaniecie.

- Czas pokaże, kto z nas ma rację - rzekł Weiner, a mięśnie jego twarzy niebezpiecznie stężały.

- Nigdy nie rozumiałem, co wy tak naprawdę macie przeciwko Żydom - rozpędził się niebezpiecznie Artur, nie wyczuwając napięcia wiszącego w powietrzu.

Zapadła chwila ciszy, a gdy Sosnowski usłyszał w niej gwałtowne bicie swego serca, zrozumiał, co właściwie powiedział. Ale reakcja Niemca okazała się zaskakująca. Weiner odpowiedział spokojnym tonem, powoli, jakby zastanawiając się nad każdym słowem:

- Pan nigdy nie żył w pokracznym tworze układów monachijskich, w republice weimarskiej. Pan nie wie, jaka tam panowała bieda, zaraz po wojnie i później.

Artur zastanowił się machinalnie, czy totalitaryzm zawsze ma swoje źródło w ubóstwie. Wówczas ludzie odwracają się od racjonalnych systemów społecznych, uważając, że to one są winne nieszczęściu. Szukając rozpaczliwie nowych rozwiązań, zwracają się ku tym, którzy obiecują najwięcej, nie myśląc, że to obietnice bez pokrycia. Archaicznie myślące masy dają się kierować wyrazistym symbolom, zmienia się nazewnictwo, zamiast republika, będzie III Rzesza, jakby dodany numerek miał polepszyć byt ludzi. Magiczne myślenie związane z nieostrym podziałem na świat zewnętrzny i wewnętrzny, według którego przekształcając słowo, można przekształcić rzeczywistość. Tak było, będzie - poprawił się, wspominając smutne wydarzenia w jego dawnej teraźniejszości, w Stanach i w Polsce. Wzorzec powstawania faszyzmu jest wszędzie taki sam, niezależnie od epoki. Frustracja społeczna prowadzi do porzucenia obecnych strategii adaptacyjnych i regresywnego rozwiązania, jakby powiedział Freud, zresztą Żyd.

- Niech sobie pan wyobrazi - kontynuował Weiner - że większość zasobów finansowych kontrolowali Żydzi.

- Zaradni ludzie - wtrącił Sosnowski. I sklął się w myślach za niewyparzony język.

- Niechętni wojnie, nie przyłączyli się do gigantycznego wysiłku narodowego lat 1914-1918 i zachowali majątki, spekulując na ludzkiej krzywdzie. Brak im było kręgosłupa

moralnego albo inaczej rozumieli naród i moralność niż my. Współpracowali ze sobą ponad granicami i frontami, Żyd Żydowi rękę podawał i przepływały pieniądze, gdy my przelewaliśmy krew w okopach. Teraz niech pan pomyśli, że obsadzili wiele ważnych funkcji w biznesie, i doda do tego ich cechy: nepotyzm i nacjonalizm. Widzi pan, jakim nowotworem dla podnoszącego się z wojennych ran osłabionego narodu była silna enklawa Żydów. W obszarze republiki weimarskiej nie awansował zdolniejszy czy lepszy, awansował ten, kto lizał ich żydowskie tyłki. Musieliśmy zwalczyć żydowską plutokrację, układ sił finansowych dostatecznie potężnych, by wpływać na decyzje Reichstagu. Dziesiątki naszych parlamentarzystów miała w kieszeni Międzynarodówka Żydowska, dzięki czemu można było łatwo przegłosować ustawy niekorzystne dla naszego narodu, ale sprzyjające interesom określonych grup. To Żydzi zaczęli tę wojnę narodów, nie my, Herr Sosnowski.

- Wy podjęliście chyba bardziej zdecydowane kroki.

- Niech pan sobie daruje sarkazm. My tę wojnę przegrywaliśmy! Oni byli Herrenvolk, rasą panów, rządzili naszymi masami przy pomocy kukiełek z Reichstagu. Dla każdego prawdziwego Niemca było to odwrócenie porządku danego nam przez Boga i Historię!

- Chyba dla każdego człowieka sytuacja, w której nie jest panem, stanowi odwrócenie porządku nadanego przez Boga.

- Pan nie stara się zrozumieć, zamiast tego bawi się żartami. Musieliśmy zastosować radykalne środki, by pozbyć się plutokracji. Podjęte działania były konieczne. Zwyciężyć mógł tylko jeden. Albo naród wybrany, Bnej Israel, albo Herrenvolk.

- A retoryka nienawiści?

- Żyliśmy w pieprzonej demokracji, potrzebowaliśmy tłumów, a tłum w swej masie jest prymitywny, myśli

kategoriami, że białe jest białe, a czarne jest czarne. Pokazaliśmy im zło najczystsze Żyda, sprawcę wszystkich nieszczęść, biedy, problemów w pracy i rodzinie, tego, że sąsiad jest wredny, a żona się puszcza. A oni to kupili i uczynili naszego Adolfa Hitlera kanclerzem. W demokracji trzeba karmić lud prostackimi emocjami i ma się go w garści.

- Twierdzi pan, że walka z żydowskim lobby...

- Słucham?

- Wy mówicie, plutokracja... że walka z grupami nacisku była koniecznością. Albo wy, albo oni. Jeżeli chodziło tylko o względy praktyczne... Gdy jednak wymawia pan słowo „Żyd", słyszę w pańskim głosie, Herr Sturmbannführer, prawdziwą nienawiść. Jak to wytłumaczyć?

Weiner wyraźnie był zakłopotany.

- Myślę... - rzekł wolno - że nie można rozpętać pożaru w narodzie i uniknąć poparzeń. Ogromne emocje mają to do siebie, że traci się nad nimi kontrolę. Każdy potrzebuje zła, Herr Sosnowski. Tak jesteśmy zbudowani. Adolf Hitler zabrał nam religię, a dał naukę. Ale nauka była zbyt amoralna. Trzeba było ją udoskonalić. Dlatego potrzebowaliśmy kogoś, kogo uczynimy odpowiedzialnym za wszelkie nieszczęścia... Takiego spersonifikowanego, konkretnego zła. Myślę... - dokończył wreszcie - że potwór, którego stworzyliśmy, by ujarzmić tłumy, pożarł nas od środka. Dostaliśmy nauczkę, że nie wiemy jeszcze wszystkiego, a procesy rządzące człowiekiem są potężne i niezbadane.

Podniósł się, wyraźnie zmęczony.

- Pan wybaczy, pójdę już.

Artur pozostał z nielichym zamętem w głowie. Weiner przez moment przekonał go, że zachowania faszystów były sensowne. Nieznacznie podważał w umyśle Sosnowskiego różne poglądy i zmieniał jego zapatrywanie na świat. Co

było prawdą? Czy było, jak mówił Weiner, że ideologia powstała jako nadbudowa do celów pragmatycznych i koniecznych? Czy raczej praktyczne uzasadnienie było racjonalizacją uprzedniego szaleństwa? Artur pomyślał, że jeżeli w ogóle się na tym zastanawia, to propaganda faszystów zwyciężyła.

Pomyślał o swojej sytuacji. Jest zależny od nazistów, oni go karmią i są zdolni obdarzyć luksusami. Czyż nie byłoby zatem wy godniej uwierzyć w ich ideologię? Zabiłoby to konflikt z sumieniem, usunęło dysonans, który Artura dręczył. Weiner oferował mu pokój duszy i dobrze o tym wiedział.

Poza tym z pewnością nie było przypadkiem, że rozmowa odbyła się zaraz po tym, jak Sosnowski odrzucił propozycję spotkania z Hitlerem, ryzykując życiem swoim i Weinera.

*

Niezwykły szacunek, jakim Artur zaczął się cieszyć u strażników i obsługujących jego pokój Niemców, jeszcze się pogłębił, zaczął graniczyć teraz z mistyczną niemal czcią. Kilka rzuconych niby przypadkiem uwag, zręczne, przemyślne indagacje i Polak dowiedział się, że przyczyną zjawiska była przepowiednia, że jeżeli dojdzie do spotkania Adolfa Hitlera i Sosnowskiego, Wielka Rzesza Niemiecka upadnie. Co za ironia, myślał Artur, dla zwykłej obsługi bunkra nie miało znaczenia, że przewidywał wyniki bitew. To rozumieli i cenili tylko generałowie. Zwykły człowiek zaczął go cenić dopiero, gdy usłyszał coś, co działało na jego wyobraźnię.

Ludzie pragną kłamstw, ale takich, które idealnie pasują do ich pragnień. Wówczas zrobią wszystko, co się im każe, z takim samym szaleństwem depcząc prawdę, godność, dobro czy piękno.

Artur bał się też, że nigdy nie opuści tej fortecy i napomknął o tym przy którymś spotkaniu z Krämerem. Ten uśmiechnął się, zwijając mapy i rzekł:

- Nie jest pan pierwszym więźniem, który z samego dołu zostanie wywindowany do najwyższych zaszczytów dzięki ezoterycznej mocy. Astrolog Wilhelm Wulff wydostał się z naszych obozów pracy, gdyż sprawnymi przepowiedniami zwrócił uwagę SS i jest teraz osobistym przyjacielem Heinricha Himmlera. Wybitny okultysta, Eryk Hanussen, jednym udanym seansem prekognicyjnym zdobył dokładnie to, o co pan prosił, całe lata trzydzieste był gwiazdą salonów, a po przyjęciach urządzał orgie na prywatnym jachcie z najpiękniejszymi aktorkami. A wszystko to dlatego, że powiedział, iż Adolf Hitler zostanie kanclerzem Rzeszy na niecały rok wcześniej, niż zapadła decyzja o nominacji. Po jego smutnym końcu na salonach bryluje teraz ciemny mag Batholomäus von Blankenknohr, ulubieniec towarzystwa i osobisty przyjaciel naszego wodza, po tym jak wspomniał, że zajmiemy bezkrwawo Austrię, znów jakieś dwa lata wcześniej niż to miało miejsce. W czasach, gdy lokalną gwiazdą staje się byle hochsztapler posiadający na zapleczu wirujący stolik, ktoś taki jak pan, ze zweryfikowanymi przez nasze testy zdolnościami, ma otwartą drogę do kariery. Salony czekają, Herr Sosnowski. Niech nas pan tylko nie zawiedzie.

Łatwo powiedzieć, pomyślał Artur.

Drzwi otworzyły się i wszedł Fichte wraz mężczyzną ubranym w szary kombinezon, dźwigającym zwój przewodów i tubę. Nowo przybyły podstawił pod drzwiami jedno z krzeseł. Zaczął montować nad nimi przyniesione urządzenie, dopiero teraz Artur domyślił się, że to mikrofon.

Sosnowski przyglądał się technikowi, coś w jego rysach twarzy nie dawało mu spokoju. Wreszcie zrozumiał. Nieznajomy miał wyraźnie francuską fizjonomię, zwłaszcza

rzucał się w oczy solidny galijski nos. Oto rezultat zakończonej wojny, w Unterirdische Festung pojawiła się nowa grupa niewolników: Francuzi.

Oczywiście, Artur mógł się mylić. Wywnioskował narodowość po wyglądzie. I wówczas przeraził się, bo pomyślał, że właśnie stał się takim samym zwolennikiem teorii rasowych jak naziści. Uznał bowiem, że Francuzi mają specyficzny wygląd. Czy taki pogląd czyni go już rasistą? Czy fakt, że się nad tym zastanawia, oznacza, iż nie jest z nim dobrze? Wariował i głupiał tutaj. Rozmowy ze Weinerem mieszały mu w głowie.

Tymczasem technik zamontował kable i odłożył krzesło na miejsce. Wyszedł razem z Fichtem.

Z głośnika popłynął komunikat Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu i podano datę 2 lipca. W butnych słowach pełnych ideologicznej nomenklatury informowano o zwycięstwie nad Francją, kosztach i zyskach wojny. Artur, uczulony na hałaśliwy, gardłowy ton, przestał słuchać już po pierwszych zdaniach. Wiedział o nazizmie dosyć, by nie oczekiwać po publicznym wystąpieniu krztyny prawdy. Czekał tylko, aż kakofonia się skończy i będzie mógł znów odpoczywać. Jednak ostatnie zdania przykuły uwagę, wzbudzając niepokój.

"Po tym największym w niemieckiej historii zwycięstwie nad nieprzyjacielem Wielkoniemieckiej Rzeszy, uważanym za największą potęgę lądową świata, który walczył równie mądrze, co odważnie, nie ma już aliantów. Pozostaje tylko jeden wróg: Anglia!".

Komunikat skończył się podniosłą melodią. Weszli technik i Fichte. Więzień w milczeniu znów przystawił stołek, rozmontował aparaturę, po czym zwinął kabel, odstawił krzesło na miejsce i drzwi znów się zamknęły.

Artur nigdy się nie dowiedział, czy to był Francuz.

*

Komunikat przybił go ostatecznie. Sosnowski miał wrażenie, że nigdy nie zdoła otrzymać swojej wielkiej szansy, by udowodnić Führerowi przydatność i co za tym idzie, zostanie w podziemnym mieście na zawsze. Zaczął się zastanawiać, czy w istocie cały czas go nie zwodzono. Może tak naprawdę Niemcy nie mieli zamiaru go wypuścić? Czy nadczłowiek jest obowiązany dotrzymywać słowa danego niewolnikowi? Możliwe, że Artur zgnije tutaj, pod ziemią.

Choć warunki miał dobre. Naziści budowali solidnie, nie szczędząc wysiłku i kosztów, niezwykłym sentymentem darząc swe podziemne projekty. Jedzenie było przyzwoite, zapewne dostawał typowe racje pracowników Unterirdische Festung. Dbano o niego. Widocznie wojskowe szychy zamierzały jeszcze zapytać go raz i drugi, jak potoczy się sytuacja na froncie. Potem i tak go nie wypuszczą, pod pretekstem że nie przepowiedział wszystkiego albo zbyt niedokładnie. Tak można się bawić w nieskończoność. Albo raczej do czterdziestego piątego, kiedy bomby alianckich samolotów ostatecznie zakopią Unterirdische Festung pod zwałami ziemi. Razem ze wszystkimi ludźmi, których nie wcielono do Volkssturmu i nie rzucono w ostatniej chwili na front.

Bo że historia się nie zmieni, Artur był już pewien. Z początku odnosił wrażenie, że wszystko, co mówi, jest tak filtrowane przez umysły Niemców, że staje się zgodne z decyzjami, które i tak miały zapaść. Potem jednak poczuł, że zasada tkwi gdzieś głębiej, w samej strukturze materii, schowana pod poziomem kwarków i bozonów. Mimo jego licznych prób podawania Niemcom taktycznych informacji, historia zastosowała własne mechanizmy homeostatyczne, które z powodzeniem przeciwstawiały się odkształceniom dokonywanym przez Polaka. Cokolwiek robił, dzieje toczyły

się i tak dokładnie w tym samym kierunku. Cofnął się w czasie z całą wiedzą dziesiątków lat, ale równie dobrze dla ludzkości mogłoby go tu nie być.

Było to nawet logiczne, zgodne z zasadami fizyki, z przyczyną poprzedzającą skutek. Gdyby Artur w jakikolwiek sposób mógł wpływać na bieg wydarzeń, doprowadziłoby to nieuchronnie do paradoksów, z których modelowym był: „Co by się stało, gdybym zabił własnego dziadka?”. Jakkolwiek temporalny przeskok był cudem, nad którym Sosnowski cały czas się głowił, nawet cudami rządzą przecież pewne prawa.

W rzeczywistości zatem Artur nie oferuje Niemcom nic, choć oczywiście z ich subiektywnej perspektywy jest inaczej. Może uratować życie, a nawet coś wygrać dla siebie, nie czyniąc w istocie nic złego.

I zaraz nasunęła się inna myśl, krytyczna. A może stworzył sobie taką hipotezę właśnie po to, żeby się usprawiedliwić? Jakie to wygodne! Nie, na samym początku tak nie było, zachowywał się jak zwierzę, chciał tylko przeżyć, nie myślał o niczym. Ale gdy bezpośrednie zagrożenie minęło, a warunki poprawiły się nieco, noce zrobiły się niespokojne, sen przerywały wyrzuty sumienia.

Ale co niby Sosnowski miał zrobić? Dać się zabić? Jak bohater?

Tak sugerował mu Konnicki, ale on był człowiekiem z innej epoki. Takich ludzi, z honorem, nie było już w Polsce przyszłości. Zginęli podczas powstań przeciwko zaborcom, w drugiej wojnie, zgładzili ich komuniści. Zostali przeciętni i mierni, rezultat negatywnej selekcji, jaką zafundowały narodowi dzieje. Nic dziwnego, że Polska z teraźniejszości Artura ledwie dychała i charczała, spadając powoli w kolejną otchłań totalitarnego szaleństwa.

Myślę jak nazista, skarcił się. Zdumiewające, jak łatwo w rozważania wkradła się eugenika.

Nieważne. Przynajmniej Artur umiał się przyznać, że nie pretenduje do wielkości. No, może poza jedną dziwaczną próbą re aktywowania Królestwa Polskiego z pomocą Rzeszy. Sosnowski był zwyczajnym człowiekiem, który nie chciał cierpieć za miliony. Chyba, że za miliony euro.

Zatem gdy nadarzyła się szansa, skorzystał. Nie było w tym nic złego. Wielkie czyny są dla wielkich ludzi. Sosnowski zachował się stosownie do swoich możliwości.

Nie pasowały mu te rozważania. Te o niezmienności historii były lepsze, nie budziły robaków w brzuchu, które zaczynały wić się w żołądku. Wrócił do hipotezy o mechanizmach obronnych czasu.

Może wymyślił ją dlatego, że znajduje się uwięziony głęboko pod ziemią, na łasce okrutnego wroga, a więc absolutnie bezradny. Jego stan emocjonalny zakłócił proces poznawczy i sprawił, że Artur tworzył teorię, w której jest całkowicie impotentny, niezdolny wpłynąć na historyczne zdarzenia. Analogicznie, jak nie potrafi chwilowo wpłynąć na własny los.

Choć przyznawał, mimo uwarunkowań osobistych, ta teoria najlepiej tłumaczyła dostępny obserwacji fakt braku zmian. Jedyna sensowna kontrteoria, jaką zdołał wysnuć, zakładała, że z każdą zmianą przeszłości aktualizowała się automatycznie pamięć Artura. Nie lubił jednak tej koncepcji, ponieważ gdy się dłużej zastanawiał nad jej implikacjami, miał wrażenie, że oszaleje z rozważań wynikało bowiem, że jego tożsamość nie jest aksjomatyczna. Teoria jednak była też słabsza od poprzedniej, bo nie tłumaczyła, w jaki sposób dokonuje się ta zmiana wspomnień, ani nie chroniła przed wspomnianym paradoksem „zabicia przodka”.

Jeżeli jednak Artur sądził, że czeka go teraz dłuższy okres nudy i spokoju, był w błędzie. Następnego dnia po

ogłoszeniu feralnego komunikatu, z samego rana do pokoju wpadli Weiner i Krämer.

- Adolf Hitler ma dla pana kolejne zadanie - rozpoczął twardym tonem Sturmbannführer. - Może nie wygląda ono na pierwszy rzut oka na zbyt ważne, ale zapewniam pana o jego dalekosiężnych konsekwencjach. Herr Hauptsturmführer?

- Francuzi dysponują czwartą co do wielkości flotą świata. Zgodnie z warunkami zawieszenia broni, ta potężna morska machina bojowa ma pozostać w rękach rządu Pétaina. Problem w tym, że my potrzebujemy tych okrętów, jeżeli mamy skutecznie walczyć z Royal Navy. Pojawił się jednak dylemat. Nie możemy ich tak po prostu zająć w kilka dni po ogłoszeniu rozejmu, którego warunki wspólnie uzgodniliśmy. To tak, jakby wypowiedzieć Francji wojnę zaraz po ratyfikacji traktatu pokojowego. Führer przychyla się ku bardziej delikatnemu rozwiązaniu. Powolne podporządkowywanie rządu Vichy Wielkiej Rzeszy Niemieckiej. Nazizm jako wyższy aksjologicznie ustrój niż demokracja wyprze przestarzałe formy sprawowania władzy. Wtedy Francuzi zrozumieją, kto jest ich prawdziwym wrogiem - zjudaizowana Anglia! Trzeba oczyścić Wyspy Brytyjskie ze zła. Żydzi nie powinni rozłazić się po świecie. *Ordung must sein!* Führerowi marzą się wspólne manewry połączonych flot i inwazja wojsk desantowych zjednoczonych jedną ideą. Taki proces, choć musi się udać, wymaga jednak czasu.

- Boimy się, by Anglicy wcześniej nie dopadli tych okrętów wyjaśnił Weiner. - Pańskim zadaniem będzie przewidzieć, która z opcji będzie korzystniejsza dla Rzeszy. Próbować jak najszybciej zająć statki, czy czekać aż flota francuska sama zasymiluje się z Kriegsmarine? Nie muszę dodawać, że Berlin nie wybaczy tym razem żadnego potknięcia.

Czy na cokolwiek ma wpływ? Zaraz Artur przetestuje swoją hipotezę w praktyce. A w każdym razie będzie miał okazję. Wytężył pamięć. O ile dobrze pamiętał, Francuzi walczyli podczas drugiej wojny światowej po stronie Anglików, do zjednoczenia floty francuskiej i Kriegsmarine nigdy nie doszło.

Weiner i Krämer patrzyli wyczekująco. Arturowi się wydawało, że zwłaszcza w oczach Hauptsturmführera widział nabożny podziw. Rzeczywiście, z perspektywy niemieckich oficerów działo się właśnie coś mistycznego. Przyszłość odkrywała swe tajemnice. Dla Sosnowskiego była to tylko kwestia przywołania przed oczy stronic z przeczytanych książek. Zabieg dziecinnie łatwy, gdyby nie odpowiedzialność i związane z nią napięcie, które kazało Arturowi po dwa razy zastanowić się nad każdą informacją, zanim ją ujawni.

Spoglądając na siedzących w skupieniu oficerów SS, czuł się jak kapłan. Nagle zapragnął przedłużyć ten moment, napawać się ich podziwem i uwagą. Może jeszcze kilka teatralnych gestów, może powinien jak Pytia wyrazić swoje przepowiednie niejasno, mętnie. Choćby dla własnego bezpieczeństwa.

- Zajmijcie okręty siłą, Francuzi nigdy nie będą z wami współpracować - odparł wreszcie. Na grę aktorską przyjdzie czas, jak go wypuszczą. Wtedy będzie mógł się wygłupiać.

Weiner skinął powoli głową.

- Wyślę depeszę do sztabu. Przygotują spadochroniarzy.

Naziści wyszli, a gdy zamknęły się za nimi drzwi, Artur został sam z myślami i pytaniami: Co się wydarzy? Co właściwie uczynił?

*

To, co się wydarzyło, Artur zrekonstruował z wypowiedzi odwiedzającego go codziennie Weinera. Rankiem, gdy oficerowie SS planowali przejęcie floty, brytyjscy komandosi obezwładnili ostatnich francuskich marynarzy i opanowali jednostki cumujące w portach na kanale La Manche. Obyło się niemal bez ofiar, zginęło tylko dwóch marynarzy „Surcouf”, największego okrętu podwodnego świata. Francuzów internowano w obozie pod Liverpoolem.

Dalsze wydarzenia miały daleko bardziej dramatyczny i krwawy przebieg. W godzinach popołudniowych, gdy depesza Weinera pięła się szczeblami hierarchii w Berlinie i powołano w stan gotowości spadochroniarzy, Royal Navy zawinęła do Oranu w Afryce, gdzie w porcie Al-Mars al-Kabir stacjonowała najpotężniejsza część Francuskiej Marynarki Wojennej. Rzesza, chociaż dysponowała już informacjami od Sosnowskiego, nie mogła niczemu zapobiec. Odległość była zbyt duża, a przestrzeń do przebycia w tym wypadku oznaczała czas, którego zabrakło. Nie niepokojeni Brytyjczycy ustawili swoją flotę u wejścia do portu, a angielskie samoloty postawiły zapory minowe uniemożliwiające przeciwnikowi ucieczkę na pełne morze. Francuzi otrzymali ultimatum. Albo będą walczyć po stronie aliantów, albo wejdą pod konwojem do brytyjskich portów. Jeżeli jednak wiceadmirał Gensoul, dowodzący armadą w Al-Mars al-Kabir, czuje się związany warunkami zawieszenia broni, zgodnie z którymi nie wolno mu walczyć z państwami Osi, powinien wypłynąć do portów w Indiach Zachodnich i tam pozostać do zakończenia wojny. W przeciwnym wypadku Royal Navy uczyni wszystko, by nie oddać żadnego okrętu francuskiego w ręce nieprzyjaciela.

Wiceadmirał Gensoul odrzucił ultimatum. W ciągu piętnastu minut stłoczona na kotwicach, nieprzygotowana do walki flota została zatopiona lub poważnie uszkodzona przez brytyjskie okręty wojenne. Zginęło grubo ponad

tysiąc marynarzy, około trzystu pięćdziesięciu zostało rannych.

Oburzenie, jakie zapanowało we Francji, było ogromne. Atak bez uprzedzenia na sojusznika uznano za zdradziecki i przeczący wszelkim regułom współpracy między sprzymierzeńcami. Przypomniano, że napaść na Al-Mars al-Kabir była pierwszą od stu dwudziestu pięciu lat bitwą obu narodów. Poprzednia odbyła się pod Waterloo.

- Jeżeli teraz nie nastąpi wojna angielsko-francuska, to nie nazywam się Weiner - piał z zachwytu Sturmbannführer.

*

Wysoko nad połyskliwą powierzchnią morza, na tle ciemnego nieba, wyglądały raczej na klucze ptactwa wracającego z Afryki do miejsc lęgowych niż formacje śmiercionośnych bombowców.

Tylko że pora roku była nieodpowiednia. Dlatego kapral patrolujący mury ufortyfikowanego Gibraltaru otarł dłonią spocone czoło, sięgnął do manierki z wodą, upił kilka małych łyków, wreszcie machinalnie uniósł lornetkę do oczu. Płomień słońca, świetlisty zdrajca, odbił się od skrzydeł. Uniesiona dłoń zamarła, mężczyzna zdusił w ustach przekleństwo.

Dwanaście długich sekund później powietrze przeszył ryk syreny oznajmiający alarm przeciwlotniczy. Nagle wszędzie zaroiło się od żołnierzy w mundurach o barwie brudnego pustynnego piasku. Pospiesznie obracano działka przeciwlotnicze, w większości skierowane w kierunku kontynentu. To stamtąd, z lotnisk należących do ultrakatolickiej, faszystowskiej Hiszpanii spodziewano się inwazji samolotów z białymi krzyżami Luftwaffe,

wspomaganych przez lotnictwo dotąd niezdecydowanego generała Franco.

Kapral raz jeszcze spojrzał przez lornetkę. Drapieżne stalowe ptaki znajdowały się już całkiem blisko, wzrok prześlizgnął się po czerwono-niebiesko-białych kręgach wytatuowanych na skrzydłach.

Syreny wyły tak, że kapralowi omal nie popękały bębenki w uszach. Zaterkotał karabin maszynowy. Chwila i dołączył drugi, zaraz potem śpiewał już cały chór.

Gdzieś na wysokościach as francuskiego lotnictwa położył dłoń na drążku otwierającym luk bombowy. Lekkim ruchem sterów wprowadził samolot w łuk, potem powoli przesunął dźwignię.

Kapralowi, którego lornetka zbłądziła akurat na rozwierający się brzuch samolotu, wydawało się przez chwilę, że to spłoszony jastrząb wypuszcza ze szponów ofiarę.

– *My God!*

Spadały seriami - czarne kreski za ogonami bombowców, niczym brudne odchody.

Działka przeciwlotnicze grzmiały. Karabiny śpiewały. Bomby spadały nieuchronnie jak śmierć.

Powietrze zatrzęsło się, fala uderzeniowa sprawiła, że kapral omal się nie przewrócił, podłoże zatrzęsło się, uniosła się chmura pyłu. Pierwsza, pomyślał kapral, uderzyła za daleko, skruszyła tylko kawał skały.

Potem opadły kolejne, każdorazowo wzbijając fontannę wody. Powietrze od rozproszonych kropelek stało się ciężkie i wilgotne jak przed tropikalną burzą.

Bombowce opróżniły brzuchy i zawróciły w kierunku marokańskiego wybrzeża.

*

Wkrótce po Al-Mars al-Kabir doszło do pierwszego starcia samolotów, zaraz potem marszałek Pétain wysłał potężną formację bombowców nad Gibraltar. Artur uznał, że chodziło mu raczej o zastraszenie Brytyjczyków, bo zrzucone ze zbyt dużej wysokości bomby nie spadły na cel, tonąc nieszkodliwie w morzu. Sosnowski po cichu zastanawiał się też, czy nie był to po prostu sabotaż, jakiego dopuściły się załogi samolotów, nie chcąc walczyć z niedawnymi jeszcze sojusznikami. Wyżsi oficerowie nie dawali się porwać burzy rozpętanej przez prasę i rozumieli strategiczne założenia, jakimi kierował się Churchill.

- Pétain to pedał i Żyd - ocenił sytuację Weiner. Dobiło go zwłaszcza, że choć rząd Vichy zerwał stosunki dyplomatyczne z Wielką Brytanią, to, jak się wyraził Weiner:

- Do kurwy nędzy, nie wypowiedział jebanej wojny!

Większość ocalałej floty francuskiej zawinęła do Tulonu. Rzesza nie zdecydowała się skorzystać z rad Artura i zająć okręty, choć byłoby to możliwe. Zmieniła się sytuacja polityczna, narastała francusko-brytyjska nienawiść, co dawało Hitlerowi okazję do stworzenia mocniejszych więzi z rządem w Vichy.

Weiner miał też własną hipotezę.

- Pamięta pan, jak mówiłem o okultyście, który nam może bruździć? Moje przypuszczenia stają się coraz bliższe prawdy. To on optował za planem stopniowej asymilacji Francji i to on walczy nadal o realizację tego planu. Spotyka się codziennie z Führerem. Dodam, w przeciwieństwie do nas. - Popatrzył z wyrzutem na Polaka. - Będziemy mieć jeszcze kłopoty z tym magikiem. Nie jestem jasnowidzem, jak on czy pan, ale tyle jeszcze umiem przewidzieć.

Jakakolwiek była przyczyna, Hitler wykorzystał wrogość Wysp. Zręcznie odroczył termin rozbrojenia francuskiej floty, odgrywając dobroczyńcę i zbawcę. Dzięki temu posunięciu odparł zarzuty Brytyjczyków, insynuujących, że Führer miał zamiar zagarnąć marynarkę wojenną Francji.

Kolejna poprawka do zawieszenia broni sugerowała utworzenie z ocalałych okrętów w Tulonie „Force de Saute Mer", dalekomorskich sił do prowadzenia samodzielnych akcji bojowych przeciwko Anglikom na Morzu Śródziemnym.

*

Artur odebrał całą sytuację jako niepowodzenie swoich możliwości „jasnowidza". Choć uznał za pocieszające, że jego teoria czasu, aktywnie korygującego wszelkie próby odkształcenia, znalazła kolejne potwierdzenie, to jednak powrócił strach, że nie opuści podziemnego miasta Rzeszy już nigdy.

Był zdecydowany, gdy tylko pojawi się Weiner, przeprowadzić twardą rozmowę na ten temat. Ostatecznie nie było żadnej różnicy, czy Niemcy będą trzymać Sosnowskiego w Berlinie, czy w Unterirdische Festung. A on stara się najlepiej, jak potrafi, i chce zacząć czerpać jakieś profity z tej współpracy. Był gotów uciec się nawet do szantażu. Zważywszy, że naziści nadal występowali z pozycji siły, ryzykownie było grozić odmową dalszej pomocy, ale po miesiącach spędzonych w mniej lub bardziej wygodnych celach, Artur miał już wszystkiego serdecznie dosyć.

Gdzieś w sercu czaił się strach, że Niemcy mogą chcieć odwetu za porażkę, przecież ostatnia akcja znów nie okazała się oczekiwanym sukcesem, jednak szybko odegnał te myśli.

Gdy następnym razem Weiner otworzył drzwi celi, na twarzy Polaka ujrzał determinację.

- Witam, Herr Sosnowski - odezwał się przyjaznym tonem oficer SS. - Jedzie pan do Berlina. Führer zawsze dotrzymuje obietnicy. Nie ma się z czego cieszyć, szczerze mówiąc, tutaj jest obecnie najbezpieczniej w całej Europie. Po tym jakeśmy dla hecy zbombardowali Paryż podczas ostatniej kampanii, Brytyjczycy rozpoczęli naloty na nasze miasta, dranie. Na szczęście nie za dobrze trafiają i głównie w takie budynki, które Führer i tak pragnął przeznaczyć do wyburzenia. Kilka osób jednak zginęło. No, ale pan ze swoimi zdolnościami jasnowidza wie, gdzie spadną bomby, więc nie ma się co martwić.

Wiele myśli kłębiło się w głowie Polaka. Ulga i niedowierzanie, bo przecież zawiódł, oraz irracjonalna myśl, że Niemcy nigdy nie przyznają się do przegranej i nawet gdy ponoszą obiektywne straty, jak podczas bombardowań, twierdzą, że właśnie o to im chodziło. Wszystko, by za wszelką cenę zanegować klęskę.

- No, co tak pan patrzy? Chociaż nie wykorzystaliśmy pańskich informacji, nie zmienia to faktu, że przewidział pan wszystko trafnie. Adolf Hitler panu gratuluje i pragnie mieć pana bliżej. Choć nie będziecie się spotykać z wiadomych względów - popatrzył na Artura groźnie - będzie się pan mógł konsultować w razie potrzeby z najwybitniejszymi specjalistami w Rzeszy.

- Czyli wychodzimy?

- Nie tak prędko - ostudził zapał Artura Weiner. - Decyzja jest już podjęta, ale najpierw trzeba dokonać kilku przygotowań. Ale bez obaw. Zostanie pan w naszym podziemnym mieście najwyżej parę dni.

*

Artur i Weiner odbyli w owym czasie wiele rozmów, w których oficer SS prezentował bardziej zdroworozsądkowy punkt widzenia, niż to miał w zwyczaju.

- Pan myśli, że ja nie potrafię być krytycznym wobec nazizmu. Potrafię. Widzę liczne wady. Na przykład dotąd nie udało mi się wyjaśnić, dlaczego do NSDAP przyjmujemy najczęściej głupoli. Tak samo do SS, garną się tam same półmózgi. Wystarczy popatrzeć, Fichte czy nawet Hagender... A przecież mamy szczytne ideały, piękną misję do spełnienia. Wystarczy jednak spojrzeć na obrady partii - toż to cyrk! Dlaczego nie przyciągamy inteligencji?

- Podejrzewam program narodowo-socjalny - mruknął Polak. Weiner nie usłyszał, kontynuował:

- Przecież chcemy uczynić człowieka doskonalszym. To ponadnarodowa idea. Ostatnio kolega przywiózł z Ameryki komiks. Bohater nazywa się Herrenvolk! I ma wojskowy mundur z runą sig w krysztale na klatce piersiowej. My, jak pan wie, nosimy dwie, SS. Ten amerykański Herrenvolk jest spełnieniem marzeń człowieka o doskonałości - lata, jest silny, piękny, może mieć każdą kobietę. Żadne uderzenie nie jest w stanie go złamać ani zranić. Prawdziwy Aryjczyk! Człowiek ze stali! Herrenvolk! Übermensch! Superman!

- Myślę, że dobrze jest dążyć do ideału, ale nie za wszelką cenę - zauważył wolno Sosnowski - bo wówczas trzeba odrzucić zbyt wiele z tego, czym się jest.

- Jeżeli jednak odrzuca się wady, to może warto. Przecież trzeba nad sobą pracować?

- Taki człowiek zaczyna nienawidzić samego siebie za niedoskonałość. Rośnie w nim gniew, coraz bardziej i bardziej, aż wreszcie ta wściekłość wylewa się na wszystko, co nie jest perfekcyjne. Nie zyskuje się spokoju duszy, a ideał, ideał wciąż jest nieosiągalny jak... jak Führer.

- Myśli pan, że się nie zastanawiam... nad kultem Führera? W czym niby jest lepszy od nas? Owszem, jest

wielkim wizjonerem, ale… Nie wszystko, co robi, mi się podoba. To nie tylko moja perspektywa. Część oficerów, zwłaszcza w Wehrmachcie, krytykuje uzależnienie planów strategicznych od ideologii, co wygląda, jakby Führer kierował się kaprysami i emocjami. Broń chemiczna nie, bo miał uraz po pierwszej wojnie, kiedy na krótko oślepł. Pracować nad atomową nie będziemy, bo oparta na żydowskiej fizyce, z której nic działającego nie może powstać. Co to za dowódca, mówią oficerowie, który nie uznaje czegoś takiego, jak taktyczny odwrót czy przegrupowanie. Taktyka „zawsze do przodu!” wygląda może dobrze na plakatach, ale, na litość boską, nie na polu bitwy. Póki szczęście nam sprzyja i cały czas wygrywamy, generałowie zagryzają wargi i milczą, znosząc kaprysy wodza. Ale co się stanie, kiedy fortuna się od nas odwróci? Czy ideologia „Niemiec nigdy się nie cofa” nas nie zgubi?

- Skoro ma pan tyle wątpliwości, co pan jeszcze robi w SS?

- A wie pan, czasem mam wrażenie, że to najbezpieczniejsza organizacja w kraju. Członkowie innych mogą zostać aresztowani, wysłani na front. Tu jest bezpiecznie, można zrobić karierę.

- Nawet jak się czasami robi rzeczy paskudne.

- Może mi pan nie wierzyć… ale staram się tego unikać. Nie jestem Hagenderem ani Mengele. Nie fascynuje mnie ludzkie cierpienie. Nie podoba mi się to, co robimy. Ale wierzę, że to jedyna szansa, by poddać ten kraj przekształceniom.

- A potem idealny człowiek będzie żył w idealnym świecie? Chyba już o tym rozmawialiśmy. Nie wierzę w utopię. Problemy będą zawsze, bo taka jest natura ludzka.

- Zmienimy ją. Korzystając z nauki.

- Okaleczycie się. Korzystając z nauki. Tak jak teraz sterylizujecie niewygodne elementy społeczeństwa.

- Nie da się z panem rozmawiać na pewne tematy... Pan nie rozumie. Niemcy były słabe i chore. Anglia i Francja podzieliły świat między siebie. To było niesprawiedliwe. Adolf Hitler powiódł nas ku wielkości. Jako Niemiec, chcę zrobić jak najwięcej dla moje go narodu. Dla moich dzieci. Wszyscy tak postępują. Adolf Hitler nie będzie żył wiecznie. Umrze za jakieś dziesięć, dwadzieścia lat. Wraz z nim odejdą niektóre... nonsensy. Natomiast zostaną po nim silne Niemcy, normalny kraj, zajmujący należne mu miejsce w atlasie geopolitycznym.

Adolf Hitler nie będzie żył wiecznie, powtórzył w myślach Sosnowski. To samo rozumowanie, którym usprawiedliwiał swoje decyzje, odnalazł w wywodzie Sturmbannführera SS. Czy wszyscy Niemcy w skrytości tak myślą? Boją się powiedzieć głośno, ale mają dość?

- A teraz - kontynuował Weiner. Jego spojrzenie się zmieniło, jakby wiedział coś, czym nie mógł się podzielić. - Teraz, co można zrobić? Nawet nie ma jak powstrzymać puszczonej w ruch machiny. Przecież musimy wygrać tę wojnę, musimy, bo za to, co zrobiliśmy Europie, na każdym drzewie w Rzeszy będzie wisiał martwy Niemiec. Nie darują nam tego, pan dobrze wie. - Zrobił zaciętą minę. - Pan to przepowiedział, ale my nie jesteśmy głupi, my wiemy bez pana, że nie możemy przegrać. Ale dość o tym. Niech pan jeszcze raz opowie, jak wygląda świat po wojnie. Przyjemnie się tego słucha...

Oparł głowę o ścianę i przymknął oczy. Mięśnie twarzy zaczęły mu się rozluźniać. Artur patrzył na tego targanego sprzecznościami człowieka i nie wiedział, co o nim myśleć. Tymczasem Weiner zakończył:

- Mam wrażenie, że są to jedne z nielicznych chwil, kiedy odpoczywam.

*

Artur chętnie opowiadał Weinerowi o zaletach demokracji ze swoich czasów. Kreślił wizje świata przyszłości, nawet w jaśniejszych barwach, by przekonać Niemca, że nazizm jest błędną drogą, że można uzyskać dobrobyt i szczęście w ustroju gwarantującym wolność oraz sprawiedliwość. Liczył, że długotrwały wpływ nie pozostanie bez echa. I pierwsze korzystne zmiany w światopoglądzie oficera SS zaczęły się już pojawiać. Był to jeden z nielicznych dobrych uczynków Artura na tym świecie, a Polak czuł potrzebę czynienia dobra, by zdusić robaki wijące się w brzuchu oraz nierównowagę duszy, jaką wywoływała współpraca z tymi, którzy stali po stronie zła.

Weiner był dla niego tajemnicą. Raz krytyczny wobec systemu, prezentował się jako pragmatyk i błyszczał intelektem. To znów wygłaszał z patosem pochwałę Hitlera i partii albo krzyczał głosem pełnym nienawiści o złu, jakie na świat sprowadziło międzynarodowe żydostwo. Sosnowski nie rozumiał, jakim cudem tak przenikliwy umysł może równocześnie wypowiadać takie brednie. Co ciekawe, te sprzeczne poglądy nie były ze sobą w konflikcie, rzadko dostrzegał u Weinera ślad walki wewnętrznej czy wątpliwości. Zdawały się istnieć obok siebie, niezależnie, raz jedna przejmowała władzę, raz druga, a zawsze jakby tej przeciwnej nie było wcale. Czy wszyscy naziści, by przetrwać w obłędnym systemie, musieli odczepiać własne poglądy od ideologicznej nadbudowy zamontowanej w ich głowach przez partię?

Tak czy inaczej, Arturowi zdawało się, że podczas długich rozmów uczynił wyrwy w systemie myślenia Niemca i któraś zwrotnica przestawiła się na drogę ku dobru. Było to osobiste drobne zwycięstwo Sosnowskiego.

Mijały dni, ale wciąż był więźniem podziemnego bunkra. Już sądził, że Weiner zwodzi go obietnicami, kiedy Sturmbannführer powiedział:

- Wyjeżdżam teraz na kilka dni do Berlina. Między innymi przygotować pańskie lokum oraz zadbać, by nie zdarzyły się nam żadne kłopoty. Kiedy wrócę, niech pan będzie spakowany.

Artur rozejrzał się po kwaterze.

- Żartowałem. I jeszcze jedno. Będę miał dla pana niespodziankę.

*

Było to późno w nocy. Najpierw do celi wpadło dwóch żołnierzy i zarzuciło Arturowi coś na głowę. Przerażony, obudzony zaczął się dusić i szarpać, ale kilka uderzeń ogłuszyło go kompletnie. Dał się zawlec gdzieś przez ciemne korytarze Unterirdische Festung. Materiał zasłaniający twarz pachniał skórą, w skroniach miarowo tętniła krew.

Wreszcie posadzono go na stołku, odsłonięto oczy. W świetle lamp Sosnowski ujrzał Hagendera. Niemiec stał prosto, rozkrzyżował ramiona, a następnie opuścił nieco w dół dłonie. Przed nim na gładkich, ułożonych równolegle trzech blatach leżeli ludzie, głowami w stronę oficera SS.

Robaki w brzuchu Sosnowskiego znów zaczęły się wić. Pomyślał, że Weiner, jego jedyny opiekun, jest teraz w Berlinie. Czy Hagender planuje wykorzystać tę nieobecność dla własnych okrutnych celów? Już po mnie, pomyślał Polak.

- Nazizm jest najpiękniejszym ustrojem, Herr Sosnowski mówił Hagender głosem słodkim jak miód. - Nasze państwo troszczy się o swoich obywateli lepiej, niż oni sami potrafiliby. Daje każdemu volkswagena i wczasy w urokliwym miejscu. W dłoni Obersturmbannführera pojawił się młotek, jak w sztuczce prestidigitatora. - Likwidujemy

bezrobocie, dzięki czemu nasi ludzie nie umierają na ulicach. - W drugiej ręce przyłożonej do czaszki leżącego zamigotał gwóźdź. - Wprowadziliśmy naukę zamiast religii do porządkowania systemu społecznego. Tworzymy projekty technologiczne, dzięki czemu życie będzie szczęśliwsze. - Trach! Młotek opadł, gwóźdź zagłębił się na kilka milimetrów, tworząc siatkę pęknięć na czaszce. Hagender uderzył po raz drugi. Chlusnęła krew.

- Stworzyliśmy pierwszy system polityczny w pełni przemyślany. Wykorzystaliśmy największy biologiczny atut człowieka, jego mózg, do dalszego pokierowania ewolucją gatunku. - Wbił już gwóźdź do połowy, przyjrzał się z zadowoleniem wystającej na palec główce. - To, co było wcześniej metodą prób i błędów, stało się dzięki nam procesem celowym. - Trzasnęła czaszka, gdy wbijał drugi gwóźdź. Artur chciał koniecznie zobaczyć twarz torturowanego, ale, o dziwo, wydawała się zamazana, nieostra. Ton Hagendera nadal był łagodny, spokojny. Gdyby zamknąć oczy i nie patrzeć na jego czyny, można byłoby iść za tym głosem wszędzie i nie żałować niczego. - Już teraz dbamy i opiekujemy się wszystkimi naszymi obywatelami, mądrze wydajemy środki dla dobra ogółu. A dzięki woli Führera udoskonalamy nasz system, dążąc do osiągnięcia politycznego absolutu. Skończy się okres przejściowy, wdrożymy wszystkie idealne postulaty NSDAP, którym opiera się niedoskonała rzeczywistość, i nastąpi tysiąc lat nieprzerwanego szczęścia. - Gdy to mówił, źrenice zaczęły się zamieniać w kręcące się czarne swastyki. Wirowały lewostronnie, hipnotyzując Artura, sprawiając, że żołądek podszedł mu do gardła i zakręciło się w głowie.

A wtedy leżący podniósł na chwilę głowę w przedśmiertnym skurczu i Artur zobaczył, że ma jego własną twarz.

# IV

Obudził się wyraźnie chory i naszpikowany złymi przeczuciami. Nie pamiętał pozostałych snów tej nocy, ale był pewien, że musiały być paskudne. Robaki w brzuchu całą noc rzucały się niespokojnie. Artur czuł w przełyku kwaśny smak ich wydzielin, był też pewien, że dostanie wrzodów. Nie mogło być inaczej, od kilku miesięcy żył jako więzień SS. Wrzody to naprawdę najmniejsza cena, jaką za to płacił.

Gdy Weinera nie było, nikt Artura nie odwiedzał, wiało nudą, a dni ciągnęły się w nieskończoność. Sosnowski sądził, że w warunkach bezpośredniego zagrożenia będzie się cieszył każdą sekundą życia, tymczasem spędzał godziny na rozmyślaniu, jak odbije sobie czas spędzony w więzieniu rozrywkami w Berlinie.

Zresztą nie był nawet pewien, czy dni mijają tak, jak sądzi. Głęboko pod ziemią rytm doby wyznaczała zapalająca się i gasnąca lampa w suficie. Odgłosy kroków za drzwiami nie stanowiły żadnej wskazówki, w Unterirdische Festung pracowało się na wszystkie zmiany.

Można oszaleć. Skoro Artur nie potrafi odróżnić rzeczy tak fundamentalnych, jak dzień i noc, to jak mógł odróżnić dobro i zło? Dzień jest wtedy, kiedy o n i włączą lampę. Czy tak jest z dobrem? Czy Artur nie zaczynał tak myśleć? Że dobre jest to, co oni zdecydują?

Znakomitym przykładem był zmieniający się stosunek Weinera do marszałka Pétaina. Gdy polityk decydował po myśli Niemca, był „wielkim człowiekiem i niezwykłym bohaterem, prawdziwym Aryjczykiem”. Ale gdy jego posunięcia nie podobały się Sturmbannführerowi, nazywał go „pomarszczonym kutasem”.

Sosnowski podszedł do lustra i zaczął się golić. Nie spieszył się, tym bardziej że nie przywykł do brzytwy. Poza tym codzienny rytuał zabijał czas. Artur wiedział, że gdy skończy czynności higieniczne, dostanie śniadanie, a potem będzie trzeba siedzieć aż do obiadu i tępo wpatrywać się w układ rys na ścianach.

Dokończył poranną toaletę. Cholerni zacofańcy, nie znali maszynek do golenia. Nigdy nie golił się brzytwą, za pierwszym razem omal nie poderżnął sobie gardła!

Choć z drugiej strony to, że mu ją dali, było świadectwem pewnego zaufania, nieprawdaż? Może przesadzał, czym była brzytwa w porównaniu ze schmeisserem?

Popatrzył na swoją twarz w lustrze. Zmienił się, wychudł, skóra na policzkach obwisła. Spojrzenie straciło blask. Zbyt długo tu nie wytrzyma. Gdzie ten cholerny Weiner? Może tu o nim zapomniano? I tak nie był zbyt przydatny. Może Weinera trafiła bomba? Cholerni Brytyjczycy podobno robią naloty na miasta. Może...

Dość zamartwiania się. Artur chciał umyć zęby. Ku jego zdziwieniu, zamiast zwyczajowego paskudnego proszku na umywalce stała tubka z pastą. Pamiętał, że kiedyś żalił się Weinerowi na niewygodę mycia zębów i pytał, czy nie można dostać pasty. Skoro ją otrzymał, to jednak o niego wciąż dbają. Dobra nasza!

Usłyszał pukanie. Zaraz potem w drzwiach stanął Fichte.

Robaki w brzuchu Artura zaczęły rozwijać segmentowate cielska. Paskudne długie glisty przetaczały się jedna po drugiej, splątane niczym gniazdo węży. Sosnowski poczuł, że zaraz zwymiotuje.

- Idzie pan ze mną - rozkazał esesman.

- Dokąd? - wyszeptał słabo Artur. Bał się powtórki snu. Powróciły wszystkie złe przeczucia, które dopiero co odegnał poranny rytuał.

- Opuszcza nas pan, jedzie na górę.

Ulga spłynęła na Sosnowskiego z siłą wodospadu. Ledwie się utrzymał na nogach, kiedy mięśnie opuściło napięcie.

- Weiner wrócił?

- Tak. Odmeldowuje się komendantowi. Został na stałe przydzielony do placówki w Berlinie. Przy panu. Proszę się przebrać. - Strażnik rzucił Arturowi stertę ubrań. - Nie chce pan chyba wędrować ulicami stolicy w byle czym?

Sosnowski przejrzał powierzone mu rzeczy. Koszula, marynarka, spodnie, może nie pierwszej jakości, ale i tak mężczyzna poczuł ulgę, pozbywając się nareszcie ohydnego kombinezonu. Esesman zaczął się niecierpliwić.

- Wychodzimy?

Artur skinął głową, dopinając guziki koszuli i wbijając się pospiesznie w marynarkę. Jeszcze raz obrzucił wzrokiem niewielkie pomieszczenie. Nagle poczuł irracjonalny żal. Przyzwyczaił się? Odejść stąd jak najszybciej. Ruszył śmiałym krokiem, przeszedł obok Scharführera i znalazł się za drzwiami.

Szedł pierwszy, za nim Fichte, czasami wskazując drogę. Artur zauważył, że coś się zmieniło. Podziemna forteca tętniła życiem bardziej niż kiedykolwiek, ciągle mijali go spieszący dokądś ludzie. Podłogę czyścili ubrani w szare kombinezony jeńcy, na każdym skrzyżowaniu stał wartownik ze schmeisserem.

Wszędzie wzdłuż ścian, pod sufitem biegły czarne rury. Upstrzone pokrętłami, łamiące się i zginające przy użyciu setek kolanek. Niektóre ginęły na rozstajach dróg, biegnąc w ciemność, ale wtedy pojawiały się następne. Jedne syczały i wydobywały się z nich białe kłęby pary, inne były po prostu wilgotne, kapała z nich woda. Powietrze w Unterirdische Festung, dotąd suche i duszne, teraz przypominało tropiki. Niekiedy na rurach pojawiał się

dziwny zielony smar, którego zapach wiercił w nosie i nie przypominał Arturowi niczego, co znał.

Zmieniły się też ściany. Ciemny kamień albo zszarzałą cegłę zastąpił czarny metal o pofałdowanej strukturze, jakby poddano go działaniu wysokiej temperatury.

Drzwi też były inne. Zamiast solidnego drewna z wizjerem, Artur widział teraz stalowoszare metalowe płyty o fakturze przywołującej na myśl chaotyczną płaskorzeźbę. Obrys też był niepospolity: dwa zbiegające się asymetrycznie esy, przez co jedno skrzydło było wyraźnie szersze.

Wkrótce skrzydła rozwarły się z charakterystycznym sykiem hydraulicznego mechanizmu i Artur zobaczył chowające się w krawędziach płaskie, solidne sztaby zamków, a potem drzwi dosłownie zniknęły we framudze. Z pomieszczenia wybiegła kobieta ze spojrzeniem jak zaszczute zwierzę. Dłońmi trzymała się za wielki brzuch. Musiała być w ostatnim miesiącu ciąży.

– *Nein,* pomocy, ratujcie mnie! - krzyczała mieszanką nieudolnej niemczyzny i polskiego.

Za nią wybiegło dwóch mężczyzn w białych kitlach. Zaawansowany stan uniemożliwiał kobiecie skuteczną ucieczkę, potknęła się i omal nie upadła. Mężczyźni w kitlach błyskawicznie ją dopadli i wykręciwszy ręce, przytrzymali.

- Sukinsyny - zdołała krzyknąć. Jeden z mężczyzn powiedział coś, czego Artur nie usłyszał, po czym z niemałym trudem wepchnęli uciekinierkę z powrotem do pomieszczenia.

- Co to było? Dlaczego ta kobieta uciekała? - zapytał Artur. Fichte czasami bywał służbistą i nie można było od niego nic wyciągnąć. Ale częściej dawał się ponieść gadatliwości, zwłaszcza teraz, gdy jego więzień okazał się

specjalnym gościem Berlina i Scharführer nie miał powodu , by nie odpowiedzieć.

- Takie są kobiety. Wszystkie chcą mieć dzieci. A jak już są w ciąży, przed samym porodem świrują. Że nie chcą, że im nie pasuje... Albo że wszyscy faceci to sukinsyny... A kto niby wcześniej tyłek nadstawiał i ruszał dupskiem aż miło?

- Nie wiedziałem, że w podziemnym mieście macie też szpital, a w nim porodówkę.

- W Unterirdische Festung jest wszystko tak, jak będzie w Rzeszy. Jakże by mogło zabraknąć czegoś tak ważnego dla przetrwania rasy?

- Tak dbacie o przetrwanie narodu polskiego? Ta dziewczyna nie była raczej Niemką.

Fichte zmieszał się nieco.

- To na początku. Nie będziemy przecież używać naszych kobiet do eksperymentów.

W korytarzu nadal było gorąco, ale Artur poczuł, jakby uderzył go lodowaty wicher.

- Jakie eksperymenty, mów pan!

- Rzesza... Naród, by przetrwać, potrzebuje żołnierzy. Jak najszybciej. Staramy się przyspieszyć rozwój płodu. Heinrich Himmler, wielki zwolennik tego projektu, jest zdania, że powinno się dzięki temu skrócić czas ciąży o co najmniej trzy miesiące. A docelowo może nawet o pięć! Wyobraża pan sobie, jakie znaczenie może mieć dla sytuacji na froncie przysłanie potężnych posiłków pięć miesięcy wcześniej?

Artur czuł, jak blednie, jak ogarnia go niewysłowione zimo. Nawet w ślinie zaczęły samoistnie tworzyć się kryształki lodu. Drapały przy przełykaniu w gardło, zbierały się koło grdyki w wielką śnieżna kulę.

- Czy wy planujecie ciągnąć tę wojnę następne dwadzieścia lat? Na tyle jest rozłożony ten plan, lekko

licząc.

- Może tak, może nie... Świat nienawidzi Niemców. Wiele zostało jeszcze do zrobienia, nim zapanuje pokój. Trzeba się przygotowywać. Heinrich Himmler myśli kategoriami długofalowymi, podziwiam go za to. W swoim gabinecie ma szczegółowe wyliczenia, o ile szybciej nasz naród będzie się rozwijał dzięki nowej metodzie. Będziemy liczniejsi i ewolucyjnie bardziej dopasowani. Tak mówili na szkoleniu.

- A te kobiety... - Artur wskazał na rzędy drzwi. - One cierpią. One umrą.

- Etap przejściowy. Wielkie czyny wymagają ofiar. Udoskonalimy tę technologię i już nikomu nie będzie się działa krzywda.

Zawsze to samo. Jeżeli nawet przyznają się do zła, co nieczęste, to udowodnią, że to zło konieczne, usprawiedliwione, bo prowadzi prostą drogą do raju, i co ważniejsze, jest przejściowe.

Wreszcie dotarli do niewielkiego placyku, podziemnej groty o stalowych ścianach. Hagender ściskał właśnie dłoń Weinera. Wizyta w Berlinie mu służyła. Dostał nowy mundur, który wydawał się jeszcze czarniejszy niż poprzedni, może dlatego, że stary zszarzał i zblakł od używania i wielokrotnego prania. Nie było to dostrzegalne, dopóki nie porównało się go z nowym, prosto od krawca. Na lśniącej czerni jeszcze wyraźniej lśniły srebrne naszywki, mieniły się w oczach pojedyncze liście dębu na kołnierzu. Komendant Unterirdische Festung wyglądał, przy jaśniejącym blaskiem pewności siebie Weinerze, dziwnie szaro. Widać było, że miesiące spędzone przy jarzeniówkach także nie wyszły mu na dobre. Ziemista cera pragnęła słońca, oczy zdradzały zmęczenie.

Na widok Hagendera Sosnowski poczuł kolejne ukłucie niepokoju. Czyżby zbliżały się kłopoty? Czy okrutny

naczelnik odda go bez walki? Pozwoli mu na to urażona duma, nieposkromiona ambicja Herrenvolk?

Na widok zbliżającego się Artura komendant jednak zaczął kończyć rozmowę z Weinerem.

- ...miło nam się wspólnie pracowało. Jestem przekonany, że gdyby urodził się pan dziesięć lat wcześniej, posiadałby pan dzisiaj dwucyfrową legitymacje partyjną i zasiadał wśród takich ludzi, jak Hermann Göring czy Heinrich Himmler. Podziemna forteca będzie potrzebować takich ludzi jak pan.

- Wszędzie można służyć Rzeszy i Führerowi.

- To prawda. Powodzenia na nowej placówce, Herr Standartenführer. - Ostatnie słowo wypowiedział ze szczególnym naciskiem, patrząc Weinerowi w oczy.

Pożegnali się i Hagender zniknął w którymś z korytarzy, nie zaszczycając Artura ani jednym spojrzeniem. A Weiner wyszedł na spotkanie, uśmiechając się szeroko.

- Witam, witam... Nie miał pan żadnych problemów podczas mojej nieobecności?

Artur zastanowił się, czy nie opowiedzieć o nocnym majaku, ale się powstrzymał. Uprzedził go Fichte:

- Po drodze przechodziliśmy przez porodówkę. Nasz gość bardzo to przeżył.

- Ech... - Weiner machnął ręką. - Nauka zawsze wymaga poświęceń.

- Czasem mam wrażenie, że rozwija się szybciej niż ludzkie sposoby okiełznania jej skutków.

- Mówi pan jak Marks. Niemal żywcem wyjęte ze stronic *Kapitału.* Nie jest pan chyba komunistą? - I nie czekając na odpowiedź, ciągnął: - Ludzie zawsze się bali nowych wynalazków. Wie pan, jak długo wierzono, że światło żarówek powoduje piegi? Poważnie, obawiano się o jakość cery. Niech pan pomyśli. Widział pan kogoś piegowatego w

Unterirdische Festung? A ci ludzie nie znają innego światła od miesięcy. Führer zawiesił im wszystkie przepustki, bo jest wojna i jego ukochane podziemne miasto musi pracować pełną parą.

- Albo inna kwestia - podjął po chwili. - Wierzono, znów mówię całkiem poważnie, że pociągi jeżdżące po torach kolejowych będą niszczyć okoliczne plony. Ile było protestów rolników. A proszę, Wielka Rzesza Niemiecka jest poprzecinana siecią autostrad i linii kolejowych. Plonom to nie szkodzi. Ale mam dla pana coś, co poprawi panu humor. Obiecana niespodzianka.

Wręczył Polakowi starannie złożony dokument.

- W dowód najwyższego uznania od Führera.

W głowie Sosnowskiego błysnęła krótka myśl: „Właściwie, z a c o ?”.

- No już, niech pan czyta. Niełatwo było to załatwić.

Artur ostrożnie rozłożył papier. Wbił wzrok w gotyckie litery.

- Przez dwa tygodnie nasi najlepsi historycy grzebali w archiwach i jest efekt - cieszył się Weiner. - Teraz wreszcie będzie pan mógł godnie wyjść na powierzchnię.

- Zaraz, zaraz... Chce pan powiedzieć, że mogliście mnie wypuścić wcześniej, ale czekaliście na ten - w ostatniej chwili powstrzymał się, by nie powiedzieć „cholerny” - papier?

Oto hitlerowska mentalność. Mógł się czegoś takiego spodziewać. Nie zdziwił się, kiedy uradowany Niemiec potwierdził:

- Oczywiście. Teraz jest pan kimś. Znaleźliśmy pana aryjskie korzenie. Ja zresztą od dawna to podejrzewałem, gdy tylko pana pierwszy raz zobaczyłem. Jestem, nie chwaląc się, specjalistą od rozpoznawania rasy. Nie tak

dobrym jak Heinrich Himmler, ale zawsze. Czyli co? Witamy wśród nas, Herrenvolk!

*

Z placyku przeszli przez krótki tunel, który wychodził na wielką betonową jaskinię. Przed nimi zaczynał się stalowy pomost szerokości dwóch metrów, otoczony dla bezpieczeństwa ażurowymi prętami.

Kroki esesmanów zadudniły po podeście. Artur spojrzał w dół. Poniżej pyszniły się w silosach rakiety. Wokół nich uwijały się dziesiątki ludzi w szarych kombinezonach. Spawali, przybijali, grzebali w przewodach. Robotnicy poruszali się też w powietrzu, w metalowych koszykach umocowanych na hydraulicznych ramionach ruchomych platform. Na balkonach czuwali strażnicy z ręcznymi karabinami maszynowymi w rękach. Kilku z gumowymi pałkami przechadzało się między pracującymi.

Na ścianach hali rozmieszczono wielkie zwierciadła. Artur przypuszczał, że to dla wykonujących precyzyjne prace robotników. W podziemiach zawsze panował deficyt światła. Nie dało się jednak wykluczyć, że ustawione przemyślnie lustra umożliwiały również obserwację pracowników.

Niektóre pociski były tak wielkie, że ich czubki sięgały sklepienia pieczary. Artur prawie mógł dotknąć lśniącej metalicznej powierzchni.

- Rakiety serii V. Vergeltungswaffe - odparł Weiner, widząc jego zainteresowanie. - Nowa cudowna broń, która zmieni oblicze wojen przyszłości. Już niedługo stracimy przewagę, jaką dało nam zmasowane użycie broni pancernej, wówczas szanse się wyrównają i skończy się era blitzkriegu. Ale rakiety... Rakiety mogące uderzyć w dowolny punkt na globie, to broń ostateczna. Tutaj mamy

centrum doświadczalne, gotowy projekt zostanie skierowany do seryjnej produkcji w Peenemünde na wyspie Uznam. Tam w Heeresversuchsanstalt są też odpowiednie warunki do końcowych testów. Wie pan, tu pod ziemią rakieta nie polata...

- Jak wy ją w ogóle wydostajecie? - zapytał Polak, porównując ogrom pocisku z wąskimi tunelami wychodzącymi z hali produkcyjnej.

- Niech pan spojrzy w górę. - Weiner uśmiechnął się lekko. Artur zobaczył okrągły otwór przesłonięty nachodzącymi na siebie płytami metalu. Mechanizm regulujący działał zapewne jak migawka w aparacie fotograficznym.

Nagły hałas na dole zwrócił uwagę Polaka. Część rusztowania podtrzymującego pocisk runęła z głośnym hukiem. Pozbawiona podparcia rakieta zaczęła się niebezpiecznie przechylać, wreszcie wśród krzyków ludzi uderzyła o ścianę, zarysowała czubkiem beton i oparła się o występ.

- Dobrze, że głowica nie była uzbrojona! - krzyknął Weiner, wychylając się przez barierkę. Fichte i Artur stanęli obok.

Na dole ludzie biegali we wszystkie strony, wzniecony upadkiem rusztowania kurz utrudniał orientację. Oślepieni strażnicy tarli oczy i klęli na czym świat stoi. Ci na galeryjkach celowali z zaciętymi twarzami do tłumu.

Donośny dźwięk przebił się przez harmider. Artur odwrócił się. Krew odpłynęła mu z mózgu.

Jeden z metalowych wysięgników uderzył o barierkę, na pomost wskoczył mężczyzna w szarym kombinezonie. Sosnowski rozpoznał Konnickiego. Oczy jeńca pałały chorobliwym blaskiem, z rękawa wyślizgnął się i błysnął nóż.

Papier, który trzymał Artur, zaczął nagle parzyć mu skórę. Sfałszowany przez faszystów z taką maestrią rodowód piekł niczym rana od ognia.

- Zdrajco narodu polskiego, kolaborancie - wysyczał Konnicki. Nadszedł czas zemsty!

Artur zmartwiał, przerażenie odebrało mu władzę nad mięśniami. Nie mógł się ruszyć, a napastnik przemieszczał się błyskawicznie, doskoczył do Sosnowskiego, zamachnął się nożem.

Nie wiadomo, jakim sposobem przed Arturem znalazł się Weiner. Mocnym uderzeniem pięści od dołu grzmotnął Konnickiego w szczękę. Jeniec pomknął w powietrzu szerokim łukiem i gruchnął na pomost, obok niego zaklekotał upuszczony nóż.

Konnicki potrząsnął głową. Wydawało się, że dłoń sama znalazła rękojeść noża. Popatrzył na Weinera stojącego z wciąż uniesioną pięścią. Pierścień z trupią czaszką lśnił i migotał. Jeniec, ku zdziwieniu Sosnowskiego, przeraził się niezwykle. Chwila wahania wystarczyła, by zareagował Fichte.

Wyszarpnął z kabury pistolet. Stanął w rozkroku przed leżącym, celując w serce.

- Rzuć to - rozkazał. - Natychmiast albo strzelam.

Wszystkie schmeissery na galeryjkach skierowały się teraz ku nim. Liczne czujne oczy śledziły każdy ruch Polaka. Z tuneli zaczęli wybiegać esesmani, żołnierskie buty zadudniły na metalowym pomoście.

- Żywcem go! Za wszelką cenę żywcem! - rozkazał Weiner, przebijając się władczym głosem poprzez panujący zgiełk.

- Rzuć to! - wrzeszczał Fichte.

Konnicki spojrzał prosto w oczy rozdygotanego Artura. Następnie powoli położył nóż na podłodze. Sosnowski

odetchnął z ledwie skrywaną ulgą.

Konnicki poruszył się błyskawicznie, ręka zatoczyła krótki łuk, nóż śmignął, mijając zaskoczonego Fichtego. Artur widział zbliżającą się lśniącą śmierć i miał wrażenie, że czas się dla niego zatrzymał. Ostrze przecinało powietrze, zbliżając się nieuchronnie.

Weiner znów, nie wiedzieć jak, zdążył stanąć przed Sosnowskim, dłonią uczynił krótki wymach. Szczęknęło, gdy czubek noża zderzył się z pierścieniem SS, krzesząc srebrne iskry, i odbity, upadł nieszkodliwie na posadzkę hali.

Strażnicy otoczyli Konnickiego, ale żaden nie odważył się zbliżyć. Wkrótce Artur zobaczył dlaczego.

Były żołnierz Wojska Polskiego leżał nieruchomo na podłodze Klatka piersiowa nie poruszała się. Wokół zwłok unosił się intensywny zapach gorzkich migdałów.

*

Fichte zaprowadził Artura do przybudówki wartowników znajdującej się na końcu pomostu. Weiner został jeszcze chwilę, by wydać rozkazy do czasu przybycia Hagendera. Sosnowski usiadł roztrzęsiony. To tak go postrzegano w ojczyźnie? Jako zdrajcę?!

Przecież chcę tylko przeżyć, myślał w nieopanowanym gniewie. Co niby miał zrobić? Dać się zabić tak głupio jak oni, żeby Stalin uczynił Polskę swoją prowincją na pół wieku? Gdzie tu sens? Tak, Artur ocali swoje życie i przysięga, że stworzy Królestwo Polskie, częściowo autonomiczne, pod parasolem Berlina. Wojna się kiedyś skończy, Hitler umrze, Niemcy staną się normalnym krajem, bo żaden totalitaryzm nie przeżyje swego twórcy. A Polska będzie w Europie, z dobrymi autostradami,

nowoczesnymi technologiami i silnym przemysłem. Takiej chciał przyszłości dla swojego kraju...

Zadrżał. Konnicki nazwał go zdrajcą. Informacja o jego zdolnościach zapewne już wyciekła z podziemnego bunkra, stając się solą w oku aliantów. Polacy będą polować na niego na całym świecie.

Nie rozumieją... Brak im szerszej perspektywy. Nie żyli za czasów Stalina. Nie widzieli, co się działo z Polską po zniewoleniu komunizmem, jak wpadła w otchłań nowego faszyzmu. Nie zrozumieją nigdy. Za to umrą tak pięknie.

Artur poczuł się nagle porzucony, pozbawiony narodu. Jak wielu wykształconych ludzi jego czasów, kpił z ideałów patriotyzmu, uważał, że przywiązanie do kraju jest źródłem konfliktów, czuł się obywatelem świata. Ale teraz miał wrażenie, jakby czegoś bardzo ważnego mu zabrakło. Polacy go odrzucili, natomiast śmieszny kwitek w dłoni był dla niego tylko nic nieznaczącą fałszywką.

Nic to, Artur czuł, że znajdzie własną drogę. Czuł, że musi. Przyszłość stała przed nim otworem.

Sosnowski popatrzył na swoje drżące dłonie i wspomniał wyborne francuskie wino, które nie tak dawno pili z Weinerem, gdy mgła zalegała nad Flandrią. Stwierdził, że byłoby mądrze poprosić Fichtego o kieliszek dla uspokojenia nerwów.

- Oszalał pan?! - zdziwił się Scharführer. - Tu w Unterirdische Festung wszystko jest tak, jak kiedyś będzie w całej Wielkiej Rzeszy.

Sosnowski popatrzył na niego bez zrozumienia. Widząc to, Fichte wyjaśniał dalej:

- Żadnych papierosów, żadnego alkoholu. Sam Führer jest abstynentem i my wszyscy chcemy podążać za jego przykładem. Alkohol jest absolutnie zabroniony, papierosy dozwolone tylko do torturowania więźniów, inaczej byśmy się tu podusili pod ziemią.

Artur chciał powiedzieć, że nie tak dawno przecież pił, ale nagła myśl ścięła mu umysł. Zrobiło mu się tak zimno, jakby już leżał w grobie. Powtarzał sobie ostatnie zdanie Fichtego jak mantrę.

„...papierosy dozwolone tylko do torturowania więźniów...".

„...alkohol jest absolutnie zabroniony...".

A on pił wino, wciąż pamiętał jego słodki oszukańczy smak i czujne oczy Weinera. Popatrzył po ścianach.

Historia się nie zmieniała pod wpływem tego, co im mówił. Żadne wydarzenie nie dało się odkształcić przez słowa wypowiadane przez Polaka. Niemcy dawali mu wciąż zadania zajmujące umysł. I słuchali tego, co Artur mówił, gdy nie myślał.

Bo przecież nie mogli, nie mogli, na bogów, mu zaufać!

Wszedł Weiner i ich oczy się spotkały. Esesman zrozumiał, że Polak wie.

- Chodźmy - rzekł krótko.

Kilka kroków ciasnym tunelem i znaleźli się w stalowej klatce windy. Fichte został na dole. Ruszyli w górę tylko we dwóch. Nad głowami kołysała się blada żarówka, oświetlając brudne betonowe ściany szybu. Winda pięła się ociężale ze zgrzytem wymagającego naoliwienia mechanizmu. Mimo że stali tuż obok, patrzyli na wprost.

Pierwszy odezwał się Weiner.

- Gdy Hitler dowiedział się, że przegramy tę wojnę, w pierwszej chwili się załamał. Nie chciał uwierzyć. Ale poczuł na dnie duszy, że to musi być prawda. Nie mieliśmy z nim takich kłopotów od czasu samobójstwa tej głupiej dupy, Geli Raubal. Wreszcie nastąpiło przesilenie. Desperacja dodała mu sił. Całkowicie się zmienił. Jeżeli kiedyś był zły, teraz stał się demoniczny.

Oczy Weinera zwęziły się niebezpiecznie. Artur zaś z przeraźliwą jasnością zrozumiał, że Niemiec pierwszy raz nazwał swego wodza tylko po nazwisku. Jakby Hitler uczynił coś, co nie pozwalało go dłużej szanować.

- Herrenvolk nigdy nie przegrywa, nie może przegrać. Zagoniony pod ścianę wilk kąsa bardziej boleśnie. A oni, tamci, przecież nie zamierzali stosować żadnych zasad, tak jak pan opowiadał. Dlaczego my mielibyśmy postępować szlachetnie i z tego powodu przegrać?

Winda wznosiła się z upiornym zgrzytem. Na betonie ciemniały brzydkie plamy.

- Zrobimy wszystko, żeby zapanować nad światem, Herr Sosnowski - mówił esesman złowrogo cichym głosem. - Nasze dzieci nie będą miały, jak to pan nazwał, DNA rosyjskich brudasów i śmierdzących Żydów z Ameryki. Wygramy za wszelką cenę, tak nam dopomóż Führer. Wszędzie będzie panować Tysiącletnia Wielka Rzesza Niemiecka.

Artur zbladł już zupełnie, był bledszy od mleka, od kredy, chciał tylko, żeby odeszło zimno, które sprawiało, że czuł się jak chodzący trup.

- Anglia... Anglia na to nigdy nie pozwoli! - krzyknął nagle. Słowa odbijały się przez chwilę bezsilnie w ciasnej kabinie, wreszcie spłynęły w dół szybu i zgasły.

Weiner po raz pierwszy popatrzył Arturowi w twarz. W jego cichym, szeleszczącym głosie czaiła się śmierć.

- Świat na górze nie jest już taki, jaki znaliśmy, drogi przyjacielu. Anglia... Anglia jest już tylko wymarłą równiną dymiącą sarinem, tabunem i fosgenem pod samo poczerniałe niebo.

Winda zatrzymała się z ostatnim zgrzytnięciem. Znaleźli się na powierzchni.

# Dziki

## I

Gdzie są bogowie tego świata? Dwa razy objawili się dla kpiny, żartu. Pierwszy raz, gdy przerzucili jak zabawkę marnego człowieka w mroki historii. Drugi, gdy spętali go, rzucili klątwę, że cokolwiek uczyni, nie przyniesie oczekiwanych efektów, lecz obróci się w zło.

Winda zatrzymała się wewnątrz drewnianej chaty krytej słomą. Na zewnątrz znajdowały się dwa betonowe baraki wyglądające jak pomieszczenia do przemysłowej hodowli świń. Wokół stało kilka innych budynków, chaotycznie rozrzuconych po okolicy.

Jaskrawy blask uderzył w oczy Sosnowskiego. Artur zamknął powieki i zatrzymał się w przejściu.

- Wszystko w porządku? - spytał Weiner.

- Odzwyczaiłem się od jasności dnia. Słońce uderza w siatkówkę niczym promienie lasera.

- Lasera?

- No, promień światła skupiony przez system zwierciadeł. Zdaje się, że potrzebne jest też coś w środku, choćby kawałek rubinu - tłumaczył z irytacją Sosnowski. Momentami ignorancja rozmówców doprowadzała go do szału. Odwrócił się tyłem do wolności i mrużąc oczy, przyzwyczajał je do półmroku pomieszczenia. Wreszcie, po dłuższej chwili, ruszyli. Sosnowski odetchnął pełną piersią. Wciągnął powietrze intensywnie świeże i czyste, nie wyzute

z tożsamości przez wiecznie zamknięty obieg, w którym każdy element z czasem wtopił się w całość.

I zapach, zapach trawy i zboża, upalnego letniego powietrza, jakże różnego od wentylowanego w podziemnej fortecy Hitlera. Jeżeli jednak Artur liczył, że przywita go piękna pogoda, to srodze się zawiódł. Niebo było zasnute grubą warstwą chmur. Słońce, którego blask tak w pierwszej chwili oślepił nieprzyzwyczajone źrenice, ledwie wychylało się zza chmur. Promienie z trudem przebijały się przez brudną watę, tracąc ciepło i pozłotę. Świat skąpany był w łagodnej szarości, jakby nie południe nastało, ale już nadciągała noc.

- W środku są maszyny niezbędne do prawidłowego funkcjonowania Unterirdische Festung - rzekł Weiner, wskazując na budynki. - Kamuflaż jest niezbędny w czasach, gdy alianckie bombowce niszczą nasze największe miasta. Wolałem, gdy zrzucały ulotki. To było nawet pożyteczne. Ludzie na wsi mieli czym rozpalać w piecu.

- Przynajmniej Brytyjczycy przyspieszają proces wyburzenia starego Berlina. - Podszedł do nich niemłody mężczyzna w hitlerowskim mundurze. Nie potrafił się powstrzymać, by nie zerknąć ciekawie na Artura. Za nim szedł młodszy, atletycznie zbudowany. - Führer się cieszy. Inaczej zmarnowano by wiele środków. A plany stworzenia nowej stolicy, godnej Wielkiej Rzeczy Niemieckiej, są już gotowe. *Heil Hitler!* Jestem Hauptsturmführer Neumann, a to Obersturmführer Schlink. Jesteśmy zaszczyceni, Herr Standartenführer, że możemy eskortować pana i pańskiego przyjaciela.

– *Heil Hitler*! - odparł Weiner, podnosząc wyciągniętą dłoń na powitanie przybyłych. - Prowadźcie, panowie. Polecono mi powrócić do Berlina jak najszybciej.

Esesmani ruszyli przodem. Weiner mówił do Sosnowskiego przyciszonym głosem, idąc za nimi:

- Proponuję w towarzystwie hejlować jak wszyscy. Teraz, gdy został pan uznany za Aryjczyka, pańska rezerwa robi złe wrażenie. Ktoś mógłby to uznać za demonstrację polityczną.

- Hmm. Nie myślałem o tym w ten sposób, ale... tak, to jest demonstracja moich poglądów politycznych.

- Herr Sosnowski, proszę... Ci tutaj uznali to za wyniosłość dostojnego gościa, który się nie spoufala z byle kim. W Berlinie może pan mieć kłopoty.

Artur przyspieszył nieco kroku. Zza pleców dobiegł go syczący głos Weinera:

- Ja was, Polaków, nie rozumiem. Tylu wśród was daje się przekupić, upodlić dla zysku, a niekiedy za darmo, byle zgnoić sąsiada, który ma więcej. Bez przerwy ktoś was podbija, niszczy waszą gospodarkę i eksploatuje zasoby, wasze najpiękniejsze kobiety trafiają w łoża władców innych narodów, a wasi przywódcy są najczęściej przekupieni albo zbyt głupi, by zauważyć korupcję. Na każdym kroku epatujecie małostkowością i marnością charakteru, przyziemnością potrzeb. Powiedziałbym, tacy jesteście i byłbym w stanie to nawet zrozumieć. Nie każdy jest stworzony do wielkości jak Niemcy. Potem jednak trafia się nic nieznacząca, czysto formalna kwestia, dla której jesteście gotowi ginąć w porywie szlachetnego bohaterstwa. Nigdy nie widziałem tak niespójnego narodu.

Wychodzili właśnie przez bramę z „gospodarstwa”. Cały teren był otoczony drutem kolczastym. Sosnowski obejrzał się, w oddali wznosił się mroczny masyw góry. Na szyldzie nad bramą ktoś wyrysował dziwny symbol, odwróconą literę „N”, przeciętą w środku krótką kreską. Artur zaintrygowany zapytał:

- Co to za znak?

- Wolfsangel - odparł krótko Weiner, ale nie wyjaśnił nic więcej.

Przed ośrodkiem czekał brązowy volkswagen. Schlink pełnił rolę szofera i, jak przypuszczał Artur, także ochroniarza. Obok siadł Neumann, a Sosnowski i Weiner z tyłu.

Ruszyli powoli, dość kręta droga prowadziła w dół. Oficerowie milczeli, nowo mianowany Standartenführer również nie miał ochoty zaczynać rozmowy. Jedynie kierujący pojazdem żołnierz narzekał na samochód, że za wolny, że za mało komfortowy jak na potrzeby szlachetnych gości. Przepraszał za każdy wybój, zwalając winę to na auto, to na wyrwę po alianckiej bombie, przez co musiał zrobić gwałtowny skręt.

Artur otworzył szybę, podmuchy wiatru rozwiewały włosy. Opuszczał tę górzystą okolicę. Z lubością wystawiał twarz na wątłe promienie słońca. Oczy prześlizgiwały się po detalach krajobrazu, jakby chciał w pamięci zachować każde drzewo, każdy krzak w jego pięknie, w jego niepowtarzalności. Żył i cieszył się chwilą, delektując się każdym okruchem rozkoszy płynącej z komórek ciała uwolnionego z dusznych kazamatów. Prawie zapomniał o koszcie tego życia i tej rozkoszy.

Tymczasem droga przestała meandrować i wyjechali na autostradę. Tu Schlink wcisnął wreszcie gaz i mógł rozpędzić samochód.

Nie minęło piętnaście minut, gdy Neumann przerwał milczenie.

- Wspaniałe są te autostrady, nieprawdaż? Moim zdaniem nasze drogi to ósmy cud świata. Wszystko przepadnie, ale niemieckie szosy przetrwają. Podziękujmy za to wszyscy Adolfowi Hitlerowi, który jest prawdziwym ojcem autostrad i stworzył sieć największą na świecie!

- To prawda. Führer jest wielki - odparł uprzejmym tonem Weiner, a jego oczy błysnęły. Neumann oczekiwał chyba

innej odpowiedzi, bo niespodziewanie zamilkł tak nagle, jak się odezwał.

Artur pomyślał, że coś się w Niemcu przełamało, po tym jak jego Führer dokonał zbrodni nie mieszczącej się w głowie.

Gwałtowny pisk hamulców przerwał rozważania. Artur uderzył boleśnie ramieniem o przedni fotel. Siedzący obok Standartenführer obserwował drogę i nie dał się zaskoczyć, rękami zamortyzował wstrząs.

Pierwsza myśl Sosnowskiego: ruch oporu, chcą go odbić. Wszędzie na drodze roiło się od mężczyzn w szarych kombinezonach. Umieścili na jezdni prowizoryczne czerwono-białe barykady. Polacy?

Nie, robotnicy drogowi.

Artur patrzył na znak zakazu jazdy. Wokół uwijali się pracownicy i malowali drogę na czarno. Jeden z nich podszedł do samochodu.

- Co tu się wyrabia!? - odezwał się wściekle Neumann.

- Autostrady malujemy, proszę wybaczyć. Na rozkaz samego Führera - odparł zapytany, chyląc kornie głowę. W dłoniach miętosił czapkę. Śmierdział kwaśnym potem.

- Po cholerę przemalowujecie autostradę na czarno?

- Nie wiemy. Rozkaz samego Adolfa Hitlera. Podobno trzeba je pokryć farbą w całym kraju. My jesteśmy prości ludzie, gdzie nam się tam do polityki mieszać. Jak każą malować, to bierzemy pędzel i idziemy robić. Przysięgam, nic więcej nie wiem - dokończył wyraźnie wystraszony.

- W porządku - odezwał się z tylnego siedzenia Weiner. A możecie mi wytłumaczyć, dlaczego malujecie naraz oba pasy, przez co cała autostrada jest nieprzejezdna? Trzeba było jeden kierunek zostawić, ten skończyć i dopiero...

- Nie pomyśleli my, panie. Dowodzi nami mianowany politycznie z partii. Jest od niedawna i nie zdążył się

wdrożyć. Szczerze mówiąc... - Mężczyzna się zawahał, ale jak już zaczął, to zdecydował się skończyć, żeby panowie nie odnieśli wrażenia, że coś ukrywa. - To on nic nie potrafi na razie.

- To co robi cały dzień?

- Jak to co? - zdziwił się robotnik. - Pisze raporty dla partii.

- A co się stało z poprzednim szefem? - zainteresował się nagle siedzący z przodu oficer SS.

- Też go dostaliśmy z partii. Niedługo nad nami był. Zginął tej zimy.

- Podczas kampanii w Norwegii? Bohater Rzeszy? - indagował dalej Neumann.

- Gdzie tam... - Machnął ręką zapytany. - Był u nas nowy, trochę sztywny, mówiło się, że tacy są w NSDAP, ale u nas chłopy są inne, chcieliśmy z nim pożartować. Pewnego mroźnego dnia ludziska dla kawału go zapytali, czy wie, jak smakują tory kolejowe i że jak się poliże, to tak, jakby cipki spróbował, za przeproszeniem. Nikt nie przypuszczał, że pójdzie sprawdzić.

Neumann zamilkł. Artur popatrzył na Weinera. Wargi Niemca poruszały się bezgłośnie:

- ...debil na cholernym debilu... debil na cholernym debilu.

*

- Co robimy? - zapytał Neumann. - To jeszcze trochę potrwa. A ci idioci bez szefa są jeszcze gotowi z rozpędu przemalować mi samochód na czarno.

- Widziałem ledwie minutę temu zjazd i szyld restauracji odezwał się Schlink. Można by coś zjeść i przeczekać, aż

jezdnia wyschnie.

- Zgoda - rzekł Weiner. - Wszystkim nam przyda się porządny posiłek.

Żołądek Artura się ucieszył. Po marnym żarciu w podziemnym mieście, wreszcie porządny obiad. Schlink zaczął zawracać. Jedna myśl nie dawała Arturowi spokoju.

- Po co maluje się wszystkie drogi w Rzeszy na czarno?

Siedzący z przodu odwrócili się i popatrzyli krzywo. Nic nie rzekli. A Weiner stwierdził tylko.

- Ściśle tajne.

Artur nie był pewien, czy w tych słowach nie czaiła się ironia. Popatrzył przez okno. Nagle jakby więcej słońca wyjrzało zza chmur. Sosnowski rzucił ostatnie spojrzenie na ciemny asfalt za nimi i wyobraził sobie całą sieć dróg, czarnych i złych. Ściśle tajne, powtórzył, ściśle tajne. Co ukrywają? Czy po takich autostradach mogą jeździć i n n e pojazdy? O co w tym chodzi?

Od błyszczącego świeżo malowanego asfaltu odbijał się blask słońca, jakby świat spalał się w mrocznych płomieniach.

*

Schlink zamówił parówki z kiszoną kapustą. Gdy tylko je podano, nad stołem rozszedł się charakterystyczny kwaśny zapach sprawiający, że ślinianki pracowały pełną parą. Kierowca SS pałaszował w iście imponującym tempie, przepijając bawarskim piwem, którego nie określał inaczej jak wyborne. W krótkich przerwach między łapczywymi kęsami poinformował wszystkich, że niemieckie kiełbaski są najlepsze na świecie, a te tutaj musiały być zrobione w samej Turyngii. Artur zauważył, że Niemiec stara się zjeść jak najszybciej i raz po raz zerka ku pobliskiemu

kościołowi, gdzie ludzie zbierali się właśnie na nabożeństwo.

Jego towarzysz, Neumann, jadł mniej żarłocznie, za to hałaśliwie. Na talerzu pyszniły się dwa pokaźne kawałki wołowiny ozdobione plastrami cebuli. Mięso przygotowano w piwie, nadto oficer SS każdy podniesiony do ust kawałek obficie popijał tym szlachetnym płynem z kufla. Co łyk próbował zaczynać rozmowę, ale Schlink był rozkojarzony, a Weiner małomówny i temat zamierał po krótkiej chwili.

W porównaniu z nimi Weiner jadł spokojnie, dzieląc pływającego w rieslingu sandacza na drobne kawałeczki, precyzyjnie używając sztućców, jakby brał udział w chirurgicznej operacji. Nie zamówił nic do picia, zadowalając się oszczędnym skrapianiem ryby sokiem z cytryny.

Artur zamówił wieprzowinę w sosie piwnym. Dostał zgrabnie zmontowaną wieżyczkę z plastrów mięsa ozdobionych pietruszką, poprzetykaną selerem i marchewką. Spływał z niej sos pomidorowy z ziarenkami pieprzu. Po tylu miesiącach marnego wiktu, Sosnowski rzucił się do oblężenia apetycznej twierdzy z zapałem krzyżowców zdobywających Jerozolimę.

Schlink, jak można się było spodziewać, skończył pierwszy. Dopiwszy szybko piwo, poprosił ściszonym głosem o możliwość udziału w uroczystości religijnej. Obaj przełożeni udzielili zgody. Na tarasie restauracji siedziało się przyjemnie, letnia pora gwarantowała rozleniwiające ciepło. Nikt też nie zakładał, że robotnicy kierowani przez partyjnego szefa pomalują autostradę szybciej niż w godzinę.

Artur przyglądał się nabożeństwu na świeżym powietrzu, wewnątrz kościoła panowałby nielichy zaduch. Kapłan w sutannie stanął na podwyższeniu, ludzie usiedli na wystawionych ławkach. Wokół zebranych ustawiono

trójnogi z pochodniami. Gra płomieni groteskowo wydłużała cienie wiernych, które zdawały się tańczyć.

Ksiądz zwrócił natchnioną, jaśniejącą nienaturalną świętością twarz ku zebranym. Łaknęli każdego słowa, gotowi spijać je z ust niczym zagubieni na pustyni wodę ze świeżego źródła. Każdy z nich, miotany wątpliwościami, przybył wreszcie do miejsca, gdzie zostanie zaprowadzony porządek dusz i spokój. Duchowny uniósł księgę w czarnej oprawie ze złoconymi tłoczonymi literami. Artur ze zdziwieniem zauważył, że brakuje na niej krzyża. Ksiądz zaczął czytać, ale niewiele można było usłyszeć.

Do Sosnowskiego docierało co dziesiąte słowo, poczuł irytację. By zagłuszyć mszę, zapytał:

- A wy, panowie, czemu nie idziecie?

- Jestem Gottgläubige - powiedział z dumą Neumann. Weiner skinął powoli głową, że on również.

- Co to oznacza? To rodzaj wyznania? - indagował Artur.

- To po prostu wiara w Boga, nie słabego, chrześcijańskiego, ale zgodnego z prawami natury, określanego przez rzeczywistość biologiczną - odparł Neumann. - Tego, który wybrał Adolfa Hitlera na Führera narodu niemieckiego i powierzył mu specjalną misję.

- Zaraz, zaraz... Skąd wiecie, że Bóg powierzył waszemu Führerowi jakąś misję? - przerwał Artur, ciekaw, jaką odpowiedź otrzyma od zwykle twardo stąpających po ziemi nazistów.

- Jak to skąd? Przecież sam Führer nam o tym opowiedział! W *Mein Kampf*! - Neumann był bezbrzeżnie zdziwiony.

- Hitler w co drugim przemówieniu przypomina, że wiedzie go Opatrzność, która zawsze uchroni od złego - wtrącił cicho Weiner. - Słyszałem to wiele razy w Berlinie.

- Zazdroszczę panu - rzekł z niekłamanym podziwem Neumann. Weiner tylko wzruszył ramionami, jednak takie ostentacyjne zbagatelizowanie zaszczytu tylko zwiększyło szacunek Hauptsturmführera.

- Jesteśmy narodem wybranym przez Boga - kontynuował Neumann. - Skoro stworzył rasy, to nie chciał równości, a więc jesteśmy lepsi, a inni gorsi. *Judenfrei* jest zgodna z wolą boską!

Artur chciał zapytać, czy pojęcia narodu wybranego nie wymyślili przypadkiem Żydzi, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie:

- Skoro jesteście „wierzącymi w Boga", nie przeszkadza wam, że Schlink bierze udział w chrześcijańskim obrządku? Przecież Chrystus był Żydem, jak to się ma do ideologii *Judenfrei?*

Neumann aż się udławił z oburzenia wołowiną. Kaszlał, pluł i parskał dobrą minutę, aż wreszcie, gdy zdołał złapać oddech, był już całkowicie czerwony na twarzy.

- Jezus Żydem!? - ryknął. - Kto panu takich głupot nagadał, Herr Sosnowski? W życiu nie słyszałem podobnych nonsensów. To tak, jakby mi ktoś powiedział, że Francuzki się myją między nogami. Czy pan do reszty postradał rozum?

Artur przytłoczony tyradą tylko milczał, wytrzeszczając ze zdziwienia oczy. A Niemiec charcząc i miotając z ust cebulą, kontynuował:

- Przecież wszyscy wiedzą, że Jezus był jasnowłosym Aryjczykiem o błękitnych oczach. Pisze o tym prokurator Judei do cesarza Tyberiusza w odnalezionym przez archeologów liście. Maryję uwiódł Germanin odbywający służbę w legionach Rzymu, by zaznać przygód i nadupczyć. Żadna się nie mogła oprzeć jego nordyckiemu urokowi, jak to ma miejsce po dziś dzień, i w ten sposób został poczęty Jezus.

Arturowi odechciało się tej rozmowy. Wolał patrzeć ku odległemu kościołowi, którego solidne mury zdawały się opoką przeciw panującemu wokół szaleństwu. Kapłan na ambonie podniósł właśnie oprawianą na czarno księgę po raz ostatni. Przytknął wargi do miękkiej skóry, składając pocałunek. W rozmigotanym świetle pochodni ożyły na chwilę litery i przerażony Artur odczytał napis: *Mein Kampf.*

Dobiegły go kończące mszę świętą słowa, ostatnie, więc wypowiedziane o ton głośniej:

- ...niech będzie pochwalony Jezus Chrystus na wieki wieków, amen. *Heil Hitler!*

*

Zjedli, Neumann zapowiedział, że pójdzie uiścić rachunek. Weiner zaproponował, że zapłaci za siebie i Artura, jednak Hauptsturmführer zaoponował:

- Ależ, Herr Standartenführer, to pójdzie z pieniędzy partyjnych. Jeszcze wezmę dwie butelki wybornego reńskiego rieslinga na drogę. W taki upał pić się chce.

Zostali sami.

- Nie podziękowałem panu za uratowanie mi życia - zaczął Artur. - Gdy tamten rzucał nożem, zasłonił mnie pan własnym ciałem.

- Nie ma o czym mówić - odparł krótko Weiner. - To był mój obowiązek wobec Rzeszy.

- Widziałem, jak odbił pan ostrze pierścieniem. To było niezwykłe. Miał pan dużo szczęścia, mógł się pan pokaleczyć.

- Nie pierścieniem. Uderzyłem w klingę krawędzią dłoni. To nie szczęście, to rutynowe wyszkolenie SS.

Artur popatrzył na ręce Niemca spoczywające na stole.

- Nie ma pan żadnej rany, choćby rozcięcia skóry. Poza tym... jestem pewien, że to był pierścień.

- Przy uderzeniu w bok noża skóra się nie przecina. Poza tym stał pan za mną. Nie mógł pan nic widzieć.

- Mogłem. Wszędzie wisiały lustra, zapomniał pan?

Niemiec milczał. Wreszcie odparł powoli:

- Lustra czasami kłamią.

- Mimo to zainteresował mnie pański pierścień. Ten ludzki czerep jest... przerażający.

- To *Totenkopfring,* pierścień trupiej czaszki. Symbol naszego poświęcenia dla Führera, w razie potrzeby oddamy nawet życie.

- Widzę na nim różne znaki... Otoczony jest liśćmi dębu.

- Pragermańskie drzewo - skinął głową Weiner.

- Ale pozostałych nie znam. Czy to runy?

- Tak. Dwie runy sig pan chyba rozpoznaje, są znakiem naszych eskadr ochronnych, SS. Swastykę też pan powinien kojarzyć.

- A co znaczą pozostałe?

Weiner odpowiadał niechętnie:

- Ta, która wygląda jak odwrócone „N”, to runa sol, która znaczy, że duch twórczy musi zwyciężyć. Strzała z dwiema lotkami z lewej strony symbolizuje siłę ducha, która uwolni człowieka. Podobna do gwiazdki to potężna hagal: „Czuwaj nad wszechświatem, który jest w tobie, a zapanujesz nad Wszechświatem”.

- Herr Standartenführer, to wygląda jak magiczne znaki. Nie zwróciłbym na nie uwagi, ale pański pierścień odbił nóż, który omal nie odebrał mi życia.

- Przypadek, taki pierścień nosi zresztą każdy zasłużony członek SS.

- Ale tylko pański egzemplarz czasem błyszczy w mojej obecności. Co tu się dzieje, Herr Standartenführer? Malujecie drogi na czarno. Czy dzięki temu będą mogły po nich jeździć i n n e pojazdy? Jakie? Dlaczego wszędzie kreślicie runy? Co one naprawdę znaczą?

- Jest pan zmęczony, Herr Sosnowski. Mój pierścień błyszczy, bo jest nowy, z racji młodego wieku ruchy mam bardziej energiczne niż Hagender. Runy to tylko nasza drobna niemiecka ekstrawagancja, nic więcej. Czasami nie należy się doszukiwać więcej ponad to, co widać.

- A drogi? Czemu zmieniają kolor na czarny?

- Też uważam, że nie ma powodu robić z tego tajemnicy. Ale to typowe dla Berlina, nigdy nie przyznawać się do najmniejszych ustępstw na rzecz wroga. Führer uznał, że takie drogi będą mniej widoczne z samolotów i uchronią nas przed zbombardowaniem. Schlink wraca. Chodźmy.

*

Im było bliżej Berlina, tym więcej samochodów pojawiało się na autostradzie. Co kilka minut volkswagen, którym jechał Artur i naziści, mijał pojazd wyładowany po sufit pakunkami, spod których ledwie było widać twarze dzieci. Na pierwszym siedzeniu zwykle siedziała nobliwa matrona w kapeluszu, kierował natomiast opasły mężczyzna z wąsikiem i włosami sklejonymi brylantyną. Niektórzy z nich z fantazją kurzyli cygara, a jeżeli dodać do tego popijającego wino prosto z butelki Neumanna, należało dojść do wniosku, że zasady z podziemnego bunkra Hitlera nie zostaną szybko wprowadzone na powierzchni.

Volksvagena mijały ciężarówki wyładowane wojskiem, młodymi chłopcami, z których żaden nie skończył chyba dwudziestu lat. Świeży pobór szedł umierać za Führera, Vaterland i Boga, w takiej właśnie kolejności. O dziwo, owa

hierarchia wcale im nie przeszkadzała, Bóg przecież odległy w niebiosach, a Hitlera można zobaczyć choćby na wiecach i defiladach. Toteż właśnie Hitler był dla Niemców pomazańcem, zesłanym przez opatrzność Mesjaszem, synem Bożym.

Nawet jeżeli któryś nie chciałby zasilić szeregów Wehrmachtu, jakiż mieli wybór? Kara za dezercję była jedna. Uciec nie mieli dokąd. W państwie totalitarnym system opresji działał wyjątkowo sprawnie. Zaopatrzenie mogło być kiepskie, ale kat i policja zawsze byli na zawołanie.

Ci chłopcy jednak nie mieli właściwie powodów, by uciekać przed poborem. Ich koledzy prawie bez strat zajęli Polskę, Norwegię i Francję. O rannych i zabitych się nie mówiło, chytry Goebbels bronił żelazną ręką dostępu do wszystkich źródeł informacji i mądrze wydzielał to, co ludzie powinni usłyszeć. Koledzy zatem zostawali bohaterami, otrzymywali ordery, dorabiali się czasem majątku, a najpiękniejsze dziewczyny rzucały się im w ramiona. Młodym wojna jawiła się jako wspaniała przygoda, wzbudzająca dreszcz emocji, a nie dość, że tyle przyjemności, to jeszcze wypełniało się nadto obowiązek moralny.

Wóz zjechał z autostrady. Droga prowadząca do stolicy była zamknięta prowizorycznym szlabanem i młody żołnierz kierował samochody do objazdu. Wystarczyło jednak, że zobaczył dystynkcje SS-Standartenführera siedzącego na tylnym siedzeniu, zamienił kilka szybkich słów z Neumannem i pozwolił im jechać. Szlaban otwierał się powoli.

- Nie wytrzymałbym kolejnego opóźnienia - warknął przez zaciśnięte zęby Hauptsturmführer.

Droga zakręcała wokół wzgórza, dlatego nie byli przygotowani na to, co ujrzeli, gdy niespodziewanie

wjechali na przedmieścia stolicy.

*

Wszędzie wokół leżały ciała. Na ulicy albo zwisające z okien niedużych kamiennych chałup. Niektórzy zabici próbowali wbiec do domów, licząc, że wnętrze mieszkania w magiczny sposób ich uratuje. Inni padali na zewnątrz, sądząc, że zło czai się w murach, pragnęli zaczerpnąć świeżego powietrza. Oszołomieni, potknęli się o próg i tak już zostali.

Najgorsze były twarze, napuchnięte, posiniałe, nienaturalnie powiększone. Z otwartych ust wystawały poczerniałe języki. Ręce przy szyi, ze śladami paznokci, jakby ludzie próbowali sobie rozdrapać tchawicę.

Wokół uwijali się żołnierze w czarnych uniformach. Na głowach nosili maski przeciwgazowe. Po sprawdzeniu kieszeni i opróżnieniu z wartościowych przedmiotów, rzucali ciała na wielkie stosy. Kobiety, mężczyźni, dzieci, wszyscy leżeli półnadzy, jedni na drugich. Do jednego ze stosów podeszło dwóch esesmanów z wielką butlą. Strumienie ognia zaczęły lizać zwłoki.

- Zamknijcie szczelnie wszystkie okna - powiedział Weiner.

- Cholerni Brytyjczycy - wycedził Schlink. - Używać broni chemicznej na cywilach. To już trzeci raz.

- Na szczęście, dotąd nam się udawało - stwierdził Neumann. - Widzi pan, chemię trzeba rzucać w dużej ilości, inaczej po prostu się rozwieje. Ot, kilka osób pokaszle, jedna umrze i po efekcie. Bomba burząca zrobiłaby więcej strat. Obrona przeciwlotnicza jest tak gęsta, że alianci nie mogą zrzucać dość chloru czy fosgenu na mały obszar.

Dlatego udaje im się skutecznie atakować tylko wioski i peryferia.

- A my...? Czy jesteśmy bezpieczni? Samochód może być nieszczelny mimo zamkniętych szyb.

- A pewnie, że jest, grat jeden - wykrzyknął radośnie Schlink. Najwyraźniej jakakolwiek krytyka samochodu była wodą na jego młyn.

- Poprosiłem, by zamknąć okna, bo nie chciałem czuć zapachu palonej skóry - odezwał się cicho Weiner. - Raz czułem i nie chcę wracać do tamtych wspomnień. - Jego spojrzenie stało się nieobecne.

Zapadła krótka cisza.

- Gaz szybko się rozwiewa. Zanim przybyły te dzielne chłopaki z SS, już dawno było bezpiecznie.

Przejeżdżali blisko leżącego ciała. Okrywająca nieszczęśnika odzież była w strzępach, bez wątpienia rozdarł ją w amoku. Palce konwulsyjnie wszczepiał w ziemię. Największe przerażenie budziła upiornie wykrzywiona twarz, całkowicie niebieskie białka oczu i wargi, w których kącikach spieniła się żółta ślina.

- Tak działa chlor, Herr Sosnowski - powiedział cicho Weiner.

- Hermann Göring i Adolf Hitler obiecali, że żadna bomba nie spadnie na Niemcy. - Okrutny widok podziałał nawet na kierowcę. - A tu takie coś.

- Wszystko elegancko posprzątają, i jakby nic się nie wydarzyło, nie? - odparł niezadowolony Neumann. Rzucił szybkie, niespokojne spojrzenie na Weinera. - Nikt się nie dowie i naród niemiecki wciąż jest niezwyciężony.

Jakaś myśl nie dawała spokoju Arturowi.

- Jeżeli już jest bezpiecznie, to czemu oni wciąż noszą maski?

Zapadła cisza. Siedzący z przodu byli wyraźnie skonfundowani. Weiner ze spojrzeniem wbitym w dal odpowiedział czystym głosem:

- Żeby nie było widać twarzy.

# II

Berlin powitał go śmiercią i krwią, rozpostarł się przed nim gruzami i pyłem miasta w trakcie przebudowy. Wiele dzielnic miało wkrótce zostać zrównanych z ziemią, by powstało miejsce dla nowej stolicy świata.

Artura ulokowano w hotelu blisko centrum. Dostał przestronny, komfortowo wyposażony apartament. Wręczono mu pewną sumę pieniędzy, jednak wkrótce się zorientował, że siła nabywcza marki nie była oszałamiająca. Weiner powiedział, że może prosić o dowolne sumy, a on zobowiązuje się je dostarczyć i asystować przy zakupie. Chodziło o to, żeby nieuczciwi sprzedawcy, mający we krwi duży procent żydostwa, nie oszukali nieznającego realiów Polaka.

Chodziło o to, bym nie uciekł z Berlina, pomyślał Sosnowski. Nigdy nie dostanę pieniędzy. Są zbyt niebezpieczne. To władza. Naziści zbyt boją się tego, co mam w głowie. Nigdy nie pozwolą, by wiedza szła w parze ze środkami, dzięki którym mógłbym ją wykorzystać.

Schlink miał zostać jego osobistym kierowcą, a także przewodnikiem po mieście, gdyby Artur chciał spacerować. Pomysł zwiedzania stolicy na własną rękę został stanowczo odrzucony.

- Jest pan dla nas zbyt cenny - uciął krótko Weiner.

- Uważacie, że coś mi grozi?

- Proszę pamiętać, że Polacy wydali na pana wyrok śmierci.

- Czy ich ręce sięgają aż tutaj?

- Szczerze mówiąc... nie sądzę. Tym niemniej mogą przekazać wiadomość o panu do Londynu, a tam, niech pan wierzy, nie darzą pana sympatią.

- Nie ja odpaliłem ładunki chemiczne.

- Czy myśli pan, że podczas wojny ktoś roztrząsa takie szczegóły?

Artur nie powinien być właściwie zaskoczony, że jego wymuszona współpraca z nazistami zostanie uznana za zdradę. Sprzymierzeni, dysponując zapewne siatką szpiegów w strukturach Rzeszy, zorientowali się już, że Hitler odkrył nową straszną broń i pierwszą naturalną reakcją musiał być rozkaz eliminacji zagrożenia. Sosnowski nie powinien być też zdziwiony, że rozkaz wykonują jego rodacy. Zagrała tutaj zapewne ambicja, kolaboruje jeden z naszych, więc to polska sprawa. Dla Anglików wygodnie jest odciąć się formalnie od sprawy, zwłaszcza z chwilą gdy formują się dywizjony lotnictwa chroniącego kanał La Manche przed flotą ekspedycyjną i potrzebny jest każdy, również polski, pilot. Czyż nie lepiej ukryć przed opinią publiczną niewygodne politycznie informacje? Poza tym zdecydowały względy praktyczne, organizacyjne, trzeba się w takich akcjach opierać na miejscowych. W podziemnym bunkrze znajdowali się polscy jeńcy, a i do Berlina bliżej z Warszawy niż z brytyjskich portów.

- Skoro muszę wszędzie chodzić z osiłkiem, może dajcie mi broń, żebym mógł sam o siebie zadbać?

- A umie pan strzelać?

- Nie. Ale mógłbym się nauczyć...

- Strata czasu. Potrzebowałby pan lat, by dorównać wyszkolonym zabójcom. Natomiast elitarny funkcjonariusz

SS, którego panu przydzielamy, jest nie tylko odpowiednio przeszkolony. Posiada także wrodzony talent, od dziecka miał doskonałe oko. Prawda, Schlink?

- Prawda, Herr Standartenführer. Jak miałem siedem lat, rozbijałem Żydom kamieniami okna z odległości pięćdziesięciu metrów.

- Sam pan widzi, jest w najlepszych rękach. Poza tym ochroniarz może w krytycznym momencie zasłonić pana własną piersią.

- Wolałbym mieć broń i kevlarową kamizelkę - odparł, przygryzając zęby Artur.

- Co to jest kevlar?

Polak wzniósł oczy ku niebu. Czasami było mu tak trudno.

- Nylon chociaż znacie?

Weiner kiwnął niepewnie głową.

- Robimy z niego włosie do szczoteczek do zębów.

- Super. - Artur westchnął naprawdę ciężko. - No więc pod względem chemicznym kevlar to coś bardzo podobnego, jednak charakteryzują go pewne ciekawe właściwości... - Następne dziesięć minut tłumaczył osłupiałym Niemcom naprawdę bardzo elementarne sprawy dotyczące syntetycznych włókien. Niestety, choć wysłuchali go uprzejmie, niczego podobnego nie mogli mu dostarczyć.

Przynieśli mu za to całe stosy ulotek i broszur propagandowych. Wysypując je na łóżko, Weiner sam się skrzywił, ale wyjaśnił, że to rozkaz z góry.

- Jest pan teraz jednym z nas, musi być pan uświadomiony politycznie. Rozumieć właściwie pewne sprawy - powiedział sztywno, służbowym tonem. Po czym uciekł spojrzeniem. Był wystarczająco inteligentnym człowiekiem, by ocenić, że przytachał ze sobą nieliche gówno.

Poproszono Artura, by nie wychodził zbyt często. Został sam w luksusowym hotelu ze stertą śmieci. I z sugestią, że zapoznanie się z ich treścią będzie mile widziane.

Nie dał rady. Na szczęście po kilku dniach Weiner zlitował się i przyniósł *Tako rzecze Zaratustra.*

A wkrótce zaproponowano mu nowy etap edukacji, tym razem w terenie. Zaproszono Artura na wystawę wielkoniemieckiej sztuki.

*

Pierwsze zetknięcie z narodowosocjalistyczną sztuką, delikatnie mówiąc, nie rzuciło Artura na kolana. Wizerunki mężczyzn były przesadnie muskularne, stylizowane na herosów. O ile jednak antyczni bohaterowie walczyli z potworami, idol Rzeszy mierzył się z bardziej prozaicznymi zadaniami. Gigantycznymi mięśniami dźwigał snop zboża, ścinał kłosy, wymachując lśniącą kosą, wreszcie z zawziętą twarzą i spojrzeniem wbitym w dal trudził się w innym czynie społecznym dla narodu. Przedstawienia kobiet nie wyglądały dużo lepiej. Najczęściej nagie lub rozbierające się, wywoływały wrażenie, że niemieckie samice są łatwo dostępne. Gdybyż jeszcze były piękne, Artur nie miałby nic przeciwko temu. Ale sztuka dla mas przedstawiała obraz kobiety z sąsiedztwa, zwyczajnej, o topornych rysach. Jej „nadludzkość" przejawiała się w eksponowaniu genitaliów i zadowoleniu swego pana.

Stał teraz przed najlepszym chyba dziełem nowego nurtu w sztuce, *Wieśniaczą Wenus* Seppa Hilza. W chłopskiej izbie naga kobieta, tylko w skarpetkach, ściągała kapeć. Nie, jedna skarpetka już została zdjęta, leżała teraz kusząco na podłodze.

- Wedle Adolfa Hitlera, wszelkie nowoczesne prądy w sztuce, jak kubizm, futuryzm czy dadaizm, są rezultatem

degeneracji człowieka i zhańbienia rasy przez element żydowski, będący czynnikiem niszczycielskim dla kultury. - Weiner zdobył dla nich przewodnika, który oprowadzał ich po wystawie. - Führer sformułował nowe wytyczne dla sztuki: piękne jest tylko to, co pozwala realizować cele, jakie stawia przed organizmem ewolucja. Wizerunek mężczyzny ma wyrażać męską siłę, kobiety przedstawiać matkę oddaną swemu najwyższemu celowi - prokreacji. I oczywiście gloryfikujemy tylko to, co zdrowe.

Weiner odchrząknął.

- Coś jest w tym, że sztuka współczesna dąży donikąd. Kiedyś, przed wojną, zaprosiłem do mojej rezydencji w Kolonii uznanego nowoczesnego artystę, by namalował mi obraz. Zaoferowałem naprawdę ładną sumkę, miał być to prezent dla kogoś szczególnego.

Artur słuchał uważnie. Po raz pierwszy oficer SS opowiadał mu o życiu osobistym.

- Przylazła ta menda - kontynuował Standartenführer - i najpierw zjadła z nami obiad. Nie dało się wyprosić. Potem nakazał, by zostawić go samego w pokoju, gdzie usiadł po turecku przed białym płótnem rozpiętym na sztaludze. Przed sobą rozstawił farby i gotowe do użycia pędzle. Prosił, żeby mu nie przeszkadzać, ale ja co godzinę zerkałem ukradkiem, na co idą moje, proszę mi wierzyć, niemałe pieniądze. A on siedział i gapił się przed siebie. Żeby chociaż przez okno, tobym rozumiał, czasami praczki wychodzą w mokrych ubraniach. Ale tego dnia padało, a on patrzył na płótno. Zbliżał się wieczór. Powoli doszedłem do przekonania, że jak dzisiaj nie skończy, nie zapłacę dodatkowo za następny dzień. Ale malarzyna wreszcie wstał, chwycił na chybił trafił jeden z pędzli i zaciapał kilkoma machnięciami płótno. Powstało pięć czerwonych pręg i jeden rozbryzg. Artysta otarł pot z czoła i ogłosił, że skończył i jest wyczerpany pracą twórczą. Prawie mi mdlał w salonie, ale zainkasował za ten bohomaz tyle, że mógłby

wynająć sobie ludzi, którzy zanieśliby go do domu w lektyce i na wet by tego nie odczuł w portfelu. Nie, współczesna sztuka jest nie dla mnie, Herr Sosnowski.

Artur patrząc na rozwieszone wokół obrazy, nabrał przekonania, że to też nie jest alternatywa. Sztuka musiała nadal szukać swojej drogi.

*

Kolejna sala poświęcona rzeźbie, zajęta niemal w całości pracami Arno Brekera, robiła zgoła odmienne wrażenie. Majestatyczne posągi przytłaczały, kanciaste, ostre sylwetki mężczyzn tłamsiły zmysły emanującą z nich siłą. Wszystko poświęcone było kultowi ciała, uwielbieniu doskonałej sylwetki idealnego Aryjczyka. Na środku przykryte płachtą stało najnowsze dzieło, uroczyste odsłonięcie miało się odbyć dzisiaj. Była to ostatnia rzecz, jaką zdołał im powiedzieć przewodnik, nim Weiner go odprawił, trafnie dostrzegając, że Artur ma alergię na durni.

Widząc zainteresowanie Sosnowskiego posągami, sam zaofiarował się opowiedzieć kilka rzeczy:

- Ponoć jako modele tych monumentalnych postaci służyli Brekerowi najtęższi esesmani. Jednak nawet oni nie wystarczyli. Artysta musiał konsultować się z anatomami, jak wyglądałaby proporcjonalnie tak wielka sylwetka przedstawiciela rasy aryjskiej.

Nadludzie Brekera robili wrażenie. Jednak dopiero gdy Artur zobaczył jego drapieżne, zmysłowe kobiety, poczuł prawdziwy zachwyt. Pozostawił Weinera przed gigantem i chodził między statuami wygiętych w różnych pozach dziewcząt, zafascynowany, całkowicie pochłonięty sztuką. I tak obchodząc rzeźbę, wpatrzony w jej hipnotyzujące kształty, zderzył się niespodziewanie z miękkim kobiecym ciałem.

Usłyszał krótki krzyk i poczuł zapach młodej kobiety. Po posadzce rozsypały się papiery.

- Najmocniej przepraszam - rzekł natychmiast. - Niewybaczalnie się zagapiłem.

- Ja również nie patrzyłam, jak idę - odparła dźwięcznym, zmysłowym głosem stojąca przed nim dziewczyna. Długie blond włosy opadały na ramiona miękkimi falami złota. Miała niepospolicie wyraźne, regularne rysy twarzy, przy których uroda rzeźb Brekera wydawała się tandetna. W jednej chwili Artur o nich zapomniał, wpatrzony w te doskonale wykrojone niewielkie usta, drobny nosek, zielone, uważne oczy. Pozwolił sobie obrzucić nazbyt śmiałym spojrzeniem figurę, szczupłą, z wyraźnie zarysowanymi biodrami i wcięciem w talii oraz może nazbyt małymi, ale prężnymi piersiami dzielnie rozsadzającymi bluzkę.

Gdy zaczerwieniła się lekko, zorientował się, że przesadził i powinien teraz coś powiedzieć. Zamiast tego spuścił wzrok i nieoczekiwanie znalazł tam wybawienie.

- Pomogę pani pozbierać. - Przykucnął, sięgnąwszy po rozsypane arkusze. Młoda kobieta znalazła się tuż obok.

- Nie trzeba. Ja sama...

Już chwycił pierwszy rysunek i zatrzymał się na chwilę. Przedstawiał akt.

- Arno Breker to wielki artysta. Jego dzieła mnie inspirują rzekła wyraźnie zmieszana nieznajoma. Powód wcześniejszego nagłego zaczerwienienia wyjaśnił się nieoczekiwanie zupełnie inaczej, niż przypuszczał Polak.

- Myślę, że jeżeli nadal będzie pani tak rysować, wkrótce pani sława przewyższy jego - odparł gładko, wręczając jej plik arkuszy.

- Jest pan niezwykle miły, jednak operuje pan kłamstwem równie zręcznie jak Breker dłutem.

- Sztuka nie może być kłamstwem, bo wypływa z wnętrza artysty. W sztuce każdy fałsz zgrzyta i przenosi dzieło nieodwołalnie w sferę kiczu. W tej sali, gdzie królują artyści, kłamstwo natychmiast straciłoby skrzydła i upadło na bruk. Nie doleciałoby do pani uszu.

- Myśli pan, że obecność dzieł sztuki wpływa na myśli i słowa ludzi?

- Powiem więcej, wpływa na cały ich przyszły los.

- Co zatem z nami? - Przekrzywiła filuternie głowę. - Spotkaliśmy się pod rzeźbą Brekera.

I oboje, równocześnie spojrzeli w bok. I jakby dopiero teraz dostrzegli naprawdę *Młodą Wenus* - postać klęczącej kobiety wygiętej do tyłu, wspartej na rękach. Skierowana ku niebu twarz zastygła w tajemniczej ekstazie. Prężne piersi zdawały się błagać, by je przykryć dłońmi. Rozchylone uda pragnęły rozpaczliwie mężczyzny, nie, nie całego, tylko tego jednego fragmentu mogącego dać rozkosz, ulżyć słodkiemu cierpieniu, niespełnieniu.

Artur popatrzył jeszcze raz na stojącą przed nim dziewczynę, której twarz oblała się rumieńcem. Poczuł nagle, jak ogarnia go zwierzęca fala pożądania. Obudziła się w nim pierwotna dzikość i zapragnął posiąść tę dziewczynę natychmiast.

- Powinnam już iść - powiedziała speszona, przycisnęła szkice do piersi i odwróciła się gwałtownie. Obcasy zastukały po gładkim marmurze.

Patrzył na smukłą sylwetkę, na kibić kołyszącą się w takt kroków - i zrozumiał, że pozwalając odejść temu przeuroczemu stworzeniu, popełnia największy błąd w życiu.

- Zaczekaj! - krzyknął.

Nie posłuchała.

- Powiedz chociaż, jak masz na imię!

Ku jego zaskoczeniu odwróciła się na mgnienie, w jej oczach zamigotały szmaragdowe iskry. Jej śmiech zabrzmiał jak srebrne dzwoneczki.

- Młoda Wenus.

*

- Jest pan wreszcie - powiedział Weiner, gdy Sosnowski stanął obok niego. - Robi wrażenie, prawda? Nasza rasa ma jednak coś, czego cały świat może nam pozazdrościć.

Artur powoli, zdecydowanie skinął głową, cały czas mając pod powiekami obraz śmiejącej się blondynki.

Zbliżał się moment odsłonięcia monumentalnej rzeźby, wokół gromadzili się już ludzie. Wreszcie pojawił się dyrektor muzeum, wygłosił krótką mowę, z której Sosnowski niewiele zapamiętał. Ogromna brunatna płachta opadła i oczom zebranych objawiły się trzy sylwetki wykute w czarnym kamieniu.

Pierwszy po lewej był cały pokraczny, zdeformowany, zwłaszcza widać było to wyraźnie na przykładzie jednej stopy, sprawiającej wrażenie zniekształconej. Środkowy był kurduplem, z jego utrwalonych przez rzeźbiarza ruchów biła za to chora energia, jakby wiecznie walczył z własną nadpobudliwością. Ostatni był po prostu otyły, sylwetka zdawała się uginać ku ziemi pod ciężarem własnej masy, policzki wprost ociekały tłuszczem.

Złota tabliczka na postumencie ujawniała tytuł rzeźby: *Trzej Aryjczycy.*

Rozległy się pierwsze brawa. Najpierw nieśmiałe, potem zamieniły się w istny huragan.

Gdy po dobrych kilku minutach umilkły, do uszu Polaka dotarły pierwsze komentarze zachwyconych nazistów.

- Szuka narodowosocjalistyczna osiągnęła kolejne zwycięstwo.

Nie mogąc się powstrzymać, zapytał Weinera, kogo uwiecznił artysta.

- Nie poznał pan? - zdziwił się Weiner. - Przecież stali przed panem jak żywi: Joseph Goebbels, Adolf Hitler i Hermann Göring.

# III

Artur dość miał zamknięcia w czterech ścianach ekskluzywnego apartamentu hotelowego. Miał wrażenie, że zamienił jedno więzienie na drugie, tylko większe. Na dodatek chciano zamknąć jego umysł w kajdanach ideologii. Jednak gdy zwrócił się z pretensjami do Weinera, ten rzekł:

- Wszystko w swoim czasie. Wy, Polacy, potraficie tylko narzekać. A zapracować na sukces to już trudniej. Tym niemniej rozumiem, że pan się tu nudzi. Mam dla pana niespodziankę! Wyjazd na imprezę do wspaniałej rezydencji marszałka Rzeszy. Ten to umie robić przyjęcia. Rozerwie się pan.

- Niezupełnie o to mi chodziło.

- Niewdzięcznik! Pozna pan też najbardziej znaczące osoby w Niemczech. Jeżeli chce pan z nami związać się na resztę życia, a nie widzę, by pan miał lepszą opcję, należy zacząć „bywać”, bo „bywać” znaczy „ustawiać się”. To jak, jedzie pan?

- Jadę - odrzekł ciężko Sosnowski. - Z jakiej okazji to przyjęcie?

- Bardzo dobre pytanie. Po kampanii zachodniej Hitler, zadowolony z sukcesów, mianował Hermanna Göringa najważniejszą osobą w państwie, zaraz po sobie. Jednak podczas ataku na Wyspy Brytyjskie samoloty spadały jak kamienie do spienionych wód kanału La Manche. Obwinia się o to marszałka Rzeszy, a zwłaszcza jego nałóg.

- Nałóg?

- Po pobycie w szpitalu w czasie pierwszej wojny nabawił się uzależnienia od morfiny. Gdy trzeba podejmować kluczowe decyzje, leży półprzytomny, potem jest drażliwy i wysyła bombowce na stracenie, bo nie może się skupić na mapach. Pytał pan, po co jest to przyjęcie? Żeby zatrzeć złe wrażenie. Olśnić przepychem, wzbudzić zazdrość i podziw. Ludzie się najedzą, zabawią, kto potem będzie mu pamiętał jakieś cholerne spadające samoloty? To co, niech się pan szykuje, Schlink ma pański garnitur.

Samochód jechał przez przedmieścia. Artur widział przez szybę zburzone domy. Zastanawiał się, czy fakt, że to Niemcy zaczęli konflikt, był jakimkolwiek usprawiedliwieniem dla aliantów. Naloty na niemieckie miasta po zbombardowaniu Paryża nasiliły się i stały nie do wytrzymania dla ludności, po tym jak pierwsza bomba upadła na Londyn. Obie strony naiwnie wierzyły, że mordowanie cywilów zmusi polityków do ustępstw. A politycy mówili do siebie: „Faktycznie, głupia sprawa… Ale nie przesadzajmy. Przecież to nie my giniemy, prawda?”. I wojna trwała dalej, karmiąc się terrorem.

Bombardowania celów cywilnych nie przyniosły najmniejszego rezultatu, poza eskalacją nienawiści, żądzy odwetu i głębokiej rozpaczy tych, którzy najbardziej ucierpieli. Strategicznie były porażką. Artur przypomniał sobie poglądy paru historyków, którzy uważali, że gdyby Niemcy skoncentrowali się na zniszczeniu RAF-u i mocy produkcyjnej Wielkiej Brytanii, wygraliby prawdopodobnie tę wojnę we wrześniu 1940 roku. Gdyby Anglicy porzucili

cele cywilne i uderzali tylko na Zagłębie Ruhry i ośrodki przemysłowe, wojna trwałaby rok krócej.

*

Otworzyła im blondynka z wielkim biustem. Ubrana była w bawarski strój ludowy, czerwoną spódniczkę z białym fartuchem, czarny gorset opinał białą bluzkę. Wewnątrz więcej tak przebranych kelnerek roznosiło napoje na srebrnych tacach. Natychmiast jedno takie przeurocze stworzenie podeszło do nich. Weiner podziękował ruchem ręki, ale Artur się poczęstował.

- Niech pan patrzy i się uczy - powiedział Weiner i dyskretne wskazał w prawo.

Artur zobaczył dwóch mężczyzn. Jeden rumiany, krępy, jowialny i zadowolony z siebie, podczas rozmowy wymachiwał rękami, a gdy się śmiał, trząsł brzuszyskiem. Ubrany w wojskowy mundur, ale przyozdobiony tak bogato, że wyglądał jak królewska szata. Drugi odziany był ascetycznie w prosty, doskonale skrojony mundur SS o nieskazitelnej głębokiej czerni. Twarz miał podłużną, wargi wykrzywione w podkowę, jakby obwieszczał światu zdegustowanie i pogardę, mimikę i ruchy oszczędne, a gdy nic nie mówił, przypominał mumię. Właściwie nie wiadomo dlaczego, mężczyzna nie był przecież ani stary, ani zasuszony. To było coś poza wyglądem zewnętrznym, co oddziaływało na ogólne wrażenie, aura śmierci, którą roztaczał wokół, smród zła.

Dziewczyna w ludowym stroju podeszła do rozmawiających, trzymając tacę z kieliszkami. Ascetyczny mężczyzna wykonał nieznaczny przeczący ruch i na jego palcu zamigotał srebrzyście pierścień z trupią czaszką. Jakby świecił.

- Nowa ptaszyna w moim gniazdku. Musimy się bliżej poznać. - Dłoń grubasa na chwilę powędrowała pod spódnicę dziewczyny, która poczerwieniała ze wstydu i upokorzenia. Wydawało się, że zaraz ucieknie. Na szczęście grubas po chwili zabrał rękę, po drodze zgarniając wino. Dziewczyna uśmiechnęła się samymi wargami, dygnęła krótko, odwróciła się i zniknęła w tłumie.

- Hermann Göring, nasz gospodarz. Urodził się dla dobrej zabawy i władzy. W takiej kolejności - wyjaśnił ściszonym głosem Weiner.

Artur przyjrzał mu się uważnie. W bogatych szatach Göring wyglądał jak rzymski cesarz, zresztą pewnie celowo wywoływał takie wrażenie. Sosnowskiemu skojarzył się z Tyberiuszem, okrutnikiem, seksualnym maniakiem, rozkochanym w każdej formie i rodzaju rozkoszy. Jako zarządca kraju i generał miał przeciętne wyniki. Tyberiusz i Göring kochali władzę i posunęliby się do ostateczności, by ją zachować, jak również zrobiliby wszystko, by folgować swoim namiętnościom.

Natomiast pozostali dygnitarze nazistowscy byli jak Kaligula. Szaleni. Opętani wizją, którą chcieli narzucić reszcie świata, by ich poglądy stały się obowiązujące. Kaligula również planował inwazję na Brytanię, skończyło się tak, że kawaleria walczyła z morskimi bałwanami, tnąc mieczami grzywy fal. Konia mianował senatorem. I tak mądrzej zrobił niż Niemcy, ci uczynili Hitlera kanclerzem. Wierzchowiec nikomu szkody nie narobił, zły człowiek - tak.

- A ten drugi? - zapytał cicho Artur.

- To Reinhard Heydrich, jedyna tutaj osoba, która z przekonaniem słucha audycji tego amerykańskiego nazisty Howarda Campbella. Mnie osobiście cholera trafia od tych ciągłych przejęzyczeń i pomyłek. Jak można zostać radiowcem z taką dykcją? Bełkot. Wracając do Heydricha, niech pan na niego uważa. Naprawdę. To najbliższy

współpracownik Heinricha Himmlera oraz osoba krańcowo niebezpieczna. Kiedyś uważałem go za wielkiego człowieka. Od jakiegoś czasu jest dla mnie wielkim robakiem.

Artur przełknął ślinę. Nie wiedział, jak powinien skomentować dosadne słowa swojego przewodnika po kuluarach Rzeszy.

- Proszę zwrócić uwagę na tego niskiego dżentelmena o żółtej cerze i skośnych oczach. - Tymczasem Weiner jak gdyby nigdy nic mówił dalej: - Posiada nienaganne maniery i kamienną twarz. Ciekaw jestem, co kryje się za tymi okularami w drogocennej oprawce.

- Kto to?

- Japoński ambasador Kurusu. Pojawił się tutaj, by wynegocjować odstąpienie francuskich Indochin Japończykom. Powinien jechać aż do Vichy, ale szczwany lis wie, gdzie zapadają najważniejsze decyzje. Jeżeli wywrze odpowiednie wrażenie w Berlinie, Francuzi odstąpią mu wszystkie bazy lotnicze i pozwolą zdobyć Wietnam.

- Rząd Vichy zgodzi się na to?

- Już się zgodził. Teraz to już kwestia kolejnych ustępstw. Zresztą... Skoro USA czy Anglia nic nie robią, by zatrzymać japoński pochód, co może uczynić osłabiony Pétain? Niech pan lepiej spojrzy na tych dwóch elegantów o śniadej cerze. Ten wyższy, krótko ostrzyżony, to hrabia Galeazzo Ciano, ambasador Włoch, obok niego zaś widzi pan attaché Giovanniego Grazzianiego, dalekiego kuzyna marszałka Rudolfo Grazzianiego, który dowodzi siłami włoskimi w północnej Afryce, a obecnie przygotowuje się do ataku na Anglików. Pyta pan, co robi tutaj tylu oficjeli, nierzadko z dalekich stron? Otóż Hitler zapragnął sformalizować sojusz trzech imperiów - Północnego, Śródziemnomorskiego i Azjatyckiego. Już wkrótce porozumienie państw Osi, łączące stolice świata, stanie się faktem. Trzy wygrywające

wojnę potęgi podzielą między siebie cały świat. A stanie się to może już za kilka dni.

Artur przełknął ślinę. Niemal na jego oczach dokonywała się zagłada cywilizacji zbudowanej na tym, w co wierzył. Twarz mu poszarzała, co na przyjęciu nie mogło wyglądać dobrze. By odwrócić uwagę od niemiłych myśli, podążył za wzrokiem Weinera i zapytał:

- A ten siwy facet w grubym swetrze to kto? Nie jest mu za gorąco?

- Wilhelm Canaris, szef kontrwywiadu Rzeszy. Ma zawsze wrażenie, że marznie. Mówi, że to niewyjaśnione przeczucie, iż Niemcy zgubi mróz. Choć możliwe, że nie może się zagrzać po godzinach spędzonych w lochach Abwehry, gdzie przysłuchuje się schwytanym szpiegom. Ale teraz niech się pan go nie obawia dodał, widząc, jak Artur odruchowo zadrżał. - Nie jest na służbie. Przyjechał tu, by oddać się ulubionej rozrywce, konnej jeździe Göring posiada najpiękniejsze posiadłości w okolicy. A potem jest i z kim zagrać w tenisa, za czym Canaris przepada.

- Sądziłem, że szef Abwehry jest zawsze na służbie.

Weiner rzucił mu krótkie spojrzenie.

- Ma pan rację.

Wskazał dyskretnie grupkę mężczyzn we frakach sączących rieslinga.

- Zostawmy jednak wielką politykę. Będę musiał się na chwilę oddalić, zaprowadzę pana do dżentelmenów, których warto poznać, na pewno nie będzie pan się z nimi nudził. Chodźmy!

Profesorowie przedstawili się po kolei, odpowiednio: Heinrich Stapperfend - biolog, Peter Bander - fizyk, Richard Hoffmann - psycholog analityczny.

- Przedstawiam panom Herr Sosnowskiego, osobistego przyjaciela samego Adolfa Hitlera - rzekł Weiner. Trzej

mężczyźni jak na komendę podnieśli ręce w hitlerowskim pozdrowieniu. Weiner odpowiedział. Artur, choć ręka zaczęła go mrowić od spojrzeń zebranych, nie ruszył jej.

- Herr Sosnowski doznał paraliżu prawej kończyny, niestety nie jest w stanie jej podnieść do pozdrowienia. Muszą państwo wybaczyć.

Dwóch mężczyzn pokiwało głowami ze zrozumieniem. Jeden jednak wydął pogardliwie wargi.

- Należy walczyć ze słabościami ciała. Nasz Führer całe godziny spędza z podniesioną ręką, trzymając w niej gumowy krążek. Dzięki temu ramię jest silne.

- Herr Stapperfend, kazałby pan również weteranowi, który został inwalidą podczas kampanii w Polsce, biegać na jednej nodze? - zapytał cierpko Weiner.

- Ależ nie... Nie wiedziałem. - Profesor spojrzał na Artura z podziwem. Z kolei oczy Weinera zdawały się mówić: „Nie skłamałem, on sam wyciągnął wnioski”.

- Herr Bander, czym się właściwie pan zajmuje? - zapytał Sosnowski, chcąc odwrócić uwagę od swojej osoby.

- Ostatnio piszę pracę na tysiąc stron - odrzekł tamten z dumą.

- Co jest jej tematem?

- Profesor Bander jest zwolennikiem niedocenianej teorii, stworzonej przez odkrywcę słynnej komety, Edmunda Halleya, że świat jest w istocie pusty w środku - wyjaśnił Stapperfend.

- Udoskonaliłem tę koncepcję. Otóż to nasz świat znajduje się w jej pustym wnętrzu. Właśnie tak!

- A słońce? Gwiazdy?

- Gwiazdy to ogniki podczepione do poruszającego się, zewnętrznego płaszcza Ziemi. Natomiast Słońce to czterystukilometrowa rozpalona skała.

- W życiu nie słyszałem podobnych bzdur - nie wytrzymał Sosnowski.

- A kim pan niby jest, by podawać w wątpliwość ustalenia naukowców. - Bander niemal się obraził. - Musi pan wiedzieć, że moje teorie są teraz wykorzystywane przez Kriegsmarine!

- A w jakiż to niby sposób?

- No niech pan pomyśli, żyjemy wewnątrz sfery! Można skierować radary w niebo pod kątem czterdziestu pięciu stopni i śledzić na ekranie ogarnięty odbitą falą obszar oceanu, o wiele większy niż podczas używania radaru w poziomie. Wkrótce wysyłamy na morze pierwszy statek...

- Genialne! - Stapperfend niesiony entuzjazmem chwycił dłoń naukowca i zaczął energicznie nią potrząsać. - Gratuluję, szanowny kolego, gratuluję! Żeby tak moje odkrycia zainteresowały kiedyś armię...

- Jestem pewien, drogi kolego, że w przyszłości Wehrmacht zajmie się problemami Francuzek - odparł, machając dłonią z pozorną niedbałością Bander, w rzeczywistości bardzo zadowolony z pochwał.

Artur tylko skrzywił wargi i odparł cicho:

- Absurd, po prostu absurd.

Słowa zostały usłyszane. I miały konsekwencje, jak się później dowiedział Artur. Berlin odniósł się sceptycznie do osiągnięć zespołu Bandera. Gdy eksperyment z radarem się nie powiódł i okręt powrócił z niczym, zesłano wszystkich uczestniczących w eksperymencie profesorów do obozów koncentracyjnych. Przyjaźń z Göringiem, na którą się powoływał Bander, niewiele pomogła. Sosnowski bardzo żałował, że nie trzymał języka za zębami.

W istocie jednak, skoro nie pytano go o nic konkretnego, Artur nigdy nie wiedział, która z rzuconych przez niego uwag zostanie wykorzystana przez nazistów. Musiałby

milczeć cały czas, ale to kłóciłoby się z jego pragnieniem spędzenia życia na przyjęciach i przyjemnościach, poza tym byłoby złamaniem umowy z SS, co mogłoby pchnąć go z powrotem w okrutne łapy Hagendera.

Natomiast pilnować się i być czujnym cały czas się nie dało. Człowiek popadłby w paranoję, po kilku, kilkunastu dniach nie wytrzymał napięcia, i w końcu coś chlapnął. Zwłaszcza że Niemcy doskonale umieli wydedukować istotne informacje z urwanych i nieświadomych wypowiedzi Artura.

- Przykre, że milczy największy z nas, profesor Hoffmann, który przecież odkrył dla Rzeszy więcej tajemnic niż niearyjska nauka w ciągu wszystkich tysiącleci swego istnienia - przerwał ciszę Stapperfend.

- Może nie macie ochoty usłyszeć tego, co mam do powiedzenia. A jeżeli idzie o moją wielkość, to co najwyżej można tak odmierzać moją naiwność i głupotę.

- Ech, skromność geniuszy... Profesor to uczeń samego Junga, który przecież służył wielokrotnie radą nie komu innemu, jak Adolfowi Hitlerowi.

- Kłamstwa Goebbelsa. Choć nędzne, to jednak irytujące. Ci, którzy nie znają Carla Gustava osobiście, wierzą propagandzie.

- Drogi kolego, skąd dziś ten gorzki dowcip. Jeden kieliszek za mało, czy jeden za dużo?

- Czasami wychodzę z laboratorium na ulicę. Czasami wyjeżdżam z Berlina, na przykład do... Dachau. Wybaczą panowie. - Hoffmann, niezwykle zirytowany, opuścił towarzystwo. Rozmowa zamarła. Nie minęła chwila, a Artur został sam. Rozglądał się bezradnie w poszukiwaniu Weinera, który przepadł jak kamień w wodę.

Nagle poczuł się przeraźliwie samotny, tak bardzo, jak samotny może się czuć tylko człowiek w sali pełnej ludzi. Zrozumiał z niezwykłą jasnością, że nie pasuje ani do tego

miejsca, ani do tego świata, i nie dopasuje się już nigdy. Mimo że pochodził z przyszłości, to czuł się jak dzikus, jak obcy. Długo walczył z tym wrażeniem, wreszcie stawił mu czoło i zastanowił się, skąd się brało. Otóż, chyba z poczucia wyższości tamtych, przekonania, że nigdy się nie mylą i są najlepsi. Artur tak nie potrafił i dlatego nigdy nie będzie jednym z nich. Dziki na salonach Herrenvolk.

- Ma pan zadziwiającą zdolność do robienia sobie wrogów usłyszał nagle za plecami. Odwrócił się gwałtownie. Przed nim, trzymając kieliszek w smukłych palcach, stał wysoki, szczupły jegomość we fraku o czarnym, przenikliwym spojrzeniu. Krótkie wąsy miał wysmarowane pomadą i fantazyjnie zakręcone, włosy lepiły się od brylantyny. Mimo że znajdowali się w pomieszczeniu, nosił elegancki cylinder.

- Co pan ma na myśli?

- Ten Bander opowiada o panu najgorsze rzeczy. - Nieznajomy wykrzywił wargi w krótkim uśmiechu, na poły ironicznym, na poły uprzejmym. - A jest pan tu zaledwie od kilku minut. Pogratulować.

W otchłaniach oczu nieznajomego błysnęła drwina.

- Cóż... - odpowiedział wolno Artur. - Nie można się przejmować opinią każdego... - w ostatniej chwili zmienił zamiar i zakończył - ekscentryka.

- A czyż pan jest postrzegany tutaj inaczej? Nie nadawałbym innym tak lekko etykietki, z którą się samemu przecież przyszło.

Artur zamilczał chwilę, uderzony trafnością uwagi. By zyskać na czasie, zapytał:

- A z kim właściwie mam przyjemność?

- Ach, proszę wybaczyć... Jestem profesor Batholomäus von Blankenknohr, jednak tutaj obecni nazywają mnie często po prostu Profesorem w uznaniu dla mojej wybitnej

wiedzy. Z każdego miejsca, gdzie byłem, przywiozłem okruchy wiedzy tajemnej, a zwiedziłem cały świat.

- Artur Sosnowski.

- Polak. Słyszałem wiele o waszym narodzie, wracając z ostatniej podróży, zahaczyłem o zachodnią granicę Związku Radzieckiego. Obecną zachodnią, dodam. Opowiadają tam pewną historię. - Zawiesił głos dla lepszego efektu. - Otóż były trzy położone blisko siebie polskie wioski. Od pewnego czasu zagrażały im ukraińskie rajdy. Mieszkańcy jednej z miejscowości dostali wiadomość, że następnego ranka, tuż o świcie, Kozacy uderzą i wyrżną mieszkańców w pień. Przerażeni, nie mając dokąd uciec i nie chcąc zostawiać obsianych pól, bo groziłoby to śmiercią głodową, zdecydowali się zostać i bronić. Wysłali do sąsiednich osad gońców z prośbą o pomoc. Wspólnie przeważyliby po dwakroć liczbę napastników i ufortyfikowawszy się, mieliby szanse na zwycięstwo.

W pierwszej osadzie przyjęto posłów bardzo ciepło. Zebrano wszystkich mieszkańców na głównym placu i uradzono, że sprawa sąsiadów jest słuszna i należy się im wsparcie. Zgodnie udano się do kościoła, gdzie cała wieś modliła się za zagrożonych. Robiono to z całym poświęceniem, nie dbając o nic, tak że gdy nadszedł złowrogi świt, kilka osób zemdlało z wyczerpania.

W drugiej osadzie również przyjęto posłów życzliwie. Jednak reakcja mieszkańców była zgoła odmienna. „Nas pokonają Ukraińcy? Nigdy, sięgniemy po broń! Ja sam zabiję pięciu, ja sam dziesięciu. Damy im nauczkę!”. Wszyscy mężczyźni z tej osady zebrali się w jeden groźny, kipiący żądzą mordu oddział, po czym udali się w wojskowym szyku do knajpy na kieliszek dla kurażu. Tam odwaga wieśniaków wzrosła, każdy chełpił się, że pokona gołymi rękoma dwudziestu. Planowano natarcie prewencyjne na Mińsk. Od planów strategicznych i pozorowanych walk wręcz zasychało w gardle, wielu

zmęczonych leżało już pod ławami, gdy nadszedł złowrogi świt.

Batholomäus von Blankenknohr spojrzał mu prosto w oczy, a jego źrenice były niczym dwie studnie bez dna.

- Czyż nie tacy jesteście, Polacy? To o was historia, prawda?

Artur przełknął ślinę.

- Ta historia ma nieco zaskakujące zakończenie - kontynuował profesor. - Otóż traf chciał, że tej nocy padał deszcz. Chmury zasnuły niebo i w ciemności kozacki rajd pomylił drogę. Nadciągnął świt. I przebijając ściany deszczu, jeźdźcy trafili do innej wsi, niż zamierzali. Ale co to za różnica? Wymordowano stłoczonych ludzi w kościele, z kobietami zabawiając się na kozacką modłę. A potem wracając, zahaczyli jeszcze o jedną osadę, gdzie wszyscy mężczyźni leżeli nieprzytomni w knajpie. Poszły w ruch lśniące noże, a potem ukraiński podjazd zabawił się po swojemu z kobietami oczekującymi w domach na mężów.

- Opowiadasz mojemu przyjacielowi bajki, jedynie to potrafisz, odkąd opuściłeś Wewelsburg. - Weiner pojawił się obok Artura jak duch. Pierścień z trupią czaszką zapłonął srebrnym ogniem, zdawało się, że oficer chciał się wyrwać i skoczyć do gardła profesorowi. Sosnowski potrząsnął głową. Oczywiście, złudzenie. Za dużo ludzi na tym przyjęciu, czuł się znużony.

- Zostawiłem mury, które były dla mnie zbyt ciasne. I dobrze wiesz, że moje słowa zmieniają świat. Pójdę już, bo czuję, że tracę czas dla ograniczonego umysłu. Herr Sosnowski - ukłonił się przed Arturem - niezwykle miło było pana poznać. Liczę, że jeszcze kiedyś się spotkamy.

- Wszystko w porządku? - zapytał przyciszonym głosem Weiner, gdy profesor oddalił się kołyszącym krokiem.

- Nie. - Artur przetarł palcami skronie. - Kto to był?

W głosie oficera SS pojawiła się zawziętość i lodowate zimno:

- Batholomäus, złe dziecię Thule, mroczny lord zamku Wewelsburg. Każe zwać się Profesorem, bo ludziom tępym imponują tytuły naukowe, a innych ostatnio nie uświadczysz w najwyższych kręgach władzy, w których się obraca. Niezwykle niebezpieczny. W tym samym dniu, w którym pan się pojawił w podziemnej fortecy Hagendera, Batholomäus powrócił z Tybetu i od razu został głównym doradcą duchowym Hitlera, podobno wygryzając stamtąd Junga. Posiada upiorną moc, serce mi drżało, gdy widziałem, jak z panem rozmawia. Jego słowa potrafią zgubić, a spojrzenie związać. Nie jest nam przyjazny, o czym wspominałem panu kilkakrotnie.

- Nie przypominam sobie.

- Nie zaprzątałem panu głowy nazwiskami, co nie było błędem, bo tacy ludzie zmieniają tożsamości równie często jak kobiety. To właśnie główny okultysta Hitlera, który tyle razy nam zaszkodził.

*

Podano do stołu i wyraźnie już zgłodniały Artur rzucił się na potrawy. Zapachniało kapustą kiszoną, której aromat po podgotowaniu nie był już tak intensywny, ale z dodatkiem cebuli, fasoli i boczku wywoływał oszałamiające wrażenie. Niewielkie kiełbaski z Norymbergii były ozdobą bigosu. Znakomicie wyglądały pieczone ziemniaki nadziewane śledziami, których po zdobyciu Norwegii nie brakowało w Rzeszy, przyozdobione pietruszką, szczypiorkiem i koprem oraz górą kwaśnej śmietany.

- Wszędzie tylko wursty i wursty, a jakież to tłuste. - Skrzywił się siedzący obok Polaka Włoch. Następnie spojrzał na niego i rzekł: - Giovanni Grazziani, do usług.

Wielbiciel kuchni śródziemnomorskiej i pięknych kobiet, niekoniecznie w tej kolejności. Oddałbym pół Etiopii za porządne neapolitańskie spaghetti. Albo pastę z krewetkami, pierścieniami kalmarów, małżami i ośmiorniczkami. Żeby tutaj chociaż stosowali porządną oliwę z oliwek.

Wtedy właśnie wniesiono danie dnia. Dwa dziki, z których każdy miał w pysku jabłko. Włoch skrzywił się, jakby połknął cykutę.

- Jakież to musi być tłuste.

- Pan pozwoli, że zaoponuję - rzekł siedzący dalej Niemiec w mundurze SS. - Alan Luehmann, do usług. Nasze tereny są zimniejsze niż wasze, stąd tłuszcz ratował życie naszym przodkom.

- Aczkolwiek obecnie to ewolucyjny atawizm, zgodzi się pan?

- Już przezwyciężany przez geniusz naszego Führera, który szczyci się wegetarianizmem. Nasz gospodarz, który wedle plotek upolował tak krytykowane przez pana dziki, należy już do ostatnich sympatyków jedzenia mięsa.

- Nie przesadzałbym, że ostatnich - wtrącił się Artur. - Porządne kiełbaski są nadal rarytasem lepszych restauracji. Państwo pozwolą, że się przedstawię, Artur Sosnowski.

- Sosnowski? A zatem Polak. Musi pan być dumny z ostatniego osiągnięcia pańskiego narodu? - rzekł Luehmann.

- To znaczy? - Artur poczuł dreszcz niepokoju na plecach.

- Z powstania niepodległego państwa polskiego, oczywiście, rozwijającego się pod skrzydłami Rzeszy. Szczerze mówiąc, z wami, Polakami, na początku jak zwykle było dużo problemów. Marudziliście, że nie chcecie niczyjej opieki i tego typu bzdury. A kto, jeżeli nie żelazny pancerz naszych czołgów, chroni was przed powodzią

komunizmu? Na szczęście Führer w swym geniuszu pozwolił nazwać to państewko Królestwem Polskim i dumni Polaczkowie odstąpili od protestów. To jest wódz, ten nasz Adolf Hitler, a jaki talent dyplomatyczny. Wie, czego który naród potrzebuje. Regentem został niejaki Szeleszczycki. Trwają przygotowania do koronacji. Naprawdę nic pan nie słyszał?

- Nie. Nie było mnie w kraju dłuższy czas.

- To pewnie pan też nie wie, że pierwszym posunięciem nowego rządu była nota do Stalina w sprawie zajętych w 1939 terenów. Komuchy się nie ucieszyły. Szeleszczycki wysłał też list do Rzeszy z prośbą o pomoc. Na razie Berlin zajmuje postawę wyczekującą... ale niech mnie kule biją, jak to nie jest zarzewie nowej wojny na Wschodzie. Na razie to tylko wymiana not dyplomatycznych, ale jeżeli będą nadal coraz ostrzejsze, to w tym tempie na wiosnę zagrzmią działa. Polacy nie lubią Ruskich. Chyba im pójdziemy w końcu pomóc, skoro ładnie proszą. Poza tym... Chyba nie możemy, jako ludzie cywilizowani, siedzieć bezczynnie. Agresja ZSRR na Polskę siedemnastego września była aktem bezprzykładnego zachowania w historii współczesnej Europy.

- Sądziłem, że wy byliście pierwsi. Uderzyliście na nas pierwszego września.

- No przecież z bratnią pomocą przyjechaliśmy. Prewencyjnie zajęliśmy najważniejsze ziemie Rzeczypospolitej, by choć część waszego pięknego kraju uchronić przed komunistami. Spodziewając się inwazji, udanym posunięciem poszerzyliśmy granice cywilizacji, dzięki czemu Warszawa czy Kraków ostały się zalewie azjatyckich hord. Führer zawsze będzie bronił wartości europejskich.

- Mimo to szkoda, że dojdzie do wojny z ZSRR. Przez chwilę mieliśmy nadzieję, że uda się jej uniknąć - wtrącił

się Weiner. Admirał Reader wymyślił plan, wedle którego priorytetem dla Rzeszy byłyby tereny wokół Morza Śródziemnego, w szczególności Afryka z bogatymi złożami roponośnymi, Irak i Iran. Przy koncentracji wszystkich środków, wyparcie osłabionych Brytyjczyków byłoby kwestią krótkiego czasu. Powstałaby potężna Rzesza obejmująca szmat ziemi. Z takim zapleczem ludzkim i materiałowym najpotężniejsze państwo na świecie, ustawione na pozycjach obronnych, byłoby nie do pokonania. Niemniej zarzucono Readerowi, że pragnie tylko poszerzenia władzy admiralskiej. W nowej operacji przeważające znaczenie będzie miała flota, tymczasem atak na ZSRR odbyłby się głównie przy użyciu sił powietrzno-lądowych. Ponadto Hitler bał się, że Stalin przejmie w końcu naszą technikę operowania czołgami i zreformuje kadrowo oraz technologicznie Armię Czerwoną, po niedostatkach, jakie wyszły podczas kampanii fińskiej. Wydaje się, że ta pięciomiesięczna wojenka, jak mówi Führer, jest obecnie priorytetem Rzeszy.

Artur pomyślał, że może by nie odrzucono tego planu tak szybko, gdyby wiedziano, że wszystkie współczesne wojny dzieją się na bogatym w surowce obszarze, obejmującym rejon Zatoki Perskiej i Afganistanu. Jednak znał już na tyle realia, by wiedzieć, że celem wojny błyskawicznej jest zdobycie centrów dowodzenia wroga. Z tej perspektywy liczyły się Londyn czy Moskwa, wszystko inne było peryferiami. Atak na Afrykę czy Zatokę Perską naziści musieli rozpatrywać w kategoriach wojny o kolonie.

Tymczasem wniesiono deser, likiery i słodkie torty. Grazziani, który spałaszował ogromne ilości potraw, teraz bezwstydnie pałaszował ciasto przypominające układem barw osę i perorował na temat wyższości tiramisu nad piernikiem. Artur skosztował kawałeczek. Migdały chrupnęły między zębami, a na języku pojawiła się przyjemna nuta wanilii.

Wówczas ją zobaczył. Młoda Wenus, piękna jak ze snu. Ubrana w czarną suknię ze złotymi napisami stylizowanymi na odręczne pismo, na nadgarstkach złote bransolety, tego samego koloru naszyjnik spływał na jej opalony dekolt. Rozmawiała z wysokim mężczyzną w wojskowym mundurze. Ich spojrzenia na moment się spotkały, zamigotały szmaragdy. Artur już wiedział, że musi do niej podejść. Weiner zauważył wyraz jego twarzy.

- Dobrze znam oficera, z którym rozmawia ta dama. Mogę was przedstawić.

Artur skinął głową. Wstali i podeszli do pogrążonej w rozmowie pary, po czym Weiner dokonał prezentacji. Żołnierz nazywał się Kurt Waldheim i Sosnowski nie mógł oprzeć się wrażeniu, że skądś zna to nazwisko, co z kolei nie uszło uwagi Gerharda Weinera. Natomiast serce zatrzymało mu się w piersi, gdy blondynka dygnęła lekko, wypowiadając upragnione słowa:

- Liliane von Bernstein.

- Córka t e g o Bernsteina? - zainteresował się Weiner. - Do którego należy połowa Zagłębia Ruhry?

- Pan raczy przesadzać. Papko jest jedynie skromnym inwestorem pomnażającym kapitał dla dobra Rzeszy.

- A czym się pani zajmuje? - wtrącił się Artur.

- Kocham sztukę, jak pan już zresztą wie.

- Jest pani malarką?

- Rysuję, żeby pogłębić wrażliwość duszy. Tak naprawdę zawsze chciałam być aktorką.

- Mogę zobaczyć jakiś pani film?

- Na razie występowałam jedynie w teatrze. Gdy już zdobędziemy Londyn, w pięknych plenerach Soho będziemy kręcić *Potęgę nazizmu*, mam obiecaną rolę.

Artur zauważył, że Weiner i Waldheim dyskretnie się oddalili, pogrążeni w dyskusji. Został sam na sam ze

złotowłosą pięknością, która lekko przekrzywiając główkę, zerkała na niego ciekawie. Szmaragdowe spojrzenie spod rzęs paliło go niczym ogień i czuł, że policzki zmieniają kolor.

- Wciąż się spotykamy - zagaił. - Czy to nie dziwne? Wierzy pani w przeznaczenie, panno Bernstein?

- Przeznaczenie? Ma pan na myśli, że historia musi biec określonym torem i wybory ludzkie nie są tego w stanie zmienić?

- Myślałem o losie nas dwojga. Zastanawiała się pani czasem, czy nasze spotkanie zostało zapisane w gwiazdach?

- Zaplanowane przez siłę wyższą? - Potrząsnęła głową, a jej blond włosy zalśniły. - Nie, nigdy. Sami decydujemy o tym, co nas spotyka, tylko nie mamy odwagi się do tego przyznać.

Rozmowę przerwało im wprowadzenie kolejnego punktu programu. Poproszono gości, by zajęli miejsca przy stołach. Jako że Waldheim gdzieś zniknął, Artur zaproponował Liliane, by przysiadła się do ich stolika.

Weiner zwrócił uwagę na zainteresowanie Artura Kurtem Waldheimem. Mylnie je ocenił jako ciekawość okazywaną rywalowi. Od czasu przyjęcia nie widział powodu, by nie wyświadczać Polakowi tej drobnej grzeczności i informować go o losach Austriaka. Waldheim wyruszył do Grecji, by razem z tysiącami Niemców wziąć udział w tej niefortunnej awanturze wywołanej przez Mussoliniego. Tam jako oficer wywiadu kierował deportacjami około czterdziestu tysięcy Żydów do obozów w Auschwitz i Treblince. Potem stacjonował w Jugosławii, gdzie podnosiła głowę partyzantka Tito. Kurt bezlitośnie zwalczał ruch oporu, dopuszczając się przy tym czynów, jakie w innych, lepszych czasach można było uznać za zbrodnicze.

Tymczasem Artur wreszcie przypomniał sobie, gdzie słyszał to nazwisko. Należało do przewodniczącego ONZ z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, a potem późniejszego prezydenta Austrii.

Światło zostało przyciemnione, wniesiono wielki projektor. Po obu stronach ustawiono głowy dzików, dziwaczne trofea. W słabym, migotliwym świetle ich szable lśniły złowrogo. Na scenę, obok białego ekranu, wszedł pokaźnej postury esesman. Jego żuchwa była nieco zbyt wysunięta. Sprawa uległa wyjaśnieniu, gdy się odezwał: posiadał imponujący garnitur stalowych szerokich ostrzy, tak wielkich, że ledwie mieściły się w ustach. Zapewne specjalnie przerobiono mu strukturę kostną szczęki.

- Jak państwo wiedzą, przygotowania do inwazji pod kryptonimem „Lew morski” trwały od jakiegoś czasu. Ustawiliśmy na francuskim wybrzeżu ciężką artylerię, co pozwalało nam ostrzeliwać przylądek Dover. Zgromadzone tam brytyjskie działa odpowiadały ogniem i od wielu dni śpiew armat przetaczał się nad Kanałem. Nasze baterie nabrzeżne poruszały się na szynach kolejowych i miały chronić armadę inwazyjną przed najsilniejszą flotą świata. Oczywiście zdawaliśmy sobie sprawę, że to nie wystarczy, by zneutralizować potęgę Home Fleet. Zgromadziliśmy wszystkie dostępne łodzie podwodne, a obecny tu marszałek Göring postawił w stan gotowości Luftwaffe. Kriegsmarine niestety nie mogła nam wiele pomóc, wszystkie potężne okręty nawodne zostały zniszczone na wodach Norwegii. Nie mogliśmy otrzymać pomocy ze strony włoskiej, póki ci cholerni Brytyjczycy trzymali Gibraltar, nie wypuszczając okrętów z rejonu Morza Śródziemnego. Mimo to Mussolini podarował nam trochę samolotów.

Dużym kłopotem było uszczelnienie czołgów przed bronią chemiczną. Każdy żołnierz piechoty musiał otrzymać kombinezon z rękawicami i maską gazową. Wiedzieliśmy, że

Brytyjczycy, operujący na co dzień na skażonym terenie, posiadają lepsze możliwości sprawdzania technologii zabezpieczających i zyskają tutaj przewagę.

Pojawiło się zdjęcie żołnierzy Wehrmachtu biegnących w szczelnych kombinezonach z pofałdowanymi wężami masek przeciwgazowych. Guma zasłaniająca twarz nadawała im upiorny wygląd.

- Dnia 27 sierpnia wyruszyliśmy na czym się dało, setki barek i łodzi wypełnionych ludźmi. Radary nas dostrzegły i w krótkim czasie pojawiły się pierwsze okręty Home Fleet, a nad niebem zaroiło się od spitfire'ów. Ogień artylerii z Dover również zaczął dawać się we znaki.

Stukasy z szaleńczą odwagą nurkowały, zrzucając celnie bomby na brytyjskie pancerniki, dalece liczniejsze messerschmitty utrzymywały z dala Royal Air Force. Z oddali kąsały podwodne wilki, U-booty. Nasza powolna flota zbliżała się do brzegu. Spadochroniarze wylądowali na tyłach broniących brzegu Anglików. Ich pierwszym zadaniem było przejąć baterie w Dover. Wkrótce ta potężna broń zwróciła lufy na przybywające kolejne okręty Royal Navy. Natomiast brzegowe umocnienia były niszczone przez gęsty deszcz bomb z Heinkli 111.

Ponad dwa tysiące drobnicy morskiej dotarło do brzegów Wysp. Jednak desant poprzedziło jeszcze coś...

Prelegent odwrócił się w stronę ekranu, w jego dłoni pojawił się laserowy wskaźnik.

*

Niebo pokrywały ciemne, napuchnięte od deszczu chmury, a burta odległego niemieckiego pancernika wyglądała jak ozdobiona choinkowymi lampkami, które zapalają się i gasną po kolei. Za to trzy oddzielające go od

brzegu okręty Royal Navy przypominały gniazdo os. Każdy z nich otoczony był chmarą samolotów próbujących wzajemnie pożądlić się w skomplikowanych ewolucjach, bądź jak stukasy nurkujących z dużej wysokości, by za chwilę wznieść się gwałtownie, już lżejsze o kilkadziesiąt kilogramów bomb lotniczych.

To bitwa między samolotami a okrętami będzie decydująca, na widok kolejnego rozbłysku na burcie pancernika pomyślał oparty o działo Tom O'Connor. Schował się głębiej za murem z ułożonych worków z piaskiem. Niepotrzebny odruch. Nazistowski statek ostrzeliwał się, by ochronić płynące za nim transportowce, kładł ogień na zagrażających mu fregatach, nie interesowały go odległe baterie nadbrzeżne.

Bóg da, może w ogóle nie wejdziemy do walki, myślał O'Connor, spoglądając na groźnie pociemniałe niebo. Gdybyż zerwał się sztorm i odepchnął flotę inwazyjną tak, jak kilka wieków temu hiszpańską Wielką Armadę. Gdy rano trochę popadało, przez godzinę trzymał dłoń na ledwie wyczuwalnym przez kombinezon, przeciwchemicznym krzyżyku zawieszonym na piersi i modlił się żarliwie. Niestety, drobny deszcz sprawił, że worki z piaskiem stały się ciężkie i mokre, nie dało się dłużej o nie opierać, bo przeszywały plecy przejmującym zimnem. O'Connor miał wrażenie, iż w nerkach krystalizują się bryły lodu, a poszczególne części kręgosłupa ocierają się o siebie niczym kawałki kry.

W ogóle O'Connor nie czuł się ostatnio najlepiej. Maska przeciwchemiczna sprawiała, że ciągle chciało mu się wymiotować, a na dodatek widział na różowo, zwłaszcza rano. Blackfoot mówił mu, że to nic i że każdy świeżak musi przez to przejść. Toma wcielono do armii, ledwie skończył osiemnaście lat, czyli miesiąc temu. Z tego czasu trzy tygodnie spędził na szkoleniu w bazie koło Londynu, a jeden tydzień tutaj, w pasie umocnień chroniącym

nabrzeże. Karabin dostał na trzy dni przed ukończeniem szkolenia, świeży fabryczny model. Nie nauczył się go porządnie obsługiwać.

Za to Blackfoot potrafił obsługiwać każdą broń. To Blackfoot nauczył go, jak używać działa, do którego przydzielił O'Connora jakiś burkliwy podoficer, którego słów prawie nie dało się zrozumieć przez maskę. Blackfoot powrócił żywy z Dunkierki i wiedział wszystko o wszystkim.

- Nie wejdziemy do bitwy, nie masz się czym przejmować, mały. Nasza armia jest zbyt nieliczna, by dostatecznie obsadzić całe wybrzeże zarówno marynarką, jak i siłami lądowymi. Ten odcinek wybrzeża jest chroniony przez silne zgrupowanie okrętów, którego zadaniem jest nie dopuścić floty inwazyjnej do brzegu. My jesteśmy tylko na wszelki wypadek, dlatego to wszystko taka prowizorka.

O'Connor rozejrzał się, jakby chciał lepiej zrozumieć znaczenie słowa „prowizorka”. Ich stanowisko ogniowe znajdowało się na niewielkim wzgórzu wyrosłym tuż przy plaży. Drugie takie samo działo średniego zasięgu ustawione zostało na pobliskim wzniesieniu, kilkaset metrów dalej. Przed atakiem chemicznym zbocza porastały wrzosy, ale cała roślinność poszarzała i zwiędła, z ziemi sterczały tylko ostre kikuty koloru wyblakłej słomy. Gromada takich chaszczy, która niegdyś była gęstymi krzakami, kryła gniazdo karabinów maszynowych poniżej i stanowisko przeciwlotnicze za nimi.

Wzrok O'Connora przesunął się niżej, po zasiekach z drutu kolczastego ustawionych na plaży. Boże, czemu ten piasek jest taki różowy. Zawsze taki był? Popatrzył na przestrzeń między wzgórzami, dolinę, w której zbudowano prowizoryczne umocnienia. W okopach siedziało pięćdziesięciu ludzi w zielonych przeciwchemicznych mundurach. Obok, obłożony z przodu workami z piaskiem, stał potężny czołg klasy Matylda. Blackfoot przechodząc się odlać, kopnął go kiedyś w gąsienicę.

- Jeden czołg do wsparcia jednostki piechoty... - prychnął przez gumową osłonę. - Kiedy nasi generałowie wyciągną doświadczenia z wydarzeń we Francji? Niemcy gromadzą czołgi w większe zgrupowania, tworząc pancerną pięść o niezwykłej sile przełamującej. My natomiast nadal hołdujemy starej taktyce, bo żaden z tych starych ramoli nie pomyśli, żeby zrewidować podręczniki. Gdyby byli wtedy w Europie i zobaczyli, co w ciągu kilku godzin zostało z armii Girauda... Ale nie, oni są dżentelmenami i lordami, żaden z nich nie zejdzie tutaj, do okopu, żeby nie ubłocić drogocennego garnituru i szykownej, o arystokratycznym kroju maski przeciwchemicznej. Czytają raporty... Ale czy jakikolwiek raport jest w stanie oddać grozę szarży czołgów wspieranych tymi cholernymi stukasami? Francuzi to dzielne chłopaki, ale nie było jak tego zatrzymać. Strzelali, ale kule odbijały się od pancerzy jak groch. Gort dobrze zrobił, że kazał nam stamtąd spieprzać... Mógł tylko zdecydować dzień wcześniej, wtedy nie przywiózłbym tego. - Dłonią przesunął po ożebrowanej rurce i wskazał na policzek. O'Connor wiedział, że pod warstwą gumy znajduje się straszliwie poparzona skóra. Poczuł mdłości, przed oczami stanęła mu twarz Blackfoota taka, jaką pierwszy raz zobaczył tydzień temu w schronie przeciwchemicznym. Tom przysiągłby wtedy, że czuje smak świątecznej pieczeni, takiej, jaką matka zawsze przygotowywała na Boże Narodzenie.

Nie myśleć o tym, popatrzeć na niebo, uspokoić się, inaczej zwróci dzienną wojskową rację do gumowego wnętrza. Oddychał szybko, próbując myśleć o tym, że w ustach gryzie kawałek cytryny. Odkąd kazano wszystkim nosić maski, cierpiał na nieustanne nudności. Obawiał się, że zwymiotuje, a wtedy nie wytrzyma smrodu. By nie zadławić się, będzie musiał zdjąć osłonę i zabójczy gaz wedrze się do płuc. Blackfoot twierdził, że to tylko nerwy, a do lekarza nie było jak się dostać. Wszyscy od dawna

zajmowali się tylko poważnymi przypadkami, najpierw poparzeni, okrutnie poranieni żołnierze z Dunkierki, a potem dziesiątki tysięcy cywili zatrutych toksycznymi oparami, tarzających się w drgawkach, z odłażącą skórą jak pies zostawiający kłęby sierści na wiosnę.

O'Connora tylko mdliło i widział na różowo. Jak z takimi objawami dostać się do wojskowego lekarza? Czy to nerwy, czy uszkodzenie mózgu? Mdłości - w porządku, można wytłumaczyć stresem, ale drugi symptom? Rozmawiał na ten temat z Szaloną Mary. Szalona Mary była starsza o dwa lata i do tego totalnie pieprznięta. Była też łatwa, ale żaden chłopak w dzielnicy by jej nie tknął, bo się nie myła i wygadywała totalne głupoty. Odkąd Tom przeleciał ją raz w zaułku wieczorem - tamtego dnia naprawdę już musiał, bo jądra ważyły mu z tonę, a erekcja nieznośnie bolała - otóż od tego wieczoru czasami do niego przychodziła pogadać, a on nie miał serca jej odpędzić. Zwłaszcza że bał się też, że wściekła zacznie krzyczeć o tym nieszczęsnym zbliżeniu i wszyscy będą się z niego śmiać, jak z Krostowatego Phila, który zaliczył ją po pijaku w ostatniej klasie.

Więc raz jej się zwierzył, że widzi na różowo, a ona mu powiedziała, że objawiają się u niego szczególne zdolności i dostrzega rzeczy niewidzialne, dostrzega nadchodzące tragiczne zdarzenia, które są niczym kamienie rzucone w nurt czasu, zawsze tworzą rozchodzące się w przyszłość i przeszłość fale. Różowa poświata miała być wynikiem otwierającej się nad Londynem bramy piekieł, ona z kolei wyjaśniła mu w sekrecie, że od kilku tygodni wieczorami słyszy chrobotliwy dźwięk będący pewnym świadectwem nadciągającego końca świata. Problem w tym, że Szalona Mary nie należała do osób zbyt wiarygodnych, a odkąd jej sąsiad skończył budowę schronu w piwnicy, o problemach słuchowych więcej nie wspominała.

Czyli jednak zatruł się neurotoksyną, rozpuszczoną w powietrzu śmiercią, której niewidzialne cząstki unosiły się

wszędzie wokół nich.

Gdy spadły chemiczne pociski, Tom siedział w swym domu na przedmieściach Londynu i czwarty raz czytał *Hobbita*. Pierwszy raz przeczytał tę książkę głośno, swojemu młodszemu bratu rok wcześniej, nim Niemcy zaczęli tę hecę w Europie. Pierwszy rozdział sylabizował nieznośnie wolno, buntując się, że rodzice kazali mu w ramach opieki nad rodzeństwem opowiadać dobranocki. Ale potem wciągnął się w lekturę, zaczynał mówić tak szybko, że brat musiał prosić go o powtórzenie kolejnych akapitów. Wreszcie, gdy dzieciak zmęczony usypiał, Tom łaskotał go w stopy, by z miną niewiniątka móc czytać dalej, aż wreszcie o drugiej w nocy przychodzili zmęczeni rodzice. Od tamtej pory O'Connor przeczytał *Hobbita* jeszcze dwa razy i tylko trochę wstydził się, że jest z nim coś nie tak, skoro podoba mu się książka dla dzieci. Ale podobała się też pryszczatemu Jimmiemu Gardenerowi, który był rok starszy i początkowo nie chciał pożyczyć, a potem się pobili, bo Jimmi twierdził, że gobliny są alegorią komunistów, a ten facet w Dol Guldur to z pewnością Stalin.

Fajny facet ten Tolkien, chociaż profesor na uniwersytecie. Może nie wszyscy profesorowie są nudni jak jego szkolny nauczyciel, którego Jimmi nazwał „Pan linijka”, gdyż jedyne, co potrafił robić dobrze, to bić po łapach, a potem opowiadał jakieś rozwlekłe historie. Tolkien jest inny, Tolkien jest *cool*. Ciekawe, czy facet jeszcze coś napisze?

Tak czy siak, to tego dnia zobaczył okładkę *Hobbita* na różowo, a potem drzewa straciły liście.

Rozmyślania przerwał mu terkot karabinu maszynowego. I zaraz potem ostrzegawczy krzyk Blackfoota. Tom spojrzał na plażę. Z morskiej kipieli, szorując gąsienicami po grząskim dnie, wytaczał się ogromny czołg o opływowych kształtach. Fale rozbijały się z łoskotem o stalowe boki,

pryskając pianą. Parę metrów za nim z wody wynurzyła się lufa drugiego potwora i plunęła ogniem, nim jeszcze pojawiła się na powierzchni cała wieżyczka.

- Pospiesz się, do cholery! - ryknął Blackfoot, kręcąc korbą z boku działa, pragnąć zmienić zasięg ostrzału na minimalny. O'Connor odzyskał zimną krew. Uniósł jeden z pocisków stojących pod ścianą z worków i załadował do komory. Spojrzał w przyrządy celownicze. Dostrzegł sylwetkę czołgu miażdżącego gąsienicami druty kolczaste na brzegu.

Wystrzał go ogłuszył. Przyłożył obie dłonie do uszu i miał ochotę schować głowę między kolana. Blackfoot coś krzyczał, Tom słyszał tylko podniesione, niewyraźne zbitki słów. Wreszcie zaczął rozumieć:

- Za daleko, kurwa, za daleko! Zbliżają się cholery, szybciej!

Załadował raz jeszcze niczym automat, wystrzelił, następnie wyjrzał ponad szańcem z worków. Słup wody wzbił się na wysokość dwóch metrów, daleko za czołgiem, który utknął w połowie plaży. Gąsienice buksowały w miejscu, coś z nimi było nie tak, dopiero po chwili dostrzegł wyrwę w pancerzu i domyślił się, że zostały uszkodzone pociskiem. Jednak jak okiem sięgnąć, z morza wynurzały się kolejne czołgi, a obok nich maszerowali tyralierą żołnierze piechoty w dziwnych łuskowatych mundurach i rybich maskach, z których rozchodziły się na boki długie rzędy płetw. Na plecach nosili butle z tlenem, na lśniących kamizelkach szczerzyły się trupie czaszki, w dłoniach trzymali karabinki, które z charakterystycznym odgłosem rozprężanego powietrza miotały wrzecionowate pociski. Jeden z napastników wzniósł na niezwykle długim drzewcu flagę ze swastyką. Wyglądała, jakby rozwiewał ją wiatr, ale musiał to być specjalnie spreparowany pofałdowany metal, bo każdy materiał po morskiej kąpieli zwisałby niczym mokra szmata.

Uszy wypełnił przenikliwy odgłos silnika nurkującego stukasa. Ziemia zadrżała od eksplozji serii bomb. Matylda stanęła w ogniu, złamana lufa zwisała smętnie w kierunku ziemi. Klapa czołgu otwarła się i jakaś straszliwie wrzeszcząca, płonąca postać próbowała się wydostać, wreszcie wolno stoczyła się z maszyny, zaczęła biec, ale im szybciej biegła, tym mocniej się paliła.

Fuk, fuk, fuk... Cichy odgłos karabinków pneumatycznych. Cztery pociski wbiły się w worek, ostatni dwa cale od ręki Toma. O'Connor przyjrzał mu się machinalnie. Krótki, zakończony ostro trójząb. Zauważył, że kolejny grot sterczy z jego piersi. Nawet nie bolało. Stwierdził tylko, że coś się zmieniło. Nie widzi już na różowo, tylko na czerwono.

*

- Oto zdjęcie morskiego czołgu. Brytyjczycy sądzili, że te pojazdy przejechały po całym dnie kanału La Manche. W rzeczywistości opuściły okręty desantowe gdzieś na głębokości ośmiu metrów i przebyły pod wodą tylko ostatni dystans, uderzając z kompletnego zaskoczenia i wzbudzając panikę w szeregach wroga.

Artur widział opancerzonego potwora przypominającego kształtem większą amfibię, wynurzającego się z morskich kipieli. Zdjęcie zostało zrobione od strony plaży. Polak zastanawiał się, jak to możliwe, skoro w tym czasie była w całości opanowana przez obrońców. Potem dowiedział się, że fotkę dla celów propagandowych kazał upozorować Goebbels następnego ranka.

- Słyszałem, że kilka z tych cudów utknęło w mule albo zderzyło się z głazem. W kilku zabrakło powietrza, ze dwa były nieszczelne i zalała je woda. Jeden chyba zmylił

kierunek i próbował powrócić do Boulogne - powiedział cicho Weiner.

- Nasze jednostki wylądowały w rejonie pomiędzy Falkestone a Eastbourne. Pierwsza osiągnęła gotowość bojową pancerna dywizja Erwina Rommla. Osłaniana przez dziesiątki samobieżnych dział przeciwlotniczych wbiła się głęboko w brytyjską ziemię, by stawić czoło nacierającym czołgom Churchilla. Zastosowaliśmy działa, bo cała aktywność Luftwaffe była skierowana na Home Fleet ostrzeliwującą statki inwazyjne, chronione przez piekielne spitfire'y. Natomiast Rommel stanowczo protestował przed wysłaniem jego armii bez ochrony przed bombardowaniem. Nie minęła godzina, jak Rommel stanął naprzeciwko pięciokrotnie liczniejszych sił wroga. RAF po pierwszym nalocie, gdzie został zatrzymany gęstą zaporą z dział przeciwlotniczych, zdecydował się pozostawić natarcie wojskom lądowym i samoloty zawrócono nad kanał La Manche. Brytyjskie czołgi, Cruiser i Churchill, runęły przerażającą lawiną na nasze pozycje.

- Niezbyt dobry pomysł, nazwać czołg „Churchillem” - wtrącił się półgłosem Weiner. - Przecież po każdej bitwie idzie komunikat: Churchill został trafiony. Churchill wybucha. Żołnierze opuszczają w pośpiechu Churchilla. Ludziom się będzie mylić.

- Niewielkie siły Rommla przez chwilę stawiały opór, następnie czołgi zaczęły masową ucieczkę, zostawiając na placu boju pospiesznie ufortyfikowane, rozproszone stanowiska przeciwlotnicze wraz z załogami. Czoło natarcia Brytyjczyków zignorowało niegroźne dla nich, skierowane lufami w niebo działa i pozostawiło je odwodom. Dla Churchilli i Cruiserów pozostawiono ważniejsze zadanie, rozbić do reszty wycofujące się czołgi Rommla, następnie spaść jak stalowy jastrząb na plaże, gdzie jeszcze żadna niemiecka dywizja nie osiągnęła gotowości bojowej. Pod ostrzałem Home Fleet nasi żołnierze wili się po piasku,

zajmowali umocnienia, jednak wszystko odbywało się w straszliwym chaosie. Guderian bezsilnie gryzł paznokcie, jego okręt wciąż był na morzu, w powstałym zamieszaniu zdawało się, że miną wieki, nim jego pancerna dywizja dołączy do Rommla. Wydawało się, że inwazja poniosła klęskę. Niemiecka armia nie wyląduje wprost pod gąsienice najlepszych brytyjskich czołgów. A tych kilka tysięcy ludzi, którzy już wylądowali, zostanie rozjechanych po piasku.

Gdy pierwsze Cruisery opuszczały pole bitwy, a na równinę wtaczały się powolne czołgi Matylda, nagle lufy dział dotychczas skierowane w niebo opuściły się i działa przeciwlotnicze skierowały ciężki ogień na znajdujące się w porażającej bliskości czołgi. Nawet nie trzeba było celować. Pancerze Cruiserów odkształcały się i dziurawiły jak papierowe pudełka. Dym z trzewi Churchillów zasłonił niebo. Wówczas Rommel przegrupował swoje czołgi, rzucił je do natarcia. Niewielu Brytyjczyków zdołało skutecznie się bronić przed ogniem pancernej ławy. Armia wybrzeża została kompletnie rozbita. Od tego czasu nazywamy Rommla „brytyjskim lisem”.

- Brytyjski lis? Niezbyt trafny termin, skoro polowanie na lisa jest sportem narodowym Anglików, jak dla Niemców zjadanie kiełbasek - rzekł Grazziani.

- Dalsze lądowanie odbyło się bez przeszkód. Royal Air Force musiało powrócić na lotniska i uzupełnić paliwo, Home Fleet straciło część ze swych statków, a wiele było uszkodzonych przez dokonujących niemal samobójczych akcji pilotów stukasów. Mądrzej było wycofać okręty celem dokonania napraw, zwłaszcza że większość niemieckiej armii inwazyjnej już stała na brzegu. Rommel zajął pierwsze lotnisko na Wyspach dla Luftwaffe, dzięki czemu teraz samoloty od razu mogły włączać się do boju. Guderian umocnił zdobyte tereny i dogodnie rozlokował swoje siły. A Brytyjczycy nie mogli im przeciwstawić szybko żadnego zorganizowanego korpusu bojowego. Zepchnięcie

najeźdźców do morza okazało się niemożliwe. W związku z tym zgromadzili pospiesznie pozostałe w okolicy siły, w liczebności dwudziestu dywizji, do obrony przejścia w stronę Londynu. W tym samym czasie na północ przedzierały się już pierwsze pancerne zagony Rommla.

- Podczas kampanii francuskiej ponoć poruszał się szybciej niż Guderian. Żabojady nazywały czołgi Rommla „dywizją duchów” wyjaśnił Weiner. - I tym razem Rommel użył swej niezwykłej przemyślności. Najpierw ustawił urządzenia zagłuszające na pełną moc, by zakłócić łączność nieprzyjaciela. Potem do zarekwirowanych po drodze angielskich samochodów podoczepiał na dachach skrzydła z zestrzelonych samolotów. Było ich tam bowiem w owym czasie pełno, zarówno naszych, jak i nieprzyjaciela.

- I samochody wzniosły się w powietrze i zbombardowały Brytyjczyków - krzyknął ktoś z emfazą. - Wiwat Adolf Hitler!

- Niestety nie, ale po uruchomieniu silników wzbiły wielką chmurę pyłu pomieszanego z resztkami chemicznych substancji. Ta trująca kurzawa z daleka wyglądała jak przemieszczająca się olbrzymia armia. Anglicy ustawili się do niej czołem i zaatakowali. W tym czasie Rommel śmiałym manewrem na zachód znalazł się na flance. Zaskoczenie było zupełne, na domiar złego dla Brytyjczyków część najlepszych czołgów weszła już w strefę kurzawy, gdzie były ślepe i głuche, ponieważ łączność radiowa nie działała. Strzelali zatem do samochodów prowadzonych przez jeńców z Dover, sądząc, że uczestniczą w regularnej walce. W tym czasie siły Rzeszy zadały aliantom takie straty, że Churchill wydał rozkaz odwrotu, by uratować armię. Większość dywizji wycofała się w jako takim szyku poza Londyn. Natomiast odcięte od głównych sił czołgi, gdy tylko pył opadł, poddały się przeważającej sile. Przejęliśmy wiele dobrego sprzętu, a

droga do miasta stanęła otworem. Rommel podszedł pod Londyn następnego ranka.

Stolica była zrujnowana bombardowaniami, pociski z sarinem i fosgenem wymordowały część ludności, pozostali po pierwszym ataku chemicznym w pośpiechu udali się na północ. Cywilów zostało niewielu.

- Złośliwi mówią, że na każdego cywila przypadał brytyjski komandos - mruknął Weiner.

- Pierwsza próba zdobycia miasta nie powiodła się. Rommel nie podprowadził jeszcze głównych sił, a zwłaszcza artylerii. Polegał zbytnio na opanowanej dzięki nowym lotniskom przestrzeni powietrznej. Niestety wsparcie stukasów i heinkli nie wystarczyło do złamania oporu obrońców. Piechota królewska ukryła się wewnątrz budynków i gęsto ostrzeliwała. Wprowadzone w wąskie uliczki czołgi traciły pole manewru. Gdy dziesiąty zapłonął, Rommel wydał rozkaz odwrotu. Nacierający nieprzyjaciel wyparł Wehrmacht nawet z zajętych uprzednio dzielnic. Alianci zatrzymali się dopiero na granicy miasta, gdzie otwarta przestrzeń byłaby dla nich zabójcza.

Podobno rodzina królewska i rząd przenieśli się do Liverpoolu, ale sam Churchill ukrył się w kanałach Londynu jak wielki tłusty szczur i zapowiedział, że zostanie tam do końca. Otoczony doborową brytyjską gwardią, kpi sobie z ofensywy Wielkiej Rzeszy.

- Pieprzony Churchill. Gdyby Anglicy mieli za premiera człowieka tej miary i charakteru co Pétain, na świecie panowałby pokój - powiedział Luehmann.

- Następnego dnia dołączyli Guderian i von Rundstedt z głównymi siłami, a zwłaszcza artylerią. Wehrmacht poniósł ogromne straty, ale udało się zdobyć część Londynu. Wciąż trwają zacięte walki, Brytyjczycy wyposażyli swoich ludzi w lepszy sprzęt przeciwchemiczny, poza tym doskonale znają teren. Guderian podzielił siły i oddziały pod dowództwem

Rommla wysłał na północ, by wreszcie dotrzeć aż do Coventry. Brytyjczycy po ostatniej klęsce nie odważyli się już atakować, ale broniąc się, zadawali nam wielkie straty. Potrzebowaliśmy rozpaczliwie uzupełnień.

Prowadzący zwiesił głowę ze smutkiem.

- Niestety, kolejna przeprawa przez kanał La Manche nie powiodła się zgodnie z oczekiwaniami. Mimo ostrzału dział z obu brzegów, cholerna Home Fleet podpłynęła blisko i udało się jej zatopić ładunek czołgów i ciężkiego sprzętu, reszta zaś zaopatrzenia musiała wrócić do Francji. Oczywiście obecny tu feldmarszałek Rzeszy - skryty w cieniu Göring ukłonił się lekko - natychmiast uruchomił most powietrzny między Calais a Londynem, dostarczając amunicji, lekarstw, nieskażonej żywności i chemicznych neutralizatorów. Jednak do dalszej ofensywy potrzebowaliśmy ludzi i sprzętu. Adolf Hitler wydał zakaz kolejnych przepraw, dopóki nie upewnimy się, że to bezpieczne. Nie chciał, by jego najlepsze wojska pozostały odcięte na wyspie, gdyby zaszła konieczność użycia ich na kontynencie.

- Będzie kampania przeciwko komuchom! - wykrzyknął ktoś radośnie w ciemności.

- Korzystając z sukcesów na lądzie, mogliśmy użyć samolotów do zniszczenia brytyjskiej floty. Po zajęciu południa Wysp, okręty Royal Navy ukryły się w portach północnej Anglii i Irlandii, a zwłaszcza w niedostępnej bazie Scapa Flow. To tam zdecydowaliśmy o kolejnym uderzeniu.

Prowadzący zrobił efektowną pauzę. Popatrzył po zebranych.

- Państwo pamiętają nasz ostatni atak na Orkady, zatopienie na początku wojny brytyjskiego pancernika HMS „Royal Oak” przez pojedynczego U-boota w Scapa Flow? Jak mówi legenda, dopadliśmy drania podczas tworzenia

blokady zabezpieczającej przesmyki przed okrętami podwodnymi...

Wszyscy zebrani zarechotali jak jeden mąż z dowcipu. Obok zwykłych „he-he-he” rozlegały się parskania i brawa.

- Tym razem również spodziewaliśmy się sukcesu. Dzięki nowym lotniskom, zajętym wokół Londynu, Scapa Flow znalazła się w naszym zasięgu. Wysłaliśmy samoloty, by unieszkodliwić stacjonujące w zatoce okręty Home Fleet. Niestety, nie wszystko poszło po naszej myśli. Na skałach nad zatoką znajdowały się baterie przeciwlotnicze, okręty również pluły z dział w niebo. Na domiar złego największą bazę Brytyjczyków chronił jeden dywizjon, bodajże 303. Sądziliśmy, że to nie problem, jednak wrogie samoloty związały na niebie nasze bombowce. Bomby zrzucane w pośpiechu wpadały do morza, musieliśmy wrócić, nie zanotowawszy większych sukcesów.

Rozległy się okrzyki zawodu. Ktoś płakał. Oprócz zwyczajowego „*Scheiße*” padały takie komentarze jak „pieprzona Scapa Flow”. Zgrzytano zębami, a niektórzy młodsi oficerowie w zapale prosili, by ich od razu oddelegować na lotnisko, a natychmiast dla Führera polecą i zbombardują tę cholerną skałę. To, że żaden z nich nie umiał pilotować, nie miało w tym wybuchu entuzjazmu żadnego znaczenia.

Prowadzący jednak potrafił pocieszyć publiczność.

- Mimo to wysłaliśmy myśliwce. Nie wdając się w wymianę ognia z Trzysta trójką, wrzuciły do ujścia zatoki dziesiątki min magnetyczno-akustycznych! - Uśmiechnął się przy tym tak szeroko, że zademonstrował garnitur wilczych zębów.

Rozległy się natychmiast entuzjastyczne okrzyki:

- Tak, tak!

- Doskonale!

- Właśnie tak należało zrobić...

Ściskano sobie ręce i gratulowano, że Adolf Hitler jest tak mądrym wodzem.

- Tak wygląda nasza obecna sytuacja. Wschodnie południe Wielkiej Brytanii jest zdobyte, Rommel walczy pod Coventry o każdą piędź ziemi. Mimo wysiłków naszych najlepszych dowódców, nadal większość Londynu jest opanowana przez komandosów Churchilla. Uzupełnienia przez kanał La Manche wysyłane są ostrożnie i często docierają ze sporymi stratami. Obecnie, po kilku sukcesach na nieprzyjacielskim terenie, lepiej znamy broń chemiczną Anglii i zaprojektowaliśmy nowy model maski, w który wkrótce zostaną wyposażone wszystkie służby SS lecące do Londynu. Zobaczcie...

*

Musi wyprowadzić psa na spacer.

James miał tylko dwanaście lat, ale czuł się żołnierzem. W brudnym, szarym ubraniu przemykał wśród gruzowisk zniszczonego Londynu. Twarz i dłonie owinął bandażem, na ustach ułożonym w prymitywną maskę. Dla wielu cywilów zabrakło zaawansowanego sprzętu przeciwchemicznego, każdy radził sobie, jak potrafił. James wnętrze dłoni miał poparzone, wysmarowane łagodzącą maścią i pokryte szpetnymi bliznami. Brzydkie wrzody pokrywały też jeden bok jego ciała i kawałek nogi. Nie sądził, że istnieje powietrze, które może rozpuszczać skórę i parzyć niczym piekielny ogień. Aż do pewnego ciepłego lipcowego ranka, gdy szedł z kolegami zagrać w piłkę. Z nieba spadł deszcz rakiet. Na początku się wystraszył, gruchnęły jakoś tak z dziwnym łomotem, bał się też, że spadną na boisko i zniszczą murawę. Tak było podczas ostatnich bombardowań, na środku łąki, na której wcześniej grali

mecze, widnieje teraz pokaźnych rozmiarów lej. Potem wszystko ucichło i nawet kolega idący z przodu sypnął jakimś żartem. Pokozłował kilka razy piłką.

I zaczął się rozpuszczać.

James zakaszlał sucho. Wiedział, że płuca ma nieodwracalnie zniszczone, a w jego ciele krążą dziesiątki toksycznych substancji. Ale żył i musiał się opiekować swoją rodziną, która od początku oblężenia, jak większość londyńczyków, zeszła do pogłębianego w błyskawicznym tempie metra. Zatrzymał się przed rumowiskiem, które kiedyś było budynkiem stacji, i starannie je obszedł, odnajdując ukryte wśród pokruszonych kawałków muru ciemne wejście tunelu. Rozejrzał się, czy nikt go nie widzi i wślizgnął się zwinnie w mrok. Po kilku krokach korytarz się kończył, a zaczynały schody wiodące w dół. Przebiegł dwie kondygnacje. Echo jego kroków rozchodziło się wokół.

Znalazł się w większym pomieszczeniu. Obszedł rozwalony wagon metra, dalej leżała wykolejona lokomotywa. Przeszedł jeszcze kilka kroków w ciemności wzdłuż torów, aż nagle zza filara wyłoniła się niewielka sylwetka. Na peronie czekała jego ośmioletnia siostra. Na smyczy trzymała psa. Rodzice nie pozwolili jej samodzielnie wychodzić z podziemi. Popatrzyła na niego z wyrzutem: znowu się spóźnił.

Kate miała myszate długie włosy, niestety ostatnio wypadały całymi garściami i teraz zostały bardzo rzadkie pasma, między którymi czerniły się strupy na łysinie. Wybroczyny pokrywały jej twarz i przedramiona, na policzku ziała niezagojona rana. Czarny wilczur zamerdał ogonem na jego widok. Sierść miał wyleniałą, na jednym boku różowiło się płatami gołe ciało. Wychudzony był tak, że brzydko sterczały spod skóry żebra, z oczu ciekła ropa. Otworzył pysk i dyszał ciężko, z wywiniętym jęzorem, jak to mają w zwyczaju psy. Brakowało mu niektórych zębów.

Wokół korpusu uwiązany miał pakunek z przytroczoną do grzbietu antenką.

James zabrał smycz, chwilę patrzył, jak Kate zeskakuje na tory, zaczyna po nich biec i znika w ciemnościach. Wilczur delikatnie pociągnął go w kierunku wyjścia. Wyraźnie chciał się wydostać na świeże powietrze, właściwie przeciągnął Jamesa przez klatkę schodową. Rozbawiony chłopak pozwalał na to, czując się ciągnięty w górę niby przez zaprzęg. Krótki tunel i już byli na zewnątrz. Pies uniósł nogę i zaszczycił słup złamanej latarni tuż przy wejściu. Żółty mocz oblewający beton parował, tworząc nad strumieniem zamazującą obraz mgiełkę. Chłopak w tym czasie zwinął się w ataku kaszlu. Bieganie po schodach nie służyło jego płucom.

Oparty o latarnię oddychał ciężko. Ciężkie od wyziewów powietrze miało znajomy chemiczny smak. James próbował przez chwilę wyczuć, czy nie rozpoznaje jakiegoś nowego składnika, innej trucizny wytworzonej w tajnych laboratoriach pod Berlinem i teraz dodanej do układu oddechowego Londynu. Uspokojony ruszył w dół uliczki, dając się ciągnąć psu, ale bez przesady, gdy pies zanadto próbował się rozpędzać, stanowczo ściągał smycz.

Wokół niego stały zrujnowane budynki. Kamienica obok została odarta z przedniej ściany, jakby była tworem chorego ekshibicjonisty. Dało się zajrzeć do obnażonych, opustoszałych mieszkań, w niektórych pozostały resztki starych mebli. Dom z drugiej strony, jakby dla równowagi, był samą fasadą, reszta budynku zwaliła się w stos gruzu. James lawirował między kawałkami pokruszonych murów, przechodził między wypalonymi wrakami samochodów, niekiedy tylko zatrzymując się pod wymarłymi, wyschłymi pniami drzew i pozwalając psu załatwić potrzebę.

Znudzony, uniósł głowę i rozejrzał się wokół. Spojrzenie zatrzymało się na zgruchotanej sylwetce Big Bena

górującej nad miastem. Wciąż snuła się nad nim smużka ciemnego, smolistego dymu niby z fabrycznego komina.

Nic to. Odpłacimy wam za wszystko, najeźdźcy z Europy, myślał mściwie. Wyprzemy was z Wysp, zagonimy z powrotem do waszych nor, z których wypełzliście. A na środku Londynu wybudujemy wielki fallus, cały ze szkła, który będzie znaczył: „*Fuck you*, Europo! Jesteśmy od was lepsi i zawsze będziemy! *Fuck you!*”.

Nagle na stosie gruzu, w który zamieniła się kamienica po lewej, pojawił się jakiś mężczyzna. James poczuł, że jego serce zamiera. Wypuścił smycz i znieruchomiał za drzewem, modląc się, by ta nędzna osłona wystarczyła, gdy tamten spojrzy w dół. Ostrożnie zerknął, wysuwając czubek głowy zza pnia. Żołnierz nosił płaszcz czarny jak noc, okrywający lśniący pancerz tej samej barwy. Wyjątkowo grube naramienniki i ochraniacze poszerzały nienaturalnie ramiona. Miał wielką czaszkę o niezwykle wysokim sklepieniu. Esesman wyglądał jak chodzący trup spowity w cień. W błyszczących stalowo rękawicach trzymał ciężki karabin maszynowy.

Nieumarły, pomyślał tępo wyrostek. Tak chłopaki z ulicy nazywali tych mrocznych, zakutych w stal elitarnych żołnierzy. Zdawało się, że kule się ich nie imały. Bezlitośni, nie znający zmęczenia, stali się prawdziwym postrachem wyludnionego Londynu. Wyłaniali się z ciemności, wśród gruzów, lśniąc wielką trupią czaszką niczym upiory.

Jeżeli spojrzy w dół, z pewnością mnie zauważy, myślał gorączkowo chłopak. Jestem już trupem.

Rozejrzał się wokół. Piętnaście metrów dalej widniała wyrwa w murze, oznaczająca bezpieczeństwo.

Nie mógł pobiec, ruch z pewnością zwróciłby uwagę nazisty.

Może nie zabije dziecka?

Chłopak szacował w myślach ryzyko. Nie mógł się zdecydować.

Pies kręcił się nieopodal, leniwie ciągnąc za sobą smycz. Wystająca nad grzbietem antenka drgała śmiesznie. Serce chłopaka biło jak oszalałe. Jak to możliwe, że tamten tego nie słyszy?

James drgnął, obok esesmana pojawiły się jeszcze dwie sylwetki. Nosiły jakiś sprzęt, czyżby nową nieznaną broń? Ustawili to coś na trójnogu, tak by za żołnierzem znalazł się dymiący Big Ben. Błysnęło.

Robili mu zdjęcia.

Wargi Jamesa wykrzywiły się pogardliwie pod bandażami. Próżność zgubi jego wrogów. Pozujący mężczyzna świata nie widział poza obiektywem, zresztą ten drugi fotograf trzyma w ręku jakiś rodzaj oświetlenia, z pewnością oślepiający żołnierza. James rzucił się do biegu, dopadł zbawczej wyrwy i zagwizdał cicho, plecami ciasno przywierając do ściany po drugiej stronie.

Trzy sekundy potem w jego ramionach pojawił się psiak i próbował polizać mu policzki między bandażami. James podrapał go za uszami, a potem się rozkaszlał.

Nie powinien tu jednak zostać zbyt długo. Mógł zwrócić uwagę Niemców. Jeżeli wokół było więcej żołnierzy, ryzykował, że pójdą jego tropem.

Rozejrzał się szybko. Drogę w dół ulicy zamykało niewielkie jezioro, powstałe w leju po bombie, która zniszczyła rurę wodociągową. James znał dobrze swoje miasto. Wbiegł w bramę naprzeciwko, przebiegł przez puste podwórko, na którym ze sznura od bielizny smętnie zwieszały się jakieś poszarzałe łachy. Pies radośnie biegł razem z nim, czasem tylko podskakując i próbując skubnąć go za rękaw. Nie zatrzymując się, przemknął przez klatkę schodową i już za chwilę znalazł się na następnej ulicy. Przypadł do ściany. Zza załomu rozlegał się warkot silnika.

Klnąc się w duszy za nieostrożność, pospiesznie wycofał się do bramy. W samą porę, na ulicę wjechał nazistowski czołg. Poruszał się powoli, ale zdecydowanie, pewien, że dzięki pancerzowi nic mu nie może zaszkodzić. Potężna lufa kalibru 75 mm poruszała się lekko, jakby szukając celu. Groźny stalowy potwór, niekwestionowany król tego miasta.

James sięgnął palcami pod kamizelkę opinającą psa. Jakiś element zaskoczył na swoje miejsce z charakterystycznym kliknięciem.

Przytulił się na krótko do rzadkiej, zniszczonej chemikaliami sierści psa. Ten już od chwili strzygł uszami, łowiąc charakterystyczny warkot motoru. Zaczął się niecierpliwie wyrywać.

- Bierz go! Rozszarp go na strzępy! - powiedział mu James wprost do ucha. I wypuścił wilczura z bramy. Ten pomknął jak szalony tuż przy murze między kawałami gruzów, czarnopłowy futrzany pocisk. Chłopiec czekał. Mijały sekundy. Rozpędzony radośnie pies wbiegł pod czołg, ledwie unikając rozjechania przez gąsienicę.

A potem dumny czołg eksplodował, zamieniając się w stertę rozżarzonego metalu.

Chłopiec już tego nie widział. Inną drogą wracał do domu. Myślami był w ośrodku treningowym, kilka miesięcy temu. Wówczas pojawił się tam wyniosły Amerykanin o śmiesznym nazwisku, który przybył wraz z ostatnim konwojem.

- Nazywam się Burrhus Frederic Skinner - powiedział. I zaczął im opowiadać o Rosjaninie nazwiskiem Pawłow i śliniących się psach. Było to w większości nudne. Ale potem kazał im wrzucać kawałki mięsa pod czołgi i to już było fajniejsze. Każdy dostał potem swojego psa i miał wraz z nim szukać tego mięsa, i tak wiele razy. Aż psy się nauczyły, gdzie można znaleźć jedzenie. Potem wystarczyło je

głodzić, wreszcie zamontować ładunek i kawałek drutu na grzbiecie. Gdy zwierzę wpełznie pod czołg, antenka się zegnie, a ładunek eksploduje.

Skinner zaintrygował Jamesa. Tak bardzo, że śledził go czasem i raz podsłuchał w jakimś baraku, jak uczony nachyla się razem z brytyjskimi oficerami nad przechwyconą rakietą V1. Wyraźnie podekscytowany zaczął perorować o możliwości osadzenia gołębia w głowicy alianckich prototypów broni rakietowej, opartych na niemieckich projektach. Wcześniej nauczyłby je, że dostaną ziarno, gdy dziobną w miniaturową replikę okrętu. Okienko w takiej głowicy byłoby zintegrowane z układem celowniczym, ptak, dziobiąc - tym razem w prawdziwy okręt - naprowadzałby pocisk na cel.

James potem słyszał, jak jeden bardzo ważny generał powiedział, że szykujący się do wojny Japończycy już drżą przed tą nową bronią i uruchomili własny projekt pod kryptonimem kamikadze, choć nie miał pojęcia, co oni zamierzają dla odmiany włożyć do bomby.

Tymczasem Skinner snuł kolejne nierealistyczne pomysły. A gdyby tak użyć nietoperzy? Alianckie samoloty zrzucają pakunki zawierające nietoperze, z podczepionymi ładunkami zapalającymi z opóźnionym zapłonem. Wystraszone zwierzęta chowają się w każdym dostępnym ciemnym miejscu, czyli pod dachami budynków. Idealnie wycelowana broń.

James powrócił myślami do chwili, gdy potężna eksplozja uniosła czołg niczym zabawkę. Zginiecie wszyscy, pomyślał. Bitwa o Anglię zostanie wygrana. Odzyskamy nasz dom.

Powietrze paliło mu płuca. Doszedł z innego kierunku do ruin tej samej stacji metra, co poprzednio, wtoczył się do ciemnego tunelu. Głębiej oddychało się lepiej. Zbiegał po schodach, przeskakując po dwa, trzy stopnie. Będzie po

takim wysiłku kaszleć, ale co z tego? Jest przecież dzieciakiem, do cholery, czasem ma ochotę sobie pobiegać.

Ominął zdezelowany pociąg. Gdzieś z sufitu kapała leniwie woda.

Na peronie czekała Kate. Na smyczy trzymała zabiedzonego bokserka. Jedno ucho miał naderwane, sklejone strupem z zakrzepłej krwi. Siostra patrzyła na niego z wyrzutem - no co tak długo? Zrobił przepraszającą minę, ale jego oczy patrzyły z bólem na jej straszliwie pokiereszowaną twarz.

Przyspieszył kroku. Musi wyprowadzić psa na spacer.

*

Pojawiło się kolejne zdjęcie, zbliżenie opancerzonego żołnierza w płaszczu, z twarzą zasłoniętą wielkim kościanym czerepem. Za nim w tle widać było płonące budynki. Fotografia była niewyraźna od chemicznej mgły snującej się nad stolicą Wysp.

- Podczas pierwszych testów terenowych sprawdziły się znakomicie. Są o wiele bardziej szczelne, poza tym jesteśmy pewni, że wyglądem wzbudzą postrach podczas walk w mieście.

Rozległy się rzadkie brawa. Trupi wygląd żołnierza zmroził krew nawet u bezpiecznie siedzących w fotelach widzów.

- Zbroje, które nosi nasz żołnierz, nie przepuszczają kuli. Zrobione są z nowego materiału nazwanego przez naukowców kevlarem.

Prowadzący błysnął w uśmiechu garniturem upiornych zębów.

- Nasze akcje przeciwko Home Fleet nie przynoszą oczekiwanych rezultatów.

U-booty minują porty Anglików i próbują storpedować na morzu, wzywając często wsparcie lotnicze, jednak jest to niewystarczające. Na dodatek prezydent Stanów Zjednoczonych, Franklin Roosevelt, przekazał Royal Navy pięćdziesiąt starych niszczycieli. To wzmocnienie brytyjskiej marynarki flotą USA odebrało nam przewagę, jaką zdołaliśmy uzyskać w ostatnim czasie.

- Kaleka! Po co się wtrąca... - poskarżył się ktoś z głębi sali.

- Mimo to jesteśmy pewni, że dzięki ofiarności naszych żołnierzy Londyn wkrótce padnie, a niedługo całe Wyspy poddadzą się pod opiekę naszemu wodzowi, Adolfowi Hitlerowi.

Wszyscy zebrani wstali, ruszyli do przodu i zaczęli wznosić entuzjastyczne okrzyki. Było i „*heil Hitler*” i „*sieg*”, ale w tym hałasie niewiele można było zrozumieć. Artur musiał stać prosto w szeregu - gdyby się ruszył, mógłby oberwać wystrzeliwanymi jak z katapulty dłońmi do nazistowskiego pozdrowienia. Wreszcie ten koszmar się skończył, zebrani wyraźnie zmęczeni ruszyli ku stolikom.

*

Jednak nie był to na dzisiaj koniec atrakcji. Po podłodze sceny zaczął pełzać gęsty dym, wreszcie uniósł się, a dosięgając sufitu, utworzył wielką siną chmurę. Zapłonął reflektor, nałożony filtr sprawił, że wydostawało się z niego tylko czerwone światło w kształcie swastyki, rozproszone przez obłok. Zagrzmiały pierwsze takty jednej z oper Wagnera, a po plecach zebranych przeszły ciarki. Oto rząd pochodni, nie wiadomo kiedy, otoczył scenę, wysoko zaś pojawił się człowiek w czarnej pelerynie z szeroko rozłożonymi ramionami. Dostojnie płynął w powietrzu, wyraźnie zamierzając wylądować pośrodku podium.

Zabrzmiał głos, donośny i potężny:

- Nikt nie wie, gdzie się urodził ani kiedy. Gdy pytają go, czy ma tysiąc lat, zaprzecza, ale może to znaczyć zarówno, że jest młodszy, jak i starszy. Żałuje w życiu tylko jednego: że nie zdołał uratować z kipieli cesarza Barbarossy, wierzy bowiem, że wtedy świat byłby lepszy, a Aryjczycy zajmowali należne sobie miejsce już od dawna. Ale zostawmy jego młodość. Człowiek bezcenny dla Rzeszy, tropiciel naszych przodków Atlantów, zapuścił się w boliwijskie Andy, gdzie zgłębiał tajniki prastarej wiedzy w mitycznym Tiahuanaco. W Hiszpanii spędził rok, medytując na Montserrat, aż doznał wizji świętego Graala. Pielgrzymował do Diabelskiego Kamienia z Bad Dürkheim, z którego wyciągnął niebywałą moc. Używając zespolonych z Wszechświatem megalitów Stonehenge, zajrzał w gwiazdy i ułożył najdoskonalsze horoskopy, jakie zna świat. Spacerując Aleją Sfinksów w Karnaku był bliski odkrycia tajemnicy śmierci. Dopiero co powrócił z ostatniej podróży do Tybetu, gdzie zgłębiał tysiącletnią wiedzę. Panie i panowie, potomek Atlantów jest wśród nas. Profesor Batholomäus von Blankenknohr!

Gdy umilkły ostatnie słowa, mężczyzna w pelerynie wylądował i skłonił się publiczności.

- Witam was, dumne dzieci największego z narodów. Przybyłem tu na specjalne zaproszenie mego wybitnego przyjaciela, marszałka Rzeszy, by sporządzić dla naszej ojczyzny horoskop na najbliższe dziesięć lat.

- Ciekawe, czym Göring mu zapłacił, że von Blankenknohr zdecydował się tak poniżać - mruknął Weiner.

- By zademonstrować państwu mój niezwykły kunszt, będę potrzebował kogoś z sali, kto stanie się naczyniem dla głosu sił z innego świata, których nigdy nie pojmie umysł

człowieka, ale nad którymi zapanowała moja sztuka i moc. Bardzo proszę, pan przy stoliku pod ścianą.

Na scenę, nieco niepewnie się rozglądając, wyszedł młody żołnierz. W tym czasie młodzi członkowie Hitlerjugend ustawili krzesło.

- Proszę usiąść. - W dłoni mistyka pojawiła się srebrna kula na łańcuszku. - Proszę się wpatrywać w to wahadło. Bardzo dobrze. Dlaczego jesteś taki spięty? Masz przecież tylko kilka lat, mama i tata są tutaj z tobą...

- Mama? - zapytał żołnierz dziecięcym głosikiem.

- Tak, mama też jest, jak będziesz grzeczny, kupi ci podkoszulek z podobizną twojego ukochanego wodza, Adolfa Hitlera.

Siedzący na krześle zmarszczył nos i podrapał się w zamyśleniu po głowie.

- Wolałbym lizaka - oznajmił zdecydowanie.

Na sali zrobiło się poruszenie. Okultysta pospiesznie powiedział:

- Ależ jesteś jeszcze dzieckiem, nie wiesz, co jest dobre, a co złe. Masz tylko kilka miesięcy.

- Łeeee - rozdarł się żołnierz.

- Ale jest to kilka miesięcy przed urodzeniem...

Mężczyzna zaczął wykonywać rękoma i nogami niezdarne ruchy, jakby pływał. Spadł z krzesła i kontynuował dziwaczną gimnastykę na podłodze.

- A teraz cofnijmy się do czasu, zanim dusza zstąpiła z zaświatów, by zamieszkać w zygocie, do czasów przed poczęciem. Będzie mogła wówczas spotkać duchy potężne i zapytać je o przyszłość świata. Niech przybędą tu i ją objawią, prosi o to potomek mistycznej rasy Atlantów, potężny Batholomäus von Blankenknohr.

Ciałem leżącego żołnierza nagle zaczęły miotać konwulsje. Piana poszła z ust, oczy wywróciły się na drugą stronę.

Okultysta podniósł ręce ku górze i zagrzmiał:

- Duchu potężny, zaklinam cię, przemów do nas.

- Dlaczego mnie wezwałeś, śmiertelniku - odezwał się żołnierz nie swoim, zgrzytliwym głosem.

- Pragnę poznać przyszłość mego ukochanego kraju.

- Zatem słuchaj uważnie. Czeka was jeszcze wiele prób. Najbliższy okres będzie bardzo trudny, będzie wymagał od każdego olbrzymich ofiar, ale jeśli tylko dochowacie wierności waszemu ukochanemu przywódcy, Adolfowi Hitlerowi, czeka was tysiąc lat pokoju i dobrobytu.

- Duch poszedł po najmniejszej linii oporu - zauważył cierpko Weiner, błyskając w mroku spojrzeniem w stronę Artura. - Wykuł na pamięć ulotkę NSDAP.

Te słowa i lekko drwiący uśmiech zburzyły Arturowi całą mistyczną otoczkę przedstawienia. Nie słuchał już kolejnych, szczegółowych wyjaśnień ducha, formułowanych na podobną partyj no-propagandową modłę ku pokrzepieniu serc. Prawdę mówiąc, zaczynał się trochę nudzić. Z ulgą powitał fakt, że metafizyczny bełkot żołnierza się skończył i ten, wybudzony z hipnozy, powrócił na swoje miejsce, potrząsając głową.

Von Blankenknohr otrzymał burzę oklasków.

- Dziękuję, moi kochani - przemówił czystym, donośnym głosem. - Ale jest między nami ktoś potężniejszy ode mnie, przynajmniej zdaniem naszego ukochanego przywódcy Adolfa Hitlera. Jego najnowszy mistyczny doradca, któremu nie jestem godzien zawiązać rzemyka u sandała ani obmyć stóp, przybył do nas z dalekiej, dzikiej wschodniej krainy, podbitej przez Rzeszę we wrześniu zeszłego roku przez naszych dzielnych chłopców. Panie i panowie, zaprośmy go

na scenę, by pokazał nam swoją sztukę. Artur Sosnowski z barbarzyńskiej Polski! Brawa!

Dwa mniejsze szperacze błądziły skonsternowane po tłumie, następnie, jakby złapały trop, równocześnie popędziły przez ciemność i uderzyły światłem prosto w oczy Artura.

Nic nie widział, czuł się jak pływak zagubiony w oceanie, choć zamiast szumu fal słyszał łoskot oklasków. Chciał poszukać rady u Weinera, ale w harmidrze było to niemożliwe, poza tym wszyscy już na niego patrzyli. Powstał powoli, a klaskanie się wzmogło. Ruszył w kierunku sceny jak na ścięcie. Gdy wreszcie stanął na podwyższeniu, dostrzegł, że jest sam, von Blankenknohr zmył się zawczasu.

Zmrużył oczy, główny reflektor z czerwoną swastyką świecił prosto na niego. Oklaski powoli cichły, a gdy narastała z każdą sekundą cisza, czuł, że nie może po prostu powiedzieć, iż dzisiaj jest nie w formie.

Rozległy się pierwsze szmery i parskania. Ludzie się nudzili, byli niezadowoleni.

- Potrzebuję kartki papieru, dużo. - Miał to powiedzieć głośno, ale wychrypiał cicho. - I czegoś do pisania.

Esesman z upiornymi stalowymi zębami na krótko wychynął w snop światła. Skinął głową:

- Eppler, Ratzinger, słyszeliście - rzekł do stojących pod ścianą pomocników z Hitlerjugend. Wkrótce dwóch młodych chłopaków dostarczyło Arturowi żądane przybory.

- Drodzy państwo - przemówił Sosnowski głośno, tym razem uprzednim odchrząknięciem odganiając chrypkę. - Mój poprzednik przepowiedział wam przyszłość, ja skromnie poprzestanę na teraźniejszości. Nie znam was ani wy nie znacie mnie, a jednak mimo to każdy indywidualnie dowie się kilku słów prawdy o sobie. I to takiej prawdy, którą nieraz ukrywa przed innymi, a nawet... Nawet,

drodzy państwo, przed sobą. Rozdam teraz każdemu z was kartki, na których będą napisane słowa określające was samych. Zachowajcie je głęboko w sercu, nie pokazujcie nikomu, bo lepiej, by obcy nie znali wszystkich tajników waszej duszy.

Usiadł na krześle. Zaczął pisać na kolanie.

- Proszę, podchodźcie tutaj po kolei. Na co czekacie, boicie się prawdy o was samych? Może któraś z dam, są odważniejsze, bo co dzień stają przed lustrem. Tu nic innego was nie czeka, jedynie lustro.

Pierwsza wstała Liliane. Odważnie przeszła kilka metrów, wskoczyła zgrabnie na scenę i wyciągnęła rękę po karteczkę. Gdy jej podawał, chwilę przytrzymał, dziękując spojrzeniem. Dziewczyna zerknęła na napisane słowa, spłoniła się, po czym szybko zeszła ze sceny, nieco teatralnie tuląc karteczkę do serca. A przy Arturze był już Giovanni Grazziani z włoską nonszalancją. W jego ślady poszli Leuchmann i Weiner, a za nimi, co zdziwiło Artura, ustawił się profesor Hoffmann.

Grazziani zerknął na swoją karteczkę i zakrzyknął:

– *Mamma mia!*

Ludzie się zaciekawili, wkrótce na Artura naparł taki tłum, że nie nadążał pisać.

*

Artur siedział przy stoliku. Czuł gorąco na policzkach, teraz, gdy już się wszystko skończyło, słyszał, jak szaleńczo bije mu serce. Na scenie dziewczyny z Hitlerjugend śpiewały frywolne bawarskie piosenki. Wszyscy mu gratulowali.

- Jest pan prawdziwym prorokiem. Potrafi pan czytać w myślach. - Przykleiła się do niego jakaś korpulentna

hrabina. - Niech pan mi zdradzi swój sekret.

- Ależ, *Frau,* ja, by się nauczyć tej sztuki, poświęciłem pół życia w odległej, dzikiej i barbarzyńskiej Polsce, a pani chce, bym wyjaśnił to w jeden wieczór.

- Ach, Polska. - Hrabina podniosła rękę do ust. - Jak pan mógł tam żyć? Czy to prawda, że ludzie w tym kraju wyrzucają nieczystości na głowy bliźnich i jeden drugiego zjada?

- Absolutna prawda, *Frau.* Jest tam dokładnie tak samo, jak na niemieckich salonach.

Rozległy się śmiechy. Hrabina spąsowiała.

- Znakomite! - Do Sosnowskiego podszedł niemiecki oficer. Znakomite, choć ryzykowne. Heydrich chciał pana na miejscu rozstrzelać, uważając, że wie pan zbyt dużo i jest pan niebezpieczny. Ledwo Göring go powstrzymał, stwierdzając, że jako gospodarz nie może się zgodzić, by jego gościom spadł włos z głowy. Bardzo dobra robota, gratuluję. Jestem Rudolf Hess. - Uścisnął dłoń Artura, wymienił zdawkowe uprzejmości z Weinerem i odszedł.

Pojawiła się Liliane.

- Znacznie bardziej mi się pan podobał niż ten zadufany bubek von Blankenknohr. Mogłabym przysiąc, że widziałam linki, dzięki którym był podczepiony do sufitu. Natomiast pańska sztuczka była... poruszająca.

- Dziękuję, *Fräulein,* cieszę się, że zrobiła odpowiednie wrażenie.

- Myślę, że nawet zbyt duże. Proszę! - Gwałtownym gestem oddała mu zgiętą na czworo kartkę. - Nie mogę już na te słowa patrzeć. Niech pan je zabierze, tylko u pana będą bezpieczne.

Odwróciła się i odeszła szybkim krokiem. Polak schował machinalnym gestem kartkę do kieszeni.

Był zmęczony. Powiedział Weinerowi, że ma już dosyć przyjęcia i chciałby wrócić do domu, co jego towarzysz uznał za świetny pomysł. Od czasu prowokacji von Blankenknohra rozglądał się po ludziach, jakby był na polu bitwy i patrzył, z której strony nadejdzie następny atak.

- Heydrichowi trzeba będzie tę sztuczkę jutro dyskretnie wyjaśnić, pojutrze ją zrozumie i może ocali pan życie. Nasz przyjaciel Batholomäus może mieć dzisiaj więcej dobrych pomysłów powiedział Weiner. - Chodźmy!

Schlink już na nich czekał w limuzynie, przy schodach wiodących z rezydencji. Dopiero gdy znaleźli się wewnątrz, Sosnowski poczuł się bezpieczny.

Czarny volkswagen pruł przez noc. Rzadkie światła mijanych samochodów migały po oczach Artura niby reflektory sceny. Weiner spał na przednim siedzeniu albo przynajmniej próbował usnąć. Schlink, by go nie budzić, też się nie odzywał.

Sosnowski odchylił się i wygodnie oparł na skórzanej tapicerce. Teraz dopiero odważył się rozprostować kartkę od Liliane.

Na jednej stronie znajdowała się jego chaotycznym, nerwowym charakterem pisma kolumna przymiotników, a pod nią pospieszny napis:

„Czy umówi się Pani ze mną, Liliane o oczach jak gwiazdy?”.

Drżącą ręką odwrócił papier.

Uporządkowane, kreślone z arystokratycznym wyrafinowaniem litery składały się w napis: „Klub »Ciemność«, sobota, 23.00”.

# IV

- Dobrze pan sobie poradził na ostatnim przyjęciu. Ciemny mag Hitlera był wściekły.

- Moja sztuczka była prosta. Chciałem tylko nie wyjść na kompletnego głupca.

- Udało się zatem lepiej, niż pan oczekiwał. Profesor Batholomäus von Blankenknohr prezentuje za każdym razem ten sam zestaw sztuczek. A ludzie się szybko nudzą. I zaczynają sarkać, że horoskopy to bajda, bo sprawdzić je można za dziesięć lat, hipnoza to w rzeczywistości podstawienie umówionego człowieka, natomiast latanie w powietrzu odbywa się za pomocą przemyślnych machin. Pan natomiast sprawił, że każdy z nich doświadczył magii bardzo osobiście i intymnie. Każdy długo się zastanawiał i żaden nie potrafi wyjaśnić racjonalnie trafności pańskiej sztuki. Natomiast Profesor jest wściekły i już uruchomił siatkę swych wpływów.

- Nie chciałem robić sobie z niego wroga. Może lepiej byłoby się wczoraj podłożyć.

- Skąd! Odsłonić szyję i czekać, aż przegryzą gardło? Gdy ktoś pokroju von Blankenknohra zwietrzy słabość, nabiera wiatru w żagle. Pastwiłby się nad panem z sadystyczną przyjemnością, bez wyrzutów sumienia, bo stałby się pan w jego oczach podczłowiekiem. Postąpił pan słusznie. Natomiast teraz będziemy musieli sobie z nim radzić.

- Może nam narobić kłopotów?

- Von Blankenknohr uderzył zaraz rankiem, przedstawiając dowód, że jest pan w połowie Żydem, w połowie Cyganem. Na szczęście, sprowokowany przez

pana, uderzył zbyt pośpiesznie, nie sprawdzając terenu. Nie wiedział, że ma pan świadectwo aryjskości podpisane przez samego Heinricha Himmlera, najlepszego specjalistę od ras w Rzeszy. Mój znajomy o wielkich wpływach, Rudolf Hess, wyśmiał publicznie Profesora i ciemny mag przełykając wściekłość, musiał przejść do defensywy. Póki Hess ma wpływ na Hitlera, jesteśmy bezpieczni i von Blankenknohr nie będzie mógł nas zniszczyć. Tym niemniej już teraz rozpowiada, że przesłał panu znakomitą tybetańską maść na stawy.

- Rzeczywiście, Schlink powiadomił mnie rankiem, że coś takiego otrzymał. Gdy powiedziałem, że nie oczekiwałem podobnej przesyłki, zostawił rzecz do zbadania.

- Znakomicie, weźmiemy to gówno do laboratorium.

- Mimo to nie rozumiem. Nie choruję na stawy...

- Pan bardzo wielu rzeczy nie rozumie i nie docenia von Blankenknohra, jak wszyscy w Berlinie. Właśnie bardzo sprytnie zwraca powszechną uwagę, że nie podnosi pan ręki w nazistowskim pozdrowieniu.

Weiner ruszył do wyjścia. Ale w drzwiach zawahał się, zatrzymał się i odwrócił.

- I lepiej, żeby pan wiedział jeszcze jedno. Wychowanek Thule rzeczywiście potrafi unosić się w powietrzu.

*

Nadeszła pora wypróbować zakres nazistowskiej wolności. Zapytał Weinera, czy mógłby odwiedzić poznanego na przyjęciu profesora Hoffmanna. Nie mógł po prostu ukradkiem wyjść z domu, bo i tak byłby z pewnością śledzony, a naraziłby się na podejrzenia. Gdyby nawet miał pomysł, jak zmylić pościg, ucieczka wydawała się nieprawdopodobna w stolicy kraju rządzonego przez SS.

Weiner nie miał nic przeciwko.

- Schlink pana zawiezie - rzucił krótko.

Okazało się, że Schlink nie tylko zawiózł Sosnowskiego na miejsce, ale ochoczo pakował się za nim po schodach zabytkowej berlińskiej kamienicy.

- To prywatne spotkanie - warknął Polak.

- Nie będę się rzucał w oczy.

- Będzie pan przeszkadzał.

- Mam rozkaz być z panem w każdej sytuacji.

- Na obiedzie u marszałka Rzeszy pana nie było.

- Był Herr Standartenführer i mnóstwo godnych zaufania ludzi.

To oni mnie pilnowali, tak?, miał ochotę krzyknąć Artur. Ale nie zależało mu na awanturze.

- Teraz spotykam się z jednym z godnych zaufania ludzi, którzy byli na tamtym przyjęciu. Więc wszystko w porządku, prawda?

Mina Schlinka mówiła sama za siebie, co tylko utwierdziło Artura w trafności wyboru dzisiejszego adresu. W gardle esesmana rodził się kolejny protest.

- Słuchaj, Schlink, każdy ma prawo do pewnej intymności. Jesteśmy z profesorem Hoffmannem homoseksualistami. Na pewno chciałbyś być z nami w każdej sytuacji?

*

Na dębowych drzwiach pyszniła się złota tabliczka głosząca „Richard Hoffmann”. Pod nią tegoż koloru misternie wyrzeźbiona kołatka. Artur zastukał. Raz, potem drugi. Następnie z westchnieniem odnalazł zamontowany przy framudze dzwonek. Usłyszał szuranie po drugiej

stronie. Drzwi otwarły się na kilka milimetrów, akurat na tyle, żeby pokazać oko o jasnoniebieskiej tęczówce.

- Słucham?

- Jestem Artur Sosnowski. Mam do pana pewną sprawę. Nie wiem, czy mnie pan pamięta. Poznaliśmy się na ostatnim przyjęciu u Göringa.

- A, magik... - Zgrzytnięcie łańcucha. - Dobra, niech pan wejdzie.

Naukowiec stał w przedpokoju, ubrany w szlafrok i kapcie.

- Niezła sztuczka, wykorzystująca zjawisko projekcji. Sprytna. Jako fachowiec jestem pod wrażeniem.

- Nie moja. Pierwszy raz wykorzystał ten numer Hans Eysenck na jednym ze swoich przyjęć.

- Ryzykowne było tylko pisanie na wszystkich kartach tego samego. Część osób potraktowała je jak zabawę i wyrzuciła. Podszedł do komody i z szuflady wyjął trzy świstki, machnął nimi leniwie w powietrzu. - Ktoś mógł je podnieść.

- Ale czy nie na tym polegało *clue* tego eksperymentu?

- Prawda. No to wiemy, że jest pan bystry. Kawy?

- Wolałbym herbaty.

- Dobrze, zapraszam tymczasem do salonu, niech się pan rozgości. - Na chwilę zniknął w kuchni. Wrócił z dwiema parującymi filiżankami.

- Co pana do mnie sprowadza? - zapytał, gdy już umoczyli usta.

Artur zaczerpnął powietrza.

- Przybywam z przyszłości, ze świata niewyobrażalnie różniącego się od tego. Nie wiem, jaka siła zesłała mnie tutaj ani dlaczego. Co gorsza, nie umiem też wrócić. Ale chyba największym nieszczęściem, jakie mnie spotkało

zaraz na początku, było schwytanie przez hitlerowców, którzy wykorzystują moją wiedzę, by odwrócić losy wojny.

Twarz Hoffmanna nie zmieniła się ani trochę.

- Pomylił pan adres - rzekł. - Ja już nie praktykuję.

- Mimo to jednak brał pan udział w wielu ich projektach, ma pan lub może mieć dostęp do tajnych archiwów...

- Pan mnie nie słucha. Nie przyjmuję już pacjentów. Od pewnego czasu... dam panu adres Junga. Zainteresuje go pański przypadek. Szkoda, że Freud już nie żyje. Podobno w Anglii praktykuje jego córka. Gdyby nie wojna...

- To pan mnie nie słucha. Jeżeli jestem wariatem, dlaczego otaczają mnie sami prominentni oficerowie SS?

- To dla mnie żaden argument. Dla mnie wszyscy naziści są szaleni.

- Trudno nie przyznać panu racji. Dlatego dziwi mnie, dlaczego mordują chorych psychicznie.

- To akurat jest proste. Boją się konkurencji.

- Poza tym... Ludzie mogą usłyszeć te same słowa z ust chorych umysłowo i coś zaczną kojarzyć.

Hoffmann zerknął na niego z uznaniem.

- Dobrze się z panem rozmawia, Herr Sosnowski.

- Dziękuję. Może niech się pan jeszcze raz zastanowi. Oni mi uwierzyli. Tak bardzo, że wciąż jestem śledzony.

Hoffmann pomasował podbródek z zafrasowaniem. Jego sceptycyzm właśnie wzrósł po dwakroć. Artur zrozumiał, że musi spróbować nieco inaczej.

- Wiem, że nie zabrzmiało to dobrze. Ale jeżeli uchyli pan firanki i wyjrzy, zobaczy pan przy volkswagenie mężczyznę w czarnym płaszczu.

Naukowiec spojrzał na niego z uwagą.

- Hmmm, widziałem... sądziłem, że to mnie śledzi.

- Dlaczego, jeżeli mówię, że naziści mnie śledzą, uważa mnie pan za wariata? A równocześnie jest pan głęboko przekonany, że to pana śledzą?

- Takie nastały czasy... Ale dobrze. Nie mówię, że mnie pan przekonał, ale zrobimy sobie po jeszcze jednej filiżance. Da się pan zaprosić?

*

- Na przyjęciu mówiono, że był pan uczniem Junga? - zapytał Artur po pochwaleniu aromatu herbaty.

- Tak samo byłem uczniem Junga, jak Freuda. Tylko do jednego wolno się tutaj przyznawać. Oni połowę nauki wrzucają do kosza. Einstein nie - bo żydowska fizyka, Freud nie - bo żydowska psychologia... Gdzie tu sens? Kiedyś próbowano ich przekonać, że kategorie narodowe nie powinny być kategoriami moralnymi. Ale nim przebrzmiały pierwsze słowa dyskusji, oni już poszli dalej. Teraz naród stał się kryterium epistemologii. Jeżeli Żyd coś wymyśli, to jest złe albo głupie. Jak nauka może się rozwijać w takich warunkach? Aż boję się wygłaszać hipotezy inspirowane przecież Freudem, żeby mi nie zarzucano propagowania żydowskich teorii. Za to można dostać bilet do Dachau.

- Czym się pan zajmował przed dojściem nazistów do władzy?

- Przed współpracą z nimi, chciał pan powiedzieć? Nie bójmy się słów prawdy, chociaż my, skoro oni wszystko fałszują. Zajmowałem się może niepoważną działalnością dla laika. A zaczęło się przypadkiem. Otóż będąc jeszcze studentem, miałem zwyczaj rysować różne bazgroły, słuchając wykładów. Oczywiście notowałem, gdy pojawiało się coś istotnego, ale w każdej wolnej chwili wyobraźnia swobodnie pracowała, tworząc różne obrazki. Po pewnym czasie zacząłem się im przyglądać. W końcu byłem

naukowcem, czyż nie? Odrzuciłem część przedstawiającą tak naprawdę zakamuflowaną formę organów płciowych, natomiast zaintrygowały mnie te, które były w jakiś sposób związane z treścią wykładu. Na przykład, gdy rysowałem pozornie przypadkowe twarze, często miały charakterystyczne rysy lub atrybuty prowadzącego zajęcia profesora. Zresztą, co ciekawe z punktu widzenia nauki o mechanizmach obronnych, nie ja to zauważyłem, ale przechodząca koleżanka. Powiedziała coś w rodzaju: „O, rysujesz tego starego piernika”. Popatrzyłem, rzeczywiście, podobieństwo było uderzające. Widzę, że jako laik zupełnie nie orientuje się pan, dlaczego to miałoby wzbogacać naukę?

- Rzeczywiście - przyznał Artur.

- Wówczas było to tylko ciekawe, ale łatwo wyjaśnialne doświadczenie. Ot, pewien wyraźny bodziec percepcyjny nadał kształt nieświadomej twórczości artystycznej. Minęło jednak kilka lat. Rozpocząłem prywatną praktykę w Wiedniu. Podczas sesji terapeutycznych robiłem notatki i wówczas powrócił ów niedorzeczny zwyczaj przyozdabiania ich gdzieniegdzie rysuneczkami. Jako samodzielny terapeuta po zakończeniu sesji analizowałem, korzystając z notatek, jeszcze raz wszystko, co wydarzyło się podczas ostatniej godziny z pacjentem. Za którymś razem, przypatrując się namalowanej twarzy, dostrzegłem podobieństwo do mojego klienta. Zacząłem się przyglądać wszystkim obrazkom. Miały związek z tym, co się działo podczas sesji. Często były bardzo trafnym komentarzem, którego jednak nie zdążyłem na czas sobie uświadomić. Tak jakby moja rysująca ręka wiedziała więcej niż ja... Doszedłem do wniosku, że taka analiza bazgrołów jest bezcennym narzędziem analizowania przeniesień i przeciwprzeniesień podczas terapii. Proszę wybaczyć naukowe słownictwo. Powiem tak, Freud analizując sny,

odkrył królewską drogę do nieświadomości, ja tylko boczną ścieżkę.

- Dlaczego zajmując się czymś, jak zrozumiałem, ważnym, zaczął pan z nimi kolaborować?

- Ależ w owym czasie wszyscy flirtowali z nazistami. Nie wyłączając mego mistrza Junga. Nie, nie Żydzi, oni nie mogli. Ale wszyscy pozostali myśleli tak, że przecież nie odrzucimy każdej idei, która nam się nie podoba, to niepoważne, dogadajmy się, zróbmy z nimi interes. Tak postępują sensowni ludzie. Paradoksalnie, od wszystkiego, co inne, odcinają się tylko naziści. Gdybyśmy wówczas zareagowali ostro i zdecydowanie, może by nie było teraz Hitlera, ale czy my nie stalibyśmy się nim? Próbowaliśmy z narodowymi socjalistami współpracować, w imię tolerancji dla inności, poznawania nowego, wreszcie konieczności finansowej. Wie pan, dla intelektualistów nazizm był z początku tylko ciekawym systemem polityczno-filozoficznym. Dobrze się o nim rozmawiało na salonach. A potem ten system zaczął zabijać... - Przerwał na chwilę. - Byliśmy naiwni. Myśleliśmy, że nasza obecność odmieni ich serca. Staną się mądrzejsi, a wraz ze wzrostem wiedzy zrozumieją bezsens niektórych głoszonych sądów. Tymczasem to oni zmieniali nas. A gdy okazywało się to niemożliwe, po wykorzystaniu wyrzucali nas jak zepsute narzędzie. Dlaczego z nimi współpracowałem? Dawali olbrzymie fundusze na znalezienie dowodu na istnienie ludzkiej energii. Wie pan, jaki byłby to przełom w leczeniu ludzi? Wilhelm Reich, mój przyjaciel i nauczyciel, całe życie czegoś takiego szukał i wciąż brakowało mu pieniędzy na stworzenie odpowiedniej machiny testującej jego hipotezy. Teraz ja mogłem za pieniądze nazistów, i owszem, uczynić wielkie dobro. Pan nie rozumie, to byłoby jak odkrycie penicyliny. Zmieniłoby medycynę na zawsze.

- Odkrył pan swoją penicylinę, profesorze?

- Gdy wydawało mi się, że jestem blisko, zaproponowano mi wyjazd do Dachau. Jako naukowcowi, oczywiście. Powiedziano mi, że to doskonale wyposażone laboratorium. Ja wówczas nie wiedziałem… My wszyscy nie wiedzieliśmy, bo i skąd, co się działo za drutami.

Hoffmann wzdrygnął się, jakby wspomnienie okropieństw wciąż wywoływało w nim przerażenie i obrzydzenie.

- Był to czas kampanii norweskiej. Jak pan wie, prawie cała nasza wojna na Atlantyku i Morzu Północnym toczy się za pomocą łodzi podwodnych. Często taki okręt zostaje uszkodzony. Wówczas załoga w najlepszym przypadku ląduje w oceanie. Niekiedy zdążyli wcześniej wysłać wezwanie o pomoc. Okoliczne U-booty już płyną na ratunek. Niekiedy jest to kwestia kilku, czasem kilkunastu godzin. To wszystko marynarze, silne chłopy. Jeżeli nie ma ogromnych fal, powinni bez problemu utrzymywać się na powierzchni. Jednak giną. Co ich zabija?

- Znużenie? Zmęczenie rąk?

- Pan nie widział naszych podwodnych chłopców. W dłoniach gną podkowy, a w wodzie radzą sobie lepiej niż ryba.

- Zasypiają?

- W obliczu śmierci? Pan by usnął, wiedząc, że pomoc w drodze?

- W takim razie nie wiem.

- Wyziębienie organizmu, to ich zabija szybciej niż zmęczenie. Na Morzu Północnym wystarczają godziny i nie zostaje nikt przy życiu. W Dachau mieliśmy robić eksperymenty, badając różnice między ogrzewaniem takich wyłowionych marynarzy ciepłem ludzkim a tym pochodzącym z materii nieożywionej.

Profesor zamilkł. Podjął po chwili dalece słabszym głosem:

- Oczywiście nikt do centrum Rzeszy nie dostarczał półżywych marynarzy. Była zima, wstawiano więźniów do balii z morską wodą stojącą nocą na dworze. Po wychłodzeniu do stanu śmierci klinicznej kładło się ich między dwie kurwy, które próbowały ich rozgrzać. A niektórych dla porównania po prostu ogrzewano kocami.

- Jakie były wyniki?

- Nie wiem. Wycofałem się drugiego dnia. Ale nie przerwano badań, więc jak kiedyś znajdzie się pan w pobliżu obozu Dachau, niech pan zajrzy, zapyta.

*

- Zrobimy tak, Herr Sosnowski. Popytam tu i tam. Zobaczę, czy historia, którą mi pan opowiedział, trzyma się kupy.

- Sprawdzi mnie pan.

- To chyba naturalne. Może pana pilnują, bo jest pan bratankiem któregoś z notabli. Wówczas może pan sobie pozwalać na dowolne szaleństwa, a świat nazwie to ekscentrycznością.

- Niełatwo mnie będzie sprawdzić. Wszystko, co się ze mną wiąże, jest ściśle tajne.

- A ja mam kontakty. Jeżeli okażą się za słabe, by pana sprawdzić, znaczy to, że się panu nie przydam, bo to, do czego mnie pan potrzebuje, będzie wymagało dwakroć większych możliwości.

- To prawda. Czyli kiedy się widzimy?

- Dam panu znać. Teraz lepiej niech pan już idzie. Anioł stróż będzie się martwił.

Gdy Artur był już na klatce schodowej, Hoffmann zatrzymał go ostatnim pytaniem:

- A wy, we wspaniałym świecie przyszłości, wytępiliście nazizm?

- My w naszym wspaniałym świecie przyszłości o nazizmie całkowicie zapomnieliśmy. Dlatego właśnie mamy mnóstwo nazizmu. Przyzwyczajeni byliśmy pamiętać, że hitlerowiec to gość w czarnym mundurze z czerwoną opaską z kółkiem na ramieniu i trupią czaszką na czapce. Więc gdy w moim świecie pojawili się naziści i akurat nie nosili takich mundurów, powiedzieliśmy im: "Spoko, jesteście fajni, chociaż dziwni" albo: „Jakie to ciekawe, naprawdę tak uważasz?”. A potem już chyba było za późno. Zwłaszcza że program narodowo-socjalny zawsze jest atrakcyjny. Narodowo - bo przyjemnie dostać przywileje od Boga i historii, podczas gdy inne nacje mają przyrodzony obowiązek całować naszą polską dupę. Socjalny - bo któż by nie chciał dostawać dużo bez wysiłku i żeby jeszcze zabrać tym, którym się przelewa, a w ogóle najlepiej to sąsiadowi.

Hoffmann pokiwał głową w zamyśleniu.

*

Na pomysł, by w sobotę udać się do klubu, Weiner zareagował bardzo entuzjastycznie.

- Idę z wami. - To „wy” oznaczało oczywiście Artura i Schlinka. Oraz, jak można było podejrzewać, połowę SS w Berlinie. - Też mam się ochotę zrelaksować.

Wieczorem zatem udali się samochodem w kierunku „Ciemności”. Po drodze czekało ich małe utrudnienie ruchu.

- Coraz więcej tych samochodów - klął Schlink za kierownicą. - Wciąż zdarzają się wypadki.

Ruchem kierował esesman w czarnej, kevlarowej zbroi, dokładnie takiej, jaką Artur pamiętał ze zdjęcia na

przyjęciu u marszałka Rzeszy. Jedynie maskę miał inną, ta była cała srebrna, przedstawiała misternie wycyzelowaną trupią czaszkę, lśniącą w świetle gwiazd.

Sprawdził dokumenty Schlinka. Przez moment ciemne oczy spoczęły na Arturze, po czym funkcjonariusz pozwolił im jechać.

- Dobrze, że to niedaleko. Straciłbym ochotę do zabawy.

*

Przy wejściu do klubu stała długa kolejka zniecierpliwionych młodych ludzi. Dwóch wykidajłów z rzadka wpuszczało kogoś do środka. Przedtem taksowali oczekujących uważnymi spojrzeniami, długo studiując wręczane papiery.

- Selekcjonerzy - wyjaśnił Schlink. - Nie wpuszczają osób niepewnych rasowo, o prawdopodobnie wadliwym materiale genetycznym.

- Długa ta kolejka - zaniepokoił się Artur.

- Nie będziemy w niej stać - uspokoił go Weiner, kierując ich wprost ku wejściu, obok rzędu zniecierpliwionych ludzi. - Proszę wyjąć swoje zaświadczenie aryjskości. Jest podpisane przez samego Heinricha Himmlera, największego eksperta od spraw rasowych.

Artur posłusznie pokazał dokument. Osiłki popatrzyły na niego z szacunkiem. Weiner jako oficer również mógł przejść bez problemu. Schlink wszedł, bo był ich ochroniarzem.

Zeszli po schodach.

- Decydują, kto może wejść, a kto nie, na podstawie wyglądu i jakichś świstków - rzekł Artur. - To okropne!

- Zgadzam się - potwierdził Weiner. - Niedawno zastanawiano się nad bardziej obiektywną metodą. Przenośny analizator DNA miał natychmiast informować, do jakiej rasy należy zbadany człowiek. Wystarczyło nakłuć opuszkę palca. Pierwsze testy zakończyły się niezwykłym powodzeniem, urządzenie wykrywało ślady żydowskiej czy cygańskiej krwi u pozornie czystego rasowo osobnika, nawet gdy zdegenerowany przodek był ledwie prapradziadkiem. Już miano rzucić prototyp do seryjnej produkcji, gdy nieoczekiwanie zapadła decyzja o finalnym teście. Zbadano samego Hitlera oraz najwyższe kierownictwo partii. Detektor całkowicie zawiódł. Kompletna klęska! Wyrzucono go na złom.

Schody się skończyły i ruszyli dusznym korytarzem. Do Artura dobiegły hałaśliwe dźwięki muzyki. Miał dziwne wrażenie, że skądś ją zna. Minął go człowiek z fosforyzującą swastyką na gołych plecach. Obcisłe skórzane spodnie obwieszone miał na różnej wysokości płaskimi nożami, o wymyślnie zakrzywionych klingach. Obściskiwał rozchichotaną dziewczynę z drucianą maską na ustach i obnażonymi piersiami zaklejonymi czarnym plastrem w kształcie swastyki. Szmaragdowe promienie laserów błysnęły spod sufitu, oślepiając na sekundę.

Przyjmując zaproszenie na nocną eskapadę, Artur spodziewał się, że trafią do uroczej kawiarenki, jakie znał z filmów z czasów dwudziestolecia międzywojennego. Wystrój i atmosfera w klubie zaskoczyły go całkowicie. Nie pasowało to do niczego, co wiedział o drugiej wojnie, inne też było od dyskotek, które znał. Miał nieodparte wrażenie, że od jakiegoś czasu dzieją się wokół niego rzeczy dziwne. Takie, które, historycznie rzecz biorąc, zdarzać się nie powinny. Coraz mniej go to zdumiewało. Zastanowi się nad tym później, bo oto uderzyła go kolejna fala muzyki, niesamowitej, a jednocześnie pobrzmiewało w niej coś swojskiego, co jakby rozpoznawał.

– *Brunatny U-boot.* Obecnie przebój we wszystkich klubach rzekł cicho Weiner.

Artur wsłuchał się w słowa piosenki. Opowiadały o bohaterskiej załodze, która przepłynęła Atlantyk i ostrzelała rakietami serii V zjudaizowany Manhattan. Jednak nie słowa nie dawały mu spokoju, tylko melodia. Skądś ją znał.

- Na początku Führer był przeciwny tak rozrywkowej muzyce. Uważał, że jest... niegodna. Ale przekonaliśmy go, że to rzadka szansa udowodnienia wyższości kulturowej Wielkiej Rzeszy Niemieckiej. Czas pokazał, że mieliśmy rację. Te rytmy przyjmują się nawet za oceanem. Wygrywamy wojnę ideologiczną o serca młodych.

- Ta melodia... Ja ją znam... Skąd ją wzięliście?

- Nagrywaliśmy to, co pan nuci podczas golenia.

*

Weiner pozwolił Schlinkowi bawić się tego wieczoru. Powiedział, że przejmie obowiązki ochroniarza, zresztą w klubie powinno być bezpiecznie, przecież polscy zamachowcy tu nie dotrą. A jakby co, można wezwać pomoc. Schlink miał pozostawać w pobliżu, gdyby trzeba było pośpiesznie opuścić imprezę.

Sam Weiner usiadł przy stoliku i sączył kolorowy mleczny napój bezalkoholowy. W świetle zielonych laserów oczy błyszczały mu dziwnie. Artur wszedł w tłum roztańczonych ludzi. Rozglądał się. Liliane jeszcze nie było.

Weiner, po swojemu dotrzymując obietnicy spełnienia wszystkich zachcianek swego gościa, jeszcze w hotelu zapowiedział:

- Wchodząc w towarzystwie wyższych oficerów SS, ma pan pewność, że wzbudzi zainteresowanie każdej dupy.

Partia upoważnia pana, by mógł pan obiecać dowolne stanowisko rządowe czy w strukturach NSDAP, oczywiście w granicach ambicji takiej laski. Rola w kinie, teatrze, sesja zdjęciowa nie stanowią problemu. To powinno wystarczyć, by wyrwać tu, kogo pan zechce.

Artur puścił tę uwagę mimo uszu, ale teraz - nagle straszliwie samotny wśród obściskujących się ludzi - pomyślał, że być może trzeba będzie skorzystać z uprzejmości NSDAP.

Przyjrzał się wystrojowi klubu. Ściany wzniesiono z czarnych cegieł, niekiedy przykrytych zwierzęcymi skórami. Zwisały z nich łańcuchy i okratowane dziwaczne konstrukcje. Ubrane w skóry kobiety z rozwianymi włosami tańczyły w czarnych metalowych klatkach, zawieszonych w pewnej odległości od ziemi. Nieco powyżej kołysała się dziewczyna ciasno owinięta folią, wśród sinego dymu wyglądała niczym ciężki, połyskliwy korab nocą pokonujący morskie fale. Głowę miała spuszczoną, długie włosy spływały niczym wodospad. Liczne pasma celofanu biegły od ciała w kierunku sufitu, utrzymywały ją z rozpostartymi ramionami, nasuwając na myśl samolocik zwisający na żyłce w dziecinnym pokoju. Poza leniwym miarowym ruchem, zadziwiająco bezwładna, przypominając obandażowaną przeźroczystymi pasami mumię starożytnych. Ostatnie wyobrażenie nie dawało się przegnać, było jak sącząca się z nieświadomości uciążliwa prawda.

Nie żyje, zrozumiał Sosnowski, próbując w półmroku daremnie wyłowić choć drgnienie piersi świadczące o oddechu. Popatrzył z nienawiścią na obojętne wobec cierpienia, bawiące się poniżej cienie. Percepował beztroskę i radość wszystkimi zmysłami z przyprawiającą o ból intensywnością. Śmiech kobiet, bardziej błysk oświetlonych laserem zębów, niż dźwięk zaginiony w

rozszalałym oceanie muzyki. Wiercący w nozdrzach wymieszany zapach alkoholu i pożądania.

W prawo i w lewo, sztywno, ruchem wahadła. Ofiara pająków zamknięta w kokonie. Przeraziła go ta ostatnia myśl, w połączeniu z martwymi zwłokami kołyszącymi się nad nim. Nagle wyobraził sobie mnóstwo wielgachnych celofanowych stawonogów, błyszczących, przeźroczystych, z pulsującymi woreczkami z jadem wypełnionymi, nie wiedzieć czemu przez jego imaginacje, fioletową farbą, ukrytych w obrośniętych futrem nieckach i zagłębieniach klubu, czekających tylko na chwilę, by zdradziecko zaatakować. Poruszających się po niewidzialnej pajęczynie porastającej sklepienie, z cichym szelestem ocierających się o siebie dziesiątek torebek z hipermarketu. Czających się w toalecie zawsze za jego plecami. Bał się tak, że już czuł, jakby go ukąsiły, wsączając paraliżującą oddech toksynę.

Zamrugał kilka razy, szybko, próbując przegnać spod powiek majaki.

Błysk lasera podświetlił wiszącą, spowijając ją na moment w szmaragdowym całunie.

Manekin.

*

W klubie stworzono mnóstwo nisz i zagłębień, umieszczonych na różnej wysokości. Lokal przypominał ul, z wielkim parkietem tanecznym pośrodku. W takich odosobnionych kątach, zazwyczaj ciasnych, umieszczono obite miękką skórą wygodne kanapy i dębowe stoły, gdzie można było postawić napoje. Wnęki te cieszyły się niezwykłym powodzeniem wśród obściskujących się par i trójkątów, z rzadka ich spokój zakłócały jedynie roznegliżowane kelnerki.

Muzyka zmieniła tempo i Sosnowski odruchowo zaczął podrygiwać w rytm. Tańczący ubierali się w stylu, jakiego Artur jeszcze nie widział. Mężczyźni często byli łysi, niektórzy na głowach wytatuowali swastyki albo czarne słońca. Czasem było je dobrze widać tylko z tyłu albo gdy ktoś patrzył z góry, zdarzały się też mniejsze swastyki pośrodku czoła. Powszechnie noszono skórę, lateks i metal, zwłaszcza w formie łańcuchów i różnego rodzaju ostrzy wbitych w ciało. U kobiet modne były symetryczne poziome nacięcia i blizny, zwłaszcza na wewnętrznych częściach przedramion i ud. Usta często zasłaniały im przebijające wargi kagańce, szyje ozdabiały obroże z czarnej miękkiej skóry ze srebrnymi ćwiekami. Niektóre dziewczyny we włosach nosiły stalowe diademy o licznych długich szpilach, tworzących nad czołem prawdziwy wachlarz. Na policzkach kolorową fosforyzującą substancją malowały swastyki lub serduszka, wewnątrz których widniał napis "Führer".

Artur przeszedł obok rudowłosej, która jedną pierś miała odsłoniętą, a na niej słowa „*Ich liebe Adolf Hitler*”, i stanął przy barze. Natychmiast pojawiła się koło niego młoda ładna dziewczyna. W nagich piersiach lśniły wbite poziomo dwa grube druty, migotał wprawiony w pępek czarny kryształ. Spódnica była tak krótka, że przypominała skórzany pasek, z którego zwisały trzy rzędy łańcuszków i symbole takie, jak bogato zdobiony klucz czy słońce o wijących się długich promieniach.

- Potrzebuje pan przyjaciółki? - spytała miękkim głosem.

Artur rozejrzał się po raz ostatni. Wiele wskazywało, że Liliane nie przyjdzie. Czy miał samotnie spędzić wieczór?

- Jasne - wyciągnął rękę. - Artur. Postawić pani drinka?

Dziewczyna jednak tylko uniosła dłoń, zakrywając usta.

- Och! Artur Sosnowski?

- Tak - potwierdził zdziwiony Polak. - Nie przypominam sobie, abyśmy się znali?

- Piszą o panu w rubrykach towarzyskich. Ale ma pan zły horoskop, bardzo zły. Profesor Batholomäus von Blankenknohr postawił go panu nie dalej niż dwa dni temu, a on się nigdy nie myli. Współczuję. Muszę już iść.

- Niech pani zaczeka - zatrzymał ją. - Przestaje pani ze mną rozmawiać z powodu horoskopu przeczytanego w gazecie?

- Z powodu przeznaczenia! Został pan uznany za przeklętego! Nikt panu nie poda ręki, nikt z panem nie będzie chciał robić interesów, bo to przyniesie pecha. Nie pójdę z panem do łóżka, bo nie będzie nam dobrze, trafi się w najlepszym wypadku waginizm albo kiła. Ja będę dawać dupy, rzucać tyłkiem, a baldachim może na nas spaść lub łóżko się załamać. Z przeznaczeniem się nie igra. Żegnam pana. - Rzuciła mu ostatnie, przerażone spojrzenie, po czym zniknęła w tłumie bawiących się.

- Co podać? - Pojawił się przed nim barman.

- Martini. Wstrząśnięte, niezmieszane.

Przez chwilę sączył płyn, spoglądając na szalejących na parkiecie młodych ludzi. Przypomniał sobie, jak przed eskapadą Weiner mówił, że kluby przetrwały dzięki bezpośredniej interwencji samego Himmlera. Twierdził, jako ekspert, że przyczyniają się do ulepszania rasy bardziej niż jego Lebensborny. Uważał, że projekt jest niezwykle korzystny dla narodu niemieckiego, należy jedynie wprowadzić przy wejściu selekcję, by żaden podstępny Żyd ani parch nie zakaził macicy i krwi czystej, niewinnej, niemieckiej kobiety. Uważał, że dzięki Lebensbornom ratował rocznie sto tysięcy dzieci, co po skomplikowanych wyliczeniach dawało mu za trzydzieści lat dodatkową czterystutysięczną armię. Jeśli natomiast nic nie zahamuje spotkań w klubach, w tym samym okresie dostarczą na front pięciokrotnie więcej żołnierzy. Himmler

uwielbiał takie obliczenia i oddawał się im w każdej wolnej chwili.

Alkohol przyjemnie rozluźnił Sosnowskiego, wsączając gorąco do żołądka. Teraz dopiero poczuł, że przez ostatnie dni wszystko w nim było skurczone. Czuł się jak mały królik, nad którym zawisł cień wielkiego drapieżnego ptaka.

Gdy osuszył ostatnią kroplę, zastanowił się, co powinien zrobić. Liliane najwyraźniej nie mogła albo nie chciała przyjść. Może warto odnaleźć Schlinka albo Weinera, chwilę z nimi pogadać, zobaczyć, jak się sytuacja rozwinie?

Schlinka znalazł od razu. Przybijał do ściany jakąś nastolatkę, mocno ruszając biodrami. Obnażone piersi dziewczyny lśniły w migotliwym świetle, błyski stroboskopowych lamp wydobywały z ciemności jej wykrzywioną w ekstazie twarz.

Gdy popatrzył po kątach i bocznych lożach, dostrzegł, że młodzi ludzie wypełniali dyrektywę Himmlera wyjątkowo ochoczo.

Artur zakręcił się na pięcie i ruszył w kierunku stolika Weinera, przez tłum dostrzegając, że ktoś się do niego przysiadł, starszy mężczyzna nieprawdopodobnie zakutany, co było podejrzane, zważywszy na panującą w klubie duchotę. Artur miał wrażenie, że powinien go znać, gdzieś go już widział. Próbował sobie przypomnieć, ale twarz skrytą w cieniu widział niewyraźnie, co chwila zasłaniali ją tańczący ludzie.

- A, tu jesteś! - Stanęła nagle przed nim Liliane, piękna niczym antycznabogini. Tak musiała wyglądać Helena Trojańska, gdy pierwszy raz zobaczył ją Parys. Proste włosy teraz zakręciła w loki, które opadały jak złote świdry na jej opalone ramiona. Miała na sobie tylko czarny biustonosz ze złoconymi napisami, takąż krótką spódniczkę, rozciętą z boku. Na nadgarstkach dzwoniły jej złote bransoletki.

- Junge Wenus - powiedział. - Malarka, aktorka...

- Dzisiaj przede wszystkim tancerka.

Ciała poddały się szybkiemu, natarczywemu rytmowi muzyki.

- Powinna pani wiedzieć, że przebywanie ze mną może być niebezpieczne - wyszeptał jej do ucha. - Mam zły horoskop.

- Wiem, czytałam dziś rano.

- I co?

- Ryzyko mnie podnieca - powiedziała, patrząc mu w oczy. I nagle pocałowała go w usta.

*

Muzyka zwolniła, ich ciała zbliżyły się do siebie naturalnie, tańczyli przytuleni. Artur czuł oddech dziewczyny na szyi.

- Liliane - wyszeptał, trochę zły na siebie, że przerywa magię chwili. Ale sumienie nie pozwoliłoby mu inaczej.

- Tak? - zamruczała.

- Ja nie żartowałem. Naprawdę spotykanie się ze mną... może się różnie skończyć. Narażam cię.

- Mimo to jednak się ze mną umówiłeś. - W świetle lamp jej oczy zalśniły niczym szmaragdowe gwiazdy.

- Umówiłem - przyznał. - Każdy ma prawo marzyć o szczęściu na tym świecie. Dzisiaj moi „opiekunowie” mogą uznać to za przypadkowe spotkanie. Możesz się jeszcze wycofać.

- Ja również nie żartowałam, mówiąc, że pociąga mnie ryzyko. Nie pragnę przeżyć życia jako szara kobieta, żona szaraczka chodzącego codziennie do bezbarwnej pracy i gotująca mu posiłki o smaku tektury. Chcę coś mieć z tego

życia, chcę sycić się całą paletą kolorów, żeby przenikały przeze mnie i dawały mi siłę. Do tego trzeba walczyć. Ze słabością. I z innymi. Czasami postawić dużo na jedną kartę. Zakręcić kołem fortuny. Tak, można spaść w nicość. Ale ile można wygrać. A przede wszystkim... Jaka radość z gry!

- Mimo to... Myślę, że powinienem ci powiedzieć kilka rzeczy.

- Sprawdziłam cię przed tym spotkaniem, używając sieci kontaktów papy. Dowiedziałam się, że masz więcej tajemnic niż włosów na głowie i należysz do najważniejszych osób w państwie, jesteś chroniony dwadzieścia cztery godziny. Uważam, że gdybyś zdradził mi te tajemnice, do których nie dotarli moi dobrze ustawieni informatorzy, wtedy naprawdę byłabym w niebezpieczeństwie. Dlatego cieszmy się chwilą. Przytul mnie mocniej i udawaj, że nie ma jutra.

*

Weiner przyniósł Arturowi cały stos papierów. Były to przeważnie raporty wywiadu, poprzetykane licznymi ulotkami gloryfikującymi Hitlera. Sosnowski westchnął ciężko, wyłuskał broszury propagandowe, kładąc je na stosie niebezpiecznie blisko kosza, zrobił sobie mocną kawę i zabrał się do lektury.

Wbrew nadziejom nazistów Londyn nie poddał się w ciągu ostatnich dni. Wehrmacht ugrzązł głęboko w mieście, a komandosi Churchilla korzystając z sieci kanałów, wychodzili na tereny już uznane za bezpieczne i uderzali na tyły wroga. Walki w Anglii były od początku bardzo ciężkie, a prawda o warunkach, w jakich się toczyły, stanowiła tajemnicę państwową. Od początku inwazji obie strony hojnie szafowały zapasami broni chemicznej. Anglicy, bo nie mieli nic do stracenia, ziemia została i tak skażona, a

ludzie wyemigrowali na północ, stąd imano się wszelkich środków, by zepchnąć najeźdźców z powrotem do morza. Naziści pragnęli z kolei jak najszybszego sukcesu i także wspierali wszystkimi sposobami swoje nieliczne dywizje.

Na kolejnej kartce znajdowały się suche informacje, że 9 września niedawno utworzony rząd francuski, zasiadający w Liverpoolu, zyskał francuskie posiadłości w Indiach oraz Nową Kaledonię. Przez chwilę Artur obracał papier w dłoniach, zastanawiając się, dlaczego Weiner uznał ją za tak ważną, by dołączyć do raportów. Militarnie to tereny bez znaczenia. Myśl, Arturze!, napominał sam siebie, pocierając palcami skronie. Jakie jest jej znaczenie polityczne?

Wyspy muszą zostać zdobyte, gdyż odtąd kolonie posiadają alternatywę inną niż Vichy.

Równocześnie do Londynu przybywa nowa dywizja Waffen-SS. Posiadają sprzęt przeciwchemiczny nowej generacji, wyróżniają się straszliwymi czaszkami maskującymi twarz. Artur z przerażeniem wpatrywał się w zdjęcia pancernych żołnierzy, przedzierających się przez spowite toksyczną mgłą ruiny pięknego niegdyś miasta. Znakomicie wytrenowani, fanatycznie wierni Rzeszy, mogą przełamać impas w stolicy. Jeden z dokumentów okazał się złożoną kilka razy płachtą papieru. Sosnowski rozpostarł na stoliku czarno-białą mapę, trzymając w jednej ręce plik kartek, próbował palcem śledzić ruchy wojsk. Siły niemieckie zajmując południowo-wschodnią część wyspy, nadal są narażone na atak ze wszystkich kierunków. Zważywszy, że ofensywa Rommla utknęła z uwagi na braki w zaopatrzeniu i uzupełnieniach pod Coventry, dowódcy niemieccy pod stolicą zdecydowali się podzielić swoje siły. Guderian uderzył na zachód od Londynu, by przejąć we władanie południe i uniemożliwić zgrupowanym tam wojskom podstępny atak od strony flanki. Równocześnie polecono „brytyjskiemu lisowi” również marsz na zachód,

by odciąć atakowane przez Guderiana dywizje. Z kolei von Rundstedt kontynuował oblężenie Londynu, z uszczuplonymi siłami, ale za to z doskonale dostosowaną do miejskich walk nową dywizją. Mimo tych śmiałych kroków zdobycie południa Anglii zajmie jeszcze parę miesięcy.

Upił łyk kawy, skrzywił się; nie zauważył, jak wystygła, kilka kropel spadło na mapę. Ciemnobrązowe kleksy podbarwiły papier akurat w miejscach oznaczonych wysokim skażeniem chemicznym.

Sosnowski spojrzał na piętrzący się przed nim stos. Oszaleje wśród tych wszystkich faktów i dat. Musi wypracować sobie jakąś technikę, by zanotować najważniejsze informacje, a ominąć nieistotne szczegóły. Rozkazy, nazwiska oficerów to bezcenna wiedza dla sztabowców, ale on może pominąć tabelę. Wystarczy mu ogólny obraz wydarzeń.

Kolejne kartki opisywały walki w rejonie Morza Śródziemnego. Dwudziestego trzeciego września wyruszyła z Gibraltaru olbrzymia armada. Zaatakowano francuski port w Dakarze. Flota Vichy i nadbrzeżne baterie odpowiedziały ogniem. Wywiązała się ciężka walka, a pod osłoną ognia spróbowano desantu na brzeg.

Połączone siły brytyjskie i francuskie wierne de Gaulle'owi nie zdołały zdobyć brzegu. Rząd Vichy zatryumfował, a Berlin cieszył się, że Francuzi przelewają własną krew. Mimo to jednak martwiono się, że Churchill wciąż kąsa, choć admirał Reader trzeźwo zauważył, że do ataku użyto jednostek i tak już stacjonujących na Morzu Śródziemnym, więc atak na Wyspy im nie zaszkodził. Raczej owa próba inwazji miała odciągnąć uwagę Berlina i stworzyć w całej Afryce antynazistowski blok. Wówczas Anglicy, dysponując Gibraltarem i Kanałem Sueskim, mogliby trzymać się nad Morzem Śródziemnym przez długi czas.

Pétain potraktował kolejny atak ze strony sojuszników jak policzek i nakazał zmasowany atak na Gibraltar. Ponad osiemdziesiąt maszyn wystartowało z baz w Algierii oraz Maroko. Pojawiło się w pełnym słońcu nad brytyjskim miastem i portem, zadając tym razem duże straty. Artur ocenił, że to więcej samolotów, niż podczas Kampanii Zachodniej Francuzi użyli kiedykolwiek przeciwko Niemcom.

Wypił duszkiem zimną kawę.

Jednak Francuzi i Włosi walczą osamotnieni przeciwko Brytyjczykom. Hitler jest nadal głuchy na sugestie swego wielkiego admirała i afrykański teatr wojny ma za drugorzędny. Widząc jednak, jak palącą sprawą wydaje się zdobycie Londynu, wysyła nad stolicę nieprzyjaciela nową broń. Dwudziestego szóstego września wypełnione helem ciężkie zeppeliny powoli przesuwają się nad zrujnowanym, wypalonym miastem, zrzucając tony bomb. A pod Berlinem zostaje sformowana nowa dywizja Waffen SS. Ćwiczenia odbywają się głównie przy użyciu masek przeciwgazowych i na terenach skażonych przez bombowce aliantów. Wybudowano tam makiety miasta, żołnierze dokonują pozorowanych walk w najtrudniejszych warunkach, czekając, aż zakłady zbrojeniowe dostarczą dla wszystkich najnowocześniejszy sprzęt przeciwchemiczny. Zrobienie tych upiornych masek kosztuje i wymaga czasu.

Dzień później pogłoski, którymi żywiła się od dawna prasa, stały się faktem. Powstała Oś Berlin-Rzym-Tokio. Nad światem zawisły ciemne chmury. Wszystkie trzy państwa stały u szczytu potęgi. Mussolini marzył o powstaniu włoskiego imperium obejmującego Morze Śródziemne, a nowy pakt pozwalał mu uderzyć na Grecję, o czym już wtedy skrycie myślał. Japonia rządziła Azją, Hitler zaś gromadził dywizje u wrót ZSRR.

Świat jest na krawędzi zagłady i to wszystko moja wina, skonstatował zimno Artur. Trzy mocarstwa, dzięki mnie

potężniejsze ponad wszelkie wyobrażenie, szykują się do zdobycia władzy nad światem. A to jeszcze nie koniec. Kolejne komentarze wywiadu sugerowały, że Hitler marzy, by do Osi dołączyć kolejne kraje. Negocjuje bez powodzenia z rządem Vichy. Spotyka się też z generałem Franco, w nadziei wciągnięcia w wojnę Hiszpanii. Jednak dyktator jest nieubłagany, nie wtrąci zniszczonego wojną domo wą kraju w otchłań kolejnej awantury. Bez uzbrojenia, zapewnienia aprowizacji byłoby to szaleństwo, zwłaszcza ze względu na możliwość brytyjskich rajdów na wybrzeże. Ostatecznie godzi się, pod warunkiem oddania Hiszpanii Maroka. Oznaczałoby to jednak poważny konflikt z Vichy, który nie oddałby łatwo swej najlepszej kolonii. Negocjacje utknęły w martwym punkcie. Hitler jest wściekły, potrzebował hiszpańskiego terytorium do ataku na Gibraltar.

Mussolini napada na Grecję, 29 października Brytyjczycy spiesząc z pomocą, zajmują Kretę, wkrótce desant aliantów znów pojawi się na kontynencie europejskim. Londyn wciąż się broni, południe wyspy wokół Bristolu nadal stawia opór najeźdźcom. Hitler rozkazuje zabić Churchilla za wszelką cenę. Ten wiecznie palący cygaro grubas, ukryty w głębinach stolicy, dodaje ducha londyńczykom i kpiąc z nazistów, atakuje w Grecji. Pierwszego listopada do kanałów schodzi Otto Skorzeny z trupią maską wymalowaną czarną farbą, a za nim najlepsi komandosi Rzeszy. Ta elitarna grupa ma tylko jeden cel, zabić premiera Wielkiej Brytanii.

Dwudziestego trzeciego listopada Rumunia przystępuje do paktu trzech mocarstw. Następnego dnia członkiem zostaje Słowacja. Kolejnego, gdy regent Szeleszczycki informuje o zamiarze przystąpienia do Osi, Niemcy uspokajają nastroje, awansując swego satelitę. Bez dalszych protestów szczęśliwe królestwo, odtąd zwane Cesarstwem Polskim, przystępuje do układu.

*

Na początku listopada samoloty startujące z brytyjskiego lotniskowca uderzyły na pięć najpotężniejszych włoskich pancerników, ukrytych w porcie Tarent. W wyniku niespodziewanego, druzgocącego nalotu trzy z nich zostają zatopione. Wydarzenie to miało dwie konsekwencje. Pierwszą, zmienił się układ sił na Morzu Śródziemnym na korzyść aliantów, Supermarina miała się już nigdy nie podnieść po tym ciosie. Drugą było docenienie przez Churchilla roli lotniskowców jako broni ofensywnej o kapitalnym znaczeniu strategicznym. Zwłaszcza teraz, gdy siły Osi okupowały południową Anglię, ograniczając tym samym zasięg Royal Air Force. Posiadanie ruchomych nawodnych lotnisk, które można było podprowadzić pod każdy brzeg Europy, uznano za priorytetowe. Rozpoczęto budowę dwóch, a wkrótce trzeciego okrętu nowego typu. Nadzieje Churchilla wzmacniał fakt, że Home Fleet nadal niepodzielnie panowała na morzach Północy, stąd Niemcy nie mogliby poważnie zagrozić dobrze chronionym okrętom. Nakreślono tylko plany konstrukcyjne i zaczęły pracować stocznie, aby pod koniec 1941 roku połowa bomb, która spadnie na niemieckie miasta, mogła być zrzucona z samolotów startujących z lotniskowców.

Tymczasem Hitler wściekł się na Mussoliniego. O decyzji swego sojusznika dowiedział się, gdy już było po pierwszych bitwach, przerwano mu podróż pociągiem. Zdawał sobie sprawę z możliwych katastrofalnych skutków klęski na Morzu Śródziemnym. Pal diabli, gdyby Włosi osiągnęli sukces i utworzyli zalążek rzymskiego imperium. Ale ponieśli porażkę.

- Dlaczego nam pan nie powiedział, że makaroniarze uderzą na Greków? - zżymał się Weiner.

- Nie pytaliście - wzruszył ramionami Artur. - Skąd miałem wiedzieć, że to jest ważne?

- Właśnie. Taki pożytek z pańskich talentów. Objawiają się najpełniej po fakcie.

- Nie martwcie się. Jeżeli wyślecie tam wojska, wkrótce wygracie.

- Co z tego! My tam nie chcemy wysyłać wojska! Po co nam Grecja? Wie pan, co się dzieje? Franco użył tego jako pretekstu do ostatecznego zerwania negocjacji w sprawie przystąpienia Hiszpanii do wojny. Bo Oś jest nieprzewidywalna i nikt niczego z nikim nie konsultuje.

- Tak powiedział?

- Mniej więcej. Włosi dostają w dupę na ziemi Homera. Pięknie, zaangażowali tam najlepsze siły, a potomkowie Platona robią z nimi, co chcą. A skoro elitarne jednostki makaroniarzy są zajęte, co się dzieje z Afryką? Wielkie gówno. Potomkowie Szekspira robią z włoskimi tyłkami dokładnie to samo, co dzieje się z nimi w Grecji. Niech pan się teraz skupi, Herr Sosnowski. Czeka nas ta piekielna wojna z Rosją. A my musimy wysłać dywizję pancerną na Bałkany, trzeba będzie zdobyć pewnie tę gównianą Kretę, którą alianci zajęli sobie bez walki, a na dodatek obawiam się, że czeka nas mały rajd do Afryki. I to wtedy, gdy potrzebujemy wszystkich sił do inwazji na ZSRR. Pytam, po co?

Artur wzruszył ramionami.

- Bo Mussolini ma marzenia imperialne! - odpowiedział Weiner sam sobie. - Nie koniec na tym. Wcześniej mogliśmy odpuścić Morze Śródziemne. Włosi albo Hiszpanie prędzej czy później zdobyliby Gibraltar. Francuzi albo Włosi załatwiliby Anglików w Afryce. Tymczasem zamorska potęga Vichy chwieje się na rzecz de Gaulle,a, Mussolini, wiadomo, ludzie mu się poddają szybciej, niż pieprzą. A Franco ma wszystko w dupie. Wie pan, jak się biją Włosi w

Afryce? Co chwila ogłaszają alarmy przeciwlotnicze, czy coś leci, czy nie leci. Wówczas strzelają do wszystkiego, co się rusza. Ptaki się boją zbliżać do ich miast. Ostatnio zestrzelili w ten sposób własnego głównego dowódcę, niejakiego Balbo czy Bilbo, zasłużonego żołnierza powracającego z lotu bojowego. Niech się pan nie śmieje. To nie jest żart! Jedyne udane włoskie zestrzelenie od miesiąca. Biedak nie przeżył. Włochami nie ma kto dowodzić!

Weiner nieco się uspokoił. Kontynuował:

- My tymczasem ustabilizowaliśmy granicę do Coventry kosztem niemałych strat. Hitler pragnął ostatecznie zakończyć sprawy na froncie zachodnim. Rozpoczęliśmy pod osłoną Luftwaffe kolejną ofensywę. Już od początku odbyła się pod złym znakiem. Odłamek bomby trafił Rommla, poważnie go raniąc. Wielkiego wodza natychmiast odtransportowano do kliniki w Berlinie. Potem wydawało się, że jest lepiej. Przełamaliśmy opór w wielu miejscach, a na wschodzie kilka naszych dywizji pogoniło nieprzyjaciela aż pod Liverpool. Problem w tym, że zapędzili się na plażę za uciekającymi Brytyjczykami, a tu niespodzianka, stawili opór. Nasi pijani, omamieni sukcesem żołnierze natarli pod zaporowym ogniem stacjonującej przy brzegu floty. Nadciągnęły odwody zza Liverpoolu, okrążając naszych, zrobił się paskudny kocioł. A działa Royal Navy śpiewały. Sformowano pancerny klin i nasi wyrwali się z okrążenia. Straty mieliśmy ogromne, nie zdołaliśmy utrzymać tak dużego frontu, granica wpływów ustaliła się na wysokości Nottingham. O Coventry szkoda gadać, jest kompletnie spalone. Hitler był wściekły, wiele obiecywał sobie po tym nagłym ataku, że dorwie brytyjski rząd i de Gaulle'a, mogłoby to odwrócić bieg wydarzeń w Afryce. Coraz częściej myśli o zakończeniu tej wojny metodami politycznymi. Widzi pan, Wyspy są ciemiężone przez Anglików. Pozostałe nacje, np. Szkoci czy Irlandczycy, mają

wreszcie szansę wybić się na wolność. Warunki będą nader dogodne. Führer pragnie tylko pokoju. I wyprawy na Wschód.

Przerwał, z złożonymi z tyłu rękami przeszedł od ściany do ściany.

- Wschód! Wschód, który jest bardziej wściekły niż kiedykolwiek. Wedle niepisanych umów, Bałkany to strefa wpływów ZSRR. A my musimy tam wkroczyć. Mołotowa żółć zaleje. Dotąd była szansa, by tej wojny, nawet w ostatniej chwili, uniknąć. Teraz stosunki między naszymi krajami bardzo się pogorszyły. Rozmawiałem ostatnio z Guderianem, przyleciał do Berlina na naradę wojenną. Jak zobaczył plany operacji „Barbarossa", to się załamał. Apelował do Hitlera, by porzucił miraż walki na dwa fronty, najpierw wykończył Anglików na Wyspach, potem, czemu nie, spróbować planu wielkiego admirała Readera i opanować Morze Śródziemne. Wówczas, z bezpiecznymi tyłami i zapleczem surowcowym z Afryki, można by pokusić się o inwazję. Ale Führer nie chciał słuchać. Ma chyba jakąś obsesję na punkcie komunistów. Mimo że sam krytykował czasy pierwszej wojny, gdy pozwolono na okrążenie Niemiec, teraz chce zrobić to samo. Guderian opowiadał mi w zaufaniu, że niedawno nasze fabryki wizytowała rosyjska delegacja. Zgodnie z obowiązującymi układami pokazaliśmy im nasze najnowocześniejsze czołgi typu III i IV. A Ruskie kręcili głowami i mówili, „nie ukrywajcie przed nami najcięższego czołgu, wiemy, że musicie mieć coś jeszcze". A my nie mieliśmy, rozumie pan?

- Szczerze mówiąc nie do końca...

- Znaczy to, że sowiecka technologia wyprodukowała właśnie najcięższy czołg, jaki zna świat, i on już na nas czeka za Wołgą i Dnieprem.

# V

Przez cały ten czas Artur czekał na wiadomość od Hoffmanna. Zastanawiał się, w jaki sposób tamten mu ją przekaże. Wychowany na filmach szpiegowskich przepatrywał podejrzliwie gazetę, w którą przekupki owijały mu rybę, wciąż liczył też, że otrze się o niego zjawiskowa *femme fatale*, wrzucając mu wiadomość do kieszeni.

Tymczasem doręczył ją do apartamentu hotelowy boy. Żeby chociaż była pisana szyfrem, ale gdzież tam, złote litery głosiły wszem wobec, że Herr Artur Sosnowski jest umówiony na spotkanie z profesorem Richardem Hoffmannem o tej i o tej godzinie. Brakowało jedynie fanfar.

Weiner i tym razem nie miał nic przeciwko wizycie. Co dziwniejsze, przed wyjściem ofiarował Arturowi niemałą sumę pieniędzy. Schlink tym razem nie protestował, tylko po sprawdzeniu bramy został w samochodzie.

O umówionej porze Artur zadzwonił do drzwi. Otwarły się niemal natychmiast na oścież. Tym razem gospodarz był w garniturze.

- Proszę wejść - warknął i wpuścił oniemiałego Artura do środka. Zaczął chodzić nerwowo po przedpokoju.

- Przesłuchiwali mnie! Uwierzy pan? Zaraz, jak pan stąd poszedł, zjawiło się dwóch miłych gości w płaszczach. Byli naprawdę sympatyczni. Chcieli tylko znać każde słowo, które pan powiedział. Słowo w słowo, tak się wyrazili. - Zaczął nerwowo gestykulować. - Tak, dokładnie tak to działa. Z każdej pańskiej przypadkowo rzuconej wypowiedzi rekonstruują powoli świat przyszłości. Nie może pan przecież cały czas się kontrolować, czyż nie? Przesłuchują wszystkich, z którymi zamienił pan choćby

jedno słówko. Bo kto wie, czy akurat ono nie będzie kluczem do cudownej broni, Wunderwaffe. Może na przykład z pańskich akt dowiedzą się, jak to działa. Rzuca pan przypadkiem uwagę, że najlepszym niemieckim czołgiem jest Tygrys. Oni się uśmiechają. W 1940 jeszcze taka broń nie istnieje. Ale natychmiast szukają projektów do realizacji, wśród tysięcy prototypów znajdują ten właściwy. I co? Tygrysy będą gotowe już na wakacje, w sam raz na kampanię przeciwko Ruskim, o której wie już w Berlinie każde dziecko. Nie wiem, o ile pan przyspieszył tą bezmyślnie rzuconą uwagą rozwój technologiczny niemieckiej broni pancernej, ale chyba się nie pomylę, że o kilka lat?

Pobladłego Sosnowskiego nurtowało inne pytanie.

- Co im pan powiedział? Że poprosiłem pana o pomoc?

- Zwariował pan? Chce pan, żeby nas obu wywieziono do nowego ośrodka wypoczynkowego w Auschwitz? Oczywiście, że skłamałem!

- Co im pan powiedział?

- Że będzie pan do mnie chodził na terapię.

- Zatem nie pomoże mi pan?

- Nie zrozumiał mnie pan, byłem przesłuchiwany!

- Wy, Niemcy, potraficie tylko słuchać i być posłuszni. Nie robiliście nic, żeby powstrzymać Hitlera - rzucił gorzko Artur.

- Taaak? - zdziwił się naukowiec. - A Zachód to niby co zrobił? „Przywiozłem pokój, przywiozłem pokój” - zaczął przedrzeźniać Churchilla z charakterystycznym brytyjskim akcentem. - Twoi Polacy byli nie lepsi, gdy zdarzyła się okazja, chapnęli Zaolzie. Niech pan posłucha, młody człowieku, kiedy ta menda została kanclerzem, była równocześnie legalnie i demokratycznie wybraną władzą. W demokracji ponosi się odpowiedzialność za swoje głosy,

na tym to polega. Nie odwracamy się plecami, bo wybrano kogoś, kto nam się nie podoba, tylko pracujemy razem do końca kadencji ku wspólnemu dobru. Inaczej, to będzie wasze szlacheckie „liberum veto” i nic się nie da przeprowadzić. Więc milczeliśmy, licząc, że to tylko kilka lat, że obłaskawimy wilki w brunatnych koszulach. Może nawet się zbłaźnią, rządząc, i cały naród pojmie gorzką lekcję, że populizm do niczego nie prowadzi. Tylko lewica się stawiała ostro i dlatego Hitler ich wszystkich załatwił na początku, oskarżając o spalenie Reichstagu. Intelektualiści. Ci długo traktowali nazizm jako ciekawy punkt odniesienia do sporów z zakresu filozofii politycznej. *Mein Gott,* nie rozumieli, że tu idzie gra o ich przetrwanie. Gdy zaczęli się orientować, co bystrzejsi prysnęli za granicę. Chodźmy do salonu, herbata czeka.

Zasiedli, Hoffmann napełnił filiżanki z kunsztownego dzbanka.

- Potem była noc długich noży. Słyszał pan? Pewnie, że nie. Mówi się, że szef SA Ernst Röhm pierwszy przeraził się planów Hitlera, gdyż w gruncie rzeczy był nieszkodliwym utopistą, który chciał tylko wprowadzić w Rzeszy socjalistyczny raj. Heydrich go załatwił misterną intrygą w swoim stylu. Oficjalnie pozbyto się go dlatego, że był homoseksualistą i dobierał sobie współpracowników wobec określonego „klucza”. Czy raczej dziurki od klucza, nieważne. Opinia publiczna była zbulwersowana od lat imprezami SA. Jakby co innego się teraz działo w zamku Wewelsburg pod przewodem tego szarlatana Himmlera. Mniejsza z tym. Szerokie masy zawsze są konserwatywne, mimo że nie żyjemy w ultrakatolickiej faszystowskiej Hiszpanii. "Nic to, że homoseksualistów opluwano i gnojono w Nowym Jorku, Paryżu i Londynie. Nasz Führer poszedł dalej: zabił pedałów! To jest facet, to jest przywódca! Popieramy go!".

Hoffmann pociągnął większy łyk herbaty. Poczerwieniał ze wzburzenia na całej twarzy.

- Hitler się naprawdę rozpędził. Skoro już zaczął dławić opozycję wewnątrz własnej partii, zajął się też przeciwnikami politycznymi. Ludzie ginęli w niejasnych okolicznościach, a jak rodzina szła na policję, sugerowano, by nie dopytywała się więcej. Każdy ma żonę i dzieci, czasem wystarczyło jedno napomnienie i rezygnował z działalności antynazistowskiej. Nic nie robiliśmy, Herr Sosnowski? Samych zamachów na Hitlera było kilkadziesiąt.

Jakby oklapł, ręce jeszcze przed chwilą żywo gestykulujące, leżały teraz bezsilnie na blacie.

- Nic nie robiliśmy? Robiliśmy wszystko. I wszystko na próżno. Czy tak trudno uwierzyć, że zło jest silniejsze?

Ukrył twarz w dłoniach.

- Tak, pewnie, współpracowałem z nazistami. Mówiłem panu już dlaczego. Każdy, kto coś znaczył, chciał się liczyć, w pewnym momencie musiał zasiąść z nimi do gry. Rozstawiali stanowiska, rozdzielali pieniądze. Mieli władzę, nie? A czy Watykan zrobił więcej niż my? Ja potrzebowałem funduszy na badania naukowe. Miałem siedzieć w domu, skoro moja wiedza mogła uratować komuś życie? To nic, że za pieniądze nazistów i że oni wykorzystają rezultaty moich badań. Do cholery, każdy posyłał syna do Hitlerjugend, bo tylko w tej organizacji dzieciaki miały szansę wybić się w życiu. Nie dlatego, że były w sercach nazistami. Po prostu inaczej nie przyjęto by ich na uniwersytet albo nie dostałyby lepszej pracy.

- Nie potępiam pana. Po drugiej wojnie w moim świecie niemal każdy afrykański czy południowoamerykański kraik zafundował sobie wojskową juntę. Chiny, ZSRR i Korea były komunistyczne. Pol Pot, Czerwoni Khmerzy... Dlatego nie wierzę w winę ukrytą w narodowym charakterze. To

rasistowskie wytłumaczenie. Zło jest w każdym człowieku. Każdym narodzie. W moich czasach elity zapisują dzieci do szkół hołdującym religii pieniądza, wcześniej zapisywały do partii, jeszcze wcześniej chyba liczył się stosunek do Kościoła. Nie potępiam pana. Ja sam, kiedy przyłożono mi lufę do głowy, powiedziałem wszystko, co wiem, i dzięki temu to nazistowskie piekło może nigdy nie zostać wymazane z powierzchni ziemi. Wiem, co to znaczy być w sytuacji ostatecznej i rozumiem, że mi pan nie pomoże.

- A kto powiedział, że nie pomogę, do cholery! To wszystko jest takie trudne. Widzi pan, oni nie wszyscy są źli. I czasami mówią mądre rzeczy. I robią też. Tak trudno się połapać. Na przykład autostrady mają rewelacyjne, rozumie pan? I z ich poglądami jest tak samo. Wybrane pojedynczo nie są jeszcze trujące. Człowiek myśli - a może coś z tego dobrego wyniknie? I jedzie po autostradzie. Ale teraz to już zaszło za daleko. Jako całość nazizm jest szaleństwem, a co ma dobrego, zmienia na zło. Po tych wspaniałych drogach będą przemieszczać się wojska. Zrobili je dla czołgów, nie dla nas. Ja panu pomogę.

Wypił jeszcze jeden łyk. Dolał sobie. Wskazał na fotografię stojącą na komodzie.

- Mój syn - rzucił krótko.

Artur rzucił okiem. Przedstawiała przystojnego młodego mężczyznę mniej więcej w wieku Sosnowskiego.

- Wie pan, jak to jest, syn idzie w ślady ojca. Widząc moją współpracę z nazistami, sam zaangażował się w działalność ideologiczną. Nigdy nie wstąpił do NSDAP, ale stał się gorącym zwolennikiem głoszonych przez nich haseł. Ożenił się z przemiłą dziewczyną z dobrego westfalskiego domu. Wierny ideałom twardego pana domu, prawdziwego mężczyzny, nie był dla niej w moim przekonaniu dobry. Ale milczałem, szanując prywatność jego domu. Wie pan, bił ją z byle powodu, traktował okrutnie, upokarzał. Naziści

uważają, że kobietę tak trzeba traktować, że samice człowieka tego potrzebują i muszą to znosić.

Kiedy odkryłem całe zło faszystowskiego systemu, zapragnąłem otworzyć na nie oczy synowi. Z początku nie było łatwo, odbyliśmy wiele rozmów, ale z czasem stał się znów intelektualistą i humanistą, jakim go zawsze chyba chciałem widzieć. Porzucił ideały NSDAP, zapragnął wprowadzić szacunek i partnerstwo we własnym domu. Byłem z niego taki dumny.

Ale człowiek nie zna wszystkich tajemnic świata. Kiedy myśli, że je przejrzał, w istocie zdarł tylko jedną z mamiących oczy zasłon.

Żona odeszła od mego syna ledwie po kilkunastu dniach partnerstwa. Nie wiem, nie rozumiem dlaczego... Wiem, że rozpaczał strasznie. Nie chciał mnie wpuścić do domu, bałem się, że coś sobie zrobi, zabije się, nocowałem pod drzwiami... szalony ojciec, ale przecież... czułem się winny. Choćby dlatego, że on obwiniał mnie. Wreszcie otworzył drzwi, a ja zobaczyłem wyschłe łzy na jego twarzy. Kazał mi iść i posłuchałem. Myślałem, wrócę później, wieczorem, będzie w lepszym nastroju... Ale nigdy już się z nim nie spotkałem. Dom został sprzedany przez pośredników. Nie wiem, kim jest teraz mój syn ani co robi. Wstąpił do wojska, zginął na wojnie? Jest nazistą? Uciekł do Francji? Wciąż szuka tej swojej suki? Nie wiem. I czuję się winny. To jedyne moje dziecko, wie pan. A ja zniszczyłem mu życie. To, że chciałem dobrze, wcale mnie nie usprawiedliwia.

- To nie pan zniszczył mu życie...

- Niech pan mi nie mówi, że syn był dorosły... ta laleczka też i wiedzieli, co robią. Niech pan najlepiej nie mówi nic. Czasem najlepiej jest milczeć!

*

- Richard jestem. Niech pan tak nie patrzy. Jeżeli mamy razem skończyć w komorze gazowej z cyklonem B, lepiej byłoby mówić sobie po imieniu.

- Artur. To dla mnie przyjemność.

- Teraz ustalmy. Jak chcesz, by ci pomóc.

- Pragnąłbym wrócić do moich czasów. Do domu.

Hoffmann skrzywił się.

- Mało realistyczne. Ale gdyby nawet... Skąd wiesz, do jakiej przyszłości wrócisz? Narozrabiałeś Arturze, być może pojawisz się w czasach przyszłości i naziści będą silniejsi niż kiedykolwiek. To, myślę, dla ciebie żadne rozwiązanie. Poza tym... Nikt, kogo znam, nie słyszał o podobnym do twojego przypadku. Obecna nauka ci nie pomoże. Nie wiemy, jak skakać w czasie. Twoi naukowcy to wiedzieli?

- Również nie.

- A więc sam widzisz, teraz tym bardziej nie ma szans.

- Powiedziałeś „mało realistyczne”, ale nie „niemożliwe”.

- Nie powiedziałem, że jest to niemożliwe tylko z jednego powodu. Jest z tym jak z istnieniem Boga. Nauka nie ma żadnego sposobu udowodnienia jego obecności. Ale z tego nie wynika, że istnienie Boga jest niemożliwe. Po prostu jest to poza zakresem naszych umiejętności poznawczych.

- Jest jedna różnica między istnieniem Boga a wędrowaniem w czasie. Na drugie istnieje dowód, moja obecność tutaj.

- Punkt dla ciebie. Oczywiście mogę popytać, ale bądźmy realistami... Jeżeli tylko tego ode mnie oczekujesz, mimo moich starań wyjdziesz z niczym.

- Chciałbym uciec.

- Głupi pomysł. Znajdą cię i uwięzą, tym razem na dobre.

- Dlatego to musi być dobrze zorganizowana ucieczka.

- A myślałeś, dokąd się udasz? Może do Polski, gdzie poluje na ciebie ruch oporu? Ciąży na tobie wyrok za zdradę, do jasnej cholery. Ścigany przez Niemców i Polaków nie będziesz miał żadnych szans. Francja? Policjanci Vichy dostarczają SS Żydów jak grzeczne harcerzyki. Poza tym autonomia Pétaina zależy od kontroli nad koloniami, a z tym może być różnie.

- Może Anglia.

- Powiem wprost, przedostać się przez morze to nielekka przeprawa, gdy się jest najbardziej poszukiwanym człowiekiem przez SS. Naprawdę. A południe Anglii znajduje się w rękach Wehrmachtu, kto wie, jak długo utrzyma się północ? Poza tym, na ulicach brytyjskich miast można teraz n a p r a w d ę zginąć od bomb. Z innego powodu nie polecam Związku Radzieckiego. Tam, co prawda, łapska nazistów nie sięgają, mimo pozornej współpracy, ale w jednym trzeba się z Hitlerem zgodzić. Komuniści to niezłe sukinsyny. Jeżeli to możliwe, trafiłbyś jeszcze gorzej, moim zdaniem, ale może żyjąc w nazistowskim kraju, mam uprzedzenia.

- Masz rację. - Artur ukrył twarz w dłoniach. - Nie mam dokąd uciec, prawda?

- Cały świat pogrążył się w wojnie. Rommel stanął na czele Afrika Korps. Był akurat pod ręką, dochodząc do siebie w Berlinie po ranach otrzymanych w Anglii. Podobno Hitler powiedział do oficerów: „Nie mogę dać wam wielkiej armii, dam wam wielkiego generała”. Afrykę spowił ogień. Japonia podpala Azję.

- Stany Zjednoczone?

- Pierwszy poprawny strzał. Tyle, że trzeba się przeprawić przez ocean. To bardzo daleko, Arturze. Mogę oczywiście popytać, ale będzie to bardzo niebezpieczna eskapada.

- Czyli, co możesz dla mnie zrobić?

- Postaram się jak najwięcej dowiedzieć. Znajomość przeciwnika może się okazać najcenniejszą bronią.

- Brzmi nieźle. - Artur opowiedział o tym, jak interesują go runy, tajemnicze znaki, pierścienie, które zdają się błyszczeć w jego obecności.

- Chyba coś niecoś wiem o tych sprawach, ale opowiem ci dokładniej, jak zajrzę do źródeł. Nie chciałbym się pomylić i zamącić.

Hoffman zrobił kolejną herbatę i przyniósł ciasto.

- Moja gosposia zrobiła. Twierdzi, że pyszne, a rzadko się myli w takich sprawach.

Artur wgryzł się w szarlotkę. Skomplementował gosposię.

- Myślałeś o tym, że nasze działania, jeżeli się powiodą, mogą przynieść nie tylko upadek nazistów, ale i państwa niemieckiego? Wiesz, jesteś w końcu najpotężniejszą bronią Hitlera, a chcemy cię mu zabrać - zagaił Hoffmann. - Wiem, ty jesteś Polakiem, widzisz to inaczej. Ale nawet ty musisz zdawać sobie sprawę, że każda klęska Hitlera przybliża linię frontu do Berlina. Kolaborowałeś z SS, ja również, nie wykręcimy się z tego. Zakładając, że ktokolwiek w ogóle będzie nas o tę kolaborację pytał, wiesz, kula nie wybiera, a Ruscy, jak opowiadasz, że wszędzie będą Ruscy... Otóż Ruscy nas rozstrzelają dla zabawy. A mimo to pakujemy się w awanturę, która, jeśli nam się powiedzie, przyczyni się do naszej zguby. Ale najprawdopodobniej nam się nie powiedzie i nas złapią. Wtedy nie chciałbym być w swojej skórze, choć niestety będę.

Obaj mężczyźni pokiwali w milczeniu głowami, jedli ciasto i pili herbatę.

*

- Dlaczego zarzuciłeś praktykę?

- Myślę, że była to kwestia wiary.

- Wiary?

- Zabrakło mi jej. Przestałem wierzyć, że mogę komukolwiek pomóc. Przychodziły kobiety, których mężowie zginęli na wojnie, i co im miałem powiedzieć? Mężczyźni, których partnerki aresztowano za pochodzenie, ci wszyscy, których synowie i córki zaginęli, po prostu zniknęli bez śladu za poglądy. Miałem im powiedzieć, że to oni są w porządku, że to świat oszalał? Na początku próbowałem towarzyszyć im w bólu, ale potem tego bólu było za wiele, nawet dla mnie. Po prostu miałem dość. Uciekłem.

Artur pił herbatę.

- Oni chcą rozstrzygać o wszystkim. Hitler chce decydować o każdej najmniejszej myśli człowieka. Nie, jeszcze nie może, ale takie są jego pragnienia. Co to za kraj, powiedz mi, Arturze, w którym jedne kobiety, mimo że chcą urodzić, przymusowo są skrobane, a z kolei innym aborcja jest absolutnie zabroniona? Wolność polega na tym, że o takich sprawach decyduje kobieta, nie zaś państwo. Dzisiaj prawo do rodzenia lub obowiązek aborcji przyznaje się ze względu na kryterium rasy, ale kto wie, co nazistom wpadnie do łba jutro? Może uznają, że jeden kolor oczu jest lepszy, taki aryjski, a resztę ludzi wysterylizujmy? Chciałbym, żeby moje życie należało do mnie, a oni wydzierają mi je kawałek po kawałku. Z każdą ich ustawą powoli umiera moja wolność. Zamieniają społeczeństwo w jeden wielki organizm, którego mózgiem jest kierownictwo NSDAP, a rękoma i nogami my. Nie chcę tego.

Słońce rzucało przez szybę migoczące refleksy.

- Co byś powiedział, Arturze, Żydówce, której przymusowo zabito dziecko? Wysterylizowanej Murzynce? Albo kobiecie, która pokochała Żyda. Przecież ją zabiją, jak to odkryją. A sąsiedzi są naprawdę czuli na cudze

szczęście, nie podarują. Albo komuś, kto jest homoseksualistą? Przecież on nie może o tym powiedzieć nikomu. W Niemczech mamy dużo fanatyków, ale zawistników jest po prostu od groma. Jak mogą komuś spaskudzić życiorys, to doniosą.

*

- Myślę, że powinieneś już iść, lepiej nie drażnić mamki. Ale przedtem ustalmy, co mi dzisiaj opowiedziałeś.

- Słucham?

- No, na terapii. Mogą pytać.

- Powiesz im?

- Skąd! Zasłonię się tajemnicą zawodową. I będę bardzo stanowczy. Ale jeżeli oni też będą stanowczy i zabiorą mnie do jednego z tych podziemnych kompleksów... Wówczas okażę chęć współpracy.

- Kłamstwem zasłonisz kłamstwo.

- Zasłona za zasłoną. Zwykle, jeżeli zdobędzie się coś po długim wysiłku, nie szuka się dalej. Ta fikcja, którą za chwilę sklecimy, może uratować tylko nam obu.

*

Już wychodził, gdy Richard go zatrzymał:

- Pieniądze. Robią ci rutynowe przeszukania, lepiej, by się nie zastanawiali, czemu mi nie zapłaciłeś.

- Na pewno nie jesteś Żydem? - powiedział Artur, wręczając mu banknoty.

- Rasista - odparł naukowiec, zabierając gotówkę i zamykając drzwi.

*

Schlink wyciągnął go wczoraj znowu do klubu. Coś trzeba robić, gdy kończył się dzień, a Liliane była przez kilka tygodni z jakichś powodów nieosiągalna. Tak jak poprzedni wieczór Artur ocenił jako udany, tak ranek należało uznać za proporcjonalnie paskudny. Obudził go nielichy kac. Mimo że żołądek groził rewoltą, Sosnowski zmusił się do przełknięcia śniadania, pił też koszmarne ilości wody.

Na dodatek bolała go głowa i nie miał pojęcia, czy to tylko spożyte trunki są za to odpowiedzialne. Bo zmiany, które Artur widział wokół siebie, nie dawały mu spokoju. Historykiem czuł się raczej marnym, ale miał pewność, że w III Rzeszy nie bawiono się w klubach przy takiej dziwacznej muzyce. Coś było bardzo nie tak. Historia zmieniała się i to w sposób, którego nie potrafił przewidzieć, a który miał najwyraźniej związek z osobą Artura. Naziści wciąż wyciskali go jak gąbkę, każde słowo, które wypowiadał, ujawniało im okruchy przyszłości. Jak twierdził Hoffmann, zbierali je pieczołowicie, następnie w laboratoriach próbowali odtworzyć świat, który znał Artur. Ale wychodziło najwyraźniej coś innego. Spróbował połączyć fakty.

Ludzie wokół zaczęli mówić bardziej współczesnym językiem. Artur stał się źródłem lingwistycznej mody, najpierw wśród notabli SS, potem wśród zwykłych ludzi, dla których styl życia elit nazistowskich był wzorem.

Pojawiły się technologie nieznane w tych czasach. I wydarzenia, które nie powinny mieć miejsca. Erwin Rommel dostał dywizję odgrywającą kluczową rolę w ataku na Wyspy. Dlaczego? Czy Artur przypadkiem nie pochwalił jego umiejętności podczas jednej z tysięcy rozmów? Nie pamiętał. Dzień w dzień z kimś rozmawiał na błahe dla niego tematy. No i pozostawały jeszcze zmiany, których

powiązać ze swoją osobą nie umiał nijak. Nie znał się zupełnie na sterowcach, a był niemal pewien, że nie stosowano ich w tym okresie jako broni ofensywnej, może co najwyżej do formowania powietrznych zapór. Czy mogło być zatem tak, że ze zmian, które Artur wprowadzał swoją obecnością, mogły wynikać też inne? Laboranci, szukając wskazanego przez niego przypadkiem kevlaru, natknęli się na inny stop metali, idealny do protetyki superszczęk albo osłony sterowców przed atakami myśliwców, tworzący z nich śmiertelnie niebezpieczne powietrzne twierdze. Czy zresztą odkryli w ogóle kevlar? Może to coś innego, również zdolnego pochłaniać energię kinetyczną pocisków. Nazwali to kevlarem, sądząc, że jest to rzecz opisana przez Sosnowskiego, ale kto wie, jak już odległy stał się świat Nowego Berlina od rzeczywistości, którą znał Artur?

Jeżeli zmiany tak dalece uniezależniły się od Artura, to kiedy stanie się nazistom zbędny?

Jeżeli każdego dnia dzięki niemu powstaje nowa broń, jak długo świat będzie miał jeszcze jakąkolwiek szansę z hitlerowcami?

Na dodatek wyjaśnienia, którymi się karmił, miały więcej dziur niż szwajcarski ser.

Powodów, żeby Artura bolała głowa, nie brakowało.

*

- Heydrich prosił mnie, by zapytać... pewna sprawa go bardzo ostatnio nurtuje... - Weiner był wyraźnie zakłopotany.

- Słucham?

- Czy w świecie przyszłości macie taką bombę... Chodzi o to, czy warto inwestować środki... Czy da się zbudować takie coś... Genetycznie wcelowany śmiertelny wirus

atakujący tylko wybraną rasę. Dajmy na to rozpylamy nad miastem, a zarażają się na przykład tylko... - urwał, na chwilę się zastanawiając - ...powiedzmy tylko Żydzi. - Widząc coraz bardziej zdegustowaną minę Artura, wreszcie się zatrzymał. - Nie da się skonstruować czegoś takiego, nie? Też mówiłem Heydrichowi, że raczej nie macie... I nawet bym nie podejmował tematu, ale rozumie pan... Heydrich. - Weiner rozłożył bezradnie ramiona, tłumacząc tym gestem wszystko.

- Staram się rozumieć.

- Naprawdę nieistotne. Rzesza ma dla pana kolejne zadanie.

- Nie idzie wam w Anglii?

- Szczerze mówiąc, nie. Pod Londynem, korzystając z jednego z największych systemów metra na świecie i sieci kanałów, brytyjscy górnicy zbudowali gigantyczny, pancerny kompleks dorównujący wielkością Unterirdische Festung. Ukryte w tunelach ładunki wybuchowe, zapadnie, samopały na fotokomórkę, trujące strzałki, wreszcie wszechobecne chmury chemiczne, skutecznie odstraszają naszych ludzi od eksploracji. Jedyna szansa na zwycięstwo, pojmanie pozostałych polityków w parlamencie, spaliła na panewce, bo elitarny oddział SS pomylił się i uderzył na pobliską katedrę. Zorientowali się dopiero w środku, gdy zamiast notabli zobaczyli przybitego do krzyża Boga. Tłumaczyli się, że spodziewali się, iż katedra będzie bardziej okazałym budynkiem i ruszyli na ten mniejszy. Skorzeny ze swoimi komandosami zaginęli na dobre w metrze. Od miesięcy nie mamy meldunków. Nikt nie wie, gdzie jest Churchill. Prowadzimy nasłuch radiowy ich częstotliwości. Bez przerwy słyszymy: Churchill przemieścił się tu, Churchill przemieścił się tam. Potem okazuje się, że chodziło o czołg. Ale zeppeliny zbombardowały Liverpool. Zawsze to sukces. Chrzanić Anglię. Dla pana Hitler ma inne zadanie. Irak.

- Irak?

- Dokładnie. Udało nam się tam doprowadzić do małego przewrotu. Obecny władca tego kraju jest po naszej stronie i chce walczyć z Anglikami. Zastanawiamy się, co robić, i z tym sztab przysyła mnie do pana.

Artur rozejrzał się po pokoju. Byli sami, Schlink czekał na zewnątrz, zbyt niski stopień nie pozwalał mu na dostęp do danych o strategicznym znaczeniu.

- Po co mamy im pomagać, Herr Weiner? - zaczął szybko mówić. - Przecież widzę, że obaj mamy ich dość. Po chemicznym zbombardowaniu Anglii nie sypiam zbyt dobrze. To moja wina, bo w historii, którą znam, to się nie wydarzyło. Teraz może stać się jeszcze coś gorszego. Zignorujmy te rozkazy. Albo lepiej ich oszukajmy.

- Pan źle sypia? To ja dowodziłem tą operacją, ja przekazywałem dane. To moje sumienie było obciążone. Pan nie mógł zrobić nic, ja wszystko... - Oczy Weinera zabłysły na chwilę, po czym odzyskały beznamiętną matowość. - Zostawmy sumienie w spokoju. Zaakceptujmy, że żyjemy w piekle, a w piekle sumienie może tylko przeszkadzać. Myślmy racjonalnie. Póki jest pan dla nich przydatny, pana wpływy rosną. Może kiedyś oni osłabną, odsłonią się. Wtedy pan podejmie decyzję, jaką uzna za stosowną. Ale teraz są zbyt potężni. Nie złamiemy ich naszym kłamstwem w Iraku, naszym oporem. Pana rozstrzelają, mnie zdegradują. Proponuję współpracować z systemem dla dobra nas obu. Przynajmniej pozornie.

- Przyczaić się? Gdy wokół giną ludzie?

- Przyczaić się. Jeżeli nie chce pan do nich dołączyć. Irak, Herr Sosnowski?

- Walczcie o to wszelkimi siłami. W moich czasach jest to najcenniejszy teren na świecie.

- Ze względu na ropę?

- Ze względu na ropę.

*

- Nasz człowiek, wielki nacjonalista Rashid Ali al-Gailani, wezwał właśnie do świętej wojny o niezawisłość Iraku z Anglikami. Brytyjczycy wysłali już korpus ekspedycyjny, walki rozgorzały na całego, dranie mają przewagę w powietrzu. Większość bitew wygrywają, ostrzeliwując irackie siły z powietrza, na pustyni nie można się ukryć.

- Niech wyleją trochę ropy na piasek, tak żeby przypominała kształtem czołg. - Sosnowski błysnął wiedzą z czasów Pustynnej Burzy i wojen w Zatoce. - Zmylą w ten sposób RAF.

- Zidiociał pan? Armia iracka nie ma czołgów. Jedynie wielbłądy. Mają lać ropę w kształcie wielbłąda? Kto się na to nabierze? Przecież taki wielbłąd, jak tylko słyszy silniki samolotu, spierdala, ile tylko sił w kopytach.

Artur uniósł ręce w geście poddania.

- Hitler okazał pełne poparcie dla narodowego powstania w Iraku. Powiedział, że marzy mu się, by każdy Arab żył we własnym niepodległym państwie, wolność jest niezbywalnym prawem każdego Araba i tak dalej… Liczy na powstanie przeciwko Wielkiej Brytanii w całej Afryce. Wysłaliśmy już trochę samolotów, Włosi też dorzucili kilka myśliwców. Powinno to wyrównać nieprzyjacielską przewagę w powietrzu. Niby al-Gailani ma jakieś siły powietrzne, ale podejrzewam, że są to po prostu wielbłądy, do których domontowano lotnie. Przynajmniej skuteczność jest podobna. Pogadaliśmy z Pétainem, strasznie miły człowiek, za kilka nieistotnych ustępstw da Irakijczykom zapasy broni zgromadzone we francuskiej Syrii, to jest o rzut beretem. Przestarzały szmelc, nam by się i tak nie przydał, ale Arabowie się będą cieszyć jak dzieci. Dotąd

główną ich siłą ofensywną była, jak podejrzewam, szarża wielbłądzich jeźdźców z kijami. Teraz te kije będą grzmieć!

- Brzmi fascynująco... Ale czy to wystarczy?

- Wysyłamy korpus ekspedycyjny. Podbiliśmy Grecję, mamy część sił wolnych. Przycisnęliśmy Turków, by zgodzili się na tranzyt, inaczej zrobimy z nimi to samo, co z Ateńczykami.

- Czyli chyba Wielkoniemiecka Rzesza osiągnie kolejny sukces?

- Tak jakby. Amerykanie wysyłają w rejon Zatoki Perskiej swoje lotniskowce. Nie podoba mi się to. Ale nic, pracujemy nad Iranem. Szef Abwehry ostatnio tam pojechał, rekonesans zrobić, ustawić siatkę agentów, te sprawy, ale wpadł strasznie głupio. Oddał piżamę do pralni hotelowej. Miał wyszyte inicjały WC. Otrzymał kwitek z podziękowaniem dla admirała Canarisa. Ech... Będzie się działo. W każdym razie mam nadzieję, że nie pomylił się pan z Bliskim Wschodem. Bo pańska decyzja, by stworzyć autonomiczne państwo polskie, sprawia nam same kłopoty. Zależało nam, by wybudować sieć autostrad, daliśmy nawet fundusze. Przez pół roku Polacy wybudowali marnych kilka kilometrów. Jak to możliwe? Hitler podejrzewa istnienie głęboko zakonspirowanej, olbrzymiej podziemnej opozycji, sabotującej precyzyjne działania polskiego rządu. Tylko nie możemy jej znaleźć.

*

Kolejne spotkanie z Liliane zaplanowali w łaźni. Artur, choć świadom, że schadzki nie da się ukryć przed wszechwładnym aparatem kontroli, zdecydował się zachować resztki intymności i nie informować o nich władz. Stąd zaproponował Schlinkowi zwyczajne wyjście, by się odświeżyć. Ochroniarz pokiwał głową, uznając pomysł za

znakomity, też był znudzony ostatnio wyjątkowo monotonną pracą. Artur bowiem nie wychodził z hotelu.

Dlatego tym razem przed wyjściem czekała go niemiła niespodzianka. Schlink rzucił na łóżko przykryty folią kombinezon.

- Proszę to założyć.

Artur odgarnął folię.

- Obrzydliwe. Nie będę w tym chodził - powiedział zdegustowany.

- Musi pan. Na razie ze względów organizacyjnych prawo dotyczy tylko mieszkańców Berlina i jest egzekwowane, ale każdy obywatel Rzeszy będzie miał taki obowiązek, to tylko kwestia czasu. Bardzo proszę, to dla pańskiego bezpieczeństwa. Materiał zabezpiecza przed ogniem, alianckie bombowce atakują miasto, pożary są wszędzie. Niewielka butla tlenowa z maską zasłaniającą twarz chroni przed środkami paralityczno-drgawkowymi. Kombinezon jest uszczelniony, by nie rozpuściły panu skóry i oczu środki parzące typu iperyt.

Kombinezon miał brunatny kolor. Artur obejrzał tył stroju była tam wymalowana wielka czarna swastyka otoczona ciemnym okręgiem. Skrzywił się. Niechętnie się rozebrał, podobnie jak Schlink.

Po początkowych narzekaniach Artur musiał przyznać, że dotyk kombinezonu na nagiej skórze nie jest niemiły, a zamek błyskawiczny biegnący od szyi do krocza, zgrabnie ukryty pod paskiem materiału, pozwala szybko zarówno włożyć, jak i zdjąć ubiór. Jedna płaska butla tlenowa dostarczała powietrza na kilkadziesiąt minut, dość, by opuścić miejsce skażenia. Artur przyłożył sobie plastikową maskę do ust i nosa, przykrył kawałkiem brązowej miękkiej skóry. Oczy skrył pod goglami w metalowej oprawie. Nieco problemów miał z kapturem, który, obszyty gumką, przypominał gumowy obcisły czepek. Za nic nie mógł

zmieścić pod nim wszystkich włosów. Stanął przed lustrem załamany. Brunatny kosmita z licznymi czarnymi kosmykami zasłaniającymi twarz.

- Warto się postarać, bo jak zaczną się panu palić koło twarzy, może pan wpaść w panikę. Pomogę panu. - Schlink nosił już na twarzy srebrną maskę przypominającą trupią czaszkę. Do jednego biodra przytroczył miecz, do drugiego pistolet maszynowy. Gdy się poruszał, furkotał czarny płaszcz.

- Na nadgarstku ma pan bransoletę. Gdyby się pan kiedykolwiek zgubił, wystarczy podejść do najbliższego punktu kontrolnego i ją pokazać. Zawiera wszystkie pańskie dane osobowe i żołnierze natychmiast zawiadomią Standartenführera Weinera. Punkty kontroli docelowo pojawią się na każdym skrzyżowaniu, na razie jeszcze to niemożliwe z powodów organizacyjnych, ale wkrótce Berlin będzie miastem bezpiecznym. Jeżeli chce coś pan powiedzieć, w masce tlenowej są głośniki. Obieg powietrza można przełączyć na wewnętrzny w razie zagrożenia atakiem chemicznym.

- Super - wychrypiał Artur i zdziwił się, jak zmieniony jest jego głos.

- Adolf Hitler pragnie, by każdy zamiast imienia używał numeru seryjnego swojej bransolety, ja jestem 000436789.

- Dziękuję za informacje, Schlink. Ten zwyczaj się przyjął?

000436789 wyraźnie się zakłopotał.

- Sam pomysł jednolitych ubiorów jest znakomicie uargumentowany ideologicznie. - Nagle odzyskał rezon i jego głos wydobywający się spod maski wyraźnie się ożywił. - Nie ma biednych i bogatych, pięknych i brzydkich, zadbanych i niechlujów, pod brunatną tkaniną znikają wszelkie podziały. Nawet mężczyźni i kobiety muszą nosić jednakowe stroje i często nie wiadomo, jakiej płci jest nasz

rozmówca. Cały lud niemiecki jest jednością! *Heil Hitler! Sieg! Sieeeg!*

- Tak - zdziwił się uprzejmie Artur. - To dlaczego pański strój jest innego koloru i bogatszy?

- Stroje SS muszą się różnić, by lud wiedział, do kogo się zwrócić, gdy potrzebuje opieki i wsparcia - wyrecytował wyuczoną formułkę Schlink.

Opuścili pokój i weszli do windy. Żołądek podszedł Arturowi do gardła, gdy poczuł olbrzymie przyspieszenie. Odczucie duszności wzmógł ciasny kombinezon.

Schlink musiał widzieć niespokojne ruchy towarzysza, bo zagaił, pragnąc rozmową odwrócić uwagę Artura:

- Adolf Hitler pragnie, by kiedyś te stroje były noszone przez cała dobę. Na razie jest to nie do przeprowadzenia, ze względu na opór istniejący w społeczeństwie przed nowością. Ale małymi kroczkami przekonamy ludzi, już teraz się przyzwyczaili do spacerów po mieście, wiedzą, że to dla ich dobra. Nowe modele zamierzamy wyposażyć w specjalne otwory w miejscach narządów płciowych, by spółkowanie było w nich komfortowe i bezpieczne. Nawet gdy wokół kopulującej pary wybuchną alianckie bomby chemiczne, będą mogli dokończyć stosunek i spłodzić nowego obywatela ku chwale Führera i Rzeszy.

Winda się wreszcie zatrzymała. Naprawdę w samą porę. Artur, gdy wyobraził sobie kopulujących w brunatnych uniformach ludzi, omal nie zwymiotował. Przeszli przez hol hotelowy i znaleźli się na ulicy. Tam Polak zobaczył dziesiątki ludzi w jednolitych kombinezonach. Jechali samochodami, dźwigali aktówki lub ciężkie siatki z zakupami. Niektóre postacie trzymały za ręce mniejsze, hałaśliwe i wiecznie się kręcące, inne prowadziły przed sobą zabudowane wózki przeciwchemiczne w kolorze ciemnej sepii z nieodłączną swastyką. Zapewne matki wychodziły z niemowlętami na świeże powietrze.

Wreszcie podjechał samochód. Kształt miał bardziej aerodynamiczny niż w modelach, które dotąd Polak widział na ulicach starego Berlina. Przede wszystkim jednak rzucał się w oczy zamontowany z przodu system filtrów powietrza i pogrubiony pancerz, mający za zadanie zatrzymać szrapnele. Wysiadający z niego mężczyzna miał insygnia służby hotelowej. Schlink rzucił mu napiwek.

*

Do szatni wszedł najpierw Schlink z Sosnowskim, potem dwóch mężczyzn z samochodu, który jechał całą drogę za nimi, następnie osobnik w motocyklowym kasku. Cała grupka rozbierając się starannie, udawała, że się nie zna, mimo że Artur kiedyś w geście wspaniałomyślności czuwającym przed hotelem facetom w samochodzie zafundował obiad na wynos.

Pojawił się drobny problem. Schlink wydobył się z niemałym trudem z pancerza SS. Zostawił większość uzbrojenia i stał nagi, jak go pan Bóg stworzył, trzymając w dłoni mały pistolet. Próbował go sobie podkleić pod pachą i pod udem, ale najwyraźniej nie miał zaufania do taśmy klejącej albo wodoodporności broni. W ten sposób od razu demaskował się jako ochroniarz, wprowadzając element sensacji na salę. Zdecydowanie tak nie mógł wyjść z szatni. Wreszcie, depilując sobie od razu pół uda, oderwał pasy klejące i próbował włożyć broń pod czepek. Tu rezultat był lepszy, ale wciąż nad czołem wystawała lufa. Wrócił do punktu wyjścia, bezradnie obracając broń w ręku. Artur popatrzył dłużej na pośladki mężczyzny, ale niczego nie zasugerował.

Wreszcie Schlink zdecydował nie brać pistoletu. Wyszli z szatni, najpierw motocyklista, potem Schlink z Arturem, wreszcie panowie z drugiego samochodu.

Sama łaźnia urządzona była w stylu rzymskim, strop podpierały żebrowane kolumny, gdzieniegdzie stały posągi marmurowych kobiet prężących nagie biusty. Wszyscy obecni w łaźni byli nadzy. Himmler popierał nudyzm, twierdząc, że brak stroju ujednolica ludzi tak samo jak mundury. Wszyscy nadzy są równi. Oczywiście powstały łaźnie elitarne, tylko dla NSDAP i notabli, oraz takie dla plebsu. Artur był w tej pierwszej.

Liliane właśnie przyszła. Na jego widok podbiegła na palcach, naga jak Ewa w ogrodzie Pana, i pocałowała go lekko w policzek. Artur z przyjemnością patrzył na jej poruszający się w rytm przyspieszonego oddechu biust. Poczuł gwałtowny przypływ podniecenia.

- Nareszcie jesteś - powiedziała miękko. - A, i przyprowadziłeś znajomego. To dobrze, bo jestem z koleżanką. Poznaj Natalie Schladebach, liderkę BdM.

Podeszła do nich dziewczyna z burzą czarnych włosów. Niezwykle szczupła, o małych piersiach, zwracała uwagę nieco ciemniejszą karnacją. Schlink z galanterią przedstawił się i uścisnął jej dłoń.

- Chodź, kochany, czas wejść do wody... - Liliane chwyciła Artura za rękę i powoli sprowadzała po schodkach. W tym samym czasie Natalie zaciągnęła Schlinka do jacuzzi po drugiej stronie.

- Sprytna jestem, prawda? - Liliane zanurzyła się już całkiem, dbając tylko, by nie zamoczyć starannie zrobionego makijażu, ani, broń Boże!, upiętej misternie konstrukcji loków. - Koleżanka z BdM zajmie się twoim koleżką, a my nareszcie będziemy sami.

Artur pomasował się z zafrasowaniem po brodzie. Nie wiedział, jak wytłumaczyć dziewczynie, że dzięki jego dzisiejszej decyzji podniósł się poziom czystości w berlińskich koszarach SS. Ale musiał przyznać, że pomysł miał pewien pozytywny efekt. Pozostali agenci oficjalnie nie

znali Artura i musieli się trzymać dalej. Wykradzione okruchy intymności.

Wszedł do wody, odbił od dna i popłynął, przemieszczając się leniwymi ruchami. Była bardzo ciepła, przyjemnie rozluźniała mięśnie.

- Co to jest BdM?

- Żeńska odmiana Hitlerjugend. Bund deutscher Mädel. Bardzo miłe dziewczyny. I chłopcy je lubią.

Artur popatrzył w stronę jacuzzi, gdzie Schlink regularnymi ruchami bioder wychlapał już połowę wody.

- Bardzo byłaś... zaangażowana w działalność organizacji?

- Nie, no coś ty. Nie robiłam takich rzeczy, pochodzę ze zbyt dobrej rodziny. Biologiczne małżeństwo proponowane nam przez SS to nie dla mnie. Ale Natalie nie ma nic przeciwko. Jest naprawdę fajna.

- Widzę. - Artur zerknął jeszcze raz. - Nie stwarza innym problemów w życiu.

- Och, kochanie, rozchmurz się... Dzięki niej możemy być naprawdę sami.

Spróbował ją objąć, ale zgrabnie się wywinęła. Nagle stanęła przed nim w wodzie, dumnie eksponując piękne piersi.

- Jak ci się podobam? Zrobiłam się specjalnie dla ciebie.

Popatrzył na nią uważnie. Rzeczywiście wyglądała jakoś bardziej kobieco i zmysłowo. Nie potrafił zorientować się, na czym polegała przemiana.

- Głuptas jesteś... No przecież powiększyłam sobie piersi. Są teraz prężne jak baloniki. Zobacz, jak sterczą. Nie, nie macaj. - Powstrzymała jego rękę. - Silikon może pęknąć. Zrobiłam sobie też usta. Niezłe, nie?

Popatrzył na jej zmysłowe, pełne wargi. Dolna była wydęta niczym w wyrazie pogardy dla świata.

- Chyba wolałem cię bardziej naturalną... Taką świeżą i dziewczęcą.

- Drań. Ja się tak staram... To jest modne. Każda kobieta sobie teraz robi operację plastyczną. Wycinanie żeber i odsysanie tłuszczu to norma. Starsze laski wstrzykują truciznę pod skórę twarzy, żeby wygładzić zmarszczki...

- Pewnie botoks.

- Tak, teraz pamiętam, neurotoksyna botulinowa. Kilka moich koleżanek ma rozległe porażenia mięśni twarzy, ale reszta jest zadowolona, bo co nas nie zabija, to wzmacnia, nie? Eliminuje też naturalny smród ciała, w ogóle się stopy nie pocą ani pachy. Dobre, nie?

- A po co to wszystko?

- Jak to po co? - Podeszła do brzegu i podciągnąwszy się na rękach, usiadła na krawędzi basenu. - Żeby być bliżej ideału nadczłowieka, o którym mówi nasz Führer. Mężczyźni też przechodzą operacje. Wszczepiają sobie dodatkowe grupy mięśni. Uzyskują w ten sposób okropny przyrost masy muskularnej, niemożliwy do wypracowania na siłowni. Sama widziałam, jak z gabinetu wychodził facet ważący ze dwieście kilo. Specjalnie dla niego poszerzano drzwi. Głowa niknęła w węzłach mięśni. Ale jak upadła mu moneta i potoczyła się pod samochód, to on po prostu go sobie podniósł i przesunął obok. Na razie niewyobrażalnie drogi zabieg, ale w przyszłości będzie powszechny. Zrobisz to sobie kochany, prawda?

- Pomyślę.

- Zrób, zrób. Jak sobie zrobisz, to ja dla ciebie zwężę sobie cipkę. Chciałbyś? - Odchyliła się uwodzicielsko, rozchylając nogi.

- Jesteś bardzo ładna... Tam.

- Dziękuję. - Spłoniła się lekko, zadowolona z komplementu. Kochany jesteś. Całe rano nakładałam wosk, żeby być dla ciebie gładka.

Położyła się wzdłuż basenu, kładąc ręce pod głową. Wzgórek łonowy był niczym wypolerowany alabaster.

- Takie zwężenie cipki to teraz nic, parę groszy, a efekt, mówię ci… A tak bym się czuła przy tobie bezpieczna, jakbyś sobie wszczepił mięśnie, nawet sobie nie wyobrażasz. Choć kilogram muskułów na każdą rękę na początek. Co, kochaniutki?

Nim zdążył odpowiedzieć, podeszła do nich piękność w przezroczystej tunice. Niosła srebrną tackę, na której stały niewielkie flakoniki.

- Mają państwo ochotę na masaż? - zapytała aksamitnym głosem.

- Dobry pomysł - powiedziała Liliane, zgrabnie wstając. Artur wygramolił się za nią. Trąciła go poufale opuszkami palców w członek, wywołując słodki dreszcz. - Chodź! - zarządziła.

Przewodniczka zaprowadziła ich do sprytnie ukrytego pokoiku, gdzie zasłona zapewniała atmosferę intymności. Zaproponowała swoje usługi jako masażystka, ale Liliane pokręciła głową.

- Myślę, że sami sobie poradzimy - rzekła, patrząc na Artura. Położyła się wygodnie na stole do masażu. Wskazała spojrzeniem postawione przez obsługę olejki.

- Kochanie, mógłbyś…?

Artur wybrał jeden z nich, odkręcił. W pomieszczeniu rozszedł się słodkawy zapach lawendy. Ostrożnie nalał kilka kropel na dłoń, następnie zaczął wcierać w plecy dziewczyny.

- Mhmm, jeszcze - mruczała rozkosznie. Artur zręcznymi ruchami rozluźniał węzełki mięśni na jej barkach.

- Teraz niżej... - zarządziła.

Zszedł rękoma wzdłuż kręgosłupa, wreszcie zatrzymał się na odcinku tuż nad miednicą. Tam delikatny masaż wokół kręgów wzbudził w dziewczynie prawdziwe jęki rozkoszy. Nalał na rękę więcej olejku, następnie zaczął obiema rozmasowywać pośladki, delektując się wspaniałym widokiem. Poczuł, jak jego członek zaczyna pulsować podnieceniem.

- Nogi, proszę cię...

Zszedł więc niżej, na jej umięśnione uda, piękne niczym u kariatydy. Gdy doszedł do stóp, Liliane obróciła się zwinnie i usiadła. Spodziewał się, że teraz będzie masował jej przód, ale jak zwykle go zaskoczyła.

- Jesteś kochany - powiedziała i znalazła się tuż przy nim. Przykucnęła i nagle poczuł, że jego nabrzmiały członek znajduje się w jej ustach. Poczuł miękkość i ciepło, słodycz, która zaczęła stamtąd emanować, była nie do wytrzymania. Miał wrażenie, że język dziewczyny otulił go całego.

Następnie Liliane wstała, położyła mu dłoń na twarzy, przesuwając po policzku.

- Masaż był cudowny, dziękuję... Zobaczymy się jeszcze, prawda? Teraz muszę już iść... - Po czym zniknęła, zostawiając osłupiałego i podnieconego do szaleństwa Artura w łaźni.

*

Do wieczora niemal ciągle o niej myślał, to ze złością, to z podnieceniem. Wiedział już, że musi ją spotkać po raz kolejny, była jak wiosna, jak życie. Pragnienie, które w nim wzbudziła, domagało się ujścia, zaspokojenia. W nocy nie mógł spać. Walił pięścią w ścianę z wściekłości. Nabrzmiały do bólu członek wciąż i wciąż przypominał Arturowi o

Liliane. Ale przecież nie zadzwoni do niej w środku nocy. Dziewczyna wyśmieje go, odłoży słuchawkę. Trzeba czekać do rana. Koniecznie.

Ogarnęła go gorączka. Czuł się spocony, brudny. Wreszcie wstał, wziął zimny prysznic. Niewiele to pomogło. Męczył się tak do rana, gdy pokonało go wyczerpanie.

Gdy się obudził, pierwsze, co zrobił, zadzwonił do niej. Jednak Liliane nie odebrała. Artur zdecydował, że po obiedzie spróbuje znowu. Umówi się na wieczór. Musi.

# VI

Artur właśnie wybrał z półki książkę Alfreda Rosenberga, którą naziści polecili mu choć przejrzeć, i niósł ją w kierunku sofy, gdy szyba przed nim rozprysła się na tysiąc kawałków, a do pokoju wpadł czarny, pierzasty stwór, chlapiąc wokół krwią. Snajperzy, pomyślał Artur, rzucając się odruchowo na ziemię. Książka potoczyła się po podłodze i otwarła na chybił trafił. Sosnowski ciężko oddychał i nie ośmielił się nawet drgnąć. Wreszcie bardzo ostrożnie podniósł głowę. Spojrzał w okno. Pomyślał, że nawet leżąc, nadal jest niezłym celem.

Człap, człap. Nagle coś zafurkotało. Artur rozejrzał się po pokoju.

Po dywanie kuśtykał zakrwawiony kruk, sprawca całego zamieszania. Łopotał skrzydłami, ale nie potrafił wzbić się do lotu wyżej niż na pół metra. Przez rozbite okno wdzierało się chłodne powietrze.

Artur podkradł się do ptaka. Zamierzał złapać go i może zabrać do lekarza. Czy oni mieli w tej epoce porządnych weterynarzy?

Niespodziewanie kruk rozłożył szeroko skrzydła. Artur zobaczył, że ich wewnętrzną stronę zbudowano z jakiegoś srebrnego metalu, łączyły je z podbrzuszem liczne druciki i przewody. Ptak rozwarł dziób. Zmaterializowała się przed nim w powietrzu niewielka szyba, a na niej pojawił się lśniący napis: „Uciekaj, głupcze!”. Podpisano: „Weiner”.

Szyba rozprysła się na tysiąc kawałków, a ptak wykrwawił się, rzygnął olejem silnikowym i benzyną, następnie zdechł.

# Róże

## I

Zrzucenie piżamy i wbicie się w kombinezon zajęło mu kilkanaście sekund. Mimo presji czasu Artur nie był takim idiotą, by wyjść na ulicę bez stroju, rzuciłby się od razu w oczy. Nieco dłużej trwało włożenie maski. Właśnie się z nią szarpał, gdy budynkiem zachwiała potężna detonacja. Bombardowanie, trafili w hotel, pomyślał. Artur spodziewał się, że lada chwila spadnie mu na głowę lawina gruzu, grzebiąc go na zawsze. Ale nic takiego się nie stało, nie słyszał kolejnych eksplozji ani syren przeciwlotniczych. Ostrożnie podszedł do rozbitego okna i zerknął w dół.

Samochód został całkowicie zniszczony, ocalało właściwie tylko dymiące podwozie i leżące na ulicy elementy karoserii. Daleko pod ścianą konwulsyjnie drgał srebrny dekiel. Ludzie, ludzie nie mogli przeżyć. Smoliste kłęby wznosiły się w powietrze, niemal zasłaniając z tej perspektywy rzadkie języki ognia. Artur pomyślał ze smutkiem, że już nigdy im nie kupi obiadu.

A potem w pomieszczeniu obok rozległy się strzały, seria z karabinu i znowu pojedynczy wystrzał.

- Schliiink! - wrzasnął. Wywalone kopniakiem drzwi otwarły się na oścież i dwójka uzbrojonych mężczyzn w kombinezonach wpadła do środka.

- Na kolana, polska świnio - krzyknął jeden z nich, celując z pistoletu. Drugi stanął nieco z boku, trzymał pistolet maszynowy. Wolne ramię wyraźnie krwawiło. Klął na czym

świat stoi. Sprawdziwszy, że w pomieszczeniu jest względnie bezpiecznie, przełożył broń do zranionej ręki, a drugą począł opatrywać ranę.

Artur spełnił polecenie. Pierwszy mężczyzna podszedł szybkim krokiem i przystawił Sosnowskiemu lufę do skroni.

- Tacy jak wy muszą zniknąć z powierzchni ziemi, inaczej nigdy nie będzie porządku - powiedział, a zmieniony przez maskę głos zabrzmiał wyjątkowo złowieszczo.

Artur zamknął oczy. To już koniec. Wreszcie go dopadli. Nieważne, kto. Ale wreszcie skończy się ta męka. Z jednej strony chciał żyć, skoczyć, pobiec, spróbować czegoś... Z drugiej cieszył się, że tak się to skończy. Bez odpowiedzialności za swój los, winy, cokolwiek. Wreszcie nadejdzie sen i to taki bez koszmarów, na zawsze.

Szczęknął odbezpieczany pistolet.

Z nagłym żalem pomyślał o Liliane, że nie zobaczy jej nigdy więcej, nie poczuje oszałamiającego zapachu jej ciała.

Padł strzał. To już?

Poczuł na twarzy kropelki wilgoci. Otworzył oczy.

Zamachowiec przed nim nie miał głowy, zwalił się jak kłoda na ziemię. Drugi próbował złożyć się do strzału, ale rana nie ułatwiła zadania. Rozległ się krótki terkot i seria posłała go na szybę, która pękła pod kulami. Mężczyzna zachwiał się, zamachał rękami, po czym przechylił się przez krawędź okna i zniknął.

- Powinien pan stąd uciekać - wychrypiał Schlink, opuszczając broń. Z lufy ciągnęła się cieniutka smużka dymu. Stał w drzwiach zgięty wpół, groteskowo oparty o framugę, jedną ręką trzymając się za bok. Choć bez maski, poza tym był w pełnym stroju ochronnym. - Właśnie wysłaliśmy zabójcom wiadomość - wskazał podbródkiem

okno, przez które wypadł zamachowiec - że misja ich kolegów się nie powiodła.

Artur zobaczył, jak przez oblicze żołnierza przemknął grymas bólu.

- Schlink, co z tobą, potrzebujesz pomocy. - Podbiegł do telefonu, podniósł słuchawkę. Odpowiedziała mu cisza. Odcięta łączność, pomyślał zaskakująco trzeźwo.

- Użyj schodów, natychmiast, do cholery! - Esesman mówił, jakby nie usłyszał Artura. - Winda to pułapka, mogą nią sterować. Ja ich tutaj zatrzymam. - Spod palców, którymi trzymał się za bok, zaczęła przeciekać krew.

- Ku chwale Rzeszy!

Artur nie słuchał dłużej. Wybiegł z pomieszczenia. Znalazł się w pokoju Schlinka, zobaczył bezwładne ciało przy drzwiach. Drzwi leżały na podłodze.

Ostrożnie wyjrzał na korytarz. Nikogo nie było. Pod sąsiednim apartamentem leżało dwóch mężczyzn z pistoletami maszynowymi w dłoniach. Ten w brunatnym kombinezonie opierał się bezwładnie o ścianę.

Szybko pojął, co się wydarzyło.

Na prawo znajdowały się windy, świetlne cyfry nad nimi gnały szaleńczo w górę. Nie myśląc dłużej, Artur rzucił się w przeciwnym kierunku. Grzmotnął barkiem w drzwi wiodące do schodów akurat w momencie, gdy rozległ się cichy dźwięk ogłaszający, że winda osiągnęła piętro.

Zbiegał jak szalony, po kilka stopni naraz, palcami tylko muskając poręcz. Serce biło jak oszalałe, zaczynało brakować oddechu. Przesunął dłonią po twarzy i zobaczył, że jest czerwona. W nagłej panice dopiero teraz zaczął gwałtownymi, szybkimi ruchami ścierać krew z twarzy. Omal nie zwymiotował. Muszę założyć maskę, mignęła mu w głowie myśl.

Jeśli tak wybiegnie na ulicę, od razu zostawi prześladowcom wyraźny ślad. Pospiesznie zaczął dopasowywać gogle, nasunął też kaptur na włosy, palcami rozpaczliwie wtykał je pod kombinezon. Traciło na tym tempo biegu, Artur parę razy się potknął. Nie słyszał kroków na górze, nikt go nie gonił. Schlink wypełnił swoje zadanie.

Wreszcie Sosnowski znalazł się na dole. Nie zdecydował się wyjść od frontu, gdzieś tutaj był korytarz prowadzący na tyły. Artur ruszył szybkim krokiem. Gdy dochodził do drzwi, zobaczył leżącą przy nich skuloną postać. Przestąpił ostrożnie kałużę krwi.

Wyjrzał na niezbyt uczęszczaną uliczkę. Ostrożnie wyszedł.

Zza metalowego kontenera na śmieci wyskoczył człowiek w kombinezonie. Wyprostował ramię. Trzymał niewielkie płaskie urządzenie. Snop czerwonego światła skierował na zaskoczonego Artura, wreszcie zogniskował na obręczy na lewej ręce. Nieznajomy popatrzył na odczyt urządzenia. I sięgnął po broń.

Artur widział to jak w zwolnionym tempie: napastnik wydobywa pistolet i celuje prosto w jego głowę. Szaleńczy ryk rozpędzonego motoru przerywa ciszę. Kule z hukiem grzechoczą po kontenerze, niecelnie, pęd utrudnia trafienie.

Zobaczywszy nowe zagrożenie, atakujący przesunął lufę, wystrzelił raz, drugi trzeci. Motocyklista zachwiał się, ale wciąż trzymał automatyczny pistolet. Zdołał wypuścić jeszcze jedną serię, po czym motocykl przechylił się, przejechał bokiem po asfalcie i gruchnął o ścianę.

Człowiek przy kontenerze leżał martwy albo ciężko ranny, ostatnia seria przygwoździła go do kubłów.

Artur puścił się biegiem, potem szybkim krokiem w głąb berlińskich uliczek. Mijali go ludzie, ale nie zwracali na

niego szczególnej uwagi. Zrozumiał, że wreszcie po tylu miesiącach był wolny.

I nie wiedział zupełnie, co ma z tą wolnością począć.

# II

Pierwsze, co musiał zrobić, to oddalić się jak najszybciej od hotelu. Nie miał złudzeń, zostawił za sobą jeszcze wielu prześladowców. Obawiał się też, że mogą wezwać posiłki. Przechodząc przez kolejne ulice, zastanawiał się „kto?”. Pierwszą myślą było, że dopadł go wreszcie polski ruch oporu. Ale jego oprawcy mówili po niemiecku. Zresztą, gdyby to byli Polacy, Weiner wysłałby ostrzeżenie do eskorty, nie do niego, wzmocniłby też natychmiast straże. Skoro tego nie zrobił, oznaczało to, że nie mógł.

Jego wrogami są wysoko postawieni Niemcy. Jeżeli jednak to Hitler chciał zabić Artura, wystarczyło wydać rozkaz Schlinkowi albo miłym panom w samochodzie…

O co w tym wszystkim chodzi? Jedyne, czego Artur był pewien, to tego, że póki nie dowie się więcej, nie da się złapać niemieckim patrolom. Błysnęła mu w głowie myśl, by spróbować opuścić miasto. Choć bez pieniędzy i przygotowania zakrawało to na szaleństwo, zwłaszcza że nie miał się dokąd udać. Bawił się przez chwilę tym pomysłem.

Póki co Sosnowski stwierdził, że musi się gdzieś przyczaić, choć na chwilę. Sprawdził, ile ma pieniędzy w kieszeniach i zmartwił się. Niełatwa sprawa, starczy ledwie na kilka dni.

Nagle usłyszał nad sobą łopot wirników. Spojrzał w niebo. Nad ulicą przelatywały powoli trzy jednoosobowe

helikoptery. Wąskie jak ważki, rzucały migotliwe cienie na wpatrujących się w górę ludzi.

- Flettner Fl 282 Kolibri - powiedział ktoś ze znawstwem. Źle się dzieje, jeżeli je wypuścili nad ulice Berlina.

Jakby na potwierdzenie tych słów zza rogu wyszedł szpaler gestapowców w ciężkich zbrojach. Nie nosili srebrnych masek, ale naturalistyczne, kościane wielkie czerepy. Szli całą szerokością ulicy, w dłoniach trzymając szerokie rury. Niewielkie dyski wysyłały czerwone wiązki skanujące, oplatające najbliższych ludzi.

Artur przyspieszył kroku. Esesmani szli dość wolno, Sosnowski liczył, że uda mu się umknąć. Po przejściu kilkudziesięciu metrów czekała go niespodzianka. Punkt kontrolny. Składał się z kilku zapór, szlabanu i budki strażniczej. Żołnierze przepuszczali ludzi pojedynczo, każdemu sprawdzając skanerem tożsamość. Powinien to przewidzieć. Nie tylko nigdy nie opuści miasta, bo na pewno rogatki są obstawione, ale również poruszanie się po dzielnicy będzie bardzo utrudnione.

Obejrzał się. Szpaler obławy znajdował się coraz bliżej. Artur poczuł się jak między młotem a kowadłem. Zaraz będzie zgubiony. Nagle jeden z mężczyzn zaczął się wykłócać z esesmanami. Arturowi mignął brązowy trójkąt na kombinezonie i w tym momencie ów mężczyzna zaczął uciekać. Powstało zamieszanie, ludzie się rozpierzchli. Żołnierz podniósł broń do ramienia, wycelował. Rozległo się głuche trzaśnięcie. Kłąb drutu kolczastego rozwinął się wokół uciekiniera i zaczął zacieśniać sploty. Ostre fragmenty zaczęły wbijać się w ciało, strój nie był dla nich przeszkodą. Unieruchomiony zbieg padł na ziemię.

Artur korzystając z zamieszania, wbiegł do pobliskiej kawiarni. Zajął stolik. Wkrótce ktoś się do niego przysiadł, więcej ludzi wpadło na pomysł, że tu może być bezpiecznie.

Sosnowski obawiał się, że zaraz pojawią się żołnierze. Ale nie, przeszli dalej, może jeden sukces im wystarczył.

*

Zamierzał zostać w kawiarni, jak długo się da. Nie miał i tak żadnego pomysłu, gdzie spędzić noc, po ulicach bał się natomiast chodzić. Pieniędzy spokojnie starczyłoby mu na jeszcze kilka herbat lub kaw. Martwiło go bardziej, że wyraźnie się ściemniało. Popatrzył na zegarek. Dochodziła dwudziesta druga. Wkrótce będą zamykać lokale. Nie będzie miał, co ze sobą zrobić. Noc spędzona nawet w tanim motelu poważnie nadwyręży jego zasoby finansowe, co gorsza, obawiał się, że właściciele mogą mieć obowiązek zgłaszania listy gości gestapo.

Przenikliwy ryk syren przerwał te rozmyślania. Siedzący wewnątrz ludzie padli natychmiast pod stoły. Rozległy się charakterystycznie zdeformowane przez maski histeryczne piski kobiet.

Po chwili ziemia zadrżała i Artur usłyszał pierwszy huk. Potem drugi i trzeci. Nagle szyba restauracji rozprysła się na kawałki i wszędzie pojawiły się plamy płonącej substancji. Paliło się szkło, mury firanki, obrusy, nawet ludzie, do których przywarły oleiste plamy, mimo ochronnych kombinezonów zaczęli się tlić. Temperatura w pomieszczeniu momentalnie osiągnęła niemal czterdzieści stopni. Wszystko było gęste od dymu. Na szczęście mogli się przełączyć na obieg wewnętrzny. Ale nie wszyscy, u kilku osób mechanizm najwidoczniej działał wadliwie, bo wili się, kaszląc i krztusząc się. Zapewne, jeśli przeżyją, trafią do szpitala z objawami zatrucia.

Tymczasem tłum w panice zaczął opuszczać płonącą kawiarnię. Sosnowski dołączył do uciekających. Wiedział, że języki ognia, jeżeli nie jest się na nie wystawionym

dłuższy czas, są względnie mało szkodliwe. Za to absolutnie musi unikać ciągnących się oleistych plam. Te przywierają do wszystkiego i paląc się, przeżerają nawet odporne materiały.

Na ulicy nie było lepiej. Wszystko płonęło, asfalt zmieniał się w bulgoczące kałuże, na głowy uciekających spadało roztopione szkło. Ludzie krzyczeli i biegali w różne strony, wielu leżało na ziemi, jeden tuż przed Arturem. Tarzał się gwałtownie, a oleisty ogień przedarł się przez strój na brzuchu i powoli, radośnie wyjadał mu wnętrzności.

Niebo przecinały snopy reflektorów, trwała regularna kanonada artylerii przeciwlotniczej. Ale poza jasnymi kreskami wystrzałów, ciemność rozświetlały płynące do góry krople. Na pewnej wysokości zamieniały się w kule jasnego światła, a każdy samolot, który znajdował się w ich zasięgu, tracił sterowność lub silnik zaczynał charczeć. Wkrótce na niebie wykwitały i gasły dziesiątki takich kul. Ale wciąż spadały bomby zapalające, wzniecając kolejne pożary.

- Do rzeki, do rzeki - zaczęli krzyczeć ludzie. - Hawela naszym ratunkiem.

Wkrótce gromada wybrała zdecydowany kierunek i porwała ze sobą Artura. Był pełen obaw, bo bezrozumny tłum pchał go prosto na posterunek kontrolny, ten sam, którego tak wystraszył się za dnia. Ale strażnicy, choć opancerzeni i uzbrojeni, tylko na początku próbowali postawić barierki. Widząc jednak taką masę zdesperowanych obywateli, nie ośmielili się ich zatrzymać, zresztą nie pomogłoby, gdyby nawet zaczęli strzelać. Uciekający przed pożarem ludzie wepchnęliby pierwsze szeregi wprost pod kule. Tłum przełamał barierki, natarł raz, drugi i obalił budkę strażniczą. Wreszcie przedarł się na drugą stronę, porywając za sobą strażników.

Artur już nie obawiał się płomieni, przed tymi chronił go kombinezon. Nie bał się trafienia bombą - i tak nic nie mógł na to poradzić, byłby to wyrok losu. Lękiem napełniali go ludzie, spośród których nie zdołałby się wyrwać. Ścisk był niesamowity. Artur nie zliczyłby, ile razy oberwał łokciem, stopy miał podeptane, nie mógł złapać oddechu. Był pewien, że gdyby się potknął i przewrócił, oznaczałoby to straszną śmierć, tłum stratowałby go natychmiast. Jedyną pociechą było to, iż na razie wszyscy się wzajemnie podtrzymywali. Tym niemniej od czasu do czasu pojawiały się w ludzkim nurcie zdradliwe luki, w których wpychany z okrutną siłą Artur, musiał walczyć o równowagę.

Wreszcie dotarli nad Hawelę. Otwarta przestrzeń sprawiła, że się poluźniło. Niektórzy, pewni, że tylko tam znajdą bezpieczeństwo, zanurzali się już w rzece. Artur starał się odłączyć od pozostałych, znaleźć odosobnienie.

Udało się. Ale przerażone sylwetki, biegnąc na oślep, wpadały na siebie albo potykały się w wilgotnym piasku. Nagle tuż przed sobą zobaczył, jak upada dziecko, sądząc po wzroście, bo kombinezon nie pozwał stwierdzić płci. Sosnowski natychmiast podbiegł, żeby pomóc.

- Niech go pan zostawi. Da sobie radę - powiedział ktoś, przystając obok.

- To jeszcze dziecko.

- Kurt jest silny. Nic mu nie będzie. Nie można robić z dzieci mazgajów.

- Wszystko w porządku - odparł chłopiec, rezygnując z wyciągniętej ręki Artura i samodzielnie wstając. - Wybacz, mamo, że się potknąłem. Nie zdarzy się to nigdy więcej.

- Jestem tego pewna. A pan może kiedyś zrozumie, co to znaczy wychowanie. Jak Kurt był mały i płakał lub krzyczał, to go zamykałam w osobnym pokoju, aż przestał. I co? Wyrósł na twardego chłopca. Będzie znakomitym obywatelem Wielkiej Rzeszy.

Nagły huk przerwał rozmowę. Samolot o dziwnym kształcie skrzydeł sfrunął z nieprawdopodobną prędkością nad rzekę, wzbijając dwie ściany wody. Fala podmuchu pomieszana z kroplami wody uderzyła w Artura. Samolot pomknął pod najbliższym mostem i zostawiając mleczną smugę, słabo widoczną w świetle lamp i płomieni, wzbił się w niebo.

- Wspaniały - wykrzyknął z zachwytem chłopiec. - Messerschmitt Me 262 Schwalbe, odrzutowy myśliwiec osiągający prędkość ponad osiemset kilometrów na godzinę. Z taką szybkością bez trudu przebija kordon alianckich samolotów eskortujących i z niewielkiej odległości odpala wiązki rakiet do bombowców, następnie odrywa się od zgrupowania wroga, nawet nie draśnięty.

- Chodźmy stąd. - Matka zdecydowanie szarpnęła chłopca za rękę. - Pooglądasz sobie samoloty w dzień.

Odeszli parę kroków. Nagle matka się odwróciła.

- Idzie pan z nami? Tu nie jest zbyt bezpiecznie. Za rzeką jest schron.

*

Schron powstał z połączenia i rozbudowania sieci piwnic. Zaprowadzono Artura do wielkiej sali, w której schowało się około czterdziestu osób, a śmiało zmieściłoby się drugie tyle. Pod ścianą stały łóżka i szafy z jedzeniem. Miarowo, uspokajająco buczał agregat z prądem, niezbędna rzecz, jeżeli miało działać oświetlenie i urządzenia dostarczające powietrze oraz wodę.

Większość ludzi siedziała w kucki, Artur poszedł w ich ślady. Nie zdejmowano masek, obawiano się, że przez szczeliny do schronu może dostać się gaz. Co jakiś czas podłogą wstrząsała wibracja. Generalnie wszyscy się

nudzili. Artur nie mógł tego zrozumieć, dopóki nie dowiedział się, że tym ludziom zdarzało się spędzać tak każdą noc. Podobno, jeżeli bomba bezpośrednio nie trafi w schron, jest zupełnie bezpiecznie, natomiast jeżeli trafi, no cóż, piwnice należały do starych i może być różnie. Wierzono, że zatrzyma ją budynek na górze.

Sosnowski próbował zorientować się ze strzępków zasłyszanych rozmów, co właściwie wydarzyło się na górze, prowokując wyjątkową aktywność SS w mieście. Niestety, otrzymał tylko garść plotek. Mówiono, że Hitlera zamordowano albo że wręcz przeciwnie, poleciał do Liverpoolu błagać o pokój, ale został aresztowany. Niektórzy twierdzili, że w mieście wylądowali Ruscy, inni, że naziści biją się między sobą. Jedyne, w czym wszyscy byli zadziwiająco zgodni, to przekonanie, że nadchodzi koniec świata.

Czuł, że z podsłuchiwania nie wynika nic, tylko coraz bardziej zszarpane nerwy. By się uspokoić, Artur musiał z kimś porozmawiać.

- Co robisz? - Pochylił się nad Kurtem skrobiącym coś w świetle latarki w zeszycie.

- Odrabiam pracę domową - odpowiedział chłopiec. Następnie wyrecytował jak wyuczoną formułę: - Bombardowania nie mogą przerwać edukacji młodego pokolenia Niemców. Wiedza jest naszą bronią. *Heil Hitler!*

- Co to za przedmiot?

- Nieważny. Matematyka...

- Nie wygląda, żeby ci szło za dobrze. Pomóc ci?

- W porządku. To zadanie tekstowe: „Jeden Żyd ukradł dwa kilo kiełbasy. Ile kiełbasy ukradnie dwóch Żydów?”.

Artur potrząsnął głową, próbując poradzić sobie z zaskoczeniem. Nie chciał jednak się zdekonspirować i nie okazał emocji.

- Wygląda na proste, w czym problem?

- Nie jestem pewien, czy trzeba założyć, że dwóch Żydów będzie współpracować przeciwko ogólnemu dobru i wyniosą więcej kiełbasy, czy są tak wredni, że będą sobie wzajemnie przeszkadzać. Obiecałeś pomóc, jak to rozwiązać?

- Ugh... Wygląda na to, że nie jestem za dobry... z Żyda.

- Rozumiem. Też miałeś w szkole pały z matematyki. Nie ma się czego wstydzić. Nauczycielka mówi, że są ważniejsze przedmioty. - Kurt uniósł twarz zakrytą maską.

- Nie macie innych zadań rachunkowych? Takich, wiesz... bez Żydów.

- Pewnie. Jaki kaliber musi mieć działo przeciwpancerne, żeby przebić z dystansu trzystu metrów blachę czołgu grubości...".

- Wystarczy. Miałeś rację. Matematyka nie jest moją mocną stroną. Masz więcej takich zadań?

- Dzisiaj tylko jedno, z obliczaniem drogi ciężarówek z zaopatrzeniem dla żołnierza wykrwawiającego się za Führera i Vaterland. Ale mam wypracowanie z języka niemieckiego...

- Literatura. Trochę pamiętam. Jaki temat?

- „Z cyklu wielcy ludzie - wielkie słowa: Uzasadnij na trzech stronach prawdziwość twierdzenia Hermanna Göringa, że kobiety to tylko klacze rozpłodowe”.

- Dobrze, że młodzi ludzie od dziecka mają kontakt z osobowościami godnymi naśladowania - wtrącił jakiś rodzic. Maska zniekształcała głos, a strój uniformizował figurę. Zmęczony Artur niekiedy nie miał pojęcia, czy rozmawia z matką, czy z ojcem.

- Z niemieckiego też nie jesteś z dobry, co? - domyślił się chłopak. - Nie przejmuj się, są ważniejsze przedmioty.

- Na przykład jakie?

- Sport i wychowanie ideologiczne.

- Wychowanie ideologiczne jest ważniejsze od fizyki czy matematyki?

- Oczywiście. Wychowanie światopoglądowe jest najważniejsze - potwierdził pewnym głosem Kurt. - Jak inaczej mam się dowiedzieć, co jest dobre, a co złe, i że Murzyn śmierdzi?

- Szkoła ma wychować drapieżnika, a nie małego intelektualistę - wyjaśnił z dumą rodzic.

Dalsza indagacja, między innymi programu nauczania biologii, wyjaśniła, że naziści nie wykładają w ogóle seksualności człowieka. Również organizacje młodzieżowe, BdM i Hitlerjugend, były w założeniu prawe i niewinne. Oczywiście góra, która ustanowiła te prawa, automatycznie ustawiła się ponad nimi i Himmler natychmiast zaproponował co ładniejszym BdM-kom małżeństwa biologiczne ze swoimi esesmanami. Ale to, że elity bawiły się swobodnie, nie znaczyło, że ogół społeczeństwa nie był konserwatywny. Na seks naziści patrzyli jak na proces prokreacyjny, tworzący kolejnych żołnierzy, i tej zasadzie podporządkowana została polityka państwa. Elementy niepewne sterylizowano przymusowo. Funkcjonowało poradnictwo małżeńskie dobierające partnerów pod względem rasy, płodności, ideologicznej poprawności. Antykoncepcji i aborcji surowo zakazano, było to bowiem niedopuszczalne z punktu widzenia liczebności niemieckiej armii za dwadzieścia lat. Swoboda seksualna kobiet została ukrócona, zwłaszcza dotyczyło to dziewcząt, których mężowie walczyli za Hitlera. Uznano najwyraźniej, że nie byłoby zbyt motywujące, żeby żołnierz w okopie pod obstrzałem nieprzyjaciela dostawał wiadomości, że ukochana kobieta pieprzy się właśnie jak królik. Uznano, że w takich sprawach jak miłość, cielesność czy seksualność, lepsze decyzje podejmie aparat państwowy niż człowiek.

Rozglądając się po sali, Artur zobaczył, że jedna osoba siedzi w oddaleniu od pozostałych i wszyscy uważają, by się do niej przypadkiem nie zbliżyć. Zerknął dyskretnie. Na brunatnym kombinezonie na piersi i nogawce spodni widniał różowy trójkąt. Zapytał o to Kurta.

- Nie wiesz? To wstrętny pedał - odpowiedziało dziecko z przekonaniem. - Oznaczamy ich w ten sposób, by nie zaskoczyli nas w nocy.

- W ten sposób mogę bezpiecznie spać na każdym boku - znowu odezwał się rodzic, a z kontekstu Artur wywnioskował, że tym razem był to ojciec.

- Warto zwracać uwagę na takie oznaczenia, szczególnie na żółty trójkąt, oznacza bowiem Żyda - wtrąciła matka. - Brązowy też nie jest dobry, to Cyganie.

- Czerwony, więzień polityczny, fioletowy - świadek Jehowy, niebieski to emigrant, coś opuściłem, synu?

- Zielony to bandyta, a czarny, jednostka aspołeczna - dodał posłusznie Kurt.

- Widzi pan, że szkoła się przydaje! Dobrze chłopaka uczą, ja tego zapamiętać nigdy nie mogę.

*

Okazało się, że nie wszyscy Niemcy są tak fanatyczni jak rodzina Kurta. Gdy wreszcie usnęli, Artur posłuchał rozmów pozostałych, zwłaszcza ludzi po prawej stronie. Siedzieli bardzo blisko, rozmawiali przyciszonymi głosami i raz po raz całą grupą wstrząsała fala śmiechu. Wyglądali groteskowo, tak razem dygocząc w maskach i goglach, ale im to nie przeszkadzało. Sosnowski podszedł bliżej. Nie bali się konfidentów, bo maski zapewniały anonimowość, a czerwone promienie do odczytywania danych na bransoletach aż nazbyt łatwo można było dostrzec.

Nabijano się więc z prób literackich Goebbelsa, tuszy Göringa, a zwłaszcza ze wzrostu Hitlera. Tu znano dowcipów chyba najwięcej, a ci, którzy widzieli jakimś cudem film *Dyktator* Charliego Chaplina, uważani byli za półbogów. Zwłaszcza w kontraście z surową moralnością mas, podboje seksualne przywódców nie mogły pozostawać bez echa, mówiono więc: „Zapisz się do NSDAP, wezmą cię na członka". Artur poznał też rozliczne objaśnienia skrótu dziewczęcego BdM-u, wyjaśniano go jako *„Bund deutscher Matratzen*" - związek niemieckich materaców, *„Bedarfsartikel deutscher Männer*" tłumaczyło się jako artykuł pierwszej potrzeby niemieckich mężczyzn, a *„Bubi, drück mich"* jako „Chłopczyku, przytul mnie". Artur przypomniał sobie, że Liliane uczestniczyła aktywnie w życiu tej organizacji i poczuł lodowate ukłucia w sercu. Te igiełki nie dawały mu spokoju i żarty przestały go bawić.

Słuchając coraz bardziej prostackiego narzekania robotników, poczuł się otępiały, wreszcie monotonny jazgot zdołał go uśpić.

*

Nadszedł wreszcie ranek. Artur obudził się i zauważył, że choć większość ludzi już wyszła, rodzina Kurta nie tylko pozostała, ale na rozłożonym stole przyrządzała sobie śniadanie. Woda na herbatę wesoło bulgotała, podgrzewana na gazowej butli.

- Może się pan przyłączy - padła propozycja. Cierpiący na braki finansowe Artur z chęcią skorzystał z gościnności Niemców. Śniadanie nie było bogate, mógł wybrać między chlebem ze smalcem a przegryzaniem pęta kiełbasy. Mimo to jednak był zadowolony, że udało mu się pozbyć ssania w żołądku.

- Nie wracają państwo do swojego mieszkania? - zapytał, gdy zaspokoił pierwszy głód.

- Chwilowo mamy przydział tutaj. Nasze mieszkanie zostało zburzone i na jego miejscu buduje się wieżowiec Nowego Miasta, Germanii, stolicy świata, wedle nakreślonych z rozmachem planów Alberta Speera. Nim będzie gotowe, musimy spędzać czas w schronie. Nie narzekamy, tu jest przynajmniej bezpiecznie. Nie widział pan jeszcze Germanii?

- Rzadko ostatnio wychodzę z domu - speszył się Artur.

- Jak wielu Niemców. - Pokiwał głową ojciec. - Wszędzie spadają te cholerne bomby. Ale może pan pójść teraz podziemnymi korytarzami. Będzie nawet szybciej, pod ziemią rzadko są punkty kontrolne. Oficjalnie dlatego, że nie-Aryjczyk nie jest stworzony do życia w podziemiach i ucieknie stamtąd z rykiem, ale ja sądzę inaczej. Otóż władzy zależy, by ludzie przenosili się do korytarzy pod miastem i przyzwyczajali do takich warunków, a brak punktów kontrolnych może do tego zachęcać.

- Dlaczego mamy się przyzwyczajać do życia pod ziemią? zaniepokoił się Artur.

- Nie słyszał pan? Przenosimy tam większość produkcji zbrojeniowej. Wszystkie nowe fabryki są już budowane pod powierzchnią. Sam tam chcę znaleźć pracę, dlatego z radością powitałem przydział do schronu. Człowiek się tu przyzwyczai. O, jest Kurt z gazetą. - Zaraz po śniadaniu ojciec wysłał chłopca na górę.

Teraz rozwarł przed sobą papierową płachtę. Artur zobaczył na pierwszej stronie wielkie zdjęcie. Mężczyzna w mundurze SS trzyma pod ręką maskę, kształtem przypominającą do złudzenia czaszkę. Twarz ma ubrudzoną smarem i kurzem, jest wyraźnie zmęczony, ale oczy mu błyszczą. Wygląda, jakby wyłaził z jakiejś dziury, w tle

widać Big Bena z powiewającą faszystowską flagą. Obok podpis: „Powrót Otto Skorzenego. »Zabiłem Churchilla!«”.

Artur szybko zerknął na datę. Jedenastego maja. Zastanowił się, jakie konsekwencje będzie miało dla świata to wydarzenie. Szybko przemknął po pozostałych nagłówkach, zatrzymał się nad jednym: „Goebbels stanowczo dementuje, by broń chemiczna, która spada na nasz kraj, mogła być przyczyną mutacji. Są to tylko plotki rozsiewane przez Brytyjczyków w celu osłabienia ducha Wielkiego Narodu Niemieckiego. Nasza czystość rasowa pozostaje nieskażona!”.

*

Piwnica, w której Artur spotkał rodzinę Kurta, połączona była z szeroką podziemną aleją. Z rzadka pojawiali się na niej żołnierze, dlatego ruch był większy niż wewnątrz. Po prawej stronie umieszczono stragany z warzywami, mięsem i różnymi utensyliami. Widać, że życie tutaj kwitło. Cały czas poszerzano podziemny labirynt, raz minął Artura wielki pojazd ze świdrem, za nim szli w rzędach robotnicy z kilofami na ramieniu. Zapewne planowano w przyszłości połączyć kompleks pod Berlinem z innymi tego typu formacjami, tworząc podziemne państwo.

Wreszcie, kierując się wskazówkami ojca Kurta, Artur znalazł korytarz wiodący w górę, po drabince wdrapał się jeszcze kilka metrów i udało mu się podnieść stalową pokrywę. Znalazł się na powierzchni, a przed nim rozpostarł się widok na Nowy Berlin, nazywany przez niektórych Germanią

Widok był niezwykły. Ogromne, czarne pofałdowane stalowe kopce, których szczyty sięgały chmur, otoczone były podniebną siecią szos, po których śmigały samochody. Największa autostrada na osi północ-południe miasta

wbiegała wprost do wnętrza kopca, znikając w długim tunelu. Liczne chropowatości elewacji budowli miały zatrzymywać spływające substancje, ściany powinny wytrzymać uderzenia bomb, szczelność chroniła przed atakami gazów bojowych. Metal, z którego utworzono konstrukcję, był absolutnie niepalny. Nadto w strukturze budowli ukryto setki dział przeciwlotniczych, które wysuwały się automatycznie z luków, gdy ogłaszano alarm bombowy.

Niegdyś Hitler planował wybudować Halę Ludową dziesiątki razy większą od najwyższych budynków Rzeszy, jednak wojna położyła kres tym zamierzeniom. Wznosząca się ponad chmury kopuła byłaby oczywistym celem dla lotników. Obecnie, nowe materiały i geniusz nadwornego architekta Speera pozwalały realizować zamierzenia kreślone z podobnym rozmachem.

Artur patrzył na wielkie budowle, oplecione siecią rur i przewodów, połączone szosami i tarasami, i nie mógł wyjść z podziwu. Germania, stolica świata, była przeogromna. Przyglądał się dwóm przezroczystym wieżom po obu stronach autostrady. Wyglądały jak gigantyczne naboje do pistoletu, ze szkła oplecionego siatką z czarnej blachy. Wewnątrz kotłował się jasnozielony gęsty dym. Na prawym lśniła tarcza zegara, co mierzył cyferblat na drugiej, nie sposób było zgadnąć. Artur zauważył, że w strukturze kopców pojawiają się czasem szklane batyskafy, wypełnione szmaragdowym dymem. Zastanawiał się, czemu służyły i jak zachowają się trafione bombą.

Podszedł bliżej. Olbrzymi miotacz promieni na gąsienicach formował przy pomocy twardej wiązki fragment ściany. Nieco dalej budowlańcy korzystając z uprzęży z trzema silniczkami po bokach, wznosili się w powietrzu i cyzelowali mury. Niektóre rury były w istocie wielkimi lufami dział, skierowanymi w niebo. Artur dostrzegł też nowoczesne detale zdobnicze, niektóre ściany

stylizowane były na fragmenty czołgów, gdzieniegdzie dało się zauważyć wtopione w mur gąsienice. Wystawały karabiny albo hełmy. Militarystyczna ornamentyka najwyraźniej uchodziła za niezwykle estetyczną.

Żadne przedsięwzięcie w Rzeszy, nawet budowa, nie mogło się obejść bez strażników. Szli w dwóch rzędach, ogromni, szerocy w barach ponad wyobrażenie, obleczone stalą kłęby mięśni. Widać było liczne nity metalowej blachy, ochraniającej ramiona, wysklepionej potężnie z przodu. Po to, by unieść tyle metalu, trzeba siły Herkulesa, ale Artur przypomniał sobie, co Liliane opowiadała mu o wszczepach mięśni i zrozumiał, że ci tutaj nie mają z tym problemów. Ludzie-czołgi, odporni na kule, mogą zostać zniszczeni tylko strzałem z broni przeciwpancernej. W dłoniach trzymali wielkie rury. Artur znał już ich działanie, były to miotacze drutów kolczastych. Na plecach przymocowane mieli bardziej niebezpieczne bronie. Wyglądały, na ile Sosnowski mógł zgadnąć, korzystając ze swego miernego wykształcenia wojskowego, jak ręczne wyrzutnie rakiet ziemia-powietrze.

Kondukt pancernych mięśniaków zbliżył się i Artur zobaczył ukrytą za pancerną szybą rozlazłą twarz żołnierza. Policzki stały się tłuste i obwisłe, rysy twarzy zlewały się ze sobą, najbardziej wyraźne okazały się wargi, które wydęły się i wyglądały na opuchnięte.

Przerażony tym widokiem odwrócił się i ruszył z powrotem ku wejściu do kanałów. Stojąc tyłem do Germanii, widział ruiny starego Berlina. Fragmenty zburzonych przez bomby budowli, na których ocaleni wypisywali kredą swe nazwiska, by rodziny wiedziały, że przeżyli. Ten widok wstrząsnął nim głęboko i długo nie chciał zniknąć spod powiek, mimo że Artur już dawno pogrążył się w mroku.

# III

Sosnowski, korzystając z uprzejmości gospodarzy, zdecydował się pozostać dłużej w schronie państwa Meyers. Polubił Kurta, a fanatyzm jego rodziców stanowił pewne zabezpieczenie przed inwigilacją agentów gestapo, inaczej niż gdyby został przy rodzinie podejrzewanej o chorobę ideologiczną, jak nazywano demokratów i komunistów. Wyjaśnił Meyersom, że jego dom zburzyły alianckie bombowce. Przyjęli to ze zrozumieniem. Szokiem tłumaczyli sobie również jego ekscentryzm i niechęć do wyjścia na powierzchnię (bomby!). Uważali, zdaje się, że opieka nad pozbawionym dachu nad głową Niemcem jest ich obowiązkiem wobec Rzeszy. Zważywszy, że schron był własnością publiczną i raz po raz ktoś tam zachodził, a Artur śniadania i kolacje kupował sobie sam, tylko dorzucając się do obiadów, Meyersowie tak naprawdę wiele dla niego nie robili.

Rozmówcami byli na dłuższą metę kiepskimi. Horyzonty intelektualne mieli raczej ograniczone, wszystkie dyskusje sprowadzały się do tego, jak się źle im żyje i równocześnie jaki wspaniały jest Führer. Czasem jednak potrafili dobrze wyjaśnić pewne zjawiska dnia codziennego.

Artur widział, że często na ścianach schronów wiszą portrety Hitlera. Zafascynowało go, jak głęboko sięgał fanatyzm Niemców. Zapytał nawet o to, ale odpowiedź, którą otrzymał, całkowicie go zaskoczyła.

- Warto powiesić wodza nawet na każdej ścianie, bo w taki mur na pewno nie uderzy bomba, a budynek cieszy się szczególną opieką Führera.

Sosnowski nic na to nie odrzekł, choć świerzbił go język, by indagować dalej, dlaczego w takim razie Rzesza wydaje fortunę na zawodną obronę przeciwlotniczą, skoro portrety

w ramkach są tanie i pewne. Zamilczał, bo od małości wychowano go, że należy szanować cudze uczucia religijne.

Odrzekł więc tylko:

- Gdyby każdy Niemiec powiesił w swoim domu nazistowskiego przywódcę, na pewno żyłoby się w Niemczech bezpieczniej.

Meyersowie pomogli mu znaleźć dorywczą pracę. Na stałe nie mógł się nigdzie zatrudnić, bo wymagałoby to potwierdzenia tożsamości, zostałby zgłoszony do odpowiedniego urzędu i gestapo wiedziałoby wszystko o miejscu jego pobytu. Ale dorywczo, choćby przeniesienie kilku skrzynek dla kupca, to nie problem. Tylko zarobki marne, na dodatek praca nie zdarzała się często, bo było wielu chętnych. Często handlarze płacili Arturowi żywnością, co nie stanowiło przeszkody, wręcz przeciwnie, dostawał w ten sposób więcej, niż mógłby kupić z marżą na stoisku za otrzymane pieniądze.

Tylko pod ziemią trafiali się kupcy ze wsi, których nie stać było na kombinezony wymagane do handlu na powierzchni Berlina. Z przyjemnością oglądał ludzi ubranych normalnie, o ogorzałych od słońca twarzach i spracowanych ramionach. Tu, pod ziemią, skóra szybko bladła i robiła się ziemista. A brunatny strój, poza kobietami z wyjątkowo dużym biustem, deseksualizował wszystkich.

Tak mijał dzień za dniem, a Artur z przerażeniem patrzył, jak topnieją jego skromne zasoby finansowe.

*

Późnym wieczorem któregoś dnia Artur zobaczył, że w przeciwległym kącie piwnicy pojawiła się nowa grupka

Niemców. Położyli jedną z kobiet na łóżku, zdjąwszy jej uprzednio kombinezon. Darła się wniebogłosy.

- Co się dzieje? Robią jej chyba krzywdę...

- Ona rodzi - wyjaśniła pani Meyers.

- Czy nie powinno się jej zabrać do szpitala?

- Oszalał pan? W szpitalach są zarazki. To zbyt niebezpieczne dla dziecka i matki.

Artur zdziwił się, ale potem wyjaśniono mu, że z powodu bombardowań szpitale przechodzą istne oblężenie. Ranni nie mieszczą się w salach, trzeba trzymać ich na korytarzach, a na dziedzińcu postawiono dodatkowe baraki, gdzie setki ludzi leżą obok siebie. Zawracanie lekarzom głowy w takiej sytuacji, gdy przecież poród jest naturalnym procesem, byłoby niepatriotyczne. Poza tym niebezpieczne. Lekarze są przemęczeni, ze źle gojących się ran wydobywają się najgorsze zarazki, które w panującym powszechnie bałaganie atakują błyskawicznie. I przecież szpital może być w każdej chwili zbombardowany.

- Ja następne dziecko urodzę tylko pod ziemią w jakimś głębokim schronie - zakończyła pani Meyers wyjaśnienia.

Kobieta krzyczała całą noc i Artur nie mógł usnąć. Widocznie poród nie przebiegał tak naturalnie i lekko, jak wyobrażali sobie gospodarze.

Wreszcie nad rankiem rozległ się wrzask noworodka. Ale nie towarzyszyły mu, jak zazwyczaj, odgłosy zadowolenia wydawane przez ludzi. Pojawiły się szepty, mroczne, pełne napięcia słowa wyrzucane szybko z ust.

- Trzeba t o zabić.

- Nie pokazujmy jej. Powiemy, że urodziło się martwe.

- Głupstwa gadacie. T o żyje. Coraz więcej się rodzi takich dzieci. Może taka jest wola boża?

- Dobrze prawi. Nie my daliśmy mu życie. Nie my powinniśmy zabrać. Jeżeli Bóg zdecyduje, że powinno

umrzeć, nie przeżyje ranka.

- Oszaleliście! Zobaczcie, jak toto wygląda! Przecież to pomiot Szatana. Może ona się zadawała z Żydem!

- Moja córka nie zadawała się z Żydem! Jej mężem jest porządny niemiecki chłopak walczący w Londynie za Führera. Wstydziłbyś się tak mówić, Hans. Miałem cię za przyjaciela rodziny.

- Jestem nim...

- W takim razie, jeżeli to nie złość mąci ci umysł, przyznaj się do nieuctwa. Każdy wie, że to nie żydowskie nasienie, jak twierdzi prasa, ale to, co wypuszczają w powietrze fabryki Zagłębia Ruhry i zrzucają te cholerne bombowce Churchilla, powoduje takie rzeczy. A o losie dziecka zadecyduje moja córka. Jak się obudzi i odrzuci je, i tak bez pokarmu oraz miłości mały umrze. Natomiast jeżeli potrafi go pokochać, znaczy, że dar takiej miłości mógł dać tylko sam Bóg. A wówczas nam ludziom wara od boskich wyroków.

- Nie wiem, czy nie powinniśmy tego gdzieś zgłosić.

- Różne rzeczy powinniśmy zgłosić, Hans. Przemyt kiełbas przez punkty kontrolne również.

- Źle mnie zrozumiałeś. Nie chcę się wtrącać w twoje sprawy. Jesteśmy przecież przyjaciółmi.

*

Artur nie mógł wytrzymać pod ziemią, ale wyjście na powierzchnię oznaczało wyrok śmierci. Znalazł kompromis: wymykał się nocą w ustronne miejsce, wystarczająco blisko klapy do kanałów, by mógł się tam schronić w razie potrzeby. Wówczas, choć to zakazane, zdejmował maskę i oddychał świeżym powietrzem. Nocny wiatr owiewał mu twarz. Artur wpatrywał się w niebo, szukając gwiazd i

cieszył się ciepłem letniego powietrza. Oczywiście, było to niebezpieczne. Nie tylko mógł natknąć się na patrol, ale noc była też porą szczególnie intensywnych bombardowań. Wierzył jednak, że wybrawszy dobry punkt widokowy, zdoła zobaczyć strażników pierwszy, a przed alianckimi bombowcami ostrzegą go syreny.

Nie przewidział tylko, że pierwsze bomby uderzą na elektrownie i linie wysokiego napięcia. Pozbawione prądu syreny odezwały się zbyt późno. Nad Berlinem zawisł dywan samolotów.

Odsłoniły się luki i wysunęły działa z nowoczesnych wieżowców nowego Berlina. Każdy kopiec zaczął wyglądać nagle jak piramida, z której ścian wyrywają się dziesiątki kresek światła i mkną w niebo. Widok był zarazem przerażający i piękny. Bomby uderzały o ściany kopców, kłębiły się kule ognia, ale najwyraźniej nie czyniły większej szkody. Między chmurami zaczęły wykwitać świetlne bąble, które strącały samoloty. Alianckie samoloty, ciągnąc za sobą płomienne warkocze, spadały na ziemię, niektóre całkiem blisko Artura, kończąc życie w widowiskowej eksplozji.

Polak zorientował się, że oglądanie porażającej panoramy może przypłacić życiem. Założył szybko maskę i odwrócił się, by pobiec w kierunku klapy. Ale jeszcze jeden widok go zatrzymał. Miał przed sobą starą część Berlina. Szalał tam wielki pożar, budynki gięły się pod bombami burzącymi, jakby były z papieru. Ci, którzy nie zdążyli się schronić w piwnicach, ginęli.

Artur zamknął za sobą właz do kanałów, zostawiając szalejące na powierzchni piekło własnemu losowi.

*

To podczas przenoszenia paczek dla jednego kupca natknął się na ulotkę „Białej Róży”. Wzywała do oporu przeciw Hitlerowi, a pewne fakty: oburzenie na wszechwładnych partyjniaków, rzucających sprośne komentarze w kierunku studentek, czy walka o neutralność światopoglądową nauki na uniwersytetach opanowanych przez NSDAP, wskazywały, że środowiska intelektualne w Niemczech nie zasnęły i prowadzą działalność wywrotową. Początkowo Artur chciał zachować ulotkę, ale po namyśle uznał to za zbyt niebezpieczne. Ostatecznie zostawił ją tam, gdzie była, niech służy idei „Białej Róży” dalej, stawiając ważne pytania przed kolejnymi czytelnikami.

Meyersowie czasem kupowali prasę. Niekiedy pojawiały się artykuły z Cesarstwa Polskiego. Tym razem pisano bardzo ciepło o słusznych żądaniach Polaków dotyczących odszkodowań za rok 1939 od ZSRR. Regenta Szeleszczyckiego porównywano do męża stanu na równi z Pétainem. Między wierszami Artur wyczytał bliską wojnę. Kończyły mu się pieniądze. O pracę było coraz trudniej. Należało podjąć pewne decyzje.

Mógł próbować ucieczki z Berlina, korzystając z kontaktów, jakie nawiązał z kupcami. Czy rzeczywiście by się dla niego narażali, zwłaszcza że nie mógł im zapłacić? Artur uznał to za wątpliwe. Domyślał się, co prawda, że istniała jakaś droga poza Berlin nieobstawiona przez wojsko, ale poszukiwanie odpowiednich, znających się na takich sprawach ludzi, zwracało uwagę i było niebezpieczne.

Poza tym ucieczka ze stolicy nie rozwiązywała żadnego problemu. Przekonanie, że na wsi będzie łatwiej zarobić na chleb, mogło okazać się złudne. Nadal ktoś życzliwy może uznać, że skorzysta, wydając SS tajemniczego przybysza. Nadto na drogach pojawiały się patrole, trzeba by przemieszczać się nocą, lasami.

Eskapada niebezpieczna, a i pojawiało się pytanie, które padło podczas dyskusji z Hoffmannem: „Dokąd?”.

Artur nie miał dokąd pójść.

Jednak na przetrwanie w Berlinie nie było go stać. Potrzebował pomocy.

Naprawdę nie chciał w to wciągać Liliane. Hoffmann był śledzony z racji działalności naukowej i przesłanie mu wiadomości graniczyłoby z cudem. Ale może nazistom odechciało się wysyłać przez tyle tygodni szpiegów za blond pięknością?

Sosnowski musiał zaryzykować i spotkać się z nią.

Poprosił Kurta, by zaniósł odpowiednio sformułowaną wiadomość. Nawet jeśli gestapo ją przechwyci, nie znajdzie tam nic obciążającego.

Wątpił jednak, by zatrzymali chłopca roznoszącego gazety, a właśnie gazetę kazał Artur dla niepoznaki zanieść Liliane.

Kurt był uradowany misją. Czuł się ważny.

Artur miał wyrzuty sumienia. Meyersowie byli dla niego dobrzy. A on narażał ich dzieciaka na niebezpieczeństwo.

Ale przecież nie miał innego wyjścia, prawda?

# IV

Umówił się z Liliane w kafejce w Nowym Berlinie, niedaleko wejścia do podziemi. Przyszedł pierwszy. Czekając na kelnerkę, przyglądał się nowej architekturze Rzeszy. Wszystko w lokalu miało kolor grafitowy, nie było tradycyjnego podziału na sufit i ściany, unikano też ostrych kantów, przez co pomieszczenie przypominało jaskinię,

której żebrowany strop sięgał najwyżej nad stoliki, a obniżał się w głębi lokalu i nad barem. Artur czuł się tu jak wewnątrz gigantycznego jelita.

Krzesła miały odgięte oparcia w kształcie lancetowatego liścia. Przyjrzał się im bliżej. Przez środek przebiegał jakby kręgosłup, od którego odchodziły poziomo mniejsze kostki, pomiędzy którymi rozpięto błonę. Stoliki były niewielkie, miały okrągłe blaty. Zdawały się pokryte gąbczastą substancją. Gdy położył na niej dłoń, palce zapadły się kilka milimetrów, a Artur poczuł przez materiał kombinezonu przyjemną miękkość i ciepło.

Personel wystawiał się tutaj na pewne niebezpieczeństwo w razie ataku chemicznego, jednak luksusowe restauracje pozwalały sobie na takie ryzyko.

Oczywiście, prosząc Kurta o przysługę, Artur musiał wymyślić kolejną bajeczkę. Powiedział Meyersom, że pragnie odnowić stosunki z pewną dziewczyną, do której zawsze wzdychał. Przyjęli sprawę ze zrozumieniem i pomogli w wyborze knajpy. Nawet pożyczyli parę groszy, gdyż fundusze Sosnowskiego stopniały do tego stopnia, że nie był pewien, czy stać go będzie na zapłacenie rachunku. Głupio by było wpaść w ten sposób, gdyby zirytowana słusznie obsługa wezwała policję. A jeżeli Liliane by nie dotarła, musiał mieć przy sobie trochę pieniędzy.

- Weź - powiedziała pani Meyers, wręczając mu banknot. Zaimponuj dziewczynie i rozmnóżcie się dla Führera.

Artur zapatrzył się w pokaźny biust kelnerki, aż poruszyła się niecierpliwie.

- Kawę poproszę - powiedział.

Roztańczonym krokiem wróciła po chwili i postawiła na stoliku parującą filiżankę, której spód zaraz zapadł się w gąbczastą powierzchnię. Teraz dopiero Artur zrozumiał, skąd pomysł na taką fakturę blatu: mniejsza szansa, że potrącone przypadkiem naczynie się przewróci.

- Coś jeszcze? - zapytała kelnerka.

- Na razie dziękuję. Czekam na kogoś - odparł machinalnie, zastanawiając się, jak wygląda twarz dziewczyny pod maską. Do kawy dołączona była długa giętka rurka. Wsunął ją w odpowiednie miejsce w masce i mógł w ten sposób popijać płyn, całkowicie zabezpieczony na wypadek wybuchu bomby. Rozmyślał machinalnie, że przecież alarm chemiczny najczęściej ogłaszano wcześniej, a nałożenie maski trwa zaledwie kilka sekund. Równie dobrze można było ustanowić przepis zezwalający na odkrytą twarz w restauracji. Ale nikt przecież nie dbał naprawdę o komfort obywateli, chodziło raczej o to, by pod pozorem ochrony i troski o zdrowie uczynić z nich posłuszną anonimową masę. Odkryta twarz to przejaw indywidualizmu.

Artur pił powoli, z każdym łykiem odmierzając upływający czas. Serce biło mu niespokojnie. Bał się, że Liliane nie przyjdzie, bo zatrzymało ją gestapo. Bał się, że dziewczyna nie przyjdzie, bo jest już jej obojętny. Nie wiedział, czego obawiał się bardziej.

Wreszcie ją dostrzegł. Stała z różą o płatkach koloru ołowiu w ręce, niepewnie się rozglądając. Znak rozpoznawczy, przez te kombinezony mogliby stanąć koło siebie w windzie i mimo to się nie rozpoznać. Artur pomachał ręką. Liliane podeszła nerwowym krokiem i usiadła naprzeciwko.

- Artur? - zapytała ściszonym, napiętym głosem.

- To ja - skinął głową.

- Och, dzięki Bogu. Tak się martwiłam...

Przerwała jej kelnerka, przyjmując zamówienie. Polak dostrzegł, że strój Liliane nie maskuje krągłości jej piersi. To dobrze, pomyślał, przynajmniej wiem, że przede mną siedzi kobieta. Przecież w tym kombinezonie mógłby być każdy, nawet agent gestapo. Ale nie, przecież w jej ruchach

było coś takiego, co znał i kochał. Ta delikatność i jednocześnie stanowczość... Czy znowu powiększyła sobie piersi? Gdy wreszcie kelnerka poszła, Sosnowski zapytał:

- Niezwykła róża. Spodziewałem się, że wybierzesz taką w bardziej naturalnych kolorach.

- Są już niemodne. Ta bardziej pasuje do wnętrz Germanii.

Rozejrzał się wokół.

- Jak ty dajesz radę nadążać za zmianami?

- Nowe projekty Speera odzwierciedlają biologiczną naturę człowieka. Otacza go w ten sposób sama natura, ta najbardziej osobista, bo zbudowana z jego ciała.

- Dlatego wszystkie pomieszczenia wyglądają jak jelita?

- Popatrz na to inaczej. Wszyscy kiedyś byliśmy w łonie matki. Nie czujesz się tak trochę teraz? A inne zmiany... Wiesz, przecież to postęp nauki... Przyjmując je, stajemy się doskonalszymi ludźmi. To chyba dobrze, prawda? Choć nie na wszystko czuję się gotowa. Nasi żołnierze trenują w specjalnych warunkach, zmieniają sobie tak strukturę genetyczną, że ich krew się zagęszcza i aż kipi od przenoszących tlen erytrocytów. Stają się w ten sposób niezwykle wytrzymali i zdolni do olbrzymich wysiłków. Podobno odkryła to nasza ekspedycja w Tybecie, gdzie w wysokich górach jest rozrzedzone powietrze i organizm to kompensuje w naturalny sposób, a potem, gdy schodzisz w niziny, masz siłę półboga. A z kolei głęboko zaangażowani wyznawcy Adolfa Hitlera modyfikują sobie źrenice, żeby miały kształt swastyki. W ten sposób się wzajemnie rozpoznają oraz informują o poświęceniu i miłości dla Rzeszy. Dla mnie to już przesada.

Sosnowski drgnął. Przypomniało mu się wydarzenie w lochach Hagendera. I oczy tamtego oprawcy, w których drgały czarne swastyki. Czy to był sen przewidujący przyszłość? A może wydarzyło się to naprawdę, a Hagender

był jednym z pierwszych, u których wykonano nowe operacje oczu?

- Twój biust wydaje się większy - rzekł, by zmienić temat.

- Podziwiasz czy robisz wymówki? - parsknęła rozbawiona.

- Nie bądź śmieszny. Stosuję specjalne wkładki, by ładnie prezentować się w kombinezonie.

- Czy to legalne? Sądziłem, że te stroje mają za zadanie zniwelować różnice między płciami?

- Och, i kto mi sprawdzi, że to wkładki? Zrobią mi rewizję osobistą, bo jakiś żołnierz uzna, że mogę mieć nienaturalny biust? Daj spokój, jestem niemiecką kobietą, nie pozwolę na to! - Podniosła rękę i zamachała obręczą identyfikacyjną na nadgarstku. - Już by im papko dał. Nawet gdyby znaleźli wkładki, jaka jest kara dla członkini BdM-u idącej na przykład na wiec partii? Rozbawiłeś mnie.

Sosnowskiego uderzyła refleksja, że na każdy sposób zniewolenia człowieka przez władzę ludzie znajdą sposób, jak choćby owe wkładki pod kombinezonem.

- Co się wydarzyło ostatnio w Berlinie? Mam na myśli politykę?

- Ach, wiesz, że nie mam głowy do takich spraw. Staram się po prostu układać sobie życie, bawić się.

Kelnerka podała kawę dla dziewczyny. Artur czuł, że już czas, by zacząć rozmowę na poważne tematy.

- Mam kłopoty, Liliane. Poważne. Pewni ludzie chcieli mnie zabić. Mam powody przypuszczać, że wysokie kręgi władzy są im przychylne. Musiałem się ukrywać.

- To dlatego się nie odzywałeś tyle czasu. - Poderwała nagle różę ze stolika i rzuciła ze złością w Artura. - A ja myślałam, że znalazłeś inną.

- Liliane, sytuacja wygląda poważnie. Gdyby nie to, że potrzebuję pomocy... Do końca nie chciałem cię w to

wplątać...

- Ale wplątałeś. - Nagle w jej tonie głosu i sylwetce pojawił się chłód. Tak, jakby dopiero teraz dotarły do niej ewentualne konsekwencje tego, co powiedział.

- Jeszcze nie. Nikt nie wie, że tutaj się spotkaliśmy. Możesz teraz po prostu wyjść i już nigdy się nie zobaczymy.

Przez chwilę milczała, jakby rozważając taką możliwość.

- Dlaczego chcą cię zabić?

- Nie wiem, przypuszczam, że dlatego, iż jestem ważny. Chcesz wiedzieć, dlaczego jestem dla nich ważny?

- Nie. - Pokręciła głową. - Przynajmniej nie teraz. Może jak już będę bardziej tkwić w tym po uszy, to wtedy warto wiedzieć, za co mam umierać.

- Liliane, pomożesz mi?

- Myślę, że skoro nadal tu siedzę, to chyba tak. Tak właśnie myślę. Gdzie się - zakręciła dłonią - „zakonspirowałeś”?

- W podziemiach pod miastem.

– *Oh, mein Schatz,* to okropne! - powiedziała z charakterystyczną arystokratyczną nutą w głosie. - Trzeba cię koniecznie stamtąd wydostać. Wśród tych wszystkich śmierdzących ludzi... Fuj!

Artur żałował, że nie mógł jej widzieć. Wyobraził sobie jej piękną, słodką twarz zmienioną przez wyraz starannie wystudiowanej degustacji i uśmiechnął się.

- Nie jest tak źle - odparł.

- Natychmiast chodź do mojego mieszkania! Umyjesz się w przyzwoitych warunkach...

- Liliane - upomniał ją łagodnie. - Nie mogę. Patrole. Punkty kontrolne. Jak mnie znajdą, jestem trupem.

- Ach, rzeczywiście, nie pomyślałam... - Przyłożyła koniuszki palców do ustnika maski. Artur tymczasem

zastanawiał się, czy wybrał właściwą osobę do zorganizowania pomocy. - Zrobimy inaczej. Trzeba to dobrze przygotować. Mam kilka pomysłów. Dasz radę jeszcze trzy dni wytrzymać na dole pośród tych okropnych robotników?

- Muszę. Jest tam bezpiecznie i spokojnie. Tylko...

Wyczuła, że jest bardzo zakłopotany.

- Tak, kochanie?

- Brakuje mi pieniędzy - wykształcił wreszcie.

- Och, kochanie, to żaden problem. - Wyjęła z kieszeni zgrabną portmonetkę i podała Arturowi nowiutkie banknoty.

- To za dużo.

- Nawet nie chcę słyszeć protestów, to nędzne grosze. Jestem głupia, mogłam wziąć ze sobą więcej. Kochanie, gdyby coś nie wyszło, może się okazać, że zostaniesz tam dłużej. Wiesz, jest mała szansa, ale mogą mnie jednak złapać. Wtedy każda marka ci się przyda.

Miał ochotę zerwać maskę i całować dziewczynę tak, by zakręciło jej się w głowie. Pragnął porwać ją już teraz, na tyły kawiarni, zedrzeć z niej ten kombinezon i posiąść Liliane jak zwierzę. Ale wiedział, że to zbyt niebezpieczne. Zbyt głupie. Zbyt impulsywne. Ale czyż w obliczu śmierci nie byłaby to afirmacja życia?

- Nie mogę cię stracić - powiedział tylko.

- I nie stracisz, głuptasku - powiedziała słodkim tonem. - Mówiłam: tylko na wszelki wypadek. Wiesz, powinniśmy teraz myśleć o wszystkim, nie uważasz?

Uśmiechnął się i pożałował, że ona tego nie może zobaczyć przez maskę.

- Kocham cię. Nie chciałbym cię opuszczać nigdy, ale... - Pociągnął jeszcze dwa łyki, resztki ciemnej substancji

pomknęły przez półprzezroczystą rurkę do jego ust. Odsunął filiżankę.

- Rozumiem. Powinieneś już iść. Zapłacę rachunek.

- Każda chwila spędzona z tobą jest dla mnie droga, ale na powierzchni zdarzają się patrole gestapo.

Kiwnęła głową.

- Gdy będziemy bezpieczni, nacieszysz się mną do woli.

*

Przetrwał w podziemiach tyle tygodni, ale było to nic w porównaniu z ostatnimi trzema dniami. Obudziła się w nim nadzieja, a zarazem lęk, że marzenie się nie spełni. Że los odwróci monetę i zamiast upragnionego sukcesu działania przyniosą tylko klęskę. Więc choć pragnął spędzić czas z Liliane, zaraz potem dopadała go trwoga, że blondynka jest w łapach oprawców Heydricha. Artura dręczyły obawy, że on sam na nią sprowadził zły los. A minuty, minuty płynęły tak wolno.

Żeby chociaż miał pracę. Ale o tę było coraz trudniej, poza tym dobrze zaopatrzony finansowo nie potrzebował najmować się za żywność, którą rzucił mu łaskawie kupiec. Mając dużo czasu, nudził się po dwakroć.

Na domiar złego widok dziewczyny, choć w kombinezonie, wzbudził w nim na nowo pożądanie. Wspominał jej piersi, choć wiedział, że są nieprawdziwe, śnił, jak zamyka na nich dłonie.

Innym razem zrywał się z lękiem, że to nie ona przyszła na spotkanie, ale agentka gestapo, biegła w sztuce aktorskiej. Długo potem nie mógł usnąć, analizując każdy ruch Liliane na spotkaniu i zastanawiając się, czy to mogła nie być ona.

Wreszcie nadszedł trzeci ranek i wiedział już, że to dzisiaj. Na śniadanie Meyersowie zrobili zupę jarzynową i poczęstowali Artura, który zwrócił ostatnio wszystkie swoje długi i płacił dobrze za obiady.

Sosnowski z ulgą wypluł ustnik maski i odpiął część przykrywającą nos i usta. Spożywanie pokarmów, których nie dało się zjeść inaczej, było jedynym usprawiedliwieniem, by w miejscu publicznym odsłonić część twarzy.

Zamieszał drewnianą łyżką w cynowej misce. Zupa, którą dostał, warzywa miała tylko w nazwie. Była nieokreśloną breją. Machinalnie jadł, starając się zapomnieć o niewyraźnym smaku.

Nagle drgnął, bo na łyżce, którą podnosił do ust, dostrzegł czarne odnóże długości kilku centymetrów, porośnięte cienkim włosiem. Zdjęty obrzydzeniem, natychmiast rzucił łyżkę na stół. Omal nie zwymiotował.

Meyersowie popatrzyli na niego ze zdziwieniem i dezaprobatą.

- Cóż to jest! - krzyknął, podnosząc znalezisko. - Wygląda jak odnóże jakiegoś wielkiego owada.

- Pewnie pająka - powiedział pan Meyers, zajadając spokojnie swoją zupę.

- Jak to pająka?! - zakrzyknął zdumiony Artur. Słowa rozmówcy nie mieściły mu się w głowie. - Nie ma takich wielkich pająków, nie w tym klimacie. Przecież musiałyby być większe od mojej pięści!

- W Berlinie są takie. W nocy wszędzie łażą. Niemal bezszelestne na tych cienkich odnóżach, dlatego się nie budzimy. Czasem je gubią. O, zobacz pan, w misce pływa panu jeszcze jedno.

Artur zerknął w dół. Rzeczywiście, na powierzchni mętnej cieczy pływało kolejne odnóże. Coś mu zabulgotało w

żołądku i nadludzkim wysiłkiem woli stłumił odruch wymiotny.

- Niech się pan nie boi, nie są szkodliwe ani trujące, czy coś. Chodzą po suficie, to czasem wpadnie kawałek pajęczyny do garnka, albo czegoś innego - powiedziała Frau Meyers. - Normalna sprawa. Heinrich Himmler twierdzi, że te pająki są przyjazne człowiekowi.

- Odkąd to szef SS interesuje się pająkami? I co te wielkie potwory robią w podziemiach Berlina?

- Rozmnażają się - wymemłał jej mąż, żując cudem wyłowiony kawałek marchewki.

- Znakomicie. Po co?

- Eksperyment naturalny. Naukowcy je zrobili. Takie duże i sprytne. Podobno takie pająki mogą kiedyś wykrywać Żydów.

- I one są tutaj wokół nas? - Artur rozejrzał się po kątach. - Z dnia na dzień coraz większe i mądrzejsze?

- Nie panikowałbym. Ostatecznie to tylko takie psy z większą liczbą łap. Prawdziwy przyjaciel nowego lepszego człowieka, Herrenvolk.

- Już teraz esesmani wykorzystują jad czarnych wdów, by zatruwać nim końcówki swoich bojowych kling - odezwał się znad talerza Kurt. - Pająki są pożyteczne.

*

Gdy nadeszła umówiona pora, Artur udał się do kawiarenki. Liliane już na niego czekała przy stoliku. Przez poręcz fotela przerzuciła niewielki plecak. Na jego widok wstała i zarzuciła mu ręce na ramiona. Artur potarł maską o maskę Liliane.

- Eskimosi witają się, pocierając nosami - odrzekł, obejmując jej smukłą kibić. Poczuł oszałamiający zapach jej perfum. Zapewne skropiła nimi kombinezon.

- Chodź szybko, nie traćmy czasu. - Zabierając wolną ręką plecak, pociągnęła go na zaplecze.

- To jest, jakby ci to powiedzieć... Męska toaleta - wydukał, gdy wciągnęła go za drzwi ze stosownym oznaczeniem. Stanęli przed rzędem grafitowych pisuarów. Każdy miał podobnie lancetowaty kształt jak oparcia krzeseł w barze.

- Usunęłam podtrzymywacze cycków. Nikt się nie domyśli, że jestem kobietą. A jak nawet coś będzie podejrzewać, jak to sprawdzi? Nie gadaj, właź do kabiny, korzystajmy, że nikogo nie ma.

Posłusznie spełnił jej prośbę.

- Byłbyś tak dobry i zamknął za sobą drzwi? Naprawdę może ktoś wejść.

- W porządku, zamknąłem. I co mam tutaj robić?

- Rozbieraj się.

- Do naga?

- Nie zadawaj głupich pytań. Czekam.

Artur zrzucił kaptur, z ulgą odpiął część maski zakrywającej twarz. Gogle zastukotały o podłogę. Odpiął zamek błyskawiczny. Moment - i stał nagi wewnątrz ciasnej kabiny.

- Wejdziesz? - zapytał drżącym z podniecenia głosem.

- Rany boskie, nie teraz...! Faceci... - rzuciła mu nad drzwiami plecak. - Przebierz się w to.

Odpiął zamek plecaka. Wewnątrz znajdował się brunatny kombinezon, złożony ładnie w kostkę.

- Taki sam jak mój - powiedział Artur zdumiony.

- Nie taki sam - odparła sarkastycznie. - Wyprany.

- Wszystkie kombinezony są takie same. Nie widzę powodu, byśmy tracili czas... - mówił, wkładając nogawkę.

- Każdy ma zamontowaną obręcz z danymi, pomyśl trochę. Nie zmieniasz teraz stroju, tylko tożsamość.

- Ughr...! - Stracił równowagę i gruchnął na muszlę.

*

Samochód Liliane był niewielki, miał grubą stalowoszarą karoserię poprzecinaną licznymi głębokimi bruzdami, jakby ktoś zgniótł w palcach kawałek plasteliny. Gdzieniegdzie robiły się guzy, wyglądało to, jakby ktoś zatopił w metalu łożyska. Całości dopełniały dziwaczne czarne nitki, które wyrastały z przodu i ciągnęły się po bokach.

- Czułki - wyjaśniła Liliane krótko. - Ostrzegają przed zderzeniem.

Artur pierwszy raz widział taki samochód. Stworzona za pomocą nieznanych mu technologii swoista hybryda dziwacznych metali i organicznych, pulsujących części. Fascynacja dziwaczną maszyną walczyła w nim z obrzydzeniem dla ostentacyjnej fizjologiczności pojazdu. Gdyby Artur miał więcej czasu, obejrzałby sobie dokładnie samochód, ale teraz tylko pospiesznie rzucił plecak na tylnie siedzenie. Wewnątrz znajdował się jego stary pomięty kombinezon.

Pomknęli ulicami Germanii.

- A jeżeli natrafimy na patrol? Wiesz, wśród danych na obręczy może być moje zdjęcie.

- Nie każą zdejmować maski, za dużo fatygi - prychnęła dziewczyna, nie odejmując rąk z kierownicy pokrytej lepką substancją.

- A właściciel kombinezonu? Nie będzie go potrzebował?

- Handlarz z Monachium. Tam jeszcze ich nie wprowadzili. Kupił sobie, żeby móc prowadzić interesy na ulicach Nowego Berlina i imponować nowoczesnością w swoim mieście. Przyjaciel rodziny dokończyła krótko.

- Nie wiedziałem, że tak łatwo można oszukać ten system.

- Jest nowy. Wszystko, co nowe, zawiera luki. Za rok musiałabym się bardziej nagłowić.

Wjechali do gigantycznego tunelu przecinającego budynek-kopiec. Szereg samochodów mknął przez ciemność rozświetlaną jedynie rzadkimi lampami.

- Popytałam nieco o politykę. Zdaje się, że cię to interesowało.

- No i?

- Była jakaś próba przewrotu czy coś... Nic nie wiadomo oficjalnie. Abwehry już nie ma. Zadania kontrwywiadu przejęło SS. Nie wiem dlaczego. Aresztowano masę ludzi. Wielu bez powodu. W tym tego oficera, który z tobą chodził.

- Weinera?

- Tak, specjalnie go sprawdziłam, nie jestem głupia. Siedzi w lochach SS. To chyba niedobrze, prawda?

- Tak sądzę.

- I jeszcze coś... Nie wiem, czy to ważne...

- Mów.

- Od tego niby zamachu nikt nie widział na żywo Adolfa Hitlera. Owszem, puszczają stare przemówienia. Czasami jest w radiu. Ale nie pojawia się na paradach. Berlin huczy od plotek.

- To wszystko?

- Zasadniczo tak. Bo o tym, że mamy wojnę z Ruskimi, to chyba słyszałeś?

*

Wyjechali z tunelu i nagle ku całkowitemu zaskoczeniu Artura znaleźli się okropnie wysoko. Mknęli przez zawieszony między dwoma budynkami most. Pod nimi znajdowała się przepaść, przecinana jedynie nitkami umieszczonych na różnej wysokości jezdni. Kręciło się od tego w głowie. Najdziwniejsze było jednak, że z wysokości ponad stu pięter spadał wodospad, niknąc gdzieś w dole. Szukając źródła, Artur podniósł głowę i popatrzył w lewo.

Stalowoszary budynek miał kształt niedomkniętego kręgu, wewnątrz którego migotały wody ciemnego jeziora. To z niego kaskadami woda leciała w przepaść. Wewnątrz kręgu fasady frontu zostały przeszklone. Kotłował się za nimi dziwny, zielonkawy dym. Po obu stronach wodospadu stały monumentalne postacie kobiece. Ręce trzymały na jelcach ogromnych mieczy wbitych w ziemię. Nosiły płaszcze, które jednak, im bliżej stóp, tym stawały się bardziej nieforemne i bezkształtne. Twarze, kamienne i zimne, nie wyrażały żadnych uczuć, skórę policzków przebijały mechaniczne części.

- Walkirie - powiedziała Liliane. - Strzegą wejścia do nowego parlamentu, godnego stolicy świata. Jest jeszcze niedokończony.

Artur popatrzył niżej, szukając podstawy tej niezwykłej budowli. Ale wodospad rozpraszał setki kropel, tworząc strefę wiecznej mgły, powodując, że parlament wydawał się płynąć na olbrzymiej chmurze. Sosnowski zastanawiał się, co za skomplikowany i kosztowny system potężnych pomp przemieszcza rzeki Berlina na taką wysokość, aby osiągnąć oszałamiający architektoniczny efekt podniebnego sztucznego jeziora.

- Mieści kilka razy więcej posłów niż stary. Adolf Hitler udoskonalił demokrację, zawsze twierdził, że faszyzm jest

najwyższą formą rządów. Wewnątrz zasiądą przedstawiciele nie wielu kłócących się ze sobą partii, ale tej jednej, najlepszej, bo i po co finansować gorsze ugrupowania. Wspaniałe, nieprawdaż?

- Jestem pod wrażeniem - rzucił cierpko. - A co, jeżeli ta najlepsza partia tak zupełnie przypadkiem nie będzie mieć racji?

- NSDAP? Och, nie bądź śmieszny, kochanie…

- Führer by do tego nie dopuścił, dobrze zgaduję?

- Nie lubię, jak mówisz tym dziwnym tonem. Niby o sprawach poważnych, a zachowujesz się, jakbyś, no nie wiem, żartował, czy coś…

- Przepraszam. To maska tak zmienia barwę głosu.

Popatrzył dla odmiany w górę. Znajdowali się na dużej wysokości, ale próżno szukał choć kawałka czystego nieba. Cały nieboskłon był zasnuty całunem ciężkich ciemnosinych chmur.

- Czy nad Germanią kiedykolwiek świeci słońce?

- Wiesz, fabryki pracują pełną mocą. Brytyjczycy też swoje zrzucają. Prace budowlane, pył unosi się ze zburzonych domów, smolisty dym z substancji formowanych w części wieżowców. Słyszałam też, że jest to część obrony przeciwlotniczej, czarna chmura, żeby lotnicy nie mogli precyzyjnie bombardować.

- Dokąd mnie wieziesz? - zmienił temat

- Moja przyjaciółka z BdM-u ma domek za miastem.

- Natalie Schladebach?

- Ach, zapomniałam, przecież ją poznałeś. Tak, to ona. Czasami z niego korzysta podczas imprez integracyjnych z Hitlerjugend. Zgodziła się pożyczyć klucze na pewien czas. Położenie dogodne, na tyle daleko od Germanii, że będziemy bezpieczni, na tyle blisko, że ty będziesz trzymał rękę na pulsie, a ja mogę załatwiać swoje sprawy.

Jezdnia wniknęła do wnętrza kolejnego budynku, nad nimi zamknął się płaszcz stali.

- Cholera, korek - zdenerwowana dziewczyna uderzyła impulsywnie o klakson i rozległ się zgrzytliwy dźwięk, jak skrzek kruka, który zwietrzył padlinę.

- Szybko idzie - zauważyła po chwili. - Cholera, wybrałam tę trasę, bo nie powinno być zbyt wielu punktów kontrolnych. Znowu zrobili nowy.

Artur poczuł, że zaczyna się pocić pod kombinezonem. Nagle pomysł Liliane nie wydał mu się taki sprytny, wręcz przeciwnie, jego umysł błyskawicznie wyszukiwał luki.

- Samochodów jest coraz więcej, obywatele coraz częściej korzystają z tej formy transportu. To i dobrze, nie trzepią zbyt dokładnie, bo zrobiliby zator - trajkotała Liliane, ale nawet w jej głosie czuć było napięcie.

Taka piękna, młoda i niewinna. A Artur właśnie skazał ją na tortury i śmierć. Powinien pomyśleć wcześniej. To się nie mogło udać.

- Wyjdę teraz z samochodu i zacznę uciekać. Jesteśmy dość daleko, może nie zauważą. A jeśli nawet, przynajmniej ty ocalejesz.

- Ani mi się waż. - Teraz dopiero naprawdę była wściekła. Już jest za późno. Zauważą nas i zatrzymają wszystkie samochody. Ani mi się śni nocować w hotelu gestapo. Po obręczy w twoim kombinezonie dotrą do mojego przyjaciela, a potem do mnie. Bądź łaskaw teraz nie panikować. To najmądrzejsze, co możesz zrobić.

Samochód jak wielka larwa dobrnął do punktu kontrolnego. Dwóch opancerzonych strażników z upiornymi maskami stanęło po przeciwnych stronach pojazdu.

- W czym możemy pomóc, panie oficerze? - Liliane opuściła szybę i odezwała się przymilnie.

- Rutynowa kontrola. - Skierował w jej stronę dysk. Błysnęło czerwone światło.

- Liliane von Bernstein?

- Cała przyjemność po mojej stronie - roześmiała się dźwięcznie blondynka.

Artur niemal poczuł, jak ślizga się po nim czerwona struga skanera. Miał wrażenie, że się zaraz udusi. Albo zwymiotuje w maskę i zadławi się wymiocinami.

- Bruno Dachdecker? - dobiegło z oddali.

Liliane poruszyła głową i popatrzyła na niego znacząco.

- Kochanie? - W jej głosie znów się pojawiło napięcie.

Otrząsnął się i przeciągnął leniwie.

– Och, *mein Schatz*, jesteśmy już na miejscu? - Ziewnął potężnie. - O, pan oficer, przepraszam najmocniej.

*

Liliane wprowadziła Artura do przedpokoju, następnie salonu. Tam zdjęła maskę zasłaniającą twarz, niedbałym ruchem rzuciwszy gogle na stół. Potrząsnęła głową, rozpuszczając piękne blond loki.

Artur zrzucił kaptur i okulary, znalazł się tuż przy niej. Objął, wpił się wargami w jej usta. Były pełne, napęczniały obietnicą rozkoszy, spijał z nich słodycz.

Wolną ręką odnalazł zamek błyskawiczny, pociągnął, uwalniając półkule piersi. Chwycił tę, która wyskoczyła pierwsza, zamknął w dłoni, zaczął namiętnie ugniatać, czując, jak sterczy nabrzmiały sutek dziewczyny. Zaczął całować jej szyję, Liliane jęczała cicho. Rozpiął już suwak do końca, dochodząc koniuszkami palców do wzgórka łonowego. Wsunęły się zręcznie w jej wilgotną płeć, sprawiając, że dziewczyna zadrżała.

Gwałtownym ruchem rozpiął swój kombinezon. W tym czasie Liliane wyswobodziła nogi i stanęła przed nim piękna i naga niczym Afrodyta wynurzająca się z morskich fal.

Wskazała mu wzrokiem uchylone drzwi i Artur domyślił się, że tam jest sypialnia. Porwał dziewczynę gwałtownie, uniósł jak piórko, aż pisnęła zaskoczona. Kilka kroków i już byli przy łóżku.

- Czekaj, kochany... - Dotknęła koniuszkami palców jego piersi. - Adolf Hitler pragnąłby, byśmy to zrobili w pozycji klasycznej. To dla niego bardzo ważne.

- Pieprzę to! - Odwrócił ją brutalnie i pchnął na kolana. Z furią wbił się między jej dorodne pośladki, najgłębiej jak to było możliwe, następnie zatrzymał się na chwilę, delektując poczuciem wypełnienia. Wreszcie zamknął dłonie na jej piersiach i zaczął się poruszać. Dziewczyna opuściła głowę, twarz jej poczerwieniała, nie wiadomo, czy ze wstydu, czy z podniecenia. Oddech Liliane przyspieszył, każdy ruch Artura wydobywał z niej jęk. Wreszcie zdawało się, że w dom uderzył piorun, blask poraził oczy mężczyzny, a przez jego ciało przeszedł elektryczny łuk. W kilku krótkich eksplozjach słodycz opuściła jego ciało, zostając w Liliane.

*

Siedziała przy dębowej toaletce, w wielkim lustrze odbijała się jej piękna twarz. Nosiła tylko czarny gorset, z czerwonymi dużymi kwiatami róży. Włosy upięła siecią złotych spinek, by jej nie przeszkadzały. Starannymi, precyzyjnymi ruchami nanosiła pędzelkiem puder. Drobny pył osadzał się na policzkach. Powoli spod muśnięć pędzelków i kredki wyłaniała się zupełnie nowa Liliane.

- Gdy się malujesz, zamieniasz jedno dzieło sztuki w drugie.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się lekko i rozpromieniona zrobiła ruch, jakby chciała się mu ukłonić.

Otworzyła usta i szminką nadała pełnię i czerwień wargom.

Tak piękna, tylko jego. Delektował się jej zgrabną figurą, której zalety uwypuklała czerń gorsetu.

BdM-ka, kobieta- materac. Artur poczuł nagle ukłucie w sercu. Zwalczył je.

Zgrabnie podkreśliła rzęsy i zatrzepotała powiekami w jego stronę, a Artur zapragnął przytulić ją do serca, tę rozkoszną ptaszynę. Zaczęła nakładać na policzki róż, a Sosnowski zastanowił się, co właściwie o niej wie. Zna jej smak, ale czy tak naprawdę widział jej twarz? Może wszystko, co widział, to tylko makijaż, zręcznie położone kosmetyki?

Odwróciła się ku niemu.

- Skończyłam. Dobrze?

- Znakomicie - odparł.

Liliane wyczuła coś w jego głosie. Podeszła, pochyliła się, zgrabnie wypychając piersi z gorsetu.

- Podobam ci się nadal? - zapytała miękko.

Artur chwycił prężne półkule i przez chwilę mechanicznie ugniatał.

- Nie jestem pewien, czy dotykam ciebie, czy silikon - rzekł, patrząc jej prosto w oczy.

- Wywaliłam już to gówno. Teraz wstrzykuje się komórki tłuszczowe z brzucha w koktajlu z macierzystymi. Formują biust, jaki tylko sobie zażyczysz, i nie ma żadnych skutków ubocznych.

- Wiesz, o co mi chodzi. To tylko kolejny stopień oszustwa.

- Nie, nie wiem! - Gwałtownie się cofnęła, wyrywając piersi z jego dłoni. - Przecież powinniśmy być coraz doskonalsi, prawda? Pracować nad sobą cały czas. Każdy inny byłby zadowolony, że jego dziewczyna tak dba o siebie. Wiesz w ogóle, ile taki zabieg kosztuje?

- Przypuszczam, że tyle, co czołg...

- Nie, teraz już naprawdę nie wiem, o co ci chodzi. Jeżeli nie podoba ci się, jaka jestem, to co właściwie tutaj ze mną robisz?

- Przepraszam. - Ukrył twarz w dłoniach. - Chyba jestem zagubiony. Czasami nie wiem, czego chcę.

- Może spróbuj powiedzieć.

- To nie takie proste... - zawahał się. - Wydaje mi się, że gdy cię dotykam, nawet kiedy się kochamy, to jakbym przesuwał palcami po samej skórze.

- Nie rozumiem - wykrzywiła usta. - To czego chciałbyś dotykać?

- Nie o to chodzi. Czuję, jakbyś nie była rzeczywista...

- Jeżeli tylko o to chodzi, mogę cię zapewnić, że jestem jak najbardziej realna - uśmiechnęła się nieco zalotnie.

- ...jakby pod skórą nic nie było, jakbyś cała ty była gdzie indziej. Czy w ogóle jest coś takiego jak „ty”?

- Boże, w życiu nie słyszałam podobnych głupstw... - Podeszła do szafki i pospiesznymi ruchami palców zaczęła wydłubywać z listków pastylki. Wreszcie, gdy uzbierała ich różnokolorową garść, popiła wodą ze szklanki.

- Nikt ci nie zadawał takiego pytania?

- Dotąd wszyscy faceci byli zadowoleni, że posiadali moje ciało. Nie szukali więcej.

- A ty?

- Co ja?

- Byłaś zadowolona?

- Nie dręcz mnie! - Liliane rzuciła szklanką o ścianę. Naczynie rozbiło się, na podłogę spadł deszcz szkła i wody. - Możemy się tutaj bawić, wcale nie najgorzej, ale ty wolisz narzekać. Idę stąd. Znajdziesz mnie na zewnątrz, jeżeli poczujesz ochotę. Będziesz mnie mógł dotknąć tam, gdzie, tak wydawało mi się wczoraj, lubisz.

Wyszła, trzasnąwszy drzwiami.

*

Chatka rzeczywiście była ładnie położona. Zbudowana została z drewna. Na podłodze położono parkiety, meble wykonano z dębiny. Wszystko to sprawiło, że Artur cieszył się z miłej odmiany po stechnicyzowanych wnętrzach Germanii. Otaczał ją las.

Martwiło go, że czasem zostawał w tej pustelni sam, serce biło mu wówczas z trwogi o Liliane. Dziewczyna jednak zbywała śmiechem jego obawy.

- Przecież nic mi nie grozi, głuptasie - mówiła. - Najwyżej aliancka bomba. Ale to może się zdarzyć nawet, gdy jestem z tobą.

- Wówczas przynajmniej umrzemy razem - odparł.

Jednak Liliane, choć sprawdzana często przez patrole i punkty kontrolne, za każdym razem była puszczana wolno. Mogła się poruszać po okolicy względnie bezpiecznie. A wychodzić z domu musiała, choćby po to, by kupować świeżą żywność. Czasami także spotykała się ze znajomymi, by nie wzbudzić podejrzeń i wysłuchać plotek. Były one, tak zresztą jak gazety, które przynosiła do domu, bezwartościowe. Wielkie nagłówki krzyczały o zwycięstwach na Wschodzie, armie rosyjskie poddawały się jedna za drugą, a czołgi Guderiana wbiły się głęboko w terytorium pod władzą Stalina. ZSRR nazywany był

kolosem na glinianych nogach, a dziennikarze zapowiadali pokój przed nadejściem jesieni. Już teraz sprzedawano działki na Ukrainie i Kaukazie, Wielka Rzesza Niemiecka miała się tym razem oprzeć aż po Ural. Artur nie wiedział jednak, czy wiadomości te są wiarygodne. Goebbels znany był z bujnej wyobraźni.

- Cześć, kochanie. - Liliane pojawiła się w drzwiach, dźwigając siatki. Nosiła tylko kusą, intensywnie czerwoną spódniczkę. Zakupy robiła w podmiejskim sklepiku, stąd nie musiała wkładać brunatnego kombinezonu. - Bardzo się nudziłeś?

- Już o tym zapomniałem. - Gdy kładła zakupy na stole, podszedł do niej i pocałował w usta. Słodko smakowała.

- Zobacz, co kupiłam. - Wyciągnęła z siatki bladoniebieski żelowy cylinder i położyła na blacie. Zadrgał lekko jak wystraszona meduza, po czym się uspokoił.

- Co to jest?

- Nazywają go zamrożonym dymem. Powietrze o właściwościach ciała stałego, przypomina żel. Dotknij, jak chcesz. No, mocniej, nie bój się.

Substancja była kleista, ale nie zostawała na ręce. Mimo eterycznej formy, okazała się też zadziwiająco wytrzymała na odkształcenia.

- Po co nam to?

- Pochłania ciężkie pierwiastki z powietrza. Potem urządzenie się czyści w sklepie, a metale idą z powrotem do fabryki. Przyswaja także wszystkie zanieczyszczenia, nawet z gazów bojowych. Pewnie, jakby walnęli w nas bombą chemiczną, to nie dałoby rady. Ale pomyśl, kochany, że Brytyjczycy codziennie gdzieś w Niemczech zrzucają taki ładunek. Przecież mikrocząstki tych substancji są już w powietrzu, w glebie, wodzie. Taki filtr jest niezbędny w każdym mieszkaniu. Zgadzasz się ze mną, prawda?

- Masz rację...

- To dlaczego posmutniałeś? Mam wrażenie, że znów się na mnie gniewasz.

- Po prostu już zapomniałem o Nowym Berlinie, a każda rzecz ze stolicy mi o nim przypomina. Każda taka rzecz. - Wskazał na zamrożony dym.

- Nie da się uciec od rzeczywistości. Można poudawać, tak jak to teraz robimy. Ale nawet ty nie myślałeś chyba, że można uciec naprawdę?

- Masz rację. - Patrzył, jak nalewała sobie wody do szklanki. Zaczęła wysypywać pigułki z fiolek i wyłuskiwać pastylki z foliowych listków.

- Możesz mi powiedzieć, co ty właściwie bierzesz?

- Sama nie wiem, co w nich jest. Środki na opaleniznę zarządzające fotochemią skóry, na gładką cerę i przeciw zmarszczkom, mocne włosy, na młodość, wzmacniające, witaminowe koncentraty i mineralne koktajle, nootropy wzmacniające myślenie i pamięć, pobudzające, pozwalające lepiej wykorzystywać energię organizmu i czas, który mamy do dyspozycji. Niektóre robią coś takiego z komórkami, że człowiek żyje kilkanaście lat dłużej. Wreszcie odchudzające, bo chyba nie chciałbyś, bym miała brzuszek, nie? - Uśmiechnęła się zalotnie.

- Brzmi to wszystko jak straszny syf.

- Och, część z tego biorą żołnierze na froncie wschodnim. Dzięki temu się wolniej męczą, są bardziej wytrzymali na ból, ponadto ich powierzchowne rany się samoczynnie goją. Sprawdzone przez armię, czego chcesz więcej? Dzięki farmakologicznemu wspomaganiu nasi chłopcy są najlepszymi żołnierzami na świecie, a ja... Ja jestem najpiękniejszą kobietą. Dla ciebie. Zwykli ludzie, których nie stać na dołączenie do farmakoelity, nie mogą się z nami równać. Szarzy i nudni, brzydcy i słabi, wolno myślą, kiepsko kojarzą, a z wyglądu przypominają karakony.

Proszę cię, nie mów, że masz coś przeciwko. Zresztą chcę, żebyś się sam przekonał. Kupiłam dla ciebie na razie kilka. Co robisz od razu taką minę? Jestem w końcu twoją kobietą. Muszę dbać o ciebie, no to dbam najlepiej, jak potrafię. Nadstaw rękę.

- Nie jestem pewien, czy chcę.

- Tylko spróbuj, na litość boską! Nie spodoba się, nie ma przymusu. Ale gwarantuję, poczujesz się lepiej. No, dalej... Nikt jeszcze nie podbił świata, mówiąc: tego nie, tamtego nie.

- Nie chciałem nigdy podbić świata.

- Takie powiedzenie. - Zagrzechotała ponaglająco pojemnikiem. Artur niechętnie wyciągnął dłoń. Wkrótce znalazło się na niej kilka tabletek różnego kształtu i koloru. Liliane przyniosła wody.

- Przygotowałam ci naprawdę specjalny zestaw. Będziesz zadowolony. - Przesunęła koniuszkiem języka po wargach, po czym błysnęła spojrzeniem i umknęła z pokoju.

- Idę wziąć prysznic - krzyknęła.

Artur łyknął tabletki.

*

Właściwie dlaczego po prostu nie załatwić Hitlera? Wreszcie by się skończyła ta wojna. Artur korzystając z pomocy Weinera, nie miałby problemów, żeby dostać się do kwatery głównej Führera. Wyobraził sobie, jak przekrada się między strażnikami, wreszcie z doskoku ogłusza wartowników. Wyciąga jednemu z nich nóż. Teraz będzie łatwiej. Deski chaty zadudniły, gdy Artur zamarkował skok na następnego gestapowca, elegancko podrzynając w powietrzu gardło. Włączył się alarm, wybiegło pięciu żołnierzy. Jeden próbował strzelić, Artur wyprowadził

kopniaka, wyimaginowany przeciwnik miał przetrącony nadgarstek, pistolet potoczył się po ziemi. Artur zaczął markować szybkie uniki, przed sierpowymi kolejnych esesmanów, wreszcie sam wyprowadzał potężne, odbierające przytomność ciosy. Ostatniego przeciwnika obezwładnił, zasłonił się jego ciałem, gdy wyobrażony żołnierz zaczął strzelać. Kule przeorały plecy towarzysza, tymczasem Artur wyszarpnął z kabury trzymanego esesmana pistolet i…

Ja nie potrafię strzelać, pomyślał nagle trzeźwo. Wystrzelił kilka razy z dłoni w powietrze, wykańczając tym samym legion nieprzyjaciół, jednak ostrze realności, jakie wbił w fantazję, nie pozwoliło już jej swobodnie powrócić. Zadyszany rozejrzał się wokół. Miał wrażenie, że kolory są żywsze, wszystkie przedmioty są bliżej. Prawie się zasłonił przed nimi rękoma. Były tak blisko, takie napastliwe.

Liliane podała mi jakiś środek pobudzający, pomyślał w duchu.

Artur czuł się tak silny, że mógłby góry przenosić. Jednak teraz jego myśl powędrowała w stronę Liliane biorącej prysznic tuż obok, w łazience. Wyobraził sobie jej piękne ciało obmywane strugami wody. Poczuł nieznośne napięcie w spodniach. Strumienie krwi przetaczały się z łoskotem przez tętnice, wywołując najpotężniejszą erekcję, jaką kiedykolwiek zdarzyło mu się mieć. Żołądź bolała nieznośnie, dając o sobie znać z każdym pulsacyjnym wyładowaniem tętna.

Zanurzyć się w jej cipce, zanurzyć natychmiast, jebać, jebać aż do śmierci. Niech ona już wyjdzie spod tego prysznica. Co ona tak długo robi? Próbował wtargnąć do łazienki, ale drzwi zastał zamknięte na klucz. Usłyszał dźwięk suszarki do włosów. Zaklął.

Wrócił do salonu i wściekle walnął w stół, przekonany, że pod uderzeniem blat pęknie na połowy. Przenikliwy ból w

ręce przywrócił Arturowi na chwilę jasność myślenia.

- Tauryna, kofeina, amfetamina, sekstasy, viagra... - szeptał do siebie, gdy tylko umysł wyrzucił strumień zapamiętanych nazw substancji. - Co ja dostałem? Coś takiego, coś podobnego... Krytycyzm obniżony, libido podniesione, pobudzenie aktywności psychicznej i fizycznej, pędzę, po co, po co? Biegam, biegam, biegam... Czuję się, jakbym z Bogiem mierzony był równo, chociaż nadal jestem wielkie gówno. - I zaczął się śmiać, niezwykle ubawiony własny dowcipem.

- Liliane, co z tobą? Wyjdź już. Potrzebuję cię. Potrzebuje cię mój sterczący kutas.

Pomyślał, że dziewczyna doskonale wie, jak Artur się czuje po tych tabletkach. I celowo bawi się z nim, by go podkręcić. Wyobraził sobie, jak ją bije, uderza pięściami po tej ładnej, niewinnej twarzy, chlasta otwartą dłonią w blade piersi.

- Wołałeś mnie, ukochany? - Otulona tylko ręcznikiem, z idealną fryzurą, dziewczyna stanęła w drzwiach pokoju. Bez zbędnych słów uniósł ją i zrobił te kilka kroków dzielących ich od łóżka. Rzucił ją na pościel, ręcznik przy tym zsunął się dawno i został na podłodze. Liliane przyglądała się Arturowi z tym swoim niewinnym uśmieszkiem i trzepotała rzęsami, jakby była zaskoczona tą całą sytuacją.

Wlazł na nią i wdarł się w jej wnętrze. Ku jego zaskoczeniu była tam pulchna i soczysta, nie mogła się tak szybko podniecić, przecież coś też wzięła, żel albo tabletkę, kurwa jedna. To masz, dziwko, tego chciałaś, masz, masz... - Myślał przy kolejnych potężnych pchnięciach. Ale choć uderzał w nią z całej siły, jak nigdy, nie czuł żadnej przyjemności ani grama słodyczy. Tylko nieznośne napięcie w członku i dotyk ścianek pochwy. Popatrzył na jej twarz. Oczy miała powiększone, jakby wciąż okazywały zdziwienie

tym, co się dzieje. Na policzki wystąpiły jej rumieńce, głowę lekko podniosła, zmieniając tym samym naprężenie mięśni ciała. Usta jej się otwierały, jakby chciała mu coś powiedzieć, ale wydobywał się z nich tylko urywany oddech.

Artur patrzył na to z boku, poruszając się, jakby był częścią biologicznego silnika. Tylko wściekłość nie pozwalała mu wyjść z dziewczyny i dać sobie spokój. Bo nie było już ani przyjemności, ani pożądania. Nudne rytmiczne ruchy, w nadziei, że gdy się skończą, bolesne napięcie w dole odejdzie.

Wreszcie poczuł, jakby ktoś go ukłuł w koniec członka słodką igłą, ulotne wrażenie, a potem wypłynęła z niego sperma. Artur położył się obok dziewczyny, bynajmniej niezaspokojony. Spali nago, mężczyzna przewracał się po łóżku z rozdrażnieniem, erekcja nie ustępowała jeszcze przez wiele godzin. Żałował, że nie ma drwa do porąbania. Gdyby było, wstałby i zajął się nim.

*

Gdy się obudził, słońce było już wysoko. Liliane musiała dawno wstać, nigdzie nie było jej widać. Zwlókł się powoli z łóżka i podreptał w kierunku łazienki. Nad umywalką schlapał twarz zimną wodą, potem rzuciwszy pełne obrzydzenia spojrzenie swemu obliczu w lustrze, wszedł pod prysznic. Chłodna woda zmywała pot i, jak Artur miał nadzieję, narkotyki z zeszłej nocy. Czuł się otępiały, wewnątrz czaszki czaił się ból. Członek także był obolały, jakby ścierpnięty. Artur czuł, jakby należał do innego ciała. Gdy go mył, widział, co robi ręka, ale w dotyku penis przypominał protezę.

Chlapiąc po płytkach, Artur wyszedł z kabiny i wytarł się niestarannie. Boże, jak strasznie mu się chciało pić. Nie

czekał na śniadanie i herbatę, podstawił usta pod kran. Chłodna woda przyjemnie spływała przełykiem, jednak Artur miał wrażenie, że pragnienie czai się gdzieś głębiej i nie tak łatwo je zaspokoić. Więc chociaż napełnił żołądek, nadal gdzieś w nim drzemało przekonanie, że nigdy już go nie zaspokoi.

Przepasany ręcznikiem wyszedł do salonu, a tam już czekała Liliane, jakby nic szczególnego się wczoraj nie wydarzyło, promiennie uśmiechnięta nad tacką ze śniadaniem. Jajka na miękko, tosty, sałata, pomidor na żółtym serze. Jak można mieć tak świeżą cerę, tak błyszczące spojrzenie po tym wszystkim? Gracja w jej ruchach, gdy zapraszała go do stołu, oszałamiała. Artur natomiast poruszał się jak automat, każdy ruch zdawał się źle zaplanowany, mięśnie protestowały cichym bólem. W gardle rosła kleista gula, gdyby się odezwał, głos miałby chrapliwy i musiałby znowu napić się wody.

Liliane zasiadła przy stole. Żołądek Artura na widok kanapek zgłosił gotowość do rewolucji.

- Nie smakuje ci? Nie miałam na szybko nic innego. Czasy nie należą do najłatwiejszych. Jest wojna, trudno coś dostać.

- Nie, wszystko w porządku. Muszę tylko przyjść do siebie.

- Zażyłeś swoją poranną tabletkę? O, jaka jestem głupia, pewnie, że nie! - Uderzyła się nieco teatralnie otwartą dłonią w czoło. - Bez nich człowiek się czuje jak wyżęty, prawda? Zaraz ci przygotuję koktajl.

- Nie trzeba. To znaczy, daj mi zjeść śniadanie, a potem, myślę, że przydałby nam się spacer.

- Możemy pójść do lasu. Jest trochę niebezpieczny ze względu na mutantów, ale tutaj też może nam spaść bomba na głowy, prawda? Nie da się żyć na wojnie i zastanawiać

nad każdym możliwym zagrożeniem, bo się po prostu zwariuje, tak uważam.

Ostukał łyżeczką jajko. Starannie u góry obłupał skorupkę. Było już z nim lepiej, sięgając po sól, poczuł apetyt.

- Liliane?

- Mhm? - odparła z ustami pełnymi pieczywa.

- Podobno wszystkich, którzy ze mną kiedykolwiek rozmawiali, chociaż raz, przesłuchuje SS. Jak się poznaliśmy... ciebie też?

- Mhm - przełknęła. - Masz temat przy śniadaniu.

- Co im powiedziałaś?

- To, co zawsze, gdy władza nas pyta o intymne życie. Banały. Nie myśl, że mnie skrzywdziłeś jakoś szczególnie obecnością w moim życiu. Co pewien czas ktoś z nas ma do czynienia z urzędnikami, już się przyzwyczailiśmy, nauczyliśmy jak modlitwy sposobów udzielenia właściwych odpowiedzi, po których nie pozostaje im nic innego, jak puścić nas do domu, inaczej musieliby zatrzymać w areszcie wszystkich. Zresztą... - do kanapki z pomidorem dobrała sobie sałatę - ...mówiłam ci już chyba, że mój ojciec jest ustosunkowany?

Artur poczuł ulgę, która się rozlała ciepłem po całym ciele, jakby wypił kieliszek koniaku.

- Liliane?

- Mhm?

- Z tą sałatą w ustach wyglądasz zupełnie jak króliczek.

*

Po śniadaniu oraz kolejnym, tym razem radosnym i czułym zbliżeniu, chyba znacznie dla nich obojga

ważniejszym niż wieczorne, wyszli na spacer. Podobno okolice domu były ładne, a w gęstych lasach raczej nie powinni zostać zauważeni przez służby państwowe. Liliane włożyła białą zwiewną sukienkę, która, gdy zawiał wiatr, ciasno przyklejała się do jej ciała, eksponując apetyczne krągłości pośladków. Przezroczyste ramiączka przechodziły w trójkątne paski materiału podtrzymującego piersi i wyraźnie pokazywały zarys sutków. Artur wpatrywał się w dziewczynę jak urzeczony.

- Niegdyś rosły tu lasy sosnowe - zagaiła.

- Co zatem się stało?

- Adolf Hitler wraz ze swoim architektem Speerem zmienili florę całej Brandenburgii na lasy liściaste. Jest to część wielkiego zamierzenia, by otoczyć stolicę świata systemem ogromnych parków. Wkrótce wszędzie powstaną tu asfaltowe aleje.

Artur popatrzył na ścieżkę u swych stóp.

- To miejsce wiele straci ze swego uroku - rzekł tylko.

Przez chwilę szli w milczeniu. Wreszcie blondynka powiedziała:

- Nie powinniśmy się zbyt daleko zapuszczać. Boję się mutantów.

- W gazetach czytałem, że mutanci nie istnieją. Goebbels twierdził, że to wymysł komunistów.

- Wiem, twierdzą tak władze. Okoliczni mieszkańcy zostawiają swoje dzieci tuż po porodzie. Na zatracenie. Sama widziałam.

- Co widziałaś?

- Jak taki świeżo urodzony odpełza w krzaki. Niektóre całkiem sprawne. Żadne ludzkie dziecko w tym wieku by tego nie potrafiło, rozumiesz? Albo... Albo coś z tego lasu wychodziło po nie. Okropieństwo. - Cała się wstrząsnęła.

- Będą dla nas groźne? Broń chemiczna została użyta stosunkowo niedawno. To tylko malutkie dzieci.

- Niektóre z nich rozwijają się naprawdę bardzo szybko. Już są w stanie samodzielnie polować. Widziałam... ślady. A skoro są w stanie złapać sobie sarnę, zapewne mogą być groźne też dla nas. Zwłaszcza, jeżeli są głodne.

- Może rzeczywiście powinniśmy zawrócić - rzekł Artur, zatrzymując się. Otaczający ich las wydał się nagle zdecydowanie mniej przychylny. Powoli ruszyli z powrotem do domu.

- Moim zdaniem władze nie powinny odrzucać tych dzieci przerwała milczenie Liliane. - Niektóre wyewoluowały w ciekawy sposób. Powinno się je wszystkie zamknąć w laboratoriach, dla dobra ludu. Kto wie, może dzięki nim rosłyby szybciej kolejne pokolenia żołnierzy? A tak, rodziny zamiast meldować NSDAP, wyrzucają noworodki do kanałów albo zostawiają w lesie.

- Jeszcze nie jest za późno. Władze mogą dostrzec problem mutantów, zamiast udawać, że on nie istnieje.

- I przyznać się do błędu? Oszalałeś!

- W takim razie można by wysłać oddział wojska, który wyłapie mutantów w lasach. Ich zdolności przyspieszonego dojrzewania są z pewnością niezwykłe, ale minęło niewiele czasu od zrzucenia pierwszej bomby chemicznej na Berlin. Oboje wiemy, że to nadal dzieci. Nie stanowią problemu dla armii.

- Nie słuchałeś mnie zbyt uważnie, prawda? Władze twierdzą, że mutanci nie istnieją. Który oficer ośmieli się wydać rozkaz poszukiwań? Przecież za to go czeka sąd wojskowy, za skryte podtrzymywanie komunistycznych plotek. Nawet my nie powinniśmy o tym rozmawiać. Ktoś nas podsłucha i uzna, że sprzyjamy Moskwie. To naprawdę niebezpieczne, kochany. - Wydawała się rzeczywiście przerażona.

Liliane wzięła sobie do serca własne słowa. Następnego dnia wykręcała się z wycieczki do lasu, twierdząc, że boi się czegoś nieokreślonego, że coś między drzewami napawa ją lękiem. Gdy mimo to Artur wyciągnął ją na spacer, natychmiast powalił dziewczynę potężny ból głowy. Pytana, co się dzieje, nie potrafiła podać przyczyny. O mutantach najwidoczniej całkowicie zapomniała.

*

Brzęk tłuczonych szyb i nieprawdopodobny hałas wyrwał go ze snu. Wokół zaroiło się od cieni, zalśniły w blasku latarek wielkie czerepy. Liliane krzyknęła przeraźliwie, jakby w jej trzewia wbijał się bagnet. Dłonie w rękawiczkach chwyciły Artura za ramiona, szarpnięciem wywlokły z łóżka i rzuciły na podłogę. Zabrzmiał kolejny krzyk, Artur zobaczył, że Liliane na czworakach próbuje dostać się do kąta. Jej pośladki wydawały się tłuste i obwisłe, drgały ze strachu jak galareta. Światła latarek wydobywały je z ciemności i chlastały po nich jak bicze. Próbował poderwać się na pomoc, ale uderzenie pięścią w twarz eksplodowało w głowie jak czarny piorun i rzuciło Sosnowskiego znów na ziemię. Splunął krwią z rozbitej wargi.

- Zostawcie ją! - krzyknął.

Dwóch mężczyzn poderwało go, zakleszczyli za plecami kajdanki na nadgarstkach. Pchnęli, kazali iść.

Wyszli z domu, osobno, konwojowani przez komandosów SS. Kiedy uderzyło w niego zimno i otoczył płaszcz nocy, Artur próbował odwrócić się i zobaczyć, co z dziewczyną.

- Jeżeli coś jej zrobicie, dopilnuję, by spotkała was kara! - powiedział do prowadzącego go mężczyzny.

- Zamknij się - odwarknął tamten krótko.

Na podjeździe stały trzy pojazdy. Porośnięte stalą i włosiem, wyglądały jak krótkie, grube larwy. Artura poprowadzono do pierwszego wozu, Liliane, okrytą tylko prześcieradłem, wepchnięto do następnego.

Sosnowski zatrzymał się w drzwiach.

- Nie rozdzielajcie nas! Lilie!

Oberwał w brzuch, tym razem naprawdę mocno. Jęknął, puścił framugę, skulił się i padł pod ścianę. Klapa pojazdu zatrzasnęła się, gasząc resztkę światła. Nagi, skulony, zmarznięty dygotał w kącie, przerażony do granic możliwości. Nie bał się o swój los, choć pewien był, że nadszedł koniec. Nienawidził siebie za to, że właśnie zabił najpiękniejszą kobietę na świecie, wpychając ją w łapska tych potworów. Jego umysł podsuwał mu coraz straszniejsze obrazy. Liliane gwałcona zbiorowo przez pancernych żołdaków, ich osłonięte rękawiczkami dłonie wędrują wszędzie, ugniatając jej piersi i penetrując zakamarki ciała, a z kłów wystających z hełmów na jej gładkie ciało spływa ślina. Widział w wyobraźni, jak ją biją i torturują, i pragnął wyć!

Nic jej nie zrobią, powtarzał raz po raz, nic je nie zrobią.

Aresztują i wypuszczą do domu. Powie, że nie wiedziała, kim jestem, zapukałem pewnego dnia do domu i pozwoliła mi zostać. To wszystko. Wypuszczą ją rankiem.

Pojazd dygotał na wybojach. Za każdym razem nagie ciało Artura muskały wystające ze ścian długie nitki. Mężczyzną wstrząsały dreszcze obrzydzenia. Pojazd nie należał do idealnie hermetycznych, przez szczeliny wpływało lodowate powietrze nocy. Sosnowskiemu było coraz zimniej, dostał gęsiej skórki, drgał mu każdy mięsień, zęby uderzały o siebie miarowo. Nie wiedział, z chłodu to, czy ze strachu.

# V

Chyba wycieńczony zimnem Artur wreszcie zasnął, bo obudziły go dopiero okrzyki żołnierzy i syk rozsuwanych drzwi. Opancerzeni weszli do pojazdu i lufami karabinów dali znak, że Sosnowski ma natychmiast wyjść. Na zewnątrz uderzyło go ostre białe światło lamp. Mimo to Artur rozglądał się, ciekaw, gdzie się znajduje. Trzy larwoidalne maszyny znajdowały się wewnątrz dużego garażu o ścianach typowych dla architektury Germanii, stąd można było przypuszczać, że znajdowali się w jednej z baz wojskowych na terenie stolicy.

- Ubieraj się - powiedział jeden z żołnierzy, rzucając mu regulaminowy brunatny kombinezon. Artur bez słowa wyciągnął przed siebie ręce w kajdankach. Esesman popatrzył za siebie.

W krąg światła wszedł mężczyzna w kuloodpornej zbroi. Twarz zasłaniał srebrną maską w kształcie czaszki, nosił pagony SS-Gruppenführera.

- Nie będą konieczne - odrzekł metalicznym głosem.

Artura rozkuto. Zziębnięty, z ulgą wbił się w kombinezon. Gdy jednak zaczął mocować się z maską, Gruppenführer machnął ręką.

- Później. - Odwrócił się i kazał iść za sobą.

- Co z kobietą, która ze mną była? - Artur zrównał się z nim, mimo podnoszących się wściekle luf karabinów strażników.

- Później.

Drzwi otworzyły się przed nimi i znaleźli się w długim korytarzu. Po jego prawej stronie widniał szereg drzwi,

przed każdymi stał wartownik. Mimo że nikt ich nie eskortował, ucieczka czy próba oporu nie były możliwe. Artur zwiesił głowę. Prawdopodobnie za jednymi z tych drzwi czeka oprawca podobny do Hagendera.

Wreszcie przewodnik poprowadził Artura do pokoju. Z westchnieniem ulgi uniósł maskę jak przyłbicę hełmu. Polak nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Weiner! Myślałem, że pana aresztowali.

Twarz oficera wyszczuplała i zrobiła się dużo poważniejsza, a co dziwne, wydawało się, jakby urósł i wydłużyły mu się ręce. Ale Artur złożył to na karb munduru.

- Bo tak było. Proszę siadać. - Gruppenführer wskazał mu fotel, sam sadowiąc się naprzeciwko. - Wypuszczono mnie trzy dni temu. Akurat miałem dość czasu, by przejąć dowództwo nad oddziałem przywożącym pana do Germanii. Jest pan chwilowo bezpieczny, zostałem nawet awansowany, więc mam dość wpływów, by pana chronić.

- Co się wydarzyło? Dlaczego pana aresztowano?

- Później opowiem ze szczegółami. Możemy odpocząć, czekamy na samochód służbowy, który zawiezie pana do nowej kwatery. Bezpieczniejszej, dodam. Wokół będą prywatne mieszkania notabli partyjnych. Nikt nie przekradnie się niezauważony przez systemy straży.

- Wolałem chatkę w lesie. Tam nikt o mnie nie wiedział.

- My ją znaleźliśmy. Ktoś, kto panu gorzej życzy, również by mógł. Choćby dlatego zdecydowano się pana stamtąd zabrać. Poza tym, pana umiejętności są niezbędne dla Rzeszy, chyba pan pamięta?

- Nie dajecie mi o tym zapomnieć. Razem ze mną była tam pewna dziewczyna. Bardzo mi na niej zależy.

- Jest teraz bezpieczna.

- Chcę ją zobaczyć. Chcę, żeby tu przyjechała i ze mną była. Inaczej nie liczcie na moje cudowne umiejętności.

Zapadła cisza. Długa i ciężka. Twarz Weinera nie zdradzała żadnych uczuć, gdy się wreszcie odezwał:

- Niech mi pan zaufa i pojedzie do mieszkania. Zajmę się osobiście tym, by Fräulein Liliane nie spadł włos z głowy. A ten... szantaż proszę sobie zostawić na lepszą okazję. Może kiedyś okaże się niezbędny. Naprawdę czas nie jest odpowiedni.

Artur zastanowił się przez chwilę.

- Będzie bezpieczna i wolna? Nie stanie się jej żadna krzywda?

Weiner skinął poważnie głową.

- Daję panu słowo honoru.

*

Drzwi o kształcie dwóch nachodzących na siebie S, takie same, jakie Artur widział w podziemnym mieście Hagendera, rozsunęły się cicho. Zapłonęło ukryte w ścianach światło, lampy diodowe uderzyły falą zimnego blasku i poraniły oczy. Artur je zmrużył, bez wiary, że kiedykolwiek zdoła się do tego oświetlenia przyzwyczaić.

- Rzesza dała panu mieszkanie w ultranowoczesnym budynku - mówił zarządca kwartału, pełniący rolę przewodnika. - Windy są tutaj tak szybkie, że w sekundę połykają sto pięter. Za sąsiadów ma pan najlepszych synów Niemiec. Szyfrowe zamki zapewniają pełne bezpieczeństwo.

Stalowoszare ściany były pobrużdżone, ich faktura odstręczała szorstkością i zadrapaniami. Wkomponowano w nie szeroką nieckę. Artur podszedł zaciekawiony, sądząc, że to może wanna.

- Widzę, że spodobało się panu nowe łóżko. Czy zagospodarowanie przestrzeni nie robi wrażenia?

- Robi. Gdzie w takim razie jest wanna?

- W łazience, oczywiście. Można napełniać ją wodą. A pan, jako właściciel mieszkania w specjalnej dzielnicy, również może używać płynu regenerującego. Proszę, niech pan podejdzie do okna, sprawdzi, jaki stąd znakomity widok. - Przewodnik nacisnął jakieś zagłębienie w ścianie i część muru rozwarła się, odsłaniając przezroczystą płytę.

Szyby zrobiono z grubego, ciemnego szkła. Słońce widziane przez nie wydawało się niemal czarne i niezwykle odległe. Patrząc w dół, nie widać było ziemi, tylko gruby płaszcz mlecznych chmur, z których wystawały liczne, niekończące się wieżyce budynków.

- Chyba podziękujemy już panu - rzekł Weiner, siadając w dziwacznym fotelu. - Ja i Herr Sosnowski musimy omówić kilka ważnych spraw.

- Ależ oczywiście. - Zarządca wycofał się w ukłonach. Artur zajął drugi fotel. Miał kształt kołyski i Sosnowski był pewien, że gdy tylko w nim usiądzie, przewróci się wraz z dziwacznie wygiętym siedziskiem. Ale nic takiego nie nastąpiło, przeciwnie, fotel otulił go ciepłą mazią niczym kokon, tak że wystawała tylko głowa. Co najdziwniejsze, gdy jednak Artur podniósł ręce, maź rozstępowała się przed nimi, nie przekraczała granic fotela, jakby powstrzymywana przez niewidzialne pole. Przez chwilę, korzy stając z ostrego światła diod, Sosnowski oglądał uważnie swoje dłonie, ale nie znalazł na nich żadnego śladu substancji. Zrezygnowany, zanurzył je po raz kolejny, kładąc na kolanach. Stwierdził, że jest mu ciepło i wygodnie, jedynie włoski na skórze lekko się podniosły, jakby poddawane delikatnemu oddziaływaniu elektrostatycznemu.

- Opowiem panu, co się wydarzyło - powiedział Weiner. Zaczęło się od tego, że Skorzeny wyszedł z brytyjskiego metra z wiadomością o śmierci Churchilla. To był przełom dla wszystkich. Hitler był pewien, że Anglia przestała się ostatecznie liczyć, nadto podobno jego negocjacje z Irlandczykami i Szkotami posuwały się do przodu. Uznał zatem, że jest to dobry moment, by spełnić dawne obietnice i uderzyć na ZSRR. Nie było tajemnicą, że zarówno Stany, jak i komuniści, od początku wojny intensywnie się zbroją. Jednak my zaczęliśmy wcześniej, już w połowie lat trzydziestych, co dawało machinie wojennej Rzeszy kilka lat przewagi. Ale nikt nie miał złudzeń. Na początku 1943 roku oba kraje będą w pełni gotowe do wojny. Nieunikniona z punktu widzenia Hitlera konfrontacja postawi nas w bardzo niekorzystnej sytuacji.

Weźmy ZSRR. Komunizm i faszyzm mają jedną zastanawiającą wspólną cechę. Z niezrozumiałych względów odrzuca od nich ludzi inteligentnych. Stalin był tego świadom, nigdy nie mógł zaufać ludziom, którzy przeczytali w życiu choć jedną książkę. Uważał, że prędzej czy później choćby przypadkiem rozejrzą się wokół i zaczną myśleć, a wtedy komunizm upadnie. Dlatego pozbył się wszystkich inteligentnych ludzi z armii. Traf chciał, okazało się, że to sami wyżsi oficerowie. Zdarzyło się to tuż przed wojną, co moim zdaniem świadczy, że Stalin wypełnił wtedy doskonale warunek komunizmu dotyczący inteligencji. Dość powiedzieć, że jak w 1939, korzystając z ogólnego zamieszania, olbrzymi rosyjski niedźwiedź zaatakował jeden malutki kraik, Finlandię, to kompromitacja była na cały świat. Ale Stalin wyciągnął z tego nauki. Inteligentni są potrzebni, tylko nad każdym trzeba postawić wielu komisarzy politycznych. Oni sugestiami i wtrącaniem się zrównoważą inteligencję.

W każdym razie teraz armia rosyjska się przezbraja i szkoli kadry. Nadto wykorzystują wykradzione nam

futurystyczne technologie, by pchnąć radziecką naukę do przodu. Powrócili do badań z lat trzydziestych o przeszczepianiu mózgu człowieka do ciała szympansa. Boję się, że z obecną wiedzą w dziedzinie biologii są w stanie osiągnąć sukces.

Ja tymczasem dawno już przekazałem pana informacje, że przegramy tę wojnę, zwłaszcza przez wojnę z Rosją. Kilka osób uznało, że aby to stwierdzić, nie potrzeba pańskich przepowiedni, wystarczy przyjrzeć się faktom.

Rudolf Hess podszedł do Hitlera i wspomniał o pańskich proroczych słowach. Führer stwierdził, że sytuacja się zmieniła, zresztą ma na to radę i na pewno nie przegramy. Mówiąc szczerze, wszystkim nam ulżyło. Guderian zebrał się na odwagę i zapytał, jaki to sposób. Wtedy Hitler powiedział, że wyda specjalną dyrektywę nakazującą żołnierzom SS walczyć do ostatka i nigdy się nie wycofywać. No jak to usłyszeliśmy, tak wszyscy w duchu, jak jeden mąż, załamaliśmy się.

Kilka osób zawiązało spisek. Stwierdzili, że bez Hitlera może by się dało normalnie żyć i nie zaczynać wojny ze Stalinem. Zaplanowano zamach.

Dziesiątego maja Rudolf Hess porwał samolot i uciekł do Liverpoolu, gdzie chciał negocjować warunki pokoju. W tym samym czasie szef Abwehry robił wszystko, żeby zabić Hitlera.

Co do szczegółów przeprowadzonego zamachu, niestety, nie mam żadnych informacji. Pewne jest, że Hitler przeżył, wywieziono go do kwatery głównej gdzieś na odległej północy. Heydrich, który od dawna podejrzewał Canarisa o różne rzeczy, polecił aresztować jego i wszystkich, których choćby podejrzewano o współudział w spisku. Przez jakieś niedopatrzenie, mnie również.

Rozpoczęły się przesłuchania. Śledztwo prowadzone przez Heydricha ujawniło, że Canaris już dwukrotnie

wysyłał przed wojną do Wielkiej Brytanii swoich emisariuszy, specjalnie też podawał Hitlerowi nieprawdziwe informacje dotyczące raportów wywiadów, zwłaszcza z Hiszpanii i Gibraltaru, którego Anglicy nie mogli stracić. Siejąc nieufność, sabotował rozmowy z Moskwą, kiedy jeszcze oba państwa łączyły wspólne interesy. A co najgorsze, na różne sposoby ratował przed SS Żydów. Posuwał się do tego, że szczególnie zagrożonych przedstawiał jako swoich agentów. Dostarczał też Anglikom informacji o zbrodniach na Żydach dokonywanych przez Niemców w Polsce.

Przesłuchiwano go długi czas. Moi koledzy z SS chcieli wiedzieć, jakich przyjaciół miał szef Abwehry. Ale Canaris milczał.

Spojrzenie Weinera stało się idealnie matowe. Patrzył gdzieś w przestrzeń.

- Przyszli po niego rano, zarzucili mu na szyję metalową pętlę i dusili powoli, by przedłużyć cierpienia. Po zdjęciu stryczka okazało się, że Canaris jeszcze żyje, powieszono go zatem ponownie. Następnie odcięto mu dłonie i stopy. Ciało spalono.

W tym czasie rozpoczęło się też polowanie na przyjaciół Hessa. On sam został internowany w Londynie. Mówiłem, że posiadał pewne umiejętności…? Podobne do pańskich. Nie, przepraszam, do takich, jakie się panu powszechnie przypisuje. W każdym razie wielu spośród wpływowych, uzdolnionych w specyficzny sposób ludzi, których można było powiązać z Hessem, zostało aresztowanych i zgładzonych. Hitler nadał radiogram z północy, by Hessa uznać za osobę niepełnosprawną umysłowo.

Nadal, mimo tylu zamachów, żył. Podobno jest przekonany, że to sam Bóg go ochrania, odwracając kule i zmieniając fale uderzeniowe ładunków. Bo jak to możliwe, żeby jeden człowiek tyle razy uciekł śmierci?

Bóg wyraźnie musi mieć swoje plany co do Hitlera, skoro tak nagina prawdopodobieństwo i prawa fizyki, by ochronić wodza Niemców.

Przekrzywił wzgardliwie wargi i znów powrócił Weiner-ironista:

- Jeżeli o mnie chodzi, jestem przekonany, że Hitlera załatwi w końcu pewien makaroniarz, dowódca włoskiej floty na Morzu Śródziemnym. Stosując najrozmaitsze wygibasy moralne i najnowocześniejszy sprzęt, nasz wywiad ustalał planowaną trasę konwoju z Gibraltaru na Maltę. Następnie nasz admirał wyruszał im naprzeciw, ale jakimś cudem tylko znajdował się w pobliżu Brytyjczyków, zawracał do domu, meldując, że nie mógł ich znaleźć. Za każdym razem, gdy Hitler o tym słyszał, jasna krew go zalewała. Drgały mu wszystkie żyłki na czole. Stawiam dziesięć do jednego, że w końcu któraś pęknie.

Artur odezwał się:

- Dobrze, w takim razie rozumiem, że ja byłem jednych z uzdolnionych, których powiązano z Hessem. Dlatego SS chciało się mnie pozbyć?

- SS by pana aresztowało i przesłuchiwało. Ci nie mieli takiego zamiaru. Wątpię też, by walczyli z pańską ochroną. Nie, ja tu podejrzewam kogoś innego. Kto korzystając z ogólnego zamieszania, zdecydował się ubić własny interes i pozbyć konkurencji.

- Batholomäus von Blankenknohr!

- Tak przypuszczam. Wynajął kilku zbirów, co przy jego wpływach było łatwe, i wysłał, by pana zabili. Niestety, nie możemy mu tego udowodnić, a szkoda, bo wykazał się prymatem myślenia osobistego nad interesem rasowym. Pan jest potrzebny Rzeszy, nigdy byśmy pana nie zamordowali. Zawiść, nędzne uczucie Blankenknohra, naraziło na niebezpieczeństwo całe Niemcy. Oczywiście podejmę śledztwo... Ale prawda jest taka, że po wyjeździe

Hessa ciemny mag należy do najbardziej wpływowych osób w państwie, a jego stronnictwo urosło niebezpiecznie w siłę. A wielu spośród nam przychylnych zostało wymordowanych. Obawiam się, że teraz on może próbować uderzyć w nas w każdej chwili, a my nie możemy go dosięgnąć.

- Znów wyśle morderców?

- Podejrzewam, że spróbuje bardziej finezyjnych metod. Co dobre podczas rewolucji, źle sprawdza się w spokojnych czasach. A jego możliwości polityczne bardzo urosły.

Artur zasępił się. Jego przyszłość nie wyglądała różowo. Weiner najwyraźniej nie potrafił go skutecznie chronić.

- Co do mnie, wypuszczono mnie z braku dowodów. Nieliczne spotkania z Canarisem to zbyt słabe przesłanki, ponadto spotykałem się z nim, prowadząc prywatne śledztwo jako oficer SS. Od dawna podejrzewałem, że sprzyja Żydom.

- O spotkaniu w klubie „Ciemność" też wiedzieli?

Weiner drgnął, na twarzy mignął mu grymas zaskoczenia.

- Byłem tam służbowo, ochraniając pana. To modny klub, przypadek, że bawi się tam Abwehra. Nie, nie wiedzieli... - dodał wreszcie.

- Cieszę się, widząc pana wreszcie po właściwej stronie, Herr Weiner - powiedział przyciszonym głosem Polak.

- Jest pan zbytnim optymistą, Herr Sosnowski. Ja nie jestem po pańskiej stronie. Niech pan nie popełni błędu i nie nazwie mnie przyjacielem. Gdyby Hitler nie wywołał tej wojny, to kto wie... Ale tak, ja jestem Niemcem, a pan Polakiem. Pewnego dnia staniemy przeciwko sobie w okopach, a każdy z nas będzie miał w ręku karabin. Bo to, że pewne wydarzenia sprawiły, iż mam krytyczną postawę do mego rządu i pragnę czasem, żeby był inny, nie znaczy, że nie zależy mi na moim kraju. Mam tu rodzinę.

Wszystkimi środkami nie mogę dopuścić, by Niemcy przegrali tę wojnę, bo kocham moich bliskich. Dlatego będę walczył o silne Niemcy. Nie mam wyjścia. I nie łudzę się, że pan prędzej czy później będzie walczył o tę swoją Polskę. Tak to działa. Może za pięćdziesiąt lat, gdy ludzkie krzywdy przyschną, moglibyśmy usiąść w jednym ogródku i wypić wspólnie kawę, świetnie się razem bawiąc. Ale wcześniej niech pan nie popełnia błędu i nie nazywa mnie przyjacielem.

- Powiedzmy, że nie potrafię już o panu myśleć jako o wrogu.

- Nauczy się pan. Historia to potężna siła, śmieje się z ludzkich pragnień. A tymczasem... Zastanawiał się pan, że pomysł powołania niezależnego państwa polskiego pod protektoratem Rzeszy, owego Cesarstwa Polskiego, stawia pański naród w ciekawym położeniu? Przecież jak was Rosjanie dorwą, to nie chciałbym być w waszej skórze. Swoimi pomysłami związał pan istnienie Polski z silnymi Niemcami. Niech się pan zastanowi, po czyjej pan teraz stoi stronie. W Polsce żyją ludzie, zapewne pańscy dalecy przodkowie. Jeżeli rozpęta się tam wojna, oni umrą.

- Dlatego mam stać się nazistą?

- Nazistą, po tym co oni chcą zrobić Żydom, nie może zostać już nikt. Owszem, zazdrościłem im jak wszyscy. Żydzi byli bogaci i aroganccy. Uważali się za coś lepszego, naród wybrany. Nie mieszali się z nami, bo taki związek to mezalians. Nie widziałem nic złego, gdy Hitler zapowiedział im lekcje pokory w imię wyrównania szans w państwie socjalnym. Ale to, co opowiedział, śmiejąc się jak szalony, Heydrich na konferencji w Wannsee... Istota ludzka nie może tego słuchać i nie zadrżeć. Odwiedziłem potem jeden z obozów, w ramach szkolenia SS. Musiałem zobaczyć na własne oczy. Przecież Żydzi to tacy ludzie, no, jak my. Mają rodziny, dzieci, kochają i czują jak wszyscy. Właściwie dlaczego ich tak nienawidzić. Można im zazdrościć

pieniędzy, dobra. Ale żeby takie rzeczy... to po prostu... - Weiner zaczął nerwowo masować dłonią czoło. - Albo tacy homoseksualiści. Co właściwie mi przeszkadza, że jeden mężczyzna kocha drugiego? To naprawdę jest ich sprawa. Dobra, Himmler mówi, że za trzydzieści lat nasza armia straci na tym tyle i tyle żołnierzy. Ale ja, kurwa, chcę, żeby za trzydzieści lat był pokój. Hitler nam obiecał, że zastosuje pewne środki, żeby zapewnić nam raj na ziemi. Ale do tego raju wcale nie jest bliżej, właśnie wywołał kolejną wojnę z Rosją. A środki stosuje coraz bardziej... radykalne.

Jest opowieść o przedstawieniu Hitlerowi projektu swastyki. Führer miał zdecydować, czy będzie prawoskrętna, stając się wówczas symbolem słońca, pomyślności i szczęścia, czy też zaginać ramiona w lewo, tworząc gwiazdę chaosu i rozpadu. Podobno Hitler wahał się długo i wybór ten był wyborem jego duszy. Określał wszystko to, co zdoła wybudować. Dla mnie ten moment stał się najważniejszy w rozwoju nazizmu, już wtedy był mroczną zapowiedzią zwycięstwa tendencji do autodestrukcji. Widziałem znaki, zbyt głupi, by wyciągnąć wnioski. On nas wszystkich załatwi, a na końcu siebie, i wtedy dopiero osiągnie spełnienie.

Weiner popatrzył wprost na Sosnowskiego.

- Nie, z nazistami my, Niemcy, musimy dać sobie radę sami. Jeżeli ktoś to zrobi za nas, oni nigdy tak naprawdę nie umrą.

*

- W czerwcu Hitler wypowiedział tę nieszczęsną wojnę. Poza Wehrmachtem i Waffen-SS szły za nami armie sojusznicze, których działania podporządkowane były dowództwu. Oprócz armii fińskiej. Próbowaliśmy się z nimi dogadać, "wiecie, jesteśmy po jednej stronie, może by tak

uzgadniać działania, jakaś wspólna strategia, te sprawy", ale oni zawsze odpowiadali w tym swoim niezrozumiałym narzeczu i dowództwo Wehrmachtu machnęło na to w końcu ręką. „Mamy tego dość, niech się Finowie biją, jak chcą i z kim chcą”. Włosi, Rumuni i Polacy byli całkowicie po naszej stronie. Tak, Polacy też, jak im powiedzieliśmy, że idą bić Ruskich, zgłosiło się całkiem sporo ochotników.

- Niech pan nie ma złudzeń. Na hasło „bić Niemców” zgłosi się tyle samo.

- Wierzę. Wy jesteście bardzo bitnym narodem i chyba nie lubicie swoich sąsiadów, co?

- Do Skandynawów nic nie mamy.

- Przez morze to się nie liczy. Mniejsza z tym. Wojna Hitlerowi idzie zadziwiająco dobrze. Niemal w każdym miesiącu zamyka i niszczy kilkusettysięczną armię Ruskich. Posuwamy się do przodu w zastraszającym tempie. Mamy niewyobrażalną przewagę w wyszkoleniu i technologii. Wydaje się, że nie miał pan racji. Ostrzegał pan, że wojna ze Stalinem to błąd, a tymczasem jeszcze miesiąc, dwa - i będziemy pod Moskwą. Nazistom znowu się udało. Nie wiem, jak oni to robią.

Weiner był autentycznie zafrasowany. Każdy sukces Hitlera umacniał nazistów. Jeżeli Weiner rzeczywiście marzył o kolejnej próbie przewrotu, wydarzenia na froncie podkopywały jej ewentualną skuteczność.

- Ale my zajmijmy się sytuacją na Bliskim Wschodzie. Wie pan, że to nasze ostatnie raporty uratowały mi życie? Uznano mnie za niezbędnego dla Rzeszy, a moja lojalność określona została jako „bez zastrzeżeń”. W końcu nasz korpus uratował sytuację w Iraku. Ale to nie koniec wojny. Anglicy trzymają się mocno, a w celu poszerzenia zaplecza dla swoich sił uderzyli na francuską Syrię. Idzie im tam całkiem dobrze, a my nie mamy ani jednego zbędnego czołgu, by wysłać w rejon Zatoki Perskiej. Ale, ale,

wspominałem, że Amerykanie wysłali tam lotniskowce? Właśnie dotarły. Na razie tylko stoją w portach Arabii Saudyjskiej, jednak ich obecność jest bardzo niepokojąca. Co pan sądzi?

- Nie wiem. - Sosnowski rozłożył bezradnie ręce. - W mojej wersji historii ich nie było.

Zdawało się, że Weiner chce coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Popatrzył na Polaka z namysłem.

- Niech pan lepiej coś wymyśli - rzekł niespodziewanie miękko.

*

Słynna w owym czasie stała się nota dyplomatyczna regenta Cesarstwa Polskiego, Szeleszczyckiego, do państwa chińskiego, w którym dziękował za wspólną walkę przeciwko ZSRR. W Chinach akurat mieli niezły bajzel, ale gdy w końcu po kilku miesiącach znaleźli kogoś, kto im tę notę z polskiego przetłumaczył, umęczony wojną z Japonią kraj bardzo się zdziwił, że stoi po stronie Osi. A tymczasem otoczenie Szeleszczyckiego wyjaśniło mu, że się przesłyszał, nie ma czegoś takiego jak Chinlandia.

Tymczasem Weiner miał więcej pytań, twierdząc, że Artura długo nie było i pewne sprawy się spiętrzyły.

- Wywiad donosi, że Żydzi na całym świecie zbierają próbki DNA zwierząt i roślin. Gdybyśmy żyli w czasach pokoju, pomyślałbym, że są to zwyczajne prace badawcze, może z zakresu systematyki. Ale jest wojna. Niektórzy z nich narażają życie, by dotrzeć do najdalszych zakamarków Azji opanowanych przez Japończyków, inni ledwie uchodzą spod gąsienic czołgów Afrika Korps. Może nam pan powiedzieć, jaki jest cel tych badań?

- Nie wiem. - Artur wzruszył bezradnie ramionami. - W moim świecie coś takiego się nie zdarzyło.

- SS boi się, że z tego wyjdzie jakaś bomba... Nieważne. Może coś bardziej z pańskiego podwórka. Oddaliśmy naszym sojusznikom na Wschodzie bezpieczniejsze odcinki frontu. Kiepsko wyposażeni i wyszkoleni, nie dotrzymaliby pola przeważającej sile Armii Czerwonej. Mimo to w kontrolowanej przez Polaków strefie panuje zawsze zadziwiający spokój. Ma pan jakieś sugestie? Znowu pan nie wie, prawda?

*

Artur poczuł się zmęczony po całym dniu współpracy z Weinerem. Rozebrał się z ulgą i ulokował w wannie. Miała chropowaty kształt, pełen miskowatych wklęsłości i guzowatych wypukłości. Metal chłodził nieprzyjemnie nagą skórę. W dziwacznej wypustce nad krawędzią wanny zidentyfikował rodzaj kranu. Chwilę bezskutecznie obmacywał go rękoma, wreszcie któryś z palców odnalazł zagłębienie. Artur poczuł, jak pod opuszką coś się przesunęło i z kranu zaczął ciec gęsty, mleczny płyn. Sosnowski domyślił się, że to substancja regenerująca, o której słyszał od przewodnika. Była ciepła, gdziekolwiek dotknęła nagiej skóry, wzbudzała przyjemne mrowienie i grzała leciutko. Miała trudny do zidentyfikowania, nijaki zapach. Lała się do wanny powoli i nim przykryła dno, Artur już nielicho zmarzł. Tors pokryła gęsia skórka, natomiast nogi od spodu były jak podgrzewane. Niezwykłe uczucie, pomyślał Artur.

Chciał poczuć smak tej substancji, dlatego nabrał odrobinę na koniuszki palców. Poruszając nimi, widział, jak substancja swobodnie się rozciąga, nie tracąc spoistości. Ostrożnie dotknął jej językiem. Miała słony smak

przywodzący na myśl płyny ustrojowe. Artur wykrzywił się z obrzydzeniem, następnie przechylił przez krawędź wanny i wypluł wszystko na podłogę.

Wreszcie poziom cieczy dotarł do serca i Artur uznał, że już dość. Z niemałym trudem odnalazł wyłącznik. Zamknął oczy i poddawał się przyjemnemu, narastającemu mrowieniu, które ogarniało zanurzone ciało.

Mimo to nie potrafił oddać się relaksowi w pełni. Nachodziły go pełne lęku, niechciane myśli, spinały mięśnie, zamieniając je w twarde postronki. Martwił się o Liliane, nawet bardzo. Weiner dał mu słowo ostatniego uczciwego Niemca, że jest bezpieczna i nic jej się nie stanie. Mimo to Sosnowski nie rozumiał powodów rozdzielenia ich, pragnął zobaczyć dziewczynę jak najszybciej. Póki się nie spotkają, nie zazna spokoju, Weinerowi, co oczywiste, nie można ufać do końca. Zamierzał męczyć o to spotkanie swego opiekuna tak długo, aż tamten ustąpi.

Jedna fala lęku odpłynęła, zastąpiła ją kolejna, wymieszana z niepohamowaną wściekłością. Gniew na ciemnego maga Hitlera był ogromny, tym straszniejszy, że bezsilny. Jak pokonać nieosiągalnego przeciwnika, który w każdej chwili może uderzyć? Czy tak naprawdę jest bezpieczny nawet teraz w wannie, mimo licznych straży, jakie postawił przed drzwiami Weiner?

Trzeba też porozmawiać z Hoffmannem, może coś poradzi w obu sprawach. Artur liczył skrycie, że naukowiec będzie miał dla niego ciekawe informacje.

Sosnowski nie mógł się też przyzwyczaić do nowego apartamentu. Zmiany w architekturze zapowiadały już szybkie windy. Artur, za swojego dawnego życia przyzwyczajony do korzystania z takich urządzeń, przeoczył oczywisty fakt, że w tej epoce nie miały prawa zostać skonstruowane. Ile jeszcze takich rzeczy stanowiło dla

niego codzienność, a dla Berlina epoki wojny było wyłamującą się z linii czasu nowością? Teraz, przypominając sobie ultranowoczesne wysokościowce Rzeszy, zadawał sobie inne pytania. To już nie były wieżowce, jakie znał. Czas zmienił bieg. Nowy Berlin, a wraz z nim najprawdopodobniej cały świat, podążał już własną ścieżką temporalną niepodobną do niczego, co Artur pamiętał. Jak do tego doszło? Sosnowski wciąż nie pamiętał, czy kiedy rozmawiał o kevlarze, przypadkowo coś wspominał, chyba tak, możliwe, nie, przecież nie, pamiętałby, nie wiedział, nie wiedział! Nie pamięta się każdej rozmowy prowadzonej dzień po dniu przez tygodnie, przekleństwo, ułomność ludzkiego aparatu poznawczego. Umysł zostawia jeszcze rzeczy ważne. Uwagi rzucone mimochodem, dykteryjki, konwersacje podczas jazdy samochodem, to wszystko niknie gdzieś w przepastnych odmętach nieświadomości. Więc załóżmy, że Artur jakoś naprowadził Niemców na trop, niech będzie kevlaru lub czegoś podobnego, może jeszcze podczas poszukiwań odkryto inne materiały, nienadające się na pancerze, ale znakomite do celów budowlanych. A odrodzony demoniczny Hitler, odbudowany wewnętrznie po okresie załamania, gdy Artur przepowiedział, że Rzesza wojnę przegra, wykorzystał technologię do ekspresji nowych fantazji. Niespokojny umysł nie pragnął już antycznego spokoju i wzorców rodem ze Sparty, ale chaosu właściwego biologicznej ewolucji. Stąd to spotworniałe miasto bez uczuć, wyrosłe przed oczami Sosnowskiego, świadectwo tyleż geniuszu, co wewnętrznego wynaturzenia jego twórców.

Nazistowscy naukowcy, niezmiernie zainteresowani biologią, wykorzystali wiedzę wydartą z umysłu Artura inaczej niż inżynierowie powojennego świata. Ruszyła z kopyta genetyka i kto wie, jakie będą tego konsekwencje. Na razie Artur miał wrażenie, że otaczają go wszędzie

organiczne tkanki, przenikające sztuczne mechanizmy i konstrukcje, w pełni funkcjonalne hybrydy żelaza i żywych komórek, zamontowane w budowlach, samochodach, urządzeniach codziennego użytku.

Zresztą, czy naprawdę oczekiwał, że nawet podając im teoretyczne podstawy tych samych wynalazków, osiągną ostatecznie dokładnie te same technologie, co w jego świecie? Efekt motyla, drobne zmiany parametrów powodują znaczące skutki. A on wprowadził szereg całkiem dużych zmian, które były łopotem skrzydeł nie motyli, ale wielkich ptaków, a potem dziwił się, że wszystko potoczyło się w niedającym się przewidzieć kierunku. Jeżeli była w tym nawet jakaś zasada, nie potrafił jej znaleźć, poza tym iż zmiany postępowały niezwykle szybko. Czyżby efekt gorączkowej mobilizacji całych narodów na czas wojny, a może jego podpowiedzi ułatwiły aż tyle? Zagadki się mnożyły, Artur przeczuwał, że przyszłość zamiast odpowiedzi przyniesie raczej więcej rzeczy niezrozumiałych i niesamowitych.

Nagle przez ciemną szybę łazienki przemknął jakiś wielki, ośmionogi kształt. Artur poczuł w uszach szaleńcze bicie serca. Co to było, tam, na zewnątrz? Wstał gwałtownie, a płyn, który pozostał na skórze, zaczął się powoli pienić i zamieniać w bąbelki powietrza, które pękały i znikały. Owinąwszy się ręcznikiem, ruszył do głównego pokoju. Podszedł do szyby i wyjrzał. Przyciemniane okna nie wypuszczały światła na zewnątrz, dlatego późnym wieczorem czarne wieże bloków mieszkalnych były ledwie widoczne. Artur przyczaił się, na próżno: niczego więcej nie zobaczył ani nie usłyszał.

Uznałby, że mu się przywidziało, gdyby nie był świadomy obecności pająków w kanałach. Czy mogły wyjść na zewnątrz, polując w nocy na samotnych ludzi? Tamten, który mu przez chwilę mignął, był wielkości naprawdę dorodnego kota.

A może to tylko strach wszystko wyolbrzymia?

Trzeba się położyć spać. Artur odnalazł nieckę łóżka i owinęło go natychmiast bardzo gęste, szare pole o elektrostatycznych właściwościach, podobne do tego, które utrzymywało go w fotelu, ale znacznie cieplejsze. Nim zasnął, z zadowoleniem skonstatował, że skórę ma gładszą i przyjemną w dotyku. Płyn regenerujący okazał się najwyższej jakości.

Ale nie spał spokojnie. Śniło mu się, że liczne owłosione odnóża waliły w okna, gromadziło się coraz więcej pająków, głodnych i niespokojnych, obrzydliwie chrzęszczących szczękoczułkami. Szyba zdawała się uginać pod ich uderzeniami, lada chwila pęknie. Artur nie mógł uciec, łóżko przytrzymywało go niby lepka sieć.

*

- Nie może być! Myślałem, że już nie żyjesz. Gdy Weiner powiadomił mnie, że jest inaczej, omal nie utopiłem się w tej nowej wannie. Wejdźże wreszcie.

Apartament Hoffmanna wyglądał podobnie jak Artura, projektanci nazistów nie stawiali najwyraźniej na różnorodność. Naukowiec przyznał, że tęskni za poprzednim mieszkaniem, nie może się przyzwyczaić do sterylnego światła i zimnych ścian.

- Ale, ale... Mam dla ciebie mnóstwo rewelacji. Nie jesteś na przykład jedyną osobą, która podróżuje przez continuum czasu. Spędziłem wiele godzin w archiwach i bibliotekach Drezna. Zaraz zrobię herbatę i wszystko po kolei ci opowiem. Muszę cię jednak ostrzec, że wiele z tych historii brzmi nieprawdopodobnie, a nie miałem możliwości dogłębnego ich zbadania ani potwierdzenia. Ich jedynym świadectwem wiarygodności jest fakt, iż naziści uważają je za supertajne i strzegą dostępu przed osobami

niepowołanymi. Niektóre z wniosków były tak absurdalne, że chciałem rzucić to wszystko w kąt i zająć się dla odmiany czymś pożytecznym.

- Dlaczego tego nie uczyniłeś?

- Pomyślałem, skoro oni w to wierzą, oznacza to, że w jakimś sensie jest to prawdziwe. Na zasadzie, nie ma znaczenia, czy Bóg chce, by ludzie chodzili do kościoła, ważne jest, że ludzie tak uważają. Wówczas, tak czy siak, znajdziemy ich w kościele, prawda? Taka praktyczna perspektywa pozwoliła mi wrócić do równowagi umysłowej w tych oparach nonsensu i co za tym idzie, do dalszej pracy. Czekaj, zrobię ci kawę i wszystko opowiem.

- Wolałbym herbatę.

- Jak sobie życzysz. Wejdź do salonu i rozgość się. A przede wszystkim zrzuć ten okropny kombinezon. W mieszkaniach prywatnych nie jest jeszcze obowiązkowy. Pożyczyć ci ubranie?

- Nie trzeba. - Artur rzucił maskę i rozpiął zamek, pospiesznie pozbywając się nienawistnego ubrania. Pod spodem miał białą koszulę i czarne spodnie. Noszenie odzieży pod kombinezonem, choć niemile widziane, nie zostało zabronione. Rozsiadł się wygodnie.

Po chwili pojawił się gospodarz z herbatą.

- Nawet ładny stąd widok, gdy ściany mojego domu strzelają do alianckich bombowców. Widziałeś coś takiego?

- Nie. Poprzednia noc była spokojna, a wprowadziłem się dopiero wczoraj.

- Znakomita sprawa. Ściana zdaje się płonąć od wyrzucanego ognia. Samych bombowców nie widać, są za wysoko, ale niebo rozświetlają czerwone błyski. A jak któryś spada, to jakby ciągnął warkocz komety. Tylko się głupio czuję, bo wychodzi na to, że mam dom bardziej patriotyczny ode mnie.

Artur uśmiechnął się i pochwalił herbatę.

- Przyniosę jeszcze ciasto. Nie tak dobre jak ostatnio, bo odkąd walczymy z Ruskimi, są problemy z aprowizacją i brakuje niektórych składników. Wcześniej, mimo alianckiej blokady, Wschód wszystko nam dostarczał. Teraz zaczęły się kłopoty. Ale, ale... włączę za to muzykę. Jest całkiem niezła, jak się przyzwyczaić.

Hoffmann pomajstrował coś przy stole i z głośników ukrytych w rogach pomieszczenia popłynęły rytmy charakterystyczne dla dyskotek lat osiemdziesiątych.

- Zaskakuje mnie zróżnicowanie współczesnej muzyki - mówił dalej naukowiec. - Ma swoje dobre strony. Kiedyś uczestników grupy terapeutycznej poprosiłem, by każdy przyniósł jakiś kawałek muzyczny, który odzwierciedla jego sytuację emocjonalną. Bardzo ciekawy eksperyment wyszedł. Ludzie dźwiękiem i melodią wyrażali często coś, czego sami nie byli świadomi i czego by szybko otwarcie nie wyrazili.

- Wróciłeś do zawodu? Cieszę się.

- A tak! Wróciłem. Przecież nie mogłeś być moim jedynym pacjentem, byłoby to nieco podejrzane.

- Nie mów, że wszyscy inni to kamuflaż dla naszych spotkań.

- Nie. Potrzebowałem też pieniędzy. Poza tym... Dość miałem już ucieczek. A rezygnacja z praktyki była taką ucieczką. Gdy zacząłem ci pomagać, okazało się, że poczułem się dobrze, zrozumiałem to wszystko.

- Dla mnie te zwykłe rozmowy były ważne. Pojąłem to, kiedy ich zabrakło w podziemiach Berlina, gdy byłem ścigany przez wszystkich. Wówczas dowiedziałem się, że twój rozsądek przywrócił mi właściwą perspektywę, zachwianą w lochach Hagendera. Tam wszyscy urabiali mój umysł, kształtując go niczym plastelinę. Zacząłem mówić to, co chcieli słyszeć, i zwątpienie zakradło się do mego

serca. Ten system ogłupia, ale gdy znajdzie się dwóch ludzi myślących podobnie, można przetrwać.

- Tak, też myślę, że ludzie powinni się spotykać, wspólnie myśleć i rozmawiać. Tak chyba jest łatwiej, razem. Dobrze, powiedz teraz, co się z tobą działo.

Artur nakreślił skrótowo wydarzenia ostatnich miesięcy, uwypuklając rolę ciemnego maga.

- Ten von Blankenknohr zapewne jeszcze nie raz spróbuje cię zniszczyć. Szkoda, że życzliwy ci Weiner jest zbyt słaby, by skutecznie zaatakować. Ja również niewiele ci pomogę. Wyszperam może coś w archiwach, co nie będzie łatwe, zważywszy, że profesor zmienia tożsamości jak rękawiczki. Ale nie liczyłbym, że znajdę cudowną broń na twego wroga. Na pewno nie pójdzie mi tak dobrze, jak z zadaniami, które wyznaczyłeś mi wcześniej. Zrobię nam jeszcze herbatę. Ostatnio jej picie, takie angielskie, uznawano za niepatriotyczne. - Naukowiec wstał i mrugnął. - Dlatego nam zrobię. I opowiem ci wówczas wszystko, czego się dowiedziałem.

*

- Thule jest mroczną organizacją skupiającą bogatych i wpływowych ludzi, która po pierwszej wojnie zapragnęła przejąć władzę w Niemczech. Jej symbolem był miecz na swastyce, otoczony wieńcem z dębowych liści. Praktykowali ciemną magię, zwiększali swoją moc, korzystając z doświadczeń czarowników i szamanów z całego świata. Adepci Thule byli szkoleni przez tybetańskich mnichów, a późniejsze wyprawy badały pozostałości południowoamerykańskich cywilizacji, aby zyskać wiedzę czarnoksięską. Powstał zakon w zakonie, którego członkowie uzyskali potężną moc. Wewnętrzny krąg pozostawał w ukryciu przed bogatymi i wpływowymi

członkami niegodnymi wtajemniczenia. Pozostawały im teatralne ceremonie, horoskopy wyssane z palca i wiara w moc run. W wewnętrznym zakonie, którego uzdolnionymi adeptami byli wówczas Rudolf Hess i Batholomäus von Blankenknohr, zaczęły się podziały. Niektórzy z nich odrzucili wyznawaną przez przywódców ideologię antysemicką i ultranarodową. Rozłam zapobiegł największej wojnie magów dwudziestego wieku. A gdyby nie to, że przez umęczony świat dopiero co przetoczyła się pierwsza wojna światowa, niechybnie czarnoksiężnicy zebraliby wojska.

- Co się stało dalej z Thule?

- Zrozumieli wreszcie, że jest ich zbyt mało, by zagrozić demokratycznemu porządkowi republiki weimarskiej. Stworzono program mający za zadanie przyłączyć do feudałów szerokie masy robotnicze. Stratedzy Thule słusznie kalkulowali, że najszybciej i najłatwiej będzie można manipulować najuboższymi. Zdesperowani uwierzą w każdą obietnicę, byleby ktoś się za nimi ujął. A w demokracji nie ma znaczenia, czy głos należy do osoby inteligentnej i wykształconej, czy takiej, która nie wie, co to budżet albo czym różnią się kompetencje parlamentu od sądów. Czy to nie piękne, że głosy są warte tyle samo? Wystarczy tylko zebrać wszystkich idiotów, tych, statystyka wskazuje, zawsze będzie znacznie więcej aniżeli dobrze wykształconych.

Profesor zrobił krótką pauzę dla zaczerpnięcia oddechu i kontynuował:

- Naziści pierwsi zrozumieli znaczenie propagandy w demokracji. Ważne jest to, co się mówi, jak się pokazuje innym, mniej istotne, co się robi. Tak powstał program socjalny dla biedaków oraz ich własna partia, jako przybudówka do Thule. No bo przecież parchy nie mogły siedzieć w jednej ławie z magnatami. Stworzono NSDAP. Elitarne Thule przestało być stopniowo potrzebne. Źle

wyglądało w programie socjalnym. Towarzystwo zeszło do ukrycia. Tu na scenie pojawia się Adolf Hitler. Nie wiem, czy był tylko uzdolnionym politykiem, czy wspomagał swoje wystąpienia magią panowania nad umysłami, a więc technikami wytworzonymi w kwaterach Thule. Trzeba zauważyć, że wiece odbywano nocną porą przy blasku pochodni, wszystko to budziło pierwotne uczucia i miało hipnotyzujący wpływ.

Naukowiec urwał, wyraźnie zakłopotany. Upił herbaty.

- Teraz musisz mi wybaczyć, bo dochodzimy do notatek, przy których tak buntował się mój wychowany na naukowym rygorze umysł. Zawiesiłem na czas badań niewiarę. Słuchaj, do czego doszedłem. Mniej więcej w tym okresie dokonano skoku poprzez czas. Najwybitniejsi magowie Thule wezwali z odmętów dziejów półdemona, potężną istotę, która - wydarta tkance astralu - zdołała opętać prowadzącego obrzęd Heinricha Himmlera. Ta istota żyła być może od zawsze, jedyne, co wiem, to fakt, iż wcześniej udokumentowaną historycznie sztuką jej przyzwania dysponowali germańscy szamani tysiąc lat temu.

- Co się wówczas stało?

- Demon opętał człowieka, który przeszedł do historii jako Henryk I Ptasznik i wywołał serię krwawych wojen.

*

Dla bezpieczeństwa ogolił się w przerwie obiadowej, w publicznej toalecie knajpki leżącej dwie przecznice dalej. Starannie usunął wszystkie włoski z twarzy i przedramion aż po łokcie. Wyszorował kilka razy skórę szarym mydłem, aż stała się czerwona. Wczoraj wieczorem odwiedził fryzjera, kazał przystrzyc i tak krótką fryzurę. Teraz starannie przeczesywał głowę grzebieniem, by każdy,

nawet najdrobniejszy luźny włos lądował w umywalce. Przyjrzał się sobie krytycznie w lustrze. Nic więcej nie mógł zrobić, by uchronić się przed gniewem Rzeszy. Pozostawało wrócić do pracy. Armand Schneider był bibliotekarzem. Dzisiaj zostanie do późna.

- Przemęczasz się - powiedziała Ivonne, jego współpracownica, zakładając płaszcz. On siedział przy drewnianym biurku zawalonym stertami książek. Niewielka lampka świeciła ostro. Podniósł głowę i oczy, natrafiając na żarówkę, od razu załzawiły. Odsunął ją od siebie, by spojrzeć prosto na kobietę. Mówiła: - Możesz to równie dobrze zrobić jutro. Wiesz, że nasza praca przestała mieć jakiekolwiek znaczenie.

- Dla mnie ma - powiedział cicho, i rzadko był czegoś tak pewien, jak w tej chwili. Kochał książki.

- Szkoda, że gdy amerykański IBM dostarczył technologię zarządzania danymi, nie użyto jej w bibliotekach, tylko podobno do administrowania jakimiś obozami - rzucił po chwili lekko.

- Ludzie są ważniejsi niż książki. I tak nie nauczyłbyś się obsługiwać kart perforowanych. Za stary jesteś na to.

- Tak, muszę zostawać do późna, by to wszystko skatalogować. Dziękuję, że zrobiłaś mi kawę.

- Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić.

- Zaniosłaś też Adolfowi?

- Tak. Chociaż go nie lubię. Ale musimy z nim jakoś żyć, nie?

- Trzeba jakoś żyć z nimi wszystkimi - westchnął. - Uważaj na siebie.

- Będę. Trzymaj się, staruszku. I jeszcze jedno... Nieźle wyglądasz w tym garniturze. Nowy?

- Wczoraj kupiłem. Wiesz, raz się żyje.

- Pasuje ci. *Auf Wiedersehen Herr Schneider.*

– *Auf Wiedersehen Fräulein Gessner.*

Miał czterdzieści trzy lata, Ivonne osiem mniej. Często mu dokuczała, że powinien iść na emeryturę. Nie miał do niej o to żalu, wiedział, że nie mówi poważnie. Przekomarzali się, wypełniając ośmiogodzinny dzień dyżuru w bibliotece śmiechem i entuzjazmem, jak u nastolatków. I tak nie było, co robić, nikt do nich nie przychodził. Ludzie bali się czytać. Posiadanie książek, oczywiście poza *Mein Kampf*, mogło się skończyć problemami.

Patrzył, jak jej korpulentna sylwetka znika w drzwiach. Cieszył się, że może podziwiać jej szare włosy ostrzyżone na pazia, pucułowatą twarz. Gdyby pracowali w Berlinie czy Monachium, albo od początku miesiąca w Hamburgu, obowiązywałby ich już nakaz noszenia służbowych uniformów z przeciwchemiczną maską. Chwilowo jednak fabryki nie nadążały z produkcją kombinezonów i w Dreźnie można było do pracy ubierać się w elegancki garnitur, a na ulicy nosić płaszcz.

Drzwi się zamknęły. Rozległ się nieco sztywny odgłos obcasów uderzających o płytki. Serce zabiło mu szybciej. Powoli wstał. Podszedł i zamknął je na klucz. Powrócił do biurka i zabrał niewielką czarną walizkę. Ruszył w długą drogę między sięgającymi sufitu regałami.

Ivonne. Od tylu lat marzył, że trzyma jej twarz w dłoniach i całuje powoli w usta. Nie była specjalnie ładna, ale w jego oczach piękna. Wiele razy wyobrażał sobie, że pieści jej piersi, po kolei, najpierw długo prawą, potem lewą, a ona wzdycha z rozkoszy. Śniło mu się, że bierze ją gwałtownie na tym drewnianym biurku, a wszystkie książki spadają na parkiet.

Wiedział, że ona też o nim marzy, widział to w jej oczach. Sprawdził książki, które wypożyczała. Pełne romansów, miłości, nieposkromionej żądzy. W tym *Niewolnice z Long Island* Antoniego Marczyńskiego, słynnego gorszyciela

maluczkich z Polski. Sam pochłonął to w jeden wieczór, potem przez dwie noce rozpalony nie mógł zasnąć. Nie potrafił sobie wyobrazić, że Ivonne, na co dzień taka niewinna i porządna, czyta takie rzeczy.

Czasami po pracy chciał podejść, zagadać, zaproponować, żeby poszli na kawę. Nigdy nie miał odwagi. Czuł, że odtrąciłaby go i ich relacja zmieniłaby się raz na zawsze. Posiadał tak niewiele, tylko jej obecność, uśmiech i żart, błysk oka, ale za nic nie chciał tego stracić. Co gorsza, bał się, że gdyby ona zaproponowała spotkanie, przeraziłby się i odmówił pod byle pretekstem, a potem zaszył zawstydzony w najdalszym kącie biblioteki.

Pracowali razem od ponad dziesięciu lat. Gdy czasem jesienią Ivonne chorowała na grypę i musiała zostać w domu, dni w bibliotece nigdy nie były tak smutne i szare.

Marzył, by ten dystans między nimi zniknął i by nie mówili do siebie już nigdy Herr Schneider i Fräulein Gessner. Może kiedyś, w innym życiu...

Wyszedł z pomieszczenia drugimi drzwiami. Znalazł się w krótkim korytarzu. Po lewej znajdowały się toalety. Ruszył w prawo. Doszedł do drugich drzwi, solidnych i tak wysokich, że zmieściłby się w nich mężczyzna wzrostu dwa razy większego od niego.

Tam, opierając tors na stoliku, głośno chrapał Adolf. Obok stała filiżanka z resztką kawy.

Adolf, chociażby ze względu na doskonałe imię, bez trudu dostał się do partii. Potem niestety okazało się, że jest zbyt głupi, żeby dać mu karabin i wysłać na front, więc przydzielono go do biblioteki. Pilnował tej części księgozbioru, która została przez władzę uznana za nieodpowiednią lekturę dla pospólstwa, ale równocześnie nie były to dzieła zakazane. Tych ostatnich nie było już za wiele. Armand do dziś pamiętał, jak pewnego majowego ranka trzydziestego trzeciego roku wtargnęli do biblioteki

studenci i wznosząc gniewne okrzyki o niszczeniu dzieł, które zatruwają duszę niemieckiego narodu, wynieśli dziesiątki książek, między innymi kilka jego ulubionych powieści Manna i naukowych publikacji Freuda. Ułożyli z nich na dziedzińcu całkiem pokaźny stos i podpalili.

Armand otworzył walizkę i założył gumowe rękawiczki oraz na włosy kawałek foliowego worka, ściśle przylegającego do skóry czaszki dzięki umocowanej na krawędzi gumce. Nie może wewnątrz zostawić odcisków palców ani nawet kawałka DNA, wiedział bowiem dobrze, co potrafią najnowsze nazistowskie detektory materiału genetycznego. Nie chciał ryzykować. Kilku jego znajomych zniknęło bez śladu tylko dlatego, że rozmawiali o nieodpowiednich książkach. Jeżeli nie popełni żadnego błędu, wszystko musi się udać.

Starannie obszukał Adolfa i zmartwiał, gdy palce napotkały kaburę z pistoletem. Mimo wszystko to była tylko biblioteka. Za drzwiami znajdowało się kilka starych książek, nic więcej. Po co strażnikowi broń?

Zabrał Adolfowi klucz. Wyjął latarkę oraz długopis i wszedł do zakazanej części budynku. Nie włączał światła, bał się, że ktoś zainteresuje się rozjaśnionymi oknami. Zamknął za sobą drzwi i zapalił latarkę. Słaby żółty promień oświetlił zakurzone regały. Widać było, że tę część biblioteki nieczęsto odwiedzano i nikt też o nią nie dbał. Świeży materiał genetyczny będzie dla detektorów nazistów równie zauważalny, jak plamy czerwonej farby na świeżym śniegu.

Książki leżały w nieładzie, często na stosach pod ścianą. Odnalezienie tego, czego szukał, zajmie mu trochę czasu. Zaczął się martwić, czy środek nasenny w kawie wystarczy na odpowiednio długo. Hoffmann, który dostarczył go wraz z długopisem, zapewniał, że strażnik będzie spał do rana, ale środki psychotropowe czasami bardzo dziwnie działają

na organizm ludzki, a ten został podany na dodatek z działającą antagonistycznie kawą.

Nie chciał myśleć nawet, jakie będzie miał kłopoty, jeśli go tutaj przyłapią. Ostrożnie wyjął z kieszeni wymiętoszoną kartkę. Poświecił sobie latarką. Miał tam wypisane wszystkie interesujące ich nazwiska i tytuły, do których odnośniki znaleźli, buszując od kilku dni z Hoffmanem w oficjalnej części biblioteki. Wertując stare katalogi, upewnili się, że książki muszą być na terenie biblioteki, a jednak nie mogli ich znaleźć. Czyli muszą być gdzieś tutaj, w zakazanej sali. Armand rozglądał się powoli po okładkach. Gdybyż ktoś je chociaż ułożył alfabetycznie.

Hoffmann zaproponował, że weźmie także udział w eskapadzie i wówczas praca pójdzie dwa razy szybciej, ale Armand kategorycznie się sprzeciwił. Jeżeli on zostanie kilka godzin po pracy, nikt się nie zdziwi, natomiast gdyby ktoś zauważył uczonego, byłyby kłopoty. Poza tym, po co niepotrzebnie mają ryzykować dwie osoby?

Chyba uśmiechnęło się do niego dzisiaj szczęście. Po godzinie bezowocnych poszukiwań promień latarki zatrzymał się na znajomym nazwisku. *Nieznana historia Thule* napisana podobno przez maga renegata, wydana własnym nakładem. Podobno na świecie zostało tego raptem siedem egzemplarzy. Czytając historię Henryka Ptasznika, był pod wrażeniem ogromu potęgi, jaką dysponowali naziści, posiadając demona, który od czasu do czasu mógł korzystać z ludzkiego ciała, przez co miał wpływ na nasz świat. Natychmiast przejął na siedzibę zamek Wewelsburg, który został prze budowany na modłę Camelotu, mitycznej warowni króla Artura. Camelot stał się niezdobyty dzięki magii starodawnych celtyckich druidów. Niektórzy mówili, że następną istotą, która zostanie przyzwana, będzie Merlin Wielki, największy mag w historii.

Jednak okazało się to nie takie proste. Przywołując Henryka Ptasznika, trzech magów straciło życie, dwóch po poważnym śródczaszkowym wylewie krwi do mózgu zostało całkowicie sparaliżowanych. Thule nie posiadało dość wyszkolonych czarnoksiężników, by poprowadzić kolejny obrządek. Nowo założone SS przyjęło za siedzibę Wewelsburg, a najbardziej wiernych członków praktyk magicznych uczył osobiście Himmler. Demon, który opanował jego ciało, pragnął, by wszyscy czarodzieje byli mu posłuszni. Utworzono specjalną jednostkę wyszkolonych zabójców H-Sonderkommando (nazwana od słowa *Hexe* - czarownica), która miała tylko jeden cel, znaleźć i wytropić wszystkich czarodziejów na świecie. Rozpoczął się okres skrywanych przed oczami zwykłych ludzi cichych walk. Wiele kobiet uzdolnionych czarodziejsko zostało złapanych i były okrutnie torturowane dla przyjemności demona.

Przystawił do oka długopis i nacisnął przycisk na końcu. Uważnie fotografował wszystkie ważniejsze strony. Wiedział, że mikrofilm nie starczy na długo i dlatego będzie musiał dokonywać selekcji. Chcąc nie chcąc, podjął lekturę.

Następny rozdział przeniósł akcję z powrotem do czarnoksięskiej fortecy. Specjalnie przygotowane sale miały służyć wybranym - elicie SS - Gruppenführerom. Dwunastu z nich miało tworzyć święty krąg na wzór rycerzy króla Artura. Każdy z członków tej grupy posiadał na zamku własny pokój oraz specjalnie przygotowany herb. Styl, w jakim zaprojektowano komnatę, wraz ze znakiem herbowym, odpowiadał okresowi historycznemu, z jakiego pochodziła reinkarnacja Gruppenführera. Zdaniem autora oznaczało to, że najwyżsi dostojnicy szykowali się do przyjęcia symbiozy z kolejnymi znanymi z historii demonami.

Starannie przewracał kartki dłońmi w gumowych rękawicach.

Spotkania grupy zaplanowano w ogromnej sali zlokalizowanej w północnej wieży, pod którą w specjalnej krypcie miały spocząć w swoim czasie prochy magów SS. W środku krypty płonął święty ogień, a w okręgu znajdowały się piedestały oczekujące na urny z prochami dwunastu. Każdy z nich otrzymywał za życia pierścień z trupią główką, który po śmierci właściciela wracał do SS. Zdaniem autora, posiadał niezwykłe właściwości. Wedle jednej z cytowanych koncepcji, do srebra podczas wytopu dodaje się metalu ze spadającej gwiazdy, inna mówi o rudzie wydobytej z piasków Karnaku albo pod kręgiem megalitów. Wszystkie teorie zgadzają się w jednym, liczba pierścieni z trupią główką, posiadających niezwykłe właściwości, jest ograniczona i noszą je tylko wybrani. Jako że słynne pierścienie nosi obecnie wielu zasłużonych ludzi, należy przypuszczać, że zastosowali podobny zabieg jak podczas formowania Towarzystwa Thule. Wewnętrzny zakon posiada prawdziwe artefakty, pozostali, którzy z przyczyn różnorakich musieli zostać uhonorowani, noszą zwykłe kawałki srebra.

Jakiś hałas wyrwał go z lektury. Zgasił latarkę i nieruchomy trwał w ciemności. Poczuł, że serce bije mu coraz szybciej, w ustach zabrakło śliny, a gardło wyścielał papier ścierny. Co to było? Skrzypnięcie drzwi? Odgłos stopy naciskającej stare deski parkietu? A może tylko wiatr uderzający w okiennice?

Mijały minuty. Tajemniczy hałas się nie powtórzył. Armand czekał. W końcu podjął decyzję, zaświecił latarkę i szybko sfotografował kilka wybranych stronic książki.

Czasu było coraz mniej, a on musi znaleźć jeszcze co najmniej jedną pozycję. Zanurzył się odmętach biblioteki.

Książki są w bibliotece posegregowane tematycznie, więc i przenosząc je tutaj, zapewne okultystyczne brednie rzucali w niewielkiej odległości od siebie. Johannesie von Kästner, gdzie jesteś? Ezoteryk hermetyczny i

skomplikowany, lubujący się w alogicznych wywodach o niezwykłym stopniu złożoności, bezkompromisowy wizjoner. Nawet jego koledzy po fachu uważali go za kompletnego szaleńca.

Idąc wzdłuż regału i rozglądając się po półkach, nagle potknął się o stos leżących na ziemi książek. Z trudem odzyskał równowagę. Klął w myślach za nieostrożność. Gdyby się wywrócił, narobiłby hałasu, który obudziłby umarłego.

Johannes von Kästner, Johannes von Kästner.

Jest!

Poszukiwana publikacja pochodziła co najmniej sprzed pół wieku i napisana została w charakterystycznym dla okultystów podniosłym stylu. Kartki zdążyły już pożółknąć, pokryła je gruba warstwa kurzu. Z trudem stłumił kichnięcie i zaczął czytać. Johannes von Kästner, opierając się między innymi na Biblii, twierdził, że w pradawnych czasach zstąpiły na ziemię demony, gdyż spodobały im się córki człowiecze. Mężczyźni tamtych czasów byli zbyt słabi, by walczyć z potęgą zaświatów. Przybysze brali sobie najpiękniejsze kobiety, kiedy tylko mieli na to ochotę. Ich nasienie dostosowało się do budowy genetycznej ziemskich kobiet i urodziło się potomstwo. Pierwsi powstali giganci, budząc wśród ludzi strach i przerażenie. Byli tak silni albo tak głupi, że sądzili, iż mogą obrócić się przeciwko ojcom i sami stać się właścicielami wszystkich kobiet. Zostali wybici co do jednego, a demony znów zmodyfikowały skład swego nasienia. Tym razem zrodzili się Atlanci, ludzie-magowie, niezwykle oświeceni. To od nich pochodzi rasa aryjska. Bełkot w bełkocie, ocenił bibliotekarz, ale autor tego tekstu dowodził, że demony można znowu przyzwać.

By znów zgwałcili nasze żony i córki?, pomyślał Armand. Nawet ja z tej krótkiej opowieści pojąłem lekcję. Nasz autor najwyraźniej nie należy do bystrzaków. Czego się

spodziewać, inteligentni ludzie nie płodzą podobnych bzdur. Przewrócił kolejną kartkę. Wzniecił kurz i zaswędziało go w nosie. Odruchowo kichnął. Przez chwilę sam się wystraszył hałasu. Panująca wokół cisza stopniowo go uspokajała.

Na następnych stronach Johannes von Kästner bardzo się cieszył, że Aryjczycy spotkają wreszcie swoich nadziemskich ojców. Słodko naiwny kawałek, westchnął Armand. Dalej w tekście rozważano naturę demonów. Otóż nie muszą być koniecznie istotami z piekieł, ale przybyszami z obcej planety. Jest to równie uprawniona hipoteza. Jeżeli przyjąć za prawdziwe odkrycia żydowskiej fizyki, podróż między gwiazdami będzie niemożliwa przy użyciu pojazdów mechanicznych, tak jak je rozumiemy teraz. Prędkość światła musi zostać tutaj uznana za nieprzekraczalną granicę szybkości przemieszczania się w próżni, toteż jeżeli wokół kilku najbliższych gwiazd nie krążą zamieszkane światy, taka wycieczka długością niebezpiecznie zbliży się do czasu trwania ludzkiego życia. Johannes von Kästner wnioskuje, że rasy odpowiednio rozwinięte mogły odkryć inny sposób, nie wymagający wznoszenia się ponad atmosferę. Potrafią w określonych warunkach stworzyć korytarz między punktami przestrzeni. Wedle mętnych wyliczeń, potrzeba tylko olbrzymiej dawki energii na jego otwarcie, potem byłby już stabilny.

Dokończył fotografowanie i zerknął na zegarek. Minęło już zbyt wiele czasu, Hoffmannowi będzie musiało to wystarczyć. Odłożył książki na miejsca, następnie wyszedł z biblioteki. Oddał klucz śpiącemu Adolfowi i dokładnie wyszorował filiżankę do kawy. Pamiętaj o szczegółach, mówił sobie, gotując wodę. Pilnował, by odruchowo nie założyć gwizdka, nie chciał, by odgłos uciekającej pary przedwcześnie zbudził Adolfa. W tym czasie zdjął nakrycie głowy, które z takim trudem przygotowywał wczorajszego wieczoru, i rękawiczki. O odciski palców na filiżance się nie

martwił, z naczyń w bibliotece korzystali wszyscy. Zaparzył kawę, po czym większość wylał. Wrócił do Adolfa i położył filiżankę na stoliku. Zanim się obudzi, zdąży ostygnąć.

Pamiętaj o szczegółach, a wszystko się uda, pomyślał raz jeszcze, nakładając płaszcz i wychodząc z biblioteki. Złapał taksówkę. Podał adres knajpy, w której umówili się z Hoffmannem. Jadąc, kilka razy oglądał się, czy ktoś ich śledzi. Wiedział, że to niemożliwe. Nikt go nie zauważył. Adolf będzie jeszcze smacznie spał może nawet przez kilka godzin. Za wcześnie, żeby zareagowali.

Już po wszystkim. Jest bezpieczny.

A jednak skąd ta niepokojąca myśl, że o czymś zapomniał?

„Pierścień Nibelunga” był klubem czynnym do wczesnych godzin porannych. Nadto dużo prywatności zapewniały gościom loże, gdy otwarte wyglądały jak paszcza bestii z wyszczerzonymi długimi, zakrzywionymi, wąskimi zębiskami. Kiedy jednak znaleźli się w środku, zęby nachodziły na siebie, zatrzaskując się, przez co z zewnątrz pokoik przypominał kwiat rosiczki.

Z kolei wewnątrz można było siedzieć na stylizowanych na jęzory fotelach, a z galaretowatych ścian biło równomierne czer wone światło. Po prawie tygodniu spędzonym na wyczerpującym przeglądaniu szpargałów Hoffmann pił trzecią kawę. Zawarta w niej kofeina mieszała się z adrenaliną w jego żyłach i aż nadto wystarczała, by zachował czujność. Cieszył się z komfortu noszenia garnituru i oddychania naturalnym powietrzem, poza stolicą duszny kombinezon nie był obowiązkowy.

- Wszystko w porządku? Czego się napijesz? - zagaił.

- W porządku… - Armand usiadł obok. - Chyba.

- Nikt cię nie widział?

- Nie.

- Ktoś cię śledził? - W głosie uczonego pojawiła się nuta napięcia.

- Nie. Jestem pewien, że nie.

- Czyli w porządku.

Pod stołem Armand dyskretnie przesunął długopis. Stylizowane na wnętrze ludzkich ust pomieszczenie jeszcze bardziej sprawiło, że poczuł się jak w pułapce.

- Nie będę nic zamawiał. Muszę się położyć. Ty też jak najszybciej opuść Drezno. Najlepiej najbliższym pociągiem.

- Dlaczego?

- Mam paskudne przeczucie, że coś przeoczyłem.

- To tylko nerwy.

- Może. Ale nie ryzykujmy niepotrzebnie.

- W porządku. Dziękuję ci za wszystko.

Pożegnali się krótko. Armand pospiesznym krokiem wyszedł z klubu. Znalazł jakiś pojemnik ze śmieciami dwie ulice dalej i wrzucił do niego rękawiczki, folie oraz latarkę. Nie odetchnął spokojnie, póki nie znalazł się w swoim mieszkaniu.

Jestem już bezpieczny. Wszystko się udało. Hoffmann w tej chwili wyjeżdża z Drezna. Nic mnie nie może powiązać z tą sprawą. Zresztą, co to za sprawa, włamanie do biblioteki. Co ja zrobiłem takiego, przeczytałem tylko kilka chorych traktatów?

Wziął prysznic, przy okazji okazało się, jak cały się spocił. Jak człowiek może tak śmierdzieć? Musi zająć się wypraniem swoich rzeczy, ale to jutro. Dzisiaj jest taki wyczerpany.

Położył się do łóżka. Mimo to nie mógł zasnąć. Emocje wyparowywały z niego powoli. Gdy tylko nieco się rozluźnił, wyobraźnia zaczęła przywoływać wydarzenia w bibliotece.

Serce zaczynało mu znowu tak szybko bić, jakby wciąż tam był.

To pierwszy i ostatni raz, przysiągł sobie. Jestem bibliotekarzem, a nie tajnym agentem. Nie nadaję się do tej roboty.

Wreszcie wycieńczony usnął, ale sen miał płytki i gorączkowy, z licznymi wybudzeniami, gdy był niemal pewien, że coś przeoczył. Wówczas mówił sobie „To nic, to nic”, i zasypiał znowu, by za kilka minut przeżywać ten koszmar ponownie.

Nad ranem śniło mu się, że znowu jest ten majowy dzień, gdy studenci z czerwonymi opaskami na brunatnych koszulach ułożyli stos z książek na dziedzińcu. Stał w oknie, jak zresztą cały personel biblioteki, i mocno zaciskał dłonie na parapecie. Widział, jak z wykrzywionymi nienawiścią twarzami naziści wylewają benzynę z kanistrów i ciemny dym idzie wysoko w niebo. Kochał książki i czuł, że coś w nim umiera wraz z każdą spopieloną kartką. Jakże żałował wtedy, że nie jest jednym z bohaterów powieści.

Tymczasem był tylko bibliotekarzem, a gorąco, które go paliło, pochodziło nie ze stosu sprzed lat, ale z gorączki.

Wreszcie, gdy za oknem niebo rozbielił świt, przebudził się na dobre. Naprężone mięśnie wypełnionego pęcherza bolały. Zwlókł się ciężko z łóżka. Powłócząc nogami, udał się do łazienki i stojąc nad kiblem, oddał silną strugę moczu. Westchnął z ulgą, kołysząc się lekko na piętach. Wreszcie strzepnął dwa razy penisa, pamiętając, że więcej to już nie higiena, ale rozrywka, i umył ręce, przy okazji ochlapując twarz.

Popatrzył do lustra. Miał wrażenie, że postarzał się podczas tej nocy o rok.

Zgasił światło w łazience i wrócił do sypialni. Prawie od razu poczuł, że coś jest nie tak.

Stali tyłem do okna, przy przeciwległej krawędzi łóżka, dwóch nieruchomych mężczyzn w ciężkich płaszczach i kapeluszach. Słaby brzask dnia nie oświetlał ich twarzy. Czarny prochowiec jednego był niezapięty, a krawędzie falowały lekko z każdym oddechem. Armand zobaczył pomiędzy nimi ciemność, a w tym mroku wydymające się, blade, jakby wypełnione mlekiem płuca i nabrzmiałe, pulsujące fioletowe serce.

Teraz, gdy już było za późno, z przeraźliwą jasnością uświadomił sobie, co przeoczył.

Kichnął.

*

- Według Johannesa von Kästnera co trzeba zrobić, żeby otworzyć przejście? - zapytał Artur.

- Wedle tego oszołoma zabić trzy miliony ludzi, by zapach przelanej krwi przedarł się przez astral i pobudził zmysły demonów.

- I dlatego należy wywołać wojnę!

- Ależ uspokój się, wiem, co pomyślałeś, tyle już na pewno zginęło na wszystkich frontach i nic się nie stało. To dość stary tekst i podana liczba mogła się wydawać autorowi olbrzymia i nie do osiągnięcia. Druga wojna pokazała, że Hitlerowi dość łatwo udało się ją osiągnąć. Zaproszenie na ucztę zostało wysłane na próżno, bo demony są tylko wytworem chorych umysłów. Martwiłbym się bardziej zabitymi niepotrzebnie ludźmi. Ale oni zginęli nie po to, by przyzwać obcych, którzy mieliby podzielić się tajemną wiedzą, ale by zadośćuczynić szaleńczemu pragnieniu władzy garstki manipulatorów z NSDAP.

Artur poczuł się zmęczony. Pożegnał się z gospodarzem i ruszył do wyjścia.

- Jeszcze jedno. Dowiedziałeś się może, co znaczy wilczy hak, znak runiczny nad podziemnym kompleksem rządzonym przez Hagendera?

- Kilku z wychowanków SS podobno nauczyło się od Hessa sztuki zmieniania kształtu. Przynajmniej takie bzdury znalazłem w wypisie z tajnej dyrektywy Hitlera, nakazującej utworzenie z uzdolnionych podopiecznych specjalnych oddziałów wilkołaków. Takie formacje nie sprawdziłyby się jako regularne wojsko, ale jako komandosi i sabotażyści okazaliby się nieocenieni. Ten znak jest ich sygnałem rozpoznawczym. Sam Hitler nazywany jest wielokrotnie wilkiem i ma osobiście być naczelnym dowódcą tego stada. Sam widzisz, że bełkot.

# VI

- Proponuję kolejną imprezę, dla rozweselenia - rzekł Weiner. Göring urządza przyjęcie z okazji sukcesów Luftwaffe nad niebem Rosji. Moim zdaniem, żadne sukcesy, Stalin był tak zaskoczony, że nie poderwał swych eskadr do lotu i większość została zbombardowana na lotniskach. Reszta to taki przestarzały szmelc, że nasi piloci nigdy nie byli pewni, czy je zestrzelili, czy po prostu same spadły. Ale pierwszy marszałek Rzeszy musi koniecznie udowodnić, że jeszcze coś znaczy, a nie tylko posiada ładnie brzmiący tytuł i kilka błyskotek za zasługi na mundurze.

- Nie jestem pewien, czy potrzebuję teraz takiej rozrywki.

- Ja bym poszedł. Pańska dłuższa nieobecność wzbudziła w Germanii szereg plotek. Może pan sobie z tego nie zdawać sprawy, ale jest ważną osobistością. Ludzie się zastanawiają, czy pan brał udział w spisku i się ukrywa,

albo może zginął? Lub też nadal siedzi w areszcie Himmlera?

- Co mnie obchodzi, co myślą ludzie?

- Pewnego pięknego dnia, gdy wszyscy paladyni Hitlera zwrócą się przeciwko panu, opinia publiczna może uratować pańską głowę. Nie lekceważyłbym jej pochopnie. Pojawi się pan na przyjęciu, uściśnie parę dłoni, a pójdzie fama, że jest pan potężny i wpływowy, że majowy zamach nie wstrząsnął pańską pozycją. Różne glisty na miarę von Blankenknohra zastanowią się dwa razy, nim zaatakują. Będą na tym przyjęciu wszyscy, którzy się liczą, to możni sojusznicy.

Artur pomyślał, że skoro wszyscy, którzy coś znaczą, to pewnie będą im towarzyszyć też najpiękniejsze kobiety. Może spotkać Liliane.

- W takim razie idę.

- Dobra decyzja.

Wsiedli do samochodu wyglądającego podobnie do tego, jakim wiozła go Liliane. Wszędzie poskręcany dziwaczny metal, układający się w spirale i formujący guzy, poprzetykany kępkami szarej sierści. Ciemne szyby umiejscowione były asymetrycznie, każda o różnej wielkości i na różnej wysokości. I oczywiście z przodu, zamiast zderzaka, długaśne czułki czy też sumiaste wąsy, które podczas jazdy trzepotały z boków samochodu niczym wstęgi.

Przejeżdżając ulicami Nowego Berlina, Artur ze zdumieniem zauważył przechadzającego się dostojnie wysokiego oficera SS w pancernym stroju, na smyczy prowadzącego włochatego czarnego pająka wielkości dobermana.

*

Nim Sosnowski i Weiner wjechali oficjalnie na teren rezydencji, zatrzymali się wewnątrz dobudowanego niedawno pokaźnego baraku. Przynajmniej Artur nie pamiętał tej budowli z ostatniej wizyty. Na znak Weinera wysiadł z wozu i natychmiast został otoczony przez służbę w liberiach. Pierwszy trzymał na poduszce eleganckie buty, drugi niósł garnitur.

Weiner podniósł srebrną przyłbicę maski i zaczął przy pomocy służby ściągać kuloodporny kirys. Dał znać, by Artur poszedł w jego ślady.

- Przepisy o noszeniu kombinezonów nie obowiązują poza Germanią, teraz, gdy walczymy z Ruskimi, nie stać nas na uszycie brunatnego uniformu dla każdego mieszkańca Rzeszy. Dlatego wszystkie przyjęcia NSDAP odbywają się poza granicami miasta. Poważni ludzie nie będą się przecież w tym bawić. Kobiety muszą nosić suknie, inaczej to nie przyjęcie, moim zdaniem.

Przebrali się w wizytowe stroje i na powrót wsiedli do samochodu. Tym razem szofer podwiózł ich pod same schody rezydencji, gdzie zostali przywitani z należnymi honorami. Nie weszli jednak do środka, sama impreza została tym razem przygotowana w plenerze. Pogoda dopisała nadzwyczajnie, słońce prażyło z nieba. Suto zastawione stoły ciągnęły się przez wielką płachtę łąki. Obrusy były czarne. Podobno gospodarz chciał, by nosiły kolory faszystowskiej flagi, ale jego doradcy odwiedli go od tego pomysłu.

- Goście sobie pojedzą, potem nieźle popiją. Naprawdę nieźle - wyjaśnił Arturowi Weiner. - Wówczas będą rzygać gdzie popadnie. Marszałek Rzeszy nie chciał, by ktoś przez takie głupstwo miał polityczne kłopoty.

Gdzieniegdzie tylko między bawiącymi się gośćmi psuły krajobraz stanowiska broni przeciwlotniczej. Bryłowata

konstrukcja o krótkich, grubych, za to licznych lufach skierowanych w niebo, otoczona była czworobokiem ułożonym z worków z piaskiem. Obsługiwało ją kilku żołnierzy w ciemnopopielatych mundurach, wyglądających jakby wpadli do łatwo zastygającego szarego błota, które ulepiło fakturę pełną bruzd i fantasmagorycznie ukształtowanych wypukłości.

Na pytanie Artura, dlaczego nie noszą ciężkich kuloodpornych zbroi, Weiner odparł:

- Tniemy koszty. Taka zbroja jest cholernie droga. Wehrmacht musi nosić zwyczajne mundury. Te i tak są nowocześniejsze niż dwa lata temu, gdy zdobywaliśmy Polskę.

Gdy tylko weszli na polanę, otoczyły ich dziewczyny, na szklanych tacach niosąc najrozmaitsze kolorowe drinki. Artur przyjrzał się im uważniej, bo stanowiły iście niezwykły widok.

Wszystkie jak jedna smukłe, wysokie, długonogie. Skórę miały lśniąco srebrzystą, jakby dopiero co rozpylono nad nią farbę w aerozolu. Później Artur dowiedział się, że poddały się prostemu zabiegowi genetycznemu zmieniającemu pigmentację cery. Lecz za wyraźny makijaż odpowiedzialne były już nowoczesne kosmetyki, zwłaszcza za intensywnie błyszczącą czerwień szminki, która sprawiała, że usta zdawały się świecić własnym blaskiem. Brwi dziewcząt zostały elegancko wyskubane, pozostawiając jedynie cieniutkie półkola, na policzkach jak namalowany czerwienił się róż.

Za ubiór służyły kelnerkom czarne skórzane gorsety wiązane z tyłu i wysokie buty o fantazyjnej, misternie poskręcanej cholewie. Artur nie mógł oderwać wzroku od obnażonych do granic możliwości ud, bowiem w tym miejscu gorset przybierał kształt wstążki jedynie tak szerokiej, jak było to niezbędne. Oszałamiały też fryzury,

włosy były bowiem wysoko podniesione na drucianej, skrzętnie ukrytej konstrukcji, tworzyły burzę opadającą strugami na plecy i boki. Dziewczęta farbowały je zawsze na jeden intensywny kolor. W modzie był zwłaszcza nie blond, lecz biały, dzięki czemu włosy wyglądały jak siwe. Nie gardzono również głęboką czernią, srebrnym o odcień ciemniejszym lub jaśniejszym od cery, lub barwą ołowiu albo stali.

Weiner poczęstował się drinkiem z przezroczystej tacy i rzekł cicho:

- Jak przypuszczam, von Blankenknohr również tutaj przybędzie. Lepiej niech pan nie wchodzi mu w drogę, po co drażnić kobrę. Ale jak już pan go spotka, niech pan raczej nie częstuje się jedzeniem, obok którego stał. I użyje wyobraźni, traktując moje ostrzeżenie jak najbardziej szeroko. Opuszczę teraz pana na chwilę, mam obowiązki towarzyskie.

- Uścisnąć kilka ważnych dłoni?

- Każdy chce przeżyć, Herr Sosnowski. - Skłonił się lekko i upiwszy łyk z oszronionego kieliszka, zniknął w tłumie.

Artur został sam i poczuł się, jak zwykle w takiej sytuacji, bardziej niż nieswojo. Ale tym razem z opresji szybko wybawił go znajomy głos:

- Arturze, cieszę się, że cię widzę.

- Richard, co ty tu robisz? Myślałem, że partyjne imprezy to nie rozrywka dla ciebie.

- Przyganiał kocioł garnkowi. A gdzie indziej mógłbym zbierać dla ciebie bezcenne informacje? Poza tym - profesor mrugnął porozumiewawczo - wojna spowodowała kryzys w całym kraju. Dotąd gospodarka żywnościowa Rzeszy zależała od wymiany technologii za towary ze Stalinem. Teraz, gdy Ukraina stoi w płomieniach, racje żywnościowe dla obywateli Germanii zostały obcięte. A u

marszałka zawsze można się najeść wyszukanych potraw, nie?

Artur rozejrzał się po stołach. Jako hitlerowski notabl nie odczuwał ostatnio kłopotów z aprowizacją, ale to, co pyszniło się na półmiskach i talerzach, przekraczało wszelkie wyobrażenia. Göring dbał, by jego uczty nie pozostawały daleko w tyle za legendarną wystawnością rzymskich cesarzy. Ślina napłynęła do ust.

- Chodźmy zatem spróbować tych wiktuałów - zaproponował.

- Doskonały pomysł - zawtórował mu Hoffmann. Nim jednak uczynili choć krok, wyrósł tuż obok nich Heydrich. Podchodząc, łopotał czarnym wojskowym płaszczem niczym skrzydłami, co nadawało mu wygląd mrocznego anioła. Artur zobaczył jego nowe, upiorne oczy. Źrenice po skomplikowanej operacji miały kształt swastyki i rozlewały się teraz na tęczówkę.

- Witam, Herr Hoffmann, Herr Sosnowski. - Skłonił się, a jego oczy pozostały matowe, gdzieś na ich dnie lśnił fanatyzm. - Sądziłem, że gdy terapeuta dostrzega, że na przyjęcie wszedł jego pacjent, czym prędzej je opuszcza. Takie są zasady etyki zawodowej, czy się mylę?

- Przecież tę etykę stworzył ten cholerny Freud. - Analityk skrzywił się z niesmakiem. - Nie chciałbym, by nas, prawdziwych Aryjczyków, obowiązywały zasady wymyślone przez Żyda, a pan?

- Oczywiście, racja. - Heydrich uśmiechnął się blado. - Proszę wybaczyć laikowi.

Oddalił się sztywno, jakby połknął kij. Odprowadzili go wzrokiem.

- U Heydricha problem antysemityzmu to w dużej mierze problem rodzinny. I rzekłbym, także związany z tożsamością - ciągnął naukowiec.

- Obawiam się, że nie rozumiem.

- Jego babcia jest Żydówka - wyjaśnił profesor szeptem. - Ale proszę nie wspominać o tym przy nim, bo ukatrupi.

Ruszyli wzdłuż stołów w poszukiwaniu wolnego miejsca. I obrali niezbyt fortunny kierunek. W otoczeniu słuchających go uważnie oficerów i wianuszka kobiet siedział sam mroczny mag, opowiadając coś z gwałtowną gestykulacją. Był panem tłumów, śmiech eksplodował wokół niego wraz z każdą zmianą tonacji. Przez pierścień ludzi jakimś cudem wypatrzył Sosnowskiego i gładko zmienił wątek, wznosząc głos, by być słyszanym daleko.

- Polacy - mówił Batholomäus von Blankenknohr. - Co za nacja... Słyszeliście, jaki problem spędzał ostatnio sen z powiek naszym sztabowcom? Dlaczego polskie wojska pomocnicze podczas kampanii rosyjskiej stacjonują zawsze w miejscach, gdzie panuje spokój? No, jak myślicie? Otóż okazało się, że oficerowie dogadali się z odpowiadającym im rangą czerwonoarmistą i dochodziło do małego handelku. W takich warunkach obie strony manewrowały, jak umiały, byle tylko nie dopuścić do starcia zbrojnego, które mogło cały interes w diabły posłać. Wódeczka, waluta, żywność, kobiety przechodziły z rąk do rąk. Co ciekawsze, także broń, nawet podobno opchnęli Ruskim kompletnego Tygrysa, prosto z hali produkcyjnej. Sztabowcy zachodzą w głowę, skąd go Polacy wzięli, skoro polskie wojsko nie zostało wyposażone w nasz najnowszy czołg. Ale skądś zdobyli i sprzedali. Kiedy się o tym dowiedział nasz ukochany przywódca Adolf Hitler, był bliski wylewu. Polacy! Co za nacja...

Hoffmann pociągnął go za łokieć.

- Chodź! Nie słuchaj tego. A co ważniejsze, nie daj się sprowokować.

- Wiecie, co urodzi się ze związku Polaka z Cyganką? - Mag wykonał obsceniczne ruchy dłońmi, by w sposób nie

budzący wątpliwości zilustrować słowo „związek”. - Dziecko zbyt leniwe, by kraść.

Zgrabnie lawirowali między stołami i rozbawionymi gośćmi. Nagle zobaczyli, że ktoś znajomy do nich macha. Artur rozpoznał roześmianą twarz włoskiego dyplomaty. Obok Giovanniego Grazzianiego stali inni znajomi z poprzedniej imprezy, Alan Luehmann i Heinrich Stapperfend. Sosnowski przywitał się, z każdym zadając grzecznościowe pytania, jak im się wiedzie. Obserwując ludzi, Artur dostrzegł, że mężczyźni są nienaturalnie wysocy i posiadają zadziwiająco długie ręce. Zapytał o to współbiesiadników.

- Modne wśród bogatych - odparł Luehmann z pełnymi ustami. - Przedłużanie dolnych kończyn umożliwia szybsze przemieszczanie się, dłuższy zasięg ramion ma dawać przewagę w walce. To ewolucyjne, wysocy mężczyźni zawsze się podobali kobietom. Wszczepiają sobie też dodatkowe grupy mięśni, zapewne pan zauważył?

- Sądziłem, że to żołnierze, więc naturalne, że są szerocy w barach...

- Ale aż tak? Nie przesadzajmy, nie każdy esesman jest herkulesem. À propos esesmanów. Można ich tutaj poznać po bardzo ostatnio modnej modyfikacji genetycznej. Niech pan spojrzy tam.

Artur popatrzył w dyskretnie wskazanym kierunku. Stał tam mężczyzna o łysej czaszce, której kości zdawały się przebijać cienką jak bibułę, niemal przezroczystą skórę.

- Już nie tylko czaszki na mundurach, nie tylko czerepy zamiast tradycyjnych masek chemicznych. Teraz naziści mają trupie oblicza - powiedział Hoffmann.

*

Artur zobaczył, że jeden z gości, łysy jegomość o jajowatej głowie, zasłaniał uszy okrągłymi, dziurkowanymi nakładkami. Nosił również dziwaczne okulary, które całkowicie zakrywały jego oczy.

- Co to za urządzenia? - zapytał współbiesiadników Polak. Luehmann rzucił we wskazanym kierunku krótkie spojrzenie.

- Kolejne ulepszenie ludzkiego gatunku - rzekł. - Moim zdaniem nie przyjmie się, jak stosowanie numerów ewidencyjnych zamiast imion. Liczby nadal nie wyszły poza kartoteki i urzędy.

- Jak to działa?

- Te nakładki selekcjonują docierające do człowieka bodźce, żeby nie zobaczył ani nie usłyszał niczego, co jest niepatriotyczne. W ten sposób żyje się podobno w piękniejszym świecie, gdzie Führer ma zawsze rację. Nie, żeby w naszym było inaczej - poprawił się szybko. - Chodzi o to, aby się nie denerwować wystąpieniami partyzantów, komunistów, nie otwierać uszu na homoseksualną zarazę. Sam bym coś takiego dzieciom zamontował, zgorszenie czyha wszędzie.

- Sam pan nie wierzy, że to się przyjmie. Sobie pan tego pewnie nie założy? Ale dzieciom jak najbardziej?

- Ja tam jestem już stary - wymigał się Niemiec. - Ale młode pokolenie ma szanse uzyskać wyższy stopień moralności. Nieetyczne byłoby, gdybym próbował pozbawiać własne dzieci takiej szansy. Myślę, że kiedy skończy się wojna, ruszy produkcja masowa dla szkół. Podobno są już projekty na usta, by nie można było nawet przypadkiem powiedzieć czegoś, co mogłoby urazić wodza.

- Kaganiec? Nie będę mógł powiedzieć tego, co pragnę?

- Ech, oczywiście, że nie. Chodzi o to, żeby ktoś, na przykład komunista, pana nie podpuścił. Albo taki Żyd,

strasznie podstępny gatunek, zdenerwuje pana i prowokacja gotowa.

Artur zastanowił się, jak ów nieszczęśnik postrzega świat, zwłaszcza gdy widzi lub słyszy rzeczy, które urządzenie uzna za nieodpowiednie.

- Stosowane są różne techniki - wyjaśniał Luehmann. - Na przykład, odwracanie uwagi, użytkownik widzi wyraźniej szyld restauracji, robi się głodny i skręca w inną stronę. Albo zamiana słów nieprzychylnych na bliskoznaczne, właściwe i prawdziwe. Kiedyś stosowano technikę czarnych plam i zagłuszającego słowa buczenia, ale teraz raczej zasłania się nieodpowiednie fragmenty rzeczywistości, kopiując zdrowe elementy, które leżą obok, i wstawiając w miejsce niebezpiecznych treści. Wymalowane sprayem na murze hasło „Białej Róży” nie zostanie dostrzeżone, użytkownik urządzenia zobaczy wszędzie taki sam szary mur. Uważam, że to rewelacyjna rzecz dla dzieci. Nawet jeśli przypadkiem zainteresują się tym, co mają między nogami, jak spróbują to obejrzeć czy u siebie, czy, broń Führerze, u innych, to dostrzegą jedynie gładką skórę jak u aniołów. Jaki to postęp w walce z szerzącym się zgorszeniem i rozwiązłością seksualną!

*

Artur spacerował między stołami w nadziei, że wreszcie ujrzy Liliane. Na pewno została zaproszona, niemożliwe, żeby było inaczej. W takim razie, dlaczego jeszcze jej nie ma? Może ma zwyczaj się spóźniać, zrobić efektownym wejściem właściwe wrażenie. Tak, to jedyne wytłumaczenie, pomyślał zrezygnowany, machinalnie dźgając widelcem apetyczną wędlinę.

Obok stanął gruby jegomość we fraku.

- Przednia ta niemiecka kuchnia, nieprawdaż? - rzekł, nakładając sobie na talerz ociekający tłuszczem stos żarcia.

- Rzeczywiście - zgodził się Artur, wyławiając wreszcie dwa plastry szwarcwaldzkiej.

- Ech, Niemcy, wspaniały kraj... Jedyna rzecz, która mi się tutaj naprawdę nie podoba, to te wszechobecne horoskopy. Jak taki logiczny, racjonalny naród może wierzyć w podobne bzdury. A tu na każdym kroku runy, okultyzm, mistyczne oddziaływania. Jednym słowem, bełkot.

- Pan nie wierzy w takie rzeczy, panie...?

- Brown. John Brown. - Grubas wyciągnął jowialnym gestem dłoń. - Przyjaciele nazywają mnie Sugar, bo jestem szalenie sympatyczny. - Wyszczerzył zęby. Artur nie odniósł takiego wrażenia, ale również się przedstawił, następnie dodał:

- Amerykanin, wnioskując z akcentu.

- Dokładnie. I przestałem wierzyć w takie rzeczy, odkąd, wie pan, mój kolega ma kasyno w Las Vegas. Wspaniałe miejsce, musi je pan kiedyś odwiedzić. Ale wracając do historii... Jego goście rzucając kośćmi, chuchają w dłoń, zamykają oczy i koncentrują się, wzywając niebiańskie lub szatańskie siły. Obstawiający ruletkę są przekonani, że szczęście można zabrać lub dodać dotykiem, że przynosi je osoba lub rzecz. A wie pan, w co wierzy mój przyjaciel?

- Nie.

- W zero.

- Nie wierzy w nic?

- Ależ skąd. Wierzy w zero. Ów języczek u wagi ruletki, pozwalający, czy obstawiasz czerwone czy czarne, zawsze wygrać kasynu. Mój przyjaciel wierzy w rachunek prawdopodobieństwa. Jego klienci wzywają wszystkich istniejących bogów, wszelkie mistyczne moce. Wystarczy jednak, żeby zostali u nas przez dwa tygodnie, a bezlitosne

żarna rachunku prawdopodobieństwa obedrą ich ze wszystkich pieniędzy. Dlatego nie wierzę w mistykę, Boga ani szczęście. To tylko subiektywne przekonanie ludzkiego umysłu, który uwielbia samooszukiwanie się.

- Jest pan pragmatykiem.

- Może dlatego tak trudno dogadać mi się z Niemcami. Pan jest inny. Z panem nie ma kłopotów, podczas rozmowy rozumiemy się w lot.

- Ma pan tu jakieś kłopoty, Brown?

- Tak jakby. Przyjechałem do Berlina, *pardon,* Germanii, by zaproponować władzom dobry interes. Widzi pan, ja mam przyjaciół w obu Amerykach. Jedni mogą załatwić tanio statki, drudzy posiadają olbrzymie ilości jedzenia, które żyzne gleby Brazylii i Argentyny produkują w nadmiarze. Można by to przemycić do Rzeszy, która cierpi niedostatki, odkąd skończył się sznur pociągów z Ukrainy. Potrzebuję tylko pewnych sum, nie ukrywam, dużych, na rozruch interesu. Za pierwszy transport trzeba zapłacić, no i co ważniejsze, zainwestować w statki. Nikt tu ze mną nie chce o tym rozmawiać. Są nieufni, odprawiają z kwitkiem. Twierdzą, że obecna sytuacja jest przejściowa i wkrótce z należącej do Rzeszy Ukrainy znów ruszą pociągi z towarem. Ciekawe, Armia Czerwona wycofując się, niszczy plony, następny zbiór będzie dopiero w lecie, za rok. Jeśli oczywiście sytuacja na froncie się uspokoi na tyle, by przeprowadzić normalne zasiewy.

- Nie rozumiem, dlaczego pan mi o tym opowiada. Jestem Polakiem i niewiele tu znaczę. Nie mam wpływu na decyzje rządu.

Amerykanin uśmiechnął się sprytnie.

- Przyszedł pan na elitarne przyjęcie w towarzystwie Gruppenführera, panie „nic nie znaczę”. Jedną z pierwszych osób, która pana powitała, był Heydrich, czwarta osoba w Rzeszy, zdaniem niektórych. A spędza pan

czas w towarzystwie wybitnych naukowców i wysokich oficerów SS, jak również włoskiego dyplomaty. Gdybym znał chociaż połowę tych ludzi co pan, moje interesy byłyby bezpieczne. Zawrzyjmy układ. - Mrugnął porozumiewawczo. - Pan powie, do których drzwi zapukać, ja, gdy tylko dobijemy interesu, będę o panu pamiętał. Nie straci pan na tym, gwarantuję. My, Amerykanie, jesteśmy znani z tego, że umiemy dbać o interesy nasze i naszych przyjaciół. To jak?

Artur chciał w pierwszej chwili odmówić. Nie tylko nikogo takiego nie znał, ale sama propozycja budziła w nim obrzydzenie. Nie mógłby też moralnie, gdyby nawet interes został zawarty, przyczynić się do kolejnego sukcesu Rzeszy. Ale gdy już otworzył usta, by dać wyraz swej niechęci, zauważył nagle nieco zdziwiony, że padło z nich jedno nazwisko:

- Batholomäus von Blankenknohr. Obecnie jedna z najbardziej wpływowych osób w otoczeniu Hitlera. Niech go pan odwiedzi jutro wieczorem bez zapowiedzi w prywatnym apartamencie. Zajmie się wszystkim.

Uradowany Amerykanin uścisnął mu dłoń.

*

- Herr Heydrich, znakomity ten bigos, nieprawdaż?

- Herr Sosnowski, widzę, że zasmakował pan w niemieckiej kuchni. - Esesman odwzajemnił ukłon, jego poprawione chirurgicznie źrenice zabłysły fanatyzmem.

- Nie może być inaczej, skoro tylko wielka kuchnia mogła stworzyć tak wielki naród. À propos wielkiego narodu... Nie zastanawiało pana, dlaczego mimo przewagi intelektualnej naszych strategów, ofiary i bohaterstwa żołnierzy na froncie, geniuszu naukowców produkujących nowe bronie,

wciąż trwa opór Wysp, Bliskiego Wschodu, Afryki oraz Rosji?

- Herrenvolk zwycięży. To kwestia czasu. Nawet podludzie potrafią kąsać.

- Ale czy aż tak dotkliwie? Jeden żołnierz Rzeszy jest wart setki Rosjan, a mimo to wojna wciąż trwa. W 1918 było przecież tak samo, wydawało się, że wygrana jest w zasięgu ręki.

- Bo tak było. - Heydrich zgrzytnął niełądnie zębami, patrząc gdzieś w przestrzeń. - Otrzymaliśmy cios w plecy!

- Skąd pewność, że teraz jest inaczej? - powiedział szybko Artur, przekrzywiając nieco głowę.

Prawa ręka Himmlera, najważniejszy człowiek SS obrócił powoli głowę i popatrzył prosto na Polaka, świdrując go długo swoimi nienaturalnymi, przenikliwymi oczami.

- Co pan sugeruje? - zapytał wreszcie cichym jak śmierć głosem.

- Konwoje amerykańskie są ostrzegane, tylko tak można wyjaśnić, że U-booty nie trafiają w cel. Alianci znają plany naszych ofensyw, zanim wystrzeli pierwsze działo. Chyba, że uznaje pan, że Herrenvolk są niedoskonali, a Rosjanie są naszymi pełnoprawnymi przeciwnikami.

- Niemożliwe. Osobiście prześwietlam każdego w sztabie i z najbliższego otoczenia Adolfa Hitlera. Metody Herrenvolk są niezawodne, jesteśmy najlepsi, nikt nas nie może oszukać.

- Chyba że istota biologicznie uwarunkowana do podstępu. Dla której spiski są prawdziwą naturą, jak dla Niemca honor i prawda.

Twarz Heydricha skamieniała.

- Nie myśli pan, że do kwatery głównej Hitlera zakradł się...

- A któż inny byłby dość podstępny?

- A zatem mamy Żyda w bliskości wodza. Postawię całe SS w stan gotowości. Kto, Herr Sosnowski?

- Czy to nie oczywiste? Von Blankenknohr.

- Niemożliwe...

- Człowiek bez nazwiska, bez przerwy przybiera inne. Czy tak postępuje Herrenvolk? A może ta osoba pragnie ukryć swoje prawdziwe nazwisko, które brzmi...?

- Wezmę pod uwagę pańską sugestię. Jeżeli pan ma rację, daleko pana to zaprowadzi. Jeżeli się pan pomyli, głęboko.

- Nigdy się nie mylę. Zapomniał pan? To mój dar.

- Ja również nie popełniam błędów, niech pan o tym pamięta.

Esesman skłonił się i odszedł.

- Herr Heydrich! - zakrzyknął Artur.

- Tak? - Mężczyzna obrócił swoją upiorną twarz.

- Niech pan trzyma się z daleka od Pragi.

- Wcale się tam nie wybieram.

Heydrich odszedł od Sosnowskiego na odpowiednią odległość, by się zastanowić. Poczęstował się winem z tacy roznoszonej przez piękną dziewczynę. Polak mógł się mylić, mógł kłamać, dlaczego miałby mu zaufać?

- Herr Heydrich?

- Tak? - Podniósł spojrzenie znad kieliszka. Przed nim stał posłaniec z Germanii.

- Reichsführer SS Heinrich Himmler wzywa pana do siebie.

- Wspominał w jakiej sprawie?

- Tak. Ma pan objąć w trybie natychmiastowym Protektorat Czech i Moraw.

*

Na granicy polany widniał okazały pniak. Teraz odnalazł go Artur i rzuciwszy kieliszek w trawę, podniósł do góry rozcapierzone dłonie. Ręce mu drżały. Cały dygotał po rozmowie z najgroźniejszym człowiekiem w Rzeszy. Jak mógł być tak szalony i do niego z własnej woli podejść?

Ukrył twarz w dłoniach. Jak mógł być tak szalony?

- Osamotniony i sprawiający wrażenie pijanego. Nie wygląda to zbyt dobrze w oczach innych, Herr Sosnowski.

- Co mnie to obchodzi, Herr Weiner?

- To jak nas widzą, to najważniejsza rzecz na świecie. Decyduje o naszym życiu albo śmierci.

- Ona nie żyje, prawda? - Oderwał twarz od dłoni. - Obiecał mi pan, że nic się jej nie stanie. Dał pan słowo, A tymczasem Liliane nie żyje.

Twarz Niemca pozostała niewzruszona jak głaz.

- Nie otrzymałem takiej wiadomości.

Artur stłumił chęć, by rzucić się na Gruppenführera z pięściami.

- Jeżeliby żyła i była wolna, przyszłaby na przyjęcie. Znam ją. Nie zrezygnowałaby z takiej okazji. Zwłaszcza że to jedyna szansa na spotkanie ze mną. Niech pan posłucha: albo natychmiast mnie pan do niej zawiezie, albo koniec z naszą współpracą. Poinformuję o tym osobiście tego przeklętego Adolfa Hitlera.

Weiner przeszedł obok Artura i zniknął między drzewami. Po chwili wrócił, taszcząc niewielką kłodę. Rzucił ją obok Artura i przysiadł na niej. Gdy się odezwał, z jego zazwyczaj stalowego głosu zniknął urzędowy ton:

- Herr Sosnowski, prosiłem pana, by mi pan nigdy nie ufał, prawda? Mówiłem także, że niech się pan nie pomyli i nie traktuje mnie jak przyjaciela. Otóż - zrobił pauzę, a w jego oczach pojawił się dziwny smutek - niech pan raz w

życiu, tylko raz, proszę pamiętać! Niech pan raz zapomni o tych słowach. Ten jeden raz, w tej chwili będę pana przyjacielem. Uczyńmy niemożliwe, Polak i Niemiec nie będą się okłamywać. Niech pan o niej zapomni. Całkowicie i nieodwołalnie. To jest najlepsza rada, jakiej mogę panu udzielić.

- Ona nie żyje, prawda? Dlatego nie możecie mnie do niej zabrać.

Weiner zawahał się.

- Żyje... Jest też wolna i bezpieczna, jak panu obiecałem. Ale w tej chwili... Jest dość daleko. Nic więcej nie mogę powiedzieć. Dając panu tę radę i tak przekroczyłem moje obowiązki. I uprawnienia. Zbierajmy się, czas na nas.

- Dokąd idziemy?

- Na polowanie. Te lasy są znane ze znakomitej zwierzyny, marszałek Rzeszy nie wybrałby innego miejsca na letnią rezydencję. A pan nie może w takim stanie wrócić na przyjęcie.

*

Weiner zniknął jeszcze na chwilę w budynkach gospodarczych, powrócił niosąc dwa sztucery z wyrytymi srebrnymi błyskawicami SS na kolbie. Znaleźli wąską ścieżynę i zagłębili się w las. Dróżka wiła się i meandrowała, krzyżowała pod najrozmaitszymi kątami z innymi. Artur dawno się pogubił w kierunkach, ale jego towarzysz wyraźnie wiedział, dokąd iść. Wreszcie po kilkunastu minutach szybkiego marszu wyszli na niewielką polanę i Weiner zdecydował, że wystarczy.

- Z tej odległości nie postrzeli pan w tyłek przypadkowej parki, która wpadła na pomysł, by gzić się w krzakach. Marne są też szanse na odstrzelenie fujary odlewającego

się notabla NSDAP, co bardzo zmieniłoby naszą sytuację w Rzeszy.

Zastanowił się chwilę.

- Na wszelki wypadek i tak będzie pan strzelał w przeciwną stronę. Niech pan odda mi swój sztucer.

Artur posłusznie podał broń. Tymczasem Gruppenführer odłożył oba karabiny oparte lufami o pień drzewa. I fachowym, znakomicie wytrenowanym gestem wyciągnął z kabury lugera. Serce Artura zadrżało, gdy spojrzał w czarną lufę pistoletu.

- „*Si vis pacem, para bellum*”. Jeżeli chcesz pokoju, gotuj się do wojny, jak mawiali starożytni. Przed panem samopowtarzalny, półautomatyczny pistolet luger parabellum. Jest bardzo wymagający dla właściciela. Wymaga czasu, by go poznać, dbałości w obsłudze, starannego czyszczenia i konserwacji, ale jeżeli odda się mu serce, wówczas nigdy nie zawiedzie. Tak się rozkłada. - Kilkoma ruchami rozłożył broń na części. - Proszę zwrócić uwagę na części frezowane z zegarmistrzowską dokładnością. Tak się go składa.

W rękach Niemca znów znalazł się gotowy do strzału luger. Gruppenführer chwycił go za lufę i wyciągnął w kierunku Sosnowskiego.

- Proszę.

Artur niepewnie ujął kolbę.

- Mam tym polować na jelenie? Myślę, że jednak lepszy byłby sztucer.

- Niech pan nie będzie idiotą, Herr Sosnowski. Trzyma pan w ręku najpopularniejszą broń niemieckiej armii. Gdziekolwiek pana los rzuci, będzie pan ją mógł kupić lub ukraść. Czego się nie da powiedzieć o sztucerze. Nadto lugera łatwiej ukryć przy sobie. Widzi pan to drzewo? Proszę, na litość boską, przestać celować w swoją stopę i

postarać się trafić gdzieś na wysokości drugiej gałęzi. W porządku, moja wina, zapomniałem powiedzieć, że trzeba odbezpieczyć, o, w ten sposób. Rany boskie, nie szarpiemy tak za cyngiel, powoli, równomierny nacisk, drugi raz na pewno się uda.

- Sądziłem, że mam ochroniarzy - powiedział Artur, zagryzając wargi. Starał się, by ugięta w łokciu ręka nie drgnęła.

- Nie zawsze ich pan będzie miał. Nie wszędzie z panem pójdą. Nie wszystkim można ufać. Jak mówiłem, pan nie ma przyjaciół. Ale pan ma lugera!

Wystrzał przetoczył się po lesie.

- Niech się pan bardziej przyłoży. Nie uda mi się więcej niż kilka razy pana szkolić, zanim ktoś zauważy, co robimy. Dzisiaj sądzą, że spełniam pańską ekscentryczną zachciankę, polowanie w lasach pierwszego Marszałka. Ale nawet oni nie są idiotami. Codziennie proszę go rozkładać, czyścić i składać, w domu jeszcze raz to pokażę. Musi pan to umieć robić z zamkniętymi oczami w środku nocy. Teraz celowanie. Wbrew temu, w co pan najwyraźniej obecnie wierzy, jest ważne. Broń ma być przedłużeniem pana ręki, jakby ją oplotły synapsy i aksony. Musi stać się częścią pana ciała. Za mało czasu. Ale jeżeli przyjdzie panu strzelić, na szczęście będzie to prawdopodobnie z bliskiej odległości, w pomieszczeniu, w coś pan chyba trafi. Teraz strzela pan do drzewa, teoretycznie do drzewa, pozwolę sobie nadmienić. Ale jeżeli będzie to człowiek, celujemy w klatkę piersiową. Jest łatwym celem, a nawet jeśli broń przy wystrzale lekko podrzuci w górę, to najwyżej rozwali pan draniowi łeb.

*

Rozpoczęła się część ideologiczno-rozrywkowa, na którą musieli powrócić. Nieobecność byłaby więcej niż nietaktem i zaniepokoiłaby odpowiednich ludzi. Wokół polany w powietrzu skrystalizowały się swobodnie wiszące szyby. Migotały przez chwilę, aż pojawił się na nich czarno-biały obraz. Zabrzmiała muzyka Wagnera. Pojawiły się zagony pancerne Guderiana zmierzające na Wschód.

- Od początku września oddziały Wehrmachtu kontynuowały natarcie na Moskwę. Wreszcie dnia 25 września udało się otoczyć miasto. Adolf Hitler w swym geniuszu, by nie narażać naszych dzielnych żołnierzy, kazał zmienić bieg rzeki i zatopić miasto.

- Razem z cywilami - dodał Weiner. - Po co się kłopotać o zaopatrzenie podludzi? Dobrze, że część zdołała uciec ze stolicy, zanim domknął się pierścień Wehrmachtu.

Tymczasem obraz się zmienił. Przedstawiał wielkie spokojne jezioro, którego taflę burzyły tylko niekiedy wystające fragmenty najwyższych rosyjskich budynków. Kamera przemieściła się dalej i dostrzegli sterczące sponad wody fantazyjne kopuły Kremla.

- Powstało wielkie jezioro Moskwa, w przyszłości źródło ryb dla całego regionu i znakomite miejsce rekreacji. Co za wspaniały projekt architektoniczny!! - mówił dalej spiker z emfazą. Tymczasem kamera pokazała olbrzymi otoczony murem kompleks baraków, wzniesiony na przekroju wielkiego prostokąta.

- Nowy obóz pracy Moskwa już wkrótce będzie gotowy. Zapełniają go właśnie okoliczni mieszkańcy, którzy chcą pracować dla Adolfa Hitlera. Nasz wielki ideolog, Alfred Rosenberg, utworzył Komisariat „Moskau” i przysposabia teren do aneksji przez Wielką Rzeszę Niemiecką. Nieliczne jednostki Armii Czerwonej muszą skapitulować po upadku stolicy. Wiwat panowie! Wojna została wygrana! *Heil Hitler!*

Ekran zamigotał i zgasł, ale długo jeszcze rozbrzmiewały brawa. Strzeliły w niebo korki od szampana sprawnie roznoszonego przez kelnerki. Część gości zaczęła unosić na wszystkie strony dłonie w nazistowskim pozdrowieniu i wykrzykiwać partyjne slogany. Inni w radości zaczęli dobierać się do kelnerek, wyłuskując piersi z dekoltów i ściskając je boleśnie. Artur zauważył, że ta sama substancja, którą uszminkowały sobie wargi, została użyta także do ubarwienia brodawek. Dawało to niezwykłe wrażenie, jakby umalowane części ciała dziewczyn były nierzeczywiste, świeciły się, atakowały zmysły patrzącego.

Chciał odwrócić się i odejść, nie potrafił patrzeć na zwycięstwo, które dla niego było klęską. Luehmann prawie wcisnął mu kieliszek od szampana. Popijał małymi łykami, smakując gorzką nutę z alkoholu, ignorując słodycz i oszałamiający bulgot bąbelków, jakby miał na języku percepcyjny kaganiec, podobny do tego, który rozprowadzali naziści.

*

- Ma pan bardzo niewyraźną minę, Herr Sosnowski - Weiner powiedział to bardzo cicho.

- Nazizm zapanuje nad całym światem. Trudno mi wznosić okrzyki radości.

- Może tak, może nie... Goebbels zawsze przedstawia tylko te fakty, które mu pasują.

- Mogą być jeszcze jakieś inne? - rzekł z goryczą Artur. - Po tym?

- Widziałem ostatnio w kwaterze głównej SS ciekawy film ściągnięty ze Wschodu. Propagandowa agitka czerwonych. Zwłaszcza pamiętam taki fragment. Wielka twarz Stalina na białym ekranie. I słowa:

- Komunizm nie jest związany z miejscem ani narodem, to idea, która rozświetla umysły. Komunizm nie umrze, nawet jeżeli zostało zniszczone choćby i największe miasto. Domy mogą zostać zburzone, mury się zawalić, ale komunizm zginie tylko wtedy, gdy pozwolimy mu upaść w naszych sercach. Pytam, pozwolimy na to, towarzysze?!

- Nie pozwolimy, ojczulku Stalin!

I setki, setki tysięcy dłoni należących do ludzi obleczonych w czerwonoarmijny mundur, wznoszących w górę karabiny. I łzy w oczach tych młodych mężczyzn, łzy wzruszenia, że ojciec ich wybrał do wyzwolenia kraju równości i sprawiedliwości z rąk wandali oraz barbarzyńców z Europy.

- Widzi pan, Herr Sosnowski - kontynuował Weiner. - Nie wszystko jest tym, czym się wydaje. Stalin zamienił pewną polityczną klęskę w symbol męczeństwa narodu radzieckiego walczącego z okupantem. Armia Czerwona jest bardziej zdeterminowana do walki z nami niż kiedykolwiek. Owszem, zdobyliśmy tak szybko Moskwę dzięki przewadze w nowoczesnym sprzęcie. Ale Tygrysów nie wyprodukowaliśmy aż tak wiele, kuloodporne zbroje także noszą tylko członkowie elitarnych dywizji SS. Tymczasem zasoby ludzkie Związku Radzieckiego wydają się nieograniczone, wszystkie zbrojeniowe fabryki zostały rozmontowane, przewiezione za Kaukaz i tam zmontowane na nowo. Teraz produkują już tylko T-34, fenomenalny rosyjski czołg, który ma bardzo prostą konstrukcję. Po prostu wielka góra metalu została zużyta na pancerz, potem druga góra na największą lufę, jaką dało radę odlać. A w dodatku ten czołg porusza się tak szybko, jak nasze Pzkpw-IV. Przystosowany konstrukcyjnie do wschodnioeuropejskich warunków, na Wschodzie brak przecież dróg, którymi by się mogły poruszać czołgi, w zimie będzie jeszcze gorzej, a i podobno jesienne deszcze mogą zaszkodzić broni pancernej. Rosjanie pozornie

zbudowali czołg, który jak uderzy z działa, to uderzy, bez żadnej dodatkowej filozofii, a jednak jego niektóre rozwiązania zagoniły w kozi róg naszych inżynierów. Dobrze, że Stalin nie posiada dowódców dość inteligentnych, by mogli robić śmiałe manewry oskrzydlające. Na szczęście nie zamontowali w środku radiostacji. Trzeba być debilem. Ich dowódcy, żeby otrzymać albo przesłać dalej rozkaz, muszą wychylić się z wieżyczki i machać kolorowymi chorągiewkami. Nasi snajperzy to się jak dzieci cieszą. Rosjanie mają przede wszystkim straty wśród dowódców czołgów, to obecnie bardzo znerwicowani ludzie, nominację traktują jak odroczone samobójstwo. Ale nawet Rosjanie się w końcu nauczą, że radio może się przydać.

Weiner przetarł ręką oczy, był wyraźnie zmęczony.

- Zdobyliśmy nikomu niepotrzebne miasto, tylko rozwścieczając opinię publiczną - kontynuował. - Może trzeba było uderzyć na Kaukaz. Tam są pola naftowe, bez nich machina wojenna wroga stanie. Takie są plany na październik, może zdążymy, nim Rosjanie nas dogonią technologicznie. Bo duch Armii Czerwonej jeszcze nie upadł. Opowiadałem panu, że wypowiedzieli razem z Brytyjczykami wojnę Iranowi. A już sytuacja w Zatoce Perskiej zaczęła się stabilizować. Wydawało się, że wyprzemy ich z Syrii i Iraku razem z Francuzami. A tymczasem mamy w rejonie nowe dywizje brytyjsko-radzieckie w wielkiej liczbie, wkrótce będą niezwiązane ogniem, armia irańska po bohaterskiej walce jest w przededniu kapitulacji. Czerwoni wiedzą, co jest ważne, ropa, cholerna ropa. Jeszcze więc nie wiadomo, kto wygra tę wojnę. No i te cholerne amerykańskie lotniskowce, które w osłonie floty czają się jak sępy. Wiedział pan, że w 1939 USA posiadało mniej czołgów niż Polska? Teraz produkują więcej od nas. Ech... W Anglii też mamy problemy.

- Sądziłem, że po śmierci Churchilla pokój jest pewien.

- Śmierci Churchilla? Ten skurczybyk wciąż wydaje radiowe odezwy do narodu. Jak to możliwe, skoro Otto Skorzeny przysięga, że osobiście wpruł magazynek w tłusty brzuch premiera? Odezwy zza grobu, Herr Sosnowski? Coś tu bardzo nie gra. Okazało się, że nic nie wiemy i nic nie rozumiemy z tego, co się dzieje na Wyspach. Na przykład szkoccy i irlandzcy dyplomaci zwodzili nas obietnicą separacji z Anglią, w rzeczywistości pragnęli zyskać na czasie. Podobnie jak Rosjanie za Ural, tak Anglicy podczas chemicznego niszczenia południa przenieśli swoje fabryki na północ i do Irlandii. Teraz, zrekonstruowane i zmodernizowane, produkują broń. Stany Zjednoczone dostarczają tym draniom wszystkiego, co potrzeba. A nasi ludzie mają bardzo szczupłe racje żywnościowe. Przeprawa towarów przez Kanał nadal jest problemem. Ostatnio Home Fleet chciała całkiem zablokować La Manche, udało nam się uratować konwój i zmusić Brytyjczyków do odwrotu tylko dzięki zmasowanemu ostrzałowi okrętów za pomocą rakiet V-1. Uszkodziliśmy im dwa pancerniki, na pewien czas ich to powstrzyma. Mówię to wszystko panu dlatego, by nie miał pan złudzeń. Owszem, Niemcy wygrywają tę wojnę, ale jeszcze nie otwierałbym na miejscu marszałka Rzeszy butelek szampana.

Rozmowę przerwał im Luehmann.

- Dobrze, że to piekło na Wschodzie ma się już ku końcowi. Podobno niewielkie grupy golemów okazywały się prawdziwym utrapieniem dla naszych linii zaopatrzenia.

- Golemów?

- Nie słyszał pan o tym, Herr Sosnowski? Niektórzy mówią, że to plotki rozsiewane przez żydowską propagandę. Ale ja sam rozmawiałem z rannymi, którzy nawet nie dotarli na front. Golemy wychodzą powoli z lasu, z ogłuszającym łoskotem, a z jedynego otworu w przyłbicy, niby z oka, emitują wiązkę twardego promieniowania, która tnie blachę Tygrysów niczym masło. Nasze czołgi nie mogą

nawet porządnie się ostrzeliwać, kule odbijają się od tych opancerzonych potworów niczym groch od bębna. Jedynie bezpośrednie trafienie z działa albo wybuch granatu potrafią powstrzymać ich nieustępliwy marsz. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby Żydowska Organizacja Bojowa przekazała plany tej broni aliantom...

- I tak by się na nic im nie przydała - wtrącił się podchodzący z kieliszkiem w ręku Hoffmann. - Zainteresowała mnie ta sprawa i poświęciłem jej nieco czasu. Stworzenie golema zawsze wymaga poświęcenia. Ludzie Zachodu nie są do niego zdolni. Poza tym... Po to, by wziąć udział w rytuale przeistoczenia ciała i krwi w glinę, jak oni nazywają bulgoczący genetyczny materiał, wymagany jest umysł szkolony wiele lat w Torze. Tylko długotrwała nauka samodyscypliny pozwala duszy przejść cały ten zarówno bolesny, jak i koszmarny proces, i nie oszaleć. A nawet Żydom zdarza się, że powstaje golem bez mózgu albo rozwścieczone zwierzę w pancerzu, które rozszarpuje wszystko wokół na strzępy, chyba że wcześniej ktoś je zabije albo w szale samo rozerwie sobie brzuch.

- Golem musi być skropiony krwią i światłem duszy - powiedział Luehmann. - Słyszałem tę formułę, ale teraz dopiero rozumiem, co oznacza.

- Dla Rzeszy dobrą nowiną jest to, że nie wszyscy Żydzi myślą jak ŻOB. Całkiem spora grupa odrzuca przemoc. Z danych wywiadu wiem, że gromadzą każdy kawałek stali, jaki zdołają. Są pierwsi na polu bitwy i zabierają spalone skorupy czołgów, rozbierają przęsła mostów, kradną druty telegraficzne, a nawet tory kolejowe. Podobno budują gdzieś przeogromny statek. Tylko po co im okręt pośrodku Eurazji? Sztabowcy łamią sobie nad tym głowy.

- Żydzi budują kolejną arkę. Czyżby zanosiło się na opady? zapytał Hoffmann.

- Niech pan nie będzie śmieszny. Biblijny potop, nawet jeżeli istniał, był katastrofą regionalną. Zdarza się co pewien czas, że wody wzbierają i społeczność rolnicza musi zachować nasiona i udomowione zwierzęta, jeżeli chce przetrwać. Natomiast to, co dzieje się teraz, jest jakimś mistycznym szaleństwem. - Weiner pokręcił tylko głową.

- Zostawmy Żydów ich własnym obsesjom - odparł Luehmann. - Po zakończeniu wojny ani arka, ani kilka golemów nie będzie miało znaczenia. To stanie się zadaniem dla lokalnej policji. Ja się cieszę, że wreszcie ruszy kolonizacja i znajdą się pieniądze na cywilne projekty. Nasi naukowcy wynaleźli ostatnio prototyp urządzenia, które można wszczepiać w mózg. Łączy się ono z drogami nerwowymi właściciela i przejmuje kontrolę nad ośrodkami decyzyjnymi. Znakomity mechanizm, który powinien nosić każdy Słowianin. Kilkoma wyładowaniami elektrycznymi blokowana jest świadomość, zresztą i tak skarlała u podludzi. Chodzi o to, by nie zaprzątali sobie głowy czymś, co i tak jest nie dla nich, i efektywniej pracowali. Niestety wraz z degeneracją ośrodków wysokich doszło do paraliżu wszystkich funkcji, obdarzona wszczepem osoba porusza się i pracuje bardzo powoli, ale to żaden problem, jeżeli pomyślimy, że Ukraińców są miliony, prawda? Wielkie wschodnie latyfundia skorzystają na takiej sile roboczej, nowa generacja zmechanizowanych podludzi będzie znała tylko dwie potrzeby. Największe zadowolenie, gdy spełniana jest wola pana i jedzenie.

- Słyszałem, że prototyp posiada wiele niedoskonałości - odezwał się cierpko Hoffmann.

- Niestety, wciąż brakuje pieniędzy na cele cywilne. Póki wojna się nie skończy, nie ruszymy też z produkcją masową. Dlatego tak cieszy mnie zajęcie stolicy. Nadchodzą piękne czasy.

*

Ogień imprezy powoli się wypalał, najwyższy czas było przebrać się w wymagane uniformy i powrócić do Germanii. Do wieżowca dotarli zmęczeni, alkohol szumiał w głowach i nogi wlokły się, jakby w żyłach płynął ołów. Szybka winda wyniosła ich na wysokość chmur w kilka sekund. Wyszli na korytarz we trzech - człowiek z obstawy, pełniący też funkcję kierowcy, Artur i Weiner. Ruszyli tunelem o chropowatych ścianach w kierunku apartamentów Sosnowskiego. Nagle ochroniarz zatrzymał się. Drogę zagradzała im wielka pajęczyna.

Utkano ją w kształt okręgu, mlecznymi nićmi zasłaniała przekrój korytarza. Artur przyglądał się jej zafascynowany. Wyciągnął rękę, ciekaw, czy przyklei się do nieprawdopodobnego tworu.

- Na pana miejscu nie dotykałbym - odparł powoli Weiner. - Nie wiemy, czy w okolicy nie czai się pająk. Wówczas go zaalarmujemy.

Położył dłoń na rękojeści miecza z trupią główką i wyciągnął go z pochwy. Stal zalśniła jak biała błyskawica w zimnym świetle lamp diodowych.

- Nie rozumiem... - mówił Weiner, kręcąc głową. - To nie powinno się zdarzyć. No dobrze, odsuńcie się. Mam pancerz, nawet jak jest gdzieś za pajęczyną i skoczy na mnie, powinienem sobie poradzić.

- Nie lepiej wezwać odpowiednie służby? - zapytał Artur.

Weiner uderzył mieczem w sieć, klinga zagłębiła się w gęstą substancję, tworząc pokaźną wyrwę. Jednak zbierając za sobą mnóstwo lepkich nici, zdawała się grzęznąć. Gruppenführer wyszarpnął ją gwałtownym ruchem. Kolejne cięcia poszły lepiej, wkrótce cała sieć leżała u ich stóp.

- Odpowiednie służby do usunięcia pajęczyny? Niech pan nie będzie śmieszny - rzekł Weiner, pierwszy pokonując resztki pajęczej konstrukcji. Mimo nonszalancji w głosie, brzeszczot trzymał wyciągnięty przed sobą. - Pająki nie są groźne, zostały też zaprojektowane, by nie zbliżać się bez pozwolenia do ludzkich domostw. Nie wiem, jak do tego doszło, zapewne pomyłka. Nie rozumiem, dlaczego pilnujący korytarza wartownik nie oczyścił tego wcześniej. Czeka go poważna nagana. Zaraz z nim porozmawiam.

Do tej rozmowy nie doszło. Strażnika nigdzie nie było.

- Poszedł do toalety - zaryzykował stwierdzenie eskortujący ich żołnierz.

- Sprawdź to.

Żołnierza nie było w toalecie ani nigdzie w budynku. Zapadł się jak kamień w wodę. Weiner pokręcił głową niezadowolony. Mruczał coś o morale niemieckich żołnierzy i karze za dezercję. Potem pożegnał się i oddalił.

Tymczasem Artur wszedł do swego pokoju. Wsunął dwa palce w szczelinę w ścianie, zagiął, by odnaleźć pulsujący energią punkt. Nacisnął lekko i rozbłysło światło. Wtedy dopiero uważnie obserwując wszystkie kąty i meble, z ręką na kolbie ukrytego w ubraniu pistoletu powoli ruszył do przodu. Każdy cień, który zdawał się drgnąć, budził wszystkie zmysły. Obszukał całe mieszkanie i poczuł się wreszcie bezpieczny. Okna i drzwi zostały szczelnie zamknięte, intruz nie miałby jak wtargnąć pod jego nieobecność.

Z ulgą zwalił się na łóżko. Otoczyło go przyjemne spowalniające ruchy pole. Wzrok odruchowo padł na sufit.

Sufit!

Zerwał się na równe nogi. Gorączkowo przyglądał się sklepieniu mieszkania. Dziwaczne załamania faktury, wypustki tworzące grę cieni stanowiły wymarzone miejsce dla ukrycia nieruchomo łowcy. Na dodatek lampy diodowe

świeciły w dół i sufit pozostawał w lekkim, budzącym niepokój półmroku. Artur jeszcze raz przeszedł wszystkie pomieszczenia, zadzierając głowę wysoko w górę.

Dopiero potem zdecydował się położyć ponownie, pistolet trzymając obok siebie.

Lęk od niego odszedł, powróciła przytłaczająca samotność. Poczuł się przeraźliwie obcy w świecie, który chciał go wykorzystać albo zniszczyć. Liliane... Nagle wiedział, że Liliane dla niego umarła. Chciało mu się płakać, ale nie potrafił. Leżał tylko ze spojrzeniem wbitym w sufit, aż ściany rozświetlił wschód słońca.

# Wschód

## I

Reinhard Heydrich siedział w uszczelnionej przeciwchemicznie kabinie helikoptera. Pod nimi przesuwały się ogołocone z liści czarne kikuty drzew, pozostałość lasu, od którego niewielkie miasteczko Woodenville, błyszczące światłami po lewej, zawdzięczało swoją nazwę. Raz po raz kokpit dygotał pod gwałtownymi uderzeniami wiatru, pogoda terenu niemal ogołoconego z życia należała do kapryśnych i przerażała gwałtownością. Pilot coś powiedział. Heydrich popatrzył pytająco. Wirnik pracował tak głośno, że aby się porozumieć, musieli niemal krzyczeć.

- Zbliżamy się do brytyjskiego obozu koncentracyjnego „Woodenville” - wrzasnął tamten. Szare skupisko baraków, ogrodzonych drutem kolczastym, przycupnęło na równinie przed nimi niby kolonia grzyba.

- Tutejsi chyba wolą określenie „obóz leżący na terytorium Anglii” - odezwał się adiutant. - Lepiej ich nie drażnić bez potrzeby.

Swastyki oczu Heydricha patrzyły zimno. Głupiec, co za różnica? Ten asystent szybko dołączy do poprzedniego na froncie wschodnim. Poprzedni wiedział zbyt wiele, ten najwyraźniej zbyt mało.

Znaleźli się nad morzem kurzu. Pod nimi niewielkie zawirowania pyłu wznosiły się ze straszliwą szybkością, tworząc wielometrowe trąby powietrzne. Chociaż na tym

pułapie byli względnie bezpieczni, pilot musiał czasem manewrować, by uniknąć nagłych turbulencji. Heydrich wrócił myślami do ostatniej rozmowy z Sosnowskim. Skąd, do cholery, ten Polak tyle wiedział? Skąd?

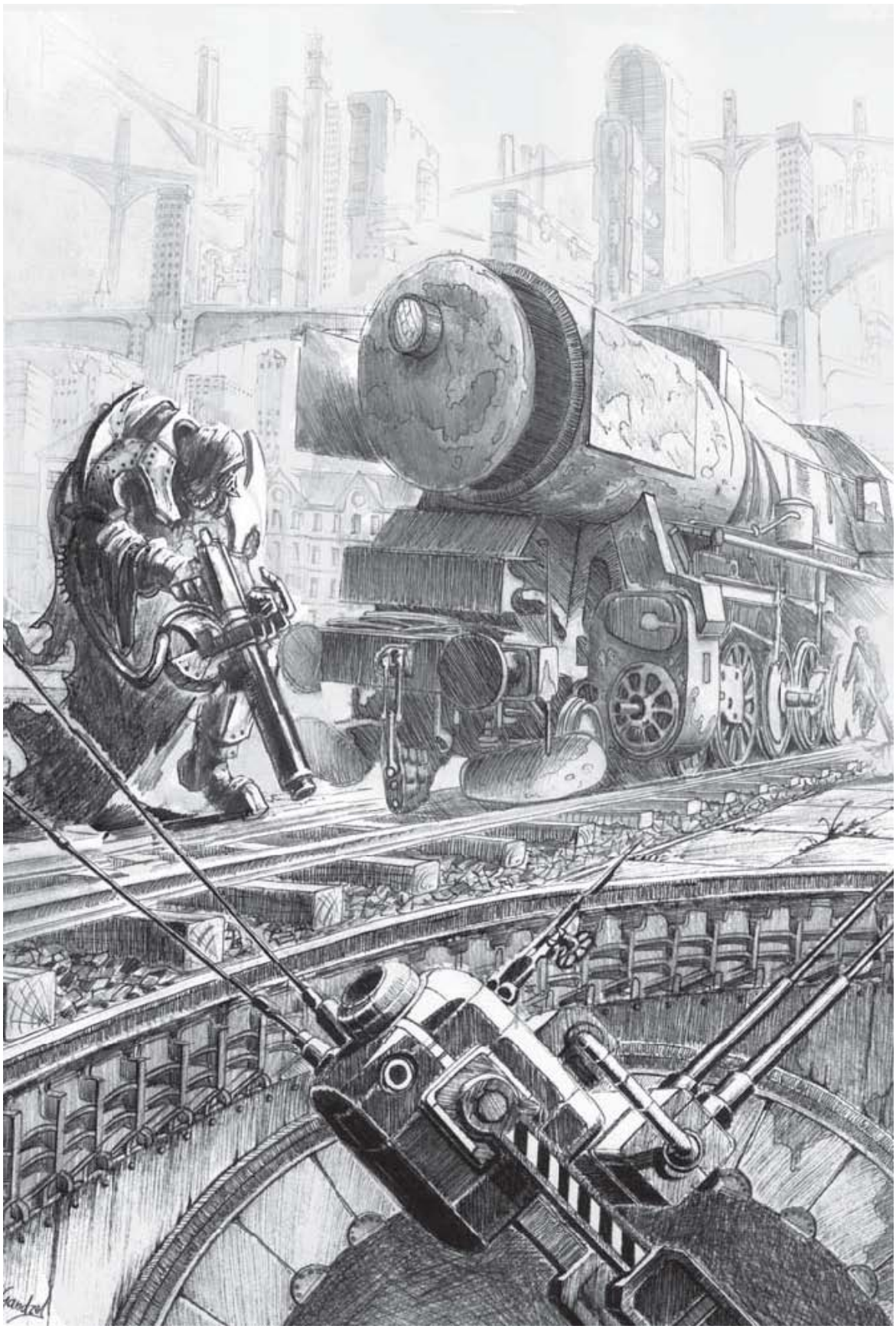

Może ma kontakty w Sztabie Generalnym? Wyobraźmy sobie, ktoś podsłuchał rozmowę o moim przeniesieniu, zanim w ogóle wydano taki rozkaz. Ktoś, kto szpieguje dla Sosnowskiego lub też jest nadmiernie gadatliwy w łóżku, a jego żona wierzy w astrologię i traktuje samozwańczego wschodniego maga jak spowiednika.

Jeżeli tak, to co jeszcze wie i jak bardzo jest niebezpieczny?

Huk silnika się zwiększył, zarzuciło nimi potężnie, przez moment zdawało się, że rotor zawadzi o jeden z kominów. Zamyślony nie zauważył, jak rozpoczęli podejście do lądowania. Szalejące nad ziemią wichry walczyły o władzę nad maszyną z wolą pilota. Heydrich z beznamiętnym zainteresowaniem obserwował ten pojedynek, jakby cała ta sytuacja dotyczyła kogoś innego.

Ku jego zaskoczeniu pilot posadził maszynę lekko, płozy ledwo musnęły lądowisko. Zamknęli przyłbice masek. Niebo zasnuwały chmury i na zewnątrz panowała szarzyzna. Przez chwilę od wewnętrznej strony szyby odbijał się szereg srebrzystych czaszek. Odruchowo sprawdzili zawory i zawartość butli z powietrzem. Najpierw wyskoczyło trzech esesmanów osobistej ochrony. Gdy zameldowali, że teren jest zabezpieczony, wydostał się adiutant i wreszcie, schylając głowę pod wciąż wirującymi łopatkami, Heydrich.

Zgięci pod naporem wiatru, pobiegli do pobliskiego budynku personelu. Przenikliwe zimno przesączało się przez pancerz. Śmiertelne wyziewy tańczyły wokół nich niczym cienie śmierci.

Drzwi śluzy rozwarły się przed nimi z sykiem, gdy dotarli na odległość trzech kroków. Gdy weszli do środka, brama natychmiast się zamknęła i zaczęły pracować pompy urządzeń filtrujących. Na ścianach pulsowało miarowo czerwone światło. Po chwili zmieniło kolor na zielony.

Heydrich z ulgą odsłonił przyłbicę. Położył dłoń na rękojeści miecza. Słynął ze swoich umiejętności szermierczych. Otoczony trójką opancerzonych rycerzy SS wkroczył na teren obiektu. Minął salutujących strażników, wyraźnie stremowanych kontrolą, o której dowiedzieli się ledwie kwadrans temu przez radio, i udał się do bloku medycznego. Korytarze skąpane były w nieprzyjemnym blasku jarzeniówek. W powietrzu wisiał nieprzyjemny zapach ludzkich wydzielin, źle maskowany gryzącą wonią używanego w dużych ilościach środka dezynfekcyjnego.

W pokoju pielęgniarek siedział na stole lekarz i żartował z dwiema dziewczynami w czepkach. Na widok gościa nerwowo zgasił papierosa, zerkając przy tym na plakat kampanii antynikotynowej, z której Rzesza był tak dumna.

- Herr Heydrich, to dla nas prawdziwy zaszczyt.

- Wierzę. Gdzie komendant?

- Zajęty... ale już po niego każę posłać...

- Prowadźcie w takim razie do sali odpraw lekarskich.

- Ależ oczywiście. - Lekarz z trzęsącymi się rękami ruszył przodem.

Weszli do obszernej sali, w której pijąc kawę, siedziało kilku starszych mężczyzn w białych kitlach. Najstarszy trzymał w poplamionych nikotyną rękach jakiś plik papierów. Heydrich rzucił okiem na pierwszą stronę: „Wpływ krwi i moczu schizofreników na metamorfozę kijanek”.

Obok, na stoliku, stała filiżanka z fusami po kawie. Brudna metalowa łyżeczka z brązowymi zaciekami opierała się o spodeczek. Czytający uniósł pokrytą plamami wątrobowymi twarz i omal nie zadławił się własną śliną.

Personel natychmiast stanął do nazistowskiego pozdrowienia. Doktorzy się przedstawili.

- Wykonujecie tu doskonałą pracę ku chwale Rzeszy - powiedział Heydrich. - Niczego panom tutaj nie potrzeba?

- Szczerze mówiąc... - odezwał się najstarszy. - Potrzebuję kolejnej partii strojów ochronnych. Zwłaszcza szczelnych okularów. Podczas ostatnich eksperymentów z iperytem kilku moich kolegów nabawiło się problemów ze wzrokiem.

- Zajmie się tym mój adiutant. Chciałbym przejrzeć dokumentację medyczną szpitala.

- Całą... - Lekarzowi z przerażenia opadła szczęka. - To znaczy oczywiście, już dostarczymy. Zechce pan przejść do pokoju z wygodnym biurkiem i wygodnym... - spojrzenie wędrowało przez chwilę bezradnie po gołych ścianach. - ...wszystkim.

Ruszyli korytarzem. Lekarz zbliżył się konfidencjonalnie i powiedział:

- Mam nadzieję, że te dokumenty nie dostaną się w Berlinie do rąk moich szacownych kolegów po fachu. Wiele osób na uniwersytetach patrzy zazdrośnie na to, co tutaj robimy, zwłaszcza na nasze... możliwości. Nie uwierzy pan, ale nawet wśród naukowców znajdują się prawdziwe kanalie. Mogliby zapragnąć ukraść wyniki naszych badań i ogłosić jako własne.

- Proszę być spokojnym. Gdzie jest komendant?

- On jest... - szczęka doktora zadrżała niebezpiecznie - niedysponowany. Ale natychmiast go wezwiemy.

Z drugiej strony szła kolumna wynędzniałych więźniów prowadzona przez uzbrojonych strażników. Na widok esesmanów eskorta ustawiła konwojowanych ciasno pod ścianą. Większość trzymała głowy spuszczone nisko, ale jeden spojrzał w twarz przechodzącemu Heydrichowi.

Charles Sparrow przeraził się zdeformowanej twarzy hitlerowskiego paladyna. Popatrzył z nienawiścią i

obrzydzeniem za zakutymi w zbroję teutońskimi olbrzymami.

- Nie odwracać się! - rozległo się warknięcie strażnika. - Iść dalej!

Sparrow posłusznie pochylił głowę. Jego wychudzonymi plecami targnął kaszel. Plwocina, która spadła obok stóp, zawierała krew wymieszaną z ciemną breją. Atak zwolnił go, ale konwojent powstrzymał się od uderzenia. Obiekty badawcze mają pewne prawa. Naukowcy uważali obicie narządów wewnętrznych za zakłócające eksperyment.

Sparrow był zmęczony procedurami terapeutycznymi. Pragnął tylko położyć się na podłodze swojego baraku. I włączyć urządzonko.

Urządzonko było dla niego wszystkim. Jedynym sensem jego życia, zwłaszcza odkąd się dowiedział, że ma gruźlicę, co tutaj równało się wyrokowi śmierci. Jeszcze na wolności kreślił pierwsze plany, zarażając konceptem zaufanych przyjaciół, ale odkąd go zamknęli, zamieniło się to w prawdziwą obsesję. Z trudem dostarczał kolejne rozwiązania na zewnątrz, przez łańcuch ryzykujących życiem ludzi, aż do ciemnych tuneli londyńskiego metra, gdzie w tajnych laboratoriach sztaby najlepszych naukowców nadawały fizyczny kształt jego koncepcjom.

Niestety urządzonko nie działało i nikt nie wiedział dlaczego. Wszystkie elementy były już na swoim miejscu, tak jak to wynika ło z teorii. Tymczasem przyciśnięto z dużą ostrożnością włącznik, i nic się nie wydarzyło. Sparrow na odległość nie mógł ocenić, co funkcjonowało niewłaściwie. Dlatego poprosił o dobudowanie mechanizmu samoniszczącego. A potem łańcuch ludzi przekazujących dotąd cienkie bibuły zakreślonego papieru, zaczął podawać w drugą stronę niepozornie wyglądającą skrzynkę.

Konfigurując urządzonko, Sparrow ścigał się z czasem. Na początku leczono go tylko wypacaniem choroby w

skrzyni z żarówkami. Potem jednak dostał się do programu badawczego. Jego lekarz uważał, że można wyleczyć gruźlicę, inhalując płuca sadzą. Odkąd w wydzielinie Sparrowa pojawiły się drobinki węgla, zrozumiał, że nie ma szans na przeżycie.

Wtedy po raz pierwszy urządzonko zadziałało. Charles zaklinał się, że nie wie dlaczego.

Korytarz zmienił się w przezroczysty rękaw łączący budynki medyczne z prymitywnie zabezpieczonym przeciwchemicznie barakiem. Z sąsiedniego baraku, takim samym tunelem, wychodził sznur kobiet w więziennych koszulach. Łyse, na ich skórze widniały ślady poparzeń. Eksperymenty ze sterylizacją. Sparrow odwrócił wzrok, zamrugał szybciej, ostatnio worki spojówkowe miał ciągle wyschnięte.

Długo w ciemnościach leżał na pryczy, nie mogąc dojść do siebie. Bezmiar zła go przytłaczał.

Przed wojną wierzył, że może naprawi świat przy pomocy słów. Że jego poglądy ubrane w szaty książek mogą odmienić umysły innych. Wierzył, że ludzie czytając, zmienią swoje połączenia między neuronami, z czasem mózgi przekształcą strukturę, idee wpłyną na świat fizyczny, choć potrwa to lata. Przecież intensywna edukacja wpływa korzystnie na rozwój układu nerwowego, prawda? Słowa muszą się przekładać na układ neuronów.

Potem przyszła wojna i zrozumiał, że książki działają wolniej niż kule. Patrzył, jak bomby i karabiny niszczyły wszystko, co kochał. A skażone idee - te okazywały się silniejsze.

Należał do najwybitniejszych umysłów Wielkiej Brytanii, ale musiał umrzeć, bo miał dużo bardzo dobrych przyjaciół, a co do przyjaciółek - tych, no właśnie, nie miał wcale. Ktoś doniósł.

Zresztą na Wyspach nigdy nie patrzono na takie rzeczy z życzliwością.

Bezgłośnie sturlał się z pryczy na podłogę. Odsunął jedną z desek. Zielona dioda na wierzchu urządzonka świeciła uspokajająco. Wgłębienie o kształcie wklęsłego zwierciadła wibrowało delikatnie.

Zmieniać strukturę mózgu można szybciej. Nie trzeba na to lat czytania odpowiednich lektur. Wystarczy zmieniać fale mózgowe, wpływać na aktywność elektryczną układu nerwowego. Pobudzać niektóre rejony do wzrostu, dźgać niby szpilką. Na przykład rejony nowej kory mózgowej, gdzie zalęgła się etyka i ma swoją siedzibę sumienie. Lub starsze rejony układu limbicznego, gdzie niby w organicznym kościele zamieszkała wiara w Boga.

Czy w ten sposób można zamienić złych ludzi w dobrych? Zbawić świat psychoaktywną igłą?

Od dwóch tygodni dostrajał parametry korygujących fal urządzenia do aktywności bioelektrycznej mózgu komendanta obozu. Zapewne teraz precyzyjnie oznaczony fragment jego *neocortex* jest nabrzmiały, a żyły dostarczające w ten rejon krew spuchnięte.

Sparrow wiedział, że urządzenie powinno działać jeszcze przez co najmniej miesiąc. Ale czuł, jak czasem dane jest to ludziom, że nie obudzi się już następnego dnia.

Poza tym esesmani przybyli tu, by węszyć. Nastawił urządzonko nas maksymalną moc. Przez chwilę zastanawiał się, jak jego ofiara odbiera puchnący gwałtownie mózg. Czy zafundował komendantowi to samo, co zdarzyło się Pawłowi w drodze do Damaszku?

Snop światła. Odkrycie prawdy.

Ból głowy?

Nastawił samozniszczenie na pół godziny. Nie mógł ryzykować, że przybysz z SS odnajdzie dzieło jego życia.

Zamknął skrytkę. Akurat wtedy po niego przyszli. Rozluźnił się, starając oddychać spokojnie. W płucach bolało. Przekonywał siebie, że zabierają go tylko na standardowe procedury badawcze szacujące postęp po dzisiejszym zabiegu.

Ruszył w żmudną drogę z powrotem do budynku medycznego. Czuł się zmęczony i było mu już wszystko jedno. Dla tego świata zrobił już wszystko, co możliwe.

Z przeciwnej strony korytarzem szła pielęgniarka ze stosem akt. Zatrzymała się przy jednych drzwiach i manewrując stosem papierzysk, by go nie zrzucić, z trudem nacisnęła klamkę. Sparrow zerknął w powstałą szczelinę i zobaczył elegancko umeblowany pokój i przy dębowym biurku podobnego do opancerzonego szkieletu mężczyznę o źrenicach jak swastyki.

Heydrich nie mógł się skupić na zadaniu. Z dokumentacji medycznej nie wynikało, który eksperyment mógł być odpowiedzialny za dziwną anomalię wykrytą przez okultystów SS. Jego myśli cały czas uciekały od nudnych raportów w kierunku Sosnowskiego.

A może za tym Polakiem rzeczywiście stoi magia? Sam Heinrich Himmler kazał go otoczyć po cichu specjalną opieką. Dotąd przepowiednie się raczej sprawdzały. Heydrich brał udział w kilku ściśle tajnych projektach i widział rzeczy, które kazały wątpić w tezę o wyłącznie materialnej strukturze wszechrzeczy. Gdy więc posłaniec przyniósł mu wiadomość, że właśnie ofiarowano mu władzę nad Protektoratem Czech i Moraw, nie wiedział, czy właśnie nie był to dowód na mistyczną siłę ingerującą w jego życie za pośrednictwem Polaka.

Mistycyzm z Krakowa. Co więcej go spotka? Wydął pogardliwie wargi. Ma zatem jeszcze może uwierzyć w cuda?

Zrzucił gwałtownym gestem nieprzeczytane papiery z biurka.

- Gdzie jest komendant tego cholernego obozu?! - krzyknął.

Natychmiast w drzwiach pojawił się lekarz.

- Jest chory. Jak tylko wyzdrowieje...

- Czekam już od godziny. Prowadźcie do niego natychmiast!

Paladyn Hitlera ruszył za struchlałym doktorem. Ochrona osobista zamykała pochód. Wreszcie stanęli przed okazałymi drzwiami. Były zamknięte.

- Otworzyć!

- Ale komendant jest chory...

Swastyki patrzyły zimno.

- Taak? A co mu mianowicie dolega?

Lekarz nie wiedział, gdzie podziać spojrzenie. Wreszcie wykrztusił:

- Doznał objawienia...

- Objawienia? - Heydrich się uśmiechnął drapieżnie, a jego twarz wyglądała bardziej niż kiedykolwiek jak trupia czaszka. Bóg już dawno opuścił ten świat, Herr SS-Arzt. - Wskazał pancerną dłonią na wszystko wokół nich. - Jeszcze pan wątpi?

A potem kazał wyważyć drzwi.

W ciemności, z sufitu zwisała ciemna postać w oficerskim mundurze galowym. W opuszczonej ręce na łańcuszku owiniętym między palcami delikatnie kołysał się srebrny krzyżyk.

*

Artur spoglądał na skąpane w strugach deszczu miasto. Za gęstą ścianą wody wyglądało jeszcze szarzej i ponuro niż zwykle, a czerwone nazistowskie flagi zamiast dumnie spływać z wysokości, przyklejały się do murów. Ta sama pogoda, która odebrała resztki urody Nowemu Berlinowi, zatrzymała też hitlerowską ofensywę w ZSRR. Wschodnie stepy zamieniły się w morze nieprzebytego błota. Obie strony czekały, aż przyjdzie mróz i skuje ziemię lodem, by znów mogły ruszyć gąsienice pancernych zagonów. Wykorzystano czas, by uzupełnić benzynę, amunicję, odtransportować rannych, przegrupować siły. Tym niemniej koniec wojny oddalił się co najmniej o miesiąc.

Artur podszedł do lustra. Miało lekko esowaty kształt, rama wyglądała tak, jakby olbrzymią ilość stali poddano wysokiej temperaturze. Od Weinera wiedział, że takie modele znajdują się w większości ekskluzywnych apartamentów NSDAP, a są kopią lustra zaprojektowanego przez Gaudiego.

Weiner wspomniał też przy jakiejś okazji, gdy podróżowali po stolicy, jak Hitler zakochał się w Gaudim podczas spotkania z Franco w Barcelonie, gdzie podjął kolejną próbę, znów nieudaną, przyłączenia Hiszpanii do Osi i tym samym zdobycia Gibraltaru. Tam zwiedził Sagrada Familia i jego dusza, złamana przepowiedniami Sosnowskiego o przegranej wojnie, zakochała się w pokręconych kształtach świątyni. Natychmiast po powrocie rozkazał naczelnemu architektowi Niemiec, Speerowi, pojechać do Barcelony i nasączyć duszę chaosem bijącym z murów, by zaprojektować nową stolicę świata, Germanię. Speer posłusznie zwiedził Sagrada Familia i park Güell, a gdy powrócił, wykorzystał wszystkie dobrodziejstwa dostarczonych przez aryjską naukę nowoczesnych materiałów i zbudował Nowy Berlin takim, jaki obecnie rozciąga się za oknem.

Czy gdyby Hitler był nadal przekonany, że wygra wojnę, czy gdyby jego duszy nie zburzyła świadomość klęski, która na powrót skrystalizowała ją w ostrze absolutnej nienawiści i utworzyła człowieka-monstrum, czy Nowy Berlin nie wyglądałby inaczej? Pierwotnie przecież Führer za wzór stawiał sobie Paryż, pragnął nawet wyburzyć go do ostatniego domu, by twórcza myśl Francuzów nie prześcigała osiągnięć Niemców. Potem uznał, że Paryża burzyć jednak nie trzeba, można odtworzyć wszystkie jego najwspanialsze budynki w Germanii, tylko dziesięć albo i więcej razy potężniejsze. Tak było, gdy w jego duszy kryły się jeszcze resztki spokoju.

Teraz za oknem pyszniły się liczne wieżowce, setki powtórzonych, spotwornianych, monumentalnych kopii Sagrada Familia.

Hitler mówił, że sztuka Gaudiego bardziej przemawia do niego ze względu na biologizm, ostateczne powiązanie architektury z naturą. Kolumny rozwidlające się jak gałęzie palm lub spadające na podobieństwo zawijającej się fali, były naturalistycznie piękne. Nadto, jak w tarasach parku Güell, ciekawsze było często w sztuce Gaudiego nie to, co na wierzchu, ale co pod spodem, ukryte. Korespondowało to znakomicie z fascynacją Hitlera podziemiami i drążeniem tuneli oraz lochów. Odrzucił jedynie barwne kolory Katalończyków, zastępując wszystko ołowiem lub czernią.

Artur przyjrzał się swojej twarzy odbitej w powierzchni zwierciadła. Postarzał się bardzo przez ostatni czas. Pod oczami cienie odbijały się jak piętno klęski. Tak wyglądał portret człowieka przegrywającego co dzień swoje życie.

A przecież zdaje się, że ostatnio znów zaczynało mu się wieść.

Ostatnio Artur usłyszał dwie niezależne relacje z wydarzeń, które uruchomił, wysyłając Browna do von

Blankenknohra. Weiner poinformował go, że ciemny mag był na specjalny rozkaz Heydricha śledzony dzień i noc. Jakież było zdumienie oficerów prowadzących inwigilację, gdy wieczorem do prywatnego mieszkania profesora zakradł się Amerykanin, podejrzewany przez SS o handel nielegalnymi substancjami odurzającymi, przemytnik i być może agent wywiadu USA. Choć gościł tam bardzo krótko, Heydrich uznał, że nie można dłużej ryzykować. Być może powodowała też nim wściekłość, że został wystrychnięty na dudka. Nie zdecydował się chwilowo aresztować Browna, był on bowiem obywatelem neutralnego mocarstwa. Ale rozkazał nad ranem wejść do mieszkania maga grupie specjalnej. Niestety, coś poszło nie tak. Możliwe, że Batholomäus został uprzedzony albo podejrzewał, że jest śledzony, dość, że nie udało się zaskoczyć go we śnie. Wyciągnął spod poduszki lugera i ostrzeliwując się, zdołał dobiec do okna. Szczęście mu sprzyjało, podczas palby zdołał zabić dwóch żołnierzy i poważnie zranić trzeciego, sam jednak również został ranny. Korzystając z systemów parapetów i gzymsów, zdołał jakimś cudem zeskoczyć na ulicę i zapadł się niczym kamień w wodę. Od tej pory nie ma o nim żadnych wiadomości, prawdopodobnie jest już poza granicami stolicy, a może i Rzeszy. Heydrich uznał, że von Blankenknohr swoim zachowaniem w chwili aresztowania przyznał się do winy i wysłał za nim list gończy. Jak stwierdził Weiner, nic dziwnego, że gdy przychodzą do ciebie nad ranem esesmani, uciekasz, zwłaszcza jeżeli cokolwiek masz na sumieniu.

Wersja Hoffmanna różniła się poważnie od momentu, gdy do mieszkania wpadli uzbrojeni gestapowcy. Wedle psychologa analitycznego, ciemny mag spał niespokojnie, gdyż dręczyły go sny i przeczucia, a gdy ludzie Heydricha wyważyli drzwi, błyskawicznie zerwał się z łóżka, tworząc wokół siebie ochronną kulę mocy. Promienie śmierci padły z jego wyciągniętej ręki - i na nic się zdały kuloodporne

zbroje napastników. Pociski odbijały się od magicznej sfery, a Batholomäus von Blankenknohr ruszył, by odwojować swoje mieszkanie. Zabił chyba pięciu esesmanów, zanim wreszcie osłabł i któraś z kul zdołała przebić się przez osłonę, raniąc go poważnie. Wówczas rozbił jednym gestem pancerną szybę okna i cały czas wewnątrz migotliwej kuli, wzniósł się w powietrze. Ludzie Heydricha próbowali go zestrzelić, ale on tylko przyspieszył i zniknął między wieżowcami, a nim wezwano helikopter, ślad dawno wystygł. Ale zebrano próbki jego krwi, aby wyizolować DNA i w ten sposób stworzyć materiał do listu gończego. Psy Himmlera będą za nim węszyć po całej Europie.

Artur stwierdził, że wersja Hoffmanna jest nazbyt pełna wyobraźni i że psycholog powinien przede wszystkim trzymać się faktów. Czy nie tak brzmi jedna z analitycznych zasad? Na to Hoffmann ripostował:

- Nie widziałem tego na własne oczy, ale sądzę, że żołnierz, który mi to opowiadał, nie zmyślał.

- Czy po to, by poznać tę historię, nie musiałeś przypadkiem postawić mu alkoholu?

- To nie ma nic do rzeczy. Znam się na ludziach. A ty zastanów się, skoro dzięki swojej inteligencji tak łatwo zneutralizowałeś potężnego Batholomäusa von Blankenknohra, może użyjesz jej jeszcze raz i zrobisz z tym oszalałym światem w końcu porządek?

- Nie jestem Bogiem.

- To dobrze, bo zdaje się, że On chwilowo lubi Hitlera, zsyłając mu jedną wiktorię za drugą. Ja cię proszę, żebyś zastanowił się, co możesz uczynić jako człowiek.

*

Zajrzał do niego Alan Luehmann. Artur przywitał się serdecznie ze znajomym, w końcu nie miał ich tak wielu na tym pokręconym świecie. Jego gość był bardziej prostolinijnym człowiekiem niż Weiner, który zdawał się, podobnie jak Speer, należeć do pokolenia nazistów-intelektualistów. Choć samo w sobie zakrawało to na paradoks, życie różnie plotło ścieżki kariery i po dojściu Hitlera do władzy do faszystów przyłączyli się ludzie niegłupi, za to ambitni.

Natomiast Alan Luehmann należał do ludzi ceniących sobie proste przyjemności, nie zastanawiał się zbytnio nad naturą życia, przynajmniej nie bardziej niż potrzeba. A i tak przecież w szeregach SS musiał się wyróżniać, skoro kazano mu towarzyszyć Sosnowskiemu. Bo odkąd znalazł się w pełnym spisków Nowym Berlinie, gdzie pod powierzchnią oficjalnie głoszonej ideologii ścierały się z morderczą siłą najróżniejsze frakcje polityczne, w bezinteresowną przyjaźń Artur przestał wierzyć.

Po kilku wulgarnych i soczystych żartach, z których uśmiali się obaj, zaproponował, żeby wpaść wieczorem do Lebensbornu.

- Co to takiego? - zapytał Artur.

- Ludzka farma hodowlana Heinricha Himmlera. Przed wojną wydał rozkaz płodzenia nieślubnych dzieci, dzięki czemu za kilkadziesiąt lat Imperium Germańskie otrzyma dodatkowe dywizje. Każda kobieta powinna poza małżeństwem oddać się żołnierzowi wyruszającemu na front, a dziecko wychowa państwo zgodnie z duchem współczesnej nauki właśnie w Lebensbornie. Wspaniały pomysł moim zdaniem, mężatki są bardzo namiętne.

- Wygląda na to, że łebski facet ten Himmler - zgodził się ostrożnie Artur. - Ten pomysł... stosunków pozamałżeńskich się przyjął?

- Cholera, pracujemy nad tym... lud jest ciemny, przywiązany do konserwatywnych wartości, nie rozumieją geniuszu Reichsführera SS. Ale stopniowo wprowadzimy idee naukowe do życia społecznego, to tylko kwestia czasu. Na razie każda kobieta ma gwarancję, że zachowamy urodzenie dziecka w tajemnicy.

- Nie jestem pewien, czy interesuje mnie zwiedzanie takiej farmy rodzących kobiet.

- Echhh... - Luehmann machnął ręką, następnie mrugnął porozumiewawczo. - Przecież bym na farmę nie zapraszał. Te części są zamknięte dla odwiedzających. Kobiety w tym stanie potrzebują spokoju, rozumie pan. Nawet w pracy. Ale jest część wydzielona, gdzie można się spotkać z koleżanką, która chce podarować dziecko Adolfowi Hitlerowi.

- Ja nie pracuję. I nie mam koleżanek.

- Większość niemieckich mężczyzn nie pracuje. Są na froncie. I koleżanki z pracy nie mają kolegów. Zdziwiłby się pan, jak się suczki szybko zaprzyjaźniają.

Artur wciąż się wahał. Ostatnio bardziej niż zwykle dokuczała mu samotność. Nie potrafił zapomnieć o Liliane. Prosił Hoffmanna, by odnalazł ją, korzystając ze wszelkich dostępnych metod, bo wiarę, że Weiner mu pomoże, dawno stracił. Dotąd jednak nie otrzymywał żadnych wiadomości o dziewczynie i w duszy rosło przeczucie, że nigdy już jej nie zobaczy.

Luehmann mylnie zinterpretował jego milczenie.

- Wszystkie lalki są jak landrynki, słodziutkie i niewinne. Przed dostaniem się do Lebensbornu przechodzą specjalną selekcję i tylko te z kategorią pierwszą zostają w ośrodku. Ten, do którego pana zapraszam, też jest nie dla każdego. Tylko premierzy, ministrowie i wyżsi oficerowie SS z niego korzystają. Żadnego wieśniactwa.

- Zatem chodźmy.

Artur ubrał się w brunatny kombinezon, Luehmann nosił zbroję SS. Nie towarzyszyła im żadna widoczna obstawa, jego towarzysz twierdził, że odkąd wprowadzono system zapisywania danych w obręczach i kombinezony, Nowy Berlin stał się bezpiecznym miejscem i zamachy terrorystyczne uderzały w słabiej zabezpieczone miasta. Zresztą, nikt przy zdrowych zmysłach nie zaatakowałby uzbrojonego po zęby, pancernego strażnika SS.

Mimo to Sosnowski, oglądając się czasem dyskretnie, miał wrażenie, że niektórzy ludzie na ulicy poruszają się nieco inaczej niż zwykli śmiertelnicy spieszący do swoich zajęć. Choć dzięki kombinezonom każdy wyglądał tak samo, Sosnowski przez tyle lat nauczył się intuicyjnie rozpoznawać charakterystyczny wzorzec poruszania się szpiega.

- Nie jedziemy samochodem? - zapytał.

- Zajęłoby to zbyt wiele czasu. Produkcja samochodów ostatnio wzrosła i korki w centrum stają się nie do zniesienia. Führer gorąco namawia do korzystania z komunikacji publicznej. Pojedziemy metrem. Jesteśmy już blisko.

Zejście do metra miało kształt z daleka widocznej wielkiej pieczary o fakturze i kolorze przypominającej powierzchnię muszli. Szybko zeszli po połyskliwych schodach pokrytych jakby wielką rybią łuską i znaleźli się na peronie.

- Kiedy przyjedzie pociąg? - spytał Artur, stojąc nad szczeliną, w której mroku skrywały się zapewne tory.

- Jaki pociąg? - zdziwił się niepomiernie Luehmann. - Przecież to metro.

Podszedł do stojących koło siebie rządem stalowych prostokątnych brył. Wysokie na około dwa metry, jedną ścianę miały pięćdziesięciocentymetrową, drugą szerszą, na jakiś metr pięćdziesiąt. Ze ściany wyrastały liczne wypustki o kształcie płaskich prostopadłościanów i

niewielkich sześcianów. Wyżłobiono też szczeliny różnego kształtu, wyglądające jakby po nich miały jeździć jakieś bolce lub rygle, jednak nie dało się przez nie zajrzeć.

Jego przewodnik machnął obręczą identyfikacyjną przy czerwonej diodce, mignął promień światła i najwęższa ściana rozsunęła się, zapraszając ich do wnętrza.

W środku znajdował się niewielki panel, przypominający kawał błota. Luehmann wsadził po trzy palce z każdej dłoni w zagłębienia, przez chwilę intensywnie manipulował rękami, naciskając w różnych miejscach, aż wreszcie na lśniącej szybie pojawiającej się nad bryłą panelu pokazała się oczekiwana nazwa stacji docelowej.

- Nie ma gdzie usiąść - poskarżył się Artur.

- Szkoda miejsca. A i nie stawałbym zbyt blisko tych szczelin.

Ich wagonik oderwał się od pozostałych i pomknął przez ciemność tunelu.

- Indywidualne metro to przyszłość komunikacji masowej zauważył Luehmann. - Każdy wagonik imponuje ekonomicznym wykorzystaniem przestrzeni, zapewnia też bezpieczeństwo i prywatność, którego nie dają rozwiązania brytyjskie, gdzie wszyscy podróżują w jednym wielkim wagonie, a gdy jego trasa nie pokrywa się w całości z zamiarami podróżnego, trzeba się przesiąść.

Artur już miał zapytać, jak to jest tutaj rozwiązane, gdy rozległ się nieprzyjemny zgrzyt. Dostrzegł przez szczeliny, jak ich wagonik, przypominający dotąd bardziej poziomą windę, został podniesiony przez olbrzymie szczypce. Wyjaśniła się też przestroga Luehmanna dotycząca otworów w ścianach. Teraz rzeczywiście wczepiły się w nie różne bolce korygujące lot urządzenia i wzmacniające chwyt. Nie minęła chwila, a wylądowali w innym tunelu i znów mknęli na jakimś rodzaju, jak powiedział esesman, magnetycznej poduszki.

- I zaraz będziemy na miejscu. - Luehmann był z siebie zadowolony. - Gdybyśmy wybrali jazdę samochodem, z pewnością utknęlibyśmy na paradzie z okazji wymiany mundurków.

- Co to takiego?

- No przecież dzieci szybko rosną, prawda? Państwo im szyje drogie kombinezony, funduje maskę gazową, a po wakacjach okazuje się, że nic na takiego dryblasa nie pasuje. Więc jednego dnia oddaje się wszystkie kombinezony, podlegają one szybkiej dezynfekcji i powtórnemu rozdzieleniu. Zwykle trzeba doszyć pewną liczbę, ale z każdym rokiem w miarę gromadzenia państwowych zapasów problem ten będzie się sam marginalizował. No, jesteśmy.

Wagonik zatrzymał się gwałtownie i drzwi otwarły się samoczynnie.

*

Gdy znaleźli się w Lebensbornie, zaprowadzono ich do niewielkiego pomieszczenia o pulchnych różowych ścianach, z których wyrastały krótkie, czarne, wijące się witki. Wreszcie mogli pozbyć się kombinezonów. Gdy Luehmann odpinał zamek, Artur ledwie poradził sobie z maską gazową. A jednak musiał przyznać, że przyzwyczaił się już do niewygodnego stroju. Zmuszony nosić go ciągle na ulicy, traktował go niczym drugą skórę. Czy o to chodziło faszystom? Ludzie do wszystkiego się adaptują. Miną lata i zapomną, jak wygodna była wolność, zgodzą się na wszystko, co wymyśli Himmler i jemu podobni. Będą nawet spać w tych koszmarnych strojach, będą myśleć, jak rozkaże nazistowski reżim.

Teraz otrzymali białe szlafroki z wyszytymi dwiema błyskawicami. Artur zaprotestował, twierdząc, że nie ma do

nich prawa, ale Luehmann uspokoił go:

- Wszystko załatwione. Chwilowo nie ma innych. Skończyły się.

Artur pomyślał, że nigdy nie było, po prostu ten ośrodek odwiedzają tylko dygnitarze SS.

Na ścianie wyświetlił się napis: „Stosunki bez prezerwatywy surowo wzbronione”.

- Nie mam przy sobie prezerwatywy - wystraszył się Artur. Powinniśmy wrócić do miasta i kupić.

- Zgłupiał pan? - obruszył się Luehmann. - Sprzedaż prezerwatyw jest zabroniona. To niemoralne. Poza tym, trzeba nam nowych obywateli. A już przede wszystkim, cały przemysł gumowy pracuje na potrzeby armii.

- To skąd weźmiemy prezerwatywę?

- Tutaj to nie problem. Chce się pan może wcześniej rozluźnić? - Wskazał ręką rząd płytkich niecek pod ścianą, na wysokości pasa.

- Cóż to? Pisuary?

- Niecki z biologicznym narkotykiem. Ludzkim. Produkowanym naturalnie przez organizm człowieka, dokładnie - mózg. Jest słabszy niż roślinne odpowiedniki, ale łatwiej przyswajalny. Już rok temu odkryliśmy, że produkowane przez mózgi ludzi wewnętrzne narkotyki, jak anandamid, silnie wiążą się z receptorami kannabinoidowymi szarych komórek. W tych nieckach znajdzie pan wewnętrzne, produkowane przez ludzi i zsyntetyzowane z ich mózgów wersje kokainy, heroiny, amfetaminy, marihuany. Wszystkiego. Nasz organizm jest jedną wielką fabryką substancji odurzających. Proszę śmiało spróbować.

Podszedł do niecki, zanurzywszy rękę, podniósł ją, a z palców skapywała mu substancja podobna do różowego kisielu. Podniósł ją do ust i starannie oblizał palce.

Sosnowski przy tej okazji zauważył, że miał je krótkie i grube.

- Jak wygląda produkcja? Chodzi mi o ludzi, których mózgi...

- Niech się pan nie martwi. To z nowo założonych farm na Wschodzie. Tam nie ma prawdziwych ludzi. A teraz, jak już mamy humorek, czas na dziewczynki - zakomenderował.

Przed wejściem do apartamentów siedział grubaśny mężczyzna w złotej tunice, przez którą przeświytywały fałdy cielska.

- Eunuch - wyjaśnił Luehmann. - Urwało mu jaja pod Charkowem.

Artur spojrzał w małe oczy grubasa, ledwie widoczne spod przetłuszczonych policzków i zwałów tłuszczu zwisających fałdami z czoła oraz przelewających się przez brwi. Sprawiał wrażenie nieobecnego, jakby zażył odpowiednik morfiny.

- Pierwszy raz? - odezwał się burdelpapa, gdy do niego podeszli.

Nieco zdenerwowany Artur skinął szybko głową. Luehmann w zblazowany sposób machnął ręką.

- W takim razie wyjaśnię szanownemu panu procedurę: prezerwatywę wręczy wybrana przez pana dziewczyna. Otrzymacie od niej również kartę klienta, na której wypisane jest jej nazwisko i numer kontrolny. Kartę należy przechowywać minimum dwa miesiące. W wypadku zarażenia, lekarze z jednostki mogą odszukać też dziewczynę - źródło infekcji. Karta bierze też udział w losowaniu atrakcyjnych nagród.

W pokoju dziewczyny znajdują się niecki z biologicznym narkotykiem, takim jak i tutaj, jak również krany z alkoholem. Obywatelu, pamiętaj, Adolf Hitler pragnie, byś nie robił tego w pozycji od tyłu ani żadnej innej poza

klasyczną, to znaczy: kobieta rozkłada nogi i zamyka oczy, ty robisz resztę. Nie rób przykrości swemu Führerowi. Wszystkie perwersyjne praktyki, ustne, doodbytnicze, sadomasochistyczne są surowo zakazane. Kondom nakłada się, chwytając za zewnętrzną stronę prezerwatywy dwoma palcami, tak by powstał zbiorniczek na spermę, i naciąga na całego członka. Po stosunku należy zdjąć prezerwatywę tak, żeby jej wewnętrzna strona nie zetknęła się z palcami, żołędzią lub otworem cewki moczowej. Potem gruntownie umyć ręce, a następnie oddać mocz.

Zakończył swą przemowę uroczystymi słowami:

- Proszę pamiętać, nikt tak się nie zajmuje pańskim członkiem, jak Führer.

Za burdelpapą znajdował się duży, ciemnoróżowy okrąg o pomarszczonej powierzchni. Gdy się doń zbliżyli, w centrum pojawił się ciemny otwór, który zaczynał równomiernie rosnąć na wszystkie strony, aż zamienił się w przejście.

Luehmann śmiało ruszył do przodu, Artur niespokojnie się rozglądając, poszedł za nim. Niepokoiło go zwłaszcza, że znajdowali się jakby w powietrznym bąblu zawieszonym w różowej galarecie, która otwierała się przed nimi, a zamykała za plecami. Zakręciło mu się w głowie. Zastanawiał się, skąd jego towarzysz wie, dokąd w tej sytuacji iść.

- Dlaczego stosunki bez zabezpieczenia są zabronione? Sądziłem, że to miejsce służy płodzeniu dzieci.

- Tak jakby... tyle, że okazało się, że jest daleko mniej kobiet, które pragnęłyby podarować w ten sposób dziecko Führerowi niż mężczyzn. Widzi pan, kobiety zawsze miały pewien problem z patriotyzmem. Te, które się wykazały miłością do Rzeszy, są przez naszych chłopców brane średnio piętnaście razy dziennie. Widział pan kiedyś, jak czerwienią się uszy dziewczyn, gdy ktoś je natrze? Cipki

naszych panienek przybierają tę samą barwę z podobnych, rzekłbym, przyczyn. O dzieci się pan nie martw, gumka czasem zawsze może pęknąć, że tak się wyrażę. Natomiast choroby weneryczne to znacznie poważniejszy problem, stąd te wszystkie zalecenia. Może się panu wydawać bezsensowne, że państwo próbuje kontrolować, kiedy pan oddaje mocz, ale proszę pamiętać, że w ten sposób wypłukuje się groźne bakterie.

- Jaka jest różnica między tymi kobietami a prostytutkami?

- Te kobiety są patriotkami i kochają Adolfa Hitlera ponad życie. A prostytutki sterylizujemy i wysyłamy do obozów pracy. Oferowana przez nie zgnilizna moralna nigdy nie przeżre zdrowej tkanki niemieckiego narodu!

Brzydził się sobą, że poszedł do burdelu mimo miłości do Liliane. Nie tylko mimo miłości, ale w sytuacji, gdy ukochaną mógł spotkać okrutny los. Nie znalazł żadnego sensownego usprawiedliwienia, poza tym jednym, nieznośnym pulsowaniem gorąca w kroku. Zdawało się mu, że otaczające ich różowe ściany wibrują i wydymają w rytm uderzeń krwi w jego żyłach.

Wreszcie korytarz skończył się i weszli do okrągłego pomieszczenia, gdzie na różowych sofach spoczywały dziewczyny. Wszystkie oszałamiającej urody, przybrały wystudiowane pozy. Wyglądały jak doskonałe porcelanowe lalki, ze znudzeniem malującym się na pięknych twarzach.

- Podobno człowiek dokonuje wyboru podczas pierwszych kilku sekund. Potem to tylko puste zastanawianie się. Jeżeli się nie zdecydujesz zgodnie z pierwotnym wyborem, zawsze będziesz tego żałował - powiedział Luehmann.

- Ma pan rację. - Artur podszedł do jednej z dziewczyn o niemożliwie długich nogach. Jej twarz nie była typowo niemiecka, różniła się od innych dzikością, było coś w jej oczach takiego, że wiedział, iż chociaż zdobędzie jej ciało,

nie podbije nigdy duszy. Czuł, że stoi na przegranej pozycji, mimo to podjął wyzwanie i wyciągnął dłoń do dziewczyny, a ona wstała i rzekła niezwykle melodyjnym głosem:

- Mam na imię Jeanette. - Chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą. - Chodź za mną.

Doszli do ściany, kobieta wyciągnęła dłoń i zrobiła krótki gest, jakby chciała podrapać mur. Paznokcie jej zalśniły krwawo, a na ścianie pojawiła się czerwona pręga, która zaczęła rosnąć i puchnąć, aż wzdęła się w krótki korytarz, na końcu którego dostrzegli komnatę.

*

Dziewczyna siadła na wielkim łożu stojącym pośrodku pomieszczenia. Obok niego znajdowały się szafki, toaletka, przyścienne niecki z narkotykiem, całkiem spory ciemny otwór, który prowadził Bóg wie dokąd, oraz kraniki emaliowane na intensywny żółty kolor, tak żeby wyglądały na zrobione ze szlachetnego kruszcu. W wazach przy łożu leżały kondomy w różnokolorowych lśniących złotkach.

- Możesz sobie wybrać, który ci się podoba. Po wszystkim nie zapomnij mi go oddać wraz z zawartością.

- Po co?

- Muszę zawiązać w supeł i wrzucić do otworu w ścianie, tyle wiem. - Wskazała smukłą dłonią ciemną dziuplę na lewo od Artura. - Mówi się, że potem oni je szczegółowo badają. Bardzo ich interesuje materiał genetyczny. Nie moja sprawa. A i jeszcze jedno. Führer pozwala ci używać mojego ciała, ale podoba mu się to tylko w pozycji klasycznej. No, wiesz, ja rozkładam nogi... - Niezwykle długie nogi dotąd założone na kolano przecięły jak nożyce powietrze.

- Wiem - powiedział szybko, czując, jak fałdy jego tuniki uwypukliły się od tej bezpośredniej demonstracji.

- Nic innego nie jest dozwolone. Przykro mi. Ty masz mniejszą przyjemność, ale jeżeli cię to pocieszy, i mnie wszystko cierpnie. Pomyśl, cały czas ułożona tak samo.

- Nie chcę teraz uprawiać miłości. Wolałbym najpierw porozmawiać.

- Ty jesteś tutaj Herrenvolk. Decydujesz.

Nie spodobała mu się ta odpowiedź. Oczekiwał... czegoś innego.

- Nie jesteś Niemką - bardziej stwierdził, niż zapytał.

- Jestem Aryjką - odparła melodyjnym głosem.

- Zdradza cię akcent. Wschodni, jak przypuszczam.

- Tak naprawdę pochodzę z Ukrainy. Zostałam rozpoznana jako Aryjka przez specjalną komisję SS i zaprowadzono mnie do domu.

- Do burdelu w Nowym Berlinie?

- I tak czekał mnie lepszy los niż na ziemiach odzyskanych przez Rzeszę dla Herrenvolk. - Pierwszy raz zobaczył w jej oczach iskry. Porcelanowa lalka ożyła. - Radzieckie armie poddają się masowo, dwieście, trzysta tysięcy ludzi w jednej bitwie. Na froncie brakuje żywności dla jeńców, nie ma strażników zdolnych upilnować taką chmarę więźniów. Umierają z głodu, chłodu, wycieńczenia, przy przymusowej pracy lub po prostu zastrzeleni. Dla wszystkich tak jest lepiej. Miasta i wioski nocą drżą przed Ukraińską Armią Wyzwolenia, w dzień przed spadochroniarzami Ruskich lub żołnierzami Rzeszy. Hitler wydał specjalną dyrektywę, nie słyszał pan? My, ludy Wschodu, nie jesteśmy dla niego ludźmi, tylko rasą gorszą, można z nami zrobić wszystko, co się tylko żywnie podoba. Zastrzelić jak psa. Wypierdolić jak sukę. Wszystko. Trochę czytałam, bo i tak nie mam wiele do roboty. Jak nie ma

klientów, puszczają nam mowy wodza w kółko i w kółko. Do dobrego tonu należy odczytywanie na głos rozdziałów z *Mein Kampf* i wieczorki pieśni, na które zaprasza się prelegentów z SS. Wiem, że ten cały Rosenberg, który wymyślił klasyfikację rasową, uznał Słowian za ludzi. A teraz przyszedł Himmler i powiedział, że jesteśmy niżej niż zwierzęta. Można z nami prowadzić wojnę na absolutne wyniszczenie. Wszelkimi dostępnymi środkami.

- Konieczność historyczna. Hitler musiał odrzucić nawet ustalenia naukowców, których poważał.

- Właśnie.

- Jednak mówisz „my, Słowianie”. A przed chwilą, twierdziłaś, że jesteś Aryjką?

- Jakie to skomplikowane, prawda? - Rozłożyła ręce w geście wyrażającym całkowitą bezradność. - Chyba nie umiem się jeszcze przyzwyczaić.

- Do tego miejsca potrafisz?

- Obiecali mi, że po pół roku mnie wypuszczą i dadzą mieszkanie, to wszystko.

- Wierzysz im?

Jeanette popatrzyła na niego wielkimi czarnymi oczami rusałki. Wydała się nagle bezbronna i niewinna niczym dziecko.

- Nie mam innego wyjścia. Alternatywą jest obóz pracy, gdzie robiłabym to samo.

- Zastanawiam się... Dlaczego nie ma tu niemieckich kobiet? Miały być, ochotniczki...

- Żartujesz? To elitarny burdel. Jak zgłosiły się ochotniczki, to przecież nie było w czym wybierać. Oni są wybredni, a wśród pięknych dziewcząt prawdziwych nimfomanek jest tak mało. Większość ładnych kobiet woli naprawdę znaleźć sobie jednego bogatego frajera, który ją utrzyma, niż piętnastu dziennie, gdzie ewentualny zarobek

i tak w lwiej części ukradnie partia. Ja uchodziłam w moich stronach za piękność. Poszłam z nimi na układ. Oskarżasz mnie?

- Nie.

- Wiesz co? Chyba wolałabym się pieprzyć niż... - Podeszła do ściany, zanurzyła palce w różowej półkolistej niecce wbudowanej w ścianę. - Chcesz trochę?

Z wyciągniętej dłoni kapały krople narkotyku.

- Wiesz, że robią to z ludzi? Najprawdopodobniej z twoich rodaków, więźniów?

- Kwestie narodowe nie mają znaczenia, gdy w grę wchodzi przyjemność. Nie jestem nacjonalistką. A ty?

- Poddają ich różnym doświadczeniom, także okrutnym, by zmusić ich mózgi do produkcji odpowiedniej ilości narkotyku. Wiesz o tym?

- Czasem myślę, że dlatego ten środek ma taki urok. Człowiek czuje się podwójnie Herrenvolk, zabierając coś drugiemu, zwłaszcza tak intymnego jak wydzielina z jego mózgu. I jeszcze żeby ktoś musiał okrutnie cierpieć, dla mojego mgnienia niesłychanej przyjemności, którą daje mi narkotyk. Czyż to nie piękne?

- Jesteś chora!

- Jestem dzieckiem swoich czasów - uśmiechnęła się krótko, ostro.

- Kiepskie usprawiedliwienie.

- Kiepskie oskarżenie. Nie rusza mnie. Ja widziałam różne rzeczy na mojej mateczce Ukrainie. Teraz... Chcę tylko przetrwać. Próbujesz umoralniać kurwę? Pieprz się! Idź do tych, co ze mnie kurwę uczynili.

Usiadła na brzegu łóżka, zlizując z palców narkotyk i wykrzywiając pogardliwie wargi. Czuł, że źle prowadzi tę rozmowę.

- Przepraszam.

- W porządku. W takim razie chcesz może wina?

- Chętnie.

Jeanette podeszła do złotego kraniku sterczącego ze ściany. Wyjęła z szafki kieliszek wyglądający, jakby był zrobiony z ciętego kryształu i nalała rubinowego płynu. Artur wziął od niej naczynie, umoczył usta. Uderzył go nietypowy smak, jakby ktoś rozpuścił w zwykłym winie słono-słodki lepiący się roztwór. Ale od razu zaszumiało mu w głowie, a podrażnione nerwy twarzy wykrzywiły wargi w uśmiechu. Poczuł się rozluźniony. Położył się wygodnie na łóżku, wreszcie miał czas, by zastanowić się nad paroma sprawami. Kontynuował rozważania o naturze nazizmu. Jeanette ze swoim kieliszkiem w ręku legła na boku tuż koło niego, w tej pozycji z jej wyciętego dekoltu musiała wyskoczyć prężna pierś.

*

Artur był bardzo zadowolony ze swego rozumowania. Właściwie musiał uznać, że dzisiejszy dzień okazał się doskonały, jeżeli idzie o zajmowanie się sprawami społecznymi, a nawet, nawet o filozofię! Odłożył pusty kieliszek na podłogę. Korzystając z jasnego umysłu, chciał jeszcze przemyśleć aktualną sytuację polityczną, ale wtedy jego wzrok padł na Jeanette, ze znudzeniem skubiącą rąbek prześcieradła. Zapragnął jej.

Teraz dopiero zrozumiał, że wcześniejsza rozmowa była błędem. Sądził, że wiele ułatwi, gdy się poznają. Okazało się, że wszystko utrudniła. Nie czułby się dobrze, biorąc ją teraz w objęcia, gdy znał jej przeszłość, dramatyzm jej losu. Sumienie jest jak kwas, powoli, kropla po kropli, drążący skórę.

Z drugiej jednak strony, jeżeli jej nie weźmie, zaprzeczy swoim potrzebom, powróci do domu pusty i niespełniony, a poczucie nieudacznictwa i ahedonii będzie mu towarzyszyło przez wiele dni.

Skoro i tak potem nie będzie się czuł dobrze, może warto przedtem coś z tego mieć?

Kierowany impulsem wyciągnął rękę i mocno ścisnął obnażoną pierś. Twarz kobiety zmieniła się natychmiast, spojrzenie jej zmętniało, wargi rozwarły, a brodawka pod jego dłonią zaczęła twardnieć. Dziewczyna położyła się na plecach i zaczęła równocześnie powoli jak maszyna podciągać do siebie obie rozłożone nogi. Już znalazł się nad nią, gdy nagle zmienił zdanie i obrócił ją gwałtownie tak, że jej pełne piersi zagłębiły się w materac, a Artur mógł delektować się widokiem wypiętych pośladków.

- Nie! - zaprotestowała słabo, próbując unieść twarz znad prześcieradła. - Jeżeli weźmiesz mnie w ten sposób, Führer poczuje się osobiście dotknięty!

- Nie dbam o to! - zakrzyknął i wziął się do dzieła.

*

Po nocy spędzonej z Jeanette dręczyło go sumienie i już nigdy nie poszedł do burdelu. Oczywiście był mężczyzną i miał pewne potrzeby, „nigdy” należało tutaj rozumieć jako pewną metaforę, raz czy dwa się oczywiście zdarzyło, choć zawsze okupione moralnym kacem, połączone nieodmiennie z pogardą dla siebie i głębokim współczuciem dla dziewczyny. Raz czy dwa, to nie jest dużo, zdarzyć się może ludzkiej istocie, zwłaszcza w ciemne jesienne noce, gdy nikt nie grzeje obok łoża i człowiek czuje się strasznie samotny. Co to znaczy raz czy dwa, zwłaszcza że przecież nawet nie w każdym tygodniu?

# II

Artur otworzył drzwi. Za nimi stał Weiner. Przyłbicę miał podniesioną, na twarzy malował się wyraz zatroskania.

- Wejdź. Coś się stało?

- Tak jakby. Chcę ci pokazać nowy wynalazek. I przekazać trochę wieści z frontu.

- Dobrych?

- Jak dla kogo. Po kolei... - Weiner podszedł do ściany. Przez chwilę mocował się, wtykając w poszarpaną fakturę wielką kulę plasteliny, którą przyniósł ze sobą. Wreszcie osiągnął sukces, plastyczna masa zniknęła, wtapiając się w ścianę.

- Zainstalowałem ci telewizję. Będziesz mógł ją odbierać jako jeden z pierwszych, szczęśliwcze. Niedługo władza zamierza zasponsorować taką zabawkę każdemu obywatelowi. Chcą, dając rozrywkę, odwrócić uwagę od sytuacji na froncie i kiepskich warunków ekonomicznych. Goebbels stwierdził ponadto, że walory propagandowe nowego wynalazku są nie do przecenienia. O, proszę bardzo!

W powietrzu, z tysięcy migotliwych okruchów światła skrystalizowała się szyba. Wyświetlała wielką czerwono-biało-czarną nazistowską flagę.

- I tak mamy obaj szczęście, że trwa wojna i wielkie projekty cywilne są utrącane. Planowano bowiem zainstalować w każdym mieszkaniu system kamer i mikrofonów do ciągłej inwigilacji domowników. Zagrożenie terroryzmem jest coraz większe, mamy tysiące robotników przymusowych z Rosji, Polski i Ukrainy. W Peenemünde system kamer przemysłowych sprawdził się znakomicie. Ale koszt wdrożenia takiego przedsięwzięcia w całej Rzeszy - niewyobrażalny! Należałoby zatrudnić tysiące osób, które by śledziły obraz na kamerach, przeciętnie jedna osoba na dwa-trzy domy, dodać do tego system zmianowy... Zabrakłoby nam ludzi, chyba że każdy ochotniczo śledziłby każdego, ale wówczas musielibyśmy ufać nieprawdopodobnej liczbie ludzi. Poza tym wpływ znużenia i zmęczenia obserwatorów jest nie do przecenienia, po kilku miesiącach obserwowania, jak kobieta zmywa garnki, wątpię czy zauważyliby, że nagle montuje w zlewie bombę. Dopóki nie powstanie automatyczny system rozpoznawania wzorca zachowań niebezpiecznych dla kraju, instalowanie kamer nie ma sensu. Mówię to panu dlatego, żeby wiedział pan, jakie szczęście mamy, że nadal to pomieszczenie nie jest podsłuchiwane.

Przez chwilę przesuwał jeszcze dłonią po wgłębieniach w ścianie. Wreszcie wyprostował się i znużonym głosem rzekł:

- Oto materiały operacyjne Armii Czerwonej. Proszę zauważyć, że film jest kolorowy. Ruscy ściągnęli tę technologie od Amerykanów. Teraz my próbujemy od Ruskich. Proszę obejrzeć obóz nad jeziorem Moskwa.

Najpierw kamera pokazała zakopane w śniegu stanowisko obsługi ciężkiego karabinu maszynowego. Liczne długie lufy wystawały z okopu, kłując powietrze. Obsługiwało je trzech żołnierzy noszących szare płaszcze, z czarnym szerokim krzyżem z białą krawędzią na plecach. Takie same wielkie krzyże ozdabiały im na piersi lśniącą blachę kuloodpornych kirysów, a miniaturowe zaznaczały

się z boku tradycyjnych żołnierskich hełmów. Tylko jeden z wartowników siedział w podwyższonym siodle broni maszynowej. Przechylona głowa i zarzucony głęboko na czoło kaptur wskazywały, że drzemał. Drugi z mężczyzn twarz miał okutaną szalikami i strzępami szmat, odsłonięte fragmenty skóry niezdrowo przebarwiały się na czerwono. Ostatni przeglądał od czasu do czasu okolicę za pomocą wielkiej lornety. Robił to jednak bez większego przekonania, wszędzie bowiem jego wzrok napotykał tylko na błyszczące jaskrawo, nieskończone płachty śniegu. Jakby ktoś rozpostarł nad ziemią wielki obrus, przygotowując się do posiłku. Żołnierz odjął od twarzy lornetę, zamrugał kilka razy. Widać było, że oczy go bolą i są zmęczone. Zaczął tupać w miejscu, uderzając dłońmi o siebie. Z ust ulatywał mu zwiewny obłok pary.

Zmieniło się ujęcie. Tym razem pokazywało bezkresne jezioro ścięte lodem, znad którego wznosiły się szczyty zrujnowanych budynków. Między kopułami Kremla coś się poruszyło. Niewielkie sylwetki bez trudu przeskakiwały z dachu na dach, mimo czasem dzielących je olbrzymich odległości. Kamera zrobiła zbliżenie postaci. Były porośnięte brązowym lub płowym futrem, na plecach lub na piersi zabarwionym na czerwono w kształt radzieckiej gwiazdy. Niektóre na plecach nosiły karabiny albo, przy pasie, dziwaczną półksiężycową broń składającą się niemal z samego ostrza. Największe przerażenie budziły jednak ich twarze, nieludzkie, zwierzęce, choć oczy emanowały niezwykłą inteligencją.

- Ruscy opanowali wreszcie technologię przeszczepu mózgu człowieka do organizmu małpy. Po pewnych modyfikacjach genetycznych powstał żołnierz odporny na mróz, bardzo silny, zwinny i szybki, z intelektem przeciętnego czerwonoarmisty. Co ważniejsze, do operacji wybierają weteranów, którzy zostali kalekami, starców lub nawet kobiety. Ale proszę oglądać dalej...

Kamera właśnie znów dokonała zbliżenia na niemiecki posterunek. Znudzeni żołnierze nadal próbowali się rozgrzać albo zabić czas. Nagle z nieba spadł brązowy kształt. Rozległ się łoskot upadającego ciała i zalśniło półksiężycowe ostrze schlapane krwią. Kilka kropel niesionych impetem klingi zachlapało śnieg. Drugi wartownik zdjął karabin z pleców, ale nie zdążył wymierzyć, odbezpieczyć i wystrzelić, kiedy futrzasty kształt już skoczył mu do gardła. Trzeci, ten na siodle broni maszynowej, miał dość czasu, by sięgnąć do kabury i wyszarpnąć pistolet. Zdołał wystrzelić dwa razy w kłębiące się na ziemi kształty, gdy nagle kaszlnął i wypluł krew. Płowy kształt oderwał się od jego pleców i pomknął w kierunku ogrodzonego murem i drutem kolczastym wielkiego obozu pracy. Za nim długimi susami połykały przestrzeń kolejne małpoludy. Zaalarmowani wystrzałem strażnicy na wieżach włączyli syrenę, jej przenikliwy dźwięk przeszył powietrze. Ale zaraz zagłuszył go terkot licznych karabinów maszynowych. Jednak małpy poruszały się zbyt szybko, by można było wycelować, obrońców głównie zabezpieczała gęsta zapora ogniowa. Mimo to niektórzy przeciwnicy przeskoczyli nad murem i bądź dokonywali rzezi na dziedzińcu, bądź wspinali się po rusztowaniach wież.

Tymczasem kamera zmieniła plan. Z przeciwnej strony po równinie sunęła kawalkada czołgów. Pierwsze grzechotały gąsienice potworów, które posiadały trzy lufy, dwie po przeciwnych stronach głównej wieży, jedną na umiejscowionej z przodu wieżyczce wspierającej. Weiner wyjaśnił, że należą do typu SMK i nie wyrażał się o nich pochlebnie:

- Ruscy myślą, że jak dołożą na jednym podwoziu kilka dział, to będzie lepsza broń, podobnie jak ma to miejsce w przypadku okrętów wojennych. Moim zdaniem błędna taktyka, weźmy przykład tej lufy z przodu i z tylu. Rzadko

się zdarza, by czołg jednocześnie atakował i uciekał, prawda? Ale jeżeli nawet pojawi się sytuacja, że zobaczymy równocześnie wrogów z obu stron i każdy celowniczy w wieżyczce wyda komendę zbliżenia się - no przecież to będzie istny kociokwik. Nie da się sensownie kierować ogniem takiej broni. Zamiast dodawać lufy, my pracujemy nad szybkostrzelnością.

Pancerne kolosy osłaniane były przez setki czerwonoarmistów. Nosili białe futrzane kombinezony, tak że ledwie ich było widać na tle śniegu. Ale za nimi szedł szpaler innych żołnierzy, całych zakutych w metal. Cała twarz zaspawana była żelazną maską, z której wystawał tylko kaganiec na usta i czerwone okulary noktowizorów zasłaniających oczy.

- Prymitywna ruska technologia. Ale trzeba jedno im przyznać: gdy nasi inżynierowie cyzelują każdy detal maski, oni po prostu spawają ze sobą dwa wygięte fragmenty metalu. Tania seryjna produkcja, są w stanie uzbroić dwudziestu, może trzydziestu żołnierzy w czasie, gdy my ekwipujemy jednego.

Seria eksplozji wstrząsnęła rzędem maszerujących czerwonoarmistów. Gdy śnieg i pył opadł, widać było, że wielu nie wstanie. Ale za nimi, z zamazanego od wirujących płatków powietrza, wyłonił się kolejny szpaler. Za nim jeszcze jeden.

- Właśnie - westchnął Weiner. - Tak wygląda walka z Ruskimi na froncie wschodnim. Dokładnie tak. Proszę popatrzyć, co nadjeżdża teraz.

O ile SMK było spotworniałą wersją czołgu, jak można było nazwać to, co majestatycznie sunęło właśnie przez ekran? Niemal trzykrotnie większe od swojego poprzednika, posiadało pancerz o podstawie pentagramu, na którego każdym boku pyszniła się wieża. Błysnęło i po kolei zagrzmiały wszystkie pięć luf.

- Broń pancerna typu SMK2 - wyjaśnił Weiner. - Przez głupi przypadek komuchy poszły w produkcję tej broni. Otóż kilka „jedynek” spotkało się w przesiece leśnej z dwoma naszymi Tygrysami. Normalnie wynik starcia byłby przesądzony, ale traf chciał, że przedzierając się przez śnieg, oba zepsuły się w tym samym czasie. Tak to jest, gdy zbyt szybko wprowadza się prototypy na front, moim skromnym zdaniem. Ale Stalin uwierzył, że jego wielolufowe czołgi mogą pokonać nasze Tygrysy i jak to Rosjanie, wpadli na pomysł, by dołożyć wież. Mimo oczywistych niedogodności i felerów, to monstrum jednak budzi szacunek, nieprawdaż?

Tymczasem kamera zrobiła daleki plan płonącego obozu. Niemcy szaleńczo się ostrzeliwali, ale umocnione posterunki, tworzące zewnętrzną linię obrony, zostały już opanowane przez czerwonoarmistów, mury zniszczone pociskami burzącymi, nie ostała się żadna wieża.

- Kilka dni po tym jak Japonia wypowiedziała wojnę Stanom, uderzając na Pearl Harbor, utraciliśmy Moskwę. Od ponad tygodnia ciągle się wycofujemy pod naporem intensywnej ofensywy świeżych radzieckich sił. Tragiczne, że żółtki nie uderzyły na ZSRR ze swojej strony. Teraz Stalin przerzuca na zachodni kraniec swego imperium wszystkie wojska. Fabryki za Uralem zmontowano powtórnie i produkują tylko najnowocześniejszy sprzęt, wszystko, co było przestarzałe, zezłomowaliśmy im podczas pierwszej fazy „Barbarossy”. Ale śnieg, śnieg i mróz są najgorsze. Większość naszych żołnierzy cierpi na choroby i odmrożenia, wielu zamarzło. Nie pomyśleliśmy o wyposażeniu ponadmilionowej armii w ciepłe ubrania. Nie wyprodukujemy też takiej ilości w kilka dni, prawda? Teraz prowadzimy zbiórkę na ulicach miast, co potęguje tylko panikę wśród cywili. Ludzie mówią, że wódz nie jest już nieomylny. Zimno zabija ludzi szybciej i bardziej podstępnie niż kule. Może nieco wolniej, ale równie nieuchronnie. Jak

pokrywa śniegu pod żołnierskimi butami kruszeje też morale sprzymierzonej europejskiej armii. Oni chcą już wracać, nie drążyć dalej tej śnieżnej krainy, jeszcze bardziej na wschód, jeszcze bardziej na północ, gdzie temperatury tylko spadną. Ciemność i lód przygasiły resztki ognia w ich duszach, a bez niego żołnierz nie może ruszyć do walki i wygrać.

Tymczasem szyba telewizora rozprysła się i znikła. Weiner zbliżył się do ściany i schował coś do kieszeni.

- Samo nagranie jest ściśle tajne, muszę je zabrać - wyjaśnił. Widoczność jest bliska zeru, lotniska pokryte są głębokim śniegiem, od końca listopada skuteczność Luftwaffe znacznie spadła. W temperaturze minus 25 stopni zamarzają silniki naszych czołgów, tężeje smar w zamkach broni maszynowej, zdarzają się awarie baterii w radiostacjach. Nadmierne wydłużenie linii transportowych, od pewnego czasu dokuczliwe, gdy pogorszyła się pogoda, okazało się zabójcze. Zaopatrzenie dochodzi tylko dzięki pomocy brnących przez zaspy chłopskich furmanek. W takich warunkach nie da się atakować, gdy zawodzi sprzęt, komunikacja, wszystko. Czołgi grzęzną w śniegu i mijają godziny, zanim uda się je wykopać. A tymczasem Stalin ściągnął wojska z Syberii, znakomicie przysposobione do walk w niskich temperaturach, a T-34 zostały specjalne zaprojektowane do jazdy w warunkach zimowych. Teraz, w połowie grudnia, temperatury dochodzą do minus czterdziestu stopni, a my jesteśmy w całkowitym odwrocie.

Weiner machinalnym gestem przeczesał palcami włosy.

- Niezwykłe, jak pozornie korzystne wydarzenia wywołują nieoczekiwany efekt i rykoszetem ranią głęboko. Hitler od dawna zabiegał o wypowiedzenie wojny przez Japonię Stanom, celem tego miało być odwrócenie uwagi USA od Europy i Brytyjczyków od Bliskiego Wschodu. Tymczasem spowodowało to zwolnienie olbrzymich rezerw Armii Czerwonej, która teraz - pewna, że Daleki Wschód ZSRR

jest bezpieczny - mogła na czas zdążyć, by dokonać przełomu pod Moskwą. Z drugiej strony, czyż historia mogłaby potoczyć się inaczej? Japonia, odkąd Roosevelt zamroził ich kapitały i zabronił zaopatrywać się w amerykańskich portach w surowce strategiczne, postawiona została w sytuacji bez wyjścia. Albo pójdzie na dalekie ustępstwa, rezygnując z imperialnej polityki, albo przemysł zostanie odcięty od rud metali, a samoloty nie wystartują, bo zabraknie paliwa. Wojna była trzecią możliwością, jedyną pozwalającą zachować twarz i ambicje. Konieczne było szybkie uderzenie w celu zapewnienia Cesarstwu Wschodzącego Słońca bezpieczeństwa energetycznego i materiałowego. Celem mogły być tylko złoża w Azji kontrolowane przez aliantów. Myślę, że był jeszcze jeden powód, dla którego nigdy nie uderzyliby na Ruskich. Europejczycy od stuleci panoszyli się po Azji, dzięki unikalnym nowoczesnym technologiom, przyjmując pozycję rasy panów. Ludzie o białym kolorze skóry mogli czuć się jak bogowie. Ich absolutną dominację symbolizowała niezdobyta twierdza Singapur, broniona od strony morza przez potężny system dział. Dumni Japończycy pragnęli wyzwolić Azję z jarzma europejskich Herrenvolk. Sami zajmą ich miejsce.

*

Artur zastanowił się nad ostatnimi słowami Weinera. Oto wojna światowa okazała się walką o zajęcie pozycji Herrenvolk. Wcześniej światem rządziło potężne Imperium Brytyjskie, a ludy Azji i Afryki musiały bić im pokłony. Oczywiście, zaraz obok na liście potęg znajdowała się Francja z rozległymi koloniami. Trzy prężne narody, włoski i niemiecki w Europie oraz japoński w Azji, zapragnęły swojego kawałka tortu. Żołnierze Mussoliniego uderzali na Afrykę, w latach trzydziestych wplątując się w szereg

zazwyczaj zwycięskich dla siebie wojen, bo słabe państwa murzyńskie nie radziły sobie z przewagą technologiczną i bezprecedensowo odważnym używaniem gazów bojowych. Podobnie bawili się Cesarscy w swojej części świata, a o gwałtach i mordach na tubylczej ludności milczała historia Zachodu. Hitler, Hitler miał z początku skromne plany, nie pragnął pozbawiać miejsca dotychczasowych Herrenvolk, pragnął dołączyć do elitarnego klubu, zagarniając tereny Rosji. Okrutna zagłada Żydów nie powinna przesłonić okrucieństw stalinizmu, Katynia i sowieckich łagrów, jednak polityczna poprawność kazała o tym długo milczeć. A Azja, kogo obchodzi Azja? Że mordowano żółtych? Przecież to nie my, Europejczycy, nie my, Herrenvolk.

Przebieg wojny uczynił wszystkim zainteresowanym psikusa. Dawne imperia w zderzeniu z nowymi, pretendującymi do ich roli, starły się nawzajem w proch. Powstały jako najwyższe potęgi, na początku lekceważone, Stany Zjednoczone i Związek Radziecki. To one w ciągu najbliższego pięćdziesięciolecia będą nowymi Herrenvolk. Dla swoich celów politycznych finansują przewroty i rewolucje na całym globie, który stanie się areną wojny o wpływy. Że tam będą w imię ich gier ginąć ludzie? Przecież to nie my umieramy, nie Herrenvolk.

No i jeszcze Izrael, lokalnie potężny w swoim regionie, wierzący w swoją rolę narodu wybranego, wkrótce niezwyciężony technologicznie, dysponujący bronią atomową. Kiedy słuszna wojna obronna przekształciła się w coś zgoła odmiennego i czy oni zauważyli ten fakt?

Czy pamięć o Holocauście można pojmować także inaczej? Krzywda, którą wyrządzono istocie ludzkiej, nie może być absolutnym usprawiedliwieniem dla każdego dowolnie niegodziwego postępowania. Holocaust jest straszliwą przestrogą, do czego zdolni są ludzie, podejmując działania dla ochrony innego człowieka. A można tego dokonać tylko poprzez rozpoznanie zła

czającego się w naszych duszach, zdolnego w każdej chwili przejąć kontrolę i tak łatwo zamaskowanego pod szczytnymi hasłami. *„Gott mit uns!”*, widział ostatnio Artur na murach Berlina. Im więcej naziści przywoływali wielkich słów, tym więcej podłości wyrządzali. Moralność dla hitlerowców była przecież najważniejsza, osłabienie siły moralnej narodu największą zbrodnią. Dobro zbiorowości i nawet wiara w Boga nie schodziły im ciągle z ust.

Rozmawiał o tych wszystkich trudnych sprawach z Hoffmanem.

- Każdy, zarówno człowiek, jak i naród, uwielbia czuć się wyjątkowo, wybrańcem. Utwierdza go w tym przekonaniu wiara, że jest szczególnie umiłowany przez Boga lub Opatrzność, co moim prywatnym zdaniem jest infantylną nadzieją dziecka na absolutną miłość rodzica. Trudno zgadnąć, czemu miejsce miłości zajmuje wkrótce w tym równaniu nienawiść. Może dlatego, że potężne uczucia są chwiejne jak fale oceanu, z łatwością zamieniają się w swoje przeciwieństwa? A może czasami brakuje potwierdzenia w rzeczywistości na umiłowanie człowieka przez Boga i wówczas zadanie przekonania o szczególnej roli przejmuje nienawiść, bo skoro inni ludzie nas nienawidzą, czy nie jesteśmy wyjątkowi? I tak akt stania się wybrańcem nierozerwalnie związany jest z paranoją. A skoro wszyscy pragną nas zniszczyć, czy nie jest usprawiedliwiona wojna obronna albo prewencyjny atak? Tak dochodzi do konfrontacji w jej najgorszej nawet odmianie - wojnie, dzięki której naród lub człowiek dotąd nienawidzony przez innych tylko w swej chorej wyobraźni, staje się obiektem agresji w realności.

- Gdy gdzieś wjeżdżamy z czołgami, naturalne jest, że do nas strzelają. - Artur skinął głową ze zrozumieniem. - Potwierdza to szczególną misję człowieka na tym świecie i wybrany los, który stał się udziałem narodu, a co

ważniejsze, stanowi usprawiedliwienie dla każdych, nawet najohydniejszych zbrodni. Bo przecież tylko się bronimy...

- Na nienawiść innych ludzi zawsze jest łatwiej zasłużyć niż na miłość - odparł na to Artur.

*

Weiner był dla niego nieustającą zagadką. Artur pamiętał, że już raz dał się oszukać, wtedy, w ciemnych kazamatach podziemnego kompleksu Hitlera. Wydarzenia w bunkrze, których efektem było chemiczne zbombardowanie Anglii, za co obaj ponosili odpowiedzialność, a przynajmniej tak się czuli, zmieniły Niemca. Ale czy na tyle, że można mu było ufać? On sam ostrzegał, że nie. Jego celem będzie zawsze zwycięstwo Niemiec, chociaż teraz już nie państwa Hitlera. Będzie starał się uchronić za wszelką cenę swój naród od zguby, a kraj przed przepowiedzianym przez Artura zniszczeniem i podzieleniem. Weiner nie może dopuścić do klęski Wehrmachtu. Z drugiej strony jest boleśnie świadomy, że każde zwycięstwo na froncie umacnia Hitlera. Dlatego, gdy słyszy jakąś nowinę ze Wschodu, szarpią nim mieszane uczucia.

Jak należało rozumieć jego awans, i to dość znaczny, po buncie Canarisa? Przecież Weiner prawie na pewno był uwikłany w tę sprawę. Po której stronie tak naprawdę stał, komu mydlił oczy? Czy z faszystami też prowadzi mętną, ryzykowną grę, podobną do tej, w którą grał z Arturem w Unterirdische Festung, tylko nieskończenie bardziej złożoną i ryzykowną?

Widać było, że zanurzony w nazistowskim systemie przenikał ich sposobem myślenia, zresztą jak każdy tutaj. Artur przyłapywał się na tym, że zdarza się mu myśleć kategoriami nazistów, żyjąc wśród nich, nie dało się chyba inaczej. Ustrój polityczny otacza człowieka jak morze, raz

czy drugi nawet najlepszy pływak musi płynąć tam, gdzie rzuci go fala. Jeżeli z każdą będzie walczyć, prędko straci siły i utonie. Byleby nie zgubić przy tym własnego kierunku, to jest chyba najważniejsze.

A może nie? Może Artur jest tchórzem?

Tymczasem Weiner, Weiner, który z charakterystyczną dezynwolturą wysławiał się o demokracji, twierdząc:

- Pozwalając tłumom, choćby oględnie, wpływać na sprawowanie władzy, stawiamy się w sytuacji rodziców, którzy pozwalają kierować dzieciom życiem w rodzinie. Wiadomo, że podejmą decyzję, że mamusia i tatuś mają nie iść do pracy, bo lepiej by było, żeby zostali z nimi. Tłum jest jak dziecko, będzie się zawsze kierował doraźną przyjemnością, przy czym w swej masie nie uczy się na błędach albo uczy wyjątkowo powoli. W przypadku małego Hansa uwierzyłbym, że gdy wyda resztkę pensji rodziny na słodycze, zrozumie, że gdzieś wkradł się błąd. Tłum na taką refleksję stać rzadko. Na dodatek zbiorowość, znów jak nieletni, nie potrafi intelektualnie opanować wszystkich przesłanek koniecznych do podjęcia decyzji. Wynika to zarówno z braku dostępu do pewnych danych, jak i poznawczej niezdolności wynikającej z niedokształcenia. Dziecko intelektualnie dojrzeje, tłum nigdy, wynika to z krzywej rozkładu normalnego, zawsze najwięcej będzie osób najgłupszych.

Gdy już w końcu przestał się wyzłośliwiać na sterujących politykami oligarchów i plutokratów (postępem było, że nie dodawał zawsze „żydowskich”), zwykle swoje przydługie tyrady kończył jakąś ironiczną pointą:

- Co to za system, który nie ma żadnych zabezpieczeń przed demokratycznym przepoczwarzeniem się w faszyzm?

Z drugiej jednak strony, zdarzały mu się uwagi głębokie i trafne. Inaczej na przykład rozumiał klęski militarne Włochów.

- Może, gdy się wycofują i odmawiają zbrojnej konfrontacji, jest to przejaw obywatelskiego nieposłuszeństwa? Może oni nie chcą mieć imperium obejmującego w swych granicach Morze Śródziemne, ale zwykły kraj, w którym będą mogli szczęśliwie żyć?

*

Artur i Luehmann wracali kiedyś nocą z Lebensbornu pijani winem, syci kobiecych ciał, roześmiani, pewni siebie jak władcy tego świata. Ulice Germanii opustoszały o tej porze, można było iść całą szerokością, choćby i wężykiem.

- Weiner nie umiałby się tak bawić - powiedział Luehmann. Moim zdaniem jest zbyt sztywny, co sądzisz?

- Niekiedy faktycznie brakuje mu luzu.

- Właśnie. Zaszkodziła mu praca w Unterirdische Festung, gdzie zamierzano wprowadzić w życie utopię. Pryncypialnie trzyma się niektórych zasad, jak trzeźwość lub konieczność życia w duchowej dyscyplinie i honorze, a zupełnie odstępuje od najważniejszych kwestii ideologicznych. Jakby nie potrafił zrozumieć, co jest ważne, a przecież od oficera wymaga się ustanowienia pewnej hierarchii, czyż nie?

- Zapewne.

- Dokładnie! Jak wam się właściwie współpracuje? Wiem, że robicie dużo dla dobra Rzeszy.

- Staramy się, jak możemy. Mamy lepsze i gorsze chwile.

- Niech się pan nie boi mówić prawdy. Ochronię pana przed Weinerem, wystarczy powiedzieć słowo. Mogę dużo więcej, niż wskazuje mój oficerski stopień.

- Nie boję się jakoś szczególnie Gruppenführera.

- To dobrze. To nawet bardzo dobrze. Cóż to byłaby za praca w atmosferze braku zaufania. Proszę mnie źle nie zrozumieć, te pytania są tylko wyrazem troski. Mojej i bardzo wpływowych osób z partii. Weiner czasem wzbudza wątpliwości, choćby dlatego, że jest taki milczący.

- Skryty człowiek, to wszystko.

- Też tak uważam, oczywiście, ale inni są bardziej podejrzliwi. Takie czasy, wojna, wie pan. Jak jest partyjna impreza i wszyscy wznoszą okrzyki do kielicha „Pedały do gazu!”, to źle wygląda, gdy ktoś milczy. Ludzie się zaczynają zastanawiać... Ale ja pana zanudzam. Proszę tylko, by pan pamiętał, że wystarczy słowo, a usuniemy Weinera z pańskiego otoczenia i będziemy mogli wtedy bez przeszkód nawet całe dnie spędzać w Lebensbornach. A są w innych miastach takie ośrodki, o jakich się panu nie śniło! O sytuacji polityczno-militarnej i pańskich sugestiach pogadamy sobie tylko przez chwilkę i w pociągu, żeby się nie nudzić w podróży. Mnie też takie sprawy nie interesują, wolę... - Tu zrobił wulgarny ruch biodrami. - Odwalimy politykę, byleby było, i góra zaakceptuje. To jak, żegnamy się z Weinerem? Wystarczy jedno pańskie słowo.

Noc zrobiła się od kilku minut znacznie zimniejsza. Artur z pewnym żalem pomyślał, że była to jego ostatnia wyprawa do Lebensbornu.

- Moja współpraca z Herr Gruppenführerem układa się bez zarzutu.

*

"Zazdrość" była modną knajpą, gdzie wypadało się pokazać. Bawili się tam zawsze najważniejsi szefowie Rzeszy. Zyskała sobie nieprawdopodobną popularność dzięki sprytnemu obejściu przepisów o konieczności noszenia kombinezonów w miejscach publicznych. Otóż

lokal zarejestrowano jako mieszkanie prywatne, a jego właściciel miał po prostu zwyczaj wydawać nieustające imprezy. Ponadto „Zazdrość” imponowała umiejscowieniem głęboko pod Berlinem, dokąd nie docierały najbardziej rozbudowane sektory podziemnych garaży ani fabryk. Wszystko to po to, by przypadkiem na głowy gości nie spadła aliancka bomba o przebijającym ściany i sufity rdzeniu. System wentylacji przeciwchemicznej należał do najlepszych na świecie i przechodził najbardziej drobiazgowe kontrole. Dodatkowo jako elementy zdobnicze pomieszczeń wykorzystywano mrożony dym i żel o właściwościach pochłaniania zanieczyszczenia. Oczywiście, cały system zabezpieczeń nie wystarczyłby, gdyby sam lokal nie miał błogosławieństwa partii.

Pomieszczenia wyglądały, jakby zostały nieregularnie wycięte wewnątrz kryształu. Za jego lśniącą, przezroczystą powierzchnią majaczyła karminowa, mięsista ściana. Wszystko spowijało wolno pulsujące czerwone światło. Stoły o okrągłych blatach i fotele, wyglądające pozornie na przytulne, zrobione zostały z twardego szkła, wszędzie też jako ozdoby służyły wijące się konstrukcje ze szklanych rurek, wewnątrz których leniwie przesuwał się kolorowy dym. Za niewątpliwą atrakcję knajpki uznawano wielkie kieliszki, w których kąpały się i tańczyły striptizerki. Zawsze otoczone rojem unoszących się dużych baniek mydlanych, choć jak Artur się dowiedział nieco później, zrobionych z nieco innej substancji niż mydło. Striptizerki klęcząc w złocistym płynie, wylewały sobie na biust szampana lub też stojąc z rękoma uniesionymi w górze, powoli kołysały tyłeczkami w rytm muzyki.

Odwiedzające lokal kobiety preferowały czarną skórę, niekiedy z wycięciem na biust i stylowym srebrnym łańcuszkiem spinającym brodawki. Ponoć ten strój znakomicie się komponował z wystrojem pomieszczenia, zarówno z dominującą barwą oświetlenia, jak i z często

zmieniającymi kąt i nachylenie powierzchniami kryształów. Swobodny ubiór był możliwy, gdyż wejście do lokalu było silnie strzeżone, osoby postronne nie miały tu wstępu.

Mężczyźni nosili garnitury, jedynie ze srebrną swastyką na klapie marynarki lub dyskretnie zaznaczonymi błyskawicami na kołnierzyku. Byli najczęściej nienaturalnie wysocy, wówczas, w miejscach gdzie ścięcie kryształowego stropu zwisało zbyt nisko, chodzili skuleni, nienaturalnie długie ręce trzymając groteskowo przed sobą lub powłócząc dłońmi po ziemi. Prawdziwie przerażająca była cienka jak bibuła skóra twarzy uwypuklająca wszystkie kości, zamieniająca oblicze w trupią czaszkę.

Jak zwykle po przedstawieniu Artura kilku gościom, Weiner ulotnił się niczym kamfora. Sosnowski stał przez chwilę i zastanawiał się, co robić, udając, że wpatruje się w szklaną kulę, wewnątrz której obracała się świetlna swastyka. Wreszcie postanowił podejść do baru i zamówił drinka.

Siedziała na stołku, popijając fioletowy płyn przez rurkę. Czarne spirale włosów opadały jej na śniade ramiona, skórzany, wiązany z tyłu gorset podnosił i eksponował jej pełne piersi.

Wyczuła spojrzenie Artura, odwróciła się powoli, poprawiając koniuszkami palców opadający na czoło kosmyk, błysnęły w rozpoznaniu zielone oczy. Uśmiechnął się i odkłonił lekko.

Odstawiła drinka, zeskoczyła zgrabnie ze stołka, podbiegła do niego na palcach i pocałowała w policzek. Ujął go ten prosty gest.

- Dawno pani nie widziałem, Fräulein Schladebach.

- Po prostu Natalie.

- Można ci postawić drinka?

- Chętnie - uśmiechnęła się w odpowiedzi. Miała piękne zęby, idealnie śnieżnobiałe.

Zamówił, następnie usiedli w mniej eksponowanym kącie sali. Artur przez moment bawił się niewielką rzeźbą z mrożonego dymu, stojącą na stoliku.

- Dawno się nie widzieliśmy? Co u ciebie? - zagaił niezbyt zręcznie. Dziewczyna, jej piękno, wprawiały go w zakłopotanie. Miał wrażenie, że wyglądała jeszcze lepiej niż wtedy, gdy towarzyszyła Liliane na schadzce w łaźni.

- Leci. - Pociągnęła niewielki łyk przez słomkę. - Raz lepiej, raz gorzej. Koleżanki wychodzą za mąż, stając się przykładnymi niemieckimi Frau. Koledzy wyjeżdżają na front, przykładnie oddając życie za ojczyznę. Ja...? Nie wiem, co właściwie robię na tym świecie. Chyba włóczę się od baru do baru, coraz bardziej samotna. Przepraszam. Wstawiłam się. Nieco.

- W porządku. Rozumiem.

- Ten nastrój... Wiesz. Dookoła ciebie wszędzie padają bomby... Czasami myślałam, żeby... no wiesz, coś z a p l a n o w a ć. - Zrobiła pauzę. Koniuszkami palców obracała kieliszek, zamglone spojrzenie utkwiła gdzieś w dali. - Za pierwszym razem powołano go na front wschodni. Nie chciałam takiego życia, pięć, dziesięć lat, ile jeszcze potrwa ta wojna? Jestem młoda, chcę czuć ciepło mężczyzny obok siebie, nie listy raz na miesiąc, jak nie zgubi poczta, nie noce z lodowatym chłodem w duszy i myślami, że radziecka kula właśnie odnalazła drogę do serca Niemca.

- A za drugim?

- Po prostu się rozpieprzyło. Tak wiesz, z normalnych ludzkich powodów - uśmiechnęła się krótko.

- Masz przeuroczy uśmiech.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się jeszcze raz, tym razem dłużej.

- Wiesz coś może o Liliane? Od… wielu miesięcy nie mam o niej żadnej wiadomości.

- Mhm. - Pokiwała głową, popijając drinka. - Spotkałyśmy się jakiś czas temu przed jej wyjazdem do Grecji.

Oszalałe bicie serca.

- Wyjechała do Grecji? Kiedy?

- Pod koniec wakacji. Dostała rolę w filmie. Szczęściara.

Powstrzymał impuls, by się poderwać z miejsca.

- Nadal go kręcą? Gdzie to jest?!

- Ekipa przystawała to tu, to tam, w poszukiwaniu plenerów. Ale już skończyli. Nie wiem, gdzie jest Liliane, podobno zaszyła się gdzieś w rezydencji nad morzem i odpoczywa. Wiesz, w Grecji nie ma tych ciągłych bombardowań.

- Nie wiesz, kiedy wróci?

- Myślę, że na ślub na pewno.

- Czyj ślub?

- No przecież, że własny. - Popatrzyła na niego z autentycznym zdziwieniem. - To ty naprawdę nic nie wiesz? Zaręczyła się z Seitlingiem. Od t y c h Seitlingów, dodam.

- Zaręczyła się?!

- Wyłamują się BdM-ki, wyłamują… Mogę? - Wyciągnęła z torebki białego długiego papierosa. Zapaliła nieco nerwowym gestem. - Ale jej się nie dziwię, trzeba się w życiu ustawić. Kobieta potrzebuje stabilizacji. Ja sama czasami bym chciała. Ale te bomby, wolę nie myśleć o dzieciach na takim świecie. Nie dam rady, wiesz, sama myśl jest dla mnie okropna. Liliane pochodzi z naprawdę dobrej rodziny. Gdyby żyła w latach dwudziestych, wyszłaby za jakiegoś arystokratę. Ale czasy się zmieniają, jakby kto nie zauważył. - Zaciągnęła się. Otoczyły ją smugi dymu, ale najwyraźniej się tym nie przejęła. Stojący na blacie żel

wchłaniał je powoli, resztę wciągała pod sufit doskonale działająca klimatyzacja. - Teraz do głosu dochodzi władza pochodząca z ludu. Seitling starszy jest kimś w NSDAP, długo był lokalnym działaczem, ale naprawdę najwyższego szczebla, teraz tylko Bóg wie, czym się zajmuje. Młody na pewno pójdzie w ślady ojca. Pewna ścieżka kariery. Żadnego niespodziewanego powołania na front wschodni, chyba że wymaga tego wizerunek. Ale wtedy dostanie komendanturę gdzieś na tyłach, osłona zaopatrzenia albo szpitala przez trzy miesiące, akurat tyle, żeby można było przyznać medal za odwagę.

Artur ledwie słuchał. Pociemniało mu w oczach, zdawało mu się, że z każdym słowem dziewczyny gdzieś obok spada aliancki pocisk burzący. Zamieniający powoli w ruinę jego świat.

- Wcale się jej nie dziwię - kontynuowała Natalie. Ręka z papierosem lekko drżała. - Bycie Herrenvolk kosztuje. Operacje plas tyczne należy powtarzać co pewien czas. Inaczej zaczyna się wyglądać karykaturalnie. Niezoperowane fragmenty nie nadążają za doskonałym skalpelem chirurga i się starzeją, poddane truciźnie botulinowej mięśnie zaczynają się nienaturalnie rozluźniać. Pastylki, te też trzeba ciągle brać i raczej więcej niż mniej, jeżeli rozumiesz, o czym mówię. Inaczej człowiek może wpaść w niezły dołek. Sama znałam dziewczynę, bardzo fajną, która skoczyła z jednego z tych nowych wieżowców, tak żeby przebić się przez chmury. Naprawdę tych pastylek nie można po prostu przestać brać, kiedy na przykład zabraknie pieniędzy. A są coraz droższe, bo wszyscy je biorą. Zaczęło się od żołnierzy na froncie. Dwa razy silniejsi, szybsi, odważniejsi, zmysły bardziej czułe. Prawdziwi Herrenvolk, superwojownicy. Teraz bierze coraz więcej ludzi, a każdy potrzebuje coraz większych porcji. Nic dziwnego, że przemysł farmaceutyczny nie nadąża. Mamy wojnę, do cholery.

- Jak mogę się z nią spotkać?

- Z Liliane? A nie dostałeś zaproszenia na ślub?

Milczał.

- Aha - zgasiła papierosa. - Tak to czasem bywa, kochany. Wierz mi, wiem to najlepiej. - Przyłożyła dłoń do czoła. - Mam chyba gorączkę. Kręci mi się w głowie.

Wstała, zrobiła kilka chwiejnych kroków, omal nie wpadając na konstrukcję ze świetlnych rurek wypełnionych zamrożonym dymem. W ostatniej chwili złapała równowagę, przytrzymując się sięgającej do jej biodra kryształowej piramidki, wewnątrz której lśniło oko.

- Jak można myśleć o jutrze, skoro jutro ma umrzeć świat? - zapytała w przestrzeń. Następnie powoli się odwróciła, przekrzywiając głowę, czarne skręcone pukle spadły jej na twarz. Odprowadzisz mnie do domu?

*

Jechali tym samym modelem samochodu, który ostatnio tak się rozpowszechnił w Rzeszy. Artur nie miał pojęcia, jak prowadzić. Za kierownicą zasiadła Natalie. Sosnowski czuł niepokój, gdy pojazd nieco chybotliwie pokonywał wiadukt przerzucony wysoko między dwoma wieżowcami.

- Chcą nam odebrać przywilej kierowania samochodem - powiedziała, patrząc na Artura zamiast na jezdnię.

- Pijanym?

- Głupi jesteś! Kobietom. Po to się uczyłam tyle miesięcy, żeby jakiś podstarzały partyjniak stwierdził, że to nie uchodzi kobietom? Że biologicznie nie nadają się do prowadzenia pojazdu. Co za tym idzie, statystycznie zwiększają niebezpieczeństwo na drogach. Trzeba chronić zwykłych obywateli przed babą za kierownicą. Wiesz, ja się

nie interesuję polityką... Chcę tylko przeżyć miło swój czas. Ale... Pieprzeni naziści!

Artur po raz kolejny się zastanowił, ilu ludzi naprawdę wierzy w faszyzm, a ilu zostało złapanych w sieć systemu i po prostu suną od dnia do dnia, nie mając wyjścia. Gdy jest to korzystne, dostają na przykład urzędową posadę, postępują zgodnie z programem partii, ale równie często klną na swego wodza. Totalny fanatyzm zdarza się zapewne bardzo rzadko i najczęściej na samym dole drabiny społecznej, jak u Meyerów i, oczywiście, na samej górze.

- Cholera, znowu korek! - Uderzyła otwartą dłonią w kierownicę. Wkrótce wyjaśniło się, czemu samochody się zatrzymały. Ot, ludzka ciekawość. Po alei znajdującej się jakieś dwadzieścia metrów pod nimi biegła skulona naga kobieta. Brudna, posiniaczona, z wygoloną czaszką, zasłaniając rękoma wzgórek łonowy i piersi. Za nią podążał rozwrzeszczany tłum ludzi w kombinezonach, rzucając w nieszczęśnicę czym popadnie, popychając, rozdając szczodrze kuksańce.

- Co to za ohydne widowisko?

- Musi tak przebiec przez cały Berlin. Kara za hańbę rasową.

- Co to znaczy?

- Przespała się z Żydem. Albo przynajmniej ktoś ustosunkowany tak powiedział.

- Co z nią dalej będzie?

- Obóz pracy, jak sądzę.

- Nie widać, byś się bardzo przejęła.

- Nie rozumiem jej. Była na tyle niemoralna, by się zadawać z Żydem, ale gdy wcześniej wysoki urzędnik zaproponował kolację, uniosła się cnotą i honorem. Albo się jest moralnym, albo nie jest, prawda?

- Może kochała tego człowieka?

- Nie bądź śmieszny. Faceta by zgarnęli, a ona by się wywinęła tanim kosztem, a może i jeszcze zyskała, gdyby się potrafiła ustawić. Kobieta musi sobie radzić. Miłość, dobre sobie - prychnęła. - Miłość trwa dwa miesiące, a przynosi tyle bólu, co i radości. Zostawia człowieka bezsilnego jak po ataku grypy i często z poczuciem, że właśnie się wyczerpało limit głupot na całe życie. No dobra, chyba wreszcie pojedziemy...

*

Natalie mieszkała w apartamentowcu równie okazałym i dobrze strzeżonym, co Artur. Na pytanie, jakim cudem ją stać na taki kosztowny lokal, odpowiedziała niejasno o przyjacielu z dobrych czasów, który pomógł jej trochę.

W drzwiach minęli się z przeraźliwie wychudzoną kobietą o smutnej, wymizerowanej twarzy. Raczej niskiego wzrostu, nosiła granatową koszulę i spódniczkę, na to biały fartuszek. Czoło opinała stalowa konstrukcja z połączonych szpikulców. Wiele z nich znikało w nawiertach w czaszce i zdawało się docierać głęboko w mózg. Kobieta trzymała w ręku miotełkę do usuwania kurzu. Minęła ich z pustym spojrzeniem, jakby była martwa.

- Kto to?

- Sprzątaczka. Przywożą je ze Wschodu do pracy w mieszkaniach Herrenvolk. Popatrz na moje dłonie. - Ściągnęła rękawiczki i rzuciła je na stół. - Myślisz, że byłyby takie gładkie, gdyby zniszczyły je środki czyszczące? Kobiety muszą się szanować.

- Ona też była kobietą, jak sądzę.

- Ale rasy podludzkiej. Nie słyszałeś, jak mówiłam, że pochodzi ze Wschodu?

- Słyszałem aż nadto dobrze. Też stamtąd pochodzę.

- Ale jesteś Aryjczykiem. Tak naprawdę nie pochodzisz stamtąd. Tylko twoi przodkowie pojechali tam na wycieczkę i zostali nieco dłużej. Ale nie stali się przez to nimi, co za absurd!

- Tak jak twoi przodkowie? Masz bardzo ciemną karnację, Natalie.

Oboje rozebrali się już z kombinezonów, dziewczyna znów miała na sobie tylko skórzany gorset obnażający biust. Zamarła na jego słowa, twarz jej wykrzywił grymas zwierzęcego lęku. Zaraz zniknął i piękne oblicze dziewczyny stało się uwodzicielskie jak nigdy.

- Nie żartuj w ten sposób, kochany. Przyszliśmy się tutaj zabawić, prawda? - Podeszła, kołysząc biodrami, uśmiechnięta, ale na dnie oczu migotał strach jak schwytana ćma.

- Oczywiście, głupi żart - powiedział, chwytając jej piersi i ściskając mocno. Jęknęła, odchylając do tyłu głowę. - Powiedz mi jeszcze, dlaczego służąca nosi to dziwne urządzenie na głowie.

- Supresor wyższych procesów psychicznych. Podludziom takie procesy są niepotrzebne, zmniejszają efektywność pracy.

Artur wzdrygnął się. Wyobraził sobie, jak każda świadoma myśl jest od razu tłumiona krótkim elektrycznym wyładowaniem w mózgu, aż ofiara oduczy się myśleć w ogóle.

- Ohydne. Jak możesz z tego korzystać - powiedział, puszczając jej biust.

- Wszyscy tak robią. - Wzruszyła ramionami. - To bardzo wygodne, bezpieczne i świadczy o prestiżu. Czy ty, jak zjadasz kaczkę, myślisz, w jakich warunkach żyła, zanim ją zabito?

Poruszyła tułowiem tak, że jej piersi znów znalazły się w jego dłoniach. Owionął go zapach dziewczyny. Nie zbawię dzisiaj świata, pomyślał Artur, rozsznurowując jej gorset. Gdy już stanęła przed nim naga, tylko w butach z czarnymi cholewami zakrywającymi łydki, położył ręce na jej ramionach, ustawiając dziewczynę tak, że przykucnęła przed nim. Jej zwinne palce poradziły sobie w mig z zapięciem spodni i zaraz otuliło go miękkie, ciepłe wnętrze. Zanurzył palce w jej skręconych lokach, głaskał policzki, spoglądał w jej oczy lśniące jak dwa jeziora, podczas gdy jej usta delikatnie dawały mu rozkosz.

- Pocałuj mnie w brzuch - poprosił. I zaraz przytrzymał łagodnie, ale stanowczo jej głowę. - Ale nie cofaj się.

*

Gdy Liliane przedstawiła Arturowi Natalie, odniósł wrażenie, że jako liderka BdM-u jest ona fanatyczną nazistką. Gdy poznał ją bliżej, zmienił zdanie. Uznał, że jest zwykłą dziewczyną, która chce przeżyć na tym świecie. Oczywiście wierzy w niektóre slogany nazistów, zwłaszcza te, które są dla niej wygodne, ale trudno się dziwić, gdyż powtarzane są niemal w kółko, natomiast dostęp do publikacji krytycznych jest zakazany. Mimo to Sosnowski był pewien, że gdyby następnego dnia obudziła się w demokracji, przyjęłaby głoszone tam prawdy za równie oczywisty pewnik.

Zastanowił się, jak rzadko spotykał fanatycznych nazistów. Choć wielu na pierwszy rzut oka wydawało się lojalnymi funkcjonariuszami systemu, po bliższym poznaniu okazywało się ludźmi pełnymi wątpliwości, mówiącymi o władzy "oni". Zresztą czy Artur również nie sprawiał wrażenia wysokiego funkcjonariusza państwa? Tak postrzegały go wszystkie kobiety, z którymi coś go łączyło.

Natomiast w duszy zaczynał nienawidzić swoich „opiekunów” i wszystkiego, co uosabiali.

Oczywiście, jak w każdym systemie, żyła tutaj kilkunastoprocentowa warstwa oszołomów i szaleńców, osobników o skrajnie absolutystycznych poglądach. Jedyna różnica, że w nazizmie te osoby szybko pięły się po szczeblach państwowej kariery i otrzymywały radosną dla nich możliwość decydowania o czyimś życiu albo śmierci. Artur bałby się takiej odpowiedzialności, przyjąłby ją tylko wtedy, gdyby zachodziła konieczność. Fanatycy uwielbiali wtrącać się w cudze życie. Nadawało to cel ich własnej egzystencji, zapewne zbyt nudnej albo nieudanej, i każda możliwość, by pozbawić szczęścia innych w imię rewolucji moralnej, sprawiała, że choć przez chwilę czuli się mniej przegrani.

Hoffmann w rozmowie z Arturem wyraźnie odgraniczał szaleństwo narodowców od tego, co zwykle określa się jako chorobę psychiczną. Chorzy psychicznie są często dobrzy i wrażliwi, dotyka ich tylko przypadłość przynosząca im cierpienie. Fanatykom na pozór nie dolega nic, żyją w społeczeństwie i dobrze sobie w nim radzą, jedynie ich dusze toczy wyjątkowo złośliwy robak i pewnego dnia nie zostaje w niej już nic dobrego. Oczywiście ten zanik duszy to także choroba, dowodził Hoffmann, ale jeszcze nie sporządzono jej systematyki ani nie wynaleziono sposobu leczenia.

Spotkali się jeszcze może trzy, cztery razy. Natalie nie chciała, nie potrafiła się wiązać na dłużej i gdy tylko pojawiał się cień szansy na uczucie, uciekała. Artur traktował ten romans jako zemstę, jako odreagowanie, jako… erzac. Świadomość, że pieprzy przyjaciółkę Liliane, która po rozdzieleniu przy aresztowaniu nie raczyła nawet powiadomić go, że zrywa z Arturem i układa sobie życie z kimś innym, na początku wywoływała dreszczyk perwersyjnej przyjemności. Potem jednak Sosnowski zaczął

odczuwać ból, bo obecność Natalie przypominała mu chwile spędzone z ukochaną. Tak czy inaczej, oboje powoli oddalali się od siebie, jeszcze zanim znaleźli się naprawdę blisko. Każde z nich płynęło teraz po oceanie życia równie samotnie jak wcześniej. Artur często stawał wieczorami przed pancerną szybą swego apartamentu i wpatrywał się w czerwone od ostatnich, ześlizgujących się płomieni odchodzącego słońca brzuchy chmur, wiszących ciężko na niebie. Monotonię krajobrazu jak z piekła przerywały tylko języki szperaczy liżące obłoki. Sosnowski miał wrażenie, że wszelkimi sposobami próbował ułożyć sobie życie na tym nowym świecie. Tyle, że to życie, niezależnie od wysiłku, jaki podejmował, niosło czekającą na Artura, jak stara znajoma, beznamiętną pustkę.

*

- Mógłbym pana o coś prosić?

- Zależy, o co. Ale proszę spróbować - odparł Weiner. - Jeżeli będzie to w zakresie moich możliwości i nie zaszkodzi Rzeszy, chętnie spełnię pańską prośbę.

- Tak sobie pomyślałem, ostatnio nie korzystacie z moich usług zbyt często...

- Szczerze mówiąc dlatego, że przestał pan nam imponować trafnością. Konflikt w Zatoce Perskiej trwa, jak trwał, a pan nie ma nic sensownego do dodania w kwestii jak najszybszego rozwiązania na naszą korzyść.

Artur udał, że nie dosłyszał tej kąśliwej uwagi.

- Mam ostatnio trochę wolnego czasu.

- Zapewnię panu więcej lektur. Ostatnio wydano ciekawy komentarz do *Mein Kampf.*

- Musi być fascynujący. Ale pomyślałem o czymś innym. Chciałbym być użyteczny. Von Blankenknohr uciekł z

miasta i nikt nie wie, gdzie się podziewa. Co za tym idzie, zwolniło się w kraju bardzo ważne, choć nieformalne miejsce naczelnego okultysty. Chciałbym zaproponować siebie na to stanowisko.

- Przecież i tak nam pan doradza?

- Doradzam Rzeszy, jak wygrać wojnę. Natomiast teraz myślę o czymś innym. Horoskopy na indywidualne zamówienia. Za opłatą, oczywiście. Dość znaczną, by stanowiła zaporę dla niższych urzędników, mój talent nie może zostać nadwątlony tysiącami drobiazgowych prekognicji. Nie mam na to ani czasu, ani sił czy chęci. Myślałem o kilku, kilkunastu osobach, którzy mi zapłacą na tyle, bym mógł po zakończeniu wojny spokojnie gdzieś osiąść.

- Hitler panu da, czego pan zapragnie. Jego ulubieniec musi tylko poprosić.

- Zatem proszę... Chcę pracować po swojemu i zarabiać pieniądze. Przestaję być wam potrzebny, obaj o tym wiemy. Hitler nie wierzy już w mój talent, pan też jest coraz bardziej sceptyczny. Za chwilę zapomnicie o obietnicach, a ja zostanę na lodzie. Teraz, kiedy jeszcze coś znaczę, jest to dla mnie ostatnia szansa, by się ustawić. Nie proszę o pieniądze, błagam tylko o możliwość zarabiania.

Widać było, że Weiner intensywnie myśli. I ocenia Polaka.

- Dobrze. Przekażę tę prośbę dalej... - Zawahał się. - Zaopiniuję ją pozytywnie. Jeżeli „góra” się zgodzi, rozpuścimy również pogłoski o pańskiej praktyce okultystycznej w odpowiednich sferach.

# III

Spóźnianie się na parady uznawano za niewybaczalne. Oczywiście Artur się spóźnił. Nie wiedział, jak do tego doszło, może wyjątkowo długo się szarpał, próbując założyć ten cholerny kombinezon, może korki paraliżujące ulice Nowego Berlina zrobiły swoje… Dość, że na główną arterię północ-południe Artur dotarł, kiedy przeszły już orkiestry dęte. Tylko stopnie generalskie srebrzące naramienniki pancerza Weinera pozwoliły Sosnowskiemu bez przeszkód przecisnąć się do loży dla VIP-ów.

Artur popatrzył wokoło. Specjalne trybuny wypełnione teraz ludźmi zbudowano przy ścianach wieżowców, ozdobionych powyżej wieńcami z gałęzi drzew iglastych, wewnątrz których czerniły się swastyki. Miejsca dla publiczności sięgały trzeciego piętra i ciągnęły się po obu stronach alei jak okiem sięgnąć. Parada to patriotyczny obowiązek, parada to jedyna rozrywka w mieście, gdzie dawno już reglamentowaną żywność, a wszystkie ciepłe ubiory zabrano dla żołnierzy walczących na Wschodzie.

Z głośników zamontowanych wzdłuż całej ulicy płynęły słowa Adolfa Hitlera:

– Żołnierze! Zawierzcie mi! Moje serce należy właśnie do was, moja wola i mój trud zostały wprzęgnięte w służbę wielkości narodu, moje zdolności i stanowczość mają tylko jeden cel: zniszczenie wroga, czyli ostateczne zwycięstwo. To, co mogę dla was zrobić, żołnierze, uczynię. Wierzę, że i wy uczynicie dla mnie wszystko, co możliwe, odpłacicie mi za troskę i przewodnictwo lojalnością i posłuszeństwem aż do chwili, gdy Rzesza i niemiecki naród osiągną najwspanialsze szczyty rozwoju.

Artur akurat zdążył na część najciekawszą, najważniejszą, na demonstrację potęgi militarnej Rzeszy. Najpierw szły dwa orły trzymające w szponach dębowy wieniec ze swastyką, niesione przez monumentalnych żołnierzy. Za sztandarami maszerowali w równych rzędach ciężkozbrojni Waffen-SS ze srebrnymi maskami na

twarzach. Każdy z nich do pasa przytroczył miecz i pistolet, w ręku trzymał karabin. Kirysy błyszczały w świetle reflektorów, czarne płaszcze zamiatały asfalt.

- Jak w Sparcie! Jak w Sparcie! - ktoś krzyknął.

Kolumna przeszła i rozległ się charakterystyczny pomruk gąsienic. Dwoma rzędami sunęły ciężkie czołgi. Nie miały charakterystycznego pudełkowatego kształtu, jaki obowiązywał dotychczas, ale ukośnie wyklepany pancerz.

- Pantery - mruknął Weiner, stojący obok w pełnym rynsztunku. - Od pewnego czasu wysyłamy je pod Moskwę, w nadziei, że zatrzymają radziecką ofensywę.

- Z jakim skutkiem?

- Nowy pancerz, skopiowany z T-34, lepiej odbija pociski. Wyprodukowaliśmy na razie czterdzieści sztuk, z czego dziesięć zawrócono do warsztatów. Poza tym, naszym problemem jest wciąż mróz, a nie brak nowoczesnego sprzętu. To zima nas zabija, nie Rosjanie.

Nagle z tłumu spadł deszcz kwiatów. Róże sypały się na żołnierzy, na pancerze czołgów. Czerwień i zieleń wzbogaciła ponurą kolorystykę szarych murów i gdzieniegdzie leżącego śniegu.

- Kwiaty wyrzuca automatyczny mechanizm. Pomysł Goebbelsa, jego chłopcy natrudzili się nad tym trochę, ale efekt wart przygotowań.

Tłum, już wcześniej podniesiony na duchu monumentalną muzyką, teraz po prostu oszalał. Ludzie skandowali: „Zwycięstwo!„, „*Heil Hitler!*”. Tysiące rąk szybowało do góry w nazistowskim pozdrowieniu.

- Niezły pomysł z tą paradą, akurat teraz, gdy pierwszy raz jesteśmy w odwrocie na całej linii, i to wbrew wyraźnym rozkazom naczelnego dowództwa. Już wiadomo, że operacja „Barbarossa” została źle przygotowana, zabrakło chociażby ciepłych ubrań dla armii. Wywiad

zawiódł na całej linii, niektórzy twierdzą, że to ostatni pośmiertny cios Canarisa.

Huk silników przybrał na sile. Artur dostrzegł potężną machinę sunącą majestatycznie przez ulicę. Okazałe Pantery wyglądały przy niej jak zabawki. Polak zadrżał na myśl, że żadna armia nie pokona teraz nazistowskiej dywizji.

- Bezużyteczna kupa złomu - odezwał się cicho Weiner u jego boku. - *Maus,* Mysz. Zbyt wolna do manewrów okrążających czy wojny błyskawicznej. Żaden most nie podźwignie niemal dwustutonowego pojazdu. Zastosowana nowa technika forsowania rzek po dnie, gdzie drugi pojazd dostarcza Myszy energii, wydaje mi się zbyt nowatorska. Mamy na razie dziesięć sztuk. Przy tym tempie produkcji nie jestem pewien, czy ta nowa broń zdoła wpłynąć na los wojny, jak szumnie przechwalają się jej konstruktorzy. Szczerze mówiąc, jest z nią mnóstwo kłopotu. Każdy pojazd ma inną prędkość i siłę rażenia, co powoduje choćby problemy na szczeblu planowania operacji. Załoga nie jest przeszkolona, wprowadzamy na front nieprzetestowane prototypy, które dopiero w warunkach polowych wykazują poważne wady techniczne. Zepsują się, a my w warsztacie nie mamy części zamiennych akurat do tej zabawki, bo zostały wysłane na inny odcinek walk. Wolałbym zamiast dziesięciu typów czołgów jeden, ale dobry. Jeszcze problem dostosowania linii montażowych do nowych typów broni. Pewnie dlatego niektóre fabryki wciąż produkują przestarzałe Pzkpw-IV, tylko ze specjalnymi kamizelkami przeciwpociskowymi. A Hitler wciąż trwoni środki na budowę potężniejszych machin. Proszę tylko spojrzeć!

Kolejne stalowe monstrum ledwie mieściło się na ulicy. Miało wysokość trzech pięter i ziemia pod nim drżała, gdy nieznośnie powoli połykało metry. Przypominało raczej okręt wojenny osadzony na gąsienicach niż czołg.

Znajdujące się z przodu dwa ogromne działa wydawały się żywcem wyjęte z krążownika Kriegsmarine.

- Szczur, bezużyteczne tysiąctonowe gówno. Nawet Speer protestował przed produkcją takiego szmelcu. Najeżony działami przeciwlotniczymi i armatami ledwie się porusza. Dobrze, że Rosjanie też popełniają błędy. Wysłali przeciwko nam dywizję tych swoich pięciolufowych czołgów. Jak się znalazły na polu walki i zaczęły strzelać ze wszystkich luf, to kiedy pył opadł, żaden nie mógł się poruszać samodzielnie. Dobrze, że nie mieliśmy w pobliży żadnych większych sił, bo też by oberwały.

Wtedy Artur ją zobaczył. Kobieta zdjęła maskę, wiatr rozwiał jej długie czarne włosy. Przytknęła do twarzy aparat fotograficzny. Błysnął flesz, raz i drugi. Musiała być odważna, za takie postępowanie groziły surowe kary. Z drugiej strony, czy w masce można zrobić piękne zdjęcie?

Raz po raz ktoś z tłumu zasłaniał fotografkę, ale gdy Sosnowski widział jej twarz, zachwycał się regularnością rysów, ogniem spojrzenia. Wokół krążyły czerwone jak krew płatki róż, wirowały srebrzyste iskry śniegu, błyskało światło lampy. Artur patrzył.

Z rykiem silników przeleciały nad ich głowami nowego typu odrzutowe samoloty o kształcie ostrego grota strzały. Sosnowski ledwie zwrócił na nie uwagę. Dziewczyna przeciwnie, skierowała obiektyw w niebo, próbując uchwycić pędzące maszyny. A tymczasem za Szczurem podążał kolejny pojazd-potwór. Tym razem nie posuwał się na gąsienicach, ale na ośmiu odnóżach. Na podbrzuszu zamontowane miał liczne stanowiska karabinów maszynowych, jedna wielka lufa wystawała z paszczy. Co kilka metrów zatrzymywał się, buchając gorącem z klapy pancerza, a przednie odnóża unosiły się i młóciły powietrze w poszukiwaniu celów. Nie tylko Artur zauważył błyski flesza. Przez tłum z wielkim trudem przeciskali się w

kierunku kobiety zbrojni w stal funkcjonariusze służby bezpieczeństwa.

- Kosarz podobno ma się nie zapadać w śniegu. Miny nie robią mu szkody, najwyżej straci nogę. Proszę spojrzeć do góry, to najnowsza niespodzianka Hitlera, V7 zwana Haunebu.

Rzeczywiście, nawet urzeczony pięknem dziewczyny Artur musiał oderwać od niej oczy, na niebie pojawiło się bowiem nowe cudo. Latające dyski, niezwykle zwrotne, dokonywały szaleńczych akrobacji. Czasem skręcały łukiem jak normalne samoloty, ale najwyraźniej nie była dla nich problemem nagła zmiana kursu o kąt prosty lub czterdziestu pięciu stopni. Ich zwrotność przyprawiała o zawrót głowy, dyski potrafiły bez utraty prędkości z lotu poziomego wznieść się do góry.

- Proszę zauważyć, zamontowano wieże z Tygrysa, dzięki czemu zaoszczędzi się na seryjnej produkcji. Nie kształt tego pojazdu jest najważniejszy, ale jego napęd. Wewnątrz znajduje się dzwon z plazmą generujący pole antygrawitacyjne. Nie ma i nie będzie nowocześniejszej broni lotniczej.

Po chwili jednak fascynacja ustąpiła w głosie Weinera znużeniu:

- Niestety, mamy tylko dwadzieścia sztuk, a wykonanie każdej kolejnej kosztuje fortunę. Tworzenie pola antygrawitacyjnego jest niezwykle niebezpieczne, rośliny tracą barwy, więdną, a ludzie, jeżeli się ich nie zabezpieczy odpowiednio, umierają w męczarniach. Wydaje się, że tylko żydowskie golemy są trudniejsze w produkcji. Mamy zatem naszą wspaniałą broń, ale w ilościach niewystarczających do zwycięstwa. Tymczasem nasze miasta bombarduje amerykański F-14 Hornet, z technologią *stealth* sprawiającą, że jest niewykrywalny dla radarów. Fabryki USA nastawiają się na masową produkcję tej zabawki. Dały

nam też nieźle popalić na Bliskim Wschodzie, gdy wreszcie wystartowały z lotniskowców, wspierając brytyjskie dywizje w Iranie i Iraku.

Artur ledwie słuchał, próbując ponownie wyłowić z tłumu dziewczynę. Nie było to łatwe. Na szczęście nie tylko dla niego, dwaj rośli mężczyźni w płaszczach, spod których połyskiwały zbroje, rozglądali się bezradnie po trybunach.

- Wszystko to Hitler jeszcze dzisiaj wyśle na front wschodni. Dla Myszy zbudowano nawet specjalny pociąg. Niech się pan rozejrzy, ludzie oszaleli na punkcie tych zabawek. Jakie to prymitywne, fascynować się wciąż większym i większym czołgiem. Dla mnie ciekawsze jest nie to, co tu pokazali, ale czego nie pokazali. A nie pokazali dwóch rzeczy, których oczekiwałem. Zimowa Wielka Parada miała być okazją, by tłumowi ukazał się wreszcie ukochany przywódca. Spodziewałem się, że będzie jak zwykle. Führer podejdzie do lustra, niebanalna, elegancka czuprynka - jest!, szałowy wąsik doprowadzający damy do omdlenia - jest!, kilka energicznych ruchów, by rozgrzać mięśnie rąk i już można wyjść, by porwać tłumy. Przyznaję, zdarzały się wpadki, jak wtedy gdy niewidzialna ręka dodała na kartce przemówienia jedno słowo i Hitler płomiennie zakończył na forum Reichstagu: „Wszystko to oczywiście wina Żydów i cyklistów”. Tymczasem przemówienie zostało odtworzone w głośników. Nie słyszeliśmy go w całości, przybyliśmy za późno, zaręczam, żadna strata. Natomiast publiczne wystąpienie wodza miałoby ważny wymiar propagandowy.

- Na przykład jaki? - zapytał machinalnie Sosnowski, wciąż przeszukując wzrokiem tłum.

- Byłby to dowód, że ukochany przywódca wciąż żyje.

Błysk flesza wśród tłumu. Tam jest!

- Nie pokazali też wilkołaków. Specjalnie szkolonych komandosów z bractwa, którego patronem jest charakterystyczny Wolfsangel, wilczy hak. Nie wyglądają

tak okazale jak Szczur albo Kosarz, jednak są jedyną skuteczną bronią, zdolną stawić czoło golemom. Oficjalnie nie istnieją. Półoficjalnie wyruszają na Wschód, by walczyć z oddziałami partyzanckimi zrzucanymi przez Rosjan na nasze tyły. Tak naprawdę próbują znaleźć i zniszczyć golemy. Skąd ta tajemnica? Hitler nie chce przyznać, że Żydzi, najgorsza z ras, wyprodukowali najpotężniejszą broń tej wojny, wyprzedzającą nasze osiągnięcia o epokę. Dobrze, że jej produkcja jest tak kosztowna i nie chodzi tylko o surowce materialne. Gdyby Żydzi mieli więcej odpowiednich dusz, już dawno mogliby ruszyć na Germanię, a my nie zdołalibyśmy ich zatrzymać ze wszystkimi Myszami i Szczurami tego świata! Pan mnie w ogóle słucha?

Nie tylko Artur zauważył fotografkę. Dryblasy rzuciły się poprzez tłum, rozgarniając stalowymi ramionami niższych od nich ludzi niby pływak wodę. Było wątpliwe, czy dziewczyna zdoła im umknąć.

*

Na przyjęciach u Göringa wciąż wypadało bywać. Mimo że wpływy marszałka Rzeszy malały z każdą zażytą działką morfiny i dywizjonem najnowocześniejszych samolotów wysyłanych zgodnie z kaprysami rozszalałego od narkotyku wodza, imprezy wciąż uznawano za udane. Przyczyniał się do tego bizantyjski przepych, zwłaszcza w porównaniu z kryzysem dotykającym nawet wpływowych i zamożnych. Ostatecznie, zawsze można było się najeść. Z jakiej okazji tym razem zaproszono Artura, nie miał zapewne pojęcia nawet sam Göring. Mówiło się, że uczczone zostanie z opóźnieniem mianowanie Speera ministrem zbrojeń lub też z przyspieszeniem rychłe zakończenie wojny z ZSRR.

Gdy tylko Artur pojawił się na przyjęciu, rozpoznała go pulchna hrabina, którą nie najlepiej potraktował podczas pierwszego spotkania, gdy zbierał laury za sztuczkę wykonaną na życzenie ciemnego maga. Nazywała się Alberthine von Perle i okazała się niezwykle rozmowną osobą. Obok niej sączył napoje energetyzujące (ostatni krzyk mody) młody zdolny funkcjonariusz partii, Edward Fechner, o pociągłym nieco zmęczonym profilu i krótko ściętych czarnych włosach, oraz Kasper Nordemann, tłustawy na okrągłej twarzy, starszy wiekiem, szycha NSDAP, jeden z tych, których wszyscy się boją i nikt nie wie, czym naprawdę się zajmują.

- Jak ten okropny marszałek mógł nas tutaj zostawić i sam udać się na polowanie - trajkotała z wyrzutem hrabina.

- Herr Göring pozwolił sobie zabrać kilku gości, którzy od miesięcy marzyli o takiej rozrywce. Okoliczne lasy są pełne zwierzyny najlepszego sortu.

- Mnie już nie chodzi o to, że nas opuścił - zmitygowała się hrabina. - Ale jak może strzelać do zwierzątek? Jestem pewna, Führer go za to nienawidzi. W czasach postępowego wegetarianizmu takie barbarzyństwo!

- Znana jest miłość Führera do zwierząt, zwłaszcza przywiązanie do suczki Blondie - rzekł nieco afektowanym tonem Fechner. - My, Niemcy, jesteśmy jedyną rasą, która godnie traktuje zwierzęta, nawet zwierzęta ludzkie, mam na myśli Rosjanki.

- Co nie znaczy, że dajemy Rosjankom prawo do życia czy coś takiego - dodał Nordemann.

- Nie, nie - zaprzeczył szybko Fechner. I żeby zatrzeć gafę, szybko zmienił temat:

- Ostatnio hoduję jednego zwierzaka i nie powiem, bardzo rozwijające przeżycie. Budzi wrażliwość.

- Pieska? Kotka? Myszkę? - zainteresowała się hrabina.

- Pająka - odparł wyraźnie podłechtany Fechner.

- I jak się panu sprawuje? - zapytał Nordemann.

- Mam mieszane uczucia. Z jednej strony okazale wygląda, kiedy wychodzę na ulicę, czuję się jak nadczłowiek. Nie trzeba karmić, nie wiem, jak sobie bydlę radzi, czasem znika w nocy, ale nigdy głodny nie jest. Jednak z drugiej strony... Kupiłem, żeby rozpoznawał Żydów, tak było w ulotce reklamowej i w gazetach. Tymczasem on się w ogóle Żydami nie interesuje, tylko siedzi na suficie i się czai. To wzbudza niepokój. Choć czasami jest trochę śmiechu. Zapraszamy znajomych, którzy nic nie wiedzą, i żona rzuca mimochodem: „Zobaczcie, jaką kupiliśmy ładną lampę”. Ile jest krzyku, pisków, zanim się wszystko wyjaśni.

- To jest pan właściwie zadowolony.

- Jak powiedziałem, nie do końca. Mamy dziecko, pięciomiesięczne. Kiedyś wszedłem niespodziewanie do pokoju, a tam nad kołyską z odnóżami na krawędziach stoi wielki pająk i nachyla się do środka. Gdy mnie zobaczył, wciągnął się błyskawicznie na nici pod sufit i podreptał do swojego pokoju, ale wrażenie niepokoju pozostało. Nie mówiłem o tym żonie, nie chciałem jej niepotrzebnie denerwować.

- Może chciał się tylko pobawić z dzieckiem - rzuciła hrabina, ale bez przekonania.

- Na wszelki wypadek nie zostawiam go samego w domu.

- Gdzież jest teraz?

- Zostawiłem go w garażu, był niespokojny i nie chciałem brać go na przyjęcie. To z głodu, przypuszczam. Szybko rośnie, potrzebuje coraz więcej jedzenia, możliwe, że ostatnio nie złapał żadnej muszki. Myślę, że powinienem nawet do niego zajrzeć, sam tam samotny siedzi już tyle czasu. Myślicie, że gospodarz się pogniewa, gdy na chwilę zniknę, zabierając jedną tacę?

- Ależ oczywiście, że nie! - żachnęła się von Perle. - Niech pan weźmie coś smacznego dla pajączka.

Fechner się oddalił, a zaraz potem pod jakimś pretekstem znikł Nordemann.

- Słyszał pan o tej ostatniej niemieckiej superprodukcji? - zagaiła hrabina.

- Jakiej superprodukcji?

- No oczywiście o *Helenie Trojańskiej.* Zdjęcia kręcono w Grecji. Podobno wydano strasznie dużo pieniędzy, ale było warto. Gra tam ta nowa gwiazdka, von Bernstein, chyba się poznaliście na tym samym przyjęciu, co my?

- Nie pamiętam - wykręcił się Artur. - Kiedy premiera?

- W piątek. Podobno nie sposób zdobyć bilety. Nie zastanawia się pan, dlaczego reżyser wybrał do pierwszej superprodukcji mit grecki, a nie rdzennie germański?

- Szczerze mówiąc, trochę tak.

- Ach, czytałam wspaniały wywiad. Reżyser chce wnieść germańskie wartości do całej Europy. Uznał, że przypomnienie ich w opowieści z przeszłości, będącej pierwszą historią ludzkości, lepiej pozwoli rozpowszechnić aryjskie idee. Doskonały pomysł, moim zdaniem.

Hrabina po szklaneczce napoju energetycznego stawała się coraz bardziej egzaltowana i wylewna. Artur poczuł, że ma pełny pęcherz. Udał się na poszukiwanie toalety.

Nie było to proste. Rezydencja posiadała wcale pokaźne rozmiary, a pomieszczenia nie zostały jakoś szczególnie oznaczone. Dość powiedzieć, że dokonał fatalnej pomyłki. Po otwarciu drzwi zobaczył przestronne pomieszczenie, w którym na stole bilardowym całowały się dwie osoby. Światło padało na ich twarze. Jedną był Herr Kasper Nordemann, najważniejsza figura partii w Germanii, drugą bardzo młody, zabójczo przystojny blondwłosy oficer SS.

*

Odnalazł wreszcie toaletę, a tam zamiast pisuaru czekało niezwykłe urządzenie przypominające przyczepiony do ściany wąski kwiat tulipana o poskręcanej, grafitowej łodydze. Jakiś oficer odszedł od ściany, zapinając spodnie, stąd Artur upewnił się ostatecznie co do funkcji niezwykłego urządzenia. Ale jak z niego skorzystać? Przecież nie trafi w tak wąski, dygoczący otwór. Mimo tych obaw Artur podszedł i rozpiął spodnie, cały czas zastanawiając się, co dalej. Od dylematów uwolniła go sama maszyna. Stalowa roślina podniosła się jak słonecznik kierowany fototaksją i pochyliła chybotliwie ku genitaliom Sosnowskiego. Tulipan objął ciasno końcówkę jego członka i Artur poczuł jakby szarpnięcie. Następnie mocz zaczął bez żadnego wysiłku lub nakazu woli po prostu płynąć. Tulipan zmieniał kolor ze stalowego na coraz bardziej czerwony, aż wreszcie opróżnił całkiem Artura i bezwładnie odpadł, odzyskując powoli dawną barwę.

Zapinając rozporek, Sosnowski pokręcił głową w zdziwieniu. Zerknął z pewnym niepokojem ku kabinom po przeciwległej stronie i pomyślał, że jednak obawiałby się skorzystać.

Powrócił na przyjęcie i przez chwilę kręcił się niezdecydowany. Nikogo tu nie znał. Rozglądał się w nadziei, że zobaczy jakiegoś znajomego, co da mu pretekst do rozmowy. Wtedy ujrzał ją. Fotografkę. Na paradzie twarz przesłaniał jej aparat, a Artur widział ją z dużej odległości, ale nie mogło być mowy o pomyłce. Czarne rozpuszczone włosy okalały twarz o regularnych rysach, drobnym nosku, ładnie wykrojonych wargach i oczach błyszczących intensywną zielenią. Kobieta miała czarną sukienkę ozdobioną deseniem w czerwone róże. Dekolt wydawał się ledwie utrzymywać niezbyt duże, ale niezwykle prężne piersi. Sylwetka smukła, długie nogi

ozdobione pończochami w czarną kratkę, również z ornamentyką roślinną. W dłoniach trzymała niewielką czarną torebkę. I tym razem mikrofon. Kończyła zadawać pytania mężczyźnie z dyskami zasłaniającymi uszy i oczy. Filtry informacji przypomniał sobie Artur.

Gdy skończyła, zdecydował się podejść do dziewczyny.

- Pamiętam panią z parady - zagaił.

- Doniesie pan na mnie? - Jej uśmiechniętą uprzejmie twarz ściął lód.

- Raczej złożę wyrazy podziwu na pani ręce. Trzeba mieć odwagę fotografować czołgi pod okiem gestapo.

- Ludzie mają prawo wiedzieć. A ja tylko wykonuję mój zawód.

- Zawód?

- Jestem dziennikarką. Pracuję dla „Gazety” w Cesarstwie Polskim. Oddelegowano mnie, bym zrobiła cykl reportaży z Berlina. Anna Zajączkowska - wyciągnęła rękę.

- To dla mnie prawdziwa przyjemność. Artur Sosnowski.

- O, pan jest Polakiem? To znaczy, poznałam od razu, że nie jest pan Niemcem...

- Po akcencie, zapewne?

- Skąd! Nie ma pan rąk wydłużonych do łydek, nie układa pan swoich długich nóg przy przechodzeniu przez drzwi tak, że kolanami strąca pan naczynia ze stołów. Jest pan inny niż wszyscy mężczyźni tutaj.

- Nie zdecydowałem się na operacje plastyczne. Ale przyganiał kocioł garnkowi, pani piersi również nie przypominają melonów. Nie wygląda pani jak wszystkie kobiety tutaj.

- W Polsce bardziej cenimy naturalność. I nie mamy gigantomanii. W Germanii wszystko jest wielkie. Widział pan pałac Propagandy?

- Nie miałem przyjemności.

- To tam musiałam ostatecznie załatwić połowę z setki pieczątek wymaganych, by pozwolono mi tutaj przyjechać i pracować. Największa forteca Nowego Berlina. Wykonany z superwytrzymałych materiałów, jest w stanie znieść tygodniowy szturm z użyciem najcięższej broni i dywanowe bombardowania. Hitler dobrze wie, że jego strata oznaczałaby klęskę w opanowaniu umysłów Europy i wystawił do obrony najlepsze jednostki. A wewnątrz - uniosła ręce w zachwycie - wewnątrz jest wprost niewyobrażalny. Najlepiej wyposażone studia filmowe na świecie, sztuczne plenery, makiety... Wszystko to, by kręcić filmy o potędze Rzeszy. Powinien pan kiedyś zajrzeć.

- Muszę, koniecznie. - Odwrócił się do podchodzącej do nich kelnerki. - Szklaneczkę wina? Te napoje energetyzujące są wspaniałe, ale już trzech gości się pobiło, a jeden dostał ataku serca.

- Nie piję tutaj alkoholu.

- Jest pani cały dzień w pracy? - Pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Nie. Po prostu wiem, jak go uszlachetniają.

- To znaczy?

- Wśród wpływowych kręgów nazistowskich ostatnio furorę robi "ruska wódka" lub "polskie wino". Chce pan wiedzieć, jak się wytwarza taki alkohol? Wkłada się człowieka, najczęściej jest to pojmany żołnierz Armii Czerwonej, gdyż, jak stwierdził pewien generał, „coś trzeba z nimi robić pożytecznego, jak się tak masowo poddają”, związanego konopnym sznurem do dębowej beczki. Następnie zasadza się pędy żywowinorośli lub żywożyta, czy innego genetycznie zmodyfikowanego zboża. Zaczyna się powoli dolewać wody. Pędy rośliny wnikają w tkanki nieszczęśnika. System korzeniowy upodobał sobie jelita, wdziera się także do wątroby oraz trzustki, łodygi wrastają

w płuca. Odbywa się to bardzo powoli, a na dodatek roślina podtrzymuje życie człowieka, nie daje mu umrzeć, mimo że beczka została zalana do pełna i przybito denko. To nie jest całkiem wegetacja, nieszczęśnik wciąż czuje bowiem ból, gdyż tylko wówczas organizm produkuje substancje, które nadają alkoholowi charakterystyczny smak. Zaczyna się proces fermentacji, zarówno rośliny, jak i organizmu ludzkiego, szczęściem ten drugi nie dożywa do końca.

- Przekonała mnie pani. Ja też dziękuję - odprawił gestem kelnerkę. Po czym spojrzał na dziewczynę, zmarszczywszy brwi. Jak żyje się w Polsce? Bardzo źle?

- Ujdzie. - Skrzywiła piękne usta, zielone spojrzenie powędrowało w przestrzeń. - Teraz i tak jest lepiej. Regent Szeleszczycki nie może w nieskończoność ignorować kulejącej gospodarki i głosów licznej opozycji. Doszło do kompromisu. Premierem został człowiek, który jest bohaterem narodowym. Umknął cudem z Katynia, potem wsławił się kontaktami z nieuznawanym oficjalnie rządem w Londynie. Polityk dialogu, potrafi się dogadać z każdym, nadto fachowiec. Oczywiście narodowcy patrzą mu na ręce, ogranicza go też wola Berlina. Ale i tak nad udręczonym krajem wzeszło słońce nadziei. Dawno pan nie był w Polsce? - Przekrzywiła głowę, kosmyki włosów opadły jej na czoło. Zastanowił się, jak odpowiedzieć.

- Bardzo dawno. Mówiąc w uproszczeniu.

- Jest pan bardzo tajemniczy, panie „zapytam o wszystko, ale nic o sobie nie powiem”.

W tym momencie im przerwano. Podszedł do Artura służący w liberii i przeprosił uprzejmie:

- Ktoś bardzo ważny chce się z panem pilnie widzieć. Sprawy służbowe, Fräulein wybaczy.

- Obiecuję, jeżeli da mi pani szansę, naprawić ten błąd. Może umówimy się w piątek do kina?

Kiwnęła głową z uśmiechem.

Lokaj poprowadził Artura wśród rozgadanych gości ku drzwiom prowadzącym w podziemia budynku. Ale nim opuścili przyjęcie, jeszcze za rękaw chwyciła Artura podenerwowana von Perle.

- Gdzie jest Fechner? Nikt go nie widział od dłuższego czasu. Samochód podobno stoi, a on sam przepadł jak kamień w wodę - mówiła wyraźnie zaniepokojona hrabina. - Muszę go odnaleźć. Mam dla niego książkę, jak przemawiać do śpiącego pajączka, żeby się lepiej rozwijał.

*

- Stwierdziłem, że skoro i tak gości pan na moim przyjęciu, poświęci mi pan chwilkę czasu na rozmowę w cztery oczy - powiedział siedzący za biurkiem grubas. Nie wyglądał za dobrze. Długotrwałe nadużywanie morfiny wyniszczyło jego twarz. Na dodatek wciąż musiał to ukrywać, gdyż Führer oficjalnie potępił używki jako niegodne Herrenvolk. Równocześnie powszechnie i nieformalnie stosowano stymulanty podwyższające aktywność i energię.

- Z miłą chęcią. Choć sądziłem, że spędza pan czas na polowaniu.

- Nadal tam jestem. - Gospodarz się uśmiechnął szeroko. Wrócę dopiero za kilka godzin. Co oznacza, że mogę jedną poświęcić na rozmowę, której nie było.

- Co sprawiło, że zasłużyłem na taki zaszczyt?

- Zainteresowała mnie pańska działalność, nazwijmy to zawodowa.

- Muszę na początku nadmienić, że jestem drogi.

- Dla marszałka Rzeszy pieniądze nie mają znaczenia. Znaczenie mają inne rzeczy. Na przykład reputacja. Uważany jestem za osobę praktyczną, dlatego spotykamy

się w taki sposób. Nie chciałbym, aby uważano, że wierzę w czary. Bo nie wierzę. Olbrzymia suma, którą zapłacę, będzie głównie za dyskrecję. Jeszcze raz przypominam, to spotkanie nie miało miejsca.

- Jak pan sobie życzy, Reichsmarschall.

- Teraz proszę mi powiedzieć, co jeszcze, poza dyskrecją otrzymam w cenie?

- Znam pana przyszłość.

- To potrafi byle szarlatan.

- Nie każdego radzi się Hitler.

- Nadal nie mam gwarancji, że to, co usłyszę, będzie prawdą.

- Nie dostanie jej pan. Ryzyko też jest w kosztach, które pan musi zapłacić.

- Jest pan przynajmniej szczery. Skoro nie okłamał mnie pan teraz, kto wie, może i potem otrzymam prawdę? Niech pan zatem mówi. Jaka jest przyszłość najpotężniejszej osoby w państwie?

- Powolne odsuwanie od władzy. Skończy pan jak wszyscy, którzy zbyt dużo wiedzą, a zdaniem pewnych wysoko postawionych osób do niczego się już nie nadają.

- To wszystko? - Göring wyglądał na więcej niż rozczarowanego. Skrywał to gniewem. - Żadnego wróżenia z fusów, żadnego rzucania się po podłodze i toczenia piany z ust?

- Nie cierpię na epilepsję, a od fusów wolę dobrą kawę. To wszystko, co o panu wiem.

- To pan ceni jako równowartość kilku skrzyń złota? Pan żartuje.

- Ile to jest warte, zależy od tego, jaki z tego uczyni pan użytek. Może się okazać, że będzie to równowartością skrzyni z pańskimi zwłokami. A może… nie.

- Przyszłość - marszałek Rzeszy zmrużył nieduże oczka przyszłość można zmienić, prawda?

- Podobno wielcy ludzie posiadają taką zdolność - skłonił się Artur.

- Kto jest tą wysoko postawioną osobą, która stwierdzi... że do niczego się nie nadaję?

- Przyszłość to tylko cienie tańczące na ścianach jaskini. Raz po raz udaje się po zarysie rozpoznać człowieka, ale wróżbita nie wie wszystkiego. Może jedynie zasugerować, że to będzie ta osoba, o której już teraz pan zbyt dużo wie.

– *Scheiße*, to charakterystyka połowy Nowego Berlina - warknął marszałek. Za chwilę jednak twarz mu stężała, spojrzenie nabrało czujności. - W porządku. Powiedział mi pan więcej, niż było trzeba. Człowiek na tak wysokim stanowisku jak moje musi znać swoich wrogów. Proszę też nie sądzić, że powiedział mi pan coś nowego albo że uwierzyłem - tu uśmiechnął się pogardliwie - w czary. Wiem, że różnego typu szarlatani mają dobry słuch do plotek i często w ich wróżbach to widać. Zwłaszcza wróżbita, który często bywa w partii i na salonach, wie, o czym teraz fantazjują wodzowie przy kielichu, co jutro stanie się planem, a pojutrze rzeczywistością. Wszyscy w NSDAP teraz myślą, że mój czas się kończy, a pan mi nie bał się tego w oczy powiedzieć. A zatem sądzą, że się do niczego wkrótce nie będę nadawał? Zatem zobaczymy!

# IV

Zdobycie nieosiągalnych biletów to żadne wyzwanie dla Weinera. Już następnego dnia Artur je otrzymał i to nie byle gdzie, ale do krytej pancernym, przyciemnianym szkłem loży. Jej zaletą była szczelność przeciwchemiczna, co

oznaczało, że bogaci i wpływowi ludzie nie musieli na czas seansu zakładać idiotycznych kombinezonów, w przeciwieństwie do motłochu na parterze. Anna na wieść o loży bardzo się ucieszyła, dzięki temu mogła założyć długą, doskonale skrojoną czarną suknię i misterny srebrny naszyjnik z wprawionymi maleńkimi diamentami. Takie same diamentowe ozdoby spływały na łańcuszkach z jej uszu. Fryzurę nieco upięła przy pomocy srebrnych spinek.

Artur naprawdę nabiedził się, żeby wybrać sobie nowy model garnituru. Wszystkie szykowne modele miały na klapach, rękawach czy guzikach swastyki lub symbol SS. Wreszcie zdecydował się na najbardziej neutralne liście dębu.

Jeszcze przed seansem Anna zaproponowała, by dwójka Polaków na obczyźnie mówiła sobie po imieniu. Artur w zamian uraczył ją kilkoma żartami i z przyjemnością patrzył, jak dziewczyna się śmieje, odsłaniając podobne do małych pereł ząbki.

Wreszcie zasiedli w wygodnych fotelach. Zgasło światło. Przed nimi zmaterializował się wielki ekran z nazistowską flagą. Następnie swastyka łagodnie przeszła w słońce jarzące się na błękitnym niebie, kamera zeszła w dół, pojawił się obraz wybrzeża smaganego wiatrem, uderzanego gniewnymi falami. Artur patrzył na siedzącą obok niego brunetkę. W zmiennym świetle, padającym z ekranu, jej regularna twarz zdawała się wynurzać z cienia jak spod mrocznej tafli bezkresnego jeziora. Powoli nakrył dłonią jej rękę. Nie cofnęła się. Artur czuł ciepło płynące z palców dziewczyny niby pieszczotę.

Kamera zrobiła najazd na ogromny nadmorski gród, o murach obsadzonych wojskiem zbrojnym w okrągłe tarcze i długie włócznie. Dalej obraz mknął między kramami, placami pełnymi bogato odzianych ludzi, do pałacu kapiącego od złota, klejnotów i cudownych tkanin. Stary król Priam siedział na kamiennym tronie. Kamera

pomknęła znowu przez morze do Achai, gdzie najpiękniejsza kobieta świata jadła winogrona w najcudniejszym z ogrodów. Zbliżenie na zamyśloną twarz. I napis, gotyckie litery, gryzące się z antykiem: „Liliane von Bernstein jako” i tytuł filmu: *Helena Trojańska*.

- Nawet ładną dziewczynę wybrali do tej roli. - Anna pochyliła się ku niemu, oczy jej błysnęły w świetle ekranu. - Wcześniej o niej nie słyszałam, a interesuję się trochę filmem. Wybrali ją pewnie ze względu na tę śliczną buzię.

Arturowi zaschło w gardle.

- Niezła - przyznał.

Liliane, choć otrzymała tytułową rolę, rzeczywiście nie miała zbyt wielu okazji, by wykazać się kunsztem aktorskim. Ideologicznie poprawny wzorzec kobiety zakładał, że musiała być bierna i posłuszna mężczyźnie, jej gestykulacja została zredukowana do potakiwań, mimika do rozmarzonych uśmiechów. Arturowi pozostało podziwiać, jak w przepięknych greckich krajobrazach jego ukochana przechadza się po rozgrzanej plaży, a fale chłodzą jej stopy. Jasna tunika bardziej odsłaniała, niż zakrywała jej figurę, krągłości bioder i piersi, które tak doskonale przecież pamiętał. Jeszcze nie tak dawno spoczywały tam jego ręce, pieściły każdy zakamarek tego posągowego ciała, które stoi teraz na cyplu w płomieniach zachodzącego słońca. Artur czuł ogień rozgrzewający podbrzusze.

Złapał się na tym, że głaszcze delikatnie dłoń siedzącej obok dziewczyny. Anna albo była zaabsorbowana filmem, albo zadowolona z pieszczoty, w każdym razie nie protestowała. Sosnowskiego uderzyła niezręczność sytuacji. Siedzi w kinie z dziewczyną, która mu się szaleńczo podoba i którą miałby ochotę po seansie zabrać do siebie. Równocześnie ogląda film z dawną kochanką, której pełne piersi wciąż budzą u Artura fale pożądania, przywołując wspomnienia gorących nocy. Filmowcy nie

ułatwili mu zadania. - Artur mógł obejrzeć dość dokładnie Helenę w kąpieli.

Zerknął na Annę. Dziewczyna obserwowała go z uśmiechem.

- Widzę, że podoba ci się film. - Przysunęła na moment twarz i otarła się o jego policzek. - Chyba dostałeś gorączki z emocji.

- Martwię się o miłość, gdyż za nią czyha zguba.

- To tylko film na podstawie historii, która zdarzyła się tak dawno, że może nigdy. Nie przejmuj się, głuptasku i naucz cieszyć chwilą. - Ufnie położyła główkę na jego ramieniu jak młody kociak. Objął ją, ciesząc się ciepłem przytulonego miękkiego ciała.

Fabuła filmu była prosta, choć odbiegała w kilku miejscach od homeryckiego pierwowzoru. Helena była żoną Menelaosa, aryjskiego władcy Teb, który w swej dobroci przyjął poselstwo z odległej Troi. Przychylił się do prośby o wsparcie upadającej cywilizacji wiedzą i mądrością Aryjczyków. Odbywa się parada na część przybyszów. Przywódcą dyplomatów był niejaki Parys, sprytny Żyd, który jednak żadnego nawet najprostszego obowiązku nie potrafił wypełnić porządnie i miast rozmawiać o sprawach państwa, tracił czas na ucztach, które gospodarz w swej szczodrości wyprawił. Wtedy właśnie poseł Troi zainteresował się piękną Heleną i używając żydowskiej magii, nakłonił ją do spotkania w świetle księżyca. Tam wyznał jej miłość, chociaż chodziło mu tylko o skażenie aryjskiej rasy swoim nasieniem. Helena początkowo się opierała, a wtedy Parys zaczął ją kusić klejnotami. Jednak Żyd nie może posiadać niczego, co cenne, bo natychmiast by to zepsuł, i tak zdarzyło się i tym razem. Złotowłosa piękność otrzymała te same kosztowności, które Menelaos jeszcze wczoraj podarował Parysowi na znak przyjaźni, oszołomiona Helena jednak ich nie rozpoznała.

Otrzymawszy tyle skarbów, zgodziła się uciec z trojańskim księciem do jego miasta. Odkrywszy ucieczkę żony, Menelaos wezwał na pomoc brata, Agamemnona, Führera wszystkich Greków. Odbyła się wielka parada w Sparcie. Wyruszono przez morze w tysiąc okrętów, by spalić żydowską stolicę i zdobyć dla Aryjczyków należną im przestrzeń na wschodzie. Te zamierzenia wsparł z Olimpu Zeus, występujący w filmie z dwiema srebrnymi błyskawicami. Aryjczycy byli niepokonani, nadczłowiek Achilles wart tysiąca ludzi, pokonaliby Trojan w miesiąc, gdyby ci nie zamknęli się wewnątrz murów i nie zawezwali posiłków. Z głębi Azji przybyły hordy ciemnoskórych Cyganów, homoseksualistów i komunistów, uzbrojonych w sierpy i młoty. Przytłaczali Aryjczyków liczebnością, ale Achilles ich wszystkich zabił, bo nikt nie jest w stanie pokonać nadczłowieka w uczciwej walce. Jednak podstępny Żyd Parys znalazł na to sposób i zatruł strzałę jadem z mordowanych chrześcijańskich dzieci, a potem wystrzelił ją prosto w piętę herosa. Achilles zginął, ale jego Führer go pomścił, zabijając Parysa, jego ojca i wszystkich w Troi, uwalniając rasę ludzką od bezwartościowych elementów i zdobywając przestrzeń na wschodzie. Helena nie wybaczyła sobie hańby, na jaką skazała swoją szlachetną rasę, i popełniła samobójstwo. W finale odbyła się tryumfalna parada w ruinach Troi.

Bzdura na bzdurze. Annę najbardziej zafascynowała jedna rzecz.

- Scenarzysta z godną podziwu maestrią powycinał wszystkie wątki świadczące o homoseksualizmie greckich najeźdźców, a że u Homera znajdowało się ich całkiem sporo, nożyczki właściwie bez przerwy miały coś do roboty.

Artur nie wiedział, co na to odrzec, na studiach często chodził do kina i z pewnym niepokojem przypomniał sobie, że wszystkie wersje, jakie wtedy widział, poddane były temu samemu zadziwiającemu zabiegowi.

- Aryjczycy nie są homoseksualistami - uprzedził go przechodzący obok mężczyzna. - Proszę wybaczyć, podsłuchałem przypadkiem państwa rozmowę. Chętnie wyjaśnię, po akcencie poznaję, że państwo z daleka. Pedalstwo to przypadłość genetyczna, od której rasa aryjska jest zupełnie wolna.

- Żartuje pan? - Anna szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia. - Jeden z moich najlepszych informatorów jest homoseksualistą.

- Zapewne nie jest Aryjczykiem. Już sam zawód, sprzedajny, wskazuje, że ten człowiek jest Żydem.

Anna kiwnęła głową, przyznając mężczyźnie rację.

- On tak. Ale jego kochankowie, a miał ich mnóstwo, należeli najczęściej do elity NSDAP.

Nieznajomy zatchnął się i zadławił. Charczał i kaszlał jeszcze długo potem, jak Artur z Anną wyszli z kina.

- To prawda, czy tylko chciałaś go pognębić? - zapytał Sosnowski, zbliżając wargi do ucha dziewczyny.

- Prawda. Znajomy żyje jak książę. Nawet patrole boją się go zatrzymywać. To tajemnica poliszynela, że wśród nazistowskich elit jest taki sam odsetek homoseksualistów, jak w ogólnej populacji. Korzystając z przywilejów, jakie daje władza, nie widzą powodów, by się ograniczać.

Artur i Anna założyli kombinezony i wyszli z kina. Czekała już na nich limuzyna z modnie przystrzyżonym włosiem. Wczorajszego dnia Weiner wręcz nalegał, by z niej skorzystali. Nic dziwnego, gdyby Artur zamówił taksówkę albo pojechał metrem, śledzenie byłoby dużo trudniejsze. Polak nie oponował, chciał zaimponować dziewczynie. W samochodzie, choć nie było to dobrze widziane, zdjął maskę, chcąc zrobić wrażenie, że jest wysokim funkcjonariuszem i może lekceważyć przepisy.

- Nie podnosisz ręki w nazistowskim pozdrowieniu. Byłeś szczery podczas rozmowy ze mną. - Dziewczyna patrzyła, przekrzywiając słodko głowę. Oczy jej błyszczały jak szlachetne kamienie.

- Jestem dla Niemców nietykalny. Wolno mi więcej niż innym, bo każdego można zastąpić, ale mnie nie. To, że na nich popluję, gdy się wstawię, jest dla nazistów ceną do zaakceptowania. Moja wiedza wygrywa dla nich wojnę. Chociaż tego wcale nie chcę.

- Kim ty właściwie jesteś?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko tyle, że los, a może, któż zgadnie, sam Bóg mnie przeklął. Inaczej nie zesłałby mnie w te czasy, dając wszystko, czego, jak mi się wydawało, pragnąłem, ale odbierając spokój duszy. A potem, gdy już splugawiłem się wewnętrznie do granic możliwości, pokazał mi, że to, co otrzymałem, jest jak ładnie pomalowana, wydrążona skorupa.

- Uciekłeś od odpowiedzi na pytanie.

- Tak, bo gdybym odpowiedział, naraziłbym twoje życie.

- Ja myślę, że raczej związałbyś nasze losy, a tego się boisz.

- Obiecuję, że później, dobrze?

Dojechali do hotelu, w którym mieszkała dziennikarka. Winda zaniosła ich na właściwe piętro. Ale tuż przed drzwiami, gdy Artur był pewien, że wejdzie, Anna pokręciła głową, uśmiechnięta, ale stanowcza.

- Obiecuję, że później, dobrze?

Stał tak przez chwilę na korytarzu, czując gorzki smak odmowy. Podczas seansu podniecenie powoli w nim narastało. Miał ochotę rzucić się na dziewczynę natychmiast i zedrzeć z niej suknię. Powstrzymywał się świadom, że nocą czeka go smakowity deser, który oczekiwanie czyniło jeszcze słodszym. Teraz Artur miał

wrażenie, że zabrano mu talerz z łakociami tuż sprzed nosa.

Jak ona mogła? - myślał już w limuzynie, jadąc do domu. W czasach Artura Polska była traktowana przez Europejczyków niczym burdel, a Polki słynęły nie tylko z urody, ale i z bezpruderyjności. Tymczasem w tych czasach miały zasady czy coś równie kuriozalnego. A może Artur nie spodobał się dziewczynie? Jednak skoro tak, to doskonale maskowała niechęć. I po co się z nim umówiła?

Fale gorąca uderzały mu w twarz. Upokorzenie, zraniona duma. On, najważniejszy człowiek w Rzeszy, a może i na świecie, upokorzony przez byle dziennikareczkę. Polkę, której Niemcy nie zaliczyliby nawet do ludzi, tylko zwierząt, zdolnych do wykonywania prostych prac i służenia Herrenvolk.

Otworzył okno, by pęd nocnego wiatru schłodził mu twarz. Zrozumiał, że posunął się za daleko. Zapomnieć o porażce, zmobilizować siły raz jeszcze, na pewno zaciągnie Annę do łóżka jutro. By oddalić nieprzyjemne myśli, Artur zaczął obserwować życie ulicy. Nie działo się wiele. Dwóch policjantów zdybało prostytutkę. Czekała ją darmowa usługa w bramie albo sterylizacja i obóz pracy. Obok szedł postawny oficer SS, prowadząc na smyczy dorodnego pająka. Zwierzę poruszało niespokojnie odnóżami. Skręcili, znikając w ciemnym zaułku.

Skąd rozległ się stłumiony krzyk.

- Słyszałeś?! - Artur szarpnął szofera za ramię.

- Nic nie słyszałem. Coś się stało?

- Wydawało mi się... Jakby wrzask. Może powinniśmy to sprawdzić.

- Nie ma potrzeby, przed chwilą poszedł tam oficer SS.

- Może jemu coś się przydarzyło?

- Niemożliwe. Pilnował go pająk, wielka bestia, nikt przy zdrowych zmysłach by się nie zbliżył. Niech się pan nie martwi, dwie ulice i już będzie pan pod domem.

Limuzyna gładko zajechała pod apartamentowiec i Artur, wpuszczony przez portiera, wślizgnął się do windy. Kilka sekund głębokiego żalu, że zjadł kolację, i kabina zatrzymała się na właściwym piętrze. Pozbawiony energii, przetoczył się korytarzem, leniwie machając do mężczyzn z ochrony. Otworzył drzwi i włączył światło.

Mimo że pocierał palcami wgłębienie, w pokoju nadal było ciemno. Na dodatek drzwi zasunęły się, odcinając światło padające z korytarza. Artur poczuł jak zwierzęcy, dziki lęk chwyta go za gardło. Pomyślał o pająkach, które mogą się czaić pod sklepieniem. Byleby dostać się do łóżka, tam ukrył lugera. A może lepiej otworzyć drzwi i zawołać ochronę?

Usłyszał kaszlnięcie. Ciche, niezbyt natarczywe. Czy mu się wydawało, czy fotel się obrócił i w mroku zamajaczyła powykrzywiana postać?

- Hej, jest tu kto?

- Nie ma nikogo. I tak musi pozostać, Herr Sosnowski. Proszę spocząć. Mam nadzieję, że znajdzie pan mimo pewnych optycznych niedogodności fotel. Mnie się udało, a jestem daleko mniej sprawny niż pan.

- Czy my się znamy? - Artur szedł, wyciągając ręce przed siebie.

- Niestety, nie mieliśmy tej przyjemności. A wielka szkoda, bo, jak wnioskuję, jest pan nieprzeciętnie utalentowanym człowiekiem. Ja również. Gdyby czasy były inne, dostałbym literackiego Nobla. Niech pan żałuje, że nie czytał moich pierwszych prac, porywająca lektura. Ale nadeszła wojna i każdy musi, jak potrafi, służyć krajowi. Jestem doktor Paul Joseph Goebbels, do usług. Pana się nie musi przedstawiać. Pana zna każdy w Germanii.

- Ujął mnie pan pochlebstwem. Sprawnym, ale obaj wiemy, że na wyrost, bo jest dokładnie odwrotnie, to pana twarz ludzie znają z telewizji.

- Znają twarz Führera, ja jestem tylko skromnym reżyserem. I scenarzystą. Właśnie, wiedział pan, że to ja namówiłem Adolfa Hitlera na przydomek Führer? Wtedy strzelałem na ślepo, opierając się na znajomości natury ludzkiej. Wybornie trafiłem, ale nieco ryzykowałem. Gdybym tak mógł znać przyszłość... Ech, marzenie. Ale czy tylko marzenie, Herr Sosnowski?

- Zależy, ile kto jest gotowy wydać na ten cel.

- Coraz bardziej mi się pan podoba. Lubię ludzi, dla których wszystko jest kwestią pieniędzy. Dla mnie wszystko jest kwestią posiadania odpowiedniej informacji. Obróbki, manipulowania nią, kształtowania w dowolny sposób. Uwielbiam nurzać się w jej strumieniu jak pływak kołysany falami. Tylko że w ostatecznym rozrachunku to ja nadaję kształt nurtowi rzeki. Czuję się jak półbóg, bo mam dostęp do informacji z przeszłości i z teraźniejszości. Ale przyszłość... Przyszłość to zawsze zagadka. Przyznaję, często trafnie rozwiązuję to równanie, ale o ileż potężniejszy byłbym, gdybym potrafił zaczerpnąć z przyszłości? Czy zostałbym wtedy bogiem, Herr Sosnowski?

- Filozofia nie jest moją mocną stroną. Podać numer konta?

*

Artur przebrawszy się w regulaminowy kombinezon, wyszedł z apartamentu. Skierował się pewnym krokiem do windy. Wybrał najniższe z możliwych pięter, gdzie znajdowały się podziemne garaże. Nabrał powietrza do płuc. Nienawidził tego, co za chwilę musiało nastąpić. Drzwi zasunęły się i walcowata kabina zaczęła opadać z

porażającą prędkością. Żołądek powoli podjął swoją wędrówkę do gardła, dźwigając ze sobą cały zjedzony wcześniej pokarm, a nawet chyba wysyłając awangardę na zwiad. Zakręciło mu się w głowie, najwyraźniej krew pomyliła kierunki i ukrwienie mózgu zostawiła sobie na później. Chwilę później kabina zatrzymała się, a on wytoczył się z niej jak na ciężkim kacu.

Tę część podziemnego kompleksu jeszcze budowano. Pod ścianą stały wielkie trójramienne koparki i maszyny z gigantycznym świdrem przymocowanym do szoferki. Gdyby zatrzymał się poziom wyżej, zobaczyłby liczne szeregi równo stojących włochatych samochodów z długimi sumiastymi wąsami. Hitler mimo wojny realizował slogan: „Samochód dla każdego Niemca”.

Jednak Artur nie zatrzymał się wyżej i teraz jego kroki wzbudzały echo wśród pustych ścian. Żaden robotnik nie pracował na tej zmianie, większość została oddelegowana do poszerzania podziemnych fabryk produkujących Pantery i Mausy. Odkąd wojna na Wschodzie nie przynosiła nazistom sukcesów, projekty cywilne były stopniowo odkładane na rzecz militarnych.

- Bardzo punktualnie, Herr Sosnowski. - Zza kolumny wyłonił się wysoki oficer SS w pełnej zbroi.

Artur wyjął lugera.

- Jakże mógłbym się spóźnić na ulubione zajęcia? - odparł.

- Może pan schować broń. Nie będzie dzisiaj potrzebna.

Od kilku miesięcy spotykali się tu z pewną regularnością, by Polak mógł poćwiczyć strzelanie. Grube ściany podziemi skutecznie tłumiły hałas i odgłosy wystrzałów nie przedostawały się na wyższe poziomy. Nikt im też nie przeszkadzał, ludzie obawiali się opustoszałych kompleksów. Ze względu na mutantów. Ze względu na

pająki. Ze względu na gestapo, które czasami wykonywało tam egzekucje.

- To co będziemy dzisiaj robić?

- Ćwiczyć się w posługiwaniu tym. - Weiner uniósł rękę, którą dotąd wciąż trzymał za kolumną. Artur zobaczył długi kij. Żadnych ozdób, zwieńczenia, znaków runicznych. Idealnie gładka błyszcząca powierzchnia, a gdy Gruppenführer zrobił z furkotem kilka młynków i wymachów, zdawało się, jakby przelewała się wewnątrz niej czysta rtęć.

- Łap - zakomenderował nagle Weiner. Sosnowski złapał kij niezdarnie, omal nie stracił równowagi. Spodziewał się, że laska będzie bardzo ciężka, tymczasem kij wydawał się niezwykle lekki, miało się wrażenie, że zacznie się unosić, jeśli się go wypuści z ręki.

- Materiał lżejszy od powietrza?

- Blisko. Wykorzystaliśmy tę samą technologię, co w naszych latających dyskach.

- Plazma antygrawitacyjna.

- Wolałbym określenie: substancja wykorzystywana między innymi w napędzie antygrawitacyjnym. Ale nie jestem fizykiem. Podoba się panu nowa zabawka?

- Nie jestem pewien, czy rozumiem jej przeznaczenie.

- Może służyć jako podpora podczas długich spacerów.

- Nie wybieram się nigdzie - mruknął Artur, obracając prezent. Fascynowało go, jak ciemniejsza srebrzysta substancja powoli przesuwa się pod lśniącą powierzchnią.

- Teraz nie, ale kto wie, co przyniesie przyszłość? A kostur w ręku pielgrzyma u nikogo jeszcze nie wzbudził podejrzeń. Prawdopodobnie ten, kto pana zatrzyma, popełni ten sam błąd, co pan. Zlekceważy zagrożenie. Nie zobaczy broni.

- Mam już broń. - Artur poklepał się po kombinezonie, gdzie w wewnętrznej kieszeni spoczywał odpowiednio zabezpieczony luger.

- Pan mnie nie słuchał. Przeszukają pana i zabiorą pistolet. Być może sam go pan wyrzuci w krzaki na widok patrolu, żeby tylko uratować życie. Laska wygląda niegroźnie i nikt jej panu nie odbierze.

Artur wykonał wymach na próbę. Nie poszło mu tak dobrze jak Weinerowi.

- Jest zbyt lekki. Wolałbym, żeby swoje ważył. Wtedy uderzenie miałoby odpowiednią siłę przekonywania.

Przez maskę było słychać, jak jego towarzysz się cicho śmieje.

- Proszę spróbować uderzyć tę beczkę.

Artur podszedł do wskazanego celu. Baryłka wyglądała solidnie.

- To chyba mam zrobić bardzo ostrożnie... - mruknął sceptycznie. - Inaczej kij mi się złamie.

Weiner milczał wyczekująco. Artur wziął zamach i uderzył szerokim łukiem. Z chwilą gdy krawędź kija zetknęła się z celem, beczkę otoczyły błyskawice wyładowań. Pękła z głośnym sykiem, brudny płyn rozlał się u stóp Artura. Sosnowski odskoczył z przekleństwem, rozmasowując nagle zdrętwiałą i zimną rękę.

- Są tylko trzy takie egzemplarze na świecie. Nie podjęto decyzji o seryjnej produkcji. Zbyt kosztowne. Na froncie nie sprawdzają się tak dobrze jak szybkostrzelny karabin. Poza tym, do zadania ciosu korzystają z energii życiowej właściciela.

- Mógł mnie pan uprzedzić. - Artur wciąż przyglądał się nieufnie swojemu ramieniu. Gdy uderzył w beczkę, miał wrażenie, że na moment stanęło mu serce i ciepło z jego ciała zostało wyssane ku dłoni z kijem.

- Nic panu nie będzie. Musiał pan zobaczyć, co potrafi ta zabawka. Resztę ćwiczeń niech pan przeprowadza jednak w wolnym czasie z kijem od miotły. Jak mówiłem, na froncie przydatność tej zabawki byłaby niewielka, a substancja, która krąży wewnątrz, jest wielekroć droższa od złota i wolimy ją wykorzystywać do silników latających dysków. Dla pana celów nada się jednak znakomicie. Atak z zaskoczenia, na bliską odległość, niezbyt częsta konieczność użycia, więc broń nie wyczerpie pańskich rezerw życiowych. - Weiner wyliczał na palcach. - Broń idealna.

*

Połowa maja była ciepła tego roku. Taką aurę w Niemczech nazwano by „pogodą Hitlera”, myślał Heydrich, spoglądając przez okno zamku na Hradczanach na dziedziniec. Zdecydował, że wyjdzie na dół i wystawi się na promienie słońca. Potrzebował tego bardzo po ostatniej ciężkiej zimie. Cieszył się z dobrego klimatu. Los znów uśmiechał się do Aryjczyków, czołgi na Wschodzie mogły ruszyć z miejsca, roztopy uniemożliwiłyby ofensywę.

Heydrich do Pragi przybył 27 września 1941 roku i pierwsze, co zrobił, to kazał sobie pokazać przechowywane na zamku regalia królewskie. Gdy mu je przyniesiono na miękkich poduszkach, ku zdumieniu obecnych nie zastanowiwszy się ani chwili, włożył na skronie świętą koronę Przemyślidów. Mimo to nie rozległy się żadne głosy sprzeciwu. Później szemrano, że każdemu, kto dokona takiego świętokradztwa, pisana jest śmierć w ciągu roku. Jednak Reinhard Heydrich pokazał tym gestem, że jest samodzielnym władcą Czech i Moraw. Wprowadził rządy niewyobrażalnego terroru i żeby pokazać, jak bardzo się czuje bezpieczny, podróżował po stolicy swego niewielkiego

królestwa odkrytym samochodem bez eskorty. Bo Reinhard Heydrich nie wierzył w przepowiednie, tylko w empirycznie sprawdzalne fakty i dotąd świetnie na tym wychodził. W ciągu kilku miesięcy zniszczył czeski ruch oporu i cieszył się doskonałym zdrowiem.

Heydricha panicznie się w Pradze bano, ale i się z niego śmiano. Zwłaszcza z jego ambicji lotniczych. Podstarzały już oficer zrobił na początku wojny licencję pilota i uparł się, by osobiście uczestniczyć w akcjach bojowych ku głębokiemu zmartwieniu szefa Luftwaffe Göringa i Hitlera, który nie chciał stracić najskuteczniejszego człowieka. Bo lotnikiem najniebezpieczniejszy człowiek Rzeszy był raczej kiepskim. Pierwsza kampania w Norwegii wymusiła na siłach powietrznych przydzielenie BF109e Heydricha specjalnej eskorty myśliwców, która zamiast zwalczać strategiczne cele, osłaniała za wszelką cenę brawurowego Obergruppenführera. Mimo szaleńczych niekiedy starań pozostałych niemieckich pilotów, Heydrich nie wyniósł z tej kampanii żadnego zestrzelenia wroga. Zakończył ją niezbyt fortunnie, rozbijając samolot podczas startu, został wówczas ranny "w służbie ojczyzny", jak mawiał. Te niefortunne początki nie zniechęciły ambitnego pilota. Mimo oficjalnego zakazu latania udzielonego przez Himmlera, powrócił do latania po ataku na ZSRR. Tym razem przydzielono mu liczniejszą eskortę z rozkazami skuteczniejszego naganiania ewentualnych samolotów radzieckich pod celownik. Göring obgryzał paznokcie ze zdenerwowania i zażywał wtedy wyjątkowo duże porcje morfiny. No bo jeżeliby Heydrich przypadkiem zginął, czyja to będzie wina, jak nie szefa Luftwaffe? Oczywiście mimo eskorty i przewagi w sprzęcie, niedoświadczony i zadufany pilot został wkrótce zestrzelony i zmuszony do lądowania na pasie ziemi niczyjej, skąd ledwo wrócił za niemieckie linie. Mimo dalszego braku zestrzeleń, przyznano mu naprędce Krzyż Żelazny i oferowano Protektorat Czech i

Moraw jako pilniejsze zadanie, z obietnicą wezwania ponownie do sterów myśliwca, gdy ojczyzna będzie zagrożona. Heydrich odtąd wyjątkowo pilnie śledził wiadomości ze Wschodu, ale na każde jego zapytanie powracała depesza z Berlina: „Jeszcze nie teraz. Jest dobrze. Radzimy sobie jakoś”. Podobno nawet Goebbels osobiście przekonał Heydricha, że to on jest tajemną lotniczą Wunderwaffe, o której minister propagandy wspominał w przemówieniach.

*

Reinhard Heydrich usiadł na ławce i wystawił twarz na słońce. Tutaj niebo przybrało błękitny odcień i nie było zasnute ciągle ciemnymi lub czerwonymi chmurami jak nad Nowym Berlinem. Nagle jednak otworzył oczy. Coś go zaniepokoiło. Przez chwilę szukał w pamięci ewentualnego nieokreślonego hałasu. Rozglądając się uważnie, doszedł do wniosku, że przebudziła go z leniwej drzemki nienaturalna cisza. Obejrzał się na strażników na murach. Zdawali się spać, oparci o karabiny. Nawet mucha brzęczeniem nie wzbudziła nieruchomego gorącego powietrza.

Załopotały skrzydła wielu kruków. Zaczęły się zlatywać nad dziedziniec, tworząc na środku gęstniejący wir. Heydrich powstał ostrożnie, ściskając w dłoni rękojeść miecza. Pierścień na jego ręce zaczął błyszczeć, wprawiona weń trupia czaszka srebrzyła się niczym gwiazda. Kruki fruwały tak blisko, że uderzały o siebie skrzydłami. Skoncentrowany ptasi wir, który męczył oczy. Heydrich mrugnął. Wówczas zobaczył w miejscu ptaków mężczyznę w czarnym płaszczu, podnoszącego się z przyklęku.

Obergruppenführer natychmiast wyciągnął przed siebie jedną rękę, materializując świetlistą półsferę. Drugą z

mieczem odwiódł do tyłu, gotową do ciosu. Z klingi kapał jad czarnej wdowy.

- Batholomäus von Blankenknohr! - wykrzyknął. - Rozumiem, że przyszedłeś się poddać. Nie umkniesz z Hradczan. Jesteś otoczony przez moich ludzi.

- Cały zamek jest spowity zaklęciem nasennym. Każdy, kto nie ma pierścienia, nie odzyska przytomności, póki tego nie zechcę. Przygotowywałem się do tego czaru kilka dni, wierz mi, że jest solidny.

- Amerykanie cię wynajęli, byś mnie zabił? Wątpię, żebyś był dosyć potężny.

Ciemny mag uśmiechnął się lekko.

- Nie przybyłem ani się poddać, choć przyznaję, że ukrywanie się już mnie zmęczyło, ani też cię zabić, Reinhard. Przybyłem porozmawiać. Co się z nami stało? Sądziłem, że byliśmy przyjaciółmi?

- Nie przyjaźnię się ze zdrajcami. Wsadzam ich do więzienia.

- Kto powiedział, że jestem zdrajcą?

- Ty sam potwierdziłeś swoją winę, uciekając przed gestapo.

- Gdy przybyli rankiem do mojego mieszkania z ostrą bronią? Ty byś nie uciekł, Reinhard? Może byś pomyślał, że ktoś u góry cię bardzo nie lubi i wysłał tych ludzi, by cię dyskretnie sprzątnęli. Naprawdę czekałbyś w więzieniu Gestapo, aż cię skończą torturować i przyjrzą się wreszcie dla odmiany zgromadzonym dowodom, nikłym zapewne?

Heydrich opuścił powoli broń, zgasił półsferę. W jego zmienionych w swastyki oczach pojawiło się zamyślenie.

- Ten cholerny Polak zagrał na twojej żydowskiej obsesji, ale teraz pomyśl racjonalnie. Miałeś jakiekolwiek dowody, poza moją ucieczką?

- Skontaktował się z tobą kupiec mający powiązania z amerykańskim Coordinator of Information.

- Co to jest, do ciężkiej cholery?

- Poprzedniczka właśnie tworzonego OSS, Office of Strategic Services, czyli wywiadu. Głównym obszarem zainteresowania biura jest Wielka Rzesza Niemiecka. To stamtąd rozpuszczane są plotki, jakoby Hitler nabawił się podczas pierwszej wojny kiły i był obecnie chory psychicznie.

- Tak, pamiętam, przyszedł taki natręt. Nie wiem, czego chciał, bełkotał, spławiłem go po pięciu minutach. Zastanów się, Reinhard, skazałeś mnie na podstawie kilku poszlak.

- Dlaczego dopiero teraz się ujawniłeś. - Heydrich ważył każde słowo.

- Jesteś pilnie strzeżony, a ja zostałem ranny i musiałem całą moc wykorzystać na leczenie. Nie miałem siły na efektowne zaklęcia. Poza tym obserwowałem z ukrycia tego Polaczka.

- I co?

- Oto cały Reinhard, jakiego znam. Zawsze gotów podążyć za spiskiem, gdy tylko zwietrzy trop. Tego Sosnowskiego jeszcze nie rozpracowałem. Nie rozumiem go. Ale pilnujący go nasz człowiek...

- Weiner.

- Ma dostęp do systemu podsłuchów i przekazuje dalej tylko te nagrania, które chce. Obstawił wszystkie urządzenia zaufanymi ludźmi. Ma rozliczne powiązania. Warto by go sprawdzić.

- Centrala nie ufa mu do końca. Podjęto próbę wymiany, ale Polak się nie zgodził. To delikatne sprawy, nie chcemy brutalnie ingerować w mechanizm, który działa.

- Sprawdźcie go ładniej. A potem... Liczę na moją rehabilitację.

- Dobrze zatem. Natychmiast wyślę depeszę do kwatery głównej Hitlera na dalekiej Północy. Najszybciej, jak to będzie możliwe, udam się do Berlina.

- Jesteśmy zatem w kontakcie. - Ciemny mag po raz pierwszy uśmiechnął się swobodnie. - Sojusznicy?

- Tylko jeżeli mnie nie okłamałeś.

- Możesz być tego pewien. - Mężczyzna zawinął się płaszczem i natychmiast zamienił w wir kruków, które, krocząc głośno, rozleciały się na wszystkie strony świata. Hałas ten obudził wartowników, którzy rozglądali się przez chwilę niespokojnie, jakby jakiś wewnętrzny głos szeptał im, że wydarzyło się coś niewłaściwego. Ale skoro tylko skrzeczało ptactwo, powrócili do spoglądania z blanków na piękną, skąpaną w majowym słońcu Pragę.

*

„Zazdrość” była jedyną restauracją w stolicy, gdzie można zjeść coś dobrego, patrząc sobie przy okazji w oczy, a nie w bezduszne gogle. Nic zatem dziwnego, że gdy Artur zdecydował się zaprosić Annę na obiad, wybrał właśnie otoczenie kryształowych sal i rubinową poświatę emanującą ze ścian.

Dziennikarka włożyła na tę okazję czerwoną lateksową sukienkę i długie rękawiczki. Na twarzy miała bardzo mocny, podkreślający rysy twarzy makijaż, a proste rozpuszczone włosy pokryte lakierem sprawiały wrażenie mokrych.

- Pytałeś, jak wygląda sytuacja w Polsce - powiedziała, podnosząc do ust kawałek soczystego mięsa. - Nie za wesoło. Już od pierwszych dni okupacji wprowadzili

godzinę policyjną. Od 18.30 do piątej rano raczej nie wychodź z domu. Wszyscy mężczyźni, poza dziećmi i starcami, podlegają obowiązkowi meldunkowemu i każdy obywatel musi rejestrować swoje pojazdy. Zbiory z muzeów wywieziono do Niemiec. Ołtarz Wita Stwosza jest teraz pokazywany w Norymberdze jako dowód oddziaływania niemieckiej kultury na barbarzyńskim Wschodzie.

Przestała jeść, oburzenie odebrało jej apetyt. Teraz deklamowała z pasją słowa Hitlera:

- "Zadaniem administracji nie jest uczynienie z Polski wzorowej prowincji ani też wzorowego państwa opartego na niemieckim porządku, ani gospodarcze czy też finansowe uzdrowienie kraju. Należy zapobiec, aby inteligencja polska stała się warstwą kierowniczą. W kraju powinna pozostać niska stopa życiowa; stamtąd czerpiemy tylko siłę roboczą...". Tako rzecze Führer wydęła wargi z ironią. - Oczywiście rozkaz jest tajny, ale od czego największy w Europie ruch oporu? W każdej organizacji potrzebny jest kurier, sekretarka, podwykonawcy. Jesteś ciekaw, jak tego dokonano? Zakazano publikowania i sprzedawania książek. Skonfiskowano radioodbiorniki, zastępując je systemem megafonów ulicznych. Naukę w szkołach zawężono do koniecznego minimum: czytania, pisania, liczenia. W kinie możesz zobaczyć głównie niemieckie filmy o treści przesyconej propagandą. Jeżeli ta polityka potrwa kilkanaście lat, Cesarstwo Polskie stanie się państwem głupców manipulowanych przy pomocy zabawek Goebbelsa oddziałujących na proste emocje.

- Inteligencja nie pozwoli...

- Podczas Sonderaktion Krakau aresztowano ponad stu osiemdziesięciu profesorów wyższych uczelni. Nieco później wzięto się do artystów, wywożąc do Oświęcimia grupę spotykającą się w kawiarni „Domu Plastyków”. Zniszczono Drukarnię Uniwersytecką, Ogród Botaniczny, wiele pracowni i laboratoriów. Do licha, Bibliotekę

Jagiellońską zamieniono na dom kultury niemieckiej i kasyno SS! Opowiadam ci o samym Krakowie, ale tak jest w całym cesarstwie! Jak inteligencja ma przetrwać? Ja sama pisuję propagandowe agitki do mojej gazety. Większość z wywiadów i reportaży, które robię, nigdy się nie ukaże.

- To czemu je robisz?

- Sztuka dla sztuki? - wykrzywiła wargi. - Prywatnie liczę wciąż na odwilż. Na to, że coś się zmieni. Wówczas powstanie dokument. Świadectwo epoki.

- Nic się nie zmieniło, nawet kiedy przeniesiono stolicę i proklamowano cesarstwo?

- A co się miało zmienić? Regent Szeleszczycki jest słaby i zależny od Germanii. Poza tym boi się wpływów inteligencji tak samo jak naziści. Formalnie oczywiście panuje retoryka przyjaźni i współpracy pomiędzy narodami. Dominuje w gazetach propaganda lepszego rasowo przyjaciela, który pomaga Polsce na drodze ku doskonałości, przy uwzględnieniu właściwej ludom Wschodu biologicznej roli na drabinie ewolucyjnej. Część ludzi w to wierzy, zwłaszcza w małych miejscowościach, gdzie naziści stawiają kontenery z wódką. Obiecują w przyszłości alkohol niemal za darmo, dostępny jak powietrze.

- Dziwne, sądziłem, że według oficjalnej ideologii alkohol powinien być zakazany.

- W Niemczech, ale nie w Polsce, na Boga! Ich naukowcy wierzą, że uzależnia i degeneruje społecznie, nadto uzależnienie przechodzi stopniowo do DNA. Wierzą, że po kilku pokoleniach intensywnego upijania otrzymają naród zbydlęcony i zidiociały, łatwy w rządzeniu. Poza tym stanie się żywym dowodem na słuszność nazistowskiej ideologii o podludziach mieszkających na Wschodzie. Ironiczne, prawda? - Pierwszy raz się uśmiechnęła, samymi ustami. - Chora, szalona teoria po kilkudziesięciu latach okaże się prawdziwa.

- Zasada samospełniającego się proroctwa.

- Zwłaszcza jeżeli włoży się wysiłek, żeby się spełniło. Ale dla nazistów potwierdzenie ideologii jest sprawą najważniejszą. Nieistotne, ile pieniędzy wydadzą albo ludzi zginie, oni muszą mieć na końcu rację. Porozmawiajmy o czymś innym. - Właśnie wniesiono deser. Najwyraźniej Anna przy słodkim wolała nie poruszać gorzkich tematów.

- Jak sobie zatem radzisz w Berlinie?

Zanurzyła łyżeczkę w pucharze. Posmakowała z lubością lodów.

- Waniliowe. Mmm... pycha - przełknęła. - A jak może mi się żyć? Najpierw się maluję przed lustrem, potem nakładam cholerną maskę z gumy, bez której nie wolno mi wyjść z domu. Wykonuję pracę, która nie ma sensu. Duszę się w tym mieście. Pragnę powietrza. Nienawidzę tego przeklętego kombinezonu. Chcę choćby na chwilę od niego odpocząć.

- Poza miastem nie trzeba go nosić. Moglibyśmy razem gdzieś wyjechać.

- Myślisz? Wiesz, że to jest doskonały pomysł? Nad jakieś jezioro, gdzie mogłabym zmyć z siebie brud Nowego Berlina i poczuć się naprawdę wolna.

- Postaram się wszystko zorganizować. - Artur nabrał z rozmachem wielką porcję deseru. Skrzywił się, gdy lód podrażnił boleśnie podniebienie i poparzył mrozem język. - Obojgu nam przyda się urlop.

*

Łącznościowcy z kwatery głównej Hitlera na dalekiej Północy ubrani byli w tak grube futra, że gdyby wyszli na zewnątrz, ktoś mógłby ich z powodzeniem wziąć za Yeti. Każdy z nich, poza pulpitem, na którym ugniatali i łączyli ze sobą w zrozumiałych tylko dla nich konfiguracjach błotne

breje z danymi, miał przed sobą kilka różnej wielkości szyb informacyjnych, na których wyświetlały się wiadomości. Mało tego, z pulpitu biegły trzy sfatygowane przewody przypominające gałęzie drzewa, z którego próbuje odpaść powoli kora. Ich końce wczepiały się w skronie łącznościowców, bezpośrednio łączyły z tkankami nerwowymi, bombardując mózg strumieniami informacji.

Nic dziwnego, że po roku takiej pracy tracą zmysły, pomyślał stojący na wysoko umieszczonym mostku postawny mężczyzna z czarną opaską na oku. Wyglądał przerażająco. Zamiast jednej ręki miał czarną protezę, druga dłoń posiadała tylko trzy palce, wspierał się też na lasce, gdyż coś nie tak było z jego kolanem. Weteran wojny w Afryce stał się jednym z najbardziej zaufanych ludzi Hitlera i towarzyszył wodzowi dwadzieścia cztery godziny na dobę w jego ukrytej północnej kwaterze. Jeden z łącznościowców odwrócił głowę, ukazując czarne gogle zasłaniające pół twarzy.

- Tajna depesza od Obergruppenführera SS Reinharda Heydricha z Pragi. Tryb pilny! Tylko do wiadomości Führera.

Stojący na mostku mężczyzna poruszył się niespokojnie. Czegóż chciał mroczny anioł z Czech? Musiało to być coś ważnego, Heydrich nie zwykł zawracać głowy byle czym. Zrobił dwa kroki w lewo i znalazł się na niewielkiej platformie. Oparł się o jej poręcz i powiedział:

- Zaniosę ją osobiście.

Platforma ze zgrzytem zwiozła go na dół. Łącznościowiec usłużnie podszedł i wyciągnął rękę z wydrukiem.

- Oczywiście, panie hrabio.

Utytułowany podniósł ciężko swoją sprawną rękę i chwycił depeszę w ocalałe palce.

- Widzicie? Trzy wystarczają w zupełności. - Uśmiechnął się do speszonego jego kalectwem żołnierza. - Zaprawdę,

nie pamiętam, co robiłem z wszystkimi dziesięcioma, kiedy jeszcze je miałem.

*

Wrócił do mieszkania późno, szczęśliwy. Co prawda Anna nadal pozwoliła się odprowadzić tylko do drzwi apartamentu, ale zgoda na wycieczkę za miasto brzmiała, jakby Artur właśnie otrzymał klucze do serca pięknej Polki. Obiad był bardzo udany. Nie wydarzył się główny możliwy kłopot, spotkanie Natalie, która często bywała w „Zazdrości", co mogłoby doprowadzić do krępującej sytuacji. Cały wieczór okazał się wręcz znakomity, upłynął na żartach i flirtach. Artur wrócił zmęczony, ledwie wziął kąpiel i natarł się regenerantami z wanny, a już zwalił się na łóżko i natychmiast zasnął.

Obudziło go ostre światło latarki prosto w oczy. Artur przetarł oczy. Zobaczył masywne sylwetki trzymające wycelowane w niego karabiny. Pierwsze skojarzenie, jakie mu przyszło do głowy, to pluton egzekucyjny. Promień celownika ześlizgnął się z jego twarzy. W bladej poświacie zobaczył wygrawerowane na pancerzach żołnierzy orły trzymające w szponach swastykę.

# V

Niewielki helikopter, smukła ważka, sunął tuż nad powierzchnią drzew. Przed nimi na wzgórzu bieliły się dwie wieże zamku, przykryte dzwonowatymi kopułami.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał Artur pilota.

- Lądujemy w fortecy Wewelsburg, nieopodal miejscowości Paderborn w Westfalii.

- Co mnie tam czeka?

- Moim zadaniem jest tylko tam pana odtransportować - uciął mężczyzna. Nie minęło kilka minut i wzniecając tumany kurzu, posadził ważkę na dziedzińcu.

- Ma pan wejść przez główną bramę. Polecono mi czekać w maszynie.

Artur rzucił ostatnie spojrzenie pilotowi, po czym schylając odruchowo głowę, pod jeszcze kręcącym się śmigłem, ruszył szybkim krokiem w stronę masywnej budowli.

Ledwie dotarł do bramy, potężne odrzwia uchyliły się przed nim. Wewnątrz czekało trzech ludzi. Dwóch z nich ubranych było w pełne, ciężkie zbroje rycerskie, twarze zakrywały im przyłbice z dziobem upodobniającym ich do wielkich ptaków. Do pasa przytroczyli miecze, ale z drugiej strony znalazła miejsce kabura z pistoletem. Trzeci nosił biały habit, jakby był księdzem, z wyszytymi czarnymi krzyżami, których ramiona miały kształt litery T. Jako jedyny odsłaniał oblicze. Natura poskąpiła mu włosów, z przodu świecił wielką, sięgającą czubka głowy łysiną. Na jego palcu zasrebrzył się pierścień z trupią czaszką.

- Herr Sosnowski, proszę za mną - powiedział.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył przodem, za nim odruchowo Artur, a dwóch strażników ustawiło się z tyłu. Przyjrzał się ich pancerzom. Na piersi mieli wygrawerowane orły trzymające w szponach dębowy wieniec ze swastyką.

Przeszli przez szereg komnat. Artur, na początku zalękniony, patrzył głównie pod stopy i dlatego najpierw w oczy rzuciły mu się mozaiki zdobiące posadzki. Układały się we wzór czarnego koła, z którego emanowały mroczne błyskawice. Gdy za którymś razem podniósł głowę, ten sam znak zobaczył zawieszony nad sklepieniem.

- Zamek jest w trakcie przebudowy. Nie wszystko wygląda tu tak, jak powinno. Czarne słońce wciąż jest uśpione, ale wkrótce urządzenia dostarczające energii będą gotowe - wyjaśnił mężczyzna w bieli.

Wreszcie doszli do większej sali. Kolejna para wartowników w zbrojach pilnowała drzwi. Pod ścianami stały dębowe ławy i stoły z wyrzeźbionymi nazistowskimi znakami.

- Proszę tutaj spocząć. Zaraz zostanie pan wezwany - rzekł przewodnik i zniknął za drzwiami.

Artur usiadł, a jego eskorta wyprężyła się po obu stronach ławy. Zastanowił się chwilę. Nie wyglądało to źle. Z takimi honorami nie prowadzą go chyba do lochów. O ile nie stracił poczucia kierunku, znajdował się gdzieś w okolicy północnej wieży. A gdy zerknął przez szczelinę w drzwiach, dostrzegając przechodzącego tamtędy mężczyznę w białym habicie, zobaczył stopnie prowadzące w górę.

Spotka się z kimś ważnym.

*

Mężczyzna w białym habicie znów pojawił się w drzwiach.

- Jest pan proszony - powiedział krótko. A gdy Artur wstał i podszedł, dodał:

- Proszę udać się schodami i wejść na sam szczyt.

Sosnowski ruszył na górę. Światła dostarczały pochodnie na ścianach. W epoce elektryczności było to co najmniej dziwne. Ktoś, kto tu mieszkał, musiał być bardzo przywiązany do tradycji. Tak bardzo, że lekceważył względy bezpieczeństwa, pomyślał nagle Artur. Bo po co komu w czasach szybkostrzelnej broni strażnicy uzbrojeni w miecze? Dlaczego oficerowie SS noszą przytroczone do pasa klingi pokryte jadem pająków? Jeżeli to tylko broń paradna, po co w takim razie neurotoksyny?

Musiał zwolnić tempo, serce biło mu mocno, słyszał je niczym uderzenia dzwonu. Ktoś, kto rezydował na górze, chyba rzadko opuszczał swoją pracownię. Albo znał inny sposób niż te schody. Musiały być przeznaczone tylko dla petentów, by pozbawić ich energii, impetu w czasie dyskusji, pokazać, gdzie ich miejsce.

Dlatego gdy Artur stanął przed rzeźbionymi drzwiami, zrobił kilka głębokich wdechów i poprawił ubranie. Potem zapukał.

- Wejść!

Pomieszczenie oświetlały pochodnie, jednak twarz siedzącego za biurkiem mężczyzny ukryta była w cieniu, wydobywana z ciemności tylko odblaskiem tańczących płomieni. Ta gra mroków i ogni sprawiała wrażenie, że twarz rozmówcy nieustannie płonie. Artur, żyjąc tak długo w Rzeszy, nie mógł nie rozpoznać tego oblicza.

- Proszę usiąść, Herr Sosnowski. Jesteś dzisiaj moim gościem. - Reichsführer SS wskazał ręką fotel stojący przed biurkiem.

- Jestem zaszczycony - odparł Artur, usadawiając się na krześle. Zaskoczyła go bezpośrednia forma, przejście na "ty". Nie wiedział, czy świadczy to o „koleżeństwie”, czy pogardzie.

Himmler przewertował leżące na blacie papiery.

- Przedstawiasz się jako zdolny okultysta. Twoje usługi kosztują fortunę.

- Jeżeli ktoś uważa, że nie jestem wart tych pieniędzy, niech nie płaci.

- Wysoką rangę sobie nadałeś, człowieku z przyszłości. Wiesz w ogóle, kim jesteś i jaką naturę posiada zesłana ci moc? Ja to wiem. Ja widzę cię jako szczelinę między światami i czasami. Szczelinę, przez którą przepływa do nas twój świat. Wokół ciebie zmienia się wszystko, cała rzeczywistość, włączając nawet sposób myślenia i wysławiania się ludzi. Słowo „wokół” jest tutaj kluczowe, bowiem ty jesteś ośrodkiem zmian, które rozchodzą się jak fale na wodzie, gdy ktoś wrzuci kamień. Ktoś inny by powiedział, że imponując wszystkim swoją wiedzą, ustalasz modę na wysławianie się w określony sposób i inni po prostu podchwytują twoje powiedzonka. Ktoś inny powiedziałby, że pomagasz nam stworzyć wynalazki, które następnie sprzedajemy naszym przyjaciołom, bądź pozwalamy, by technologie zostały wykradzione przez wrogów. Ale ja widzę, jak przez dziurę, którą jesteś, w istocie przepływa rzeka informacji, nieodwołalnie zamieniając teraźniejszość w przyszłość. Pytanie tylko, czy te zmiany wyjdą nam na dobre? Dołożyliśmy starań i wszelkich środków, tworząc systemy zabezpieczeń, byle tylko się upewnić, że tak. Co ty możesz nam jeszcze oferować, czego byśmy już nie otrzymali, bezwolna szczelino?

- Jeżeli nic, powinienem już pójść. - Artur zaczął się podnosić z krzesła.

- Siadaj! - ryk rozmówcy usadził go na krześle. - Nie pozwoliłem ci odejść.

Artur posłusznie usiadł i w milczeniu czekał.

- Przyszłość, którą znasz, już nie istnieje. Zmieniłeś ją nieodwołalnie, gdy zbombardowano sarinem i fosgenem Londyn, gdy zbudowaliśmy wieżowce sięgające chmur i latające dyski. Na czym polegają teraz twoje usługi? - W głosie Himmlera czaiła się ciekawość.

- Przekształcenia waszego świata odbywają się powoli zwrócił uwagę Artur. - To prawda, przyspieszyłem biegi historii, która nabrała nagle szaleńczego tempa, jakby próbując dogonić mój świat.

- Potencjały temporalne zawsze dążą do homeostazy - wtrącił ze zrozumieniem Niemiec. - Tylko dlatego nasi naukowcy dokonują odkryć w takim szaleńczym tempie, prototypy po pierwszych testach są natychmiast wdrażane do seryjnej produkcji.

- Jednak przez długi czas dotyczyło to tylko obszaru III Rzeszy,

- Obecnie już całego świata.

- Wydawałoby się, że rzeczywiście jestem nieprzydatny. Lecz wydarzenia, nawet jeśli biegną szybciej, często pozostają takie same lub chociaż podobne. Niektóre losy ludzkie muszą biec określonym torem, bo mamy zapisaną śmierć w genach na zawał albo raka. Powinniście to już wiedzieć, to dzięki mnie odkryliście DNA. - Reichsführer skinął głową. Artur kontynuował: - Ludzie nie zmieniają stylu życia, nawyków czy charakteru. Zdrajca pozostaje zdrajcą. Jak okazało się w sprawie Batholomäusa von Blankenknohra, prawda?

- Winniśmy tutaj panu wdzięczność w tej kwestii - przyznał niechętnie Himmler. - Muszę przyznać, że właśnie to wydarzenie sprawiło, że zdecydowałem się z panem spotkać. I rekomendacja Heydricha, który bardzo żałuje, że

nie mógł być na tym spotkaniu, ale zatrzymują go ważne obowiązki w Pradze.

- Rozumiem. Proszę przekazać serdeczne pozdrowienia Obergruppenführerowi.

- Nie omieszkam. Zainteresowało mnie ostatecznie, że tak racjonalnie myślący człowiek, jak ten ćpun Göring, widział sens ze spotkania z tobą. Czyżby morfina wyjadła mu do reszty mózg?

- Dane moich klientów są tajne.

- Nie dla mnie, nie bądź dzieckiem, ja wiem, jaki kolor ma mocz o poranku każdego obywatela Rzeszy, wiem, kiedy która kobieta owuluje, a kiedy ma okres, wiem wszystko. Skoro sobie to już wyjaśniliśmy, rozważmy jeszcze, dlaczego taki Goebbels, niezwykle inteligentny facet, również wpłacił na szwajcarskie konto niezłą sumę pieniędzy. Proszę się nie obawiać. Nie interesują mnie szczegóły waszych spotkań. Interesują mnie twoje zdolności.

- Podobno wie pan wszystko, Herr Reichsführer.

W oczach mężczyzny zabłysły ogniki tak silne, że nie mogły to chyba być odblaski pochodni.

- Umysły istot z tego świata są dla mnie czytelne jak stronice książek. Ale ty nie pochodzisz z tego świata i to mnie niepokoi. Jesteś równaniem, z którego wychodzi wynik nieoznaczony, rozwiązaniem może okazać się każda liczba rzeczywista. Wiem i potrafię więcej, niż jest sobie w stanie wyobrazić jakikolwiek śmiertelnik. Ale nie, jednak nie wszystko.

- Dlatego potrzebuje pan moich usług.

- Powiedzmy, że ciekawy jestem, co dostanę za moje pieniądze. Czy to będzie przepowiednia?

- To nie będzie przepowiednia. Powiedzmy, że ostrzeżenie życzliwego.

- Dobrze więc. Zanim zaczniesz mówić, ja powiem pierwszy. Gdy pojawiłeś się na tej ziemi i dostaliśmy pierwszą depeszę od Weinera z Unterirdische Festung, pierwszy uznałem, że twoja historia jest prawdą. Wyczułem temporalną aurę, która powoli się wokół ciebie rozwiewała, jak u kogoś, kto przeszedł właśnie przez procedurę skoku czasowego. Ale nadto przekonały mnie luki w twojej opowieści. Tego nie wiesz, tamtego nie pamiętasz. Czasem podajesz fakty nieistotne, kręcisz bezradnie głową, gdy pytamy o coś ważnego. Dla innych był to sygnał alarmowy, niekonsekwencja i niespójność oznaczały dla nich kłamstwo, blef, oszustwo. Ale ja znam właściwości pamięci lepiej niż młodzi oficerowie, co przeżyli ledwie trzydzieści wiosen. Jest moją starą towarzyszką i wiem, że tak właśnie funkcjonuje. Jest nie zawsze logiczna, natomiast często kapryśna i uwielbia wciąż zaskakiwać. Taka właśnie jest nasza pamięć, i dlatego ci uwierzyłem, ratując wielokrotnie życie.

- Dlaczego mi pan to wszystko opowiada? Przecież i tak kupił pan już moje usługi?

- Bo nie lubię mieć długów wdzięczności, nawet takich, za które zapłaciłem złotem.

*

W Wewelsburgu poczęstowano go kolacją, którą zjadł we własnej komnacie w jednej z wież. Jako że rozmowa z Himmlerem się przeciągnęła, było już za późno na lot powrotny - dlatego podróż zaplanowano na południe dnia następnego. Artur tej nocy nie wypoczął. Przewracał się z boku na bok, a gdy tylko udawało mu się zasnąć, budził się przeświadczony, że słyszy potępieńcze jęki i szaleńcze chichoty. Odnosił wrażenie, że po skrzypiących schodach idzie po niego coś wielkiego. Zaczynał wierzyć, że

zamczysko jest nawiedzone. A nawet w tych rzadkich chwilach, gdy dobudzał się w pełni i zaczynał myśleć racjonalnie, chwytała go za serce trwoga, że gospodarz zmieni zdanie i każde go uwięzić.

Następnego dnia przyniesiono śniadanie, następnie zaś przepraszając za drobne opóźnienia w odlocie, znów obiad. Artur zaczął się na serio obawiać, że nigdy nie opuści wieży, ale wówczas właśnie poproszono go, żeby zszedł na lądowisko, gdzie czekał już gotowy do lotu helikopter.

Pogoda okazała się nie najlepsza. Lot minął w milczeniu, a Artur tylko modlił się cicho o życie, gdy potężniejsze podmuchy uderzały w bok maszyny. Do Germanii dotarli dopiero wieczorem i Sosnowski znalazł się w swoim apartamencie, totalnie skonany. Teraz dopiero wychodziło z niego wszystkimi porami napięcie po rozmowie z najpotężniejszym człowiekiem Rzeszy.

Zanim jednak usnął, świdrujący dźwięk telefonu przeszył powietrze. Artur z trudem wstał i odnalazł w ścianie słuchawki. Lepkie i miękkie, wydawały się stworzone z rozciągliwej brei. Podniósł je z niesmakiem do twarzy, przekonany, że po rozmowie zostanie na ustach błoto.

- Halo?

- Artur? Cały dzień do ciebie dzwonię. Gdzie byłeś? - Usłyszał w słuchawce zdenerwowany głos Anny.

- Długa historia...

- W porządku... Słyszałeś, co się wydarzyło? Musimy się koniecznie spotkać! Zajrzysz do mnie jutro przed obiadem?

- Brzmi znakomicie.

- Super. To jesteśmy umówieni.

*

Apartament dziennikarki nie różnił się od zajmowanego przez Artura, może poza tym, że był nieco mniejszy i substancje regenerujące w wannie podlegały limitom. Na środku ustawiono wielkie łóżko, na którym dziewczyna leżała na brzuchu, ubrana tylko w obcisłe szorty i podkoszulek. Na pytanie, czemu nie śpi w niecce, odparła:

- Nie mogłam tam usnąć. Ambasada załatwiła mi klasyczny model.

Majtając nogami, przeglądała jakieś mapy.

- Co tak pilnego się wydarzyło... - zaczął.

- Nie mów, że nic nie wiesz. Był zamach na Heydricha w Pradze. Akurat opuszczał Hradczany, jadąc odkrytym samochodem, gdy ktoś wystrzelił magazynek w kierunku kierowcy, a następnie rzucono jakąś nową bombę protonową. Został potężnie raniony, wszyscy lekarze są zgodni, że śmiertelnie. Obecnie kona w szpitalu. DNA mutuje z przeraźliwą prędkością, bez żadnego porządku i planu, niektóre komórki po prostu się rozpadają. Podobno Heydrich nie przypomina już człowieka, raczej kawał humanoidalnej galarety wstrząsanej gorączką. Umrze w ciągu kilku dni, nie odzyskawszy świadomości.

W całych Niemczech poruszenie. Nie ma mowy, żebym mogła z tobą teraz gdzieś pojechać. Redakcja przysłała depeszę, że oczekują cyklu specjalnych reportaży. Musimy nieco odłożyć nasz wyjazd.

- Żartujesz... Wiązałem z nim wielkie nadzieje... na to, że się lepiej poznamy.

- Dlatego z niczego nie rezygnujemy, tylko odkładamy. Zobacz, znalazłam już miejsce. Jezioro Horsta w Cesarstwie Polskim.

- Horsta? Nie słyszałem o takim?

- Naziści je tak określili, by ujednolicić nazewnictwo w Europie. Porządek musi być. Wawel zmienili na Krakau

Berg. Mniejsza z tym, skoro nigdzie nie jedziemy. - Uśmiechnęła się lekko, muskając końcem ołówka wargi. - Może wykorzystajmy ten czas, byś opowiedział mi wreszcie coś niecoś o sobie.

*

Weiner wszedł do apartamentu Artura, przywitał się, zdjął przyłbicę, dolepił do ściany bryłę błota z danymi i przy pomocy obręczy wyświetlił obraz na szybie. Pojawiła się mapa Azji, okolice Morza Czarnego.

- Przedstawię panu sytuację na froncie, licząc na ewentualne światłe uwagi.

- Światłych uwag nie mam dla was już od dawna.

Niemiec wzruszył ramionami na znak, że wykonuje tylko swój obowiązek.

- Na Wschodzie rozpoczynamy ofensywę „Blau”. Po ciężkiej zimie nasze wojska znów odzyskują inicjatywę. Mrozy nas pokąsały, ale nie zniszczyły. Pytanie tylko, czy szczęście zawsze będzie nam sprzyjać? - westchnął Weiner. - Latem posuwamy się naprzód i zwyciężamy Ruskich przy pomocy lepszego sprzętu i organizacji, ale zimą wycofujemy się, by skrócić linie zaopatrzeniowe. Okropne warunki pogodowe zadają nam większe straty niż radzieckie kule! Przyjrzyjmy się planom sztabu. Chcemy wykonać równoczesne uderzenia, pierwsze w celu zajęcia terenów roponośnych w rejonie Kaukazu, drugie na miasto Stalingrad. - Weiner pogmerał przy obręczy i na mapie pojawiły się dwie strzałki.

- Dlaczego dzielicie siły? Nie brzmi to rozsądnie.

- Musimy koniecznie zdobyć ropę, Herr Sosnowski. Tylko latające dyski używają drogocennej plazmy, ale ich jest niewiele. Cała nasza machina wojenna zależy od benzyny.

Tajemnicą poliszynela jest, że bez świeżych dostaw zbyt długo nie pociągniemy. I odwrotnie, odcięcie od tych terenów ZSRR może zatrzymać machinę wojenną Stalina. Poza tym zdobywając Kaukaz, zbliżamy się do Iranu, gdzie nasze siły nie radzą sobie najlepiej i mamy szanse połączyć się z Rommlem, który zbliża się już do Egiptu. Ogłosilibyśmy powstanie niepodległych krajów arabskich i powstałby jeden wspólny front przeciwko Brytyjczykom na Bliskim Wschodzie. Mogłoby to oznaczać wygranie wojny na tym obszarze działań.

- Dlaczego zatem nie uderzyć tylko na południe? Po co ofensywa w kierunku Stalingradu?

- Proszę obejrzeć dokładnie mapę. Uderzając tylko na Kaukaz, zostawiamy za plecami niemal całą Armię Czerwoną. Jedna udana radziecka ofensywa i będziemy odcięci od naszych tyłów, mając z obu stron morze, a przed sobą góry. Moglibyśmy oczywiście pozostawić wszystkie pozostałe siły na pozycjach obronnych, ale oznaczałoby to tyle, że stracimy inicjatywę na tym odcinku. Nie w taki sposób dotąd wygrywaliśmy. Zyskalibyśmy tyle, że Rosjanie i tak uderzą, tylko że wtedy oni wybiorą miejsce i czas bitew. Nasza ofensywa będzie zmuszała wroga do organizowania wszystkich wolnych sił w wybranym przez nas miejscu. Oczywiście musi to być gdzieś na południu, atak na północnym odcinku nie dałby spodziewanego efektu, z uwagi na rezerwy ludzkie Armii Czerwonej. Innymi słowy, zajęcie i utrzymanie Stalingradu jest konieczne dla bezpieczeństwa armii kaukaskiej.

- Rozumiem, że wszystko idzie świetnie.

- Nie do końca. Idziemy do przodu, ale jakim kosztem? Proszę popatrzyć. - Znów musnął palcami obręcz i na szybie wyświetlił się kolorowy film.

Przedstawiał stado wielkich mamutów szarżujących na niemieckie czołgi typu III. Na grzbietach zwierząt

zamontowano gondole, w których dwóch żołnierzy obsługuje obrotowy miotacz promieni. Jednostki niemieckie ostrzeliwały się, ale niezbyt skutecznie, kule karabinowe tylko rozwścieczały mamuta, zatrzymać go potrafiło tylko bezpośrednie trafienie pociskiem przeciwpancernym. Promienisty ostrzał z gondoli rozrywał blachę wozów pancernych, szarżujący mamut, gdy nagle zderzył się z niewielkim czołgiem, wyrzucił go w powietrze, wpychając wieżę w zaspę. Gąsienice obracały się jeszcze przez chwilę groteskowo, aż litościwie wybuchły pojemniki z paliwem.

- Nowa zabawka Stalina. Wyhodowali mamuty ze szczątków znalezionych na Syberii. Rozmnożono je, a następnie zaprzężono do służby ideałom komunizmu. Nie wiemy, w jaki sposób okiełznali te zwierzęta, czy przy pomocy jakiejś maszyny, czy też wszczepiono im mózg ochotników, jak to miało miejsce w przypadku małp. Ma pan jakieś sugestie, poza fascynacją rzezią niemieckiej dywizji pancernej, jaką teraz widzę w pańskich oczach?

Artur wzruszył bezradnie ramionami.

- W świecie, z którego pochodzę, nie żyły mamuty. Bardzo byśmy chcieli, żeby żyły, ale… niestety.

- Rozumiem. Mimo że Speer, nowy minister uzbrojenia, zwiększa normy produkcyjne, wciąż posiadamy na froncie przestarzałe czołgi. Pięć setek Tygrysów, kilkadziesiąt Królewskich Tygrysów, tyle samo Panter. Mausy dotarły na front dopiero trzy tygodnie temu, a i tak musieliśmy je transportować specjalnymi pociągami. Te kilka Szczurów, pamięta pan te trzypiętrowce z parady, otóż, nie opuściły jeszcze nawet terytorium Polski. Problemy techniczne. Moim zdaniem te gówna są zbyt wolne, mimo zastosowania najnowocześniejszych technologii, żeby w ogóle jechały. A właśnie wyprodukowaliśmy większe cudo, mimo sprzeciwu Speera. Tysiąc pięćset ton, nazwali to Monster i słusznie. To po prostu największe stacjonarne działo z dorobionymi kółkami. Zanim to coś dojedzie na front, wojna się dziesięć

razy zdąży skończyć. Ale Hitler chce mieć wszystko większe i większe niż Rosjanie. A można by się skupić nad szybką i zwrotną Panterą III, która moim zdaniem wygra dla nas najbliższe kampanie, jeżeli tylko nie będziemy marnotrawić sił i surowców na chore projekty. Ale, ale, zagaduję pana. Proszę zobaczyć kolejny film.

Artur ujrzał najpierw szare, posiniałe od odległych chmur niebo. Obraz drgał, jakby rzecz była kręcona z ręki, w pośpiechu. Pojawił się rząd czarnych, opancerzonych sylwetek unoszących się dzięki plecakom odrzutowym. Nagle w obiektywie zaroiło się od dziwacznych latających ludzi. Rozkładając ręce, rozpościerali błonę i szybowali w powietrzu, strzelając z trzymanych w ręku karabinów zakończonymi bagnetami. Niektórzy używali także krótkich sierpów. Dzięki olbrzymiej prędkości, z jaką się przemieszczali, były one skuteczniejszą bronią niż palna. Z karabinu trudno skutecznie wymierzyć w locie, natomiast szybki doskok, machnięcie sierpem i poderżnięcie gardła - i czarny esesman spadał, a czerwonoarmista umykał zwinnie w poszukiwaniu kolejnego celu.

- Niech pan mnie nie pyta, na jakiej zasadzie oni latają - skomentował Weiner. - Też uważam, że te błony mają za małą powierzchnię nośną, żeby utrzymać człowieka. Nie mogą zapewnić ani takiej zwrotności, ani tak zaskakującego przyspieszenia. Nasi naukowcy podejrzewają, że wewnątrz ci ludzie gromadzą superlekki gaz, ale to niezadowalająca odpowiedź.

- Stalin zamienia własnych żołnierzy w takie coś? - Artur przyjrzał się z niedowierzaniem, gdy w zbliżeniu pojawiła się zielona twarz stwora. Niewątpliwie rysy posiadał jeszcze ludzkie, jednak zielona błona i skóra, długie zakrzywione zęby, z których ściekała ślina, upodobniły go do monstrum.

- Co mu zależy, ma ich dużo. - Gruppenführer wzruszył ramionami. - To coś wciąż wydala płyny, zwykle przez usta.

Bardzo dziwny metabolizm, wydaje się, że więcej wydala, niż gromadzi. Jest to możliwe tylko wtedy, gdy wewnątrz organizm posiada bardzo efektywny sposób magazynowania energii, nieznaną biologiczną substancję, której efektem rozpadu jest, poza gigantyczną mocą, również woda w dużych ilościach.

Na ekranie Niemcy zaczęli się ostrzeliwać z karabinów maszynowych, ale zwinnie lawirujące stwory umykały przed kulami i gdy tylko odnalazły lukę w obronie, natychmiast tam pikowały, składając skrzydła z sierpem w wyprostowanej dłoni. Czasami pociski sięgnęły takiego śmiałka i wówczas pędził na spotkanie ziemi, ciągnąc za sobą czerwono-zielony ślad.

Niemcy wreszcie wynaleźli lepszy sposób walki. Na pierwszą linię wystawili miotacze ognia, które wytworzyły płomienną chmurę, a żołnierze za plecami tych obsługujących miotacze strzelali na ślepo. Wcześniejsze celowanie nie miało i tak sensu, lufa karabinu nie nadążała za zwrotnym przeciwnikiem. Nowa taktyka przyniosła efekty, kilku odważnych Rosjan, którzy próbowali się przebić przez płomienie, wypadło z czerwonej chmury i skonało ze straszliwym, wibrującym w uszach krzykiem. Ci, którzy próbowali się trzymać na dystans i ostrzeliwać z zakończonych bagnetami strzelb, strącani byli stopniowo przez maszynowe karabiny esesmanów. Wkrótce stwory rozproszyły się i zniknęły.

- Zaatakują znowu, z zaskoczenia, naziemny obóz, bez możliwości przeciwlotniczej obrony, albo kolumnę ciężarówek z zaopatrzeniem. Zadadzą duże straty wśród ludzi, zniszczą lub spalą towary. I bezpiecznie umkną, gdy zorganizujemy kontruderzenie.

Pogmerał znów przy obręczy. Wyświetlił się nieco rozmazany obraz lasu, wszystko skąpane w ciemnym, zielonym świetle.

- To nie jedyny problem, jaki mamy na Wschodzie, tyle że ten przywędrował znacznie bliżej nas. Proszę wybaczyć jakość nagrania, pochodzi z kamery noktowizyjnej w czołgu typu Tygrys. Polecam spojrzeć tam, między drzewa.

Artur zobaczył najpierw, jak smukłe młode brzózki łamią się i padają na ziemię, zwalane przez wielki, przepychający się mię dzy drzewami humanoidalny kształt. Obcy nosił ciężki pancerz, łagodnie zaokrąglony hełm łączył się płynnie z barkami.

- Jedyne zdjęcia, jakie mamy, jednostki żydowskiej typu golem. Nagranie zostało wysłane przez Tygrysa drogą radiową. Tylko dlatego je w ogóle otrzymaliśmy. Kontakt miał miejsce przy zachodniej granicy Cesarstwa Polskiego. - Gdy wymawiał nazwę Polski, nie mógł się powstrzymać od drwiny. Jednak ton całej wypowiedzi przepełniała powaga i troska.

Golem sunął przez las niczym wielki, spokojny odyniec. Był panem tego terenu i nic nie mogło go zatrzymać. Artur żałował, że jakość nagrania uniemożliwiała przyjrzenie się stworowi dokładniej.

Nagle golem stanął. Na wysokości czoła uformował się przed nim w powietrzu świetlny punkcik, potem zamienił w szeroką wiązkę, która uderzyła gdzieś obok kamery. Ekran pojaśniał i następnie ściemniał.

- To tyle, jeżeli chodzi o tamten kontakt. Latające dyski, które natychmiast wysłaliśmy w rejon przygraniczny, niczego już nie znalazły. Zaczęliśmy jednak szukać, także po lasach, i natrafiliśmy na ślady wędrówki. Powoli, przemieszczając się nocą i w ukryciu, rozproszone, ale nieustępliwe golemy kierują się w kierunku Berlina. I jest ich co najmniej kilkanaście. Spodziewamy się naprawdę dużych kłopotów. Przypominam, nigdy nie udało nam się zniszczyć golema, a jedynie dwa razy uszkodzić na tyle, że odstąpił od ataku i skrył się między drzewami. W obu

wypadkach dysponowaliśmy kilkudziesięcioma czołgami i wsparciem powietrznym.

Weiner potarł ręką brodę w geście zafrasowania.

- Zrobi mi pan herbatę? Jeżeli nie ma pan żadnych uwag, ja w tym czasie wprowadzę dane z kampanii w Wielkiej Brytanii. W rękach oficera pojawiła się następna porcja brei.

*

Przez pustkowie, nad którym wisiała nisko szmaragdowa chemiczna mgła, kroczył potężny mechaniczny stwór. Zmierzch nadciągnął nad pagórki, szeroki promień reflektora jak nóż przecinał mgłę i wyszukiwał drogę. Pancerz pomalowano granatową farbą, na której umieszczono regularnie liczne gwiazdy. Sylwetką przypominał wielką istotę ludzką, zresztą to człowiek kierował tą machiną. Gdy poruszał nogami, gigantyczne odnóża robiły krok, podobnie ramiona mecha podłączono do rąk.

- W ramionach ukryto szybkostrzelne karabiny maszynowe i wyrzutnie rakiet, ziemia-powietrze w lewej, ziemia-ziemia w prawej. Niektóre, nowsze modele szczycą się zamontowanym miotaczem ognia. Jeżeli chodzi o nogi mecha, potrafią jak prasa hydrauliczna spłaszczyć samochód.

Mech odwrócił nagle prostokątną głowę. Zastygł w tej pozie, następnie obrócił się bardzo szybko i uniósł stalowe ramiona. Na ich końcach wykwitły płomienie i rozległ się ogłuszający terkot.

- Wykrył gniazdo ckm-ów - wyjaśnił Weiner znudzonym głosem. Widać było, że oglądał ten film wiele razy. - Jest

dobry. Nasłuch radiowy, podczerwień, czujniki ruchu, termolokacja.

Za pojazdem pojawiła się druga i trzecia sylwetka, widoczna dzięki jasnym wykwitom strzelających ramion. Kamera zrobiła zwrot, pokazując groteskowo maleńkie niemieckie czołgi ruszające do kontrnatarcia. Jeden już płonął, trafiony rakietą. Nad zagonami pancernymi śmignęły latające dyski, siejąc zabójczym promieniem.

- Mechy wylądowały na terytorium Wielkiej Brytanii ledwie kilkanaście dni temu, a już zmieniają oblicze tej wojny. Zabawki Roosevelta. Może nie trzeba było wypowiadać wojny po Pearl Harbor. Ale Hitler powiedział: "Wielkie mocarstwo nie daje sobie wypowiadać wojny, ono samo ją wypowiada", czy coś w tym rodzaju. Wątpię, by Stany zaangażowały się tylko na Pacyfiku, zwłaszcza że już 7 lipca zeszłego roku zajęły Islandię, uznawaną za ważną bazę służącą do ewentualnego przerzucenia sił przez Atlantyk. Poza tym admirał Reader domagał się prawa otwarcia ognia do konwojów zdążających do Wielkiej Brytanii, eskortowanych przez flotę USA. Na początku grudnia wygrywaliśmy wojnę na Wschodzie, wydawało się, że jeszcze kilka tygodni, a Armia Czerwona rozsypie się w proch. Tak się nie stało, a teraz mamy w Anglii F-15 i mechy. Nie możemy im nic przeciwstawić. Całe dostępne uzbrojenie pochodzi z czasów inwazji, są to czołgi starego typu, III i IV. Jako że przez ostatni rok panował tam względny spokój, nową broń wysyłaliśmy przeciw ZSRR. Teraz Royal Navy zwiększyło aktywność w rejonie La Manche, z wielkim trudem udało się przerzucić tylko kilkadziesiąt Cesarskich Tygrysów. Brakuje nam podmorskiego tunelu między Wyspami a kontynentem, Speer dawno postulował, żeby coś takiego zbudować, stworzył nawet plan. Ale koszt był ogromny, a konstrukcja znajdowałaby się w zasięgu wrogich bombowców i okrętów wojennych. Ostatecznie plany schowano do szuflady z

adnotacją: „W przyszłości”. Teraz możemy jedynie osłaniać siły lądowe vrilami.

- Vrilami?

- Najnowszy typ latających talerzy. Lepsze od amerykańskich F-15, umykają też rakietom mechów. Dzięki nim jesteśmy tylko w odwrocie, a nie w panicznej ucieczce. Tym niemniej wydaje mi się, że Wielka Brytania jest dla nas stracona.

- Nie możemy raz jeszcze wysłać konwoju Panter III albo Cesarskich Tygrysów III?

- Możemy, choć to ryzykowna przeprawa i osłabi to wojnę z komunistami. Mechów jest wciąż stosunkowo niewiele, nasze Pzkpw-III dzięki lepszemu wyszkoleniu załóg radzą sobie z shermanami. Najlepszych generałów mamy na Wschodzie, żaden problem ich ściągnąć. Ale nie ściągniemy milionowej armii, a właśnie tyle docelowo zamierzają przerzucić na Wyspy Amerykanie. Miał pan rację, ostrzegając mnie jeszcze w podziemiach, by nie rozpoczynać wojny z USA i ZSRR. Ale po zdobyciu Moskwy Hitler poczuł się taki pewny siebie. Teraz ma wojnę na dwa fronty z przeciwnikiem posiadającym niemal nieograniczone zasoby ludzkie. I powoli wszyscy w Rzeszy zaczynają rozumieć, że jeżeli nie przywoła jakiejś potężnej broni, on tę wojnę musi przegrać, a wraz z nim zostanie zmiażdżony cały naród niemiecki!

*

Dawno nie rozmawiał dłużej z Hoffmannem. Teraz odwiedził profesora w jego mieszkaniu. Ku swojemu zdziwieniu przy drzwiach zastał spakowane walizki.

- Wyjeżdżam, Arturze... Zbyt długo nic nie robiłem... Zbyt długo byłem bierny. - Richard przywitał go, nerwowo

ściskając dłoń. Ruchy miał szybkie, nieskoordynowane, jakby myślami błądził tysiące mil stąd. - Tkanka rzeczywistości jest cieńsza niż kiedykolwiek. Ignorowaliśmy symptomy, zapomnieliśmy, na co należy zwracać uwagę...

- Co się stało. Jesteś jakiś taki... roztargniony?

- Ja, roztargniony? Dobre sobie. Jestem skoncentrowany jak nigdy. Tylko dzięki temu jeszcze mnie nie opętali. Nie zajęli mojego umysłu. Jestem szczególnie niebezpieczny, bo wiem. Wiem wszystko!

- Odkryłeś coś? Powiedz szybko!

- Czają się, czają z mackami i kłami na granicy naszego postrzegania. Są bliżej niż kiedykolwiek. Nie rozumiemy ich... Macki, kły to sposób naszych umysłów, by wizualizować obcość i agresję... Nie potrafię przeniknąć prawdziwej natury t a m t y c h.

- Kogo masz na myśli, na Boga?

- Bóg? Bóg nie ma z n i m i nic wspólnego. Obcy. Demony. Szatany. Inne istoty. Nazwa nie ma znaczenia. Ważne jest, że raz tutaj byli i powrócą znowu.

- Richard, jesteś naukowcem. Twierdziłeś, że to bzdury... Że rozmawiamy o tym tylko dlatego, żeby poznać sposób myślenia nazistów.

Profesor spojrzał na niego, a światło lamp odbiło się w szkłach niewielkich okularów.

- Myliłem się, Arturze. Teraz czuję, że jest inaczej. Tylko naziści sądzą, że są przygotowani na to, co nadejdzie. Zastanawiałeś się, dlaczego każdy z wysokich rangą esesmanów nosi białą broń? Większość tych kling jest pokryta magicznymi znakami albo zrobiona z materiału, który przybył z gwiazd. Tylko taki sztych może przebić magiczne sfery, którymi demony mogą się otaczać. Do cholery, jedną czy dwie potrafi nawet wytworzyć ludzki czarnoksiężnik. Nadchodzą nowe czasy i nowa broń będzie

rządziła polem bitwy. Nie samoloty, nie czołgi, nie rakiety, wszystko to bowiem fraszka dla istot, które mają władzę nad wymiarami i gdy zechcą, potrafią nawet zatrzymać czas.

- Richard. Jestem pewien, że masz gorączkę.

- W życiu nie byłem taki zdrowy, zapewniam cię. Po prostu z moją pracą związany jest dar widzenia więcej niż inni, i pierwszy dostrzegam oznaki. Tyle - rozwarł dwa palce tak, że między nimi był może cal powietrza - tyle brakuje im, żeby się wedrzeć. Musimy się przygotować, Arturze. Kilku moich kolegów, uczniów Freuda i Junga, pracuje nad pewnym projektem. Twierdzą, że na zmianę kolektywnej świadomości jest już za późno, bo świat z uśmiechem szaleństwa na ustach stoczył się w potępieńczą czeluść nazizmu. Ale my możemy zmienić coś jeszcze. Zmienimy nieświadomość kolektywną, dotrzemy do archetypów, które rządzą społeczeństwami i jednostkowymi wyborami. Zaktywizujemy te archetypy, które zostały uśpione. I ludzie przebudzą się wraz z nimi, by odnowić oblicze tej ziemi. Mamy nadzieję, że nasz mistrz, Carl Gustaw, zechce się przyłączyć, by osobiście poprowadzić badania. Ty... - Profesor popatrzył na niego ostatni raz, po czym chwycił za torby. - Ty już mnie nie potrzebujesz. Chyba poradziłeś sobie z własnymi wewnętrznymi demonami. Wybacz, że nie przekazałem ci więcej wiedzy...

- Usłyszałem dość słów, które były dla mnie ważne.

- Tak właśnie myślę. Do zobaczenia po wojnie, w nowym świecie. Oby to był wspaniały świat, a przynajmniej ja nie zawaham się zaryzykować życia, by jutro okazało się normalne dla mojego syna, gdziekolwiek jest. - Mrugnął, zamykając drzwi. - Terapia zakończona.

Artur został sam w idealnie pustym, nie swoim mieszkaniu.

# VI

Spoglądając na spiralnie skręcone, czarne sklepienie dworca, Artur miał wrażenie, że znalazł się w środku ogromnej muszli. Ale zaraz do jej wnętrza, plując ogniem i parą, wjechał ze zgrzytem pociąg. Najpierw, krzesząc iskry, pojawiła się lokomotywa z przodem odlanym w kształt trupiej czaszki, potem długa linia pofałdowanej i poskręcanej stali. Artur zauważył w duchu, że maszyna nie została podzielona na wagony. Chwycił bagaż swój i dziewczyny, wsiedli do środka.

Na korytarzu było niezmiernie tłoczno, z niemałym trudem Artur i jego towarzyszka znaleźli właściwy przedział. Polak pospiesznie zatrzasnął drzwiczki, odgradzając się od przepływającej korytarzem ludzkiej masy. Wewnątrz, na czarnych, pożyłkowanych jak powierzchnia liścia fotelach siedziała modnie ubrana młoda dama o przepisowo ufarbowanych na blond włosach, skrytych pod błękitnym kapeluszem, pasującym do sukienki. Obok stał oparty o ścianę parasol przeciwsłoneczny. Naprzeciw dziewczyny przy oknie zasiadał starszy mężczyzna, niedogolony, zdawało się, że z wystającego podbródka sterczą mu kłęby waty. Miał na sobie płaszcz, połatany niegdyś zapewne białymi, lecz teraz szarymi kawałkami materiału. Koszulę, którą miał pod spodem, niezbyt wprawnie uszyto zapewne z różnokolorowych chustek. Artur nabrał podejrzeń, że współpodróżny sam to zrobił.

Anna usiadła od strony drzwi, przy starszym mężczyźnie. Artur zajął miejsce między nimi, podejrzewając, że Polka wybrała to miejsce, by nie mógł usiąść obok blondynki. Żyłki w fotelach zaczęły wypełniać się rubinowym światłem, gdy włączył się system grzewczy. Artur dziękował Bogu, że podróżni opuszczający miasto mogli się przebrać w normalne ubrania na dworcu. Przy pięknej pogodzie i w dusznym przedziale, gdy słońce praży na zewnątrz, brunatne kombinezony byłyby istną udręką.

Dźwigając dwie wielgachne, obite skórą walizy, do przedziału wtoczył się postawny generał Wehrmachtu. Zajął miejsce naprzeciw Anny, następnie z niemałym trudem wepchnął walizkę na stosowne miejsce nad siedzeniem. Krytycznie rozejrzał się, jednak nie zostało już zbyt wiele miejsca, żeby upchać bagaż.

- Przepraszam - zwrócił się uprzejmie do staruszka. - Obok mnie zapewne jeszcze ktoś usiądzie i nie chciałbym go kłopotać. Ale widzę, że pan ma nad sobą wolne miejsce. Czy mogę?

- Ależ oczywiście. Zawsze podróżuję tylko z tym, co noszę w kieszeniach. A mam ich, proszę sobie wyobrazić, siedemdziesiąt siedem. - Sędziwy mężczyzna wstał pośpiesznie. - Pomogę panu.

Wydawało się, że razem powinno im pójść sprawniej. Ale chyba przeszkadzali sobie wzajemnie, bądź walizka okazała się cięższa, niż można było przypuszczać, dość powiedzieć, że upadła na siedzenie obok Artura. Wysypało się z niej kilka srebrnych naczyń. Generał natychmiast zagarnął je z powrotem i domknął torbę.

- Dużo pan ostatnio zarobił - uśmiechnął się staruszek. Generał poczerwieniał.

- Pan mnie nie rozumie. Wojna to ciężki czas dla dzieł sztuki i drogocennych wyrobów sztuki jubilerskiej. Moją misją stało się podróżowanie po Europie, zbieranie i ochrona co cenniejszych okazów, nim ta okropna zawierucha w końcu opadnie.

- Rozumiemy doskonale - uśmiechnął się szeroko staruszek i porozumiewawczo puścił oko. Generałowi się to nie spodobało i usiadł sztywno, jakby kij połknął. Tymczasem do przedziału wszedł ostatni podróżny, Hauptsturmführer SS, w nienagannie odprasowanym mundurze opasującym tłuste cielsko. Podniósł rękę w nazistowskim pozdrowieniu, mówiąc wszystkim *„Heil*

*Hitler*”, odsapnął dwa razy ciężko, ocierając ręką hektolitry potu z czoła, po czym rzucił swój bagaż na pozostałe wolne miejsce. Nadszedł już czas odjazdu, więc pociąg powoli ruszał.

Wówczas odezwał się dziadek:

*- Stoi na stacji lokomotywa,*

*Ciężka, ogromna i pot z niej spływa*

*Tłusta oliwa.*

*Stoi i sapie, dyszy i dmucha,*

*Żar z rozgrzanego jej brzucha bucha:*

*Buch - jak gorąco!*

*Uch - jak gorąco!*

*Puff - jak gorąco!*

*Uff - jak gorąco!*

*Już ledwo sapie, już ledwo zipie,*

*A jeszcze palacz węgiel w nią sypie.*

*Wagony do niej podoczepiali*

*Wielkie i ciężkie, z żelaza, stali,*

*I pełno ludzi w każdym wagonie,*

*A w ostatnim Żydzi, gdzież jadą wałkonie?*

- Pan jest poetą? - zdziwiła się uprzejmie blondynka. Ale staruszek milczał, nagle wydał się pochmurny, jakby wiersz był dla niego smutny.

- Raczej mistrzem deklamacji - odezwała się Anna. - Znam ten wiersz. To *Lokomotywa* Juliana Tuwima. Choć wydawało mi się, że pamiętam inną wersję.

- Grunt, że ładne - rzekł pojednawczo Hauptsturmführer i odpakował wielki kawał pasztetu i pęto kiełbasy. Tym ostatnim uraczył swoje podniebienie. Annę omal nie zemdliło, gdy zobaczyła, jaki potężny kęs pochłonął oficer.

*- A w trzecim siedzą same grubasy,*

*Siedzą i jedzą tłuste kiełbasy.*

- Ładne - odburknął grubas z pełnymi ustami. - Ale może na dzisiaj dosyć już tej poezji, co, panie starszy?

Staruszek chyba nie słyszał, patrzył w zamyśleniu przez okno.

- I ja zgłodniałem - rzekł po chwili generał Wehrmachtu. Zapytam o wagon restauracyjny. Państwo wybaczą. - Skłonił się i wyszedł. Wówczas oficer SS pełen animuszu zaczął rozmowę.

- Bertrand Riegel, do usług - przedstawił się siedzącej obok blondynce. - A Fräulein jak ma na imię?

Zagadnięta przez moment zastanawiała się, czy powinna odpowiedzieć.

- Yvonne - odparła wreszcie.

Riegel najwidoczniej uznał, że pierwsze lody zostały przełamane.

- Poczęstuje się panienka? - Wysunął w jej kierunku olbrzymi kawał kiełbasy. Dziewczyna rzuciła spłoszone spojrzenie na wystającą z wielgachnej garści mięsną laskę, wreszcie zdobyła się na odwagę, żeby odmówić. Rozejrzała się, zastanawiając, jak tu umknąć. Tymczasem oficer z niemałym trudem obrócił cielsko tak, że siedział tylko na jednym półdupku, przodem do blondynki. Nachylał się nad nią niczym wielka góra.

- Jestem bohaterem wojennym - wymruczał uwodzicielsko. I zaczął opowiadać, gestykulując przy tym ręką z kiełbasą. Z każdym kolejnym wielkim czynem Hauptsturmführera dziewczyna stawała się coraz to mniejsza i mniejsza, zdawało się, że zaraz spłynie z fotela na podłogę.

- A dokąd to jedzie panienka? Do mamusi może?

- Do babci.

- O, jak ślicznie. A gdzie szanowna babcia panienki mieszka? Bo ja bardzo podejrzewam, że jest nam po drodze i odprowadzić będę miał przyjemność.

- *Powolutku, śliniąc główkę,*

*Duży słoń zgwałcił mrówkę.*

- Mnie przestała bawić poezja. - Grubas wstał z siedzenia. Kim pan właściwie jest? Dokumenty proszę. - Staruszek z zamyśloną miną wpatrywał się w okno. - Jestem oficerem SS. Jeżeli zaraz nie zobaczę pańskich dokumentów, zostanie pan aresztowany. Właściwie i tak jest pan aresztowany. Za obrazę władzy!

Staruszek nadal go kompletnie ignorował. Hauptsturmführer poczuł, że popada w śmieszność. Zezłoszczony wyjął z kabury pistolet. Wycelował go w starca.

- Ostrzegam pana! - wrzasnął.

- Wszystkich przestraszyć, dla mnie to fraszka,

Powiedział wróbel, wyjmując ptaszka.

Riegel spąsowiał na twarzy i wydawało się, że zaraz dostanie wylewu. Palec na spuście drgał mu spazmatycznie. Ale czy miał pociągnąć za cyngiel i pozwolić, żeby mózg tego obdartusa spryskał nienaganny strój pięknej współpasażerski? Nie można było, krew źle się spiera z drogich sukni, poza tym użycie broni w przedziale pełnym ludzi nie wyglądałoby dobrze w raporcie. Przez chwilę wymachiwał bezsilnie pistoletem przed nosem pogrążonego w kontemplacji staruszka, aż nagle wpadł mu nowy pomysł do głowy.

Otworzył okno. Jednym szarpnięciem zwalił leżącą nad głową staruszka walizkę i wyrzucił ją przez okno.

- Co się tak patrzysz, parchu! I kto tu jest Herrenvolk? - powiedział wreszcie zadowolony, biorąc się pod boki. - Zaraz powędrujesz za swoim bagażem.

- *Ale z ciebie wielki gnój,*

*Ten walizek nie był mój* - odparł staruszek, po czym zaczął się zmniejszać i obracać wokół osi przechodzącej przez pępek, tak że głowa wkrótce znalazła się tam, gdzie stopy, a całe ciało kręciło się jak wirnik helikoptera. Stawał się coraz mniejszy i mniejszy, aż wreszcie znikł i podróżni zobaczyli tylko pusty fotel.

Przeciąg smagnął ich po twarzach. To generał Wehrmachtu otworzył drzwi do przedziału.

- Jedzenie tu mają wyborne, zaręczam - rzekł. - Zaraz, zaraz...

Gdzie jest moja walizka?

Riegel, wciąż stojący przy oknie z pistoletem w ręku, przełknął ślinę. Raz, potem drugi.

- Melduję posłusznie, nawiązano kontakt z żydowskim magiem.

- Skąd wiecie, że to był Żyd. Przedstawił dokumenty?

- Nie.

- Sprawdzał mu pan napletek? Również nie? To skąd taki wniosek? Mógł to być przecież każdy. Spadochroniarz aliantów, partyzant ze Wschodu, nie wszyscy Polacy uznali władzę Cesarstwa. Ma pan poważne problemy z wnioskowaniem, a rzuca pan oskarżeniami. I schowaj pan ten cholerny pistolet. Tutaj są kobiety, na miłość boską!

- Polski albo żydowski mag, na pewno! - rzekł oficer SS, posłusznie chowając broń.

- Po pierwsze, magia nie istnieje. - Generał spiorunował Hauptsturmführera wzrokiem. - Po drugie, nawet gdyby istniała, Żydzi nie potrafiliby z niej korzystać, do tego trzeba mieć w sobie półboską krew Atlantów. To tylko pańskie fantazje, i to wulgarne, Riegel. Po trzecie, czy ten Żyd zrobił coś z moją walizką?

- Nie.

- Jeżeli nie on, to kto?

- Ja. - Teraz Riegel zaczął się naprawdę pocić i wszystkim zrobiło się go trochę żal. Nawet generałowi, bo następne pytanie zadał z anielską cierpliwością:

- Co zatem z nią pan zrobił?

- Ja... Wyrzuciłem przez okno.

*

Pociąg, krzesząc iskry i buchając płomieniami z lokomotywy, zatrzymał się przy niewielkiej stacji, na kompletnym pustkowiu. Artur i Anna wysiedli. Przy końcowych przedziałach grupy uzbrojonych esesmanów biegały, klnąc co niemiara. Gdy Artur zapytał, co się stało, usłyszał, że to nie jego sprawa. Ale z fragmentów rozmów wywnioskował, że część pasażerów zniknęła w tajemniczy sposób.

Podjechał zorganizowany przez Weinera samochód. Stary, klasyczny typ, jeszcze z roku czterdziestego. Artur uznał, że potrafi taki prowadzić i odprawił szofera. Co dziwne, tamten nawet nie protestował. Gdy wyjechali na drogę prowadzącą między polami, wyjaśniło się dlaczego.

Najpierw samochód Artura i Anny wyprzedził motocyklista w srebrnym, przylegającym do ciała stroju, jakby zrobionym z przyczepionych ciasno do siebie fragmentów kręgosłupa. Hełm miał trzy rogowe wypustki, odchylające się podczas jazdy do tyłu, środkowy, najdłuższy z nich, lekko zakręcał w dół. Także masywny motocykl zdawał się konstrukcją z fragmentów kości. Pojazd śmignął obok, trzepocząc czarnymi witkami, które wiły się jeszcze długo za nim.

Artur spojrzał do tyłu. Powoli, w pewnej odległości terkotały za nimi dwa nie najnowsze samochody. Przy takiej

obstawie szofer mógł gościom pozwolić na odrobinę prywatności.

Wóz prowadziło się dobrze i już po chwili Artur poczuł się na tyle pewnie, że dodając ostro gazu, wyprzedził kolumnę pustych ciężarówek. Wracały z dworca, gdzie wyładowały płody rolne z polskich plantacji. Kolonie Rzeszy musiały wyżywić kraj poddany morskiej blokadzie.

Ciężarówki zostały daleko w tyle. Zerknął w lusterko. Niezbyt szybki model opel blitza, zamiast na benzynę jeżdżący na holzgas, gaz drzewny. Metoda opierała się na podgrzaniu suchego drewna do temperatury kilkuset stopni Celsjusza, w której powstaje palny biogaz. W ten sposób radzono sobie z brakami paliwa. Rumuńskie złoża ledwie wystarczały na zasilenie pancernego czoła machiny wojennej, Hitlera nie stać było, by marnować bezcenną benzynę na ciężarówki zaopatrzenia, stąd cały czas szukał alternatywnych źródeł energii.

- Zobacz na prawo - powiedziała nagle Anna. - Co to jest?!

Artur zerknął posłusznie. Monotonię złotych pól przełamywała wielka stalowa bulwa z licznymi rurami wybiegającymi z góry i opadającymi na ziemię niczym stalowa nać. Machiny pilnowało trzech strażników z karabinami. Wokół, niczym glisty, wiło się kilkoro ludzi. Inni powłócząc nogami, oddalali się od urządzenia, by po przejściu kilkunastu kroków paść bez czucia na ściernisko. Wielu podłączyło się do zwisających rur, coś chciwie z nich spijając. Zewsząd ciemne sylwetki noga za nogą wlokły się ku centrum ich świata, metalicznej bulwie. Droga zakręcała w tamtym kierunku, Sosnowski musiał uważać na snujących się po poboczu lub przekraczających szosę półprzytomnych, jakby odurzonych pieszych. Gdy podjechali bliżej, Artur zauważył, że ziemia wokół jest zbrukana ludzkimi nieczystościami.

- Okropne. Co to za piekielna machina?

- Teraz skojarzyłam - odparła Anna. - Cysterna z alkoholem. Każdy może wypić, ile chce. Opowiadałam ci o planach degeneracji kodu genetycznego ludności Cesarstwa Polskiego? Tak właśnie słowa, które słyszymy, ale nie wierzymy, przekładają się na rzeczywistość. Nawet ruch oporu nic nie może na to poradzić, bo cysterny są pilnowane, a jeśli uda się którąś zniszczyć, miejscowi natychmiast donoszą na partyzantów. Coraz więcej Polaków tak żyje, obojętniejąc na wszystko. Idealna ludzka masa do rządzenia. Co ciekawe, korzystający z bulw twierdzą, że to jest jedyny sposób, żeby przetrwać w świecie, który zamienił się w piekło.

- Kto wie? Może mają rację?

Anna rzuciła mu krótkie spojrzenie.

- Gdyby każdy z nich spróbował coś zrobić, może stworzyłby wokół siebie mały raj.

Wjechali do niewielkiego zagajnika. Samochód otoczył cień, wraz z nim pojawiły się posępniejsze myśli. Artur dostrzegł stojącą na poboczu ciężarówkę. Maska z przodu była rozwarta, odsłaniając buchający gorącem piec. Nieco dalej dwóch mężczyzn zwaliło drzewo i teraz w pocie czoła rąbali siekierami, zamieniając konary na szczapy. Tankowali.

Łagodny zakręt zniknął z pola widzenia w lusterku. Artur wpatrywał się w pustą drogę, na której słońce przebijające się przez liście tworzyło migoczącą, nieprzyjemną dla oka, zbyt jaskrawą mozaikę. Ale lasek już się kończył.

I wtedy z drogi po lewej niemal wpadła na nich rozpędzona machina stali i włosów. Samochód zakręcił z piskiem opon, biczując blachę wozu Artura przednimi witkami. Sosnowski również odbił kierownicą w prawo.

Oba samochody stanęły. Z wielkiego pojazdu wyszedł barczysty Niemiec i zaczął wymachiwać rękami. Nie miał dobrych zamiarów.

Dwa wozy eskorty przejechały bardzo wolno pomiędzy nimi. Z każdego spojrzały na nieznajomego cztery ponure twarze. Z wozu wybiegła blondynka, powstrzymywała mężczyznę za łokieć. Serce Artura przestało bić.

- Doszło do nieporozumienia, zdarza się - powiedział kierowca sportowego wozu z nieco sztucznym uśmiechem.

- Nic się nie stało. Liliane, dawno się nie widzieliśmy. - Skłonił głowę Artur.

- Wiesz, jak to jest, Arturze. Wezwała mnie nagle praca. Uśmiechnęła się krótko, niepewnie, równie zaskoczona i zmieszana jak on.

- To wy się znacie? - zdziwił się mężczyzna. - Coś takiego, jaki ten świat mały. Co państwa sprowadza na to barbarzyńskie pustkowie?

- Mamy wynajęty domek nad jeziorem - odezwała się Anna z drugiego siedzenia. - Chcemy spędzić tu miły urlop.

- Zatem musicie nas odwiedzić. Jestem Hans Seitling, a to moja żona, zresztą przecież się znacie. Kupiliśmy tutaj rezydencję i sporą plantację. Wiecie, Führer namawia, żeby kolonizować Wschód. Poza tym, to dobra inwestycja. Odwiedźcie nas koniecznie, nudzimy się tu okropnie. Z podludźmi gadać przecież nie będziemy.

- Doskonały pomysł - uznała Anna. Podała Niemcowi rękę i przedstawiła się. - Dzisiaj musimy odpocząć po podróży, ale jutro bardzo chętnie.

- Zatem jesteśmy umówieni.

*

Droga nieustannie meandrowała przez las, aż wreszcie doprowadziła ich do uroczo położonej nad zatoczką niewielkiej, drewnianej chaty. Artur zatrzymał samochód. Na spotkanie wyszedł im mężczyzna w białej koszuli,

ledwie zasłaniającej pękaty brzuszek. Na głowie miał zielony kapelusz z piórem, spodnie podtrzymywały czerwone szelki.

- Jestem Adolf Sommerlechner, odpowiedzialny za państwa bezpieczeństwo tutaj. Jak również za miły pobyt.

- Imię ma pan jak nasz Führer - zauważyła Anna. Mężczyzna pokraśniał, wyraźnie zadowolony z komplementu.

- Teren bezpieczny, przeczesaliśmy las w promieniu kilku kilometrów. W koronach drzew mamy stanowiska karabinów maszynowych, nurkowie w punktach obronnych na dnie jeziora zmieniają się co trzy godziny. W stodole naprzeciwko ukryliśmy wyrzutnię rakiet przeciwlotniczych i helikopter do szybkiej ewakuacji.

- Jestem pod wrażeniem - odparł Artur. Ale Anna zagryzła lekko dolną wargę, jakby się dąsała:

- Sądziłam, że spędzimy ten urlop zupełnie sami.

- Ależ tak będzie, *Fräulein* - natychmiast rzekł Sommerlechner. - Herr Weiner zapowiedział osobistą rozmowę z każdym agentem, którego państwo zdołają zauważyć. Nawet ja jestem przebrany za cywilnego gospodarza, rdzennego mieszkańca tych ziem.

- Nosi pan niemieckie nazwisko - odparowała kąśliwie Anna.

- Rdzennego, podkreślam. Tysiące lat temu tu wszędzie były Niemcy. Teraz odzyskujemy tylko, co nasze.

Rozmowę przerwały cienie przesłaniające słońce. Unieśli głowy. Artur zobaczył wielką chmarę żołnierzy Armii Czerwonej w charakterystycznych płóciennych, zielonych płaszczach i podbitych futrem czapkach. Machali rytmicznie rękami, które chyba nie miały stawu łokciowego, tworzyły bowiem dwie płynne esowate fale. Wraz z rozpostartymi zielonymi płaszczami tworzyło to coś

na kształt skrzydeł. Każdy z czerwonoarmistów zginał nogi, a między udami ściskał wielki pakunek.

- Rosyjskie bombowce - skwitował Sommerlechner. - Proszę się nie obawiać, lecą na Berlin.

- Zniszczą miasto?

- Skąd, nie dotrą nawet do granicy. Lada chwila pojawi się nasz myśliwiec.

- Będzie bitwa powietrzna? - Artur próbował dostrzec twarze genetycznie zmodyfikowanych żołnierzy, ale z tej odległości nie było to możliwe.

- Nie, jeżeli pilot nie jest głupi. Wystarczy podejść ich od tyłu i zestrzelić ostatniego. I po kłopocie.

- Dlaczego?

- Jest z NKWD. Bez niego reszta się rozproszy. Część wróci do domu, niektórzy zaatakują cysterny z wódką. My ich nie bronimy, wycofujemy straże, pozwalamy się upić, miejscowi pijaczkowie poderżną im gardła w zemście, że im Ruscy osobisty zapas gorzały wypili. Ale, ale... może ja wezmę państwa bagaże? Trzeba się rozpakować, póki dzień jeszcze młody.

Wniósł walizki do środka. Artur i Anna podążyli za nim.

Chatka, choć niewielka, zaledwie kilkuizbowa, zaprojektowana została z dużym smakiem. Wszystko zbudowano w drewnie, zadbano o system grzewczy, a w kuchni służba już przygotowywała obiad. Weiner zadbał o wszystko.

Po tak długiej drodze rzucili się na ciepły posiłek. Potem zajęli się sobą. Dokładniej Artur zajął się Anną, gdy w sypialni wypakowywała rzeczy. Stanął za nią, okrył jej szyję i policzki pocałunkami. Kobieta mrużyła oczy, odchylając głowę. Ale gdy obiema dłońmi nakrył i ścisnął jej piersi, choć jęknęła, to zaraz zaprotestowała.

- Nie... Nie powinniśmy. Ja nie powinnam...

- Życie jest takie niepewne, takie krótkie. Wokół nas szaleje śmierć. Ty mówisz o powinności? Co to słowo znaczy w takich czasach?

- Może właśnie teraz jest najważniejsze? - Próbowała mu się wyrwać, ale przytrzymał ją mocno i osiągnęła tylko tyle, że teraz była zwrócona do niego przodem. Wpił się wargami w jej pełne usta. Pod dłonią czuł bicie jej serca, coraz szybsze. Trzepotało jak schwytany ptak. Drugą rękę włożył Annie pod sukienkę i koniuszkami palców zaczął delikatnie gładzić wewnętrzną stronę uda.

- Nie wiem... Nie wiem, czy jestem już na to gotowa.

Jego dłoń powędrowała do płci, gorącej, wyczuwalnej przez cieniutki materiał majtek. Kilka razy przesunął po niej samymi opuszkami. Anna objęła jego plecy mocniej. Artur powoli położył ją na łóżku, zerwał bieliznę. Delikatnie gładził pulsującą miękkość między jej rozchylającymi się udami.

- Kochasz mnie? - zapytała, a w jej oczach błysnęły łzy.

- Kocham cię, Anno - odparł, zakrywając wargami jej usta i mieszając ich oddechy. Te słowa uspokoiły dziewczynę i rozluźniły jej mięśnie, była już gotowa go przyjąć. Ich ciała się splotły, jej wilgoć i jego twardość.

# VII

- Jest pani aktorką? Teraz sobie przypominam, widziałam panią w *Helenie Trojańskiej*. Zabawne, Artur nie mówił, że się znacie.

- Ach, nie uznałem tego za szczególnie istotne.

- Żartujesz, kochany? Ja bym się od razu pochwaliła. Znać osobiście aktorkę odtwarzającą tytułową rolę. - Anna

pokręciła głową z podziwem. - Nad czym pani teraz pracuje?

- W planach miała być *Potęga nazizmu* kręcona w plenerach Soho - odparł Seitling. Właściwie rozmawiał on i Anna, Artur i Liliane siedzieli w milczeniu, z rzadka tylko potakując. Sosnowski przyjrzał się gospodarzom. Implantowali sobie najnowsze, modne modyfikacje genetyczne. Seitling posiadał nienaturalnie długie kończyny, rękoma mógł dosięgnąć dowolnej potrawy ze stołu. Ramiona i barki pokryte były dodatkowymi warstwami wszczepionych mięśni. Przez cienką jak bibuła skórę twarzy przebijała przerażająca czaszka, niezwykle duża, o wyraziście zarysowanej żuchwie i szerokim czole. Tkanka kostna napierała od wewnątrz, zniekształcając oblicze mężczyzny w maskę przerażającego monstrum. Liliane siedziała sztywno wyprostowana, eksponując prężne kule piersi. Artur, pamiętając wspólnie spędzone chwile, zastanawiał się, czy pochwę sobie też zwęziła operacyjnie, o czym zawsze marzyła.

- Ale jak kręcić w Londynie, gdzie wciąż spadają bomby, a z podziemnej fortecy wyłażą brytyjscy terroryści Robo-Churchilla? - kontynuował Seitling. - Może są to odpowiednie warunki dla dramatu wojennego, ale nie dla filmu opowiadającego o triumfie najlepszego z ustrojów politycznych. Produkcję odłożono na odpowiedniejszy czas, chociaż teraz, gdy wycofujemy się z Londynu, przypuszczam, że na wieczne jutro. Nie, *mein Schatz* zagra w filmie o pierwszej wojnie światowej.

- Jaki tytuł? - zainteresowała się Anna.

– *Mata Hari.*

- To chyba po malezyjsku oznacza „wschód słońca”?

- Wspaniały film na obecne czasy - uśmiechnął się entuzjastycznie pan domu.- Opowiada o ciosie w plecy

armii niemieckiej zadanym przez Żydów. I o absolutnym poświęceniu aryjskich kobiet w służbie narodu.

- Gdy opowiadał pan o Anglii, użył dziwnego słowa: Robo-Churchill. Co to oznacza?

- Nie chwaląc się, jestem na bieżąco z najnowszymi doniesieniami z frontu.

– *Mein Schatz* należy do elity NSDAP i raz na tydzień lata na specjalne posiedzenie, gdzie zaznajamiają go z wszelkimi tajemnicami. - Liliane wtrąciła się po raz pierwszy. Oblicze rozjaśnił jej uśmiech prawdziwej dumy. - Podejmuje się tam decyzje p o l i- t y c z n e.

- Pochlebiasz mi, kochanie. Każ wnieść kurczaka, a ja opowiem wszystko gościom. Swoją drogą, dlaczego nie zrobiliście sobie najnowszych modyfikacji genetycznych? Gdy jechaliście tym przestarzałym gratem, wziąłem was za Polaków.

Liliane rzuciła mężowi ostre, ostrzegawcze spojrzenie.

- To znaczy niearyjskich Polaków. Wiem przecież, że wasi przodkowie to Niemcy, którzy się osiedlili na Wschodzie.

Pokojówki ze stalowymi diademami ze szpikulców osadzonych na czepkach wniosły patery. Artur starał się unikać martwych, pustych spojrzeń obsługujących kobiet. Ich automatyczne ruchy odbierały mu apetyt. Ale nie gospodarzowi. Zgrabnie poradził sobie ze złocistą skórką i teraz triumfalnie dobrał się do miękkiego, parującego mięsa.

- Trzeba wam wiedzieć, że wojna na Wyspach nie przebiega tak sprawnie, jak przedstawia to Goebbels - mówił dalej Seitling z pełnymi ustami. - Gdyby nie gęste ostrzeliwanie nacierających mechów rakietami V-2, nie obronilibyśmy żadnych pozycji i odwrót zamieniłby się w masakrę. Wciąż brakuje nam samolotów, a Amerykańce właśnie wprowadzili F-22 Raptor, morderczo skuteczne cudo. Ochraniają też skupiska własnych sił wyrzutniami

antyrakiet Patriot, wokół Liverpoolu takie stanowiska obronne wyrastają jak grzyby po deszczu. Wkrótce używanie V-2 zacznie mijać się z celem i wówczas tylko sam Führer, gdyby zechciał skierować tam boską uwagę, mógłby uratować nasze dywizje.

Artur od pewnego czasu zauważył, że wśród prostego ludu nieobecny podczas przemówień Hitler uległ deifikacji. Nie było to nic dziwnego, już w latach trzydziestych propaganda stylizowała go na męża opatrznościowego, wybawcę narodu. Od mesjasza do półboga pozostał tylko mały krok. Paradoksalnie, fizyczna nieobecność wodza nie zmniejszyła więzi z narodem, wręcz ją wzmocniła. Niewidoczny, pozbawiony cech realnych, dających się nazwać, a więc i skrytykować, stał się abstraktem, symbolem, ideą doskonałą. Dla aliantów stał się synonimem zła, szatanem, dla krajów Osi - istotą boską.

- Moim zdaniem Wyspy należy opuścić, póki to jest możliwe. Każdego dnia przypływają przez Atlantyk setki żołnierzy amerykańskich. Imponuje mi ten naród. Szkoda, że wprowadzając tak nowoczesne rozwiązania, jak segregacja czarnuchów w autobusach, równocześnie pozwalają żydowskiej plutokracji rządzić Kongresem. W każdym razie, by ich powstrzymać, już teraz budujemy na Wale Atlantyckim drzewa Tesli.

- Co to jest? - zapytała Anna.

- Oparte na odkryciach wybitnego serbskiego uczonego, wyglądają jak wielkie choinki, generują potężne błyskawice, które strącą w toń każdy okręt i spalą piorunami próbujących zejść na plażę ludzi.

Artur ledwie słuchał. Ukradkiem patrzył na Liliane. Wciąż dźwięczało mu w uszach „*Mein Schatz*”. Jeszcze niedawno jego tak nazywała.

- Ale miałem mówić o Robo-Churchillu. Otóż premier Wielkiej Brytanii, choć Skorzeny straszliwie poharatał mu

brzuch, przeżył zamach. Wykorzystując najnowsze osiągnięcia z dziedziny robotyki medycznej, stworzono pierwszego na świecie cyborga, który teraz pojawia się na linii frontu i dodaje ducha żołnierzom.

- Cyborg? Nie przy jedzeniu, kochany - odparła Liliane, dystyngowanie podnosząc do ust mikroskopijny kawałek kurczaka. - Łączenie człowieka z maszyną jest obrzydliwie. Jak monokle u zdegenerowanej arystokracji w republice weimarskiej. Nie spodziewałam się po Brytyjczykach tak kiepskiego gustu.

Artur, patrząc na jej starannie upiętą fryzurę, pomyślał, że coś się w niej zmieniło. Już nie była ognistą kochanką, błyskotliwą i emocjonalną. Stała się niemiecką Frau zaangażowaną w opiekę nad domowym ogniskiem Miał wrażenie, że coś albo ktoś zabił tę wspaniałą Liliane, którą znał - i to zabolało go nawet bardziej niż fakt, że dziewczyna już nie była jego. Na chwilę ich spojrzenia się spotkały i miał wrażenie, że jej oczy mają podobny wyraz jak u odmóżdżonej służby sprzątającej ze stołu. Tyle że Liliane nikt nie zamontował żadnego mechanizmu i nie można było zwalić winy za tę przemianę na czynniki zewnętrzne. Liliane się zmieniła na własną odpowiedzialność.

- W każdym razie wojna na Zachodzie wygląda inaczej niż kampania wschodnia. Przewiduje się, że bitwy na stepach rosyjskich zaczną już wkrótce przypominać batalie morskie. A to dlatego, że obie strony budują coraz większe czołgi. Standardem są już wyższe od pięciopiętrowej kamienicy, najeżone dziesiątkami wież i baterii przeciwlotniczych, grubo opancerzone kolosy. Zwykły czołg nie dysponuje kalibrem zdolnym przebić taką zbroję. Powolne i mało zwrotne, przypominają morskie pancerniki, a ich spotkanie będzie prawdziwą bitwą gigantów. To one będą nadawać ton przyszłorocznej wojnie, jestem pewien. Także dlatego,

że produkują dość ciepła, by załoga przetrwała w komfortowych warunkach zimę.

Artur wyobraził sobie płynący przez śniegi i przesłaniający widnokrąg olbrzymi czołg. I niewielkie Tygrysy i Pantery najnowszej generacji, krążące wokół niego niczym muchy wokół byka.

- Mimo to uważam, że wygramy każdą kampanię, o ile tylko Żydzi nie wbiją nam noża w plecy, jak dowiemy się z filmu mojej żony. Ostatnio na zebraniu partii znów opowiedziano nam o nowej broni ŻOB-u. Nazywa się Zaam. Nikt nie wie, jak wygląda, ale jest niezwykle niebezpieczna. Podobno stokroć razy gorsza, bardziej zabójcza od golemów. Powiadam wam, strzeżcie się Zaama!

- Kochanie, goście już zjedli. Zamiast ich straszyć, może wykorzystajmy ładną pogodę i zaprośmy ich na spacer po okolicy?

- Znakomity pomysł. Macie ochotę?

*

Obok rezydencji Seitlingów dziesiątki ludzi pracowało w palącym słońcu. Wszyscy nosili kolczaste korony. Z ambony służącej niegdyś do polowań, ukryty w cieniu lasu obserwował ich wartownik. Drugi, z ręcznym karabinem maszynowym trzymał się jakieś trzydzieści kroków za gospodarzami oprowadzającymi Artura i Annę.

- Sądziłem, że w Cesarstwie Polskim, które jest sojusznikiem Rzeszy, nie dopuszcza się stosowania urządzeń blokujących wyższe funkcje psychiczne? - odezwał się Sosnowski.

- Tylko zmuszanie jest źle widziane, a ich kto zmuszał?

- Sami sobie to nałożyli na głowę? - odparowała niezwykle ostro Anna. Artur chwycił ją uspokajająco za rękę.

- A żeby pani wiedziała. Ludzie stoją kolejkami do moich włości.

- Nie wierzę, żeby byli tak głupi - odparł Artur. - Chyba, że im nie mówicie, co to naprawdę oznacza.

- Pierwsi może i nie wiedzieli, ale reszta ma oczy i widzi, jak tu wygląda praca. Zgodzili się dobrowolnie.

- Nadal nie rozumiem dlaczego - powiedział Artur. Anna, co dziwne, milczała, odwracając głowę. Sosnowski mógłby przysiąc, że pod powiekami ukrywa łzy.

- Kraj mają zniszczony wojną, w którą nieopatrznie wprowadził Polskę jeszcze ich poprzedni rząd - odparł niedbale gospodarz. - Gospodarka kuleje, to i pracy nie ma.

- Matka, żeby wyżywić dzieci, najmuje się do was. Podobną decyzję podejmuje jej mąż, tak? - zapytała cicho Anna.

- W mieście rozumiem, ale na wsi? - zdziwił się Artur. - Przecież wieś zawsze się wyżywi.

Anna popatrzyła na niego krótko.

- Nie, gdy cała ziemia należy do Niemców.

Weszli w las, melodyjne trele skowronka oderwały ich od trudnej rozmowy.

- Jak pięknie! - zachwyciła się Liliane, składając dłonie i przekrzywiając przeuroczo główkę.

Na oblicze Anny spłynęła ciemna chmura, widać było wysiłek, z jakim powstrzymuje burzę. Tymczasem rozbawiona blondynka podbiegła do najbliższego drzewa.

- Znajdźmy go! Chyba widzę tam, między gałęziami...

Rzeczywiście coś zatrzepotało, następnie blada kulka odbiła się od niższej gałęzi, zatrzepała skrzydłami, lekko się wznosząc, wreszcie upadła niemal u ich stóp. Anna krzyknęła, zasłaniając dłonią usta.

Ptak nie miał w ogóle pierza, blada, naga wystraszona kulka. Z oczu ściekały mu kropelki ropy.

- Co mu się stało? - wydukał Artur, wystraszony jak kobiety.

- Ty nigdy nie schodzisz ze swoich apartamentów w wieżach Germanii, prawda? - Anna wybuchnęła złością.

- Ja bym nie dramatyzował - odezwał się z nonszalancją gospodarz. - Normalne przekształcenia ewolucyjne. Ptak adaptuje się do nowych, powiedziałbym, chemicznie bardziej aktywnych warunków, to wszystko. Ewolucja sobie poradzi.

- Czy to dlatego wokół Nowego Berlina już wcale nie ma zwierząt? - zasyczała Anna. Odgarnęła z furią czarne włosy opadające jej na policzek.

- Chwilowa migracja. Poza tym pająki świetnie sobie radzą. Niektóre są bardzo dorodne.

- Dokąd niby migrują, skoro niebawem zatrujecie bronią i wyziewami z fabryk całą ziemię? Nawet w Polsce ptactwo choruje.

- Co zwierzaka nie zabije, to go wzmocni. Te, które wymrą, widocznie nie okazały się godne życia w nowym, lepszym świecie. Zresztą podobno w lasach pojawiają się nowe gatunki.

- Zmutowane w straszliwy sposób!

- Jedne gatunki odchodzą, na ich miejsce przychodzą nowe, tak ja to widzę. Po męsku, na spokojnie, bez emocji. Mutacja jest naturalnym narzędziem ewolucji. To podludzie uciekają przed nowym i niezrozumiałym. Herrenvolk uczy się, jak to wykorzystywać, by stawać się jeszcze potężniejszym.

- Pan mnie obraża!

- Zwracam uwagę, że jako kobieta, może nie rozumieć pani pewnych spraw. Co, oczywiście, ja z kolei w pełni

rozumiem.

- Rozumiem, że zatem powinnam teraz podziękować panu za wyrozumiałość i czas poświęcony na oświecenie przedstawicielki słabej płci?

- Zobaczcie, jesteśmy już nad jeziorem! Jak pięknie skrzy się tafla. - Liliane pociągnęła męża do przodu, gładko przerywając dyskusję. Anna i Artur ruszyli za nimi.

*

Trawa ustępowała przy brzegu szerokiej łasze drobnego, gorącego piasku. Kobiety zdjęły buty, Artur poszedł w ich ślady. Dziewczyny zanurzały stopy w jeziorze, ochładzając się w ten sposób.

- Ciepła. Będzie można popływać - powiedziała Anna.

Artur uśmiechnął się. Mimo obaw, zapowiadały się udane wakacje. A naprawdę ich potrzebował.

- Zobaczcie, łabędź. - Liliane jedną ręką robiąc daszek przed słońcem, drugą wskazała środek jeziora. - Czyli to nieprawda, że środowisko jest skażone. Patrzcie, jaki piękny. Z pewnością musi być zdrowy.

- Przypuszczalnie ostatnia żyjąca sztuką - odparła kąśliwie Anna, ale cicho. Dostojeństwo i uroda ptaka oddziaływały również na nią.

- Szkoda, że nie mamy chleba, można by go nakarmić - mówiła blondynka.

- Zobaczcie, zmienia kierunek... Mamy szczęście. Płynie do nas - rzekł Artur.

- To nie szczęście. Zapewne we wcześniejszych latach wieśniacy go karmili i nauczył się nie bać ludzi. Teraz przyzwyczaił się, że znajdzie tutaj jedzenie i nieco się rozczarował - powiedziała Anna.

- Och, teraz my będziemy go karmić, prawda, *Mein Schatz*? To takie wspaniałe, aryjskie zwierzę.

Seitling nic nie odpowiedział, tylko wpatrywał się z niespokojną miną w łabędzia. Ptak znajdował się już całkiem blisko.

- Jaka szkoda, że dzisiaj nic nie wzięliśmy. Już bym go od teraz do siebie przyzwyczajała. Byłby tylko mój - szczebiotała Liliane.

Łabędź wyraźnie przyspieszył, zapewne motywowany bliskością kolacji.

- Do tyłu wszyscy! - krzyknął nagle Seitling straszliwym głosem. - Jesteśmy zgubieni! To nie ptak, to Zaam, żydowska broń ostatecznego zniszczenia! Uciekajmy!

Ptak sunął po wodzie w niesamowitym tempie. Przerażone kobiety odwróciły się, ale ich stopy zapadały się w piasku. Liliane upadła.

- Rany boskie, po nas!

Zamieszanie na brzegu wystraszyło łabędzia tak, że rozłożył skrzydła i zaczął nimi bić o wodę.

- Zaam może przyjmować dowolny kształt. Teraz się przepoczwarza, zamieniając w śmiertelną broń - mówił szybko Hans, jakby cytując ulotkę z wiecu. Artur zawrócił i pomógł kobietom.

Seitling obejrzał się. Pod lasem stał żołnierz z karabinem. Nie reagował, nie dostrzegając niebezpieczeństwa. Sądził, że państwo się bawią. Gospodarz pomknął ku niemu z niesamowitą prędkością. Teraz dopiero okazało się, jaką przewagę dawały genetycznie zmodyfikowane kończyny. Wyszarpnął mu karabin i zbiegł ku plaży. Odbezpieczył broń i zaczął strzelać jak oszalały.

- Schować się za mnie wszyscy! W imieniu Rzeszy i Führera, zgiń, przepadnij żydowski pomiocie. *Heil Hitler! Sieeg! Sieeeeg!*

Karabin maszynowy terkotał, a odgłos strzałów niósł się daleko nad czystą taflą jeziora.

*

- Nie martw się, *Mein Schatz.* - Liliane głaskała męża po ramieniu. Seitling opuścił dymiący karabin. - Każdy mógł się pomylić. Według mnie to wszystko wyglądało bardzo niebezpiecznie. Naprawdę, to mógł być Zaam.

Patrzyli na unoszone przez słabe fale szczątki pokrwawionych piór i mięsa uderzające o piasek. Seria automatu z tak bliska dosłownie rozerwała łabędzia na strzępy.

- Tak jakoś podstępnie się poruszał. Jak Żyd - stwierdził Seitling. - Uznałem, że to żydowski łabędź. Poza tym, to on nas pierwszy zaatakował, prawda?

- Dokładnie tak było, kochany. Postąpiłeś słusznie. Uratowałeś mnie przed tajną żydowską bronią. Jesteś moim wybawcą. Pocałowała go w policzek.

Artur i Anna milczeli. Polka odwracała głowę, mrugając gwałtownie.

Gospodarze powoli zawrócili. Wszyscy rozumieli, że spacer dobiegł końca. Seitling przez całą drogę powrotną kręcił głową i powtarzał:

- Ale żeby zwykły łabędź poruszał się jak Zaam, uwierzylibyście?

*

Gospodarze nalegali, by Polacy zostali na kolacji. Hans pokazał gościom system skomplikowanego nadzoru pracujących Słowian. W tym czasie Liliane poszła do

ogrodu, by, jak twierdziła, odzyskać siły przez kontakt z naturą.

Annę zafascynowały opowieści Seitlinga, który w gabinecie wyświetlał na materializujących się w powietrzu szybach mnóstwo skomplikowanych obrazów.

- Nie tylko wiem, gdzie wszyscy się znajdują, ale dzięki najnowocześniejszym technologiom mogę do pewnego stopnia modyfikować ich zachowanie. Trochę nam brakuje, że nie możemy czytać i kontrolować ich myśli.

Artur zadecydował się odłączyć cichaczem od towarzystwa, techniczne nowinki raczej go nudziły.

- Teraz zajmuję się zwykłymi uprawami, armia na Wschodzie potrzebuje żywności. Ale prawdziwa przyszłość to transplantologia. Zamierzam zająć się hodowlą ludzi na organy, podobno świetny interes. - Dobiegły go ostatnie słowa, gdy przymykał drzwi.

Znalazł ją między klombami róż o płatkach czerwonych jak krew.

- Dlaczego ode mnie odeszłaś? Tak bez słowa. - Milczała, piękna i zimna niczym posąg. - Przecież cię kochałem. Sądziłem, że i ty mnie kochałaś.

- Serce kobiety zna wiele rodzajów miłości.

- A ile zna rodzajów zdrady?

Spojrzała mu w oczy krótko, błysnęły szafirowe oczy.

- Tysiące - odparła krótko. - Wierz mi, że każdy z nich boli również mnie.

- Mogłaś chociaż powiedzieć jedno słowo: „Odchodzę”.

- Sądziłam, że milczenie potrafi być równie wymowne.

Chwycił ją w ramiona, szarpnął.

- Jak mogłaś?! Ja się martwiłem! Tak okropnie! Przecież cię kochałem, ponad wszystko. Nadal kocham... Tak pięknie

pachniesz... - Zaczął obsypywać jej twarz, jej szyję pocałunkami.

- To nie ja pachnę, to róże.

Pchnął ją na trawę, między klomby, wydobył z sukienki te prężne znajome piersi, ścisnął w dłoniach, przytknął brodawki do ust.

- Brakowało mi ciebie - szepnął. - Tak strasznie brakowało.

Ona nic nie odpowiedziała, tylko odwróciła głowę i przymknęła oczy.

Artur jednym ruchem zerwał pajęczynę majtek, wbił się w miękką wilgoć między udami kobiety. Obcasami kłuła błękitne niebo.

- Liliane, kocham cię, słyszysz... - Poruszał się w niej, tłumiąc bolesny szloch wzbierający w gardle. Ona pojękiwała cicho, nieruchoma jak posąg. Jakby to wszystko jej nie dotyczyło.

Przy okazji wcześniejszej szarpaniny zaroiło się w powietrzu od płatków róż, wirowały nad nimi niczym plamki krwi. Odgięła głowę, otworzyła usta, rząd ząbków zalśnił niczym perły, oddychała chrapliwie, a on spijał jej oddech.

- Liliane... Tak dawno.... Tyle czasu...

Krzyknęła krótko, urywanie, płosząc ptactwo, które z łopotem poderwało się z ogrodowych drzew. W skurczu przyjemności Artur zwalił się na jej miękkie przyjmujące ciało.

Odnalazła majtki, poprawiła ubiór szybko i sprawnie. Czekała na towarzysza nieruchoma, z obliczem stężałym w nieodgadnionym wyrazie. Znów była dobrą niemiecką żoną, idealnie wykonującą obowiązki wobec narodu i męża. Jedynie jej zarumieniona twarz zdradzała, że coś się wydarzyło.

Artur zastanowił się, czy Liliane oddała mu się z namiętności, czy raczej z posłuszeństwa, które kobieta winna jest mężczyźnie.

Zagrzmiało. Nad horyzontem pędziły w ich kierunku chmury. Trzeba było wracać do budynku.

*

- Jesteście nareszcie - przywitał ich pan domu. - Muszę powiedzieć, że my się tutaj doskonale bawiliśmy. Udało mi się zdalnie doprowadzić dwóch chłopów do bójki.

Zagrzmiało raz jeszcze.

- Zbliża się burza! Niedopuszczalne, bym miał was wypuścić w taką pogodę. Zostańcie nie tylko na kolacji, ale na całą noc. Chodźcie tymczasem do salonu. Ale, ale, kochanie, wydawało mi się, że słyszałem twój krzyk.

- Wystraszyłam się. Wydawało mi się, że to Zaam, ale to był tylko obłok.

- Cholerni Żydzi. - Gospodarz zacisnął pięści. - Nigdy nie zostawią człowieka w spokoju.

Artur pokiwał machinalnie głową. Ruszyli korytarzem, Hans pierwszy, za nim Anna z Arturem, na końcu Liliane. Sosnowski odwrócił się jeszcze i zauważył, że blondynka przy pomocy chusteczki ściera coś spływającego po udzie.

Błysnęło raz i drugi, w salonie zamigotało. Wszystko wokół stało się nagle ulotne, jakby się miało rozpaść. Jakby właśnie pękały wiązania spajające rzeczywistość.

A zaraz potem zahuczały grzmoty.

- Nie macie się czego obawiać. - Seitling się obrócił. - To tylko nasi walczą na błyskawice z magami Żydów i Polaków.

W lesie jest pełno wilkołaków. Jesteśmy całkowicie bezpieczni.

- Sądziłem, że to zwykła burza?

- Żadna burza na Wschodzie nie jest zwykła.

Wówczas zgasło światło i w pomieszczeniu zapadł półmrok.

- Cholera, niby otacza człowieka taka wspaniała technologia, a zwykła burza ją rozpieprza. Przepraszam, zaraz włączy się agregat zapasowy, a póki co, służba wniesie świece. Może usiądziemy?

Rzeczywiście, weszły służące z lichtarzami. Czerwone diodki migotające na kolczastych diademach kobiet świadczyły, że urzą dzenia pracują w trybie awaryjnym. Usiedli. Liliane przeprosiła towarzystwo, mówiąc, że przed posiłkiem chce się odrobinę odświeżyć. Zabrała ze sobą służącą z lichtarzem i zniknęła. Pan domu zajął się organizowaniem pracy służby, by w trudnych warunkach posiłek udał się bez zarzutu.

- Myślę, że powinniśmy zaraz po kolacji iść do domu - szepnął Artur.

- Oszalałeś! - syknęła Anna. - Szaleje burza, a być może i coś jeszcze. Wyjście byłoby krańcowo niebezpieczne. Poza tym byłby to afront wobec naszych gospodarzy, którzy robią wszystko, żebyśmy spędzili ten czas jak najprzyjemniej.

W tym momencie zapaliło się światło. Wniesiono kolację.

*

Po skończonym posiłku Anna koniecznie chciała obejrzeć ślubne zdjęcia. Na polecenie męża Liliane przyniosła oprawiony w skórę album. Usiedli na miękkiej, wygodnej sofie, blondynka z albumem pośrodku. Wyświetlała na infoszybach kolejne fotografie pełne roześmianych twarzy.

Artur ledwie na nie patrzył. Dziewczyna znajdowała się tak blisko, że czuł jej ciepło i zapach. Nie potrafił skupić się na niczym, wciąż przed oczami miał jej prężne pełne piersi, które teraz ledwie mieściły się w dekolcie sukienki.

- Planujemy, by jej ciało co roku produkowało jednego żołnierza dla Führera - odezwał się pan domu z fotela.

- Tylko to jest moim marzeniem - odparła Liliane.

- Kiedyś wydawało mi się, że byłaś inna - rzekł z namysłem Artur. - Bardziej niezależna.

- Teraz wiem, że emancypacja to żydowski ferment intelektualny.

- Lili wie, gdzie jest jej miejsce. - Podniósł palec pan domu. Tak powinna wyglądać każda rodzina. Nie ma konfliktów, kłótni. Wszystko jasne. Podobno planuje się wyprodukowanie specjalnych obręczy zakładanych na głowę kobiet, podobnych do tych, które zakłada się niewolnikom, ale oczywiście nie o aż takim totalnym tłumieniu. W ten sposób żony zbliżą się wreszcie do obiecanego przez Führera ideału. Pierwszy założę Liliane coś takiego i będzie mi za to wdzięczna.

*

Siedzieli z Anną w domku nad jeziorem od trzech dni. Teraz byli pogrążeni w jakiejś banalnej rozmowie. Wtedy pojawili się oni. Najpierw ich nie było. A potem, gdy Artur mrugnął, jakby zgasło światło, jakby moment przymknięcia powiek trwał milisekundę dłużej niż zwykle. I nagle stali wewnątrz pokoju. Wszyscy tak samo ubrani w czarne, lekko błyszczące nieprzemakalne płaszcze i takież kapelusze. Oczy zasłaniali okularami przeciwsłonecznymi. Coś nie tak było z ich twarzami, jakby nie mieli skóry, tylko niezdrowo

bladą substancję przypominającą ciągliwy, stopiony pod wpływem temperatury żółty ser, który następnie zastygł.

Anna krzyknęła, podnosząc w przerażeniu ręce do ust. Ale, co dziwne, nie rozległ się żaden dźwięk, Artur zobaczył tylko otwarte usta.

- Pójdzie pan z nami, Herr Sosnowski - powiedział stojący najbliżej, wyciągając rękę. W osłoniętej czarną rękawiczką dłoni trzymał infoszybę. - Proszę się nie obawiać, służby specjalne.

- Rozkaz to rozkaz, prowadźcie panowie - rzekł Artur i ruszył z nimi. Odnosił wrażenie, że słowa przepływają gdzieś obok niego, zaczęły wybrzmiewać z opóźnieniem, gdy zrobił pierwsze kroki.

Wówczas rozległ się przeraźliwy krzyk Anny. Artur natychmiast obejrzał się, ale ona siedziała spokojnie, sama jakby zdziwiona, wsłuchana w ten krzyk, który krążył po pomieszczeniu najwyraźniej równie zagubiony jak ludzie.

Sosnowski wyszedł z domu.

Obok niego sunęli mężczyźni w płaszczach. Właśnie tak, nie szli, ale sunęli. W stronę lasu. Niepokój nie odstępował Artura. Jeżeli chcą go rozstrzelać?

- Dokąd mnie prowadzicie?

- Proszę się nie obawiać. Wszystko jest w najlepszym porządku. Osobiście odpowiadam za pańskie bezpieczeństwo.

Znaleźli się między drzewami. Jeden ze strażników nie dopiął płaszcza. Na chwilę materiał odgiął się, przytrzymany jakąś gałęzią. Artur zobaczył, że pod płaszczem mężczyzna nie ma skóry, tylko falujące jelita, pulsujące organy wewnętrzne, wszystkie kredowobiałe z niebieskimi żyłkami.

Zwymiotował pod nogi.

- Wszystko w porządku? Nie mamy czasu.

- Wszystko jest w najlepszym porządku - odparł, ocierając usta. Czuł, że ma nieświeży oddech. - Po prostu za dużo zjadłem.

Doszli do niewielkiej polanki. Na środku czekał latający dysk. Oparty o niego stał pilot z rękoma w kieszeniach, w zębach trzymał łodyżkę.

Trawa wokół była odbarwiona, jasna, rozsypywała się od dotyku.

- Proszę wsiadać. Czeka pana długi lot. My się tutaj pożegnamy - powiedziała istota w płaszczu. - Czekają nas inne zadania.

- Walka z czarodziejami? - wypalił.

Tamten popatrzył na niego przez czarne okulary. Artur miał wrażenie, że wpada w studnię.

- Nie ma pan pojęcia.

Pilot zaprosił Artura do środka, otwierając właz i zrzucając sznurową drabinkę. Wkrótce obaj zasiedli w wygodnych fotelach. Latający dysk wzniósł się z oszałamiającą prędkością, otoczył migotliwą poświatą i pomknął na północ.

# VIII

Sosnowski przyglądał się wnętrzu dysku. Ściany i przyrządy miały kolor stalowoszary, drążek sterowniczy wykonano z lepkiej substancji. Pozostałych urządzeń, na przykład karabinów, nie zauważył. Jego towarzysz wyjaśnił, że broń można wywołać w razie potrzeby, wówczas po prostu wysuwa się ze ściany. Pojazd nie posiadał okien, otoczenie pokazywały materializujące się na żądanie pilota szyby. Dwa głębokie, miękkie fotele wydrążone tak, by nie

dało się z nich wypaść, znajdowały się na obracającej przy zmianie kierunku kolistej podłodze. Dzięki temu zawsze znajdowali się przodem do kierunku lotu. Z początku Polakowi kręciło się w głowie, ale po pewnym czasie dostosował się do tego.

- Pierwszy raz lecę haunebu - rzekł Artur.

- To nie haunebu, tylko vril - odparł pilot, na chwilę odwracając ku niemu twarz. - Powłoka ma bardziej opływowy kształt i została tak wyprofilowana, że pojazd jest niewidoczny dla radaru. Dzięki temu może zaatakować cel i uciec amerykańskim F-16. We właściwych rękach ta zabawka to najlepszy obiekt latający tej wojny. Proszę się nie obawiać, jesteśmy całkowicie bezpieczni. Nieprzyjaciel nie tylko nas nie widzi, zazwyczaj jest też gorzej uzbrojony, wolniejszy i co najważniejsze, nie dorównuje nam zwrotnością. Proszę spojrzeć. - Mężczyzna przekręcił nieco stery. Vril zareagował natychmiast, błyskawicznie zmieniając tor lotu o dziewięćdziesiąt stopni. Jeszcze jeden nacisk na stery i powrócili na poprzedni kurs.

- Fenomenalne, prawda? - mówił dalej pilot. - A co najciekawsze, nie czuł pan ani przyspieszenia, ani siły odśrodkowej. Interesująca właściwość napędu antygrawitacyjnego, odkształcanie przestrzeni miesza w wektorach sił. Jeżeli to pana bardziej interesuje, niech pan najlepiej porozmawia z technikami, którzy montują dzwon, albo z naukowcami, którzy wymyślili tę technologię.

Artur patrzył, jak na infoszybach przemykają morskie fale. Odnosił wrażenie, że lecą i lecą bez końca. Pędzili tak szybko, że drobny śnieg tworzył na ekranach krótkie, jasne zygzaki.

- Daleko jeszcze?

- Już jesteśmy prawie na miejscu. - Arturowi zdawało się, że pod hełmem mężczyzna się śmieje. - Proszę się teraz przygotować.

- Na co?

Nagle przed nimi pojawiła się biała bezkresna równina. Olbrzymia połać śniegu i lodu ciągnęła się po horyzont. Latający dysk zaczął spadać z dużą prędkością. Artur chwycił się mocniej poręczy. Elektrostatycznie mrowiące skórę pole wytwarzane przez fotel jakby zgęstniało, tworząc kokon. Na infoszybach przed nimi falowała groźna, rozgniewana tafla mroźniej wody, zbliżająca się z każdą sekundą. Artur zrozumiał, że nie dolecą do lądu. Vril runął w topiel.

- Jak pan myśli, technicy sprawdzają czasem szczelność kadłuba? - Pilot odwrócił się ku niemu i Artur dałby głowę, że pod czarną szybą tamten szczerzy zęby. Tymczasem vril nabierał głębokości.

- Pokażę panu widok z czujników na dachu.

Przed Arturem zmaterializował się ekran. Pokazywał przepływające ponad dyskiem tony śniegu i lodu.

- Nigdy nas tutaj komuchy nie znajdą. Pod biegunową czapą Führer jest w pełni bezpieczny.

Pilot ustabilizował podwodny lot.

- Nie możemy bardziej nabierać głębokości. Ciśnienie, rozumie pan.

Artur pokiwał głową. Przed nimi pojawił się obiekt przypominający kształtem grzyb z systemem ramion i wysięgników.

- Jesteśmy na miejscu?

- Żartuje pan? To tylko pojazd strażniczy. Muszę mu wysłać kody, inaczej przepołowi nas łańcuchowymi tasakami. Lepiej go nie drażnić. Tu, pod wodą, vril nie jest już tak zwrotny, a najmniejsze uszkodzenie powłoki skończy się tragicznie.

Z szarej materii ściany wysunął się niewielki pulpit i mężczyzna wraziwszy głęboko palce w otwory, ugniatał

chwilę jego powierzchnię. Strażnik gładko usunął się z drogi.

Woda była mętna, dlatego Artur nie od razu ją zauważył. Podczepioną pod lodem na licznych stalowych mackach gigantyczną podwodną bazę.

*

Gdy już zadokowali, przeszli przez śluzę. W korytarzu czekał na Artura mężczyzna z opaską na oku.

- Witam, Herr Sosnowski, w podwodnej fortecy Adolfa Hitlera. Jestem hrabia Claus von Stauffenberg i mam zaszczyt zostać pańskim przewodnikiem po tym wspaniałym miejscu. Jak minęła podróż?

- Znakomicie - odparł Artur, ostrożnie ściskając rękę o trzech sprawnych palcach. - Nie sądziłem, że można tak szybko odbyć podróż z okolic Berlina na...

- Arktykę, drogi panie. Jesteśmy pod lodami Arktyki. Proszę za mną.

Ruszyli korytarzem skąpanym w sterylnie białym świetle. Obok przez grubą szybę Artur mógł zobaczyć zawieszoną w powietrzu machinę przypominającą kilkumetrowy dzwon, wokół którego krzątali się technicy w ciężkich kombinezonach, z maskami z czerwonego szkła zakrywającego twarz.

- Mamy tu własną fabrykę vrili. Nawet jeśli odetną bazę od kontynentu, będziemy je mogli produkować, wożąc surowce z Ameryki Południowej.

- Nie taniej by było zbudować fabrykę na kontynencie? Transport składników U-bootami musi kosztować fortunę.

- Zależy, jak się przelicza koszty, Herr Sosnowski. Tutaj nie zagraża nam ani bombardowanie, ani komunistyczny szpieg. Nikt też nie może przejąć tej fabryki, by użyć vrili

przeciwko Rzeszy. Musi pan wiedzieć - hrabia spojrzał na Artura zdrowym okiem że nie brak w Niemczech zdrajców.

Sala z dzwonem została za nimi. Obecnie doszli do hali, gdzie mężczyźni chodzili na wygiętych łukowato kawałkach metalu przymocowanych obręczą na łydce, dzięki czemu ich krok stawał się szybki i sprężysty.

- Mamy też laboratoria badawcze. - Wskazał od niechcenia von Stauffenberg. - Wracając do vrili. Podczas produkcji rdzenia silnika tworzy się plazma z rtęci, berylu i toru oraz kilku pierwiastków, których panu nie zdradzę. Nim się ustabilizuje, jest bardzo toksyczna i promieniotwórcza. Trafienie bombą lotniczą podczas tak niebezpiecznej reakcji chemicznej mogłoby mieć bardzo nieprzyjemne skutki. Pozwoli pan, tędy. - Niemiec wskazał na rozwidleniu drogę w prawo. Minęli ich biegnący żołnierze w futrach upodabniających ich do śnieżnych niedźwiedzi.

- Na lewo trafiłby pan do wind - kontynuował. - Mamy kilka połączeń z powierzchnią. Głównie wentylacyjnych, ale niektóre służą również jako wyjścia ewakuacyjne. Są też pewne towary, które nie mieszczą się na U-bootach i może je przetransportować tylko junkers. Jednak na powierzchni panują często fatalne warunki i lądowanie podczas zawiei nie należy do najprzyjemniejszych, dlatego goście przybywają tą trasą, co pan. Dotarliśmy do celu.

Drogę zastąpił im mężczyzna w wojskowym mundurze.

- Nie skonsultowałeś tej wizyty ze mną, von Stauffenberg! powiedział.

- Führer wyraził życzenie. Uznałem, że moim obowiązkiem jest wypełnić je jak najszybciej, a nie tracić czas na szukanie jego sekretarza.

- Mimo to spełnienie tego życzenia może zagrażać jego bezpieczeństwu. Słyszał pan, hrabio, o pewnej przepowiedni?

- Którą wygłosił podobno ten sam człowiek, który stoi u mojego boku. Jeżeli tutaj przybył, znaczy, że jest nieaktualna. Poza tym, odkąd to wierzy pan w plotki i bajki, Herr Bormann?

- Odkąd te bajki wygrywają dla nas wojnę.

- Wojnę wygrywa dla nas ofiarność naszych żołnierzy i co ważniejsze, geniusz Führera. Jeżeli Adolf Hitler życzy sobie widzieć tego człowieka, on tam wejdzie. Proszę nas przepuścić albo zawołam straże.

Martin Bormann ustąpił niechętnie.

- Nie patrz tak triumfalnie, Polaczku. Gdyby nie von Stauffenberg, nigdy byś się tutaj nie znalazł.

*

Wewnątrz ogromnego pomieszczenia znajdowało się mnóstwo urządzeń przypominających bulwy, połączonych ze sobą od góry systemem rur. Kilka z nich biegło do wielkiego kryształu na środku, w którym tkwiła ciemna sylwetka. Artur rozejrzał się po ścianach. Wyświetlały się na nich infoszyby z tabelami i raportami, migającymi i zmieniającymi się w okamgnieniu.

Wyżej, na galeryjkach trzymali wartę uzbrojeni żołnierze.

- Dawno chciałem pana poznać, Herr Sosnowski - dobiegło z głośników.

- To dla mnie zaszczyt, mein Führer. - Artur skłonił się lekko.

- Szkoda, że nie mogę uścisnąć panu ręki. Ręki osoby, która pomogła zabić tylu Brytyjczyków. - Artur poczuł pieczenie pod oczami. Zamrugał szybko. Tymczasem głos kontynuował: - Niestety, bomba zmontowana przez zdrajców i niegodnych synów ojczyzny poszarpała moją cielesną powłokę. Tylko ten kryształ utrzymuje mnie przy

życiu, inaczej, gdyby nie głębokie zamrożenie organizmu, choroba zniszczyłaby mnie w kilka dni. Zastanawia się pan, dlaczego możemy rozmawiać? Cud niemieckiej nauki. Niedługo zaś dokona się kolejny cud, wyjdę z tej mroźnej klatki odnowiony i potężny niczym Bóg. Moi naukowcy zapewniają mnie, że są już blisko. Nie stanę się marną maszyną jak Robo-Churchill, marną namiastką człowieka. Genetyka pozwala nam już stworzyć dowolną liczbę klonów, natomiast ezoteryka wkrótce da nam niezwykłe możliwości przenoszenia świadomości. Adolf Hitler zastąpi niemieckie społeczeństwo na wszystkich ważnych stanowiskach. A może kiedyś, w przyszłości, zastąpi całą ludzkość, niedoskonałą i sparszywiałą. Wszyscy będą mieli moje ciało i mój umysł. Będziemy jednością, a zdrada, niemoralność i błędy zostaną ostatecznie wyplenione.

Gęsia skórka, bynajmniej nie z zimna, pojawiła się na ramionach Artura. Jednak słowa wodza były logiczną konsekwencją polityki prowadzonej przez nazistów. Odcinano kolejne, uznawane za bezwartościowe gałęzie społeczeństwa. Aż wreszcie okazało się, co się naprawdę za tą polityką kryło.

- Co daje panu, mein Führer, prawo, by usunąć wszystkich innych? Zostawić na ziemi tylko siebie w niezliczonych kopiach?

- Opatrzność albo Bóg, oczywiście. Sądziłem, że wy, Polacy, jesteście religijni. Powinien pan o tym wiedzieć?

- Bóg? Skąd pomysł, że akurat tego chce?

- Czyż nie jest jasne, że mnie wybrał? Na początku sądziłem, że tylko po to, abym uczynił naród niemiecki wielkim. Ale potem zrozumiałem, że moja misja jest znacznie ważniejsza.

- To wtedy rozpętał pan pożogę na całym świecie.

- I za każdym razem wygrywałem. Czy to nie znak od Niego? Głos wzniósł się nieco. - Wystarczyłaby porządna

burza w 1939, która sprawiłaby, że leniwe polskie rzeki zamieniłyby się w nieprzebyte przeszkody, a kampania mogłaby wyglądać zupełnie inaczej. Ugrzęźlibyśmy w długotrwałych walkach i Ruscy, nie widząc postępów, nie wkroczyliby siedemnastego września, zostawiając Polakom odwody i miejsce do przegrupowania. Wówczas mogliby uderzyć Francuzi i zostałbym zmuszony do rokowań. A mimo to pogoda dopisała wybornie, lato było piękne tego roku. Wyrok Opatrzności. A takich sygnałów dostałem setki. Przeżyłem wszystkie zamachy na moje życie, a było ich wiele. Jakby siła wyższa zmieniała tor odłamków lub sprawiała, że bomby nie wybuchały w mojej obecności.

- Jedna wybuchła na czas.

- Akurat wtedy, kiedy naukowcy opanowali technologię hibernacji ciała. To był kolejny znak. Tym razem muszę przezwyciężyć przywiązanie do cielesności, aby osiągnąć boskość w nowej rasie ludzkiej, której początek dadzą komórki mojego ciała. Inaczej nigdy bym się nie zdecydował na ten krok. Porzucić własną powłokę i zamieszkać w milionie innych?

- Rozumiem. Jest to łatwe tylko wtedy, gdy własne ciało już właściwe nie istnieje.

- Widzę, że pan jako okultysta również doskonale czyta znaki Opatrzności. I w ten sposób gładko przeszliśmy do celu pańskiej wizyty tutaj. Jak będzie wyglądała przyszłość?

Artur pomasował z zafrasowaniem brodę.

- Mimo nieustannie czuwającej Opatrzności, radziłbym uważać...

# IX

Na kosmodromie nieopodal Nowego Berlina zgromadzili się niemal wszyscy najważniejsi dygnitarze Rzeszy.

- Brakuje tylko jednego wiceministra - odezwał się stojący obok Artura Luehmann. - Nie widziano go od czasu, gdy poszedł karmić swojego pająka. Plotka głosi, że uciekł na tydzień ze swoją kochanką. Mimo to fakt, iż nie wrócił w dniu największego triumfu Rzeszy, zakrawa na poważną obrazę.

Ludzi zebrało się rzeczywiście mnóstwo. Na najwyższych ławach partyjni i wojskowi, na dole dziennikarze, co chwila błyskały flesze ich aparatów. Wyjątkowo w centrum obiektywu nie znajdował się polityk, ale stojący przy wieży ze stali obły pocisk. Wysoka, smukła pierwsza rakieta kosmiczna Wielkiej Rzeszy Niemieckiej. Na wysokości dwóch trzecich namalowano szeroki czerwony pas, wewnątrz niego białe koło ze swastyką. Biegnące w dół litery układały się w nazwę „HERRENVOLK”.

Artur liczył na spotkanie z Weinerem. Przy Luehmannie czuł się jak w obecności wielkiego śliskiego robaka.

- Weiner pojechał odwiedzić żonę i dzieci. Sądził, że pański pobyt w cesarstwie się przedłuży i również zrobił sobie urlop. W czasie wojny przepustka dla tak zaangażowanych oficerów to rzadkość. Niech się pan nie martwi, dostałem rozkaz, by go zastąpić. Na razie czasowo.

- Na razie?

- Powiem panu szczerze, nie podoba nam się ten Weiner. Mówię o samej górze. Miał pan wyjątkowego pecha, że na samym początku pan na niego trafił. Nasi planiści nie zalecali potem gwałtownych zmian, uważając, że skoro coś idzie do przodu, nie należy nic z tym robić. Ale czasy się zmieniają, a Weinera nikt nie lubi. Na przykład, to przywiązanie do rodziny. Owszem, dobra sprawa, płodzić dzieci, żeby się naród rozwijał. Ale Weiner, on stawia rodzinę ponad interes narodowy. Kiedyś rozmawialiśmy

bardzo poważnie na temat pewnej zawiłej doktryny partyjnej i Weiner coś powiedział o uczuciach do drugiego człowieka, rozumie pan?! Weiner się kończy. Myślę, że od przyszłego miesiąca zacznie się nasza bardzo udana współpraca.

Pierwsza mrówka wyszła na plecy Artura i leniwie przywołała pozostałe. Rozpoczęły mozolny marsz wzdłuż kręgosłupa. Otrząsnął się, pozbywając przykrego uczucia. I gdy opuściła go troska o siebie, przed oczami stanął mu ostatni element układanki, pozwalając zrozumieć Gerharda Weinera.

Dlatego nigdy nie mówił o sobie - chronił to, co dla niego najważniejsze. I dlatego konflikt między pragnieniem zniszczenia nazistów a koniecznością, by nie ponieść klęski w tej wojnie, nosił znamiona tragedii. Gerhard Weiner grał nie tylko o swoje życie.

- Startuje, niech pan popatrzy! - Szturchnął go łokciem Luehmann. Wśród dziennikarzy zapanowało poruszenie. Flesze zamigotały niczym elektryczna burza. Czy Arturowi się wydawało, czy widział na dole zgrabną sylwetkę Anny?

A ogromna rakieta zadrgała i jej podstawę otoczyła gęstniejąca chmura dymu. Wreszcie powoli, coraz szybciej zaczęła się unosić, pchana w kosmos białym ogniem z dysz.

- Wszystkie służby powietrzne postawiliśmy w stan najwyższej gotowości, by nie dopuścić alianckich myśliwców. Rozumie pan, taki wyczyn nie jest łatwy w czasie wojny. Pierwszy człowiek, oczywiście Aryjczyk, pojawi się na Srebrnym Globie. Nazistowska flaga załopocze na naszym satelicie.

- Na Księżycu nie ma wiatru.

- Słucham?

- Mówiłem, że nie będzie łopotać.

- Będzie. Propagandziści Goebbelsa zrobili ją z jakiegoś pofałdowanego plastiku.

- Pokazujecie ludziom sztuczną rzeczywistość.

- Goebbels twierdzi, że ludzie tego pragną. Inaczej słuchaliby nie jego, a głosu prawdy i rozsądku. Tymczasem niech się pan rozejrzy. Wszyscy, ale to wszyscy prześcigają się w opowiadaniu bajek.

Nazistowska rakieta była już tylko białą gwiazdą na błękitnym firmamencie. Jeżeli Artur liczył, że dojdzie do jakiejś awarii i pojazd spadnie w strzępach, srogo się rozczarował. Ale przecież sam przyczynił się do położenia fundamentów pod obecne technologie.

- Dlaczego nie stosujecie tego samego napędu, co w latających dyskach? Wydawałoby się, że nie ma lepszego sposobu na opuszczenie planety niż odwrócenie siły ciążenia?

- W dużej odległości od planety antygrawitacja przestaje się sprawdzać, potrzebowalibyśmy tak czy siak silników chemicznych. W przyszłości planujemy zamontowanie obu rodzajów napędów, obecnie dzwon jest wciąż zbyt masywny, a w nieważkości zupełnie nieefektywny.

Niewielka świetlna igła przebijała materię nieba.

- W przyszłości zbudujemy ogromną stacje orbitalną z zainstalowanym działem jonowym, pozwalającym trzymać w szachu całą planetę. Plan na najbliższe dwa lata jest skromniejszy. Chcemy wystrzelić pierwszego antyżydowskiego satelitę!

- Słucham?

- Dzięki superczułym przyrządom optycznym będzie wykrywał Żydów i pedałów na obszarze całej planety. Już nigdy nie będą bezpieczni. Wyobraża pan to sobie?

Artur nie mógł dłużej powstrzymać skrzywienia ust.

- A nie myśleliście, żeby w ten sposób łapać morderców, gwałcicieli, złodziei?

- Spokojnie. Wszystko we właściwej kolejności.

- Staram się być spokojny...

- Opracowujemy już algorytmy dla hańby rasowej, czyli stosunku z podczłowiekiem i zdrady męża przez żonę. Potrzebna będzie ogromna baza danych, ale niech nikt nie mówi, że się nie rozwijamy w celu poprawy warunków życia w społeczeństwie.

- Nie myśleliście, żeby zamontować takiego normalnego satelitę szpiegowskiego? Takiego, co to śledzi wrogie obiekty wojskowe? Musiał być zaraz antyżydowski?

- I antyp... - Odruchowo chciał dodać Luehmann, usta wydęły mu się z nieodpartą odrazą na głosce „p” i tak zatrzymały pod wpływem czegoś w spojrzeniu Artura, co sprawiło, że niespodziewanie zmieszał się i w ostatniej chwili poprawił: - Antyhomoseksualny. Ma pan trochę racji... Wojna nam idzie o tyle, o ile... Oczywiście, zwyciężamy - poprawił się natychmiast. - Ale taka wiedza o warunkach na froncie byłaby bezcenna. - Podrapał się po potylicy. - Z tego wniosek, że zaraz potem musimy wystrzelić drugiego satelitę, militarnego.

Uroczystość dobiegała końca. Ludzie zaczęli się rozchodzić. Transmisja z wnętrza rakiety i tak musiała zostać przefiltrowana najpierw przez Instytut Propagandy. Nie było nic więcej do oglądania.

- Zapraszam na przyjęcie partyjne. Będą aktywne działaczki młodzieżówki - zaproponował Luehmann.

- Może później. Wydawało mi się, że widziałem w tłumie kogoś znajomego.

- Jak pan chce. Ale mówię panu... Same liderki, palce lizać.

Artur już tego nie słyszał, przedzierał się przez tłum.

- Anna!

- Artur?

- Wszystko w porządku? Nic ci nie zrobili? - mruczał w jej włosy, trzymając dziewczynę w ramionach.

- Nie, skąd? Od razu znikli tak samo nagle, jak się pojawili. I przyszedł ten nasz opiekun niby. Zapytał, czy chcę zostać, czy wracać do stolicy Europy. Właśnie tak się wyraził, stolicy Europy. No to wybrałam powrót w nadziei, że w Berlinie dowiem się czegoś o tobie. Poza tym, nie chciałam tam sama siedzieć. Martwiłam się.

- Nic ci o mnie nie powiedzieli?

- Powiedzieli mi, że jesteś bezpieczny. Ale zasugerowali, że jesteś niebezpieczny. Dla mnie. Dla każdego, kto się z tobą spotyka.

- Rozumiem, jeżeli nie zdecydujesz się na to ryzyko. - Puścił ją i odstąpił o krok.

- To jest nieco bardziej skomplikowane. Musimy porozmawiać na osobności.

*

Zaprosiła go do swojego mieszkania. Najpierw na długo zniknęła w kuchni, wreszcie wróciła, niosąc na tacy dwie filiżanki z parującą kawą. Obok postawiła talerzyk z ciastkami.

- Nie jestem pewien, czy mam ochotę na kawę - powiedział.

- Napij się. Mam przeczucie, że czeka nas długa noc.

- Skoro tak uważasz... - Sięgnął po ciastko. Zmiażdżył z chrzęstem między zębami.

- Zabawne, jak wszystko jest na tym świecie zdeterminowane. Tyle rzeczy można przewidzieć. Przed tak

wieloma, mimo tej wiedzy, nie można uciec. Słodzisz?

- Chętnie. - Nasypał sobie półtorej łyżeczki.

Głos Anny lekko się łamał, Artur poczuł niepokój. Pomieszał kawę. Piana na filiżankach ułożyła się w znaki tao. Czerń kawy, biel rozpuszczonej kropli mleka.

- Na przykład wszyscy wiedzieli, że Hitler dąży do wojny. Napisał to wprost w *Mein Kampf,* potrzebował przestrzeni życiowej. Potem zmusiła go do tego absurdalnie socjalna i interwencjonistyczna gospodarka. Jeżeli państwo ingeruje we wszystkie sfery i wypłaca setki ubezpieczeń i świadczeń... Ileż można wydawać weksli przez fikcyjne firmy, ileż dodrukowywać pieniędzy. Zabranie majątków najbogatszym, czyli Żydom, tylko oddalało nieuchronne załamanie gospodarki. Choć chwilowo łatało dziurę budżetową, to przez odcięcie tych elementów, które mogły jeszcze podźwignąć gospodarkę z kolan, zanim do reszty padnie, musiało ją wykończyć. Poza krachem, innym rezultatem mogła być tylko wojna i związany z nią rabunek. W trzydziestym siódmym, ósmym wszyscy już wiedzieli, że to się musi skończyć wojną, rozumiesz? Nie było innego wyjścia, inaczej trzeba by zejść do U-boota i umykać do Ameryki Południowej. Wszystko, wszystko jest tak zdeterminowane...

Mrugnął, a z tym mrugnięciem miał wrażenie, że jakieś cienie się podniosły z kątów i mrok wtargnął do pokoju. Odniósł wrażenie, że zmieniła się jakaś podstawowa konfiguracja rzeczywistości. Wszystko wokół było takie samo, a jakby inne.

Usypiam, pomyślał. Zbyt wiele wrażeń jak na jeden dzień.

Upił większy łyk kawy. Jednak będzie jej potrzebował.

- Dlaczego o tym dzisiaj rozmawiamy? O Niemcach? Mieliśmy o nas?

- Bo gdyby nie wojna w 1939, nasz związek mógłby wyglądać zupełnie inaczej. Teraz, jest zdeterminowany -

dmuchnęła. - Gorąca.

- Nie wierzysz w miłość w czasach wojny?

- Skoro w miłości tak często zdarza się wojna... Pewnie wszystko jest możliwe - uśmiechnęła się krótko. - Widzisz, z nami jest inaczej...

Piła krótkimi łyczkami. On połykał kawę ostrożnie, jakby zależały od tego losy świata.

- Wojna zdeterminowała absolutnie wszystko. A że poznałam cię bardzo dobrze, tak strasznie żałuję, że nie potoczyło się to inaczej.

- To znaczy? - Postawił pustą filiżankę obok jej tak, że stykały się brzegami. Sygnał o bliskości. Zauważy?

Anna nie patrzyła na filiżanki. Prawdę mówiąc, wydawało się, że unika ich wzrokiem. Patrzyła prosto na niego.

- Nie przyjechałam do Nowego Berlina relacjonować jakieś głupoty z budowy miasta ani przepisywać do gazety przemówień partyjniaków, dodając od siebie wykrzykniki zachwytu.

- To zrozumiałe, stać cię na więcej, Aniu.

- Działam w polskim wywiadzie, Artur.

- Słucham?

- Prawdziwym, polskim... Nie tym marionetkowym, cesarstwa. Wysłano mnie, żeby zneutralizować najbardziej niebezpieczną broń nazistów - ciebie. Bardzo mi przykro, że przyrządziłam ci tę kawę.

Artur popatrzył na puste filiżanki. Stykały się brzegami. Sam je tak ułożył.

Pociemniało mu przed oczami.

- Nasza miłość?

- Miała być fikcją. Stała się... prawdą. Ale była to nadal miłość w czasach wojny. Przykro mi. Nie możemy pozwolić

ci żyć w Berlinie, wśród chmary partyjniaków, którym będziesz zdradzał kolejne znakomite wynalazki.

Poczuł, jak drętwieją mu palce.

- Ile czasu mi zostało?

- Za kilka minut nie będziesz się musiał niczym martwić.

- Dziękuję. Że to tak szybko działa.

- Wiem, że jestem oszustką i jedyne, co czujesz do mnie, to nienawiść.

- Nienawidzę jedynie siebie. Nie potrafię kierować swoim życiem, a z każdą decyzją tylko mnożę błędy.

Zobaczył, jak po jej policzkach płyną łzy. Przymknęła oczy.

- Pisałam listy... Do kwatery głównej... Chciałam to załatwić inaczej... Ale nastąpiły pewne wydarzenia... Chyba szkoda twego czasu, by ci o nich teraz opowiadać... musieliśmy przyspieszyć... coś powtórzyć komuś w Berlinie? Jakieś ostatnie słowa?

- Kocham cię, Anno.

- Ja... też cię kocham, Arturze. Gdyby nie wojna... Bylibyśmy ze sobą przez wieczność. - Jej głowa osunęła się na oparcie fotela.

Artur powoli dotknął jej ręki. Podniósł. Opadła bezwładnie. Uciekł z mieszkania.

*

Szedł nocą ulicami Nowego Berlina. Były puste i ziały ciemnością. Niebo przybrało brzydki czerwony kolor, jakby stanęło w płomieniach. Artur odniósł wrażenie, że coś przemyka po ścianach, otacza go, niemal widział kątem oka formujące się przy murze kształty, jednak gdy się oglądał, nieustannie okazywało się, że to tylko igraszki wyobraźni.

Nie potrafił założyć maski i zaskakująco ciepłe o tak późnej porze powietrze owiewało mu twarz, nie łagodząc gorączki, która go ogarnęła. Nie wiedział, dokąd idzie i po co. Byłby tak wlókł się godzinami, gdyby z ulicy naprzeciwko nie dobiegł gwałtowny, rytmiczny tumult, jakby zbliżało się stado koni.

Silna ręka pociągnęła go do bramy. Ulicą przebiegli opancerzeni żołnierze. Ich zbroje zaginały się jak półksiężyce, tułów wieńczył stalowy rogal ze ściętą płasko końcówką. W rękach trzymali grube kije zakończone kulą.

- Niebezpieczną noc wybrał sobie pan do spacerów. Noc, w którą przebudziły się walkirie - odparł wielki esesman stojący obok niego. Zdjął przyłbicę i Artur rozpoznał Weinera. Niemiec twarz miał bardziej zmęczoną niż zwykle, jakby mu przybyło dwadzieścia lat. Spoglądał na Polaka przekrwionymi oczami

Gdzieś daleko rozległy się strzały. Chaotyczna palba. Błyskawica pomknęła znad domów i świetlnymi czerwonymi mackami wgryzła się w chmury.

- Co się dzieje?

- Start rakiety przyspieszył wszystko. Amerykanie nie zdecydowali się dłużej czekać. Atomowy atak zmiótł z powierzchni ziemi Drezno i Warszawę. Przykro mi - dodał widząc, jak oczy Artura się rozszerzyły. - Zapewne jest pan ciekawy, dlaczego wybrali akurat te dwa miasta? Przecież lepiej byłoby uderzyć w stolicę Rzeszy. Powód jest prozaiczny - zależało im na sukcesie, a Drezno ze wszystkich miast miało najsłabszą obronę przeciwlotniczą. Nie mieliśmy tam żadnych instalacji wojskowych, wie pan. A Warszawa? Również żadnych szans na zestrzelenie bombowca przewożącego nuklearny ładunek. A jaki czytelny sygnał dla wszystkich potencjalnych sojuszników Rzeszy. Dotąd wspierające Hitlera dumne cesarstwo rzucone na kolana. Może nie warto gorliwie nadskakiwać

Osi, bo kto wie, na kogo teraz spadnie nuklearny bat? Gdyby Arabowie w Afryce i na Bliskim Wschodzie, Włochy, Rumunia, Japonia, Finlandia, Węgry, Francja, Hiszpania porzuciły Hitlera, wojna byłaby krótsza, nie uważa pan?

- Czy to znaczy, że wojna... jest skończona? Hitler nie ma atomu.

- Nie ma. Dzięki panu, dodałbym. Ale to nic. Odpowiedzieliśmy równie okrutnie, za pomocą innej broni. Nuklearny atak nie zakończył wojny, jedynie wprowadził ją w nową fazę.

Gdzieś daleko rozległa się potężna eksplozja. Weiner umilkł na chwilę, bo i tak by się nie dało usłyszeć słów poprzez dzwonienie w uszach.

- Czasu jest mało, a mam panu tyle do wyjaśnienia.

Artur popatrzył na oficera. Czego jeszcze mu nie powiedział?

- Na początek, nie przybył pan do naszej rzeczywistości sam ani nie zesłał pana Bóg. My pana przywołaliśmy. Przez pomyłkę. W zamku Wewelsburg chciano wskrzesić legendarnego herosa, króla Artura z Camelotu. Eksperyment się nie powiódł, głównego maga wkrótce uznaliśmy za szaleńca. W istocie teraz wiemy, że stracił zmysły w wyniku inwokacji przekraczającej wszelkie bariery, także ludzkiego rozumu. Wcześniej był najbardziej błyskotliwym członkiem naszego stowarzyszenia. Nie sądziliśmy, że istnieje możliwość przywołania kogoś z przyszłości, na domiar złego pojawił się pan nie w Wewelsburgu, ale pod Wawelem. Tym niemniej, gdy już panu uwierzyliśmy, dokonał się największy zwrot w historii. Sam fakt, że pan przybył z przyszłości, oznaczał, że zjawiska nadprzyrodzone i niepojęte rozumem istnieją! Co za tym idzie, warto było pompować miliony marek w rozwój i badania nad okultyzmem. Akurat zamknęliśmy program atomowy, stwierdził pan, że to bujda, że broń atomowa nie

istnieje i istnieć nie będzie. Wszystkie pieniądze przelaliśmy na badanie nadnaturalnych zdolności człowieka. I zaczęliśmy osiągać sukcesy. Jest to ciekawa cecha rzeczywistości obiektywnej. Jeżeli człowiek wierzy, iż dane zjawisko istnieje, zaczyna dokonywać ogromnego wysiłku poznawczego, żeby je odkryć i udowodnić, a wtedy ono zaczyna istnieć! Prawda jest kwestią pieniędzy pompowanych w badania. Amerykanie mają żydowską fizykę atomu, my ezoterykę.

Z gwizdem przeleciały nad nimi dwa latające dyski, ostrzeliwując się gęsto jasnymi kreskami energii. Splecione w tańcu, otoczone połyskliwymi polami osłaniającymi, wciąż się kąsając, zniknęły za horyzontem.

- Niemcy walczą z Niemcami? - zakrzyknął Artur.

- Czy nie tego pan chciał od początku? Pański plan powiódł się znakomicie. Ale o tym za chwilę. Dość, że odkryliśmy przejście do świata innego, obcego. Odważyliśmy się tam tylko zajrzeć, nigdy nie otworzyliśmy bramy. Żyjący tam obcy, wedle niektórych demony, posiadają umysły wykraczające poza zdolności poznawcze dostępne człowiekowi. Ci obcy bawią się czasem i przestrzenią, życiem i śmiercią. Dla nich to nie są różne stany czy zjawiska, potrafią je łączyć w dowolny sposób. Widziałem już ludzi żywych i martwych zarazem, płynących pod prąd czasu. Wiem, co mówię. Demony to okropne istoty, ale od nich się też uczyliśmy. A one szczodrze dzieliły się swą wiedzą pewne faktu, że skazi ona nasze umysły i zmusi do pragnienia więcej, a wtedy będziemy już od nich zależni. Mówiłem, że nie otworzyliśmy bram? Rzeczywiście, nie odważyliśmy się. Aż do dzisiaj.

Mimo że noc była ciepła, Artur poczuł, że gorąco palące jego ciało odpłynęło i w okamgnieniu zastąpił je lód.

- Zniszczenia wywołane jądrowym atakiem sprowadziły na państwo szok. Musieliśmy zareagować. Tak

przynajmniej uznano na górze. Otworzono bramy do nowego świata w Nowym Jorku i Londynie. Amerykanie już teraz mówią na nie „Hellgate”. Miasta te zostały całkowicie opanowane przez demony i obcą magię. Nie wiemy, czy plaga, jaką sprowadziliśmy, rozleje się po całym świecie, czy nie może oddalić się od przejścia, od Hellgate. Powiem panu, z tego, co słyszałem, lepiej mieszkać dzisiaj w Dreźnie niż w Hellgate New York.

Weiner na chwilę zapatrzył się w przestrzeń, jakby przywołując przed oczy obrazy z kamer szpiegowskich. Wówczas zza rogu ulicy wynurzyła się wielka infoszyba. Unosiła się na wysokości piątego piętra i przedstawiała oblicze Goebbelsa w wianuszku z liści dębu. Przemawiał, jednak głośniki zostały uszkodzone, groteskowo gestykulował i tylko wykrzywiał twarz na tle flagi ze swastyką. Propagandowy billboard popłynął majestatycznie gdzieś w miasto.

- W każdym razie postanowiliśmy skorzystać z zamieszania. Ludzie niezadowoleni z rządów nazistów i prowadzenia wyniszczającej wojny zdecydowali się założyć grupę przygotowującą zamach stanu. Przygotowania ruszyły pod kryptonimem „Walkiria”, oficjalnej akcji mającej na celu zdławienie spodziewanych buntowniczych ruchów wśród robotników niezadowolonych z władzy.

- Ironiczne.

- Mądre. Jeden z naszych przywódców, hrabia Claus von Stauffenberg, znalazł się w najbliższym otoczeniu Hitlera, w podmorskiej bazie skrytej pod lodami Arktyki. W pierwszej chwili pragnęliśmy, by wniósł tam bombę, ale po pierwszym zamachu, gdy Hitler został ranny, druga taka próba była niemożliwa. Stworzono niezwykle szczelny system zabezpieczeń. Tym razem wniósł więc informacyjną bombę, pana, by zakaził pan umysł Hitlera paranoją i lękiem niczym wirus, zmuszając do popełnienia błędów. Sam pan wypełnił przepowiednię, spotykając się z

Hitlerem, zniszczył go pan. Po pańskiej wizycie zasiana nieufność wydała owoce. Führer zaczął inwigilować swoich najwierniejszych paladynów. Oczywiście zorientowali się w tym, a że wcześniej spotkał się pan również z nimi, wiedzieli, co to może oznaczać. Zbyt dobrze pamiętali los szefa SA przed wojną oraz innych oskarżonych z dnia na dzień o nielojalność. Poczynili pewne przygotowania, by się zabezpieczyć. Hitler je odkrył i uznał, że jego podejrzenia się potwierdziły. Upiorny plan, Herr Sosnowski. Pies coraz mocniej gryzł własny ogon, ból potęgował złość i zwierzę zaciskało wściekłej zęby.

- Gdybym podał wam jedną złą informację militarną, przegralibyście jedną bitwę, a moja głowa potoczyłaby się po Reichstagu. Potrzeba było czegoś więcej, na dodatek niepołączonego bezpośrednio z moimi działaniami. Wszystko to były ich decyzje.

- Ale pan nie miał zdolności czytania liter czasu, czy się nie mylę? Pan nie znał ich przyszłości, pan ją stworzył.

- Jak powiedział mój przyjaciel, wybitny naukowiec, nieważne, co jest prawdą, ważne, jakie obrazy ludzie mają w głowach.

- Wiara stworzyła prawdę. Chylę czoło. Gdy wyszliśmy na ulice pod szyldem „Walkirii”, oczywiście pierwsze, co zrobiliśmy, to zaatakowaliśmy centra łączności. Von Stauffenberg dokonał sabotażu w Arktyce. Nikt wśród nazistów nie wiedział, co się dzieje, gdyby się zjednoczyli, przegralibyśmy. Ale oni walczyli między sobą. Göring wprowadził wojska, Goebbels wraz z sprzymierzonym z nim Speerem zamknął się w niezdobytej fortecy Ministerstwa Propagandy i stamtąd kieruje masami ludzkimi, tworząc obronę cywilną. W niektórych rejonach miasta fanatyczni cywile zaatakowali formacje SS Himmlera, sądząc, że ratują nazizm przed Żydami. Część elitarnych jednostek nie słucha Himmlera, służąc tylko Hitlerowi. Dochodzi do

strzelanin również między nimi, oficerom puściły nerwy. Wszyscy biją się ze wszystkimi.

- Czy to już koniec... Z nazizmem?

- Nie wiadomo. W obliczu klęski pewni ludzie tracą rozum i pogrążają się w szaleństwie. Tkanka rzeczywistości w Germanii jest cienka jak nigdy dotąd i lada moment pęknie. Już teraz przedostają się stamtąd dziwne rzeczy. Tak, Herr Sosnowski, jakiś opętany umysł otwiera właśnie trzecią bramę. Hellgate New Berlin! Dlatego tak mało mamy czasu. Musi pan stąd uciekać. Lada godzina korytarz się ustabilizuje i rozpęta się tu piekło.

- A pan?

- Tu jest mój dom i moja ojczyzna. Muszę jej bronić. Także przed tymi, którzy nie wahali się sprowadzić piekło na własny naród, gdy tylko zadrżały fundamenty ich władzy. Jak można było postąpić tak okrutnie. I tak głupio. Już teraz demony przejmują umysły ludzi, a jeszcze nie wtargnęły z całą mocą do naszego świata. Niektóre oddziały nie wykonują rozkazów ani nawet przewidywalnych manewrów i podają komunikaty, że podjęły się poszukiwań aniołów, by z ich krwi wyhodować żołnierza doskonałego. Żaden człowiek nie wydałby takiego rozkazu, rozumie pan? Dlaczego oni sprowadzili piekło? Może dlatego, że nadużywana wiara w niemożliwe zderzyła się wreszcie z twardym murem rzeczywistości i nadczłowiek poczuł, jak nienaturalnie wydłużone kości zaczynają pod nim kruszeć, a krew tętniąca w podrasowanych naczyniach krwionośnych rozrywa żyły. Posunęliśmy się w zmianach naszej natury za daleko i zbyt nierozważnie. Już teraz tracimy na Wschodzie całe dywizje - obciążeni niezniszczalnymi pancerzami żołnierze zapadają się w błoto, podczas szturmu łamią się im kości udowe. Spoić zmodyfikowane szaleńczo organizmy może już tylko magia. Zatem zaczęto sprowadzać ją, brać stamtąd bez opamiętania. Proszę. - Wyciągnął nagle pistolet. - To

walther, nowszy typ broni, którą uczył się pan posługiwać. I trzy magazynki. Nie ma czasu, by wracał pan do domu. Oto pana kij. I dokumenty wraz ze specjalnymi upoważnieniami. Proszę... Podał papiery i przy pomocy brei z błota zmienił dane w obręczy Artura.

- Nie wyszedłby pan z miasta bez tego. Z tymi dokumentami każdy oficer niemiecki udzieli panu daleko idącej pomocy. Ale niech ich pan użyje w ostateczności. Nie wiadomo, kto będzie jutro rządził w Rzeszy, te papiery, raz użyte, można wyśledzić i unieważnić.

- Dokąd mam się udać?

- Jak to dokąd? Do domu. Najwyższy czas, żeby już wszyscy wrócili do domów i zrobili tam porządek. Proponuję panu podróż na Wschód, do Polski. Tam teraz potrzebują wielkich ludzi, Herr Sosnowski. Wiem, że pan ich nie zawiedzie. Byleby pańscy rodacy nie zawiedli pana. - Przerwał i podał Arturowi niewielki pakunek. - Proszę wziąć ten płaszcz, może się przydać.

Artur obejrzał walthera. Zwrócił szczególną uwagę na system rurek celowniczych w zagłębieniu po lewej stronie lufy.

- Nie może pan z tym nie trafić, system laserowy i noktowizyjny. Proszę nie zapomnieć o lasce. Pamięta pan jeszcze, jak się strzela?

- Uczył mnie pan dostatecznie długo - rzekł Sosnowski, osłaniając się płaszczem i chowając pistolet. Chwycił kij.

- Skasowałem raporty o rzeczach, o których władza nie powinna wiedzieć. Był pan cały czas podsłuchiwany, ale otoczyłem pana zaufanymi ludźmi. Obawiałem się tylko wizyt u Hoffmanna, ale staruszek zdobył sprzęt antypodsłuchowy, o jakim nam się nie śniło. Zastępował wasze prawdziwe rozmowy banalnymi okrzykami na cześć Führera. Hoffmann to spryciarz, skontaktował się z psychoanalitykami pochodzenia żydowskiego. Żydzi

dysponują najnowocześniejszym sprzętem tej wojny. Właśnie wypuścili z fabryki w Jerozolimie egzemplarz pierwszego czołgu Merkava, lepszego niż Pantera V, która nie wyszła jeszcze poza deski kreślarskie projektantów. Wieża w kształcie klina sprawia, że maszyna jest trudna do trafienia. Na dodatek nietypowa konstrukcja powoduje, że jeszcze nigdy nie udało się zniszczyć tego czołgu wraz z załogą. Oficjalnie dla nas ten pojazd nie istnieje, wie pan, zgodnie z ideologią Żyd nie potrafi nic wymyślić, a co dopiero wyprzedzać nas we wszystkim. Ale na Bliskim Wschodzie boją się Merkavy jak samego diabła.

- Pierwsi wylądowaliście na Księżycu. To wielki triumf nauki aryjskiej.

- Kogo obchodzi Księżyc? Żydzi mają gdzieś ukrytą arkę niemal gotową do podróży międzygalaktycznych. Cześć z nich uważa, że ten świat jest już nie do obrony. Przewidzieli, że naziści wypuszczą demony, które przejmą kontrolę nad swoimi ludzkimi panami. Zebrano materiał genetyczny wszystkich roślin i zwierząt na ziemi. Tysiące ludzi zebrało się pod skałami i czekają, aż systemy gigantycznego okrętu kosmicznego będą w pełni sprawne. Ale powinien pan już iść. Przykro mi z powodu Anny.

- Wiedział pan o tym!

- Na początku nic nie podejrzewaliśmy, a pan tak bardzo potrzebował kogoś bliskiego. Nasi stratedzy uznali, że kobieta z Polski będzie idealna. Wybraliśmy zatem jedną z przyjezdnych. Śledziliśmy ją, by zobaczyć, z kim się skontaktuje i jakie ma plany. Zrozumieliśmy, że próbuje poznać świat przyszłości i dzięki wyciągniętym od pana informacjom zaopatrzyć Polskę Podziemną w nowe, unikalne technologie. Potem jednak okazało się, że to ruchowi oporu nie wystarczy. Musiano zniwelować przewagę, jaką dawała nam dwudziestoczterogodzinna infiltracja pańskiej osoby. Chciano wywieźć pana do Polski i tam przetrzymywać albo zabić. Najpierw jednak

Brytyjczycy zamordowali Heydricha, na prośbę agentów z „Walkirii” związanych z dawną Abwehrą. Był bliski zdemaskowania mojej roli i całej siatki Clausa von Stauffenberga, na powrót też sprzymierzył się z ciemnym magiem, von Blankenknohrem.

- On jeszcze żyje! Jest na wolności?

- Ma się całkiem dobrze w zamieszaniu, jakie ogarnęło Wschód. Być może jeszcze będzie się pan musiał z nim kiedyś zmierzyć. Chwilowo wróćmy do Anny. Po śmierci Heydricha wszystkie służby znajdowały się w stanie wysokiej gotowości, ruch oporu został sparaliżowany. Minęło trochę czasu i Anna namówiła pana na wyjazd do Cesarstwa Polskiego, nad jezioro. Był pan jednak zbyt silnie strzeżony. Wasi najlepsi magowie nie poradzili sobie z wilkołakami i innymi tajnymi jednostkami, które wysłano w rejon. Gdy wróciliście osobno do Nowego Berlina, wówczas zdecydowano o otruciu pana. Nie zdołaliśmy na czas przejąć trucizny, wysłałem komandosa psionicznego dosłownie w ostatniej chwili, by zmienił przeznaczony panu los.

- Odwrócił tackę z filiżankami.

- Dla ręki prosta czynność. Dla umysłu olbrzymi wydatek energetyczny. Przykro mi, naprawdę. Anna była wielkim człowiekiem, nieprzeciętną kobietą. Gdybyśmy mogli zakończyć to inaczej...

Artur odwrócił się, żeby odejść.

- Proszę zaczekać...!

- Sądziłem, że nie mam czasu.

- Skoro już ta rozmowa zamieniła się w spowiedź... Niech pan da mi szansę, by opowiedzieć o ostatnim grzechu.

- Słucham?! - Artur zatrzymał się. W gardle sformowała się wielka kula. Nie chciał nic więcej słyszeć.

- Liliane była naszą agentką. Najłatwiej kontrolować mężczyznę poprzez kobietę, którą on kocha. Wyróżniała się w BdM-ie, miała też pewien talent aktorski. Misja nie wyglądała na niebezpieczną, a miała ustawić ją i jej rodzinę na szczytach znaczenia i władzy. Pan zresztą tego zapragnął, wtedy w mrocznych podziemiach. Powiedział pan „pragnę kobiet”, pamięta pan? Ja od razu wiedziałem, że chodzi o jedną wspaniałą. Ten idiota Luehmann proponował potem panu każdego dnia inną, ale on był tępy. Nie rozumiał, że ludzie potrzebują przede wszystkim miłości.

- Miłości, a nie oszustwa! - krzyknął Artur, ale w duszy coś się wypaliło. Nadal był zdolny rozmawiać, słuchać i odpowiadać, ale nagle poczuł się jak pusta skorupa.

- Był pan w tej iluzji szczęśliwy, czyż nie? A czyż prawdziwa miłość, którą ofiarowała panu Anna, nie przyniosła na koniec tylko bólu?

- Nic pan nie wie, nie rozumie - powtarzały usta Artura, ale nie on. Jego już nie było. To ciało posłuszne odruchom chciało uciekać, ciało wyposażone w głupi samozachowawczy instynkt. Artur nie chciał już nic.

- To prawda. Wracając do Liliane. Gdy władze w odpowiedzi na zamach, w który byłem pośrednio zamieszany, aresztowały mnie, a pragnęły złapać ciebie, ojciec Liliane zabronił jej brać udział w tej misji. Nagle zadanie zrobiło się niebezpieczne, a co gorsza, niepewne politycznie. Gdy zostałem oczyszczony z zarzutów, Liliane zadzwoniła do mnie, informując o miejscu twojego pobytu. Podziękowaliśmy sobie za współpracę. Dostała w nagrodę rolę w superprodukcji kinowej, co przy raczej przeciętnym talencie aktorskim tej pani jest dla niej dobrym interesem. Ojciec zadbał, by dobrze wyszła za mąż.

- Ja nigdy nie byłem odpowiedni, tak? - Na chwilę wściekłość i żal przebudziła go z ostatecznej apatii. - Do

romansu i owszem, ale nie na męża. Bo wszyscy tak naprawdę wiedzieli, że byłem Polakiem. Nie Herrenvolk.

- Przykro mi. Nie ja stworzyłem ten system. Ja go tylko próbuję zniszczyć. Ale nie łudziłbym się, że w nowym świecie pochodzenie czy pieniądze przestaną mieć znaczenie. Zawsze znajdzie się powód, by innych uznać za gorszych, jeżeli nie będzie to rasa, to coś innego. Ludzie po prostu się nienawidzą. Powodzenia, Arturze Sosnowski - rzekł tamten i założył przyłbicę.

- Powodzenia, Gerhardzie Weinerze - odparł cicho Artur i idąc niczym trup, zniknął za załomem budynku.

Gruppenführer stał jeszcze chwilę, aż z muru wyłonił się odziany w cień mężczyzna. Chwilkę rozmawiali, potem tamten znów schronił się w murze i podróżując dalej w ten sposób, opuścił ulicę. Gerhard Weiner ruszył w przeciwną stronę.

Nie uszedł daleko. Ze ściany oderwała się skurczona w pozycji płodowej sylwetka i upadła do jego stóp. Krew obryzgała buty. Za chwilę z drugiej strony odpadła druga.

Wysunęli się ze ścian bezszelestnie, wszyscy skuleni, przygarbieni, ich sylwetki zdawały się lekko rozmazane. Materiał ich strojów wydawał się szorstki w dotyku. W istocie pokrywały go tysiące mikroskopijnych zakończeń pajęczych nóżek. Twarze szczelnie owinięto szerokimi pasami czarnego bandaża, bez otworów na oczy, gdyż ci komandosi korzystali z innych zmysłów.

- Zabiliśmy twoich przenikaczy ścian, renegacie. Jak ktoś szkolony w zakonie SS we wszystkich metodach walki mógł popełnić taki błąd - powiedział jeden z żołnierzy do Gruppenführera.

Otaczali go, było ich pięcioro. W ścianie przed nim majaczyła blada pulsująca bulwa, przypominająca kształtem wątrobę. Liczne rury wniknęły głęboko w budynek.

- Przegrasz tę wojnę, czymkolwiek jesteś - powiedział Weiner do istoty w ścianie, ignorując ludzi. Pierścień na jego palcu zdawał się płonąć.

- Oddaj broń, renegacie. - Pięciu przenikaczy wysunęło do przodu krótkie kije zakończone korkociągiem. - Albo będziemy musieli cię zabić.

Spod płaszcza wypadły pistolety i ręczny karabin maszynowy, zaklekotały o ziemię u stóp Gruppenführera.

Żołnierze podeszli bliżej, jeden z nich mignął kajdankami.

- Pańskie ręce.

Weiner jednym ruchem wyszarpnął miecz, załopotał płaszcz, zalśniła wypolerowana klinga, chlusnęła krew z rozciętego gardła. Jeden mniej. Ustawił się w pozycji bojowej.

- Zawsze twierdziłem, że każdy powinien co dzień zwalczać swoje człowieczeństwo i dążyć do czegoś więcej. Ale dopiero dziś, ja, Gerhard Weiner, zostanę Herrenvolk. Mój miecz został pokryty najpotężniejszymi runami i zabiję cię, istoto znikąd.

I zaatakował.

*

Nowy Teatr Narodowy zaprojektowano w tradycyjnym stylu rzymskim. Między kolumnami przechadzali się opancerzeni gestapowcy, trzymający w dłoniach sztandary z orłem i swastyką. Liczne ciała leżące na placu przed budynkiem wskazywały, że żołnierze mają brzydki zwyczaj najpierw strzelać, a dopiero potem pytać, kto zacz.

Nocne niebo robiło się coraz bardziej czerwone. Berlin wydobywał się powoli spod władzy rasy ludzi.

Artur zdecydował się na inną drogę, wąską ulicę między wieżowcami. Na początku cieszyło go, iż nie słychać żadnej strzelaniny, nikt też nie przebiegał obok. Gdy jednak skręcił za róg, jego oczom przedstawił się przerażający widok.

Pajęczyna sięgała wysokości trzech pięter. Srebrne nitki dygotały lekko, mieniąc się połyskliwie. Przyklejeni do niej, szarpali się ludzie. Niektórzy ubrani w brunatne kombinezony wyglądali jak zwykłe muchy. Ale niektórzy zostali porwani ze swoich łóżek, kobiety, mężczyźni, dzieci, w koszulach nocnych, piżamach, nago. Nie krzyczeli, niektórzy dlatego, że w otwartych ustach błyszczała lepka kula pajęczyny, inni stracili już zapewne siły, osłabieni jadem i wielogodzinną szarpaniną w nieustępliwej pułapce.

Artur postąpił krok do przodu, chwyciwszy mocniej laskę, chciał spróbować uwolnić nieszczęśników. Ale ruch w skrytym w cieniu kącie, gdzie budynek i sieć się łączyły, sprawił, że gwałtownie stanął.

Jedna z kobiet otworzyła oczy. Źrenice były przesłonięte cienką pajęczyną, ale jakimś cudem go widziała. Zaczęła rozpaczliwie bełkotać pomimo knebla, a jej oczy rozwarły się szeroko. Błagała o pomoc.

Jeżeli jest pajęczyna, musi być i pająk. Artur zaczął wycofywać się ostrożnie. Nie spuszczał wzroku z kąta. Nic się już tam nie poruszyło, ale wrażenie obecności było bardziej niż dojmujące.

Kobieta zrozumiała, że wybawiciel ucieknie. Szarpnęła się jeszcze dwa razy desperacko, potem zaczęła płakać.

Gdy Artur znalazł się na rogu, wyszarpnął pistolet i wycelowawszy starannie, oddał dwa strzały. Nauka u Weinera nie poszła w las. Kobieta zwiesiła głowę i umilkła.

Sosnowski popatrzył na rozpościerające się przed nim miasto. Na różnych wysokościach, gdziekolwiek poszedł, połyskiwały mniejsze lub większe pajęczyny. Cała dzielnica należała już do pająków. Skierował termowizyjny celownik

na ciemny kąt, który wzbudził w nim wcześniej tyle obaw. Zerknął tylko na chwilę, ale to, co zobaczył, wzbudziło w nim najwyższe przerażenie.

Artur zawrócił w kierunku teatru.

*

Tym razem portyk był pusty. Jedynie orzeł na długim metalowym kiju, leżący między kolumnami, przypominał Arturowi o wcześniejszej obecności wartowników. Gmach teatru emanował niepokojącą ciszą.

Wydawało się, że fala płomieni przeszła po niebie. Czerwony skurcz, który szarpnął atmosferą. Światy się przenikały, czas uciekał. Skulony Sosnowski ruszył biegiem przez dziedziniec. Przebiegając między ubranymi w brunatne kombinezony trupami, czuł się jak zwierzyna wystawiona na odstrzał. W każdej chwili oczekiwał, aż płuco przeszyje kula.

Nic takiego się nie wydarzyło. Bezpiecznie znalazł się w osłoniętej przestrzeni między kolumnami i z ulgą przypadł do ściany. Oddychał ciężko. Następnie ruszył w lewo, mijając leżącego orła.

– *Halt!* - usłyszał nagle za sobą. Zmartwiał. - Rzuć kij! Ręce do góry!

Wypuścił laskę z ręki i powoli uniósł ręce.

- Obróć się powoli!

Wykonał polecenie. Wartownik musiał być ukryty gdzieś między kolumnami. Teraz wyszedł i celował do niego z karabinu maszynowego.

- Jesteś cywilem i nosisz wojskowy płaszcz. Pewno ukradziony. Rozepnij go i odłóż na ziemię.

Artur wolno sięgnął do klamry. Zrozumiał, że tamten nie chce, by kule przedziurawiły dobry płaszcz.

- Nie ukradłem go. Mam dokumenty nakazujące udzielenie mi wszelkiej pomocy...

- Milczeć! Pospiesz się. Bajeczkę opowiesz na posterunku.

Już po mnie, pomyślał Artur. Nawet gdybym zdążył wydobyć broń i strzelić przed nim, on nosi kuloodporną zbroję i srebrną maskę. Nie mam szans położyć go jednym strzałem.

Palce dotknęły klamry. Mocowały się z zapięciem.

Na czarnej nici ciemny kształt spadł na żołnierza, przygniatając go cielskiem do posadzki. Liczne szczęki przecięły kirys niczym blachę konserwy i dobrały się do mięsa. Niemiec zaczął krzyczeć.

Artur przykucnął, wydobywając pistolet. Gdy się podnosił, wyprostowaną rękę skierował w stronę pająka, a w drugiej ścisnął laskę. Zaczął powolutku krok po kroku się wycofywać. Tak jak poprzednio, nie odważył się strzelić. Ranny owad zapewne był śmiertelnie niebezpieczny. Póki jadł, Sosnowski mógł się czuć bezpiecznie.

Gdy znalazł się za rogiem, puścił się biegiem. Minął gmach teatru i znów znalazł się w plątaninie uliczek. Pędził bez wytchnienia, aż wreszcie zatrzymał go rząd ludzi. Wszyscy w cywilnych brunatnych kombinezonach, w dłoniach trzymali elektryczne kilofy, wyrzutnie gwoździ, zdalne młoty pneumatyczne. Niektórzy jechali wewnątrz machin, wcześniej używanych do drążenia podziemnych tuneli. Ogromne świdry sunęły przymocowane do chybotliwych klatek, uzębione koparki o siedmiu ramionach, przypominające „diabelskie młyny”, okręgi z licznymi paszczami zdolnymi kruszyć kamienie. Nad nimi lewitowali w specjalnych uprzężach robotnicy wysokościowi, trzymający w dłoniach spawarki i

promieniste formy metalu. Zdawało się, że cały podziemny Berlin wyszedł wreszcie, by otrząsnąć się z jarzma nazizmu. Tak Sosnowski pomyślał w pierwszej chwili, potem powędrował wzrokiem jeszcze wyżej i dostrzegł prowadzące tłum szybujące ekrany z wymachującym w szale Goebbelsem.

Zmasowana kanonada, która rozległa się tuż za rogiem, przekonała Artura, że robotnicy natknęli się na linie regularnego wojska. Nad tłumem przemknęły świetliste rakiety, wybuchając gdzieś w tyle. Cześć ludzi się rozproszyła, zaczęła szukać schronienia przy ścianach. Artur wykorzystał ten moment, by przedrzeć się na drugą stronę ulicy. W rzece robotników przypominał pływaka rozgarniającego ramionami fale. Gdy znalazł się na drugim brzegu, w boku odezwała się kolka, a w płucach brakowało powietrza. Niemal bez tchu, skulony ruszył w dół najbliższej prostopadłej przecznicy. Wieżowce tu były coraz niższe, wreszcie skończyły się, ustępując miejsca samotnym domom. Opuszczał Berlin.

Obejrzał się. Niebo nad czarnymi kopcami lśniło jak ciemne wino. Mrugnął i zobaczył ogromne monstrum składające się z tkanek i trzewi, jakby było jednym wielkim układem pokarmowym, bladą, pulsującą strukturą przeplataną siatką błękitnych żył. Tysiące jelit oplatało miasto niczym wielkie duszące grube liany, drobnymi mackami sięgając do każdego mieszkania, sczepiając się z ciałami śpiących ludzi, połykając ich głowy albo przysysając się do brzuchów. Szarpali się w konwulsjach na łożach, wykrzywiając twarze, ale żaden nie potrafił się obudzić. Wielki kawałek jelita grubego, emanując wyziewami, podniósł się ku niebu niczym grożąca zuchwale pięść i falował nad miastem.

Artur mrugnął znowu i zobaczył Nowy Berlin, ciemny i mroczny jak zawsze. Odwrócił się od niego, ujął mocniej

laskę i szybkim marszem ruszył tam, gdzie właśnie wschodziło słońce.

# Posłowie

Chciałbym, aby wyrazy wdzięczności przyjęli autorzy, których dzieła wnikliwe, pełne treści i błyskotliwych zestawień faktów, stały się dla mnie bezcennymi przewodnikami po zapomnianej, mrocznej epoce nazizmu. Czerpałem wiedzę o wydarzeniach militarnych z doskonałego opracowania Janusza Piekałkiewicza *Kalendarium wydarzeń II wojny światowej* (Agencja Wydawnicza MOREX, wyd. II, Warszawa 1999), w szukaniu alternatywnych światów pomagała mi praca Kennetha Mackseya *Największe błędy dowódców w II wojnie światowej* (AMBER, Warszawa 2002), informacje na temat obyczajowości tamtych lat zdobyłem z bezcennej pracy Stefana Maiwalda i Gerda Mischlera *Seksualność w cieniu swastyki* (Wydawnictwo Trio, Warszawa 2002). Zainteresowany Czytelnik znajdzie tam dużo więcej wiadomości na temat obsesji nazistów dotyczących życia seksualnego (biologiczne małżeństwa, Lebensborny), totalnej kontroli obywateli z jednej strony, a z drugiej, bezkarności władzy, która swobodnie realizowała najrozmaitsze potrzeby w tym zakresie. Z uwagi na ważny problem okrutnego prześladowania wszystkich osób uprawiających seks, niezgodny z oficjalną doktryną Wodza (seks „hańbiący rasę", orgie, homoseksualizm, sadomasochizm itd.), pozwoliłem sobie opisać szerzej w *Herrenvolk* tę hipokryzję warstw rządzących. Zresztą wykorzystywanie władzy politycznej do swobodnej realizacji popędów seksualnych, przy równoczesnym mniej lub bardziej niechętnym publicznym traktowaniu tychże zachowań u obywateli, charakteryzuje nie tylko nazizm.

Uważny Czytelnik znajdzie ją wśród systemów komunistycznych, czy mowa o PRL czy współczesnej Korei Północnej, w republikańskich USA i prawicowych Włoszech ostatnich dni. Natura ludzka jest niezmienna i nie zależy od ustroju politycznego - zawsze mamy skłonność, by inną miarą mierzyć siebie niż obcych. Natomiast warstwę ideologiczno-metafizyczną przybliżyła mi w przebogaty sposób Rosa Sala Rose i *Krytyczny słownik mitów i symboli nazizmu* (Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2006). Obóz „Woodenville" oczywiście nigdy nie istniał, ale opisując sceny rozgrywające się w budynkach medycznych, korzystałem z autentycznych wydarzeń dzięki *Auschwitz: medycyna III Rzeszy i jej ofiary* Ernsta Klee (Universitas, Kraków 2009). Wybrałem te mniej drastyczne. Opis zmian, jakich dokonali hitlerowscy okupanci w Generalnym Gubernatorstwie, powstał na postawie eseju Łukasza Dziadkiewicza z „Gazety Wyborczej" (07.09.2007), pt. *Pierwsze tygodnie okupacji pod Wawelem,* natomiast życiorysy Kurta Waldheima i kilku innych historycznych postaci, które epizodycznie przemykają po kartach *Herenvolk,* po raz pierwszy zostały mi zaprezentowane w „Gazecie Wyborczej" przez Bartosza T. Wielińskiego (*Wielcy Niemcy z legitymacjami NSDAP* - 20.06.2007, *Austriak, którego znał cały świat*). Konstrukcja postaci nazistowskich dygnitarzy byłaby niepełna, gdybym nie przeczytał *Rozmów z katem* Kazimierza Moczarskiego (PWN, Warszawa 1995), który pokazał mi sposób rozumowania narodowych socjalistów. Okultystycznymi praktykami zafascynował mnie znakomity felietonista Michał Cetnarowski w *„Brunatnej Magii - nieznanym odcieniu nazizmu"* („Magazyn Fantastyczny" nr 4/2005). Ponadto nieocenionym źródłem licznych *urban legends* i anegdot z epoki okazał się Internet, zwłaszcza fora specjalistyczne, jak historia.org.pl. Ulotka „Białej Róży", z 18 lutego 1943, w powieści pojawiła się nieco wcześniej - również jej ślad znalazłem w Internecie, a opublikowana

została w *Weiße Rose Stifung* w: *Katalog zur Ausstellung „Weiße Rose”,* Der Widerstand der Studenten gegen Hitler, München 1942/43, München 1994, s. 48

Szczególne podziękowania chciałbym złożyć mojej żonie Kasi, za Twoją miłość i ciepło. Brak mi słów, by wyrazić wdzięczność dla Małgorzaty Koczańskiej za precyzyjny, wnikliwy umysł, podziwiam Twój intelekt, błyskotliwy i uporządkowany jak diament, oraz dla Romualda Pawlaka, za mądre serce, nieczęsto trafia się tak doskonałe, jak u Ciebie, połączenie zdrowego rozsądku z wrażliwością artysty. Mam dług u Bartosza Kusibaba, który otoczył tę książkę niezwykle staranną opieką i która dzięki niemu ujrzała światło dzienne. A także wobec wszystkich Czytelników, którzy cierpliwie czekali na ukazanie się *Herrenvolk* i wspierali mnie przez ten czas dobrym słowem, dzięki czemu nie straciłem wiary, że warto pisać. Mam nadzieję, że Was nie rozczarowałem.

Wszystkie postacie i wydarzenia w powieści są fikcyjne, jakiekolwiek podobieństwo jest przypadkowe.

Autor dla celów fabuły pozwolił sobie na przesunięcie w czasie niektórych wydarzeń historycznych.